**Szatańskie wersety**

Salman Rushdie

Dla Marianny

Szatan tedy, skazany na dolę włóczęgi, bezdomnego wędrowca, choć z racji swej anielskiej natury posiada coś na kształt króle-stwa w wodnych pustkowiach lub w powietrzu, to jednak z pewności ą części ą jego kary jest to, że nie ma nic stałego, żadnego miejsca, gdzie mógłby oprzeć stopę.

Daniel Defoe, Historia Diabła

I

Anioł Gibril

1

Aby narodzić się ponownie — śpiewał Gibril Fariszta, spadaj ąc z niebios — najpierw musisz umrzeć. Ho dżi! Ho dżi! Aby bezpiecznie wyl ądować na Matce Ziemi, trzeba najpierw latać. Tat-taa! Taka-tun! Jak może w ogóle na twojej twarzy pojawić się uśmiech, jeżeli wcześniej nie zapłaczesz? Hej, panie szanowny, jak chcesz pan zdobyć miłość swojej ukochanej bez jednego westchnienia? Baba, jeżeli chcesz narodzić się ponownie. . . — Tuż przed świtem, pewnego zimowego poranka, w Nowy Rok albo coś koło tego, dwóch całkiem realnych, całkiem dorosłych żywych mężczyzn spadało z bardzo wysoka, bo z dziesięciu tysięcy metrów, wprost do kanału La Manche, nie korzystaj ąc z dobrodziejstwa spadochronów czy skrzydeł. Spadało wprost z jasnego nieba.

— Mówię ci, musisz umrzeć, mówię ci, mówię — rozlegało się wci ąż i wci ąż pod alabastrowym księżycem, aż w końcu głośny okrzyk przeci ął noc: — Do diabła z twoim śpiewaniem! — słowa te zawisły jak kryształ w mroźnej białej nocy.

— Przy kręceniu filmów ruszałeś tylko ustami do muzyki z playbacku, oszczędźmi więc teraz tych piekielnych hałasów.Gibril, ten solista bez słuchu, brykał sobie dot ąd w świetle księżyca. Śpiewał swoj ą zaimprowizowan ą pieśń miłosn ą, pływał w powietrzu motylkiem al-bo żabk ą, to znowu zwijał się w kłębek, aby następnie rozpostrzeć ręce i nogi, wyzywaj ąc prawie-nieskończoność prawie-świtu i przybieraj ąc heraldyczne postawy — stoj ąc ą, leż ąc ą z podniesion ą głow ą, przeciwstawiaj ąc sobie nieważkość i przyci ąganie ziemskie. Teraz, wypełniony radości ą przekoziołkował w kierunku, z którego dochodził sardoniczny głos:

— Ohe, Salad baba, och to ty, wprost nie do wiary. Cześć, stary Czamczo. — Na co tamten, gderliwy cień lec ący głow ą w dół, w szarym garniturze z marynark ą zapięt ą na wszystkie guziki, z rękoma przy ciele i przyjmuj ący jako rzecz oczywist ą absurd melonika na swojej głowie, wykrzywił się jak człowiek, który nienawidzi przezwisk.

— Hej, Spoono — wrzasn ął Gibril, prowokuj ąc tym następny grymas. — Ten Właśnie Londyn, bhai! Oto nadchodzimy! Ci skurwiele tam na dole nie będ ą nawet wiedzieć, co w nich stuknęło: meteory, błyskawica czy też zemsta boża. Jak grom z jasnego nieba, dziecinko! Dharrraaammm! Krrach! No nie? Co za wejście, jar. Daję słowo: chlup.

Jak grom z jasnego nieba — wielka eksplozja, a zaraz po niej spadaj ące gwiazdy. Pocz ątek wszystkiego, miniaturowe echo narodzin czasu. . . odrzutowiec pasażerski Bustan lot numer AI-420 eksplodował bez jakiegokolwiek ostrzeżenia wysoko nad olbrzymim, gnij ącym i pięknym, spowitym w śnieg i jasno oświetlonym miastem Mahagonny, Babilon, Alphaville. Ale przecież Gibril już je nazwał, nie wolno mi tu się wtr ącać: Ten Właśnie Londyn, stolica Wilajatu, mrugał światłami w ciemności nocy. W tym czasie na himalajskiej wprost wysokości krót-kotrwałe i przedwczesne słońce wtargnęło w pełne pyłu styczniowe powietrze, echo zniknęło z ekranów radarów, a rozrzedzona przestrzeń wypełniła się ciałami spadaj ącymi z Everestu katastrofy ku mlecznej bieli morza.

Kim jestem?

Czy jest ktoś jeszcze?

Samolot rozpadł się na pół jak str ąk wyrzucaj ący nasiona albo jajko odsłaniaj ące swoj ą tajemnicę. Dwaj aktorzy — hałaśliwy Gibril i zapięty pod sam ą szyję pan Saladyn Czamcza o mocno zaciśniętych ustach — spadali jak okruchy tytoniu ze starego, połamanego cygara. Nad nimi, za nimi, pod nimi, wszędzie w tej próżni zawisły odchylone do tyłu fotele lotnicze, stereofoniczne słuchawki, wózeczki do rozwożenia drinków, torebki używane w razie choroby lokomocyjnej, karty l ądowania, kasety wideo zakupione w wolnocłowej części lotniska, czapki ze zło-conymi sznurkami nad daszkiem, papierowe kubki, koce, maski tlenowe. A także — ponieważ na pokładzie była pewna liczba migrantów — było w powietrzu sporo żon, uprzednio przesłuchiwanych przez rozs ądnych urzędników wykonuj ących po prostu swoj ą pracę, żon pytanych o wielkość genitaliów swoich mężów i charakterystyczne brodawki na nich, a także o to, jak ą ilość dzieci uważaj ą za wystarczaj ąc ą — zreszt ą co do ślubnego pochodzenia tych dzieci, rz ąd brytyjski zawsze miał uzasadnione w ątpliwości — tak więc mieszaj ąc się ze szcz ątkami samolotu, płynęły równie rozkawałkowane i równie absurdalne szcz ątki dusz, przerywane wspomnienia, odrzucone osobowości, obcięte ojczyste języki, pogwałcone prawa do własnego życia, nieprzetłumaczalne dowcipy, wygasłe nadzieje na przyszłość, utracone życie, zapomniane znaczenia pustobrzmi ących słów, ojczyzna, poczucie przynależności, dom. Nieco ogłuszeni przez eksplozję Gibril i Saladyn spadali pionowo jak zawini ątka upuszczone przez jakiegoś bociana, który nieostrożnie otworzył dziób. Ponieważ jednak Czamcza spadał głow ą w dół, w pozycji przyj-mowanej przez noworodka wchodz ącego do kanału rodnego matki, zacz ął odczuwać pewn ą irytację, kiedy Gibril odmówił spadania w tak prosty sposób. Saladyn nurkował, natomiast Fariszta, machaj ąc rękoma i nogami, obejmował powietrze i przytulał się do niego, zapracowany aktorzyna bez techniki. W dole czekały na ich wejście spowite w chmurach, z wolna krzepn ące pr ądy morskie kanału La Manche w wyznaczonej im strefie wodnej reinkarnacji.

— Hej, ram, japońskie buty mam — zaśpiewał, tłumacz ąc star ą piosenkę na angielski — chyba z na wpół świadomego szacunku dla zbliżaj ących się gwałtownie gospodarzy tej ziemi. — O, proszę, angielskie spodnie noszę. Na głowę wciśnięta czerwona czapka ruska, a pod tym strojem dusza hinduska. — Chmury jak pęczniej ące b ąble szybko pędziły ku nim i prawdopodobnie, czy to z powodu tajemniczej przepastności cumulusa i cumulonimbusa (potężne, falowane obłoki z czoła burzy stały przy tym na wschodzie jak olbrzymie młoty), czy też dlatego, że uwaga obu skupiona była na piosenkach (pierwszego na ich wyśpiewywaniu, drugiego na wygwizdywaniu), czy też przyczyniło się do tego drżenie wywołane przez eksplozję — w każdym razie oszczędzona im została świadomość tego, co nieuchronnie zaraz nast ąpi. Jaka by tego nie była przyczyna, ci dwaj ludzie, Gi-brilsaladyn Farisztaczamcza, skazani na to nie kończ ące się, a jednocześnie zbliżaj ące się do końca anielsko-diabelskie spadanie, nie zauważyli po prostu chwili, w której rozpocz ął się proces ich transmutacji.

Mutacji?

Yessir, ale nie przypadkowej. Tam, w górze, w przestrzeni powietrznej, w tym delikatnym, niezauważalnym obszarze, który zaistniał dzięki temu wiekowi i który następnie umożliwił ten wiek, staj ąc się jednym z miejsc definiuj ących to stule-cie, aren ą ruchu i wojny, środkiem zmniejszaj ącym planetę i pochłaniaczem potęgi, najbardziej niepewn ą i krótkotrwał ą ze stref, iluzjonistyczn ą, nieci ągł ą, metamorficzn ą — ponieważ kiedy wyrzuci się wszystko w górę, w powietrze, wszystko staje się możliwe — w każdym razie, daleko tam w górze, w tych bł ądz ących aktorach zaszły zmiany, zmiany, które uradowałyby serce starego pana Lamarcka: pod wpływem ekstremalnych warunków środowiska pojawiły się pewne cechy charakterystyczne.Jakie cechy? Powoli, powoli; myślicie, że Akt Stworzenia przebiega w pośpiechu? Przecież z objawieniem również tak się nie dzieje. . . Popatrzcie na tych dwóch. Zauważyliście coś nadzwyczajnego? Po prostu dwaj br ązowi faceci, spadaj ący bezwładnie jak kamienie. Nic nowego, możecie pomyśleć: wdrapali się za wysoko, przeskoczyli samych siebie, lecieli zbyt blisko słońca, czyż nie tak?Nie, nie o to chodzi. Posłuchajcie:

Pan Saladyn Czamcza, przerażony dźwiękami wydobywaj ącymi się z ust Gibrila Fariszty, odpowiedział na ten atak własnymi strofami. I oto Fariszta usłyszał, jak przez nieprawdopodobne nocne niebo płynie stara piosenka, wiersz Jamesa Thomsona od wersu tysi ąc siedemset do tysi ąc siedemset czterdzieści osiem.— . . . z polecenia Niebios — popłynęły radosne wersety z ust Czamczy, którego wargi przybrały z zimna szowinistyczny, czerwono-biało-niebieski kolor, —

heeen-tam, z lazuroweeego powstał oceanu. — Przerażony Fariszta śpiewał coraz głośniej o japońskich bucikach, rosyjskich czapkach, niezmiennie czystych subkontynentalnych sercach, lecz wci ąż nie mógł uciszyć gwałtownej recytacji Saladyna: — A aniołooowie stróóóże śpiewali radośnie.Spójrzmy prawdzie w oczy: to było absolutnie niemożliwe, aby mogli się wzajemnie słyszeć, a co dopiero rozmawiać czy też współzawodniczyć w piosenkach.Przecież lecieli coraz szybciej w stronę planety, a powietrze wokół nich było wypełnione rykiem. Jak więc było to możliwe? Lecz przyjmijmy do wiadomości również i to, że tak jednak było.Pędzili w dół, a zimowy mróz, oszraniaj ąc im rzęsy i groż ąc zamrożeniem serc, niemal wyrwał ich z szalonego snu na jawie i właśnie mieli dostrzec nad-zwyczajność ich własnego śpiewu i dojrzeć deszcz kończyn ludzkich i niemowl ąt, którego sami byli części ą, jak i dopuścić do siebie strach przed przeznaczeniem, które pędziło w ich stronę z dołu, kiedy uderzyli w kipiel chmur o zerowej tem-8

peraturze, która całkowicie ich przemoczyła i natychmiast pokryła lodem.Znajdowali się teraz w czymś, co wydawało się być długim pionowym tu-nelem. Czamcza, dokładny, sztywny i wci ąż jeszcze do góry nogami, zobaczył

zbliżaj ącego się doń Gibrila Farisztę, który płyn ął w tej swojej szkarłatnej koszuli poprzez tunel o ścianach z chmur, i już miał krzykn ąć: „Odejdź, trzymaj się z dala ode mnie”, kiedy coś mu przeszkodziło, coś, jakby pocz ątek małej trzepocz ącej i krzycz ącej rzeczy w jego brzuchu. Tak więc zamiast wyrzucić z siebie słowa protestu, Czamcza otworzył ramiona i Fariszta wpłyn ął w nie nogami, splataj ąc się z nim w odwróconym uścisku. Siła zderzenia była tak wielka, że zaczęli ko-ziołkować coraz szybciej i szybciej, kręc ąc podwójnego młynka przez cał ą drogę w dół i wzdłuż tej dziury, która prowadziła do Krainy Czarów. Kiedy właśnie czynili wysiłki, aby wydostać się z tej bieli, pojawił się szereg chmur o różnych kształtach, nieustannie przeobrażaj ących się: bogowie w byki, kobiety w paj ąki, ludzie w wilki. Wokół nich tłoczyły się hybrydyczne chmury-stworzenia, wisz ące na mięsistych łodygach gigantyczne kwiaty o kobiecych piersiach, skrzydlate ko-ty, centaury — i w końcu pogr ążonemu w półświadomości Czamczy zdawało się, że on również posiadł cechy chmur, staj ąc się metamorficzn ą hybryd ą, jak gdyby przeobrażał się w osobę, której głowa znajdowała się obecnie między nogami, a nogi owijały się wokół jej długiej, patrycjuszowskiej szyi.Osoba ta nie miała jednak czasu na takie „podniebne dyrdymały”; w rzeczy samej nie była ona w ogóle zdolna do dyrdymalenia, ponieważ akurat chwilę wcześniej ujrzała wyłaniaj ąc ą się z kłębu chmur postać wspaniałej kobiety w nieokre-ślonym wieku. Miała na sobie brokatowe zielono-złote sari, w nosie diamentow ą ozdobę, a jej włosy pokrywał lakier chroni ący kunsztownie spiętrzone loki przed huraganowym wiatrem tych wysokości. Siedziała na swoim lataj ącym dywanie.— Rekha Merchant — przywitał j ą Gibril. — Nie mogłaś znaleźć drogi do nieba, czy co?Twarde słowa, jeżeli zauważymy, że s ą skierowane do nieżyj ącej kobiety! Co prawda usprawiedliwiać go może wstrz ąs i gwałtownie spadanie. . . Czamcza, zaciskaj ąc kurczowo nogi, zapytał, niczego nie rozumiej ąc:

— Co, u diabła?— Nie widzisz jej? — wrzasn ął Gibril. — Nie widzisz tego jej cholernego bucharskiego dywanu?— Nie, nie, Gibbo — szepnęła mu do ucha — nie spodziewaj się, że potwierdzi. Ukazuję się wył ącznie twoim oczom, może zaczynasz wariować, jak myślisz, ty namaqool, ty kawałku świńskiego łajna, mój ty kochany. Wraz ze śmierci ą przychodzi znowu szczerość, kochanie, a więc mogę cię nazywać prawdziwymi imionami.Chmurna Rekha wci ąż szeptała swoje cierpkie czułości, lecz Gibril ponownie krzykn ął do Czamczy: — Hej, Spoono? Widzisz j ą czy nie?Saladyn Czamcza niczego nie widział, niczego nie słyszał, nic nie powiedział.

Gibril sam stawił jej czoła.— Nie powinnaś była tego robić — upomniał j ą. — Nie, moja pani. Grzech.To okropna rzecz.— O tak, teraz możesz prawić mi kazania — zaśmiała się. — Pomyśleć, że ty właśnie masz tak duże poczucie moralności, dobre sobie. Przecież to ty mnie porzuciłeś. — Jej głos niemal wgryzał się w jego ucho — To przecież ty, O księżycu mej rozkoszy, skryłeś się za chmur ą. A ja w ciemności, oślepiona, stracona, dla miłości.Przeraził się.— Czego chcesz? Nie, lepiej nie mów, po prostu odejdź.— Kiedy byłeś chory, nie mogłam cię zobaczyć z obawy przed skandalem.Wiedziałeś, że nie mogę przyjść, że trzymam się z dala przez wzgl ąd na ciebie, ale później ukarałeś mnie, wykorzystuj ąc to jako wymówkę, by mnie porzucić jak chmurę, za któr ą się skryłeś. I na dobitkę jeszcze ona, ta kobieta z lodowców.Drań. A teraz skoro już umarłam, zapomniałam, co to przebaczenie. Przeklinam cię, mój Gibrilu, niech twoje życie będzie piekłem. Piekłem, ponieważ tam mnie posłałeś, niech cię diabli, ponieważ właśnie stamt ąd przyszedłeś, diable, i tam właśnie zmierzasz. Życzę ci, frajerze, cholernie przyjemnego spadania. — Przekleństwo Rekhi; a po nim wersety w języku, którego nie rozumiał, języku, który cały był wypełniony chropowatymi i sycz ącymi dźwiękami. Wydawało mu się, że wyłowił kilkakrotnie powtarzane imię Al-Lat. . . a zreszt ą, może nie. . .Mocniej uchwycił Czamczę; przebili się przez dno chmur.Pęd, poczucie pędu powróciło, gwiżdż ąc swoj ą przeraźliw ą melodię. Dach chmur uciekł w górę, a wodna podłoga przybliżyła się i powiększyła. Otworzyły im się oczy. Wrzask, ten sam wrzask, który trzepotał się we wnętrznościach Czamczy, gdy płyn ął poprzez niebo, wyrwał się z jego warg. Snop słonecznego światła przebił otwarte usta i wyzwolił się. Lecz już uprzednio Czamcza i Fariszta mieli styczność z przeobrażaj ącymi się chmurami i teraz na krawędziach ich postaci dawała się zauważyć jakaś płynność, brak wyrazistości i kiedy światło słoneczne uderzyło Czamczę, wydobyło z niego coś więcej niż hałas.— Leć — wrzasn ął Czamcza do Gibrila. — Zacznij latać, no już. — I dodał

następne polecenie, nie wiedz ąc, sk ąd się ono wzięło: — I śpiewaj.Jak nowe przychodzi na ten świat? Jak się rodzi?Z jakich poł ączeń i przekształceń powstaje?I jak może przetrwać, zważywszy jego ekstremalny i niebezpieczny charakter? Na jakie musi pójść kompromisy, jakich dokonać transakcji, jakich odstępstw od swojej tajemnej natury musi to coś się dopuścić, aby zapobiec działaniu nisz-czycielskiej brygady, anioła śmierci, gilotyny?

Czy narodziny s ą zawsze upadkiem?Czy aniołowie maj ą skrzydła? Czy ludzie potrafi ą latać?Kiedy pan Saladyn Czamcza wypadł z chmur nad kanałem La Manche, poczuł, że jego serce chwyta siła tak nieprzejednana, iż niemożliwe jest, aby umarł.Później, kiedy znowu stał mocno na ziemi, często zaczynał w to w ątpić i przypisywał swoj ą niewiarygodn ą podróż zaburzeniom w postrzeganiu wywołanym przez eksplozję, a swoje ocalenie, swoje i Gibrila, przypadkowi, ślepemu zbiego-wi okoliczności. Ale wtedy nie miał najmniejszej w ątpliwości; zawładnęła nim chęć życia, chęć ogromna, nieprzeparta, prawdziwa. Kiedy tylko to uczucie pojawiło się, na wstępie poinformowało go, że nie chce mieć nic wspólnego z jego żałosn ą osob ą, z tym na wpół zrekonstruowanym przypadkiem naśladownictwa i głosów. Uczucie to zamierzało pomin ąć go całkowicie i zaskoczony stwierdził, że poddaje się — ależ tak, oczywiście — jak gdyby był przygodnym widzem w swoim własnym umyśle, we własnym ciele, jako że miało ono swój pocz ątek w samym środku jego wnętrza i rozprzestrzeniało się na zewn ątrz, przekształcaj ąc krew w żelazo, zmieniaj ąc ciało w stal. Poza tym miał wrażenie, że ogarnęło go ono z zewn ątrz jak potężna dłoń i trzyma go w straszliwie mocnym, a zarazem nieznośnie delikatnym uścisku. Aż w końcu całkowicie zapanowało nad nim i mogło poruszać jego wargami, palcami, każd ą części ą ciała, i skoro już upewniło się co do swej całkowitej kontroli, rozszerzyło się poza jego ciało i złapało Gibrila Farisztę za j ądra.— Leć — rozkazało ono Gibrilowi. — Śpiewaj.Czamcza wci ąż trzymał Gibrila, kiedy ten zacz ął machać rękoma z pocz ątku wolno, a potem coraz szybciej i silniej. Trzepotał coraz mocniej, i kiedy tak trzepotał, wyrwała się z jego ust pieśń. I podobnie jak pieśń śpiewana przez ducha Rekhi Merchant, również i ta była w języku, którego nie znał, i do melodii, której nigdy przedtem nie słyszał. Gibril nigdy potem nie zaprzeczał, że był to cud; od-miennie niż Czamcza, który usiłował racjonalnie tłumaczyć, że nic takiego nigdy nie miało miejsca. Gibril nie przestawał mówić, że to gazal zesłana przez niebo, że przecież na nic by się zdało samo machanie rękoma bez pieśni i że gdyby nie to trzepotanie, to jak nic, bez w ątpienia uderzyliby w fale jak w skałę i po prostu rozpadliby się na kawałki przy zetknięciu z napięt ą tafl ą wody. Zamiast tego zaczęli zwalniać. Im bardziej stanowczo Gibril trzepotał i śpiewał, śpiewał

i trzepotał, tym wolniejsze stawało się ich spadanie, aż w końcu obydwaj zaczęli lekko kołysać się w powietrzu i z wolna opadać ku wodom kanału La Manche jak skrawki papieru na wietrze.Byli jedynymi, którzy przeżyli katastrofę, jedynymi pasażerami Bustana, którzy spadli z tej wysokości i żyli. Znaleziono ich na plaży, gdzie zostali wyrzuceni przez fale. Ten bardziej elokwentny z dwójki, ten w szkarłatnej koszuli, mówił

11

bardzo chaotycznie i przysięgał, że chodzili po wodzie i że fale przyniosły ich delikatnie do brzegu. Jednak ten drugi, do którego głowy przywarł jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nasi ąknięty wod ą melonik, zaprzeczył temu.— Boże, ależ nam się udało — powiedział. — Czegóż można jeszcze chcieć?Ja oczywiście znam prawdę. Obserwowałem cał ą tę historię. Na razie nie rosz-czę sobie żadnych pretensji do wszechobecności i wszechwiedzy, ale mam nadzieję, że na tyle mnie stać. Czamcza doprowadził do tego sił ą swojej woli, a Fariszta wykonał to, do czego został zmuszony.Który z nich był cudotwórc ą?Jakiego rodzaju była pieśń Fariszty — anielska czy szatańska?Kim jestem?Albo, powiedzmy: kto wie, jaka jest najlepsza pieśń?A oto pierwsze słowa, jakie wypowiedział Gibril Fariszta, budz ąc się na zasy-panej śniegiem plaży, gdzie przy jego uchu znalazło się coś tak nieprawdopodobnego jak rozgwiazda: — Narodziliśmy się ponownie, Spoono, ty i ja. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, szanowny panie, wszystkiego najlepszego.Na te słowa Saladyn Czamcza zakaszlał, bryzn ął ślin ą, otworzył oczy i jak przystało na noworodka, wybuchn ął niedorzecznym płaczem.2

Reinkarnacja zawsze była czymś bardzo ważnym dla Gibrila, który przez piętnaście lat był największ ą gwiazd ą w historii filmu hinduskiego i to nawet wtedy, kiedy pokonał „w sposób nadprzyrodzony” Wirusa Widmo, który, jak powszech-nie sadzono, miał położyć kres jego kontraktom. Tak więc, mimo że nikt tego nie zrobił, może ktoś powinien był przepowiedzieć, że kiedy Gibril wróci po chorobie do swoich zajęć, uda mu się odnieść, że tak powiem, sukces tam, gdzie wirusy przegrały i odejść ze swojego dotychczasowego życia na zawsze, w tygodniu, w którym przekroczył czterdziestkę, znikn ąć, pstryk! Taka sztuczka, rozpłyn ˛

ać się

w powietrzu.Pierwsi zauważyli jego nieobecność czterej pracownicy studia filmowego, wo-ż ący go w fotelu na kółkach. Na długo przed chorob ą wpadł on w nawyk prze-mieszczania się po terenie wielkiego studia filmowego D.W. Ramy z jednego planu na drugi przy pomocy tej grupy szybkich, zaufanych atletów, gdyż człowiek, który równocześnie przygotowuje się do jedenastu filmów, musi oszczędzać swoje siły. Posługuj ąc się skomplikowanym systemem kodowania, składaj ącym się z kresek, kółek i kropek, który to Gibril pamiętał jeszcze z dzieciństwa spędzonego wśród legendarnych gońców-roznosicieli obiadów w Bombaju (o których sze-rzej później), ci współcześni tragarze lektyk błyskawicznie i bezszelestnie prze-rzucali go z jednej roli do drugiej, dostarczaj ąc na miejsce równie punktualnie i niezawodnie, jak jego ojciec czynił to niegdyś z obiadami. Po każdych zdjęciach do filmu Gibril zwykle wskakiwał z powrotem na fotel, który jak najspiesz-niej pilotowano w kierunku następnego planu. Tam przebierano Gibrila w nowy kostium, ponownie charakteryzowano i dawano do ręki tekst następnej roli. —

Kariera aktora graj ącego w filmach dźwiękowych w Bombaju — powiedział on swojej lojalnej brygadzie tragarzy — podobna jest raczej do wyścigu foteli na kółkach z kilkoma przerwami przy punktach żywnościowych na trasie.Po wyjściu z choroby, po zwycięstwie nad Upiornym Wirusem, Tajemnicz ą Przypadłości ą, nad samym Zarazkiem, Gibril powrócił do pracy, pozwalaj ąc sobie na kręcenie jedynie siedmiu filmów jednocześnie. . . Aż tu nagle, po prostu pstryk-pstryk i nie ma go tam. Fotel na kółkach stał pusty pomiędzy wyciszo-nymi planami filmowymi; zniknięcie Fariszty odsłoniło całe bezguście dekoracji filmowych. Czwórka tragarzy usprawiedliwiała nieobecn ą gwiazdę filmow ą, kiedy wściekłe szefostwo wytwórni rzuciło się na nich.— Szanowny panie, on na pewno jest chory. Zawsze przecież słyn ął z punk-tualności, no nie, dlaczego od razu go krytykować, szefie — od czasu do czasu trzeba przymkn ąć oczy na kaprysy wielkich artystów. — Ta ich obrona Fariszty spowodowała, że stali się pierwszymi ofiarami jego tajemniczego zniknięcia, jego

— uwaga — hokus-pokus; wylano ich z roboty, cztery trzy dwa jeden, ekdum-jaldi, wydalono za bramy studia filmowego, a fotel na kółkach stał opuszczony 13

pod malowanymi palmami kokosowymi, to w tym, to w tamtym rogu trocinowej plaży, i pokrywał się kurzem.Gdzie był Gibril? Producenci filmowi, pozostawieni siedmiokroć własnemu losowi, wpadli w straszn ą panikę. Widzicie tam, na terenie klubu golfowego Wil-lingdon, gdzie obecnie jest jedynie dziewięć dołków, a z pozostałych dziewięciu drapacze chmur wyrastaj ą jak gigantyczne chwasty lub, powiedzmy, jak gro-bowce oznaczaj ące miejsce spoczynku rozdartych zwłok starego miasta — i tam, właśnie tam, widzicie urzędników wysokiego stopnia, którzy nie mog ą trafić do dołka z bliskiej odległości. A popatrzcie wyżej, kosmyki umęczonych włosów, wyrywanych z głów urzędników, opadaj ą w powietrzu z okien na najwyższych piętrach. Łatwo można było zrozumieć wzburzenie producentów filmowych, ponieważ w tym czasie, kiedy kurczyła się liczba widzów w salach kinowych, a sieć stacji telewizyjnych tworzyła melodramatyczne seriale historyczne i wykreowała współczesn ą krucjatę gospodyń domowych, tylko jedno jedyne nazwisko umieszczone w czołówce filmu wci ąż jeszcze było w stanie wykrzesać entuzjazm w wi-dzach, tylko ono dawało stuprocentow ą gwarancję na Super Przebój, Nadzwyczajn ą Sensację; a tu właściciel powyższego nazwiska odszedł, wszystko jedno czy w górę, w dół, czy też w bok, jednak niezaprzeczalnie i z cał ą pewności ą dał

drapaka. . .W całym mieście rozdzwoniły się telefony. Gliniarze, motocykliści, nurkowie i łodzie przeczesuj ące wody portu w poszukiwaniu jego ciała — nic nie przyniosło efektu. Zaczęły kr ążyć wspomnienia o zgasłej gwieździe. Na jednym z siedmiu dotkniętych niemoc ą planów pojawiła się panna Pimple Billimoria, bomba reklamuj ąca czerwony pieprz i inne przyprawy — żadna tam trzpiotowata panien-ka, lecz seksowna-łapy-przy-sobie-panowie paczuszka dynamitu — przyodziana w lekki płaszczyk, spod którego wyzierał negliż tancerki świ ątynnej, i ustawiła się pod powykręcanymi tekturowymi podobiznami kopuluj ących tantrycznych figur z okresu dynastii Czandelów, — i widz ąc, ze nie dojdzie do kręcenia jej najważ-niejszej sceny i że szansę na zasadniczy przełom w karierze zostały pogrzebane —

dała złośliwe przedstawienie wobec audytorium złożonego z inżynierów dźwięku i elektryków ćmi ących cyniczne cygaretki. W asyście porażonej nieszczęściem służ ącej, same łokcie, Pimple próbowała szyderczego tonu. — Boże, co za szczęście, słowo daję — krzyknęła. — Chodzi mi o to, że dziś mieliśmy kręcić tę scenę miłosn ą, fuj. Po prostu umierałam z obrzydzenia na sam ą myśl, że będę musiała zbliżyć się do tego tłuściocha o oddechu gnij ącego łajna karaluchów. — Tupnęła. Ciężkie jak dzwon bransolety na jej nogach zadzwoniły gwałtownie. — Ma diabelne szczęście, że filmy nie pachn ą, bo nie dostałby nawet roli trędowatego.I w tym miejscu monolog Pimple zamienił się w stek tak plugawych uwag, że wszyscy palacze cygaretek po raz pierwszy zaciekawili się i zaczęli z ożywieniem porównywać słownictwo Pimple z zasobem słów królowej bandytów, złej sławy Phulan Devi, której przekleństwa mogły topić lufy karabinów i w oka mgnieniu 14

zmieniały dziennikarskie ołówki w gumę.Wyjście Pimple. Płacz ąca, ocenzurowana, skrawek papieru na podłodze w pokoju cenzorów. Kiedy szła, imitacje diamentów spadły z jej pępka, pod ążaj ąc t ą sam ą drog ą co łzy. . . Co się jednak tyczy zgniłego oddechu Fariszty, Pimple nie była daleka od prawdy, co najwyżej wyraziła się o tej sprawie zbyt oględnie.Wyziewy Gibrila, te brunatnożółte chmury siarki chemicznej i siarki piekielnej w poł ączeniu z odstaj ącymi na czubku głowy kruczoczarnymi włosami zawsze nadawały mu wygl ąd raczej posępny, a nie świetlisty, i to pomimo archanielskiego imienia. Po zniknięciu Gibrila powiedziano, że odnalezienie go powinno być łatwe; wszystko, czego trzeba, to w miarę przyzwoity nos. . . i w tydzień po jego zniknięciu pewne wyjście, o wiele bardziej tragiczne od wyjścia Pimple Billimorii, przyczyniło się w dużym stopniu do wzmocnienia tego piekielnego odoru, który zacz ął na dobre wi ązać się z tym tak mile dot ąd pachn ącym imieniem. Można powiedzieć, że zszedł on z ekranu na ziemię, a w życiu, w przeciwieństwie do świata filmu, ludzie potrafi ą rozpoznać, czy coś śmierdzi, czy nie.Jesteśmy istotami powietrznymi, Nasze korzenie w marzeniach I chmurach, odrodzeni W locie. Do widzenia. Ten enigmatyczny liścik znalazła policja w luk-susowym mieszkaniu Gibrila Fariszty mieszcz ącym się na ostatnim piętrze drapacza chmur Everest Vilas na wzgórzu Malabar, czyli w najwyżej położonym mieszkaniu najwyższego budynku zbudowanego w najwyższym punkcie miasta.Było to jedno z tych mieszkań, z których rozpościera się rozległy widok w dwóch kierunkach — albo na wieczorny naszyjnik alei Marinę Drive albo też aż do Scandal Point i na morze. Liścik pozwolił nagłówkom w gazetach na kontynuację ich dotychczasowej kakofonii. FARISZTA NURKUJE POD ZIEMI Ę — takie zdanie wyrażał w cokolwiek makabryczny sposób „Blitz”, natomiast Pracowita Pszczół-ka w „The Daily” wolała tytuł GIBRIL WYLATUJE Z KLATKI. Ukazało się wiele fotografii tej legendarnej rezydencji, w której francuscy dekoratorzy wnętrz legitymuj ący się listami polecaj ącymi od Rezy Pahlawiego — w dowód uznania za pracę, jak ą wykonali w Persepolis — zużyli milion dolarów na odtworzenie na tych wysokościach czegoś, co przypominałoby namiot Beduina. Jeszcze jedna iluzja zniszczona poprzez jego nieobecność; GIBRIL ZWIJA OBÓZ, krzyczały nagłówki, lecz dok ąd się udał — czy w górę, w dół, czy też w bok? Nikt nie wiedział. W tej metropolii języków i szeptów nawet najbardziej czułe uszy nie mogły wyłowić niczego wiarygodnego. Jednak pani Rekha Merchant, czytaj ąc wszystkie gazety, słuchaj ąc wszystkich stacji radiowych i wlepiaj ąc oczy we wszystkie programy telewizji Doordarshan, wyłuskała coś z listu Fariszty, znalazła w nim nutę, która uszła uwagi innych. Zabrała swoje dwie córki i syna na spacer po dachu wieżowca, w którym mieszkała. A nazywał się on Everest Vilas.Jego s ąsiadka; prawdę powiedziawszy, z mieszkania bezpośrednio pod nim.Jego s ąsiadka i przyjaciółka; dlaczego mam powiedzieć coś więcej? Oczywiście skandalizuj ące i złośliwe czasopisma tego miasta zapełniły kolumny insynuacjami 15

i aluzjami. Po co teraz szargać jej reputację?Kim była? Bogat ą kobiet ą, z pewności ą, ale ostatecznie wieżowiec Everest Vilas to nie to samo co kamienica czynszowa w Kuria, no nie? Mężatk ą, tak mój panie, od trzynastu lat, a jej m ąż — grub ą ryb ą w łożyskach kulkowych. Niezależ-na, jej salony wystawowe z dywanami i antykami, pierwszorzędnie usytuowane w Kolaba, prosperowały świetnie. Swoje dywany nazywała klimami i klinami, natomiast starożytne rękodzieła — amtykami. Tak, a do tego była piękna, miała tę surow ą i gładk ą urodę rozcieńczonych mieszkanek podniebnych apartamentów miasta, przy tym kształt jej ciała, skóra i postawa — wszystko świadczyło o tym, że od dawna już nie miała nic wspólnego z t ą zubożał ą, ciężk ą i roj ąc ą się od stworzeń ziemi ą. Wszyscy byli zgodni co do tego, że ma ona siln ą osobowość, pije jak smok z kryształów Lalique’a, bezwstydnie wiesza swój kapelusz na rzeź-bie Nataradży z epoki Czolów, wie, czego chce i w jaki sposób błyskawicznie to zdobyć. Jej m ąż był szar ą, bogat ą mysz ą, maszyn ą do robienia pieniędzy. Rekha Merchant przeczytała pożegnalny komunikat Gibrila Fariszty zamieszczony w gazetach, napisała własny list, zebrała dzieci, przywołała windę i ruszyła w stronę niebios (jedno piętro) na spotkanie wybranemu przez siebie przeznaczeniu.„Wiele lat temu — pisała w liście. — Wyszłam za m ąż z tchórzostwa. Teraz wreszcie robię coś odważnego.” Na swoim łóżku pozostawiła gazetę ze słowami Gibrila podkreślonymi na czerwono trzema nierównymi grubymi liniami, z których jedna przebiła stronę na wylot. Oczywistym więc było, że pisz ące o tym brukowe gazety cieszyły się dużym powodzeniem i że nagłówki nie mówiły o niczym innym, jak o SKOKU USYCHAJ ĄCEJ Z MIŁO ŚCI ŚLICZNOTKI i o tym, że ZROZPACZONA PI ĘKNO Ś Ć DECYDUJE SI Ę NA OSTATNI SKOK. Ale: Być może ona również miała fioła na punkcie powtórnych narodzin, a Gibril, nie rozumiej ąc potwornej potęgi metafory, zalecił lot. Aby ponownie się narodzić, najpierw musisz, a przecież była podniebnym stworzeniem, piła szampana z Lalique’a, żyła na Evereście i jeden z współmieszkańców Olimpu odleciał; a jeżeli on to potrafił, to i ona mogła ulecieć na skrzydłach i powrócić do marzeń.Nie udało jej się. Pasztun, zatrudniony jako portier w drapaczu Everest Vilas, oferował światu następuj ące pozbawione upiększeń świadectwo: — Akurat chodziłem sobie, a tu tutaj, tylko po terenie należ ącym do budynku, kiedy nagle usłyszałem głuche uderzenie, łuppp. Odwróciłem się. Było to ciało najstarszej córki. Miała kompletnie zmiażdżon ą czaszkę. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że spada chłopiec, a za nim młodsza dziewczynka. Co tu dużo gadać, o mały włos nie spadli wprost na mnie. Zakryłem usta ręk ą i podszedłem do nich. Młodsza dziewczynka cicho jęczała. Wtedy jeszcze raz spojrzałem w górę i zobaczyłem, że spada pani. Jej sari wydęło się jak balon, włosy miała rozpuszczone. Przenio-słem wzrok na coś innego, gdyż spadała i patrzenie byłoby nietaktem.16

Rekha i jej dzieci spadły z Everestu; żadne z nich nie ocalało. Win ą po cichu obci ążono Gibrila. Cóż, na jakiś czas pozostawmy ów w ątek w tym miejscu.Aha, nie zapomnijcie: on j ą widział po tym, jak umarła. Widział j ą kilka razy.Sporo czasu minęło, zanim ludzie zrozumieli, jak bardzo chory był ten wielki człowiek. Gibril gwiazda. Gibril, który pokonał Nieznan ą Chorobę. Gibril, który obawiał się snu.Po odejściu Gibrila wszechobecne dot ąd podobizny jego twarzy zaczęły nisz-czeć. Z jaskrawych, gigantycznych tablic reklamowych, z których roztaczał opiekę nad przechodniami, zaczęły opadać kawałkami i rozsypywać się jego leniwe powieki. Opadały coraz bardziej, aż tęczówki zaczęły wygl ądać jak dwa księżyce poprzecinane chmurami lub miękkimi ostrzami długich rzęs. Ostatecznie powieki odpadły, powoduj ąc, że namalowane oczy Gibrila stały się wyłupiaste i szalone.W pobliżu pałaców przemysłu filmowego w Bombaju zauważono, że olbrzymie tekturowe podobizny Gibrila marniej ą coraz bardziej i przekrzywiaj ą się. Bezwładnie zwisaj ąc na podtrzymuj ących je szafotach, potraciły ręce, konaj ą, trzaskaj ą im karki. Portrety z okładek czasopism nabrały śmiertelnej bladości, a oczy stały się jakieś zapadłe i puste. W końcu podobizny Gibrila po prostu zniknęły z zadrukowanych stron, tak że błyszcz ące okładki leż ących w kioskach czasopism takich jak „Celebrity”, „Society” i „Illustrated Weekly”, nagle zgasły, zaś ich właściciele z miejsca wylali drukarzy z pracy, a winę zwalili na zł ą jakość farby drukarskiej. Nawet na samym srebrnym ekranie, hen, wysoko ponad głowami jego wyznawców siedz ących w ciemności, ta, zdawałoby się, nieśmiertelna fizjonomia zaczęła rozkładać się, pokrywać pęcherzami i bledn ąc; z niewyjaśnio-nych powodów aparaty projekcyjne zacinały się za każdym razem, kiedy wyświe-tlały Gibrila. Jego filmy zatrzymywały się, a żar z lamp niesprawnych projekto-rów wypalał ich celuloidow ą pamięć: gwiazda przekształcona w supernow ą, przy czym spalaj ący wszystko ogień szedł od środka na zewn ątrz, i jak należało się spodziewać, wychodził z jego ust.Była to śmierć Boga lub coś bardzo do niej podobnego. Czyż ta olbrzymich rozmiarów twarz, zawieszona nad swoimi wielbicielami w sztucznej kinemato-graficznej nocy, nie świeciła jak twarz jakiejś boskiej istoty, stoj ącej gdzieś co najmniej pośrodku między światem śmiertelników a światem bogów? Jednak bliżej nieśmiertelnych, dowodziłoby wielu, ponieważ większość jedynej w swoim rodzaju kariery Gibril spędził wcielaj ąc się z absolutnym przekonaniem w niezliczone bóstwa Półwyspu Indyjskiego, graj ąc w filmach popularnego gatunku, zwanego „teologicznym”. Magia jego osobowości polegała między innymi na tym, że udawało mu się przekraczać bariery religijne bez obrażania religijnych uczuć. Błękitnoskóry, jako Kryszna, tańczył z fletem w dłoni wśród pięknych gopi i ich krów o ciężkich wymionach. To znowu prowadził medytacje nad cierpieniem 17

ludzkości (jako Gautama Budda), skupiony i pogodny z dłońmi odwróconymi ku górze, siedz ąc pod rozlatuj ącym się drzewem bodhi w studiu filmowym. W tych rzadkich razach, kiedy zstępował z nieba, nigdy nie posun ął się za daleko, graj ąc na przykład zarówno Wielkiego Mogoła, jak i jego znanego z przebiegłości ministra w klasycznym utworze „Akbar i Birbal”. Przez ponad półtorej dekady reprezentował on najbardziej możliw ą do przyjęcia i łatwo rozpoznawaln ą twarz Najwyższego wobec setek milionów wiernych tego kraju, w którym po dziś dzień liczba ludności jest niemal trzykrotnie większa od liczby bóstw. Dla wielu wielbicieli jego talentu granica między aktorem i granymi przez niego rolami przestała istnieć dawno, dawno temu.No tak, wielbiciele, a co dalej? A sam Gibril?Ta twarz. W prawdziwym życiu, w otoczeniu śmiertelników, kurczyła się do normalnych rozmiarów i jawiła się wcale nie jako twarz gwiazdora. Te opadaj ą-ce powieki mogły nadawać mu wygl ąd człowieka zmęczonego. Było również coś pospolitego w kształcie jego nosa, usta miał zbyt mięsiste, aby mogły świadczyć o sile charakteru, długie uszy wygl ądały jak karbowany owoc drzewa chlebowe-go. Najbardziej pospolita z twarzy, najbardziej zmysłowa z g ąb. W której zreszt ą dało się ostatnio zauważyć bruzdy wyryte przez jego prawie śmierteln ą chorobę.A jednak pomimo pospolitości i ogólnego osłabienia była to twarz w niewytłu-maczalny sposób wpl ątana w świętość, doskonałość, łaskę: Boże rzeczy. Cóż, s ą gusta i guściki, i tyle. W każdym razie zgodzicie się chyba, że taki aktor (zreszt ą którykolwiek aktor, być może nawet Czamcza, przede wszystkim Czamcza) nie był specjalnie zdziwiony czyimś bzikiem na punkcie awatarów, takich jak wcielenia Wisznu po wielkiej metamorfozie. Powtórne narodziny: to również Boża rzecz.Lub, ale, z drugiej strony. . . nie zawsze. Istniej ą również świeckie reinkarnacje. Gibril Fariszta urodził się jako Ismail Nadżmuddin w miejscowości Puna, to jest w brytyjskiej Punie — na bezwartościowych obrzeżach imperium na długo zanim stała się Pune w prowincji Radźniś itd. (Tak, Pune, Wadodara, Mumbaj; nawet miasta mog ą obecnie przybierać artystyczne pseudonimy). Ismail — po dziecku, które uczestniczyło w ofierze Ibrahima, a Nadżmuddin, gdyż oznacza to gwiazdę wiary; przybieraj ąc sobie imię anioła, Gibril rezygnował więc z całkiem świetnego miana.Później, kiedy Bustan znalazł się w mocy porywaczy i pasażerowie, boj ąc się o swoj ą przyszłość, uciekali każdy w swoj ą przeszłość, Gibril zwierzył się Saladynowi Czamczy, że wybieraj ąc ten pseudonim, składał niejako hołd pamięci zmarłej matki, — mojej drogiej mamusi, Spoono, mojej jednej i jedynej Mamy, bo przecież kto inny jak nie ona rozpocz ął tę cał ą anielsk ą sprawę, nazwała mnie swoim aniołem, fariszt ˛

a, ponieważ najwyraźniej byłem wprost cholernie rozkosz-18

ny, wierz mi lub nie, byłem diabelnie dobrym dzieckiem.Puna nie mogła zatrzymać go długo: jeszcze w dzieciństwie został zabrany do tego pieskiego miasta, była to jego pierwsza migracja; ojciec znalazł pracę wśród szybkonogich prekursorów przyszłych kwartetów pchaj ących fotele na kółkach, czyli wśród gońców roznosz ących obiady — inaczej dabbawallów Bombaju. A w wieku lat trzynastu Ismail-anioł poszedł w ślady ojca.Gibril, zakładnik na pokładzie samolotu, numer rejsu AI-420, pogr ążył się w wybaczalne wychwalanie przeszłości. Utkwiwszy błyszcz ący wzrok w Czamczy, wyjaśniał tajemnice szyfru używanego przez gońców; czarna swastyka, czerwone koło, żółta kreska, kropka — ten niesamowity kod, według którego dwa tysi ące dabbawallów roznosiło codziennie ponad sto tysięcy naczyń z obiadami, a w zły dzień, Spoono, może piętnaście trafiało pod zły adres. Większość z nas nie umiała pisać, czytać, ale znaki te były naszym tajnym językiem.Bustan kr ążył wokół Londynu, ludzie z automatami patrolowali przejścia pomiędzy siedzeniami, a światła w kabinach pasażerskich zgaszono. Jednak energia Gibrila rozświetlała mrok. Na przybrudzonym ekranie, na którym nieco wcześniej niezmordowany bohater filmów wyświetlanych na pokładzie, Walter Matthau, po raz kolejny wpadł na wszechobecn ą w tych filmach Goldie Hawn, poruszały się cienie spowodowane przez nostalgię zakładników, a pośród nich najwyraźniej zarysowany był ten dorastaj ący chudonogi Ismail Nadżmuddin, mamusiny anioł

w czapce Gandhiego, roznosz ący biegiem drugie śniadanie po mieście. Młody dabbawalla zwinnie i lekko przebiegał przez tłum cieni, ponieważ przywykł do takich warunków. „Pomyśl, Spoono, wyobraź sobie, trzydzieści cztery obiady na długiej drewnianej tacy na twojej głowie i kiedy podmiejski poci ąg zatrzymuje się, masz może jedn ą minutę na wepchnięcie się do wagonu i wyskoczenie przy pełnej prędkości, jar, a wszędzie wokół ciężarówki autobusy skutery rowery i co tam jeszcze, raz dwa, raz dwa, obiad tutaj, obiad tam, dabba musz ą się przedostać, a w porze monsunu pobiec wzdłuż linii kolejowej, kiedy poci ąg ma awarię, lub brn ąć po pas w wodzie jak ąś tam zatopion ą ulic ą. Poza tym były w mieście gangi.Salad baba, naprawdę, zorganizowane gangi złodziei kradn ących gońcom paczki z jedzeniem. Jest to głodne miasto, dziecino, co tu dużo mówić, ale potrafiliśmy dać sobie z nimi radę, byliśmy wszędzie, wiedzieliśmy wszystko, żadni złodzieje nie mogli ujść nie zauważeni przez nas. Nigdy nie chodziliśmy na żadn ą policję, sami pilnowaliśmy naszych spraw.”Wieczorem ojciec i syn wracali wyczerpani do swojego szałasu przy pasie startowym partu lotniczego Santacruz i kiedy matka Ismaila widziała powrót syna oświetlonego zieleni ą czerwieni ą żółci ą odlatuj ących odrzutowców pasażerskich, zazwyczaj mówiła, że już samo spojrzenie na niego jest spełnieniem wszystkich jej marzeń; był to pierwszy sygnał nadzwyczajnych właściwości Gibrila, ponieważ wydaje się, że od samego pocz ątku potrafił spełniać najskrytsze marzenia ludzi, nie maj ąc pojęcia, w jaki sposób to robi. Zdaje się, że jego ojcu, Nadżmud-19

dinowi Seniorowi, nigdy nie przeszkadzało, że żona zainteresowana jest jedynie synem, ani to, że co wieczór stopy syna otrzymuj ą swoj ą porcję uścisków, natomiast nogi ojca musz ą się obyć bez głaskania. Syn jest błogosławieństwem, a błogosławieństwo wymaga wdzięczności ze strony obdarowanego.Naima Nadżmuddin umarła. Potr ącił j ą autobus i na tym koniec. Gibrila nie było w pobliżu i nie mógł odpowiedzieć na jej modlitwy o życie. Ani ojciec, ani syn nie rozmawiali o swoim żalu. W milczeniu, jak gdyby należało to do zwyczaju i jak gdyby oczekiwano tego od nich, zagłuszyli swój smutek dodatkow ą prac ą, podejmuj ąc nie wypowiedziany wyścig, a to kto potrafi unieść najwięcej pudełek z jedzeniem na głowie, a to kto zdoła uzyskać najwięcej nowych kontrak-tów w ci ągu miesi ąca, a to znowu kto potrafi szybciej pobiec, jak gdyby większy wysiłek miał oznaczać większ ą miłość. Kiedy Ismail Nadżmuddin patrzył wieczorami na ojca, na którego skroniach i karku widać było nabrzmiałe żyły, zaczynał

rozumieć, jak wielk ą urazę ten doń czuje i jak ważne jest dla ojca pokonanie sy-na, a tym samym odzyskanie zagarniętego przez syna prawa pierwszeństwa do uczuć zmarłej żony. Skoro już młody człowiek zdał sobie z tego sprawę, zwolnił tempo, lecz ojciec nadal pozostawał niestrudzony w swoim zapale i wkrótce otrzymał awans; nie był już prostym gońcem, lecz jednym z organizuj ących i kontroluj ących. Kiedy Gibril ukończył dziewiętnaście lat, Nadżmuddin Senior został członkiem konfraterni gońców-roznosicieli obiadów w Bombaju, słynnego Bombajskiego Zwi ązku Roznosicieli Obiadów, a kiedy miał lat dwadzieścia, jego ojciec umarł, zatrzymany nagle w biegu przez udar, który prawie rozsadził go na kawałki.— On po prostu sam wpędził się do grobu — powiedział Sekretarz Generalny cechu, nie kto inny jak sam Babasaheb Mhatre — ten biedny skurczybyk, po prostu zabrakło mu pary.Lecz osierocony chłopak wiedział lepiej. Wiedział, że ojciec w końcu pobiegł

na tyle zdecydowanie i na tyle daleko, aby pokonać granicę pomiędzy dwoma światami i że po prostu uciekł z własnej skóry wprost w ramiona żony, której udowodnił raz na zawsze wyższość swojej miłości. Niektórzy wędrowcy s ą szczęśliwi, kiedy mog ą wyruszyć w drogę.Babasaheb Mhatre siedział w niebieskim biurze za zielonymi drzwiami nad labiryntem bazaru; postać budz ąca lęk, otyły jak Budda, był jedn ą z sił napędo-wych metropolii. Posiadał nadprzyrodzony dar, który polegał na tym, że pozostaj ąc w absolutnym bezruchu i nie wysuwaj ąc nosa ze swojego pokoju, był ważn ą osob ą i spotykał się ze wszystkimi tymi, którzy liczyli się w Bombaju. Następnego dnia po tym, jak ojciec młodego Ismaila przebył biegiem granicę, aby spotkać się z Naim ą, Babasaheb wezwał młodego człowieka przed swoje oblicze. — No i?Zdenerwowany czy nie? — Odpowiedź, ze spuszczonymi oczyma: — Dziękuję, szanowny panie Babadżi, czuję się nieźle. — Zamknij się — powiedział Babasaheb Mhatre — Od dziś mieszkasz u mnie. — Ale, ale Babadżi. . . — Żadnego 20

„ale”. Już powiedziałem żonie. Skończyłem. — Przepraszam bardzo, ale jak co dlaczego? — Koniec dyskusji, rzekłem.Gibril Fariszta nigdy nie dowiedział się, dlaczego Babasaheb postanowił uli-tować się nad nim i wyrwał go z beznadziei ulic, ale po pewnym czasie zacz ął

się domyślać. Chuda pani Mhatre wygl ądała przy swoim Babasehebie jak ołó-wek przy gumce, jednak była tak przepełniona miłości ą macierzyńsk ą, że w rzeczy samej powinna być pękata jak balon. Kiedy Baba wracał do domu, własnymi rękoma wkładała mu słodycze do ust, a wieczorami gość, który przybył do ich domu, mógł usłyszeć, jak wielki Sekretarz Generalny BZRO (Bombajskiego Zwi ązku Roznosicieli Obiadów) protestuje: — Zostaw mnie żono, potrafię sam się rozebrać. — Podczas śniadania karmiła Mhatre’a łyżk ą, podaj ąc mu duże porcje mleka ze słodow ą kaszk ą, a przed wyjściem do pracy czesała go. Byli mał-żeństwem bezdzietnym i młody zrozumiał, że Babasaheb chciał, by razem z nim znosił owo brzemię. Zastanawiaj ące było jednak to, że pani Mhatre nie uważała młodego człowieka za dziecko. — Rozumiesz chyba, on jest dorosłym facetem

— odpowiedziała mężowi, kiedy nieszczęsny Mhatre błagał j ą: — Dajże chłopcu tę cholern ą łyżkę mleka z kaszk ą słodow ą. — Tak, on będzie dorosłym facetem, musimy zrobić z niego prawdziwego mężczyznę, mężu, żadnego rozpieszczania.— Wobec tego, do jasnej cholery — wybuchn ął Babasaheb — dlaczego mnie tak traktujesz? — Pani Mhatre rozpłakała się. — Ależ ty jesteś dla mnie wszystkim

— szlochała. — Jesteś dla mnie ojcem, kochankiem i dzieckiem. Jesteś moim panem i moim oseskiem. Jeżeli czymś wywołałam twoje niezadowolenie, to nie ma dla mnie życia.Uznaj ąc się za pokonanego, Babasaheb Mhatre przełkn ął porcję kaszki.Był dobrotliwym człowiekiem, co starał się zamaskować obelgami i krzykiem. Aby pocieszyć osieroconego chłopca często mówił mu w niebieskim biurze o filozofii powtórnych urodzin, przekonuj ąc go, że jego rodzice na pewno zostali już wyznaczeni do ponownego przyjścia w którymś zak ątku świata, chyba że ich życie było tak święte, że zdołali uzyskać stan ostatecznej łaski. Tak więc to Mhatre pchn ął Farisztę w tę cał ą reinkarnację i zreszt ą nie tylko reinkarnację.Babasaheb amatorsko zajmował się spiritualizmem, był specjalist ą od wiruj ących stolików i od pakowania duchów w szklanki. — Jednak zarzuciłem to — zwierzał

się swojemu pupilowi, stosuj ąc przy tym odpowiednio melodramatyczn ą modu-lację głosu, pomagaj ąc sobie gestem, skrzywieniem twarzy — po seansie, który napędził mi cholernego stracha.— Kiedyś — opowiadał Mhatre — w szklance zjawił się duch bardzo chętny do współpracy, taki zbyt przyjazny facet, rozumiesz, więc postanowiłem zadać mu kilka z tych ważnych pytań. Czy istnieje Bóg, i wtedy ta szklanka, która dot ąd kr ążyła ochoczo jak b ąk, nagle zatrzymała się w miejscu na środku stołu i ani drgnęła, kompletna klapa, kaput. Wobec tego powiedziałem sobie, dobrze, jeżeli nie chcesz odpowiedzieć na to pytanie, masz tu w zamian inne, i bez wahania 21

pytam: Czy istnieje Szatan. Momentalnie szklanka — baprebap! — zaczęła trz ąść się — nie do wiary! — najpierw wolno wolniutko, a później szybciej i szybciej, jak galaretka, aż w końcu skoczyła, niestety, ai — hai! — ze stołu, w powietrze, spadła bokiem i — łups! — rozbiła się na tysi ąc i jeden kawałków. Wierz albo nie wierz — Babasaheb Mhatre powiedział swojemu podopiecznemu. — Lecz od razu nauczyło mnie to rozumu: nie wścibiaj nosa, Mhatre, w coś, czego nie rozumiesz.Opowiadanie to wywarło wielki wpływ na świadomość młodego słuchacza, ponieważ jeszcze przed śmierci ą matki doszedł do przekonania, że istnieje świat nadprzyrodzony. Czasami, kiedy rozgl ądał się wokół siebie, szczególnie w popołudniowym upale, kiedy powietrze stawało się lepkie, widzialny świat, jego rysy oraz mieszkańcy i rzeczy, zdawały się wystawać z oceanu powietrza jak las gor ących gór lodowych i miał wrażenie, że wszystko trwa tam na dole pod powierzchni ą gęstej atmosfery: ludzie, samochody, psy, filmowe tablice ogłoszeniowe, drzewa, dziewięć dziesi ątych ich prawdziwej natury ukryte jest przed okiem ludzkim.Mrugał i złudzenie znikało, lecz jego znaczenia nigdy nie zapomniał. Dorastał

wierz ąc w Boga, anioły, diabły, złe demony, dżinny — wszystko to było dla niego tak oczywiste Jak zaprzęgi wołów czy słupy oświetleniowe i zastanawiało go, że nigdy nie widział ducha; przypisywał to wręcz jakiejś wadzie wzroku. Nieraz marzył o znalezieniu czarodziejskiego optyka, u którego kupiłby parę zielonych okularów, które skorygowałyby jego pożałowania godn ą krótkowzroczność: byłby wtedy w stanie przebijać wzrokiem gęsty, oślepiaj ący ocean powietrza i sięgn ąć do bajecznego świata pod nim.Od swojej matki, Naimy Nadżmuddin, słyszał wiele opowiadań o Proroku i nawet jeżeli do jej wersji wkradły się jakieś nieścisłości, nie zależało mu, by wiedzieć, na czym one polegały. „Co za człowiek! — myślał. — Jakiż to anioł

nie zechciałby przemawiać do niego?” Czasami jednak łapał się na formułowaniu bluźnierczych myśli, jak na przykład wtedy, kiedy zasypiał na swoim składanym łóżku w domu państwa Mhatre i gdy zupełnie bez udziału woli wyobraźnia zaczynała porównywać jego własn ą sytuację z położeniem Proroka w chwili, kiedy ten — osierocony i bez pieniędzy — świetnie poprowadził interesy bogatej wdowy Chadidży jako jej administrator i w końcu został jej mężem. Zapadaj ąc w sen, Gibril ujrzał siebie siedz ącego na pokrytym płatkami róży podwyższeniu, uśmiechaj ącego się płochliwie pod zasłon ą palia, któr ą z przesadnej skromności zasłonił

twarz, a jego świeżo poślubiony m ąż, Babasaheb Mhatre, z czułości ą wyci ąga rę-kę, chc ąc odchylić tkaninę, i poszukuje rysy, wpatruj ąc się w lustro, które umieścił

na jego kolanach. Pod wpływem tego snu o poślubieniu Babasaheba obudził się, cały czerwony ze wstydu, a później zacz ął się martwić, czy aby nie ma w jego charakterze czegoś nieczystego, co może wywoływać takie przerażaj ące wizje.Przeważnie jednak nie traktował wiary jako pierwszoplanowej sprawy; była to ta część jego osobowości, której należałoby poświęcić tyle samo uwagi, co 22

pozostałym. Kiedy Babasaheb Mhatre wzi ął go do swojego domu, umocniło to młodego człowieka w przekonaniu, że nie jest sam na świecie, że coś opiekuje się nim. Nie był więc całkowicie zaskoczony, kiedy w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin Babasaheb wezwał go rankiem do niebieskiego biura i zwolnił z pracy, nie chc ąc nawet przygotować się do wysłuchania błagań.— Jesteś wylany. — Mhatre powiedział z naciskiem, cały promieniej ąc. —

Zdegradowany, pozbawiony pozycji. Od-prawiony.— Ależ wuju.— Zamknij gębę.I wówczas Babasaheb dał osieroconemu chłopcu największy prezent w jego życiu, informuj ąc go, że zaaranżowano mu już przesłuchanie w studiu legendarnego magnata filmowego, pana D. W. Ramy.— To tylko dla zachowania pozorów — powiedział Babasaheb. — Rama jest moim dobrym znajomym i mówiliśmy już o tym. Mała rólka na pocz ątek, później wszystko należy do ciebie. Teraz znikaj mi z oczu i przestań stroić miny człowieka pokornego, to naprawdę nie przystoi.— Ależ wuju.— Chłopiec taki jak ty jest naprawdę, psiakrew, za przystojny, aby całe życie nosić obiady na głowie. Zbieraj się teraz, idź, b ądź tym aktorem filmów homo-seksualnych. Ja wylałem cię z roboty pięć minut temu.— Ależ wuju.— Skończyłem. Podziękuj swojej szczęśliwej gwieździe.Został Gibrilem Fariszt ą, lecz przez pierwsze cztery lata nie był gwiazd ą, ter-minował w całym szeregu małych hałaśliwych rólek komicznych. Pozostał spokojny, nie spieszył się, jak gdyby widział przyszłość, a jego pozorny brak ambicji czynił go w tym najbardziej samolubnym z przemysłów czymś w rodzaju outside-ra. S ądzono jednak, że jest głupi lub zarozumiały albo też, że ł ączy w sobie obie te cechy. W ci ągu tych czterech samotnych lat nie pocałował w usta ani jednej kobiety.Na ekranie grał kozła ofiarnego, idiotę, który kocha piękn ą kobietę i nie rozumie, że choćby minęło tysi ąc lat, owa kobieta nie rzuci się na niego, pociesz-nego wuja, ubogiego krewnego, nieudolnego oszusta, wiejskiego głupka, służ ącego. Żadna z tych postaci nie miała prawa do sceny miłosnej. Niewiasty kopały go, policzkowały, dokuczały mu, śmiały się z niego, lecz nie śpiewały mu, nie tańczyły wokół niego ani też nie patrzyły na niego z oczyma pełnymi filmowej miłości. Poza ekranem mieszkał sam w dwóch pustych pokojach w pobliżu studia filmowego i próbował wyobrazić sobie, jak wygl ąda naga kobieta. Aby oderwać myśli od tematu miłości i poż ądania, studiował, staj ąc się samoukiem pożeraj ącym ksi ążki, pochłaniaj ącym metamorficzne mity Grecji i Rzymu, historie po-23

szczególnych wcieleń Jowisza, chłopca, który zamienił się w kwiat, kobietę-pa-j ąka, Kirke, wszystko. A również teozofię Annie Besant i teorię jednolitego po-la, i epizod szatańskich wersetów na pocz ątku kariery Proroka, i politykę haremu Mahometa po jego triumfalnym powrocie do Mekki, i surrealizm gazet, w których motyle mogły wlatywać w usta młodych dziewcz ąt, prosz ąc, by je zjeść, i dzieci rodziły się bez twarzy, i młodym chłopcom śniły się z przerażaj ąc ą dokładności ą wcześniejsze inkarnacje, na przykład w złotej twierdzy wypełnionej drogocenny-mi kamieniami. Uzupełniał luki w swojej niewiedzy Bóg jeden wie czym, lecz nad ranem podczas owych bezsennych nocy nie mógł zaprzeczyć, że wypełniony jest czymś, czego nigdy nie używał, a nawet pojęcia nie miał, jak zacz ąć używać, to jest — miłości ą. W snach prześladowały go kobiety, których słodycz i uroda były wprost nie do zniesienia, wolał więc nie zasypiać i zmuszał się do powta-rzania jakiejś tam części swojej ogólnej wiedzy, aby wymazać ze świadomości tragiczne przeświadczenie, że oto obdarzony jest większ ą niż zazwyczaj zdolno-ści ą do miłości, a na całej ziemi nie ma ani jednej osoby, której mógłby to uczucie ofiarować.Jego wielka szansa pojawiła się wraz z nadejściem filmów teologicznych.Skoro sprawdził się przepis na filmy oparte na puranach, a zawieraj ące tę sam ą co zwykle mieszaninę pieśni, tańców, pociesznych wujów itd. . . każde bóstwo w panteonie miało szansę zostać gwiazd ą. Kiedy D.W. Rama zaplanował kręcenie filmu opartego na historii Ganeszi, okazało się, że żaden z ówczesnej czołówki najbardziej kasowych aktorów nie ma chęci spędzić całego filmu ukryty w głowie słonia. Gibril skwapliwie skorzystał z tej okazji. Tak powstał jego pierwszy przebój filmowy, „Pan zastępów”, i nagle Gibril stał się supergwiazd ą, co prawda z nałożonymi słoniowymi uszami i tr ąb ą. Po nakręceniu sześciu filmów, w których grał tego boga o głowie słonia, pozwolono mu zdj ąć grub ą szar ą maskę z tr ąb ą-

-wahadłem, a w zamian mógł przypi ąć sobie długi owłosiony ogon, wcielaj ąc się w Hanumana, króla małp, bohatera serii filmów przygodowych, które bliższe były tanim serialom telewizyjnym pochodz ącym z Hong-Kongu niż Ramajanie. Seria tych filmów okazała się tak popularna, że małpie ogony stały się strojem obowi ązuj ącym dla młodych miejskich elegantów na przyjęciach, na które przychodziły dziewczyny ze szkół klasztornych, zwane „petardami” ze względu na ochoczość do natychmiastowego puszczenia się.Po Hanumanie nic już nie mogło zatrzymać kariery Gibrila, a fenomenalny sukces, jaki odniósł, pogłębił jego wiarę w anioła stróża. Lecz w wyniku tego sukcesu sprawy przybrały raczej godny pożałowania obrót.(Widzę, że muszę, mimo wszystko, wypaplać tu tajemnicę biednej Rekhi).Jeszcze zanim Gibril zamienił sztuczn ą głowę na fałszywy ogon, stał się na tyle atrakcyjny dla kobiet, że wprost nie mogły mu się oprzeć. Pokusy, jakie niosła ze sob ą sława, stały się tak wielkie, że kilka młodych dam prosiło go, aby miał na sobie maskę boga Ganeszi, kiedy będ ą mu się oddawały, ale on odma-24

wiał ze względu na szacunek, jaki żywił dla tego dostojnego bóstwa. W wyniku prostodusznego wychowania nie potrafił w tym czasie odróżnić ilości od jakości i dlatego też odczuwał potrzebę odrobienia zaległości. Miał wówczas tyle partne-rek, że zapominanie ich imion, zanim jeszcze wyszły z pokoju, nie było czymś niezwykłym. Nie tylko stał się kobieciarzem najgorszego gatunku, ale na dodatek nauczył się sztuki udawania, ponieważ człowiek, który gra bogów, musi być nieskazitelny. Tak zręcznie ukrywał swój skandaliczny i rozpustny styl życia, że jego dawny opiekun, Babasaheb Mhatre, leż ąc na łożu śmierci, dziesięć lat po tym, jak wysłał młodego gońca roznosz ącego obiady w świat iluzji, świńskich pieniędzy i namiętności, błagał go, aby się ożenił i udowodnił mu, że jest mężczyzn ą.— Na miłość Bosk ą, szanowny panie — błagał Babasaheb — kiedy powiedziałem ci przed laty, abyś zjeżdżał i został homoseksualist ą, ani przez chwilę nie pomyślałem, że potraktujesz to poważnie, ostatecznie szacunek dla starszych ma swoje granice. — Gibril wyrzucił ręce w górę i zaklinał się, że nie jest niczym tak sromotnym i że jeżeli znajdzie się odpowiednia dziewczyna, oczywiście, chętnie, przejdzie przez formalności ślubne.— Na kogo czekasz? Na jak ąś boginię z niebios? Gretę Garbo. Gracekali, na kogo? — krzykn ął stary człowiek, kaszl ąc i pluj ąc krwi ą, lecz Gibril zostawił

go, odchodz ąc z zagadkowym uśmiechem na ustach. Pozwolił mu umrzeć, nie rozproszywszy jego obaw.Lawina seksu, która zagarnęła Gibrila Farisztę, zdołała zakopać jego największy talent tak głęboko, że równie dobrze mógł łatwo zagin ąć na zawsze, talent do szczerego i głębokiego kochania bez wyrachowanego kontrolowania się, ten rzadki i delikatny dar, którego nigdy dot ąd nie udało się Gibrilowi użyć. Do momentu choroby prawie całkowicie zapomniał o udręczeniu, którego kiedyś doświadczał

z powodu tęsknoty za miłości ą, które przekręcało się i obracało w nim jak nóż czarnoksiężnika. Obecnie, pod koniec każdej gimnastycznej nocy, zasypiał z łatwości ą i spał długo, jak gdyby nigdy dot ąd nie prześladowały go kobiety-mary senne, jak gdyby nigdy nie był pozbawiony nadziei, że odda komuś swoje serce.— Twój problem — powiedziała mu Rekha Merchant, kiedy zmaterializowa-ła się z chmur — polega na tym, że wszyscy zawsze ci przebaczali. Bóg jeden wie dlaczego, zawsze darowywano ci winę, morderstwo uchodziło ci bezkarnie.Nikt nigdy nie czynił cię odpowiedzialnym za to, coś uczynił. — Nie mógł tego kwestionować. — Dar Boga — wrzeszczała na niego. — Bóg jeden wie, za kogo się uważałeś, sk ąd się wzi ąłeś, typ, który wyskoczył z rynsztoka, Bóg jeden wie, jakie choroby przyniosłeś.Właśnie tak zachowywały się kobiety; uważał wtedy, że s ą one naczyniami, w które może wlewać siebie, i kiedy szedł dalej, zwykle rozumiały, że takie jest je-go usposobienie i przebaczały. I prawd ą było, że nikt nie potępiał go za odejście, za jego tysi ąc i jeden przypadków bezmyślności, ile poronień, chciała wiedzieć Rekha ze swojego miejsca w chmurach, ile złamanych serc. Przez te wszystkie 25

lata był adresatem nieograniczonej szczodrości kobiet, lecz był również tej hojności ofiar ą, ponieważ ich pobłażliwość umożliwiała najgłębsze i najgorsze ze wszystkich zepsucie, a mianowicie przekonanie, że nie robi nic złego.Rekha: weszła w jego życie, kiedy kupił mieszkanie na szczycie drapacza chmur Everest Vilas i kiedy jako jego s ąsiadka i kobieta interesu zaproponowała, że pokaże mu swoje dywany i antyki. Jej m ąż był na światowym kongresie producentów łożysk kulkowych w Goteborgu, w Szwecji, i pod jego nieobecność zaprosiła Gibrila do swojego mieszkania z kamiennymi ramami okienny-mi z Dżajsalmer i z rzeźbionymi drewnianymi poręczami z pałaców Kerali oraz pochodz ącym z okresu Mogołów kamiennym parasolem albo inaczej kopuł ą, zamienion ą w basen z wiruj ąc ą wod ą. Kiedy nalewała mu francuskiego szampana, oparła się o wykładane marmurem ściany i poczuła na plecach chłodne żyły kamienia. Kiedy Gibril pił małymi łykami, Rekha zaczęła mu docinać, zapewne bogowie nie powinni pić alkoholu, a on odpowiedział słowami, które kiedyś przeczytał w wywiadzie z Aga Khanem — Och, wiesz, ten szampan to tylko na pokaz, w chwili, kiedy dotyka moich warg, zmienia się w wodę. — Minęła zaledwie chwila i już dotykała jego warg i rozpływała się w jego ramionach. Kiedy dzieci wróciły z niani ą ze szkoły, była nienagannie ubrana i uczesana i siedziała z nim w salonie, odkrywaj ąc tajemnice handlu dywanami i przyznaj ąc, że termin

„art silk” oznacza sztuczny jedwab, a nie artystyczn ą tkaninę. Mówiła mu, że nie powinien dać się wprowadzić w bł ąd jej broszurce, w której kilim opisano kusz ą-co jako tkaninę zrobion ą z wełny wyskubanej z szyi jagni ąt, „naprawdę oznacza, rozumiesz, jedynie wełnę gorszej jakości. Reklama, no cóż pocz ąć, tak się rzeczy maj ą” .Nie kochał jej, nie był jej wierny, zapomniał o jej urodzinach, nie dzwonił do niej, mimo że go o to prosiła, zjawiał się w jak najbardziej nieodpowiedniej porze, kiedy to w jej domu gościli na kolacji przedstawiciele świata łożysk kulkowych, ale i to, podobnie jak wszystko inne, przebaczała mu. Jednak jej przebaczenie nie było tym cichym i nieśmiałym zwolnieniem od kary i obowi ązku, jakie uzy-skiwał od innych. Rekha żaliła się jak opętana, robiła mu piekło, wrzeszczała na niego i przeklinała, nazywała go bezużytecznym lafang ą, harmazad ą i salahem, a w skrajnych przypadkach oskarżyła go o nieprawdopodobny wyczyn pieprzenia własnej siostry, której zreszt ą nie posiadał. Nie szczędziła mu zjadliwych uwag, zarzucaj ąc, że jest istot ą poruszaj ąc ą się tylko po powierzchniach, takich jak płaski ekran filmowy, a następnie przystępowała do rzeczy, tak czy owak przebaczała mu i pozwalała, aby rozpi ął jej bluzkę. Gibril nie mógł się oprzeć temu operowemu stylowi, w jakim Rekha Merchant udzielała mu swojego przebaczenia, co było tym bardziej wzruszaj ące, że przecież w jej argumentacji istniał słaby punkt — niewierność wobec króla łożysk kulkowych, o której Gibril starał się nie wspominać, po męsku przyjmuj ąc spadaj ące na niego słowne razy. Tak więc, jeśli przebaczenie, które otrzymywał od pozostałych kobiet, nie wywierało na Gibrilu 26

żadnego wrażenia i zapomniał o nim, zaledwie zd ążyły je wypowiedzieć, to tutaj stale wracał do Rekhi, by znowu mogła go zwymyślać, a następnie pocieszyć, gdyż tylko ona wiedziała, jak to zrobić.A potem o mały włos nie umarł.Nagrywał akurat film o Kanja Kumari stoj ąc na samym koniuszki Azji, brał

tam udział w scenie walki, któr ą kręcono na cyplu Przyl ądka Komoryn, a patrz ąc stamt ąd, wydaje się, że trzy oceany naprawdę wbijaj ą się w siebie nawzajem.Trzy nawałnice fal wtoczyły się z zachodu wschodu, południa zderzaj ąc się kla-śnięciem wodnych dłoni, dokładnie w chwili, kiedy Gibril otrzymał cios w szczękę, doskonałe zgranie w czasie, momentalnie stracił przytomność i upadł do tyłu w trójoceaniczn ą pianę. Nie podniósł się.Na pocz ątku win ą za wypadek wszyscy obci ążyli olbrzymiego Eustace’a Browna, angielskiego kaskadera, który zadał cios. Ten gwałtownie protestował.Czyż nie był tym facetem, który występował jako partner Głównego Ministra N.T. Ramy Rao w jego licznych filmach teologicznych? Czyż to nie on udoskonalił

metody pozorowania walki z owym starszym mężczyzn ą, dzięki czemu tamten mógł zawsze wychodzić z niej zwycięsko i bez najmniejszych obrażeń? I czy kiedykolwiek uskarżał się na to, że NTR nigdy nie zmniejsza siły swoich ciosów, w wyniku czego on, Eustace, niezmiennie kończy walkę cały posiniaczony i potłuczony przez niskiego, starszego gościa, którego mógłby schrupać z grzank ą na śniadanie? Czy kiedykolwiek, czy chociaż jeden raz stracił panowanie nad sob ą?Jakżeż więc? Jak mogło komukolwiek w ogóle przyjść do głowy, że byłby w stanie skrzywdzić nieśmiertelnego Gibrila? Mimo wszystko zwolniono go jednak z pracy, po czym na wszelki wypadek policja zamknęła go w więzieniu.Jednak to nie cios powalił Gibrila. Po przewiezieniu gwiazdy udostępnionym przez lotnictwo wojskowe odrzutowcem do szpitala Breach Candy w Bombaju; po uzyskaniu negatywnych wyników w trakcie gruntownych badań, kiedy to Gibril leżał nieprzytomny i umierał, maj ąc przy tym ilość krwinek, która spadła z normalnych dla niego piętnastu do śmiercionośnego cztery i dwie dziesi ąte, rzecznik szpitala stan ął na szerokich białych schodach szpitala Breach Candy przed dzien-nikarzami z całego kraju. — Jest to tajemniczy wybryk przyrody — ogłosił. —

Możecie to nazwać działaniem siły wyższej, jeśli chcecie.U Gibrila Fariszty wyst ąpiło w całej jamie brzusznej krwawienie bez żadnej widocznej przyczyny i całkiem po prostu wykrwawiał się na śmierć pod powierzchni ą skóry. W najgorszym momencie krew zaczęła s ączyć się z niego przez odbyt i penis i wydawało się, że lada moment może wytrysn ąć strumieniem przez nos, uszy i k ąciki oczu. Przez siedem dni Gibril krwawił, robiono mu transfuzje i otrzymał wszelkie znane medycynie środki pobudzaj ące krzepliwość, ł ącznie ze skoncentrowan ą odmian ą trucizny na szczury, i chociaż kuracja przyniosła nieznaczn ą poprawę, lekarze stracili nadzieje na jego uratowanie.Cała India stanęła przy łóżku Gibrila. Stan jego zdrowia był jednym z najważ-27

niejszych doniesień każdego dziennika radiowego, informacje o nim wypełniały krótki przegl ąd najnowszych wiadomości nadawanych co godzinę przez ogólno-krajow ą sieć telewizyjn ą, na Warden Road zbierały się tak olbrzymie tłumy, że do ich rozproszenia policja musiała użyć petard i gazu łzawi ącego, który zastosowa-no, mimo że każdy z uczestników tego półmilionowego zgromadzenia żałobnego i tak już miał łzy w oczach i szlochał rzewnie. Pani premier odwołała swoje spotkania i przyleciała, by go odwiedzić. Jej syn, pilot linii lotniczych, przesiadywał

w pokoju Fariszty, trzymaj ąc aktora za rękę. Cały naród ogarnęło niedobre przeczucie, bowiem jeżeli Bóg spuścił tak ą karę na swoje najsłynniejsze wcielenie, co w takim razie przygotował dla reszty kraju? Jeżeli Gibril umrze, to czyż nie przyjdzie wkrótce kolej na Indię? W szczelnie wypełnionych meczetach i świ ątyniach całego państwa wierni modlili się nie tylko o życie dla umieraj ącego aktora, ale i o przyszłość dla siebie samych.Któż to nie odwiedził Gibrila w szpitalu? Kto do niego nie dzwonił, nie wysłał kwiatów, nie posłał puszek z wyśmienitym jedzeniem domowej roboty? Kiedy wiele kochanek bezwstydnie przysyłało mu pasandy z jagnięcia i kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, któraż to, kochaj ąc go najmocniej ze wszystkich, trzymała się na uboczu, nie podejrzewana o nic przez męża, faceta od łożysk kulkowych? Rekha Merchant otoczyła swoje serce żelazn ą obręcz ą i machinalnie wypełniała obowi ązki życia codziennego, a to bawi ąc się ze swoimi dziećmi, to znowu gawędz ąc z mężem, to znowu, kiedy trzeba było, występuj ąc w roli gospodyni, i nigdy, ani razu, nie ujawniła nikomu mrocznego spustoszenia swojej duszy.Wyzdrowiał.Ten powrót do życia był równie tajemniczy jak sama choroba i równie jak ona błyskawiczny. I znowu został nazwany (przez personel szpitala, dziennikarzy, przyjaciół) działaniem siły wyższej. Ogłoszono święto narodowe i jak kraj długi i szeroki wszędzie wystrzeliły w górę sztuczne ognie. Lecz kiedy Gibril odzyskał

siły, było oczywiste, że zaszła w nim zmiana i to zasadnicza, ponieważ utracił

wiarę.W dniu, w którym zwolniono go ze szpitala, Gibril przeszedł w otoczeniu eskorty policyjnej przez olbrzymi tłum, który zebrał się, aby czcić swoje wybawienie, jak również wybawienie Gibrila, wsiadł do swojego mercedesa i polecił

kierowcy, by uciekł wszystkim wozom, które mu towarzyszyły, co zajęło siedem godzin i pięćdziesi ąt jeden minut, i pod koniec tego manewru przeprowadził to, co musiało być wykonane. Wysiadł z limuzyny przy hotelu Tadż i nie patrz ąc ani w lewo, ani w prawo, poszedł wprost do wielkiej jadalni, gdzie stół bufetowy aż uginał się pod ciężarem zakazanych potraw, i napełnił swój talerz tym wszystkim, wieprzowymi kiełbasami z hrabstwa Wiltshire i wędzonymi szynkami z Yorku, i plasterkami boczku bógwiesk ąd; wieprzowymi stekami swojej niewiary i świń-skimi kulasami etyki świeckiej; a następnie, stoj ąc tam, na środku sali, kiedy to 28

nagle znik ąd wyskoczyli fotografowie, zacz ął jeść jak tylko mógł najszybciej, wpychaj ąc w siebie martwe świnie tak gwałtownie, że z k ącików jego ust zwi-sały plastry boczku.Podczas choroby, kiedy tylko było przytomny, przez cały czas wołał Boga na pomoc, przez wszystkie sekundy wszystkich minut. „Ya Allah, którego sługa leży wykrwawiaj ąc się, nie opuszczaj mnie teraz, po tylu latach twej opieki nade mn ą.Ya Allah, daj mi jakiś znak, jakiś drobny dowód swojej łaski, abym mógł znaleźć w sobie siłę na pokonanie moich nieszczęść. O Boże, najbardziej dobroczynny, najbardziej litościwy, b ądź ze mn ą w godzinie potrzeby, mojej największej potrzeby. — Potem przyszło mu na myśl, że wymierzana mu jest kara i przez jakiś czas myśl ta umożliwiła mu znoszenie bólu, jednak po pewnym czasie rozzłościł

się. — Dosyć, Boże — domagały się jego nie wypowiedziane słowa — dlaczego muszę umrzeć, jeżeli nie zabiłem, czy jesteś zemst ą, czy miłości ą?” Wściekłość na Boga pomogła mu przeżyć jeszcze jeden dzień, lecz następnie uczucie to zniknęło, a jego miejsce zajęła straszliwa pustka, izolacja, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że mówi w próżnię, ze nie ma tam zupełnie nikogo, i poczuł się wówczas tak głupio, jak nigdy dot ąd w swoim życiu i zacz ął kierować błagania w tę pustkę, „Ja Allah, tylko b ądź tam, niech to diabli wezm ą, tylko b ądź”. Ale nie czuł

niczego, niczego niczego, a potem któregoś dnia stwierdził, że już nie musi tam istnieć to coś, co on mógłby odczuwać. W dniu metamorfozy nast ąpiło przesilenie choroby i rozpocz ął się jego powrót do zdrowia. I aby udowodnić sobie, że Bóg nie istnieje, stał teraz w jadalni najsłynniejszego hotelu miasta, a świnie wypadały mu z ust.Uniósł wzrok znad talerza i zobaczył, że przygl ąda mu się jakaś kobieta. Jej włosy były niemal białe, a skóra miała kolor i przejrzystość górskiego lodu. Zaśmiała się do niego, po czym odwróciła się i odeszła.— Czy nie rozumiesz? — krzykn ął za ni ą, a kawałki kiełbasy wypadły mu z k ącików ust. — Nie ma żadnego gromu z jasnego nieba. W tym cała rzecz.Zawróciła i stanęła przed nim.— Żyjesz — powiedziała mu. — Na powrót darowano ci życie. I w tym cała rzecz.Powiedział Rekhce: w momencie, kiedy zawróciła i zaczęła iść w moj ą stronę, zakochałem się w niej. Alleluja Cone, alpinistka, pogromczyni Everestu, Żydówka o blond włosach, królowa lodu. Jej wyzwaniu, zmień swoje życie, przecież nie otrzymałeś go z powrotem na próżno, nie mogłem się oprzeć.— Ty i te twoje reinkarnacyjne bzdury — przymilała się Rekha. — Cóż za nonsensy przychodz ą ci do głowy. Wychodzisz ze szpitala, przeciskasz się z powrotem przez drzwi śmierci i uderza ci do głowy, głuptasie, natychmiast musisz mieć jakiś wyskok, a oto i ona, hej szybko, ta blond lala. Nie myśl, że nie znam 29

twojego charakteru, Gibbo, tak więc co teraz, czy chcesz, abym ci przebaczyła, czy jak?— Nie potrzeba — powiedział. Wyszedł z mieszkania Rekhi (jego właści-cielka płakała z twarz ą przyciśnięt ą do podłogi); i już nigdy nie przekroczył tego progu.Trzy dni po spotkaniu, kiedy to usta miał wypełnione nieczystym mięsem, Allie wsiadła do samolotu i odleciała. Trzy dni poza czasem, schowani za wywieszkę na drzwiach: nie przeszkadzać, lecz w końcu przyznali, że przed świtem nie da się uciec, co jest możliwe, to jest możliwe, a co jest niemożliwe, to jest nie. . . przy-godne spotkanie, przelotna znajomość, miłość w poczekalni dworca lotniczego.Po jej wyjeździe Gibril odpoczywał, próbował zamkn ąć uszy na jej wyzwanie, postanowił powrócić do normalnego trybu życia. Sam fakt utraty wiary nie oznaczał wcale, że nie może wykonywać swojego zawodu i pomimo skandalu, jaki wywołały fotografie ukazuj ące obżeranie się szynk ą, pierwszego w ogóle skandalu, jaki można ł ączyć z jego nazwiskiem, podpisał kontrakty i wrócił znowu do pracy.A potem, któregoś dnia, fotel na kółkach okazał się pusty, Gibril znikn ął. Pewien brodaty pasażer, niejaki Ismail Nadżmuddin, wszedł na pokład samolotu, lot AI-420 do Londynu. Ten Boeing 747 otrzymał nazwę jednego z ogrodów Raju, ale nie Gulistanu, ogrodu różanego, a Bustanu — ogrodu rozkoszy. — Aby ponownie się narodzić — mówił Gibril Fariszta Saladynowi Czamczy o wiele później

— najpierw musisz umrzeć. Jeśli o mnie chodzi, umarłem tylko połowicznie, ale zrobiłem to dwukrotnie, szpital i samolot, tak więc to się sumuje i to się liczy.I teraz, Spoono, mój przyjacielu, oto stoję przed tob ą w Tym Właśnie Londynie, w Wilajacie, odrodzony, jako nowy człowiek z nowym życiem. Spoono, czyż nie jest to cholernie kapitalna rzecz?”Dlaczego wyjechał?Z jej powodu, z powodu wyzwania, jakim była, świeżości, gwałtowności ich bycia ze sob ą, z powodu nieuchronności rzeczy niemożliwych, które musiały się stać.I, może: dlatego, że po zjedzeniu przez niego tych świń, zaczęła się odpłata za zło, nocna odpłata, kara pod postaci ą snów.3

Kiedy samolot do Londynu oderwał się już od ziemi, dzięki magicznej sztuce polegaj ącej na skrzyżowaniu palców każdej dłoni i okrężnych ruchach kciuków, chudy facet po czterdziestce, który siedział przy oknie na miejscu dla niepal ących i obserwował, jak jego rodzinne miasto spada z niego jak stara skóra z węża, pozwolił sobie na przelotny wyraz ulgi. Twarz ta była przystojna na swój zgorzk-niały nieco patrycjuszowski sposób, długie w ąskie wargi były wywinięte w dół

jak u zdegustowanego turbota, a cienkie brwi rysowały się ostrymi łukami nad oczyma, które przypatrywały się światu z pewnego rodzaju czujn ą wzgard ą. Pan Saladyn Czamcza wymodelował tę twarz z duż ą dbałości ą — minęło kilka lat, zanim osi ągn ął właściwy efekt — i od bardzo wielu lat uważał j ą po prostu za swoj ˛

a

własn ˛

a — w rzeczy samej zapomniał nawet, jak wygl ądała przedtem. Wymodelował sobie również głos, który pasował do tej twarzy, głos, którego rozwlekłe, prawie leniwe samogłoski niepokoj ąco kontrastowały z poszarpan ą gwałtowności ą spółgłosek. To poł ączenie twarzy i głosu było niezwykle skuteczne, jednak podczas ostatniej wizyty w rodzinnym mieście, zreszt ą pierwszej tego typu od piętnastu lat (powinienem chyba dodać, że jest to dokładnie okres kariery Gibrila Fariszty), miały miejsce pewne dziwne i niepokoj ące wydarzenia. Był to niestety przypadek odmowy posłuszeństwa ze strony jego głosu (który zbuntował się pierwszy), a następnie samej twarzy.Samolot wystartował — Czamcza pozwolił odpocz ąć palcom i kciukom i nieco zażenowany miał jednak nadzieję, że inni pasażerowie nie zauważyli tego ostatniego przes ądu, który mu pozostał. Zamkn ął oczy i z lekkim dreszczem przerażenia powrócił pamięci ą do swojego lotu na wschód sprzed kilku tygodni. Wtedy wysoko ponad pustynnymi piaskami Półwyspu Arabskiego zapadł w senne odrętwienie i we śnie ukazał mu się dziwaczny nieznajomy, człowiek o szklanej skórze, który ponuro walił pięściami w cienk ą kruch ą błonę pokrywaj ąc ą całe jego ciało i prosił Saladyna, by pomógł mu i uwolnił go z więzienia jego skóry.Czamcza pochwycił kamień i zacz ął walić w szkło. Poprzez popękan ą powierzchnię ciała nieznajomego momentalnie zaczęła s ączyć się krew i kiedy Czamcza usiłował zedrzeć potłuczon ą skorupę, ten zacz ął przeraźliwie krzyczeć, ponieważ razem ze szkłem odrywały się kawałki jego ciała. W tym momencie pochyliła się nad śpi ącym Czamcz ą stewardesa i zapytała z t ą bezlitosn ą gościnności ą charakterystyczn ą dla jej plemienia: Coś do picia, proszę pana? Drinka? , a Saladyn, wynurzaj ąc się ze snu stwierdził, że jego sposób mówienia z nieznanych przyczyn przekształcił się w śpiewny bombajski dialekt, którego kiedyś tak pieczołowicie (i tak bardzo dawno temu!) się pozbył. — Aha, znaczy co — wymamrotał. —

Napój alkoholowy, czy jak? — I kiedy stewardesa rozproszyła jego w ątpliwości, cokolwiek pan sobie życzy, wszystkie napoje gratis, ponownie usłyszał swój głos, zdrajcę: — Dobrze, bibi, daj tylko jedn ą whisky z sod ą.31

Cóż to za paskudna niespodzianka! Otrzeźwiał natychmiast, aż nim wstrz ąsnęło i usiadł wyprostowany w fotelu, nie zwracaj ąc uwagi ani na alkohol, ani na orzeszki ziemne. W jaki sposób przeszłość zdołała wykipieć, wydostać się na zewn ątrz w formie magicznie zmiennych samogłosek i słów? Co jeszcze? Czy zacznie teraz wcierać sobie olejek kokosowy we włosy? A może zacznie sobie czyścić nos, chwytaj ąc go pomiędzy kciuk i palec wskazuj ący, wydmuchuj ąc ha-łaśliwie lepki srebrzysty łuk paskudztwa? Może stanie się entuzjast ą wrestlingu?Jakie diaboliczne poniżenia jeszcze go czekaj ą? Powinien był wiedzieć, że błędem jest wracać do domu po tak długim czasie, jakże mógł ów powrót oznaczać co innego niż cofanie się, była to podróż nienaturalna, zaprzeczenie istnienia czasu, bunt przeciw historii, cała ta rzecz musiała skończyć się katastrof ą.Nie jestem sob ˛

a, pomyślał, kiedy w okolicy serca odczuł lekkie trzepotanie.Ale i tak, jakie to ma znaczenie, dodał z gorycz ą. Ostatecznie, „les acteurs ne sont pas des gens”, jak to wyjaśnił wielki kiepski aktor Frederick w „Komediantach”.Maski pod maskami, aż tu nagle naga bezkrwista czaszka.Poproszono o zapięcie pasów, a kapitan ostrzegł przed turbulencj ą, wpadali i wypadali z dziur powietrznych. Pustynia kołysała się pod nimi, a robotnik-migrant, który wszedł na pokład w Katarze, kurczowo ścisn ął w rękach swoje gigantyczne radio tranzystorowe i zacz ął wymiotować. Czamcza zauważył, że ów człowiek nie zapi ął pasów, zebrał się więc w sobie, by ponownie nadać głosowi ow ą angielsk ą wyniosłość. — Niech Pan posłucha, dlaczego Pan nie. . . — wskazał na pas, lecz ów mężczyzna w chwilach, kiedy nie wymiotował do papierowej torebki, któr ą Saladyn zd ążył wręczyć mu w sam ą porę, pokręcił głow ą, wzruszył

ramionami i odpowiedział: — Sahibie, po co? Jeżeli Allah życzy sobie, abym umarł, to umrę. Na co więc środki bezpieczeństwa? — Indio, niech cię diabli wezm ą — Saladyn Czamcza zakl ął po cichu, zapadaj ąc się ponownie w swoim fotelu. — Idź do diabła, uciekłem przed twoimi szponami dawno, dawno temu, już mnie nie złapiesz, nie zdołasz zaci ągn ąć mnie z powrotem.

\* \* \*Pewnego razu — było tak, a może nie było, jak to zwykle bywa w starych bajkach, zdarzyło się albo się nie zdarzyło — być może tak, być może nie, dziesięcioletni chłopak z dzielnicy Scandal Point w Bombaju znalazł portfel leż ący na ulicy nie opodal swojego domu. Wracał ze szkoły i wysiadł właśnie ze szkolne-go autobusu, w którym musiał siedzieć zgnieciony pomiędzy lepkimi spoconymi ciałami chłopców w krótkich spodenkach, ogłuszony wrzaskiem, a ponieważ nawet w tamtych czasach był osob ą, która brzydziła się ochrypłego krzyku, przepy-32

chania i smrodu potu obcych ludzi, było mu niedobrze po tej długiej, uci ążliwej jeździe do domu. Kiedy jednak zobaczył czarny skórzany portfel leż ący u swoich stóp, uczucie mdłości minęło, pochylił się podniecony i chwycił, — i otworzył,— i stwierdził ku swojej radości, że jest on pełen pieniędzy, — i to nie jakichś tam rupii, lecz prawdziwych pieniędzy, uznanych na czarnym rynku i na międzynarodowych giełdach — funtów! Funt szterling, z Tego Właśnie Londynu w legendarnym kraju Wilajat za czarn ą wod ą i daleko daleko st ąd. Oślepiony grubym plikiem zagranicznych banknotów chłopiec podniósł wzrok, aby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje i przez chwilę wydało mu się, że z nieba łukiem spłynęła ku niemu tęcza, tęcza jak oddech anioła, jak wysłuchana modlitwa, która kończy się dokładnie w tym miejscu, w którym on stoi. Jego palce drżały, kiedy zanurzył

je w portfelu, zmierzaj ąc ku bajecznemu skarbowi.— Daj to. — Potem, przez resztę życia wydawało mu się, że ojciec szpiego-wał go przez całe dzieciństwo, i mimo że Czangez Czamczawalla był potężnym mężczyzn ą, a nawet olbrzymem, nie wspominaj ąc o jego bogactwie i pozycji spo-łecznej, zawsze miał lekki chód, jak również skłonności do psucia swojemu synowi wszystkiego, co ten robił, zdzieraj ąc z młodego Salahuddina prześcieradło i odsłaniaj ąc haniebnego penisa w zaciśniętej kurczowo spoconej dłoni. I potrafił

wywęszyć pieni ądze z odległości stu jeden mil, nawet poprzez smród chemika-liów i sztucznych nawozów, który zawsze unosił się nad nim, jako że był naj-większym w kraju producentem opryskiwaczy, pestycydów i sztucznego łajna.Czangez Czamczawalla, filantrop, kobieciarz, żywa legenda, przewodnie światło ruchu narodowego, wyskoczył z bramy swojego domu i wyrwał wypchany portfel z zawiedzionej ręki syna. — No, no — strofował — nie powinieneś podnosić rzeczy z ulicy. Ziemia jest brudna, a pieni ądze, b ądź co b ądź, jeszcze bardziej.Na półce, w obitym drewnem lękowym gabinecie Czangeza Czamczawalli, obok dziesięciotomowej edycji „Tysi ąca i jednej nocy” w tłumaczeniu Richarda Burtona, któr ą powoli zżerała pleśń i mole ksi ążkowe, a to z powodu głęboko zakorzenionej niechęci Czangeza do ksi ążek, która doprowadziła do tego, że na-bywał tysi ące tych zgubnych przedmiotów po to, aby upokorzyć je pozostawiaj ąc, aby marniały nie przeczytane, a więc na półce tej stała magiczna lampa, wypolerowany do połysku miedziano-mosiężny awatar należ ącego do Alladyna pojem-nika na dżinny: lampa błagaj ąca, aby potarły j ą czyjeś ręce. Ale Czangez ani jej nie pocierał, ani też nie pozwolił, żeby robił to kto inny, na przykład jego syn.— Pewnego dnia — zapewnił chłopca — dostaniesz j ą na własność. Wtedy po-cieraj j ą sobie, ile dusza zapragnie, i patrz, co też ci się nie zjawi. Teraz jednak ona należy do mnie. Ta obietnica otrzymania magicznej lampy zaraziła panicza Salahuddina pewności ą, że któregoś dnia jego kłopoty się skończ ą, a najskrytsze pragnienia zostan ą zaspokojone i że nie zostało mu nic innego, jak przeczekać ten okres; aż tu raptem pojawiła się przygoda z portfelem, kiedy czar tęczy zadziałał

na jego korzyść, nie na korzyść ojca, lecz jego własn ą, a Czangez Czamczawalla 33

ukradł ten garniec złota. Po tym wydarzeniu Salahuddin nabrał przekonania, że ojciec zdusi wszystkie jego nadzieje, o ile on od niego nie odejdzie, i od tej chwili zapragn ął rozpaczliwie wyjechać, uciec, przemierzyć oceany, aby być jak najdalej od wielkiego człowieka.Salahuddin Czamczawalla do swoich trzynastych urodzin zd ążył zrozumieć, że jego przeznaczeniem jest chłodny Wilajat, pełen wspaniałych obietnic, jakie daj ą funty szterlingi i które zapowiadał magiczny portfel z banknotami, i coraz bardziej irytował go Bombaj pełen

kurzu, wulgarności, policjantów w szortach, transwestytów, fanów filmu, ludzi śpi ących na ulicach oraz znanych każdemu śpiewaj ących prostytutek z ulicy Granta, które zaczynały jako wyznawczynie kultu Jelammy z Karnataki, lecz wyl ądowały tutaj jako tancerki w bardziej prozaicznych świ ątyniach ludzkiego ciała. Miał dosyć zakładów włókienniczych i poci ągów podmiejskich, i całego chaosu, i nadmiaru wszystkiego, co charakterystyczne dla tego miasta i tęsknił za wymarzonym Wilajatem, krain ą równowagi i umiaru, która stała się obsesj ą, dręcz ąc ą go w dzień i w nocy. Jego ulubionymi dziecięcymi wyliczankami były te, w których obecna była tęsknota za zagranicznymi miastami: kiczy-kon kiczy-kaj kiczy-konstanty-aj kiczy-kopol kiczy-Kon-stanty-nopol. A ulubion ą zabaw ą była odmiana ciuciubabki, w której kiedy ni ˛

a był, odwracał się tyłem do skradaj ących się kolegów i bełkotał, jak mantrę, jak czar jakiś, sześć liter swojego miasta-marzeń: Eloen Deigreken. W głębi serca skradał się po cichu, zbliżał do Londynu, litera po literze, podobnie jak jego koledzy skradali się w jego kierunku. Eloen Deigreken Londyn.Przemiana Salahuddina Czamczawalli w Saladyna Czamczę rozpoczęła się —

wszystko zostanie wkrótce opisane — w starym Bombaju, na długo zanim znalazł

się na tyle blisko lwów na Trafalgarze, żeby słyszeć ich ryk. Kiedy krykietowa re-prezentacja Anglii grała przeciw drużynie Indii na stadionie Brabourne, gor ąco modlił się o zwycięstwo Anglików, o to, żeby twórcy tej gry zmiażdżyli miejscowych parweniuszy, o to, żeby został zachowany właściwy porz ądek rzeczy. (Lecz z powodu pechowej wręcz senności panuj ącej na boisku stadionu Brabourne mecze niezmiennie kończyły się remisem; tak więc ten wielki spór między twórc ą a naśladowc ą, kolonizatorem a kolonizowanym, z konieczności musiał pozostać nie rozwi ązany).W trzynastym roku życia osi ągn ął wiek odpowiedni, by móc bawić się sam na skałach Scandal Point bez opieki niańki, Kasturby. I pewnego dnia (było tak, a może nie) wyszedł z domu, tego obszernego, oblepionego sol ą, rozsypuj ącego się budynku w stylu Parsi, całego składaj ącego się z kolumn, okiennic i małych balkonów, przeszedł spacerkiem przez ogród, który był dum ą i radości ą jego ojca, i który przy odpowiednio padaj ącym świetle wieczornym mógł sprawiać wrażenie bezkresnego (i który był również enigmatyczny, stanowił nie rozwi ązan ą zagadkę, ponieważ nikt, ani jego ojciec, ani ogrodnik nie potrafili podać mu 34

nazw większości roślin i drzew), wyszedł przez główn ą bramę, pretensjonalny kaprys, reprodukcję rzymskiego łuku triumfalnego Septymiusza Sewera, i dalej przez nieokiełznany obłęd ulicy i tamę chroni ąc ą brzeg przed morzem, aż w końcu wyszedł na obszern ą przestrzeń czarnych połyskuj ących skał z małymi roz-gałęziaj ącymi się rozlewiskami. Dziewczynki z chrześcijańskich szkół chichotały ubrane w swoje sukienki, mężczyźni z zamkniętymi parasolami stali w milczeniu z oczyma utkwionymi w niebieskim horyzoncie. W jednej z nisz w czarnej skale Salahuddin zobaczył mężczyznę w dhoti pochylonego nad rozlewiskiem.Ich oczy spotkały się i tamten przywołał go kiwnięciem jednego palca, który następnie przyłożył do warg. „ Szsz. . . szsz. . . ”, i tajemnicza atmosfera wokół skały i rozlewisk, pchnęła chłopca w stronę nieznajomego. Był on niezwykle kościstym mężczyzn ą. Miał okulary w szylkretowej oprawie. Jego palec zgięty, zgięty jak hak z przynęt ą, „chodź”. Kiedy Salahuddin zszedł na dół, nieznajomy złapał go, zatkał mu usta i poprowadził jego młod ą dłoń między swoje stare kościste nogi, aż wyczuła tam twarde ciało. Dhoti rozwiało się na wietrze. Salahuddin nigdy nie potrafił walczyć, zrobił to, do czego go zmuszono, i wówczas tamten po prostu odwrócił się od niego i puścił go.Po tym wydarzeniu Salahuddin nigdy nie poszedł na skały Scandal Point, ani też nie powiedział nikomu o tym, co się stało, wiedz ąc, o jakie ataki neurastenii wiadomości ta przyprawiłaby jego matkę, i podejrzewaj ąc, że ojciec stwierdziłby, że sam jest sobie winien. Wydawało mu się, że wszystko, co ohydne, wszystko, co znienawidził w swoim rodzinnym mieście, zbiegło się w kościstym uścisku nieznajomego i że teraz, kiedy już umkn ął temu złemu szkieletowi, musi również uchodzić z Bombaju lub umrzeć. Zacz ął zawzięcie koncentrować się na tym pomyśle, skupiać na nim swoj ą wolę przez cały czas, jedz ąc, sraj ąc, śpi ąc, przekonuj ąc się, że sam może dokonać cudów nawet bez uciekania się do pomocy lampy swojego ojca. Śniło mu się, że wylatuje z okna sypialni i odkrywa, że tam, pod nim na dole, jest nie Bombaj, lecz Ten Właśnie Londyn. Bigben Kolumna-nelsona Tawernawizbielordów Krwawawieża Królowa. Ale kiedy tak szybował

nad t ą wielk ą metropoli ą, poczuł, że nagle zaczyna tracić wysokość i mimo go-r ączkowych ruchów nogami, ażeby płyn ąć w powietrzu, w dalszym ci ągu powoli spada, zmierzaj ąc torem spiralnym ku ziemi, później szybciej i jeszcze szybciej, aż w końcu mknie ze świstem — głow ą w dół — w stronę City, Świętegopawła, Puddinglane, Threadneedlestreet, mierz ąc w Londyn jak bomba.

\* \* \*Kiedy to, co niemożliwe, jednak się stało, i jego ojciec, jak grom z jasnego 35

nieba, zaproponował mu wykształcenie w Wielkiej Brytanii, żebym mu tu nie za-wadzał — pomyślał — jakże by inaczej, przecież to oczywiste, ale darowanemu koniowi nie zagl ˛

ada się w zęby, jego matka, Nasrin Czamczawalla nie chciała wcale płakać, a zamiast tego zaproponowała, by skorzystał z dobrodziejstwa jej rady. — Nie chodź brudny jak ci Anglicy — ostrzegła go. — Oni wycieraj ą tyłki tylko papierem, a poza tym k ąpi ą się w brudnej wodzie po innych ludziach. —

Te nikczemne oszczerstwa były dla Salahuddina dowodem na to, że jego matka staje na głowie, aby nie dopuścić do jego wyjazdu i pomimo ich wzajemnej miłości, odpowiedział: — Nieprawdopodobne jest to, co mówisz, Ammi. Anglia to wspaniała cywilizacja, opowiadasz banialuki.Uśmiechnęła się tym swoim trochę nerwowym uśmiechem i nie spierała się już. A później stała z suchymi oczyma pod t ą główn ą bram ą w kształcie łuku triumfalnego i nie chciała jechać na lotnisko Santacruz, by go odprowadzić. Swojego jedynaka. Nałożyła mu tyle wieńców na szyję, że w końcu aromat matczynej miłości przyprawił go o zawroty głowy.Nasrin Czamczawalla była bardzo drobn ą i delikatn ą kobiet ą, kości miała jak tinki, jak drobniutkie drzazgi drewna. Aby powetować sobie niepokaźność swojej figury, od najmłodszych lat ubierała się z pewn ą skandalizuj ąc ą, przesadn ą egzaltacj ą. Wzory na jej sari oślepiały, były wręcz krzykliwe: jedwab koloru cytry-nowego przyozdobiony ogromnymi rombami z brokatu, przyprawiaj ącymi o zawrót głowy czarno-białymi op-artowskimi wirami, gigantyczne ślady pocałunków uszminkowanych ust na jaskrawobiałym tle. Ludzie wybaczali jej szokuj ący gust, ponieważ nosiła te oślepiaj ące szaty z tak ą niewinności ą, ponieważ głos, który wydobywał się z tej tekstylnej kakofonii był tak cichy i niezdecydowany, i taki, jak należy, a również z powodu organizowanych przez ni ą wieczornych zebrań towarzyskich.Przez cały okres życia małżeńskiego, w każdy pi ątek Nasrin wypełniała sale rezydencji rodziny Czamczawalla — te zazwyczaj mroczne pokoje podobne do pustych krypt grobowych — jasnym światłem i drobnymi przyjaciółkami. Kiedy Salahuddin był małym chłopcem, często wypraszał u matki pozwolenie na odgrywanie roli odźwiernego. Witał wtedy z wielk ą powag ą przybrane klejnotami i wyfiokowane damy, pozwalaj ąc, by gładziły go po głowie i nazywały „ spry-ciarzem” i „ słodziutkim ciasteczkiem”. W pi ątki dom wypełniał zgiełk: byli tam muzycy, śpiewacy, tancerze, najnowsze przeboje zachodniej muzyki rozrywkowej nadawane przez Radio Cejlon, ochrypłe przedstawienia kukiełkowe, w których radżowie z malowanej gliny pędzili na rumakach — kukiełkach, a przekleństwami i mieczami z drewna odcinali głowy wrogich marionetek. Jednak w pozostałe dni tygodnia Nasrin zazwyczaj chodziła po domu na palcach, z niezwykł ą ostrożności ą, jak gołębica w ponurym mroku, która bała się zakłócić zacienion ą ciszę, a jej syn, pod ążaj ąc wszędzie za ni ą, również nauczył się stawiać lekkie kroki, aby nie obudzić jakiegoś chochlika czy złego demona, który mógłby czatować gdzieś 36

w k ącie.Jednak: ostrożność Nasrin Czamczawalli nie zdołała ocalić jej życia. Przerażenie ogarnęło j ą i zabiło w momencie, kiedy s ądziła, że jest jak najbardziej bezpieczna, gdy ubrana w sari pokryte wzorem z tanich fotosów i nagłówków gazetowych, sk ąpana w świetle żyrandola, przebywała w towarzystwie swoich przyjaciółek.

\* \* \*Minęło właśnie pięć i pół roku od chwili, kiedy młody Salahuddin, ozdobiony wieńcami i odpowiednio ostrzeżony, wsiadł do Douglasa DC-8 i odbył podróż na zachód. Przed nim — Anglia; obok niego — ojciec, Czangez Czamczawalla; pod nim — dom i piękno. Podobnie jak i Nasrin, również przyszłemu Saladynowi płacz nigdy nie przychodził łatwo.

Podczas tej pierwszej podróży lotniczej czytał ksi ążki science fiction o migracji międzyplanetarnej: „Fundacja” Asimova, „Kroniki marsjańskie” Raya Brad-bury’ego. Wyobrażał sobie, że DC-8 jest macierzystym statkiem-baz ą, nios ącym Wybranych, Wybrańców Boga i człowieka, poprzez niewyobrażalne przestrzenie, podróżuj ących przez całe pokolenia i rozmnażaj ących się eugenicznie, tak aby ich nasienie mogło któregoś dnia zakorzenić się gdzieś tam w nowym wspaniałym świecie pod jakimś żółtym słońcem. Tu poprawił się: nie macierzysty statek-ba-za, lecz ojczysty statek, ponieważ był tam i on, mimo wszystko, wielki człowiek, Abbu, Ojciec. Trzynastoletni Salahuddin, odkładaj ąc na bok niedawne w ątpliwości i żale, wpadł ponownie w dziecięce uwielbienie dla swojego ojca, ponieważ wcześniej naprawdę go czcił, był wielkim ojcem dopóty, dopóki ci się nie rozwin ął twój własny rozum, a wtedy spieranie się z nim nazywane było zdrad ą miłości, ale mniejsza o to teraz, oskarżam go o to, że stał się dla mnie najwyższ ˛

a istot ˛

a,więc to, co się stało, było podobne do utraty wiary. . . tak, ojczysty statek, samolot przecież nie jest lataj ącym łonem, lecz metalowym fallusem, a pasażerowie to sperma, gotowa do ejakulacji.Pięć i pół godziny różnych stref czasowych; obróć swój zegarek do góry nogami w Bombaju i zobaczysz, jaki jest czas w Londynie. Mój ojciec — myślał

Czamcza wiele lat później ze środka swej goryczy. — Oskarżam go o odwrócenie czasu.Jak daleko lecieli? Pięć i pół tysi ąca mil w linii prostej. Albo: od hinduiskości do angielskości, niezmierzony dystans. Albo, wcale nie daleko, ponieważ wzbili się w górę nad jednym wielkim miastem, a opadli nad innym. Droga z miasta do miasta jest zawsze krótka i wieśniak, pokonuj ący sto mil dziel ących go od miasta, 37

przejeżdża przez ciemniejsz ą, bardziej pust ą i przerażaj ąc ą przestrzeń.Oto, co zrobił Czangez Czamczawalla, kiedy samolot startował: kryj ąc się przed synem, skrzyżował dwa palce każdej dłoni i obracał obydwoma kciukami.A kiedy już znaleźli się w hotelu położonym o kilka metrów od szubienicy Tyburn, średniowiecznego miejsca straceń w Londynie, Czangez powiedział do syna: — Bierz, to należy do ciebie. — I wyci ągn ął rękę z czarnym portfelem, co do którego pochodzenia nie było w ątpliwości. — Jesteś już mężczyzn ą. Weź.Zwrot skonfiskowanego portfela, ł ącznie z cał ą sum ą pieniędzy, któr ą zawierał, okazał się po prostu jedn ą z małych pułapek zastawionych przez Czangeza Czamczawallę. Salahuddin wpadał w nie przez całe życie. Ilekroć ojciec chciał

go ukarać, zawsze podsuwał mu prezent, tabliczkę importowanej czekolady al-bo puszkę sera Kraft, a kiedy syn podchodził, by prezent odebrać, ten chwytał

go. — Osioł. — Czangez pogardliwie wyśmiewał się z niepełnoletniego syna. —

Zawsze, ale to zawsze, marchewka podprowadza cię do mojego kija.W Londynie Salahuddin wzi ął ofiarowany mu portfel, przyjmuj ąc go jako podarunek męskości, na co jego ojciec powiedział: — A teraz, skoro jesteś już mężczyzn ą, twoj ą rzecz ą będzie opiekować się starym ojcem podczas naszego pobytu w Londynie. Ty płacisz wszystkie rachunki.Styczeń 1961. Rok, który można by odwrócić do góry nogami i który w od-różnieniu od zegarka, pokazałby wci ąż ten sam czas. Była zima, lecz Salahuddin Czamczawalla, prawie nieprzytomny, trz ąsł się w swoim pokoju hotelowym ze strachu, że jego garniec złota zmienił się nagle w kl ątwę czarnoksiężnika.Te dwa tygodnie, które spędził w Londynie, zanim poszedł do szkoły z in-ternatem, stały się koszmarem wypełnionym kasami sklepowymi i rachunkami, ponieważ Czangez miał na myśli dokładnie to, co powiedział i ani razu nie sięgn ął do kieszeni. Salahuddin musiał kupić sobie ubrania, dwurzędowy niebieski płaszcz z serży i siedem paskowanych biało-niebieskich koszul Van Heusena z od-pinanymi, na wpół sztywnymi kołnierzykami, które musiał nosić codziennie, aby

— jak twierdził Czangez — przyzwyczaić się do spinek; a Salahuddin miał wrażenie, jak gdyby wpychano mu w szyję tępy nóż tuż pod świeżo ukształtowanym jabłkiem Adama. Musiał również uważać, by wystarczyło mu na opłacenie hotelowego pokoju i na cał ą resztę, był więc zbyt zdenerwowany, aby zapytać ojca, czy mogliby pójść do kina, choćby na jeden film, nawet na „Prawdziwe piekło świętego Triniana” — lub aby pójść zjeść coś na mieście i choćby jeden raz skoczyć do chińskiej restauracji, i tak przez lata całe z pierwszych dwóch tygodni w swoim ulubionym Eloen Deigreken pamiętał jedynie funty szterlingi i pensy, podobnie jak ten uczeń króla-filozofa Chanakji, który zapytał wielkiego człowieka, co miał na myśli, mówi ąc, że można mieszkać i jednocześnie nie żyć na tym świecie, i który w odpowiedzi otrzymał polecenie, by pod groźb ą kary śmierci 38

przeniósł wypełniony po brzegi dzban przez tłum świętuj ących ludzi nie uroniw-szy kropelki. Kiedy uczeń powrócił, nie potrafił opisać przebiegu uroczystości świ ątecznych, ponieważ cały czas zachowywał się jak ślepiec, widz ąc jedynie dzban na swojej głowie.Czangez Czamczawalla był bardzo spokojny w tym czasie, sprawiał wrażenie człowieka, któremu wszystko jedno, czy w ogóle je lub pije, czy też wykonuje ja-k ąkolwiek cholern ą czynność. Był zadowolony, że może sobie siedzieć w pokoju hotelowym i ogl ądać telewizję — szczególnie wtedy, kiedy pojawiało się „Między nami jaskiniowcami”, ponieważ jak powiedział synowi, ta Wilma przypominała mu Nasrin. Salahuddin usiłował dowieść, że jest mężczyzn ą, poszcz ąc razem z ojcem i usiłuj ąc wytrzymać bez jedzenia dłużej niż on, jednak nigdy mu się to nie udawało i kiedy już męczarnia stawała się nie do zniesienia, wychodził z domu i szedł do pobliskiej taniej restauracji, gdzie można było dostać na wynos pieczone kurczaki, które wisiały na wystawie, ociekaj ąc tłuszczem i obracaj ąc się powoli na rożnach. Kiedy przynosił takiego kurczaka do holu hotelowego, odczuwał zakłopotanie, nie chciał bowiem, aby obsługa zauważyła jego manewry. Wtykał więc ptaka pod dwurzędowy płaszcz z serży i jechał w górę wind ą, rozsiewaj ąc spod wypchanego płaszcza smród rożna, coraz bardziej czerwieni ąc się na twarzy. Stoj ąc tak z kurczakiem na piersi, lustrowany wzrokiem bogatych wdów i windziarzy, czuł, że budzi się w nim nieprzejednany gniew, który miał palić się nieustannym płomieniem przez przeszło ćwierćwiecze i który miał spalić na popiół uwielbienie, jakie żywił dla ojca od dzieciństwa, a jego uczynić człowiekiem wyzwolonym z religii, człowiekiem, który później czynił wszelkie starania, aby żyć bez jakiegokolwiek boga. Płomień ten wreszcie, być może, wzmocnił jego postanowienie, by stać się tym, czym jego ojciec nie był ani nigdy nie mógł być — zacnym i lo-jalnym Anglikiem. Tak, Anglikiem, nawet jeżeli jego mama miała przez cały czas rację, nawet jeżeli w ubikacjach był tylko papier, a po ćwiczeniach gimnastycz-nych wchodziło się do letniej brudnawej wody pełnej błota i mydlin. Nawet jeżeli miało to oznaczać życie wśród obnażaj ących się na zimę drzew, których wyci ągnięte ramiona czepiaj ą się rozpaczliwie tych niewielu bladych godzin rozmytego i przefiltrowanego światła. W zimowe wieczory Salahuddin, który nigdy dot ąd nie sypiał pod niczym więcej, jak cienkim płótnem, leżał pod górami wełny i czuł

się jak jakaś postać ze starożytnego mitu, skazana przez bogów na przywalenie głazem, który ma uciskać mu pierś, ale mniejsza o to, on musi być Anglikiem, nawet jeżeli reszta klasy naśmiewa się z jego sposobu mówienia i nie dopuszcza go do własnych tajemnic, ponieważ takie zachowanie jedynie wzmacnia jego deter-minację. Właśnie wtedy zacz ął odgrywać rolę, znajdować maski, które ci chłopcy mogliby rozpoznać maski bladej twarzy, maski błaznów, aż w końcu wywiódł ich w pole i uznali, że jest okay, że jest taki-sam-jak-my. Wykpił ich w taki sposób, w jaki wrażliwy człowiek potrafi namówić goryle, by te przyjęły go do swojej rodziny — by go pieściły, czule głaskały i wtykały mu banany do ust.39

(Kiedy zapłacił już ostatni rachunek, a w portfelu, który niegdyś znalazł na drugim końcu tęczy, nie został ani jeden banknot, ojciec powiedział do niego: —

Widzisz teraz. Potrafisz się utrzymać. Zrobiłem z ciebie człowieka. — Ale jakiego człowieka? Tego jednak ojcowie nigdy nie wiedz ą. Przynajmniej nie zawczasu, a zawsze wtedy, kiedy jest już za późno.)

Pewnego dnia na samym pocz ątku pobytu w szkole zszedł na śniadanie i znalazł na talerzu wędzonego śledzia. Siedział, długo wpatruj ąc się w rybę, nie wiedz ąc, gdzie zacz ąć. W końcu wgryzł się w ni ą i naraz miał całe usta wypełnione ośćmi. A po ich wyjęciu następny kęs i dalsza porcja ości. Uczniowie patrzyli na jego mękę w milczeniu, żaden z nich nie powiedział, proszę, pozwól, że ci pokażę, to się je w ten sposób. Jadł tę rybę przez dziewięćdziesi ąt minut i nie pozwolono mu odejść, zanim nie skończył. Trz ąsł się cały i gdyby był w stanie zapłakać, zrobiłby to. Przyszło mu wówczas na myśl, że przeszedł bardzo ważn ą lekcję.Anglia była ryb ą o specyficznym smaku, pełn ą kolców i ości i nikt mu nigdy nie powie, jak j ą jeść. Odkrył w sobie przekorn ą naturę. — Ja im wszystkim pokażę

— przysi ągł. — Zobaczycie, że to zrobię. Ten wędzony śledź był jego pierwszym zwycięstwem, pierwszym krokiem w podboju Anglii.Mówi się, że Wilhelm Zdobywca zacz ął od zjedzenia garści angielskiego pia-chu.

\* \* \*Pięć lat później skończył szkołę i był z powrotem w domu, czekaj ąc na pocz ątek semestru na angielskim uniwersytecie, a jego transmutacja w Wilajat zaszła daleko. — Popatrz, jak dobrze potrafi narzekać — drażniła go Nasrin w obecności ojca. — Jaki ważny, wszystkiego się czepia, mówi, że wentylatory s ą zbyt lekko przymocowane do sufitu i spadn ą kiedyś na nas podczas snu, odcinaj ąc nam głowy, a to znów jedzenie jest zbyt tucz ące, chce wiedzieć, dlaczego nie gotujemy pewnych rzeczy bez smażenia, balkony na najwyższym piętrze s ą niebezpieczne, a farba odpada od nich płatami, dlaczego nie możemy być dumni z naszego otoczenia, no nie, i ogród jest zarośnięty, jesteśmy po prostu ludźmi z dżungli, on tak uważa, i zobacz, jak pospolite s ą nasze filmy, teraz mu się nie podobaj ą, i tak wiele chorób, nie można pić nawet wody z kranu, mój Boże, on naprawdę jest wykształcony, mężu, ten nasz malutki Sallu, świeżo z Anglii, tak ładnie wysławiaj ący się i w ogóle.

Był akurat wieczór i przechadzali się po trawniku, patrz ąc, jak słońce zanurza się w morzu, i spaceruj ąc w cieniu tych wielkich rozłożystych drzew, niektóre z nich o kształcie wężowatym, inne z brodami, które Salahuddin (teraz kazał

40

mówić na siebie Saladyn, zgodnie z mod ą angielskiej szkoły, chociaż wci ąż pozostawał Czamczawall ą — przynajmniej przez jakiś czas jeszcze, zanim agent teatralny nie skróci jego nazwiska ze względów reklamowych) dopiero co nauczył się rozpoznawać, drzewo chlebowe, indyjskie drzewo figowe, palisander, płomień puszczy, platan. Małe sadzonki czui-mui, niecierpka pospolitego, które Czangez posadził własnymi rękoma w dniu przyjścia syna na świat. Zarówno ojciec, jak i syn, czuli się przy tym drzewie skrępowani i nie byli w stanie odpowiednio zareagować na delikatne prześmiewki Nasrin. Saladynowi przyszła do głowy melancholijna myśl, że ogród ten był lepszym miejscem, kiedy jeszcze nie znał jego nazw, i że czegoś tu brakuje, czegoś, czego nigdy już nie będzie w stanie odzyskać. A Czangez Czamczawalla stwierdził, że już nie potrafi patrzeć synowi prosto w oczy, ponieważ gorycz, jak ą tam zobaczył, prawie zmroziła jego serce.Kiedy zacz ął do niego mówić, odwracaj ąc się gwałtownie od osiemnastoletniego orzecha, w którym — jak był przekonany — podczas długich pobytów jedynaka poza domem mieszka jego dusza, słowa, które z siebie wydobył, były nieodpowiednie i zabrzmiały tak, jak gdyby był człowiekiem surowym i zimnym, jakim w przeszłości miał nadzieję nigdy nie zostać, a obecnie, był tego świadom, właśnie się stawał.— Powiedz swojemu synowi — zagrzmiał Czangez, zwracaj ąc się do Nasrin

— że jeżeli pojechał za granicę po to, aby nauczyć się pogardy dla własnego rodzaju, wówczas jego własny rodzaj może odnieść się wobec niego jedynie z pogard ą. Czymżeż on jest? Fauntleroyem jakimś, ważniakiem? Czy to ma być moje przeznaczenie: stracić syna, znaleźć dziwaka?— Czymkolwiek jestem, ojcze drogi — odpowiedział Saladyn — zawdzięczam to wszystko tobie.Była to ich ostatnia rodzinna pogawędka. Przez to całe lato atmosfera w domu była napięta, mimo ci ągłych prób mediacji podejmowanych przez Nasrin, musisz przeprosić swojego ojca, kochanie, biedny człowiek cierpi diabelnie, lecz jego du-ma nie pozwala mu uścisn ˛

ać się. Nawet niania Kasturba i stary służ ący Wallabh, jej m ąż, próbowali pojednać obu, ale ani ojciec, ani syn nie chcieli ust ąpić. —

Problemem jest to samo tworzywo — powiedziała Kasturba do Nasrin. — Tatuś i synek, to samo tworzywo, to samo staje wobec tego samego.Kiedy we wrześniu rozpoczęła się wojna z Pakistanem, Nasrin postanowiła z pewn ą przekor ą, że nie odwoła swoich pi ątkowych przyjęć, — aby pokazać, że wyznawcy hinduizmu i muzułmanie potrafi ą nie tylko nienawidzić się nawzajem, ale i kochać — zaznaczyła. Czangez zobaczył błysk w jej oczach i nie próbował

nawet dyskutować, zamiast tego kazał służbie założyć na wszystkie okna zaciem-niaj ące zasłony. Tego samego wieczoru ubrany w smoking Saladyn Czamczawalla wyst ąpił w swojej starej roli odźwiernego i kiedy przyszli goście — ci sami starzy goście, przyprószeni siwym pudrem swojego wieku, ale poza tym ci sami

— obdarzyli go tymi samymi uściskami i pocałunkami, co dawniej, nostalgicz-41

nym błogosławieństwem jego młodości. — Popatrzcie, jak wyrósł — mówili. —

Po prostu kochany chłopak, co tam mówić. — Wszyscy próbowali ukryć swój lęk przed wojn ą. Niebezpieczeństwo nalotów lotniczych, podawało radio, i kiedy głaszcz ąc mierzwili mu włosy, ich ręce trochę zbyt mocno się trzęsły lub też były trochę zbyt szorstkie.Później tego wieczora zaśpiewały syreny i goście pobiegli się schronić, kryj ąc się pod łóżkami, w szafach, wszędzie. Nasrin Czamczawalla została sama przy su-to zastawionym stole i próbowała uspokoić obawy towarzystwa, stoj ąc tam w sari upstrzonej tytułami gazet i żuj ąc kawałek ryby, jak gdyby nic ważnego się nie stało. Tak więc, kiedy zaczęła się dławić ości ą swojego przeznaczenia, nie by-ło nikogo, kto by jej pomógł, wszyscy z zamkniętymi oczyma chowali się po k ątach; nawet Saladyn, pogromca wędzonych śledzi, Saladyn, zuchwalec prosto z Anglii, stracił panowanie nad sob ą. Nasrin Czamczawalla upadła, dostała drga-wek, próbowała złapać powietrze, umarła i kiedy syreny odwołały alarm i goście bojaźliwie wynurzyli się z zakamarków, w samym środku jadalni znaleźli gospo-dynię wygasł ą, wykradzion ą przez anioła śmierci, khali-pili chalas, jak utrzymuje plotka w Bombaju, uśmiercon ą bez żadnego powodu, odeszła na dobre.

\* \* \*W niecały rok po śmierci Nasrin Czamczawalli, spowodowanej niemożności ą zatriumfowania nad ościami, tak jak udało się to jej synowi wykształconemu w zagranicznej szkole, Czangez ożenił się ponownie, nie uprzedzaj ąc o tym nikogo. Saladyn przebywaj ący w college’u w Anglii otrzymał list od ojca nakazuj ący mu — w irytuj ąco bombastycznym i przestarzałym stylu, który Czangez zawsze stosował w korespondencji — by był szczęśliwy. „Wesel się — mówił list —

albowiem to, co było i zginęło, odrodziło się na nowo”. Wyjaśnienie tego tajemniczego zdania przyszło później, w radiotelegramie, i kiedy Saladyn dowiedział

się, że macocha ma również na imię Nasrin, coś się popsuło w jego głowie i napisał ojcu list pełen okrucieństwa i gniewu, nasycony tak ą gwałtowności ą, jaka istnieje jedynie między ojcami i synami i która różni się od tej między córkami i matkami tym, że zawsze czai się w niej możliwość połamanych szczęk. Czangez odpisał natychmiast odwrotn ą poczt ą krótki list, cztery linijki staroświeckich obelg, cham drań łotr hultaj szuja łobuz. „Uprzejmie przyjmij do wiadomości, że wszystkie zwi ązki rodzinne zostaj ą raz na zawsze zerwane” — kończył się list.„Odpowiedzialność za skutki spada na ciebie.”Po roku ciszy Saladyn otrzymał następn ą wiadomość, list wybaczenia, który we wszystkich swoich szczegółach był jeszcze trudniejszy do przyjęcia niż ten 42

wcześniejszy, ekskomunikuj ący grom. „Kiedy zostaniesz ojcem, o mój synu —

zwierzał się Czangez Czamczawalla — wówczas na pewno poznasz te chwile —

ach! Przemiłe! — kiedy dla zabawy huśta się urocze dziecko na kolanie i kiedy bez ostrzeżenia i wyraźnego powodu to błogosławione stworzenie — czy mogę być szczery? — moczy ojca. Może przez krótk ą chwilę robi się od tego mdło, a krew się w żyłach gotuje, lecz potem gniew znika równie szybko, jak się pojawił.Bo czyż my, dorośli, nie rozumiemy, że nie można tego mieć dziecku za złe?Przecież ono nie wie, co czyni.”Dotknięty do żywego porównaniem go do siusiaj ącego niemowlaka, Saladyn zachował milczenie, które — miał nadzieję — było reakcj ą pełn ą godności. Zanim ukończył studia, uzyskał brytyjski paszport, ponieważ zdołał przybyć do tego kraju przed zaostrzeniem przepisów, mógł więc poinformować Czangeza w krótkim liściku, że zamierza osi ąść w Londynie i poszukać pracy jako aktor. Odpowiedź

Czangeza Czamczawalli nadeszła ekspresem. „Równie dobrze możesz sobie być cholernym żigolakiem. Jestem przekonany, że jakiś diabeł cię opętał i pomieszał

ci zmysły. Ty, który otrzymałeś tak wiele, czy nie uważasz, że jesteś ludziom winien co nieco? Twojemu krajowi? Pamięci twojej drogiej matki? Własnemu ro-zumowi? Czy masz zamiar spędzić swoje życie kołysz ąc biodrami i wdzięcz ąc się w świetle reflektorów, całuj ąc blondynki na oczach obcych ludzi, którzy za-płacili, by ogl ądać twoj ą hańbę? Nie jesteś moim synem, ale ghulem, hoszem, diabłem z piekła. Aktor, też mi! Odpowiedz mi na to: co mam powiedzieć moim przyjaciołom?”A pod podpisem patetyczne i rozdrażnione post scriptum. „Skoro już masz swoich własnych złych dżinnów, nie wyobrażaj sobie, że dostaniesz w spadku czarodziejsk ą lampę.”

\* \* \*Potem Czangez Czamczawalla pisywał do syna sporadycznie, nieregularnie i w każdym liście powracał do tematu demonów i opętania. „Człowiek nieszczery wobec siebie samego staje się dwunożnym kłamstwem, a takie bestie s ą najlepszym dziełem Szatana”. Napisał również w bardziej sentymentalnym nastroju:

„Przechowuję bezpiecznie twoj ą duszę, mój synu, tutaj, w tym drzewie orzecha włoskiego. Diabeł ma jedynie twoje ciało. Kiedy uwolnisz się od niego, wróć i za-ż ądaj swojego nieśmiertelnego ducha. Rozwija się on bujnie tu, w ogrodzie”.Charakter pisma w tych listach zmienił się na przestrzeni lat, na pocz ątku wyrażał przeładowan ą ozdobnikami pewność siebie, co na pierwszy rzut oka wy-różniało go spośród innych, a z czasem był coraz bardziej ścisły, surowy, oczysz-43

czony. W końcu listy przestały przychodzić, lecz Saladyn dowiedział się z innych źródeł, że zaabsorbowanie ojca sprawami nadprzyrodzonymi w dalszym ci ągu się pogłębiało, aż w końcu stał się odludkiem, być może po to, aby uciec przed tym światem, w którym demony potrafiły zawładn ąć ciałem jego własnego syna, przed światem niebezpiecznym dla człowieka prawdziwej wiary.Przemiana, jak ą przeszedł jego ojciec, wzburzyła Saladyna, nawet jeżeli dzielił ich tak duży dystans. Rodzice jego byli muzułmanami, jakkolwiek religię traktowali bez specjalnego entuzjazmu i dość niefrasobliwie, czyli w sposób typowy dla mieszkańców Bombaju; Czangez Czamczawalla wydawał się jego małemu synkowi o wiele bardziej bosk ą postaci ą niż jakiś tam Allah. Bezbożny syn Czamczawalli nie mógł się pogodzić z faktem, że jego ojciec, to świeckie bóstwo (aczkolwiek obecnie zdyskredytowane) pada na kolana w podeszłym wieku i wybija pokłony w kierunku Mekki.— Winię za to tę wiedźmę — mrukn ął do siebie, dla celów retorycznych posługuj ąc się językiem czarów i chochlików, którego używał jego ojciec. — Ta Nasrin numer dwa. Czy to ja stałem się celem sztuk diabelskich, czy to ja jestem opętany? Przecież to nie mój charakter pisma się zmienił.Listy przestały przychodzić. Minęły całe lata i wówczas Saladyn Czamcza, aktor, człowiek zawdzięczaj ący wszystko sobie samemu, przyjechał do Bombaju razem z aktorami grupy Prospero Players; miał wyst ąpić w roli hinduskiego lekarza w „Milionerce” George’a Bernarda Shawa. Na scenie przystosował swój głos do wymagań roli, lecz od dawna tłumione zwroty, te zarzucone samogłoski i spół-głoski, zaczęły wydostawać się z jego ust również poza teatr. Jego głos zdradzał

go, i odkrył, że także inne części jego ciała zdolne s ą do popełnienia kolejnych zdrad.

\* \* \*Człowiek, który postanawia ukształtować siebie na nowo, według sposobu widzenia świata, podejmuje się roli Stwórcy; postępuje wbrew naturze, jest bluźnierc ą, najszkaradniejszym szkaradziejstwem. Patrz ąc na niego pod innym k ątem, można dostrzec patos i heroizm jego walki i gotowość poniesienia ryzyka; nie wszyscy mutanci pozostaj ą przy życiu. Albo też, spójrzcie z socjopolitycznego punktu widzenia: większość migrantów uczy się i potrafi stać się przebraniem, mask ą. Nasze własne fałszywe opisy, które usiłuj ą przeciwstawić się niepraw-dom, które się o nas wymyśla, maj ą skrywać ze względu na bezpieczeństwo nasze prawdziwe „ja”.

Człowiek, który wymyśla sam siebie, potrzebuje kogoś, kto by wierzył w nie-44

go, aby udowodnić, że zamysł mu się powiódł. Znowu odgrywanie roli Boga, można by powiedzieć. Albo też można by zejść o kilka stopni w skali w dół i pomyśleć o Dzwoneczku, wróżki nie istniej ą, jeżeli dzieci nie klaszcz ą z uciechy w dłonie. Albo też można by po prostu powiedzieć: tak właśnie wygl ąda natura ludzka.Nie tylko potrzeba, aby ktoś w nas uwierzył, ale również potrzeba wiary w drugiego. No i mamy to: Miłość.Saladyn Czamcza spotkał Pamelę Lovelace pięć i pół dnia przed końcem lat sześćdziesi ątych, kiedy to kobiety nosiły barwne chusteczki na głowach. Stoj ąc na środku pokoju wypełnionego trockizuj ącymi aktorami, utkwiła w nim wzrok tak błyszcz ący, tak błyszcz ący. Bawił j ą, zmonopolizował j ą na cały wieczór i ani przez chwilę uśmiech nie znikn ął z jej twarzy, a wyszła w towarzystwie innego mężczyzny. Pojechał do siebie, aby śnić o jej oczach i uśmiechu, wysmukłej figurze, gładkiej skórze. Śledził j ą przez dwa lata. Anglia niechętnie oddaje swoje skarby. Własna wytrwałość była czymś dla niego zdumiewaj ącym i zrozumiał, że stała się ona opiekunk ą jego przeznaczenia, że jeżeli nie da się ubłagać, cała ta jego próba metamorfozy spali na panewce. — Pozwól mi — prosił, delikatnie mocuj ąc się z ni ą na dywaniku, a kończyło się to tak, że stał potem na przystan-kach autobusowych o północy, cały w kłaczkach świadcz ących o jego grzechu. —

Uwierz mi. Jestem tym jedynym.Którejś nocy niespodziewanie pozwoliła mu, powiedziała, że uwierzyła. Poślubił j ą, zanim zd ążyła się rozmyślić, ale nigdy nie nauczył się czytać w jej myślach. Kiedy była nieszczęśliwa, zamykała się w sypialni aż do poprawy samopo-czucia. — Nie twoja sprawa — mówiła mu. — Nie chcę, aby ktokolwiek widział

mnie w tym stanie. — Nazywał j ą ostryg ą. — Otwórz — wołał do wszystkich drzwi ich wspólnego życia, najpierw w suterenie, później w wynajętej części do-mu, a w końcu w okazałej rezydencji. — Kocham cię. Wpuść mnie. — Tak bardzo potrzebował, aby rozproszyła w ątpliwości dotycz ące jego własnego istnienia, że nigdy nie dostrzegł rozpaczy w jej olśniewaj ącym wiecznym uśmiechu, przerażenia w rozpromienionej twarzy, z któr ą stawała wobec świata, ani też powodów, dla których chowała się, kiedy już nie była w stanie uśmiechn ąć się czaruj ąco.Dopiero kiedy było już za późno, powiedziała mu, że jej rodzice popełnili razem samobójstwo — tuż po jej pierwszej menstruacji — tkwi ąc po szyję w karcianych długach, pozostawiaj ąc j ą z arystokratycznym donośnym głosem wyróżniaj ącym j ą jako złot ą dziewczynę, kobietę, której należy zazdrościć, a w rzeczy samej była istot ą porzucon ą, zagubion ą, której rodzice nie zadali sobie nawet trudu, aby poczekać i popatrzeć, jak dorasta. Oto jak bardzo j ą kochano, tak więc oczywiście nie miała żadnej pewności siebie i każda jej chwila spędzona na świecie wypeł-niona była panik ą, uśmiechała się więc i może raz w tygodniu zamykała za sob ą drzwi na klucz, czuj ąc się jak str ączek, pusta w środku łupina orzeszka ziemnego, jak małpa, której odebrano orzech.45

Nigdy nie udało się im mieć dzieci; uważała, że to jej wina. Po dziesięciu latach Saladyn odkrył, że coś jest nie tak z części ą jego własnych chromosomów, dwie pałeczki za długie czy też za krótkie, nie mógł sobie przypomnieć. Jego genetyczne dziedzictwo; najwidoczniej miał szczęście, że istnieje i że nie jest jakimś rodzajem okaleczonego potwora. Czy to po matce, czy po ojcu, lekarze nie potrafili odpowiedzieć, on sam winił, łatwo odgadn ąć kogo, ostatecznie nie wypada źle mówić o zmarłych.Ostatnio ich wspólne życie nie układało się.Przyznał się do tego przed sob ą dopiero po fakcie.Wtedy powiedział sam sobie, przechodziliśmy kryzys, być może powodem był brak dzieci, a może po prostu każde z nas poszło swoj ą drog ą, może to, a może tamto.Wcześniej odwracał wzrok od wszelkich napięć, wszelkich utarczek, wszelkich konfliktów, które nigdy nie rozpoczęły się na dobre, zamykał oczy i czekał, aż powróci jej uśmiech. Pozwolił sobie uwierzyć w ten uśmiech, tę olśniewaj ąc ą imitację prawdziwej radości.Próbował wymyślić szczęśliw ą przyszłość dla nich obojga, zmusić, aby się spełniła — najpierw wyobrażaj ąc j ą sobie, a następnie w ni ą wierz ąc. Podczas lotu do Indii myślał sobie, że jest niesamowitym szczęściarzem maj ąc tak ą kobietę, ależ mam szczęście, tak, na pewno, nie próbuj spierać się, mam tak cholerne szczęście, jak nikt na świecie. Oraz jak cudown ą rzecz ą było to, że miał przed sob ą dług ą, cienist ą aleję lat, mil ą perspektywę starzenia się w obecności tak delikatnej osoby.Tak ciężko nad tym pracował i tak blisko już był wiary w prawdziwość tych lichych wymysłów, że kiedy poszedł do łóżka z Zini Wakil na drugi dzień po przylocie do Bombaju, pierwsz ą rzecz ą, której dokonał, było omdlenie, całkowita utrata przytomności, gdyż sygnały dochodz ące do jego mózgu były zasadniczo ze sob ą sprzeczne, jak gdyby prawe oko widziało, że świat przesuwa się w lew ą stronę, a jednocześnie lewe — że wręcz odwrotnie, świat ten właśnie ześlizguje się w prawo.Zini była pierwsz ą Hindusk ą, z któr ą się kochał. Wtargnęła do jego garderoby po premierze „Milionerki” ze swoimi operowymi ramionami i ochrypłym głosem, jak gdyby nie minęło tak wiele lat. Lat. — Mój drogi, co za rozczarowanie, słowo daję, siedziałam przez całe to przedstawienie po to tylko, żeby usłyszeć jak śpie-wasz „Goodness Gracious Me” jak Peter Sellers, pomyślałam, sprawdźmy, czy ten facet nauczył się trafiać we właściw ą nutę, pamiętasz, jak naśladowałeś Elvisa z rakiet ą do squasha, kochanie, byłeś przesadnie komiczny, zupełnie zwariowany.A co tu wyprawiasz? Piosenki to nie sztuka dramatyczna. A, do diabła. Słuchaj, czy możesz zwiać od tych wszystkich bladych twarzy i pójść na miasto z nami, 46

kolorowymi? Może już zapomniałeś, jak wygl ąda nasze życie?Pamiętał j ą jako patykowat ą, chud ą nastolatkę, która miała włosy w stylu Ma-ry Quant, zaczesane na jedn ą stronę twarzy i uśmiech wykrzywiony w przeciwn ą.Narwaniec, niedobra dziewczyna. Pewnego dnia, dla ubawu, weszła do ciesz ącej się zł ą sław ą addy, spelunki na Falkland Road, i siedziała tam, pal ąc papierosy i pij ąc colę, aż wreszcie stręczyciele, którzy prowadzili tę melinę, zagrozili, że potn ą jej twarz, to nie miejsce dla cichodajek. Wytrzymała ich wzrok, powoli skończyła papierosa, wyszła. Nieustraszona. Może wariatka. Teraz, w wieku trzydziestu paru lat była dyplomowanym lekarzem, konsultantem w szpitalu Breach Candy, kobiet ą, która pracowała wśród bezdomnych tego miasta, która pojechała do Bopalu natychmiast po ogłoszeniu wiadomości, że niewidzialna amerykańska chmura zżera ludziom oczy i płuca. Była krytykiem sztuki, autork ą ksi ążki na temat ograniczaj ącego mitu autentyczności, tego folklorystycznego gorsetu, który chciała zast ąpić etyk ą historycznie uprawomocnionego eklektyzmu, bo czyż cała narodowa kultura nie opierała się na zasadzie pożyczania wszelkich ubrań, jakie tylko wydaj ą się pasować, od Aryjczyków, Mogołów czy Brytyjczyków, wybierz-

-co-najlepsze-i-zostaw-resztę? — ta ksi ążka narobiła sporo smrodu, czego zreszt ą można się było spodziewać, szczególnie z powodu tytułu. Nazwała j ą „Jedyny dobry Hindus”. — To znaczy, że jest nim martwy Hindus — powiedziała Czamczy, daj ąc mu egzemplarz. — Dlaczego miałby istnieć jakiś dobry, uczciwy sposób na bycie kolorowym? To jest w rzeczywistości hinduski fundamentalizm. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy złymi Hindusami. A niektórzy jeszcze gorsi niż cała reszta.Jej uroda rozkwitała w pełni, długie włosy spływały na plecy; z pewności ą nie była to ta sama patykowata postać z przeszłości. Pięć godzin po tym, jak weszła do jego garderoby, znaleźli się w łóżku, a on zemdlał. Kiedy doszedł do siebie, powiedziała mu: — Dałam ci whisky z narkotykiem. — Nigdy nie doszedł do tego, czy mówiła prawdę, czy też nie.Zinat Wakil miała względem Saladyna pewien plan. — Nawrócenie — wyjaśniła. — Panie, odzyskamy cię. — Czasami miał wrażenie, że zamierza tego dokonać, jedz ąc go żywcem. Kochała się z nim jak kanibal, był dla niej podłużn ą porcj ą pieczystego. — Czy wiedziałaś — pytał j ą — o istnieniu jak najbardziej do-wiedzionego powi ązania pomiędzy wegetarianizmem a odruchem zjadania ludzi?— Zini, gryz ąc na drugie śniadanie jego nagie udo, potrz ąsnęła głow ą. — W pewnych ekstremalnych przypadkach — kontynuował — nadmierne spożycie roślin może spowodować wprowadzenie do organizmu substancji biochemicznych, które wywołuj ą ludożercze zachcianki. — Spojrzała na niego i ukośny uśmiech rozpromienił jej twarz. Zini, ten piękny wampir. — Dość tego — powiedziała. —

Jesteśmy narodem wegetarianów i kulturę mamy pokojow ą, mistyczn ą, to wiedz ą wszyscy.Natomiast jeśli o niego chodziło, obowi ązywało go ostrzeżenie: „Uprasza się 47

traktować ostrożnie”. Kiedy po raz pierwszy dotkn ął piersi Zini, z jej oczu trysnę-ły gor ące, zdumiewaj ące łzy o barwie i konsystencji bawolego mleka. Widziała, jak umiera jej matka, krojona jak kurczak na obiad, najpierw lewa pierś, później prawa, a mimo to rak rozprzestrzeniał się. Obawa Zini, że podzieli los matki, spowodowała, że jej piersi stały się obszarem zakazanym. Ukryty lęk nieustraszonej Zini. Nigdy nie urodziła dziecka, lecz jej oczy płakały mlekiem.Po ich pierwszym akcie miłosnym od razu zabrała się za niego, nie pamiętaj ąc już o łzach. — Wiesz, czym jesteś, powiem ci. Dezerterem, oto czym jesteś, bardziej angielski niż twój angelsky akcent owinięty wokół ciebie jak flaga, i nie myśl sobie, że jest tak doskonały, on ci ci ągle zjeżdża, baba, jak sztuczne w ąsy.„Dzieje się coś dziwnego — chciał powiedzieć. — Mój głos”. Ale nie wiedział, jak to wyrazić i w końcu nie odezwał się wcale.— Ludzie tacy jak ty — prychnęła, całuj ąc go w ramię. — Wracacie tutaj po tak długim czasie i uważacie się bóg jeden wie za kogo. Cóż, kochanie, mamy o was dużo gorsze zdanie. — Uśmiech miała bardziej promienny niż Pamela. —

Tak, rozumiem — powiedział do niej. — Zini, nie zgubiłaś swojego uśmiechu Binaki.Binaka. Sk ąd się to znowu wzięło, ta dawna, zapomniana reklama pasty do zębów? I samogłoski brzmi ące najwyraźniej niepewnie. Uważaj, Czamcza, uważaj na swój cień. Tego ciemnoskórego faceta skradaj ącego się z tyłu.Następnego wieczora przyszła do teatru, holuj ąc dwóch przyjaciół, młodego marksistę, reżysera filmowego George’a Mirandę, powłócz ącego nogami wielo-ryba z podwiniętymi rękawami sięgaj ącej, do ud długiej koszuli, jego trzepoc ąca na wietrze kamizelka nosiła wyraźne ślady starych plam, a zadziwiaj ące żołnier-skie w ąsy miały woskowane koniuszki, oraz Bhupena Gandhiego, poetę i dziennikarza, który przedwcześnie posiwiał, ale którego twarz wydawała się posiadać niewinność niemowlęcia, dopóki nie wydobył z siebie przebiegłego chichotu. —

Chodźżeż, Salad baba — oznajmiła Zini — pokażemy ci miasto. — Tu zwróciła się do swoich towarzyszy: — Ci Azjaci z zagranicy wstydu nie maj ą — oświadczyła. — Saladynie, proszę cię jak jak ąś głupi ą sałatę!— Kilka dni temu przyjechała tu reporterka telewizyjna — powiedział George Miranda, — Różowe włosy. Twierdziła, że nazywa się Kerleeda. Nie mogłem tego rozgryźć.— Słuchaj, George jest zbyt oderwany od świata — przerwała Zini. — Nie ma pojęcia, w jakich dziwaków wy, faceci, się zmieniacie. Ta panna Singh, wprost skandaliczne! Powiedziałam jej, twoje nazwisko brzmi Chalida, kochanie, rymuje się z Dalda, to taki środek do gotowania. Ale ona nie potrafiła wymówić. Swojego własnego nazwiska! Zaprowadź mnie do waszego kerlidera. Tacy jak wy nie posiadaj ą żadnej kultury. Po prostu kolorowi. No i co, nieprawdaż? — dodała, nagle radosna z oczyma zaokr ąglonymi w obawie, że posunęła się za daleko. —

Przestań znęcać się nad nim, Zinat — powiedział Bhupen Gandhi swoim cichym 48

głosem. A George, zakłopotany wymamrotał: — Żadnej obrazy, człowieku. Dowcip, ha, ha.Czamcza postanowił zrobić dobr ą minę do złej gry, a następnie kontratakować.— Zini — powiedział. — Ziemia pełna jest Hindusów, wiesz przecież o tym, zjawiamy się wszędzie, zostajemy druciarzami w Australii, a nasze głowy l ąduj ą w lodówce Idi Amina. Kolumb miał rację, być może świat składa się z samych Indii, Wschodnich, Zachodnich, Pomocnych, cholera, powinnaś być dumna z nas, naszej przedsiębiorczości, przenikania przez granice. Szkopuł jedynie w tym, że nasza hinduskość jest różna od twojej. Lepiej przyzwyczajaj się do nas. Jaki to tytuł ma ta ksi ążka, któr ą napisałaś?— Słuchajcie — Zini wsunęła mu rękę pod ramię. — Słuchajcie mojego Sala-da. Nagle chce być Hindusem, kiedy już całe swoje życie spędził, próbuj ąc zmienić kolor skóry na biały. Nie wszystko jest stracone, widzicie. Coś tam w nim jeszcze drzemie. — I Czamcza poczuł, że rumieni się, poczuł, że krew uderza mu do głowy. India; ależ to komplikowało sprawy.— Na miłość bosk ą — dodała, cmokaj ąc go w policzek — Czamcza, chcę powiedzieć, pieprz to. Każesz się nazywać Panem, Lizuskiem i chcesz, żebyśmy się nie śmiali.

\* \* \*W mocno zużytym Hindustanie Zini, samochodzie zbudowanym dla społeczeństwa służ ących, w którym tylne siedzenia maj ą lepsz ą tapicerkę niż przednie, Czamcza czuł, że noc, jak tłum, zacieśnia się coraz bardziej wokół niego. India mierz ąca go miar ą swojego zapomnianego ogromu, sama jej obecność, odwieczny pogardzany rozgardiasz. Nagle wyrósł przed nim hidżra, przebrany za Amazon-kę, niby hinduska — Wonder Woman, uzbrojony w srebrny trójz ąb, zatrzymał

ruch uliczny jednym władczym gestem i powoli przesun ął się przed nimi. Czamcza wpatrywał się w jejjego groźne oczy. Gibril Fariszta, gwiazdor filmowy, który znikn ął w nie wyjaśniony sposób, rozkładał się na olbrzymich afiszach. Gruz, śmieci, hałas. Dymi ące reklamy papierosów: SCISSORS — DLA CZŁOWIEKA W AKCJI DU ŻO SATYSFAKCJI. Albo, co było jeszcze bardziej nieprawdopodobne: PANAMA — CZ Ę ŚCI Ą WIELKIEGO KRAJOBRAZU INDYJSKIEGO.— Dok ąd jedziemy? — Noc przybrała kolor zielonych neonowych reklam.Zini zaparkowała samochód. — Zgubiłeś się — zarzuciła mu. — Co ty wiesz o Bombaju? Niby twoje własne miasto, ale tak naprawdę, nigdy nim nie było.Dla ciebie jest ono snem z dzieciństwa. Spędzić młodość w dzielnicy Scandal Point to tak samo, jak żyć na księżycu. Żadnych biedaków, nic z tego, tylko służba 49

domowa. Czy pojawiła się tam kiedykolwiek Armia Siwy, aby wywołać rozruchy społeczne? Czy twoi s ąsiedzi cierpieli głód podczas strajku włókniarzy? Czy Datta Samant urz ądził wiec pod waszymi domami? Ile miałeś lat, kiedy po raz pierwszy ujrzałeś zwi ązkowca? Kiedy po raz pierwszy wsiadłeś do podmiejskie-go poci ągu, zamiast do samochodu z szoferem? To nie był Bombaj, kochanie, przepraszam cię. To była Kraina Czarów, Peristan, Życie-Na-Kredyt, Kraina Oz.— A ty? — przypomniał jej Saladyn. — Gdzie byłaś wtedy?— W tym samym miejscu — powiedziała z zawziętości ą. — Z wszystkimi innymi przeklętymi munchkinami.Ciche uliczki. Dzinijska świ ątynia w remoncie, na wszystkich figurkach świętych plastikowe worki chroni ące przed farb ą. Uliczny sprzedawca oferuj ący gazety pełne okropności: katastrofa kolejowa. Bhupen Gandhi zacz ął mówić łagodnym szeptem. Tuż po katastrofie, powiedział, pasażerowie, którzy przeżyli, zaczęli płyn ąć do brzegu (poci ąg spadł z mostu) i tam zajęli się nimi miejscowi chłopi, tak długo odpychali ich od brzegu, aż ci potonęli, wówczas ograbili ich ciała.— Zamknij gębę — wrzasnęła na niego Zini. — Dlaczego opowiadasz mu takie historie? On już bez tego uważa nas za dzikusów, niższy gatunek.W jakimś sklepiku sprzedawano drzewo sandałowe do spalenia na ofiarę w pobliskiej świ ątyni Kryszny oraz komplety pokrytych emali ą biało-różowych oczu Kryszny, które widz ą wszystko. — Cholera, za dużo do ogl ądania — mrukn ął

Bhupen. — To jasne.

\* \* \*Na zatłoczonej dhaba, któr ą George zacz ął odwiedzać, kiedy usiłował nawi ązać kontakt w sprawach filmowych z członkami gangu i bossami rz ądz ącymi przemysłem rozpusty w mieście, pito ciemny rum przy aluminiowych stolikach, a George i Bhupen, będ ąc już na lekkim rauszu, posprzeczali się. Zini piła Thums Up Colę i w rozmowie z Czamcz ą otwarcie skrytykowała swoich przyjaciół. —

Nałogowi pijacy, obydwaj, spłukani do cna, obaj znęcaj ą się nad żonami, prze-siaduj ą w knajpach, marnuj ą swoje parszywe życie. Nic dziwnego, że straciłam głowę dla ciebie, kochany, jeżeli produkt miejscowy jest tak niskiej jakości, za-czynamy lubić towary z zagranicy.George był w Bopalu razem z Zini i coraz głośniej rozprawiał o katastrofie, interpretuj ąc j ą w sposób ideologiczny. — Czym jest Amrika dla nas? — zapytał.— Jest miejscem nierealnym. Potęg ą w najczystszej formie, bezcielesn ą, niewidzialn ą. Nie widzimy jej, a jednak wci ąż nas dręczy, nie ma ucieczki. — Porównał

towarzystwo Union Carbide do konia trojańskiego. — To my przecież zaprosili-50

śmy tych skurwysynów. To było tak, jak w opowiadaniu o czterdziestu rozbójni-kach — powiedział. — Ukryli się w amforach i czekali na nadejście nocy. My nie mieliśmy żadnego Alibaby, na nieszczęście — wykrzykn ął. — Kogo mieliśmy?Pana Radżiwa G.W tym momencie Bhupen Gandhi podniósł się nagle z miejsca, stan ął na drż ących nogach i zacz ął zeznawać, jak gdyby opętał go jakiś duch. — Według mnie

— powiedział — nie o obc ą interwencję tu chodzi. Zawsze pobłażaliśmy sobie, zrzucaj ąc winę na obcych, Amerykę, Pakistan, jakikolwiek inny cholerny kraj.Przepraszam cię, George, ale według mnie wszystko zaczyna się w Asam i od tego musimy zacz ąć. — Rzeź niewini ątek. Fotografie dziecięcych trupów, ułożonych starannie w rzędach jak żołnierze na defiladzie. Zatłuczono je pałkami, ukamienowano, nożami poderżnięto im gardła. Te równe szeregi śmierci, przypomniał sobie Czamcza. Jak gdyby dopiero ten okrutny widok potrafił zmusić Indię do zachowania porz ądku.Bhupen przemawiał przez dwadzieścia dziewięć minut bez zaj ąknięć czy przerw. — Wszyscy jesteśmy winni tego, co się stało w Asamie — powiedział. —

Każdy z nas. O ile i dopóki nie przyjmiemy do wiadomości, że śmierć tych dzieci obarcza win ą każdego z nas i jeżeli nie potrafimy się do tego przyznać, nie możemy nazywać się cywilizowanym narodem. — Kiedy mówił, popijał rum wielkimi łykami i jego głos stawał się coraz donośniejszy, a ciało zaczęło się niebezpiecznie przechylać, lecz mimo że w sali zapanowała cisza, nikt nie ruszył w jego kierunku, nikt nie usiłował mu przerwać, nikt nie nazwał go pijakiem. W środku zdania: codzienne wypadki oślepiania ludzi lub dzień w dzień strzelanina, lub przypadki korupcji, za kogo my się usiadł ciężko i utkwił wzrok w swoim kieliszku.Zaraz też w odległym rogu knajpy wstał młody człowiek i podj ął dyskusję.Asam należy rozumieć w kategoriach politycznych, zawołał, istniały przyczyny ekonomiczne, a jeszcze inny człowiek poderwał się na nogi, żeby odpowiedzieć, sprawy finansowe nie wyjaśniaj ą, dlaczego dorosły człowiek zatłukuje pałka ma-ł ą dziewczynkę na śmierć, na co inny facet powiedział, jeżeli tak pan uważa, to nigdy pan nie był głodny, salah, cóż za cholernie romantyczne przypuszczenie, że ekonomia nie może zmienić ludzi w dzikie bestie. Czamcza zacisn ął kurczowo rękę na swoim kieliszku, kiedy hałas gwałtownie wzrósł, powietrze zdawało się gęstnieć, złote zęby błyskały tuż przed jego twarz ą, ramiona ocierały się o niego, łokcie tr ącały go, powietrze powoli zmieniało się w zupę, a w jego klatce piersiowej zaczęło się nieregularne kołatanie. George złapał go za rękę i wyci ągn ął na ulicę. — W porz ądku, człowieku? Zrobiłeś się zielony. — Saladyn podziękował

kiwnięciem głowy, nabrał w płuca nocnego powietrza i uspokoił się. — To rum i wyczerpanie — powiedział. — Dziwne, ale zwykle po przedstawieniu nerwy odmawiaj ą mi posłuszeństwa. I często zaczynam się cały trz ąść. Powinienem był

wiedzieć. — Zini patrzyła na niego i w jej oczach było coś więcej niż współczucie. Błyszcz ące spojrzenie, triumfuj ące, twarde. Coś do ciebie dotarło, pożerała 51

go oczyma. No i, kurde, najwyższy czas.Kiedy wyzdrowieje się z duru brzusznego, rozmyślał Czamcza, zyskuje się odporność na tę chorobę na jakieś dziesięć lat. Lecz nic nie jest wieczne; w końcu przeciwciała zanikaj ą. Musiał pogodzić się z faktem, że jego krew nie zawiera już ciał odpornościowych, które pozwoliłyby mu znosić rzeczywistość Indii. Rum, kołatanie serca i przygnębienie. Czas do łóżka.Nigdy nie zabierała go do swojego mieszkania. Zawsze i tylko ten hotel, pełen młodych Arabów ze złotymi medalionami na piersiach, dumnie przemierzaj ących nocne korytarze z butelkami szmuglowanej whisky. Leżał w butach na swoim łóżku, kołnierz koszuli rozpięty, krawat poluzowany, oczy zasłonięte praw ą ręk ą; ona w białym hotelowym płaszczu k ąpielowym pochyliła się nad nim i pocałowała go w podbródek. — Powiem ci, co ci się przydarzyło dzisiejszego wieczora —

powiedziała. — Można by powiedzieć, że rozbiliśmy twoj ą skorupę.Poderwał się, wściekły. — Tak, oto, co jest w środku — rzucił jej w twarz. —

Hindus przemieniony w angielskie medium. Kiedy teraz próbuję mówić w języku hinduskim, ludzie maj ą uprzejmy wyraz twarzy. Oto ja. — Unieruchomiony w ga-larecie swojego przybranego języka wcześniej już zacz ął słyszeć w tej indyjskiej wieży Babel złowieszcze ostrzeżenie: Nie wracaj już nigdy. Skoro przeszedłeś na drug ą stronę lustra, wracasz na własne ryzyko. Zwierciadło może poci ąć cię na kawałki.— Byłam taka dumna z Bhupena dziś wieczorem — powiedziała Zini, wchodz ąc do łóżka. — W ilu krajach mógłbyś wejść do pierwszego lepszego baru i rozpocz ąć podobn ą debatę? I ta pasja, ta powaga, ten respekt. Zatrzymaj dla siebie swoj ą cywilizację, Lizusku; moja całkiem mi się podoba.— Daj sobie spokój ze mn ą — błagał j ą. — Nie lubię, kiedy ludzie wpadaj ą do mnie bez uprzedzenia, zapomniałem już siedem wersetów i kabaddi, nie umiem odmawiać modlitw, nie wiem, co dzieje się podczas uroczystości nikah, a w mieście, w którym się wychowałem, łatwo bł ądzę, kiedy tylko zostaję sam.To nie jest mój dom. To miejsce przyprawia mnie o zawroty głowy, gdyż jest ono jakby domem i jednocześnie nie jest. Przez to wszystko serce mi drży i kręci mi się w głowie.— Jesteś głupcem — krzyknęła na niego. — Głupcem. Zmień się z powrotem! Cholerny idiota. Oczywiście, że potrafisz. — Była wirem powietrza, syren ą kusz ąc ą go do powrotu do dawnego ja. Ale było to martwe ja, cień, duch, a on nie chciał zostać zjaw ą. W portfelu miał bilet powrotny do Londynu i zamierzał

zrobić z niego użytek.52

\* \* \*

— Nie wyszłaś za m ąż — powiedział do niej, kiedy po bezsennej nocy leżeli obok siebie, wcześnie rano. Zini parsknęła. — Naprawdę nie było cię w kraju zbyt długo. Widzisz mnie? Jestem czarnuchem. — Wygięła plecy i zrzuciła prześcieradło, aby pochwalić się swoimi wdziękami. Kiedy królowa bandytów, Phulan Devi, wyszła wreszcie ze swoich w ąwozów, aby się poddać i aby sfotografowano j ą ze wszystkich stron, gazety z miejsca zaprzestały tworzenia mitu o jej legendarnej urodzie. Teraz stała się prost ˛

a pospolit ˛

a istot ˛

a, nieapetyczn ą, a nie — jak

przedtem — ponętn ˛

a. Ciemna skóra w północnej Indii.— Brednie — powiedział Saladyn — Nie s ądzisz chyba, że w to wierzę.Zaśmiała się. — W porz ądku, jeszcze nie całkiem zidiociałeś. Po co komu małżeństwo? Miałam mnóstwo pracy.A po chwili milczenia, podrzuciła mu tamto pytanie. Więc, dobrze. A ty?Nie tylko żonaty, do tego jeszcze bogaty. — Powiedz więc, na. Powiedz, jak żyjecie, ty i mame. — W pięciopiętrowym domu w Notting Hill. Ostatnio przestał

się tam czuć bezpiecznie, ponieważ kolejna banda włamywaczy zabrała ze sob ą nie tylko, jak zwykle, wideo i stereo, ale również owczarka alzackiego. Zacz ął dochodzić do wniosku, że nie można mieszkać tam, gdzie element przestępczy porywa zwierzęta. Pamela twierdziła, że jest to stary miejscowy zwyczaj. W Bardzo Dawnych Czasach, powiedziała (dla Pameli historia dzieliła się na Erę Starożytn ą, Średniowiecze, Bardzo Dawne Czasy, Okres Imperium Brytyjskiego, Okres Nowożytny i Teraźniejszość), porywanie ulubionych zwierz ąt było lukratywnym zajęciem. Biedacy kradli psiaki bogatym, uczyli je nowych imion i sprzedawali z powrotem ich zmartwionym i bezradnym właścicielom w sklepach na Portobel-lo Road. Historia lokalna podawana przez Pamelę była zawsze pełna szczegółów i często niepewna. — Ależ, mój Boże — powiedziała Zini Wakil. — Musisz natychmiast sprzedać mieszkanie i wyprowadzić się. Ja znam tych Anglików, wszyscy tacy sami, hołota i nababowie. Nie da się walczyć z ich cholernymi tradycjami.Moja żona, Pamela Lovelace, kruchutka jak porcelana, zgrabna jak gazeta, przypomniał sobie. Zapuszczam korzenie w kobiety, które kocham. Banały nie-wierności. Odsun ął je od siebie i mówił o swojej pracy.Kiedy Zini Wakil dowiedziała się, w jaki sposób Saladyn Czamcza dorobił się swoich pieniędzy, zaczęła wyć ze śmiechu, tak że jeden z Arabów w medalionach zapukał do drzwi, chc ąc się upewnić, czy wszystko w porz ądku. Zobaczył piękn ą kobietę siedz ąc ą na łóżku, ze strugami łez jak bawole mleko, spływaj ącymi po jej policzkach i kapi ącymi z podbródka, i przeprosiwszy Czamczę za najście, wycofał

się pospiesznie, przepraszam, stary, hej, ale z ciebie szczęściarz.— Ty biedny ziemniaku. — Zini ciężko oddychała pomiędzy jedn ą a drug ą 53

salw ą śmiechu. — Te angielskie skurwiele. Naprawdę cię załatwiły.A więc teraz z kolei jego praca okazała się śmieszna. — Posiadam dar naśla-dowania różnych typów wymowy — powiedział hardo. — Dlaczego nie miałbym się zatrudnić?— „ Dlaczego nie miałbym się zatrudnić?” — przedrzeźniała go, machaj ąc z uciechy nogami. — Panie aktor, znowu zsun ął się panu w ąsik.O, mój Boże.Co się ze mn ą dzieje?Co, u diabła?Ratunku.Ponieważ faktycznie posiadał ten dar, naprawdę go posiadał, był człowiekiem Tysi ąca i Jednego Głosu. Jeżeli chcieliście wiedzieć, jak powinna mówić wasza butelka ketchupu w reklamie telewizyjnej, jeżeli nie mieliście pewności, jaki powinien być idealny głos waszej paczuszki chrupek o smaku czosnkowym, oto wasz człowiek. Zmuszał dywany, by przemówiły w reklamach domów to-warowych, naśladował znakomitości, prażon ą fasolę, mrożony groszek. W radiu potrafił przekonać słuchaczy, że jest Rosjaninem, Chińczykiem, Sycylijczykiem, prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pewnego razu w sztuce radiowej na trzydzieści siedem głosów grał każd ą z ról, przybieraj ąc mnóstwo pseudonimów, czego nikt się nigdy nie domyślił. Razem z równie utalentowan ą partnerk ą, Mimi Mamoulian, panował nad falami radiowymi Brytanii. Oboje mieli tak duży udział

w finansowych głosoobrotach radia, że, jak to powiedziała Mimi: — Niech ludzie nawet żartem nie mówi ą przy nas o Komisji Antymonopolowej. — Jej możliwości były zdumiewaj ące: mogła naśladować osoby w każdym wieku, pochodz ące z każdego miejsca na świecie, o każdej barwie i wysokości głosu, od anielskiej Julii aż po diaboliczn ą Mae West. — Powinniśmy pobrać się kiedyś, kiedy będziesz wolny — zasugerowała Mimi. — Ty i ja, oboje moglibyśmy być Narodami Zjednoczonymi.— Jesteś Żydówk ą — zauważył. — Zostałem tak wychowany, że mam swoje zdanie na temat Żydów.— No cóż, jestem Żydówk ą — wzruszyła ramionami — ale to ty jesteś obrze-zany. Nikt nie jest doskonały.Mimi była drobnej budowy, miała gęste czarne loki i wygl ądała jak reklama firmy Michelin. W Bombaju, Zinat Wakil przeci ągnęła się i ziewnęła, i wygoniła inne kobiety z jego myśli. — Zbyt wiele — śmiała się z niego. — Płac ą ci za naśladowanie ich, dopóki nie musz ą na ciebie patrzeć. Twój głos staje się sławny, ale ukrywaj ą twoj ą twarz. Może domyślasz się dlaczego? Brodawki na nosie, zez czy co? Czy przyszło ci już coś na myśl, kochanie? Ty sakramencki kapuściany łbie, słowo daję.To prawda, pomyślał. Saladyn i Mimi byli pewnego rodzaju legendami, ale legendami ułomnymi, ciemnymi gwiazdami. Pole grawitacyjne ich umiejętności 54

przyci ągało do nich pracę, ale oni pozostawali niewidoczni, zrzucaj ąc swoje ciała, aby nałożyć głosy. W radiu Mimi mogła stać się Wenus Botticelliego, mogła być Olimpi ą, Monroe, jak ąkolwiek cholern ą kobiet ą, któr ą chciała być. Było jej wszystko jedno, jak wygl ądały; stała się już swoim głosem, warta była maj ątku, a trzy młode kobiety zakochały się w niej beznadziejnie. Kupowała również nieruchomości. — Neurotyczne zachowanie — przyznawała się często bez żenady. —

Przesadna potrzeba zapuszczania korzeni wynikaj ąca z wstrz ąsów w historii or-miańsko-żydowskiej. Pewna doza rozpaczy wynikaj ąca z postępuj ących lat i nie-wielkich polipów wykrytych w gardle. Nieruchomości maj ą taki koj ący wpływ, naprawdę polecam je. — Była właścicielk ą probostwa w Norfolk, zagrody wiejskiej w Normandii, dzwonnicy w Toskanii, wybrzeża morskiego w Bohemii. —

Wszędzie straszy — wyjaśniła. — Szczękanie, wycie, krew na dywanach, kobiety w koszulach nocnych. Nikt nie rezygnuje z ziemi bez walki.Nikt oprócz mnie, myślał melancholijnie Czamcza, kiedy tak leżał obok Zinat Wakil. Może już jestem duchem. Ale przynajmniej duchem posiadaj ącym bilet lotniczy, sukces, pieni ądze, żonę. Cień, ale żyj ący w namacalnym materialnym świecie. Z aktywami. Tak, mój panie.Zini gładziła jego kręc ące się nad uszami włosy. — Czasami, kiedy nic nie mówisz — wyszeptała — kiedy nie mówisz śmiesznymi głosami albo nie udajesz kogoś wielkiego i kiedy zapominasz, że ludzie na ciebie patrz ą, masz obojętny wyraz twarzy. Wiesz? Nie zapisana karta, nikogo tam nie ma. Doprowadza mnie to do szału, czasami chcę dać ci w twarz. Sprawić ci ból, żebyś znowu ożył. Ale to mnie też smuci. Taki głupiec, ty, wielka gwiazda, a twoja twarz ma nieodpowiedni kolor i nie można pokazać cię w kolorowym telewizorze, musisz jechać tu, do kraju br ązowych, z jak ąś nędzn ą trup ą teatraln ą, do tego wszystkiego graj ąc rolę zangielszczonego Hindusa, tylko po to, żeby wyst ąpić w sztuce. Poniewieraj ą tob ą, a mimo to wci ąż jesteś z nimi, wprost ich kochasz, cholerna mentalność niewolnika, daję słowo. Czamcza. — Chwyciła go za ramiona i potrz ąsnęła, siedz ąc na nim okrakiem, a jej zakazane piersi znalazły się tuż przy jego twarzy. — Salad baba, czy jakkolwiek siebie nazywasz, na miłość bosk ą, wróć do domu.Wielki przełom, który wkrótce mógł sprawić, że pieni ądze strac ą dla niego sens, zacz ął się zupełnie niepozornie: program telewizyjny dla dzieci, rzecz zwana „Obcy z kosmosu” z udziałem „Putforiów” z „Wojen Gwiezdnych” w manierze „Ulicy Sezamkowej”. Była to pełna humoru sytuacyjnego komedyjka o naj-różniejszych istotach spoza Ziemi, od rezolutnych po wariatów, od zwierz ąt po jarzyny, a również minerały, ponieważ występowała tam skała kosmiczna, która potrafiła dostarczyć zawarty w niej surowiec, a następnie regenerować się w ci ą-gu tygodnia, przed pojawieniem się w kolejnym odcinku; skała ta nazywała się Pigmobca, a dzięki karkołomnemu poczuciu humoru producentów, w programie pojawiała się również ordynarna, czkaj ąca istota, rzygaj ący kaktus, który pochodził z pustynnej planety na końcu czasu: była to Matilda Australien, pojawiały się 55

również trzy groteskowe, śpiewaj ące, pneumatyczne syreny kosmiczne, znane ja-ko Obce Kolby Kukurydzy, być może nazywały się tak, gdyż można było położyć się pomiędzy nimi, a także był tam hip-hopowy zespół tancerzy z Wenus i grupa sprayowców zasmarowuj ących ściany metra, i również pokrewne dusze, które przejęły dla siebie nazwę Obcego Narodu; a pod łóżkiem, w statku kosmicznym, który był głównym miejscem zdjęć dla tego programu, mieszkał sobie Owadzik, czyli gigantyczny żuczek gnojarek z Mgławicy Raka, który uciekł od swojego tatusia, a w akwarium można było znaleźć Mózgowca, superinteligentn ą gigantyczn ą słuchotkę kalifornijsk ą, która uwielbiała kuchnię chińsk ą, no a poza tym był jeszcze Ridley, najbardziej przerażaj ący z całej obsady, wygl ądał jak jakieś malowidło Francisa Bacona, przedstawiaj ące usta pełne zębów, kołysz ące się na samym końcu ślepego str ąka, do tego miał on bzika na punkcie aktorki Sigourney Weaver. Gwiazdami tego programu, jego Kermitem i pann ą Piggy, była niezwykle modnie i niegustownie ubrana, przedziwnie uczesana para, Maksym i Mamma Obcy, pragn ący tylko jednego — czegóż więcej? — bycia osobowościami telewizyjnymi. W rolach tych obsadzono Saladyna Czamczę oraz Mimi Mamoulian, zmieniaj ących w jednej chwili głosy i kostiumy, nie mówi ąc o fryzurach, zmieniaj ących się między jednym ujęciem a drugim ze szkarłatnych w cynobro-we, włosach, które mogły prostować się na długość trzech stóp, pochylać się na bok, po czym w mgnieniu oka znikać zupełnie; zmieniaj ących rysy twarzy i układ części ciała, tak, gdyż byli zdolni do dowolnej przemiany, zmieniali nogi, ręce, nosy, uszy, oczy, a każda z tych zmian była poł ączona z nowym głosem wydawa-nym przez ich legendarne proteuszowe krtanie. Jednak tym, co uczyniło program przebojem, była najnowocześniejsza komputerowa technika przetwarzania obrazu. Wszystkie tła: statek kosmiczny, pejzaże odległych planet, studia, w których rozgrywały się międzygalaktyczne teleturnieje, były symulowane przez komputer; podobnie sprawa się miała z przetworzonymi przez specjalne urz ądzenia obrazami aktorów, byli oni zobowi ązani spędzać codziennie cztery godziny w towarzystwie awangardowych mistrzów charakteryzacji, którzy zanim jeszcze wł ą-czono komputery, zmieniali ich w istoty podobne komputerowym symulacjom.Maksym Obcy, kosmiczny playboy, i Mamma, niepokonana międzygalaktycz-na mistrzyni w zapasach oraz rekordzistka w spożywaniu makaronu, co wieczór wzbudzali powszechn ą sensację. Wszędzie najlepsze godziny emisji: Ameryka, Eurowizja, cały świat.W miarę jak program „Obcy z kosmosu” zyskiwał na popularności, coraz częściej stawał się przedmiotem krytyki politycznej. Konserwatyści atakowali go za to, że jest zbyt straszny, jego warstwa seksualna zbyt dosadna (wspomnienie o pannie Weaver powodowało u Ridleya erekcję), a całość zbyt dziwaczna. Ra-dykalni komentatorzy zaczęli atakować jego stereotypowość, brak pozytywnych postaci oraz ci ągłe utrwalanie schematu, że obcy z kosmosu s ą zawsze potwora-mi. Zaczęto naciskać na Czamczę, aby odszedł z tego programu; odmówił; stał

56

się celem ataków. — Kiedy wrócę, czekaj ą mnie kłopoty — powiedział do Zini.— Ten cholerny program nie jest alegori ą. Jest po prostu rozrywk ą. Ma sprawiać przyjemność.— Sprawiać przyjemność? Komu? — dopytywała się. — A poza tym, nawet teraz pokazuj ą cię na antenie dopiero wtedy, kiedy pokryj ą ci twarz gum ą, a na głowę wsadz ą czerwon ą perukę. Wielkie mi coś, okazja absolutnie żadna, mówię ci.— Rzecz w tym — powiedziała, kiedy obudzili się następnego ranka — Saladynie, kochanie, że naprawdę jesteś przystojny, bez w ątpienia Skóra jak mleko, świeżo z Anglii. Akurat teraz, kiedy Gibril dał nogę, mógłbyś być następny w kolejce. Mówię poważnie, jar. Potrzebuj ą nowej twarzy. Wróć tylko do kraju i zostaniesz następnym, większym niż był Bachchan, większym od Fariszty. Twoja twarz nie jest tak zabawna jak ich.W młodości, zwierzył się jej, każdy etap jego życia i każda osobowość, któr ą do siebie przypasowywał, wydawały mu się chwilowe i to go uspokajało. Niedoskonałości każdego z tych etapów były nieistotne, gdyż łatwo mógł zast ąpić jedn ą chwilę następn ą, jednego Saladyna innym. Teraz jednak każda zmiana sprawiała ból; arterie tego, co możliwe, zaczęły twardnieć. — Niełatwo mi jest powiedzieć to tobie, wzi ąłem ślub i to nie tylko z żon ą, ale z życiem. — Znowu to potknięcie w akcencie. — Tak naprawdę, to przyjechałem do Bombaju z jednego powodu i nie jest nim wcale ta sztuka. On ma prawie osiemdziesi ąt lat i nie będę miał

następnej okazji. Nie przyszedł do teatru; Mahomet musi iść do góry.Mój ojciec, Czangez Czamczawalla, właściciel cudownej lampy. — Czangez Czamczawalla, chyba żartujesz, tylko nie wyobrażaj sobie, że możesz pójść beze mnie. — Aż klasnęła w dłonie. — Chcę sprawdzić te włosy i paznokcie u nóg.— Jego ojciec, słynny samotnik. Bombaj był kultur ą przeróbek. Jego architektu-ra małpowała drapacze chmur, jego filmy bez końca tworzyły na nowo „Siedmiu Wspaniałych” i „Love Story”, zobowi ązuj ąc wszystkich bohaterów, by uratowali przynajmniej jedn ą wioskę przed krwiożerczymi bandytami, a wszystkie boha-terki, by umarły na białaczkę przynajmniej raz w ci ągu swojej kariery, najlepiej na samym jej pocz ątku. Również milionerzy, i oni importowali styl życia. Niewi-dzialność Czangeza była utożsamiana z hinduskim marzeniem o nieszczęśliwym bogaczu, tkwi ącym w swojej luksusowej podniebnej garsonierze w Las Vegas; lecz w końcu marzenie to nie to samo, co fotografia, i Zini chciała zobaczyć to na własne oczy. — Stroi do ludzi miny, kiedy jest w złym humorze — ostrzegał j ą Saladyn. — Nikt nie wierzy, póki sam nie zobaczy. Naprawdę. Ale miny! Gorgo-ny! A do tego jest pruderyjny i nazwie cię dziwk ą, i prawdopodobnie będę musiał

walczyć z nim, tak jest mi pisane.Oto z jakiego powodu Saladyn Czamcza przyjechał do Indii: przebaczenie. To właśnie sprowadziło go do jego starego rodzinnego miasta. Ale czy przebaczyć, czy otrzymać przebaczenie, nie był w stanie powiedzieć.57

\* \* \*

Dziwaczne aspekty obecnej sytuacji pana Czangeza Czamczawalli: ze swoj ą now ą żon ą, Nasrin Drug ą, mieszkał przez pięć dni każdego tygodnia w otoczonym wysokim murem domu o nazwie Czerwony Fort, położonym w dzielnicy Pali Hill, ulubionej przez gwiazdy filmowe; lecz pod koniec każdego tygodnia wracał bez żony do starego domu w Scandal Point i tam spędzał dni wolne od pracy, w zagubionym świecie przeszłości, w towarzystwie pierwszej, zmarłej, Nasrin. Ponadto: mówiono, że jego druga żona zapowiedziała, że jej noga nigdy nie postanie w starym domu. — Albo też nie wolno jej tam przychodzić — postawiła hipotezę Zini, siedz ąc w eleganckiej limuzynie z przyciemnionymi szybami, któr ą Czangez wysłał po syna. Kiedy Saladyn skończył opisywać jej swojego ojca i jego obecn ą sytuację, Zinat Wakil aż gwizdnęła z aprobat ą. — Szaleństwo.Ani przedsiębiorstwo nawozów sztucznych Czamczawalli, to Czangezowe imperium łajna, ani oszustwa podatkowe i omijanie cła importowego oraz dochodzenie prowadzone przez komisję rz ądow ą w tej sprawie nie interesowało Zini. —

Teraz — powiedziała — dowiem się wreszcie, jaki ty naprawdę jesteś.Dzielnica Scandal Point otworzyła się przed nimi. Saladyn poczuł, że przeszłość runęła na niego jak fala, topi ąc go, wypełniaj ąc mu płuca swoim upiornym słonym smakiem. „ Dzisiaj nie jestem sob ˛

a — pomyślał. — Serce drży. Życie nisz-

czy żyj ących. Nikt z nas nie jest sob ą. Nikt z nas nie jest taki”.Teraz była tam stalowa brama zdalnie sterowana z wnętrza budynku, odcinaj ą-ca dostęp do rozsypuj ącego się łuku triumfalnego. Brama otworzyła się z powolo-nym zgrzytem i wpuściła Saladyna do miejsca straconego czasu. Kiedy zobaczył

drzewo orzecha włoskiego, w którym, jak utrzymywał ojciec, przebywała jego dusza, ręce zaczęły mu się trz ąść. Skrył się za neutralności ą faktów. — W Kaszmirze — powiedział do Zini — drzewo urodzinowe jest pewnego rodzaju inwestycj ą finansow ą. Kiedy dziecko osi ąga pełnoletność, dojrzałe drzewo orzechowe można porównać z polis ą ubezpieczeniow ą; posiada wartość, można je sprzedać, opłacić ślub, zacz ąć życie. Brak sentymentu w tym wszystkim jest bardzo sympatyczny, nie uważasz?Samochód zatrzymał się przy zadaszonym wejściu. Zini nie odezwała się, kiedy we dwójkę przeszli po sześciu stopniach prowadz ących do drzwi wejściowych, gdzie przywitał ich stateczny i wiekowy służ ący w białej liberii z mosiężnymi guzikami, którego czuprynę siwych włosów Czamcza nagle rozpoznał, przekształcaj ąc j ą w myślach z powrotem w grzywę tego samego Wallabha, który nadzorował

sprawy tego domu jako jego majordomus w Bardzo Dawnych Czasach. — Mój Boże, Wallabhu, bracie — udało mu się wydusić z siebie i uścisn ął starego. Nikły uśmiech wykrzywił twarz służ ącego: — Robię się taki stary, baba, myślałem, że 58

mnie nie poznasz. — Poprowadził ich ciężkimi od kryształów korytarzami rezydencji i Saladyn uświadomił sobie, że brak zmian jest uderzaj ący i najwyraźniej celowy. To prawda, wyjaśnił mu Wallabh, że kiedy Begum umarła, sahib Czangez poprzysi ągł sobie, że dom ten będzie jej pomnikiem. Skutkiem tego nic w nim nie zmieniono od dnia, w którym umarła, obrazy, meble, mydelniczki, figurki walcz ących byków z czerwonego szkła i drezdeńskie porcelanowe baleriny, wszystko pozostało dokładnie na swoim miejscu, te same czasopisma na tych samych stołach, te same zmięte kłębki papieru w koszach na śmieci, jak gdyby dom także umarł i został zabalsamowany. — Zmumifikowany — powiedziała Zini, jak zwykle wypowiadaj ąc rzeczy niewyrażalne. — Boże, ale to jest upiorne, nie? —

Właśnie w tej chwili, kiedy Wallabh, służ ący, otwierał podwójne drzwi prowadz ą-ce do niebieskiego salonu, Saladyn Czamcza zobaczył widmo swojej matki.Krzykn ął tak głośno, że Zini odwróciła się na pięcie. — Tam — wskazał na ciemniejszy koniec korytarza — nie ma w ątpliwości, to przeklęta sari z gazeto-wym nadrukiem, z dużymi tytułami, to to, które ona miała na sobie w dniu, kiedy ona, ona. . . — Ale teraz Wallabh zacz ął machać rękoma jak słaby, nie potrafi ący latać ptak, rozumiesz, baba, to tylko Kasturba, chyba nie zapomniałeś, moja żona, to tylko moja żona. Moja ayah Kasturba, z któr ˛

a bawiłem się w stawkach pośród

skał. Aż podrosłem i odszedłem od niej, a w kotlinie mężczyzna w szylkretowych okularach. — Proszę cię, baba, nie ma się o co złościć, tylko kiedy Begum umarła, Sahib Czangez podarował mojej żonie kilka szat, chyba nie masz nic przeciwko temu? Twoja matka była tak wspaniałomyśln ą kobiet ą, kiedy żyła, zawsze hojnie rozdawała wszystko. — Czamcza, odzyskuj ąc równowagę, poczuł się głupio. —

Na litość Bosk ą, — Wallabh — wymamrotał. — Na litość Bosk ą. Ależ oczywiście, nie mam nic przeciwko temu. Wallabh odzyskał znowu swoj ą poprzedni ą sztywność; prawo do wygłaszania własnego zdania, którym cieszył się jako stary służ ący, pozwoliło mu na strofowanie Czamczy. — Bardzo przepraszam, baba, ale nie powinieneś bluźnić.— Zobacz, jaki jest spocony — powiedziała Zini scenicznym szeptem. — Wy-gl ąda, jakby panicznie się czegoś bał. — Kasturba weszła do pokoju i chociaż jej powitanie z Czamcza po tylu latach było dosyć serdeczne, dało się odczuć, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Wallabh poszedł po piwo i indyjsk ą kolę i kiedy Kasturba również wyszła pod jakimś pretekstem, Zini od razu powiedziała: — Coś jest nie tak. Ona chodzi po domu, jak gdyby była właścicielk ą tego śmietniska.Zauważ, jak się dumnie nosi. A staruszek wyraźnie się czegoś bał, tych dwoje coś kombinuje, założę się. — Czamcza usiłował zachować spokój. — Mieszkaj ą tutaj niemal przez cały czas, może śpi ą w głównej sypialni i jedz ą z wytwornych talerzy, na pewno poczuli, że to miejsce należy do nich. — Ale on cały czas myślał

o tym, jak uderzaj ąco podobna do jego matki była niańka Kasturba w tym starym sari.— Tak długo poza domem — usłyszał za sob ą głos ojca — że teraz nie po-59

trafisz odróżnić żyj ącej niańki od zmarłej matki.Saladyn odwrócił się i zobaczył przygnębiaj ący obraz ojca; ojca, który po-marszczył się jak stare jabłko, lecz który ci ągle upierał się, że dalej będzie nosił

bardzo drogie włoskie garnitury ze swoich dawnych, tłustych lat. Teraz, kiedy stracił zarówno pękate ramiona, jak i duży brzuch, wydawało się, że przemierza wnętrza swoich ubrań zupełnie jak człowiek, który szuka czegoś, z czym całkowicie się nie utożsamił. Stał w drzwiach, patrz ąc na syna, jego nos i wargi wy-krzywione przez czarodziejsk ą moc czasu w coś, co stało się odległ ą podobizn ą jego dawnej wilkołaczej twarzy. Czamcza zacz ął domyślać się dopiero, że jego ojciec nie jest już w stanie przerazić kogokolwiek, że jego niezwykła siła została przełamana, że jest jedynie starym prykiem zmierzaj ącym wprost do grobu; Zini natomiast zd ążyła zauważyć z pewnym rozczarowaniem, że Czangez Czamczawalla ma konserwatywnie krótko obcięte włosy, a ponieważ na jego nogach lśni ą sznurowane półbuty, relacja o jego jedenastocalowych paznokciach u stóp nie wydawała się prawdziwa; wróciła Kasturba, tym razem pal ąc papierosa, i przeszła powoli obok ich trojga, ojca syna kochanki, w kierunku pokrytej niebieskim we-lurem kanapy typu chesterfield, na której upozowała swoje ciało równie zmysłowo jak gwiazdka filmowa, mimo że była przecież kobiet ą w podeszłym wieku.Zaledwie Kasturba zakończyła swoje szokuj ące wejście, a już Czangez prze-mkn ął szybko koło swojego syna i usadowił się obok byłej niańki. Zini Wakil, jej oczy ciskaj ące awanturnicze ogniki, zasyczała do Czamczy: — Zamknij buzię, kochany. Źle to wygl ąda. — A w drzwiach służ ący, Wallabh, popychaj ąc przed sob ą wózek z drinkami, bez emocji patrzy, jak jego wieloletni chlebodawca obejmuje ramieniem jego żonę, która bynajmniej się nie broni.Kiedy nasz przodek i bezpośredni twórca zostaje nagle zdemaskowany ja-ko osoba o cechach szatańskich, dziecko najczęściej staje się bardzo pruderyjne.Czamcza usłyszał siebie pytaj ącego: — A moja macocha, drogi ojcze? Czy jest w dobrym zdrowiu?Starzec zwrócił się do Zini: — Mam nadzieję, że przy tobie nie jest taki święty, inaczej zapewne cierpisz męki. — I dalej, mówi ąc do syna ostrzejszym tonem: —

Interesujesz się teraz moj ą żon ą? Bo ona tob ą zupełnie nie. Obecnie nie chce cię nawet widzieć. Dlaczego miałaby wybaczyć? Nie jesteś dla niej synem. Zreszt ą w tej chwili chyba i dla mnie też nie.Nie przyszedłem walczyć z nim. Uważaj, ty stary satyrze. Nie wolno mi walczyć. Ale to, to jest nie do zniesienia. — W domu mojej matki — krzykn ął Czamcza melodramatycznie, przegrywaj ąc bitwę z samym sob ą. — Państwo uważa, że twoje przedsiębiorstwo jest nieuczciwe, oto jest korupcja twojej duszy. Popatrz, coś im zrobił. Wallabhowi i Kasturbie. Przy pomocy swoich pieniędzy. Ile na to potrzebowałeś? Aby zatruć im życie. Jesteś chorym człowiekiem. — Stał przed swoim ojcem, płon ąc słusznym gniewem.Wallabh służ ący, nieoczekiwanie, wmieszał się. — Baba, z całym szacunkiem, 60

ale przepraszam, co ty wiesz? Wyjechałeś i nie było cię tak długo, a teraz przyjeż-dżasz, aby nas s ądzić. — Saladyn czuł, że ziemia ustępuje mu spod nóg; patrzył

prosto w piekło. — Rzeczywiście, płaci nam — kontynuował Wallabh. — Za na-sz ą pracę i również za to, co widzisz. Za to. — Czangez Czamczawalla mocniej przycisn ął do siebie uległ ą niańkę.— Ile? — krzykn ął Czamcza. — Wallabh, na ile wy, dwaj mężczyźni, zgodzi-liście się? Ile za prostytuowanie żony?— Co za głupiec — odezwała się Kasturba z pogard ą. — Edukacja w Anglii i co tam jeszcze, ale w dalszym ci ągu głowa pełna siana. Przychodzisz tu i mówisz jak jakiś ważniak, w domu twojej matki etcetera, ale może wcale nie kochałeś jej tak bardzo. A my kochaliśmy j ą, my wszyscy. Nasza trójka. I w ten sposób możemy utrzymywać jej ducha pośród żyj ących.— Można by powiedzieć, że to jest modlitwa — dobiegł go cichy głos Wallabha. — Rodzaj nabożeństwa.— A ty — Czangez Czamczawalla mówił równie spokojnie jak jego służ ący

— przychodzisz tutaj, do tej świ ątyni. Ze swoj ą bezbożności ą. Szanowny panie, cóż za tupet.I na koniec, zdrada Zinat Wakil. — Daj spokój, Salad — powiedziała, odchodz ąc do kanapy i siadaj ąc na oparciu, tuż obok starego. — Czemuś taki skwaszo-ny? Sam nie jesteś aniołkiem, kochanie, a wydaje się, że ci ludzie znaleźli całkiem dobre wyjście z sytuacji.Usta Saladyna otwierały się i zamykały. Czangez poklepał Zini po kolanie. —

Przyszedł nas oskarżać, moja droga. Przyszedł wzi ąć odwet za swoj ą młodość, pobiliśmy go jego własn ą broni ą i nie wie, co zrobić. A teraz dajmy mu szansę, a ty musisz być sędzi ą. Nie zniosę wyroków wydanych przez niego, ale z twoich r ąk przyjmę najgorsze.Ten łajdak. Stary łajdak. Chciał wyprowadzić mnie z równowagi i oto proszę, zaskoczył mnie i nie potrafię ruszyć ani ręk ˛

a, ani nog ˛

a. Nie odezwę się, dlaczego

miałbym się odezwać, nie w tej sytuacji, takie upokorzenie. — Pewnego razu był

sobie — powiedział Saladyn Czamcza — portfel wypchany funtami i pewnego razu był sobie pieczony kurczak.

\* \* \*O co syn oskarżał ojca? O wszystko: o szpiegowanie go, kiedy był dzieckiem, i wdzieranie się w jego duszę, o kradzież forsy u stóp tęczy, o wyrzucenie go z domu. O to, że zmienił go w coś, czym mógłby nie zostać. O to, że robił z niego mężczyznę. O to, co ja-po-wiem-moim-przyjaciołom. O zerwanie z nim raz 61

na zawsze i o obraźliwe akty przebaczania. O to, że ojciec uległ wierze w Allaha pod wpływem drugiej żony i poddał się bluźnierczemu uwielbieniu dla byłej małżonki. A przede wszystkim o to, że uprawiał magiczny lampizm, o to, że stał

się otwórz-się-sezamist ą. Ojcu wszystko przychodziło łatwo, urok osobisty, kobiety, bogactwo, władza, pozycja. Potarcie, pstryk, dżinn, życzenie, w tej chwili panie, hej presto. Był ojcem, który najpierw obiecał, a później odmówił, cudownej lampy.

\* \* \*Czangez, Zini, Wallabh i Kasturba pozostawali nieruchomi i milcz ący, póki Saladyn Czamcza nie zatrzymał się nagle, zakłopotany i cały czerwony na twarzy. — Tyle nienawiści w sercu po tak długim czasie — powiedział Czangez po chwili ciszy. — Jakież to smutne. Ćwierć wieku i syn w dalszym ci ągu wypomina grzeszki przeszłości. O, mój synu. Musisz już przestać nosić mnie wszędzie na ramieniu jak papugę. Czym jestem? Skończonym. Nie jestem już twoim Starym Wilkiem Morskim. Spójrz prawdzie w oczy, mój panie: nie usprawiedliwię cię już więcej.

Saladyn Czamcza dojrzał przez okno czterdziestoletni orzech stoj ący w ogrodzie. — Zetnij go — powiedział ojcu. — Zetnij go, sprzedaj. Przyślij mi gotówkę.Czamczawalla wstał i wyci ągn ął praw ą dłoń. Zini, również powstaj ąc, pochwyciła j ą jak tancerka przyjmuj ąca bukiet kwiatów: w tej samej chwili Wallabh i Kasturba stali się znowu służ ącymi, jak gdyby zegar po cichutku wybił północ.— Pani ksi ążka — powiedział do Zini. — Mam coś, co chciałaby pani zobaczyć.I we dwójkę wyszli z pokoju; bezsilny Saladyn po krótkiej próbie wykrztusze-nia czegoś z siebie pod ążył za nimi rozdrażniony. — Skwaszona gębo — rzuciła Zini wesoło przez ramię. — No, popraw się, b ądź dorosły.Zbiory sztuki Czamczawalli, zgromadzone w Scandal Point, obejmowały du-ż ą kolekcję legendarnych gobelinów o dziejach Hamzy, część szesnastowiecznej serii przedstawiaj ącej sceny z życia bohatera, który był, albo i nie był tym, samym Hamz ą, słynnym wujem Mahometa, któremu mieszkanka Mekki imieniem Hind wyjadła w ątrobę, kiedy leżał martwy na pobojowisku pod Uhud. — Lubię te obrazy — powiedział Czangez Czamczawalla do Zini — ponieważ pozwala się tu bohaterowi ponieść klęskę. Proszę zobaczyć, jak często trzeba go ratować z kłopotów. — Obrazy te okazały się również wymownym dowodem na poparcie tezy Zini Wakil o eklektycznym, hybrydycznym charakterze hinduskiej tradycji arty-stycznej. Do pracy nad tymi malowidłami Mogołowie sprowadzili artystów z całych Indii; indywidualność każdego z nich została stopiona po to, aby stworzyć 62

wielogłowego Nad-artystę o wielu pędzlach, który dosłownie sam był hinduskim malowidłem. Jedna ręka malowała mozaikę podłóg, druga postaci, a trzecia typowo chińskie niebo z obłokami. Na odwrotnej stronie tkanin znajdowały się teksty poszczególnych opowiadań. Obrazy były pokazywane jak film w kinie: wystawio-no je na widok, a ktoś czytał historię danego bohatera. Na tkaninach o dziejach Hamzy można było zauważyć, jak styl perskich miniatur miesza się ze stylem malowideł Karnataki i Kerali, można było dostrzec, jak muzułmańska i hinduska filozofia wypracowuj ą swoj ą tak charakterystyczn ą późno-mogolsk ą syntezę.Tu jakiś olbrzym wpada w pułapkę, a jego prześladowcy przebijaj ą mu włóczniami czoło. Tu znowu jakiś człowiek przecięty od czubka głowy po pachwinę, padaj ąc wci ąż dzierży w dłoni swój miecz. Wszędzie przelana bulgocz ąca krew.Saladyn Czamcza opanował się całym wysiłkiem woli. — Ależ barbarzyństwo —

oznajmił głośno swoim angielskim głosem. — Po prostu barbarzyńskie umiłowa-nie cierpienia.Czangez Czamczawalla zignorował syna, oczy miał utkwione tylko w Zini, która odwzajemniła to spojrzenie. — Nasz rz ąd jest rz ądem filistrów, młoda da-mo, nieprawdaż? Ofiarowałem cał ą tę kolekcję za darmo, gratis, czy wiedziała pa-ni o tym? Niech tylko znajd ą dla niej odpowiednie pomieszczenia, niech zbuduj ą specjalny budynek. Stan tych tkanin nie jest najlepszy, no i widzi pani. . . nie zrobi ą tego. Żadnego zainteresowania. A w tym samym czasie otrzymuję co miesi ąc propozycje z Ameryki. Oferty wprost — wprost bajeczne! Nie uwierzyłaby pani.Ja nie sprzedaję. Nasze dziedzictwo, moja kochana, dzień po dniu USA zabieraj ą je nam. Malowidła Ravi Varma, br ązy z okresu Czandelów, witraże z Dżajsalmer.Wyprzedajemy siebie samych, prawda? Oni rzucaj ą swój portfel na ziemię, a my klękamy u ich stóp. Nasze byki Nandi l ąduj ą w jakimś pawilonie wystawowym w Teksasie. Ale pani to wszystko wie. Wie pani, że India jest obecnie wolnym krajem. — Przerwał, ale Zini czekała: dalszy ci ąg miał nast ąpić. I nast ąpił: —

Któregoś dnia również i ja przyjmę dolary. Ale nie dla samej ich wartości. Dla przyjemności bycia kurw ą. Przyjemność stania się niczym. Mniej niż niczym. —

No i teraz, w końcu, prawdziwa burza, słowa za słowami mniej niż niczym. —

Kiedy umrę — powiedział Czangez Czamczawalla do Zini — czym będę? Par ą opuszczonych butów. Oto los, jaki on mi zgotował. Ten aktor. Ten oszust Zrobił

z siebie naśladowcę ludzi, którzy nie istniej ą. Nie mam nikogo, kto byłby moim następc ą, komu mógłbym przekazać to, co zdobyłem. Oto jego zemsta: on krad-nie mi moj ą potomność. — Uśmiechn ął się, poklepał j ą po ręce, zwolnił uścisk, oddaj ąc Zini pod opiekę syna. — Powiedziałem jej — zwrócił się do Saladyna. —

Wci ąż jeszcze nosisz za pazuch ą pieczone kurczaki na wynos. Wypowiedziałem moj ą skargę. Teraz ona musi os ądzić. Taka była umowa.Zinat Wakil podeszła do starego mężczyzny ubranego w zbyt obszerny garnitur, położyła dłonie na jego policzkach i pocałowała go w usta.63

\* \* \*

Po zdradzie, której dopuściła się wobec niego Zinat w domu perwersji jego ojca, Saladyn Czamcza przestał się z ni ą widywać i nie reagował na wiadomości, jakie zostawiała dla niego w recepcji hotelowej. Wystawianie „Milionerki” powoli dobiegało końca: tournée również. Czas jechać do domu. Po przyjęciu pożegnal-nym Czamcza postanowił pójść spać. W windzie jakaś młoda para, najwyraźniej w podróży poślubnej, słuchała muzyki z walkmanów. Mężczyzna zapytał półgłosem żonę: — Słuchaj, powiedz mi coś. Czy wci ąż jeszcze czasami wydaję ci się obc ą osob ą? — Dziewczyna uśmiechnęła się czule i potrz ąsnęła głow ą, nie słyszę, zdjęła słuchawki. On powtórzył, uroczyście: — Obc ą osob ą, czy ja tobie wci ąż jeszcze czasami się nie wydaję? — Ona, uśmiechaj ąc się, przytuliła na chwilę swój policzek do jego kościstego ramienia. — Raz czy dwa razy — odpowiedziała i z powrotem nałożyła słuchawki. Chłopiec zrobił to samo, najwyraźniej całkowicie zadowolony z odpowiedzi. Ich ciała znowu wpadły w rytm muzyki z taśmy. Czamcza wysiadł z windy. Na podłodze, oparta plecami o jego drzwi, siedziała Zini.

\* \* \*W pokoju nalała sobie duż ą whisky z woda sodow ą. — Zachowujesz się jak dziecko — powiedziała. — Powinieneś się wstydzić.

Tego popołudnia otrzymał paczkę od ojca. W środku był mały kawałek drewna i duża ilość banknotów, nie, nie rupii, lecz funtów szterlingów; popioły, że tak powiem, drzewa orzechowego. Czamcza był pełen nowych emocji, a ponieważ akurat pojawiła się Zinat, ona stała się celem ataku. — Myślisz sobie, że cię kocham? — zapytał ze świadom ą zjadliwości ą. — Myślisz, że zostanę z tob ą?Jestem żonaty.— Nie chciałam, żebyś został ze względu na mnie — powiedziała. — Z jakiegoś powodu chciałam tego dla ciebie.Kilka dni wcześniej poszedł do teatru, żeby zobaczyć hindusk ą adaptację opowiadania Sartre’a, którego tematem był wstyd. W wersji oryginalnej m ąż podejrzewa żonę o niewierność i przygotowuje podstęp, żeby j ą przyłapać na gor ącym uczynku. Udaje, że wyjeżdża w delegację, ale wraca po kilku godzinach, żeby j ą śledzić. Klęczy, zagl ądaj ąc przez dziurkę od klucza we frontowych drzwiach.Nagle czuje, że ktoś stoi za nim. Odwraca się, nie wstaj ąc z kolan, i widzi j ą, spogl ądaj ąc ą na niego z góry z nagł ą nienawiści ą i obrzydzeniem. Ta dramatycz-64

na sytuacja, on klęcz ący, ona patrzy na niego z góry, to Sartrowski archetyp, lecz w wersji hinduskiej klęcz ący m ąż nie wyczuł za sob ą niczyjej obecności, został

zaskoczony przez żonę; wstał, aby spojrzeć jej w twarz, mieli równe szanse; straszył j ą i krzyczał, aż w końcu zaczęła płakać, obj ął j ą i pogodzili się.— Mówisz, że powinienem się wstydzić — powiedział z gorycz ą Czamcza do Zinat. — Ty, która nie masz wstydu. W rzeczy samej może to być cecha narodowa.Zaczynam podejrzewać, że Hindusom brakuje moralnej subtelności, koniecznej dla prawdziwego znaczenia tragedii, w wyniku czego nie s ą w stanie tak naprawdę zrozumieć pojęcia wstydu.Zinat Wakil dopiła whisky. — W porz ądku, nie musisz mówić już nic więcej.— Podniosła ręce. — Poddaję się. Odchodzę. Panie Saladynie Czamczo. Myślałam, że jeszcze tli się w tobie życie, choćby odrobina, że wci ąż oddychasz, jednak myliłam się. Okazuje się, że byłeś cały czas martwy.I jeszcze jedna rzecz, zanim przejdzie przez drzwi z oczyma wypełnionymi mlekiem. — Nie pozwól, aby ludzie zbliżali się zbytnio do ciebie, Panie Saladynie. Jeśli pozwolisz im wedrzeć się do środka, skurwiele wbij ą ci nóż prosto w serce.Po tym nie było żadnego powodu, aby zostać. Samolot wzbił się w powietrze i przechylił w głębokim zakręcie nad miastem. Gdzieś tam, pod nim, jego ojciec przebierał służ ąc ą za swoj ą zmarł ą żonę. Zmiana organizacji ruchu drogowego zakorkowała centrum miasta na dobre. Politycy próbowali robić karierę, bior ąc udział w padjatrach, pieszych pielgrzymkach przez cały kraj. Napisy na murach głosiły: „Rada dla politicos. Jedyny krok, jaki można zrobić: padjatra do piekła”.Albo też czasami: „Do Asamu”.Aktorzy wpl ątywali się w politykę: MGR, N.T. Rama Rao, Bach-chan. Dur-ga Khote użalała się, że zwi ązek aktorów stał się „czerwonym frontem”. Saladyn Czamcza, lot numer 420, zamkn ął oczy; i poczuł z wielk ą ulg ą jednoznaczne prze-sunięcia w gardle, a potem koniec tych sensacji, co wskazywało na to, że jego głos z własnej nie przymuszonej woli zacz ął powracać do swojej niezawodnej brytyjskiej natury.Pierwsz ą niepokoj ąc ą rzecz ą, jaka zdarzyła się panu Czamczy podczas lotu, było to, że wśród współpasażerów rozpoznał kobietę ze swoich snów.4

Kobieta z jego snów była niższa i miała mniej wdzięku niż ta prawdziwa, ale kiedy Czamcza zobaczył j ą, jak spokojnie spaceruje tam i z powrotem pomiędzy rzędami foteli na pokładzie Bustana, natychmiast przypomniał sobie ten koszmar senny. Po odejściu Zinat Wakil zapadł w niespokojny sen, nawiedziło go przeczucie: ujrzał terrorystkę, mówiła, a jej głos był przytłumiony, jego głębia i melodyjność sprawiały wrażenie szumu oceanu słyszanego z oddali. Ta kobieta z jego snu miała na sobie tak dużo materiałów wybuchowych, że właściwie nie tyle używała bomb, ile sama była bomb ą; kobieta spaceruj ąca pomiędzy rzędami foteli miała na ręku niemowlę, które zdawało się spać bezgłośnie, niemowlę tak umiejętnie zawinięte w pieluszki i trzymane blisko piersi, że Czamcza nie mógł zobaczyć nawet pojedynczego loczka włosów noworodka. Pod wpływem snu, który przed chwil ą sobie przypomniał, wyobraził sobie, że niemowlę jest w rzeczywistości wi ązk ą lasek dynamitu lub jakimś tykaj ącym urz ądzeniem i już miał krzykn ąć głośno, opamiętał się jednak i surowo zbeształ samego siebie. To był dokładnie ten rodzaj bzdurnych przes ądów, które chciał zostawić za sob ą. Był

przecież elegancko ubranym facetem w zapiętym garniturze, leciał do Londynu i do uporz ądkowanego i beztroskiego życia. Był elementem prawdziwego świata.Podróżował sam, stroni ąc od towarzystwa pozostałych członków trupy Prospero Players, którzy siedzieli w różnych miejscach kabiny turystycznej, wszyscy ubrani w koszulki z Kaczorem Donaldem, i próbowali wykręcać szyje jak tancerki natyam, i wygl ądali absurdalnie w swoich sari z Benaresu, i pili w nadmiarze ta-ni szampan serwowany przez linie lotnicze i naprzykrzali się stewardesom, które traktowały ich ze skrywan ą pogard ą, ponieważ jako Hinduski rozumiały, że aktorzy to bezwartościowe osoby; krótko mówi ąc, zachowywali się z typowym dla Tespisa brakiem umiaru. Kobieta z niemowlęciem patrzyła przez te blade twarze aktorów jak przez powietrze, nie zauważaj ąc ich, zmieniaj ąc je w pasemka dy-mu, pustynn ą fatamorganę, duchy. Dla człowieka takiego jak Saladyn Czamcza to poniżenie angielskości przez samych Anglików było spraw ą zbyt bolesn ą, żeby w ogóle się nad ni ą zastanawiać. Skierował uwagę na swoj ą gazetę, w której akurat bombajsk ą demonstrację kolejarzy rozpędzały policyjne ładunki lathi. Repor-terowi tej gazety złamano rękę; jego aparat fotograficzny został rozbity. Policja ogłosiła „komunikat”: Ani dziennikarz, ani żadna inna osoba nie została zaatakowana rozmyślnie. Czamcza powoli zapadł w lotniczy sen. Miasto utraconych historii, ściętych drzew i nie zamierzonych ataków odeszło z jego myśli. Kiedy jakiś czas później otworzył oczy, czekała go druga z kolei niespodzianka w tej makabrycznej podróży. Jakiś mężczyzna przechodził koło niego w drodze do toalety. Był brodaty i nosił tanie ciemne okulary, lecz mimo to Czamcza rozpoznał

go: oto tutaj podróżował incognito w klasie turystycznej, lot AI-420 zaginiony supergwiazdor, żyj ąca legenda, Gibril Fariszta we własnej osobie.66

— Dobrze się spało? — Zorientował się, że pytanie to zostało skierowane do niego i odwrócił głowę od zjawy wielkiego aktora filmowego, zobaczył coś równie niespotykanego, obok siedział nieprawdopodobnie dziwny Amerykanin w czapce baseballowej, w okularach w drucianej oprawie, w jaskrawozielonej ko-szulce, na której wiły się splecione ze sob ą dwa złociste chińskie smoki. Czamcza pocz ątkowo starał się go nie zauważać, usiłuj ąc owin ąć się w kokon prywatności, ale prywatność nie była już możliwa.— Eugene Doomsday, do usług. — Człowiek-smok wysun ął duż ą czerwon ą rękę. — Do usług pańskich i straży chrześcijańskiej.Na wpół śpi ący Czamcza potrz ąsn ął głow ą. — Jest pan wojskowym?— He, He! Tak, szanowny panie, można by tak powiedzieć. Pokorny piechur, szanowny panie, w armii Straży Wszechmocnego. — Och, wszechmocnego, straży, dlaczego nie powiedział od razu. — Jestem człowiekiem nauki, mój panie, i moj ą misj ą, moj ą misj ą i proszę pozwolić mi dodać, moim zaszczytem było od-wiedzenie pańskiego wielkiego narodu i wydanie bitwy najbardziej szkodliwemu diabelstwu, jakie kiedykolwiek opanowało mózgi ludzkie.— Nie rozumiem.Doomsday obniżył głos. — Małpie brednie. Darwinizm. Ewolucyjne herezje pana Karola Darwina.Ton jego głosu nie pozostawiał żadnych w ątpliwości co do tego, że nazwisko udręczonego pobożnego Darwina było mu równie wstrętne, jak każde należ ące do jakiegokolwiek innego diabła o rozwidlonym ogonie, Belzebuba, Asmodeusza czy samego Lucyfera. — Ostrzegałem pańskich rodaków — zwierzał się Doomsday — przed panem Darwinem i jego dziełami. Wykorzystuj ąc pięćdziesi ąt siedem slajdów podczas swojego wyst ąpienia. Całkiem niedawno, szanowny panie, na bankiecie z okazji Dnia Zrozumienia Świata w Klubie Rotariańskim w Cochin, w stanie Kerala. Mówiłem o moim młodym kraju, o jego młodych ludziach.Widzę, że s ą zagubieni, proszę pana. Młodzi ludzie Ameryki: widzę ich pogr ążonych w rozpaczy, zwracaj ących się ku narkotykom, a nawet, powiem, bo mówię bez owijania w bawełnę, ku przedmałżeńskim stosunkom seksualnym. I tak jak powiedziałem to wtedy, powiem teraz panu. Gdybym uwierzył, że mój pradziadek był szympansem, och, sam byłbym przygnębiony.Gibril Fariszta siedział po drugiej stronie przejścia i patrzył przez okno. Lada moment miał się zacz ąć film i światła w samolocie przygasły. Kobieta z niemowlęciem wci ąż chodziła tam i z powrotem, być może po to, by dziecko nie płakało.— I jak wypadło pana wyst ąpienie? — zapytał Czamcza, czuj ąc, że domagano się od niego uczestnictwa w rozmowie.Jego s ąsiad zawahał się. — Podejrzewam, że była jakaś awaria w nagłośnieniu

— powiedział w końcu. — Chyba to najlepiej wyjaśnia sytuację. Nie rozumiem, jak ci wszyscy dobrzy ludzie mogliby rozmawiać ze sob ą, nie będ ąc przekonani, że już skończyłem.67

Czamcza poczuł się nieco zawstydzony. S ądził na pocz ątku rozmowy, że w kraju żarliwych wiernych teza, iż nauka jest wrogiem Boga, będzie łatwo przyjęta; lecz znudzenie Rotarianów z Cochin uświadomiło mu przykr ą prawdę. Przy migocz ącym świetle filmu Doomsday głosem niewinnego baranka ci ągn ął opowieści przeciwko sobie, zupełnie nieświadom tego, co robi. Pod koniec przejażdż-ki wokół wspaniałego naturalnego portu w Cochin, do którego przed wiekami przybył Vasco da Gama w poszukiwaniu przypraw korzennych i w ten sposób rozpocz ął cał ą tę wieloznaczn ą wschodnio-zachodni ą historię, został zaczepiony przez urwisa powtarzaj ącego co chwilę swoje psst i hey-mister-okay. — Hej tam ty! Chcesz haszyszu, sahib? Hej, panieamerykański. Tak, wujusamie, o pana chodzi, chce pan opium? Najlepsza jakość, najwyższa cena? Okay, no to chce pan kokainę?Nie mog ąc się opanować, Saladyn zachichotał. Cała historia wydała mu się zemst ą Darwina: no bo jeżeli Doomsday uważał, że biedny, sztywny wiktorianin Karol jest odpowiedzialny za amerykański kult narkotyków, to cudownie zatem byłoby zobaczyć obu przeciwników, stoj ących na dwóch krańcach globu, w ich iście etycznej wojnie. Na przykład Doomsday spogl ąda na Darwina, jego wzrok przepełniony jest bólem i chęci ą prawienia morałów. Ciężki jest los podróżuj ącego Amerykanina — nie może się dziwić, że go nie lubi ą.Po tym odruchowym chichocie, jaki wymkn ął się z ust Saladyna, obrażony i ponury Doomsday zapadał w drzemkę, pozostawiaj ąc Czamczę własnym myślom. Czy należy uważać filmy wyświetlane w czasie lotów za szczególnie ohydn ą, przypadkow ą mutację formy, która w końcu zostanie wyeliminowana w drodze doboru naturalnego, czy też s ą one przyszłości ą kina? Przyszłość zwariowanych, głupawych komedii, niezmiennie obsadzanych przez takie gwiazdy jak Shelley Long i Chevy Chase, była zbyt odrażaj ąca, by j ą brać na serio: była to wizja Piekła. . . Czamcza zapadał w sen, kiedy światła kabiny zapaliły się; film został przerwany; iluzję ekranu zast ąpiła iluzja obserwatorów wiadomości telewizyjnych, cztery krzycz ące uzbrojone postacie wbiegły w przejście pomiędzy fotelami.

\* \* \*Pasażerów przetrzymywano na pokładzie porwanego samolotu sto jedenaście dni, pozostawiono ich samych sobie na błyszcz ącym pasie startowym, wokół którego rozbijały się wielkie piaszczyste fale pustyni, ponieważ kiedy już czworo porywaczy, trzech mężczyzn jedna kobieta, zmusiło pilota do wyl ądowania, nikt nie był w stanie zdecydować, co dalej z nimi pocz ąć. Nie wyl ądowali na lotni-68

sku międzynarodowym, lecz na szaleńczo absurdalnym pasie startowym dla olbrzymich odrzutowców, zbudowanym dla przyjemności miejscowego szejka, tuż przy ulubionej oazie, do której prowadziła również sześciopasmowa autostrada, bardzo popularna wśród młodych ludzi wolnego stanu, przemierzaj ących powoli w swoich wozach jej niezmierzon ą pustkę i puszczaj ących do siebie oczka przez szyby. . . Jednak po wyl ądowaniu 420 autostradę wypełniły opancerzone wozy, transportery, limuzyny z trzepocz ącymi flagami. I kiedy tak dyplomaci dyskutowali nad losem samolotu, szturmować czy nie szturmować, kiedy próbowali podj ąć decyzję, czy ust ąpić, czy też przyj ąć zdecydowan ą postawę kosztem życia innych ludzi, wielka cisza zapanowała wokół liniowca, a wkrótce zaczęły się miraże.Na pocz ątku przepływało przed oczyma samo wydarzenie, kwartet porywaczy, pełen elektryczności, nerwowy, gotowy strzelać przy każdej okazji i bez niej.To s ą właśnie najgorsze chwile, myślał Czamcza, podczas gdy dzieci krzyczały, a strach rozprzestrzeniał się jak plama, mogli nas wszystkich wykończyć. Kon-trolowali wówczas sytuację, trzej mężczyźni jedna kobieta, wszyscy wysocy, bez masek, wszyscy przystojni, byli też aktorami, teraz byli gwiazdami, gwiazdami wschodz ącymi lub spadaj ącymi, i mieli swoje pseudonimy sceniczne. Dara Singh Buta Singh Man Singh. Kobieta zwała się Tavlin. Ta z jego snu była anonimowa, jak gdyby śpi ąca wyobraźnia Czamczy nie miała czasu na pseudonimy; podobnie jak tamta. Tavlin mówiła z kanadyjskim akcentem, z wygładzonymi krawędziami fraz, no i z t ą zaokr ąglon ą samogłosk ą „o”, która j ą zdradzała. Po wyl ądowaniu w oazie Al-Zamzam stało się oczywiste dla pasażerów, którzy obserwowali panów swojego życia i śmierci z t ą sam ą obsesyjn ą uwag ą, z jak ą przykuta do ziemi przerażona mangusta spogl ąda na kobrę, że w urodzie tych trzech mężczyzn było sporo pozerstwa, jakiegoś amatorskiego zamiłowania do ryzyka i śmierci, powoduj ącego, że często pojawiali się w otwartych drzwiach samolotu i ostentacyjnie wystawiali się na cel zawodowym strzelcom wyborowym, którzy z pewności ą ukrywali się za drzewami palm oazy. Kobieta trzymała się z dala od takich popi-sów bezmyślności i wydawało się, że z trudności ą powstrzymywała się od zbesz-tania swoich trzech kolegów. Wydawało się również, że jest obojętna na swoj ą urodę, przez co była najgroźniejsza z całej czwórki. Saladyn Czamcza odniósł

wrażenie, że ci młodzi mężczyźni s ą zbyt delikatni, zbyt rozmiłowani w sobie, żeby splamić ręce krwi ą. Zabijanie przyjdzie im z trudem; s ą tutaj po to, żeby pokazywała ich telewizja. Lecz Tavlin była tu po to, żeby załatwić konkretn ą sprawę. Wci ąż j ą obserwował. Ci mężczyźni nie wiedz ˛

a, przyszło mu na myśl.Oni chc ą zachowywać się tak jak porywacze, których ogl ądali w kinie i telewizji; s ą rzeczywistości ą nieudolnie naśladuj ąc ą prymitywny obraz samej siebie, s ą robakami połykaj ącymi własne ogony. Lecz ona, kobieta, wie. . . i gdy Dara, Buta, Man Singh poruszali się dumnie jak pawie i zachowywali arogancko, j ą cechował

spokój, wzrok miała skupiony i ona właśnie przerażała pasażerów.69

Czego ż ądali? Niczego nowego. Niepodległej ojczyzny, wolności wyznania, zwolnienia więźniów politycznych, sprawiedliwości, okupu i zapewnienia bezpieczeństwa osobistego podczas przejazdu do wybranego przez nich kraju. Wielu pasażerów zaczęło solidaryzować się z nimi, mimo że nieustannie groziła im egzekucja. Kiedy żyje się w dwudziestym wieku, łatwo jest utożsamić się z ty-mi, bardziej zdesperowanymi niż my sami, którzy d ąż ą do kształtowania naszych czasów zgodnie z własn ą wol ą.Po wyl ądowaniu porywacze zwolnili część pasażerów, zatrzymuj ąc pięćdziesięciu z nich, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że tylko tylu, mog ą spokojnie nadzorować. Kobiety, dzieci, Sikhowie — wszystkich zwolniono. Okazało się, że Saladyn Czamcza był jedynym członkiem grupy teatralnej Prospero Players, który nie odzyskał wolności; stwierdził ze zdumieniem, że powoli poddaje się przewrotnej logice sytuacji i zamiast denerwować się tym, że go zatrzymano, cieszył się, widz ąc plecy odchodz ących kolegów, którzy tak fatalnie zachowywali się poprzednio; a niechże sobie id ą te śmiecie, pomyślał.Naukowiec kreacjonista Eugene Doomsday nie mógł znieść myśli, że porywacze wcale nie zamierzaj ą go zwolnić. Wstał i zachwiał się z powodu swojego wysokiego wzrostu — był zupełnie jak drapacz chmur podczas huraganu; wykrzykiwał histerycznie chaotyczne słowa. Z k ącika ust kapała mu ślina; gwałtownie zlizał j ą językiem. Hej, wy tam, dosyć tego, skurwiele, cholera, jak mówię dosyć to DOSY ´

C, kto dał wam prawo, sk ˛

ad wam do głowy przyszło, że możecie

i tak dalej, nie przebudziwszy się jeszcze na dobre, wci ąż gadał od rzeczy, aż ktoś z czwórki porywaczy, oczywiście była to kobieta, podszedł, machn ął kolb ą karabinu i złamał jego kłapi ąc ą szczękę. Gorzej nawet: ponieważ szczęka ślini ącego się Doomsdaya gwałtownie zatrzasnęła się akurat w chwili, kiedy oblizywał

sobie wargi, odcięła mu koniec języka, który wyl ądował na kolanach Saladyna Czamczy; zaraz potem znalazł się tam były właściciel. Nieprzytomny bezjęzycz-ny Eugene Doomsday wpadł w ramiona aktora.Eugene Doomsday odzyskał wolność przez utratę języka; perswaduj ącemu udało się wywalczyć wolność poprzez utratę narzędzia perswazji. Nie chcieli zajmować się rannym człowiekiem, niebezpieczeństwo gangreny i tak dalej, więc doł ączył do exodusu z samolotu. W tych pierwszych zwariowanych godzinach umysł Saladyna Czamczy wci ąż dręczyły pytania o szczegóły, czy s ą to karabiny automatyczne, czy też pistolety maszynowe, jak udało im się przemycić tyle żelastwa na pokład samolotu, w które części ciała można zostać postrzelonym, żeby udało się przeżyć, jak przerażeni muszę być oni, ta czwórka, jak bardzo zaabsorbowani własn ą śmierci ą. . . po odejściu Doomsdaya liczył na to, że będzie siedział sam, lecz jakiś człowiek podszedł i usiadł na miejscu kreacjonisty, mó-wi ąc, nie ma pan chyba nic przeciwko, jar, w takich warunkach facet potrzebuje towarzystwa. Była to gwiazda filmowa, Gibril.70

\* \* \*

Po tych pierwszych nerwowych dniach na ziemi, podczas których trzech młodych porywaczy w turbanach znajdowało się niebezpiecznie blisko krawędzi szaleństwa, wrzeszcz ąc w pustynn ą noc wy skurwiele, chodźcie no tu i weźcie nas, albo też, o boże boże przyśl ˛

a tu tych pierdolonych komandosów, wypierdolonych Amerykanów, jar, odpierdolonych Brytyjczyków — były to chwile, kiedy pozostali zakładnicy zamykali oczy i modlili się, ponieważ zawsze najbardziej obawiali się oznak słabości u porywaczy — później wszystko się ustabilizowało i zaczęło się coś, co można by nazwać normalności ą. Dwa razy dziennie samotny pojazd przywoził jedzenie i picie pod Bustana i zostawiał je na asfalcie. Zakładnicy pod bacznym okiem porywaczy siedz ących bezpiecznie w maszynie musieli wnosić kartony do samolotu. Poza tymi codziennymi wizytami nie było żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Radio umilkło na dobre. Sprawiało to takie wrażenie, jak gdyby cały incydent został zapomniany, jak gdyby był na tyle kłopotliwy, że po prostu wymazano go z oficjalnych dokumentów. — Skurwiele zostawili nas tu, żebyśmy zgnili — wrzeszczał Man Singh, a zakładnicy przył ączyli się z zapałem.— Eunuchy! Alfonsy! Zasrańcy!Owionęła ich atmosfera spiekoty i ciszy i teraz w ich oczach zaczęły migotać upiory i zjawy. Najbardziej nerwowy z zakładników, młody mężczyzna o krótko przyciętych kręconych włosach i koziej bródce, obudził się o świcie, krzycz ąc z przerażenia, ponieważ zobaczył szkielet jad ący przez wydmy na wielbł ądzie. In-ni zakładnicy widzieli kolorowe kule zawieszone na niebie albo też słyszeli trzepot gigantycznych skrzydeł. Trzej porywacze pogr ążyli się w bardzo ponurym, fatalistycznym nastroju. Któregoś dnia Tavlin wezwała ich na naradę w odległym końcu samolotu; zakładnicy słyszeli wściekłe głosy. — Ona im mówi, że musz ą przedstawić ultimatum — powiedział Gibril Fariszta do Czamczy. — Jeden z nas musi umrzeć lub coś takiego. — Lecz kiedy mężczyźni wrócili, Tavlin nie było z nimi i do przygnębienia widocznego w ich oczach doł ączył jeszcze wstyd. —

Stracili odwagę — wyszeptał Gibril. — Nie mog ą nic zrobić. I co teraz pozostało naszej Tavlin bibi? Zero. Koniec gadki.A oto, co ona zrobiła:

Aby udowodnić swoim jeńcom, a także współtowarzyszom, że myśl o klę-sce czy też o poddaniu się nigdy nie osłabi jej zdecydowania, wyszła ze swojego tymczasowego schronienia w barze koktajlowym pierwszej klasy i stanęła przed nimi jak stewardesa demonstruj ąca sposoby postępowania w krytycznej sytuacji.Ale zamiast włożyć kamizelkę ratunkow ą, przytrzymać gwizdek sygnalizacyjny itd, nagłym ruchem zdjęła z siebie czarn ą dżellabę, jedyn ą odzież, któr ą miała na sobie, i stanęła przed nimi zupełnie naga, po to, aby wszyscy mogli zobaczyć cały 71

arsenał jej ciała, granaty jak dodatkowe piersi usadowione w dekolcie, nitrogli-cerynowy materiał wybuchowy przymocowany taśm ą do ud, dokładnie tak, jak widział to Czamcza w swoim śnie. Następnie włożyła z powrotem ubranie i przemówiła swoim głosem cichym jak szmer oceanu. — Kiedy wielka idea przychodzi na świat, wielka sprawa, zadaje się wtedy zasadnicze pytania — mówiła półgłosem. — Historia pyta nas: jaki rodzaj sprawy reprezentujemy? Czy jesteśmy bezkompromisowi, bezwzględni, silni, czy też okażemy się oportunistami, którzy id ą na kompromis, lawiruj ą i poddaj ą się? — Jej ciało udzieliło odpowiedzi.Dni wci ąż mijały. Ograniczone i wrz ące okoliczności jego niewoli, od razu intymność i dystans, sprowokowały w Saladynie Czamczy chęć dyskutowania z kobiet ą, nieugiętość może być również monomani ą, chciał powiedzieć, nawet tyrani ą i również może być krucha, natomiast to, co elastyczne, może być również ludzkie i wystarczaj ąco silne, by przetrwało. Ale oczywiście nie powiedział

nic, bo popadł w obojętność tych dni. Gibril Fariszta odkrył w kieszeni fotela broszurkę napisan ą przez nieobecnego już Doomsdaya. Do tego czasu Czamcza zd ążył zauważyć stanowczość, z jak ą gwiazdor filmowy odpiera ataki snu, nie dziwił się więc, kiedy zobaczył, że ten recytuje i uczy się na pamięć linijek z ulotki kreacjonisty, podczas gdy jego i tak już ciężkie powieki opadaj ą coraz niżej, pó-ki nie zmusi ich, aby ponownie otworzyły się szeroko. Broszurka dowodziła, że nawet naukowcy pracowicie wymyślaj ą Boga na nowo, że skoro już udowodni ą istnienie pojedynczej jednolitej mocy, wobec której elektromagnetyzm, grawita-cja, silne i słabe oddziaływania nowej fizyki były jedynie aspektami, awatarami, można by powiedzieć, lub aniołami, wówczas co by nam zostało, jeśli nie najstarsza ze wszystkich rzeczy, najwyższa istota rz ądz ąca całym stworzeniem. . . —

Rozumiesz, nasz przyjaciel mówi, że jeżeli musiałbyś wybrać między jakimś rodzajem pola siłowego pozbawionego ciała a rzeczywiście żywym Bogiem, na co byś się zdecydował? Trafne, nie? Nie można modlić się do pr ądu elektrycznego.Nie ma sensu pytać czegoś w kształcie fali o klucz do Raju. — Zanikn ął oczy, a później nagle otworzył ponownie. — Ależ to cholerne banialuki — powiedział

gwałtownie. — Rzygać mi się chce.Po kilku dniach Czamcza przestał zwracać uwagę na przykry oddech Gibrila, ponieważ w tym świecie potu i strachu nikt lepiej nie pachniał. Nie sposób było jednak zignorować jego twarzy, na której powstałe z bezsenności wielkie sine obwódki dookoła oczu rozprzestrzeniały się jak plamy ropy naftowej. W końcu jego odporność wyczerpała się, padł na ramię Saladyna i spał przez cztery dni, nie budz ąc się ani razu.Kiedy wreszcie oprzytomniał, stwierdził, że Czamcza przy pomocy niepozor-nego zakładnika z kozi ą bródk ą, niejakiego Jalandriego, przeniósł go do pustego rzędu foteli w środkowej części samolotu. Poszedł do toalety, gdzie przez jedenaście minut oddawał mocz, i kiedy wrócił, w jego oczach widniało prawdziwe przerażenie. Usiadł znowu koło Czamczy, ale nie odezwał się ani słowem. Dwie 72

noce później Czamcza ponownie usłyszał, że Gibril walczy z atakiem snu. Albo też, jak się okazało, z atakiem koszmarów.— Dziesi ątym co do wysokości szczytem na świecie — Czamcza usłyszał

go recytuj ącego półgłosem — jest Shisha Pangma, osiem zero jeden trzy metry.Annapurna, dziewi ąty, osiem tysięcy siedemdziesi ąt osiem. — Albo też zaczynał

z drugiego końca: — Jeden, Czomolungma, osiem osiem cztery osiem. Dwa, K2, osiem tysięcy sześćset jedenaście. Kanczendzanga, osiem tysięcy pięćset dziewięćdziesi ąt osiem. Makalu, Dhaulagiri, Manaslu. Nanga Parbat, metrów osiem tysięcy sto dwadzieścia sześć.— Liczysz ośmiotysięczniki, żeby zasn ąć? — zapytał go Czamcza. — Większe co prawda od baranów, ale nie tak liczne.Gibril Fariszta rzucił mu piorunuj ące spojrzenie; następnie pochylił głowę; powzi ął pewn ą decyzję. — Nie po to, żeby zasn ąć przyjacielu. Żeby nie spać.

\* \* \*I właśnie wtedy Saladyn Czamcza dowiedział się, dlaczego Gibril Fariszta zacz ął obawiać się snu. Wszyscy potrzebuj ą kogoś, do kogo mogliby otworzyć usta, a Gibril z nikim jeszcze nie rozmawiał o tym, co się stało po zjedzeniu przez niego nieczystych świń. Sny rozpoczęły się jeszcze tej samej nocy. Gibril pojawiał

się zawsze w tych wizjach, ale nie we własnej osobie, lecz jako swój imiennik, i nie mam tu na myśli interpretacji czyjejś roli, Spoono, ja jestem nim, on jest mn ą, jestem tym cholernym archaniołem, samym Gibrilem we własnej pieprzonej osobie.Spoono. Podobnie jak Zinat Wakil, równie Gibrila rozśmieszyło skrócone nazwisko i imię Saladyna. — Bhai, ho, ho. Ależ mnie to bawi, naprawdę. Wyć można. Więc jeżeli jesteś angielskim chamch ˛

a, niech sobie tak będzie. Pan Sally Spo-

on. To będzie taki nasz mały żarcik. — Gibril Fariszta miał taki specjalny dar niezauważania, że doprowadza ludzi do furii. Spoon, Spoono, mój stary Czamcz: Saladyn nienawidził ich wszystkich. Nic nie mógł zrobić. Tylko nienawidzić.Być może z powodu tych przezwisk, a może i nie, rewelacje Gibrila wydały się Saladynowi żałosne i rozczarowały go, cóż w tym dziwnego, że sny Gibrila przedstawiały go jako anioła, przecież sny potrafi ą wyczyniać wszelkie piekielne sztuczki, czy były czymś więcej niż tylko banalnym rodzajem egomanii? Lecz Gibril spocił się ze strachu. — Chodzi o to, Spoono — argumentował — że ilekroć zasypiam, sen zaczyna się od tego miejsca, gdzie przedtem się zatrzymał. Ten sam sen, w tym samym miejscu. Zupełnie jak gdyby ktoś zatrzymywał magnetowid, kiedy wychodzę z pokoju. Albo, albo. Jak gdyby to on był tym facetem, który 73

czuwa, a to tutaj, to cholerna zmora senna. Jego cholerny sen: my. Tutaj. Wszystko to. — Czamcza utkwił w nim wzrok. — Wariactwo, tak — powiedział Gibril.— Kto wie, czy aniołowie w ogóle śpi ą, co dopiero mówić o snach. Mówię jak wariat. Mam rację czy nie?— Tak. Mówisz jak wariat.— To wobec tego, do diabła — wyjęczał — co dzieje się w mojej głowie?

\* \* \*Im dłużej nie spał, tym bardziej robił się rozmowny, zacz ął zanudzać zakładników, porywaczy, jak również znajduj ąc ą się w opłakanym stanie załogę lotu 420, te uprzednio pełne pogardy stewardesy i olśniewaj ący personel z kabiny pilotów, którzy teraz tkwi ąc w k ącie wygl ądali żałośnie staro i nawet stracili swój wcześniejszy entuzjazm dla nigdy nie kończ ących się partyjek gry w remika — swoimi coraz bardziej ekscentrycznymi teoriami reinkarnacji, porównuj ąc ich pobyt na tym kawałku pasa startowego przy oazie Al-Zamzam do drugiego etapu ci ą-ży, mówi ąc wszystkim, że w oczach świata s ą już martwi i w trakcie procesu regeneracji powstaj ą na nowo. Wydawało się, że ta idea napełniała go niewielk ą otuch ą, mimo że z jej powodu wielu zakładników chciało go powiesić, wskoczył

więc na fotel, żeby wyjaśnić, że dzień ich uwolnienia będzie jednocześnie dniem ich powtórnych narodzin, tchnienie optymizmu, które uspokoiło jego słuchaczy.— Dziwne, lecz prawdziwe! — wykrzykn ął. — Będzie to dzień zero, a ponieważ wszyscy będziemy mieli wspólny dzień narodzin, poczynaj ąc od tegoż dnia wszyscy będziemy w jednakowym wieku, do końca życia. Jak to się nazywa, kiedy pięćdziesi ąt dzieciaków wychodzi z tej samej matki? Bóg jeden wie, Pięćdziesię-cioraczki. Niech to diabli!Dla rozszalałego Gibrila reinkarnacja była słowem, pod osłon ą którego stło-czyło się wiele pojęć, jak w wieży Babel: feniks z popiołów, zmartwychwstanie Chrystusa, wędrówka w chwili śmierci duszy Dalaj Lamy do ciała nowo naro-dzonego dziecka. . . sprawy tego rodzaju przemieszały się z awatarami Wisznu, metamorfozami Jowisza, który naśladował Wisznu, przyjmuj ąc postać byka; i tak dalej, oczywiście ł ącznie z przechodzeniem istot ludzkich przez kolejne cykle życia, raz jako karaluchy, to znowu jako królowie, ku błogostanowi ostatecznego wcielenia. Aby ponownie się narodzić, najpierw musisz umrzeć. Czamcza nie miał

ochoty protestować, że w większości przykładów, jakie Gibril przytoczył w swoich monologach, metamorfoza nie wymagała śmierci; do nowego ciała wchodziło się przez inne bramy. Gibril w pełnym locie, z ramionami poruszaj ącymi się jak władcze skrzydła, nie znosił przerywania. — Stare musi umrzeć, jeśli pojmujecie, 74

o co chodzi, inaczej nowe nie może być czymkolwiek.Czasami tyrady te kończyły się łzami. Fariszta wyczerpany poza granice wyczerpania tracił panowanie nad sob ą i szlochaj ąc kładł głowę na ramieniu Czamczy, a Saladyn — długi pobyt w niewoli niszczy pewn ą wzajemn ą niechęć —

gładził go po twarzy i całował w czubek głowy, dobrze już, dobrze. Kiedy indziej złość brała górę. Kiedy Fariszta po raz siódmy już powołał się na stary kasztan Gramsciego, Saladyn wykrzykn ął niezadowolony, być może to się właśnie tobie przytrafia, ty krzykaczu, twoje stare ja w tej chwili umiera, a ten twój wymarzony anioł próbuje narodzić się w twoim ciele.

\* \* \*— Chcesz usłyszeć coś naprawdę zwariowanego? — Po stu jeden dniach Gibril dalej zwierzał się Czamczy. — Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? — I nie czekaj ąc na odpowiedź, powiedział mu: — Z powodu kobiety. Tak, szefie. Dla tej cholernej miłości mojego cholernego życia. Z któr ą spędziłem w sumie trzy i pięć dziesi ątych dnia życia. Czy nie dowodzi to, że naprawdę brakuje mi pi ątej klepki?

Co należało udowodnić, Spoono. Stary Czamczu.Oraz: — Jak ci to wyjaśnić? Trzy i pół dnia tego, jak wiele czasu potrzeba, żebyś zrozumiał, że stała się ta najlepsza rzecz, najgłębsza rzecz, to-na-pewno-

-musi-być-to? Przysięgam: kiedy j ą całowałem, pojawiły się te pierdolone iskry, jar, wierz albo nie wierz, ona powiedziała, że dywan był naelektryzowany, ale przecież nie raz całowałem dziewczyny w pokojach hotelowych, to był stanowczo pierwszy, stanowczo pierwszy-i-jedyny. Cholerne wstrz ąsy elektryczne, człowieku, musiałem odskakiwać z bólu.Brakowało mu stów, by j ą opisać, swoj ą kobietę górskich lodowców, aby opisać tę chwilę, kiedy życie leżało w kawałkach u jego stóp, a ona stała się tego życia znaczeniem. — Nie rozumiesz — zaniechał wyjaśnień. — Być może nigdy nie spotkałeś osoby, dla której poszedłbyś na koniec świata, dla której zostawiłbyś wszystko, wyszedł z domu i wsiadł do samolotu. Ona weszła na Everest, człowieku. Ponad osiem tysięcy metrów, a może osiem osiem cztery osiem. Aż na sam szczyt. Myślisz, że dla takiej kobiety nie mogę wsi ąść do samolotu?Im usilniej Gibril Fariszta usiłował wyjaśnić swoj ą obsesję na punkcie hima-laistki Allelui Cone, tym bardziej Saladyn starał się wywołać w pamięci obraz Pameli, ale ta nie chciała przyjść. Na pocz ątku pojawiła się Zini, jej cień, a następnie po pewnym czasie nie było zupełnie nikogo. Żarliwość Gibrila złościła Czamczę i frustrowała, doprowadzaj ąc go do szaleństwa. Lecz Fariszta nie zauważył tego, poklepał go po plecach, głowa do góry, Spoono, to nie potrwa długo.75

\* \* \*

Sto dziesi ątego dnia Tavlin podeszła do niskiego zakładnika z kozi ą bródk ą, Jalandriego, i kiwnęła na niego palcem. Nasza cierpliwość została wyczerpana, ogłosiła, wielokrotnie wysyłaliśmy nasze ż ądania — bez jakiejkolwiek odpowiedzi — czas na pierwsz ą ofiarę. Użyła tego właśnie słowa: ofiara. Spojrzała Jalan-driemu prosto w oczy i wydała na niego wyrok śmierci.— Ty pierwszy. Apostato zdrajco skurwysynie. — Rozkazała załodze przygotować się do startu, nie chciała sprowokować ataku na samolot po egzekucji i luf ą pistoletu popchnęła Jalandriego w stronę otwartych przednich drzwi, podczas gdy ten krzyczał i błagał o litość. — Ależ ona ma bystre oczy — powiedział Gibril do Czamczy. — To jest obcięty Sardar. — Jalandri był pierwsz ą ofiar ą, ponieważ przestał nosić turban i obci ął włosy, staj ąc się w ten sposób odstępc ą od swojej wiary, ostrzyżony Sardar-dżi. Obcięty Sardar. Trzynastoliterowy wyrok; bez odwołania.Jalandri upadł na kolana, na jego spodniach rozprzestrzeniały się plamy, ci ągnęła go za włosy do samych drzwi. Nikt się nie ruszył. Dara Buta Man Singh odwrócili się od tej dramatycznej sceny. Klęczał teraz tyłem do otwartych drzwi; zmusiła go, by się odwrócił, strzeliła w tył głowy, a on zwalił się na asfalt. Tavlin zatrzasnęła drzwi.Man Singh, najmłodszy i najbardziej nerwowy z całej czwórki, krzykn ął do niej: — A teraz dok ąd? Gdziekolwiek cholera przylecimy, na pewno wyśl ą na nas komandosów. Teraz to już po nas.— Męczeństwo jest przywilejem — powiedziała łagodnie. — Będziemy jak gwiazdy; jak słońce.

\* \* \*Znikn ął piasek, pojawił się śnieg. Europa zim ą, pod białym przeobrażaj ącym wszystko dywanem, upiorn ą biel ą, która świeci w ciemnościach nocy. Alpy, Fran-cja, wybrzeże Anglii, białe klify wznosz ące się ku pobielonym ł ąkom. Pan Saladyn Czamcza wcisn ął na głowę melonik w oczekiwaniu na dalszy bieg wydarzeń.

Świat ponownie odkrył istnienie lotu 420, samolotu Boeing 747 Bustan. Wyśledził

go radar; trzeszczały komunikaty radiowe. „Czy chcecie pozwolenie na l ądowa-nie”. Ale nie proszono o żadne zezwolenie. Bustan kr ążył nad brzegami Anglii jak gigantyczny ptak morski. Mewa. Albatros. Wskaźniki paliwa opadały: do zera.Kiedy wywi ązała się walka, zaskoczyło to wszystkich pasażerów, ponieważ 76

tym razem trzej porywacze nie dyskutowali z Tavlin, nie było już żadnych gło-śnych szeptów o paliwie, o tym co ty, kurwa, robisz, ale niemy bunt, nie chcieli nawet ze sob ą rozmawiać, jak gdyby przestali mieć jak ąkolwiek nadzieję i wówczas Man Singh załamał się i rzucił na ni ą. Zakładnicy przygl ądali się tej walce na śmierć i życie, niezdolni zrozumieć, że ona dotyczy również ich, ponieważ w samolocie panowało uczucie dziwnego oderwania od rzeczywistości, pewien rodzaj przekonania o przypadkowości zdarzeń, jakiś fatalizm, można by powiedzieć. Upadli na podłogę i jej nóż przeszył jego brzuch. To wszystko, a krótko-trwałość zajścia podkreśliła jego pozorn ą błahość. A następnie, kiedy wstała, wy-gl ądało to tak, jak gdyby wszyscy się przebudzili i stało się dla nich jasne, że ona zamierza doprowadzić sprawę do końca, trzymała w ręce przewód, który ł ączył

pod sukni ą wszystkie zawleczki wszystkich granatów, wszystkie te śmiercionośne piersi i mimo że w tym momencie Buta i Dara skoczyli ku niej, udało się jej szarpn ąć za przewód i ściany runęły.Nie, nie śmierć: narodziny.II

Mahound

Gibril, kiedy poddaje się temu, co nieuchronne, kiedy z ociężałymi powiekami stacza się ku wizjom swojego aniołowania, przechodzi obok kochaj ącej matki, która ma dla niego inne imię, nazywa go Szejtan, co brzmi tak samo jak Szejtan, to samo przeciw temu samemu, ponieważ biega jak głupi z lekkimi posiłkami, by dostarczyć je urzędnikom w porze lunchu, psotny chochlik, matka przecina ręk ą powietrze, łobuz przekłada przeznaczone dla muzułmanów dania mięsne na tace gońców przewoż ących obiady dla Hindusów-niewegetarianów, klienci s ą oburzeni. Ty mały diable, beszta go, ale zaraz potem bierze w ramiona, mój mały farisz-ta, chłopcy zawsze będ ą chłopcami, on zapada w sen, obok niej, powiększaj ąc się w miarę zapadania, i zaczyna odczuwać zapadanie jako lot, głos matki dobiega go z daleka, baba, ależ ty urosłeś, ogromysznie, ho-ho, oklaski. Jest teraz gigantyczny, bez skrzydeł, jego nogi stoj ą na linii horyzontu, ręce splecione wokół słońca.W swoich pierwszych snach widzi pocz ątki, Szejtana zrzuconego z nieba, usiłuj ącego chwycić gał ąź wyrastaj ąc ą z najwyższej Rzeczy, drzewo lotosu, najdalszy kraniec stoj ący pod Tronem, Szejtana przegrywaj ącego, spadaj ącego jak kamień w dół, chlap. Ale nadal żyje, nie umarł, nie mógł umrzeć, śpiewał z tego diabelskiego dna swoje łagodne, kusz ące wersety. O, te słodkie pieśni, które znał. Jego córki wspierały go diabelskim chórkiem, o tak, wszystkie trzy, Lat Manat Uzza, pozbawione matki dziewczyny śmiej ące się razem ze swoim Abba, tłumi ące dłońmi cichy śmiech z Gibrila, co za kawał przygotowujemy dla ciebie, chichocz ą, dla ciebie i tego biznesmena na wzgórzu. Ale przed biznesmenem s ą jeszcze inne historie, oto i on, Archanioł Gibril, pokazuje Egipcjance Hagar krynicę Zamzam, aby — pozostawiona z dzieckiem na pustyni przez proroka Ibrahima — mogła pić chłodne wody źródlane i w ten sposób przeżyć. A później, kiedy rzeka Dżurhum tak napełniła Zamzam błotem i złocistymi gazelami, że wody zniknęły na pewien czas, znowu pojawia się on i pokazuje źródło temu to Muttalibowi ze szkarłatnych namiotów, ojcu dziecka o srebrnych włosach, które zrodziło z kolei biznesmena.Biznesmen: oto nadchodzi.Czasami we śnie Gibril zachowuje świadomość, i to nawet wtedy, kiedy nic mu się nie śni, że leży oto i śpi, że śni o tym, że świadom jest swojego snu i wówczas zaczyna się panika, O Boże, krzyczy, O wszechdobry Allahboże, miałem już swoj ą ostatni ą cholern ą szansę, ja. Brzęczy mi w głowie zupełnie zwariowana me-lodia wariata, skończony pawian. Biznesmen czuł się podobnie jak on, kiedy po raz pierwszy zobaczył archanioła: pomyślał sobie, że zwariował, chciał rzucić się ze skały, z wysokiej skały, ze skały, na której rosło karłowate drzewo lotosu, ze skały tak wysokiej, jak dach świata.Nadchodzi: wspina się po zboczu góry Cone do jaskini. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin: dzisiaj skończył czterdzieści cztery lata. Lecz mimo że miasto za nim i poniżej niego wypełniaj ą hucznie świętuj ące tłumy, on wspina się, samotnie. Nie dla niego nowe urodzinowe ubrania, starannie wyprasowane i złożone na posłaniu. Człowiek o ascetycznych upodobaniach. (Co to za dziwny 79

biznesmen?)

Pytanie: Co jest przeciwieństwem wiary?Nie niewiara. Zbyt ostateczne, pewne, kategoryczne. Samo w sobie jest swego rodzaju wiar ą.Pow ątpiewanie.To warunek rodzaju ludzkiego, ale co z anielskości ą? Gdzieś w pół drogi między Allahbogiem a homosapiensem, czy oni kiedykolwiek w ątpili? Tak: sprzeci-wiaj ą się woli Bożej, któregoś dnia ukryli się, szemrz ąc poniżej Tronu, ośmielaj ąc się zapytać o zakazane rzeczy: antypytania. Czy słuszne jest, że. Czy nie można się o to spierać. Wolność, stare antypyt. Uciszył ich, oczywiście stosuj ąc umiejętność zarz ądzania á la bóg. Zasypał ich pochlebstwami: będziecie instrumentami mojej woli na ziemi, zbawieniapotępienia człowieka, wszystko zwyczajne etcetera. No i presto, koniec protestów, naprzód z tymi aureolami, do roboty. Anioły łatwo da się uciszyć, zmień ich w instrumenty i zagraj ą twoj ą harpi ą melodię. Ludzie s ą twardszym orzechem do zgryzienia, potrafi ą w ątpić we wszystko, nawet w świadectwo swoich oczu. Tego, co za-ich-własnymi oczyma. Tego, co przenika spoza zamkniętych ślepiów, kiedy ludzie z ociężałymi powiekami zapadaj ą w sen. . . aniołowie, nie dano im dużo, jeśli chodzi o posiadanie woli. Chcieć oznacza nie zgadzać się; nie podporz ądkowywać się; mieć inne zdanie.Wiem; diabelskie gadanie, Szejtan przeszkadzaj ący Gibrilowi.Mnie?Biznesmen: wygl ąda tak, jak powinien, wysokie czoło, orli nos, szeroki w ramionach, w ąski w biodrach, wzrost średni. Pogr ążony w myślach, ubrany w dwa kawałki jednolitej tkaniny, każdy z nich długi na cztery łokcie, jeden owija ciało, drugi przerzucony jest przez ramię. Duże oczy; rzęsy jak u dziewczyny. Kroki wydaj ą się zbyt długie jak na jego nogi, a jednak chodzi lekko. Sieroty ucz ą się, jak być ruchomymi tarczami, jak szybko chodzić, jak błyskawicznie reagować, jak być ostrożnym i trzymać język za zębami. Przedziera się w górę przez cier-niste krzaki i zarośla opobalsamu, szybko wdrapuje na olbrzymie głazy, jest to sprawny mężczyzna, żaden tam lichwiarz o obwisłym brzuchu. Ach, racja, jeszcze raz trzeba to stwierdzić: musi być dziwnym facetem biznesu, jeśli odcina się od świata, id ąc w pustkowia, na górę Cone, czasami na cały miesi ąc, po to tylko, by zaznać samotności.Jego imię: imię ze snu, zmienione przez wizję. Wymówione prawidłowo znaczy ten-któremu-dzięki-należy-czynić, ale on nie odpowie na nie tutaj; ani, mi-mo że jest go świadom, na przydomek, który mu dano w dole, tam, w Dżahilijji

— ten-który-wchodzi-na-i-schodzi-ze-starej-Coney. Tutaj nie jest Mahometem ani też MoeHammeredem; przyswoił sobie zamiast tego jakby koniuszek ogona diabła, który farangis powiesił mu na szyi. Chc ąc przemienić obelgi w siłę, wigowie, torysi, Czarni, wszyscy postanowili nosić z dum ą przezwiska, które im kiedyś z pogard ą nadano; w podobny sposób nasz samotny zdobywca gór, posiadaj ący 80

motywację proroka, ma być średniowiecznym straszydłem dla dzieci, synonimem Diabła: Mahoundem.Oto on. Mahound biznesmen, drapi ący się na swoj ą gor ąc ą górę w Hidżazie.Fatamorgana miasta świeci poniżej, w słońcu.

\* \* \*Miasto Dżahilijja zbudowane jest w całości z piasku, jego budynki powstały z pustyni, z której zreszt ą wyrasta. Jest to widok, który naprawdę zapiera dech w piersiach: otoczone murem z czterema bramami, całość jest cudem stworzonym przez obywateli, którzy nauczyli się sztuczki przetwarzania drobnego białego piasku z wydm, w tych zapomnianych przez Boga stronach — czyli tego właśnie, z czego składa się niestałość, z tej kwintesencji zmienności, zdradliwości, braku stałej postaci — i zmienili go, za pomoc ą alchemii, w szkielet swojej nowo wynalezionej niezmienności. Ludzi tych od ich koczowniczej przeszłości dzieli dystans zaledwie trzech lub czterech pokoleń, byli wtedy równie pozbawieni korzeni, jak te wydmy, a raczej zakorzenieni w wiedzy, że podróżowanie samo w sobie jest domem.

— Zważywszy, że wędrowiec może całkiem dobrze obejść się bez podróży; jest ona niczym więcej niźli złem koniecznym; istot ą rzeczy jest przybycie.Zatem całkiem niedawno, i jak można było się spodziewać po tak przebie-głych ludziach biznesu, którymi byli, Dżahilijjanie osiedlili się przy samym prze-cięciu szlaków wielkich karawan i podporz ądkowali swojej woli piaszczyste wydmy. Teraz ten piasek służy potężnym kupcom miasta. Ubity w kostkę wyścieła kręte ulice Dżahilijji; nocami złociste płomienie buchaj ą z koksowników z pole-rowanego piasku. Szyby tkwi ą w oknach, w długich, do szpar podobnych oknach osadzonych w nieskończenie wysokich piaskowych ścianach kupieckich pałaców; w zaułkach Dżahilijji wozy ci ągnięte przez osły tocz ą się przed siebie na gładkich krzemowych kołach. Ja, w całej swojej niegodziwości, wyobrażam sobie czasami nadejście wielkiej fali, wysokiej ściany spienionej wody, z rykiem przelewaj ącej się przez pustynię, ciekłej katastrofy, pełnej trzaskaj ących łodzi i ton ących ramion, takiego przypływu, który zmieniłby te próżne zamki na piasku w nicość, w ziarenka, z których powstały. Jednak nie ma tu żadnych fal. Woda jest wrogiem w Dżahilijji. Nosz ą j ą w glinianych dzbanach i nie wolno wylać ani jednej kropli (kodeks karny srogo obchodzi się z winowajcami), ponieważ tam, gdzie spadnie kropla, miasto zaczyna erodować w zatrważaj ącym tempie. Dziury pojawiaj ą się w drogach, domy przechylaj ą się i kołysz ą. Nosiwoda w Dżahilijji jest budz ącym odrazę złem koniecznym, pariasem, którego nie można nie zauważyć, a więc ni-81

gdy nie można mu wybaczyć. W Dżahilijji nigdy nie pada deszcz; w krzemowych ogrodach nie ma fontann. Kilka palm stoi w ogrodzonych podwórzach, ich korzenie podróżuj ą głęboko i szeroko w ziemię, szukaj ąc wilgoci. Miejska woda pochodzi z podziemnych strumieni i źródeł, z których jedno to legendarne Zamzem, w samym centrum koncentrycznego miasta z piasku, tuż obok Domu Czarnego Kamienia. Tutaj, przy Zamzem, jest beheszti, lekceważony nosiwoda, czerpi ący ten niezbędny niebezpieczny płyn. Ma on imię: Chalid.Miasto biznesmenów, Dżahilijja. Nazwa plemienia brzmi Bałwochwalcy.W tym mieście biznesmen-zamieniony-w-proroka, Mahound, zakłada jedn ą z największych religii świata; i w tym dniu, dniu urodzin, doszedł do punktu zwrotnego w swoim życiu. Jakiś głos szepcze mu do ucha: Jakiego rodzaju ide ˛

a

jesteś? Cziowiekiem-czy-mysz ˛

a?Znamy ten głos. Słyszeliśmy go już raz.

\* \* \*Kiedy tak Mahound wspina się na Coney, Dżahilijja obchodzi zupełnie inn ą rocznicę. W czasach starożytnych patriarcha Ibrahim dotarł do tej doliny razem z Hagar i z Ismailem, ich synem. I tutaj, na tej bezwodnej pustyni, porzucił j ą. Zapytała go, czyżby to była wola Boża? Odpowiedział, tak, to ona. I odjechał, skurwysyn. Od samego pocz ątku ludzie posługiwali się Bogiem, żeby usprawiedliwić to, co usprawiedliwione być nie może. Nikt nie zna ścieżek Najwyższego: mówi ą ludzie. Nic więc dziwnego, że kobiety zwróciły się do mnie. — Ale muszę wrócić do tematu; Hagar nie była czarownic ą. Ufała: wobec tego On na pewno nie pozwoli mi zgin ˛

ać. Po odjeździe Ibrahima karmiła dziecko piersi ą, aż w końcu zabrakło jej pokarmu. Wówczas wspięła się na dwa wzgórza, najpierw na Safę, później na Marwę, biegaj ąc w rozpaczy od jednego do drugiego, próbuj ąc dostrzec choćby jeden namiot, wielbł ąda, człowieka. Niczego nie dostrzegła. I właśnie wtedy przyszedł do niej on, Gibril, i pokazał jej źródło Zamzem. A więc Hagar przeżyła; lecz dlaczego teraz gromadz ą się pielgrzymi? Czy po to, aby uczcić jej ocalenie? Nie, nie. Oni świętuj ą zaszczyt, jakiego dost ąpiła ich dolina dzięki wizycie, tak, zga-dliście, Ibrahima, W imię tego kochaj ącego współmałżonka zbieraj ą się, czcz ą, a przede wszystkim wydaj ą pieni ądze.Dzisiaj Dżahilijja jest cała pachn ąca. Zapachy Arabii, Arabii Odorifera, wi-sz ą w powietrzu: balsam, kasja, cynamon, kadzidło, mirra. Pielgrzymi pij ą napój daktylowy i wędruj ą po wielkim jarmarku na cześć Ibrahima. A wśród nich przechadza się mężczyzna, którego zmarszczone brwi wyraźnie wyróżniaj ą go z wesel ącego się tłumu: wysoki, w luźnych białych szatach, o cał ą głowę wyż-82

szy od Mahounda. Brodę ma przystrzyżon ą krótko, twarz poci ągł ą; porusza się rytmicznie, niebezpieczna elegancja potęgi. Jak się nazywa? Zjawa w końcu zdradza swoje imię; ono również jest zmienione przez widzenie senne. Oto on, Karim Abu Simbel, Naczelnik Dżahilijji, m ąż okrutnej i pięknej Hind. Głowa rady rz ą-dz ącej miastem, bogaty nie do opisania właściciel przynosz ących niemałe zyski świ ątyń przy bramach miejskich, posiadacz wielu wielbł ądów, rewident karawan, a jego żona — największa piękność w tych stronach: co mogłoby załamać pewność siebie takiego człowieka? A jednak i Abu Simbel staje przed zbliżaj ącym się kryzysem. Pewne imię nęka go, i możecie odgadn ąć jakie, Mahound Mahound Mahound.O splendorze jarmarków Dżahilijji! Tutaj w olbrzymich pachn ących namiotach wystawione s ą w rzędach przyprawy korzenne, liście senesu, wonne trocicz-ki; tu można spotkać sprzedawców perfum, walcz ących pomiędzy sob ą o nosy, jak również portfele pielgrzymów. Abu Simbel przepycha się przez tłum. Kup-cy, Żydzi, Monofizyci, Nabatejczycy — kupuj ą i sprzedaj ą kawałki srebra i złota, waż ąc je, nadgryzaj ąc monety znaj ącymi się na rzeczy zębami. Mamy tu płótno z Egiptu i jedwab z Chin; a z Basry broń i zboże. Hazardowe gry i picie, i tańce.Tu niewolnicy na sprzedaż — z Nubii, Anatolii, Etiopii. Cztery odłamy plemienia Bałwochwalców maj ą władzę nad odrębnymi strefami targowiska, perfumy i przyprawy korzenne s ą w Namiotach Szkarłatnych, natomiast w Czarnych —

materiały i skóry. Ugrupowanie Srebrzystowłosych kontroluje drogocenne metale i miecze. Rozrywki — gra w kości, taniec brzucha, napój daktylowy, palenie haszyszu i opium — wszystko to jest przywilejem ostatniej już czwórki plemienia, Właścicieli Pstrokatych Wielbł ądów, którzy prowadz ą także handel niewolnikami.Abu Simbel zagl ąda do namiotu tańców. Siedz ą tam pielgrzymi, każdy w lewej ręce ściska kurczowo sakiewkę z pieniędzmi; co jakiś czas moneta z sakiewki wę-druje do prawej dłoni. Tancerki potrz ąsaj ą ciałami i oblewaj ą się potem, ani na moment nie spuszczaj ą oczu z koniuszków palców pielgrzymów; kiedy monety przestaj ą wędrować, ustaje również taniec. Wielki człowiek krzywi się i spuszcza połę namiotu.Dżahilijję zbudowano w postaci szeregu nieregularnych okręgów, a jej domostwa oddalaj ą się od Domu Czarnego Kamienia w przybliżeniu według majętności i szacowności. Pałac Abu Simbela znajduje się w pierwszym kole, w najbardziej wewnętrznym pierścieniu; on sam idzie wzdłuż jednej z tych krętych, wij ących się promieniście dróg, mijaj ąc rozlicznych jasnowidzów tego miasta, którzy, w zamian za pieni ądze otrzymywane od pielgrzymów, szczebiocz ą, gruchaj ą, sycz ą, opętani przez dżinnów ptasich, zwierzęcych czy też wężowych. Wróżbitka, która podniosła w porę oczy, zast ąpiła mu drogę.— Chcesz zawładn ąć sercem jakiegoś dziewczęcia, kochany? Chcesz mieć wroga w swej mocy? Wypróbuj mnie; spróbuj moich małych węzełków. — I wstaje, kołysz ąc sznurem z węzełkami, usidlaczka losów ludzkich, lecz zobaczywszy 83

teraz, do kogo mówi, opuszcza rozczarowan ą rękę i mrucz ąc coś znika chyłkiem w piasku.Wszędzie hałas i kuksańce. Poeci stoj ą na pudłach i deklamuj ą, a pielgrzymi rzucaj ą monety do ich stóp. Niektórzy bardowie recytuj ą wersy radżaz, ich czterosylabowe metrum zainspirowane, według legendy, przez rytmiczny chód wielbł ąda; inni znowu deklamuj ą kasydy, wiersze o przewrotnych kochankach, przygodach na pustyni, polowaniu na dzikiego osła. Za dzień lub dwa przyjdzie czas na doroczny konkurs poezji, po którym siedem najlepszych wierszy zostanie zawieszonych na murach Domu Czarnego Kamienia. Poeci przygotowuj ą się do swojego wielkiego dnia, Abu Simbel śmieje się z minstreli śpiewaj ących zjadliwe satyry, jadowite ody zamówione przez jednego wodza przeciw drugiemu, przez jedno plemię przeciw s ąsiadowi. I kiwa głow ą w uznaniu, kiedy jakiś poeta przył ącza się do niego, przebiegły chudy młodzian o oszalałych palcach. Ten młody paszkwilant to już teraz najbardziej cięty język, którego boj ą się w całej Dżahilijji, ale do Abu Simbela czuje prawie szacunek. — Naczelniku, dlaczegoś tak pochłonięty myślami? Gdyby ci nie wypadały włosy, poradziłbym, żebyś je rozpuścił. —

Abu Simbel szczerzy zęby w wylewnym grymasie. — Taki rozgłos — zastanawia się. — Taka sława i to zanim zd ążyłeś pogubić mleczne zęby. Uważaj, bo będziemy musieli ci je usun ąć. — Wyraźnie drażni poetę, mówi ąc niefrasobliwie, lecz teraz niefrasobliwość jest przetkana groźb ą, a to z powodu zasięgu jego władzy.Chłopiec nie daje się zbić z tropu. Dotrzymuj ąc kroku Abu Simbelowi, odpowiada: — W miejsce każdego, który wyrwiesz, wyrośnie mocniejszy, gryz ący głębiej i tocz ący jeszcze gorętsze strugi krwi. — Naczelnik kiwa głow ą. — Lubisz smak krwi — mówi. Chłopak wzrusza ramionami. — Zadanie poety — odpowiada. —

Nazwać to, co nie nazwane, wskazywać na szalbierstwa, opowiadać się po czyjejś stronie, wszczynać spory, kształtować świat i nie dopuścić by zasn ął. — I jeżeli całe strumienie krwi popłyn ą z ran zadanych przez jego wiersze, w takim razie pożywi ą go. Oto satyryk Baal.Mija ich szczelnie zasłonięta lektyka; jakaś wytworna dama z miasta chce ogl ądać jarmark, niesiona na ramionach ośmiu anatolijskich niewolników. Abu Simbel bierze młodego Baala pod ramię pod pretekstem wyprowadzenia go z ulicy; mruczy: — Miałem nadzieję, że cię znajdę; jeżeli pozwolisz na słówko. — Ba-al podziwia zręczność Naczelnika. Szukaj ąc człowieka, potrafi sprawić, że zwie-rzyna, na któr ą poluje, jest przekonana, że to ona upolowała myśliwego. Uścisk Abu Simbela staje się mocniejszy; trzymaj ąc poetę pod ramię, kieruje go w stronę świętego świętych, w sam środek miasta.— Mam zamówienie dla ciebie — mówi Naczelnik. — Sprawa czysto literac-ka. Znam swoje słabe strony; arkana rymowanej złośliwości, sztuczki toniczego oszczerstwa, wszystko to przekracza moje możliwości. Rozumiesz.Lecz Baal, ten dumny, arogancki typ, sztywnieje, zachowuje się niezwykle wyniośle. — Nie wypada, aby artysta stawał się sług ą władzy. — Głos Simbe-84

la cichnie, nabiera bardziej aksamitnego rytmu. — Ach, tak. Natomiast oddawa-nie się do dyspozycji morderców jest całkowicie zgodne z nakazami honoru. —

W Dżahilijji szerzy się kult zmarłych. Kiedy umiera człowiek, płatni żałobnicy biczuj ą się, rozdrapuj ą skórę, wyrywaj ą włosy. Na grobie pozostawia się wielbł ą-da z poprzecinanymi ścięgnami, by zdechł. A jeżeli ten człowiek został zamor-dowany, jego najbliższy krewny składa ślubowanie ascezy i ściga mordercę, aż dług krwi zostanie spłacony krwi ą; po czym należy do zwyczaju ułożenie wiersza wysławiaj ącego czyn, lecz rzadko mściciele posiadaj ą talent układania rymów.Wielu poetów zarabia na życie, pisz ąc pieśni sławi ące morderstwo, i panuje po-wszechna opinia, że najwspanialszym z tych piewców krwi jest przedwcześnie rozwinięty polemista, Baal. Którego zawodowa duma chroni teraz przed posinia-czeniem przez drobne wymyślania Abu Simbela. — To sprawa kultury — odpowiada. Naczelnik pogr ąża się jeszcze bardziej w swojej jedwabistości. — Być może — szepce u bram Domu Czarnego Kamienia — ale Baal, przyznaj: czyż nie mam do ciebie jakiegoś małego prawa? Obydwaj służymy, albo przynajmniej tak myślałem, tej samej pani.Teraz krew odpływa z policzków Baala, jego pewność siebie pęka z trzaskiem, spada z niego jak skorupa. Abu Simbel, pozornie nie zauważaj ąc tej przemiany, wci ąga satyryka do wnętrza Domu.Mówi ą w Dżahilijji, że ta dolina jest pępkiem świata; że w momencie tworzenia planeta obracała się wokół tego punktu. Adam zjawił się tutaj i zobaczył cud: cztery szmaragdowe słupy podtrzymuj ące w górze olbrzymi iskrz ący się rubin, a poniżej tego sklepienia olbrzymi biały kamień, również iskrz ący się własnym światłem, jakby wizja jego własnej duszy. Wybudował wokół tej wizji mocne mu-ry, chc ąc j ą na zawsze zwi ązać z ziemi ą. Był to pierwszy Dom. Odbudowywano go wielokrotnie — kiedyś nawet zrobił to sam Ibrahim, po tym, jak Hagar i Ismail ocaleli dzięki aniołowi, aż stopniowo przez te wszystkie stulecia niezliczone do-tknięcia pielgrzymów przyciemniły biel kamienia i zmieniły j ą w czerń. Potem rozpocz ął się okres bożków; do czasów Mahounda już trzystu sześćdziesięciu kamiennych bogów zd ążyło się stłoczyć wokół kamienia samego Boga.Co pomyślałby sobie stary Adam? Teraz s ą tu również jego właśni synowie: Hubal olbrzym, wysłany przez Amalekitów z Hit, stoi nad studni ą skarbów, Hubal pasterz, przybieraj ący sierp księżyca; także groźnie patrz ący niebezpieczny Kain.On jest ubywaj ącym księżycem, kowalem i muzykiem; on również ma swoich wyznawców.Hubal i Kain patrz ą z góry na spaceruj ących: Naczelnika i poetę. A również proto-Dionizos Nabatańczyków, Ten-od-Szarii, gwiazda porana, Astarte, i ponury Nakruh. To znowu bóg-słońce, Manaf! Patrzcie, a tam bije skrzydłami gigantyczny Nasr, bóg o kształcie orła! Dalej zauważcie Kuza, który podtrzymuje tęczę. . .Czyż nie jest to nadmiar bogów, kamienny potop, który ma zaspokoić żarłoczny głód pielgrzymów i ugasić ich bezbożne pragnienie. Aby przyci ągn ąć podróż-85

nych, bóstwa te — podobnie jak pielgrzymi — przybywaj ą ze wszystkich stron.Bożki również s ą delegatami na coś w rodzaju międzynarodowych targów.Jest tutaj bóg zwany Allahem (co oznacza po prostu boga). Zapytajcie mieszkańców Dżahilijji i przyznaj ą, że ten gość ma pewnego rodzaju władzę nad całości ą, ale nie jest za bardzo popularny: wszechstronny w erze pos ągów wyspecja-lizowanych.Abu Simbel i znowu poc ący się Baal przybyli do znajduj ących się obok siebie przybytków trzech bogiń najbardziej w Dżahilijji ukochanych. Kłaniaj ą się przed wszystkimi trzema: Uzza o promiennym obliczu, bogini piękna i miłości; ciemna i ponura Manat, z twarz ą odwrócon ą, przesypuj ąca piasek pomiędzy palcami, jej cele niezgłębione — ma w swojej pieczy przeznaczenie — jest Losem; i na koniec najwyższa z całej trójki, bogini matka, któr ą Grecy nazwali Lato. Tutaj nazywaj ą j ą Ilat albo częściej, Al-Lat. Sama bogini. Nawet jej imię czyni j ą przeciwieństwem Allaha i równ ą mu boginię. Lat wszechmocna. Na twarzy Baala maluje się nagła ulga, satyryk rzuca się na ziemię, padaj ąc krzyżem przed bogini ą. Abu Simbel stoi.Rodzina Naczelnika, Abu Simbela — albo też dokładniej, jego żony Hind

— sprawuje kontrolę nad słynn ą świ ątyni ą bogini Lat przy południowej bramie miasta. (Czerpie również dochody ze świ ątyni Manat przy wschodniej bramie i ze świ ątyni Uzzy przy północnej.) Te przywileje s ą podstaw ą fortuny Naczelnika, a więc jest on oczywiście, rozumuje Baal, sług ą Lat. No a nabożeństwo satyryka do tej bogini jest dobrze znane, jak Dżahilijja długa i szeroka. A więc to miał

na myśli Abu Simbel! Drż ąc z doznanej ulgi, Baal dalej leży na ziemi i dziękuje swojej łaskawej Patronce, która spogl ąda na niego dobrotliwie; nie wolno jednak polegać na wyrazie twarzy bogini. Baal popełnił poważny bł ąd.Bez ostrzeżenia Naczelnik wymierza poecie kopniaka w nerkę. Zaatakowany właśnie wtedy, kiedy doszedł do wniosku, że jest bezpieczny, Baal wyje, turlaj ąc się po ziemi, a Abu Simbel idzie za nim, nie przestaj ąc kopać. Słychać chrzęst łamanego żebra. — Kurdupel — stwierdza Naczelnik, mówi ąc wci ąż cichym i dobrodusznym głosem. — Ty cienko piej ący alfonsie z małymi j ądrami. S ądziłeś, że pan świ ątyni Lat będzie twoim przyjacielem tylko z powodu twojej młodzieńczej pasji do bogini? — I dalsze kopniaki, regularne, systematyczne. Baal łka u stóp Abu Simbela. Dom Czarnego Kamienia nie jest bynajmniej pusty, lecz kto odwa-żyłby się stan ąć pomiędzy Naczelnikiem a jego gniewem? Nagle prześladowca Baala kuca, chwyta poetę za włosy, podrywa mu głowę do góry i szepce do ucha:

— Baal, nie ona była t ą pani ą, któr ą miałem na myśli. — I wówczas Baal dobywa z siebie wycie pełne obrzydliwej żałości nad samym sob ą, ponieważ wie, że jego życie wkrótce dobiegnie kresu, skończy się akurat wtedy, kiedy tyle jeszcze przed nim, biedny facet. Wargi Naczelnika prawie ocieraj ą się o jego ucho. — Łajno przestraszonego wielbł ąda — sapie Abu Simbel. — Wiem, że pieprzysz moj ą żo-nę. — Z zainteresowaniem zauważa u Baala wyraźn ą erekcję — ironiczny pomnik 86

jego lęku.Abu Simbel, Naczelnik — rogacz, podnosi się, wydaje polecenie: — Wstawaj.— I Baal, oszołomiony, wychodzi za nim na zewn ątrz.Groby Ismaila i jego matki Egipcjanki Hagar znajduj ą się przy północno-zachodniej ścianie Domu Czarnego Kamienia, ogrodzone niskim murem. Abu Simbel zbliża się do tego miejsca, zatrzymuj ąc się nie opodal. Wewn ątrz stoi kilku mężczyzn. Jest tam nosiwoda Chalid i jakiś próżniak z Persji, nosz ący cudzoziemskie imię Salman, a tę trójcę szumowin uzupełnia niewolnik Bilal, ten sam, którego wyzwolił Mahound, olbrzymi czarny potwór, tak — ten o głosie pasuj ącym do rozmiarów jego ciała. Tych trzech próżniaków siedzi sobie na murku. —

Ta hołota — mówi Abu Simbel — to temat dla ciebie. Pisz o tych ludziach; również o ich przywódcy. — Baal, pomimo że wci ąż przerażony, nie może ukrywać swojego niedowierzania. — Ależ Naczelniku, o tych cymbałach — tych pierdolonych błaznach? Nie musisz się nimi przejmować. Czego się obawiasz? Tego, że jedyny Bóg Mahounda doprowadzi twoje świ ątynie do bankructwa? Trzysta sześćdziesi ąt przeciw jednemu i ten jeden wygrywa? Niemożliwe. — Chichocze, bliski histerii. Abu Simbel zachowuje spokój. — Zachowaj zniewagi do swoich wierszy. — Chichocz ący Baal nie może przestać. — Rewolucja nosiwodów, imigrantów i niewolników. . . kapitalne, Naczelniku. Naprawdę mnie przestraszyłeś.— Abu Simbel patrzy uważnie na krztusz ącego się ze śmiechu poetę. — Tak

— odpowiada — zgadza się, powinieneś się bać. Zabierz się do pisania, proszę, i spodziewam się, że wiersze te będ ą naprawdę arcydziełami. — Baal załamuje się, skamle. — Ale szkoda na nie mojego, mojego małego talentu. . . — Widzi, że powiedział aż za dużo.— Rób, co ci każę — mówi mu na koniec Abu Simbel. — Nie masz wyboru.Abu Simbel wyleguje się w swojej sypialni, a nałożnice spełniaj ą jego zachcianki. Olejek kokosowy na jego przerzedzaj ące się włosy, wino dla jego podniebienia, języki dla jego rozkoszy. Chłopak miał rację. Dlaczego właściwie obawiam się Mahounda? Leniwie zaczyna liczyć nałożnice, rezygnuje z machnięciem ręki przy piętnastej. Ten chłopak. Hind będzie się z nim dalej spotykać, to oczywiste; jak ˛

a ma szansę przeciwstawienia się jej woli? Jego słabości ą, której zreszt ą jest świadom, jest to, że zbyt wiele widzi, zbyt wiele toleruje. Ma swoje pragnienia, dlaczego ona nie może mieć swoich? Dopóki będzie dyskretna; i dopóki on o tym będzie wiedział. Musi wiedzieć; znajomość faktów jest jego narkotykiem, jego nałogiem. Nie może tolerować czegoś, o czym nie wie i z tego powodu, jeżeli już nie z żadnego innego, Mahound jest jego wrogiem, Mahound ze swoj ą band ą obdartusów, chłopiec słusznie się śmiał. Jemu, Naczelnikowi, śmiech nie przychodzi łatwo. Podobnie jak jego przeciwnik jest człowiekiem ostrożnym, podejmuje decyzje w sposób rozważny. Pamięta tego dużego niewolnika, Bilala: jego właściciel poprosił go przed świ ątyni ą bogini Lat, by wyliczył bogów. —

Jeden — odparł tamten swoim potężnym, dźwięcznym głosem. Bluźnierstwo, ka-87

rane śmierci ą. Rozci ągnęli go na ziemi, tam, gdzie odbywał się jarmark, i położyli na piersiach głaz. Ile powiedziałeś? Jeden, powtórzył, jeden. Do pierwszego kamienia dodano następny. Jeden jeden jeden. Mahound zapłacił jego właścicielowi wysok ą cenę i uwolnił go.Nie, Abu Simbel namyśla się, chłopiec Baal nie miał racji, dla tych ludzi nie szkoda naszego czasu. Dlaczego obawiam się Mahounda? Dlatego: jeden jeden jeden, jego przerażaj ąca pojedynczość. Natomiast ja zawsze jestem podzielony, zawsze dwa lub trzy, lub piętnaście. Potrafię nawet zrozumieć jego punkt widzenia; jest tak bogaty i prowadzi tak dobre interesy, jak każdy z nas, jak każdy z członków rady, ale ponieważ pozbawiony jest właściwych powi ązań rodzinnych, nie ofiarowaliśmy mu dot ąd miejsca w naszej grupie. Jako sierota został wykluczony z kupieckiej elity, czuje, że został oszukany, że nie otrzymał tego, co mu się należy. Zawsze był ambitnym facetem. Ambitnym, ale też samotnym. Nie dotrzesz do szczytu, jeżeli wspinasz się na górę zupełnie sam. Chyba że, być może, spotkasz tam anioła. . . tak, to to. Rozumiem już, co zamierza. Chociaż on by mnie nie zrozumiał. Jakiego rodzaju ide ˛

a jestem? Uginam się. Waham. Obliczam szansę, na-stawiam żagle do wiatru, maniupuluję, udaje mi się wytrwać. Dlatego właśnie nie oskarżę Hind o cudzołóstwo. Jesteśmy dobr ą par ą, lód i ogień. Jej rodzinna tarcza herbowa, legendarny czerwony lew, wielozębny mantykora. Niech się zabawia ze swoim satyrykiem; między nami nigdy nie chodziło o seks. Skończę z nim, kiedy ona skończy. Oto wielkie kłamstwo, myśli Naczelnik Dżahilijji, zapadaj ąc w sen: pióro jest potężniejsze od miecza.

\* \* \*Fortuny miasta Dżahilijji zostały zbudowane na przewadze piasków nad wod ą.

Dawnymi czasy uważano, że bezpieczniej jest przewozić towary przez pustynie niż przez morza, gdzie monsuny mogły uderzyć w każdej chwili. W owych czasach przed meteorologi ą takich spraw nie dało się z góry przewidzieć. Z tego powodu prosperowały karawanseraje. Produkty z całego świata przybywały z Zafaru do Saby, a stamt ąd do Dżahilijji i oazy Jasrib i dalej do Medianu, gdzie mieszkał

Mojżesz; z kolei stamt ąd do Akaby i Egiptu. W Dżahilijji zaczynały się inne szla-ki: na wschód i północny wschód w stronę Mezopotamii i wielkiego imperium perskiego. Do Petry i Palmiry, gdzie kiedyś Salomon pokochał Królow ą Saby. To były tłuste lata. Lecz teraz floty pływaj ące regularnie po wodach wokół półwyspu stały się śmielsze, ich załogi sprawniejsze, a instrumenty nawigacyjne dokładniejsze. Sznury wielbł ądów trac ą towary na rzecz statków. Okręt pustyni i okręt morza, odwieczni rywale, widz ą, jak zmienia się dotychczasowa równowaga sił.88

Władcy Dżahilijji niepokoj ą się, ale niewiele mog ą zrobić. Czasami Abu Simbel podejrzewa, że tylko pielgrzymki ratuj ą miasto przed upadkiem. Rada szuka w całym świecie pos ągów obcych bogów, aby przyci ągn ąć nowych pielgrzymów do miasta z piasku, ale i w tym też ma konkurencję. W Sabie zbudowano wielk ą świ ątynię, przybytek, który ma rywalizować z Domem Czarnego Kamienia. Wielu pielgrzymów dało się tam zwabić i tłumy na jarmarkach w Dżahilijji malej ą.Na polecenie Abu Simbela władcy Dżahilijji dodali do swoich praktyk religijnych kusz ące przyprawy profanacji. Miasto stało się sławne z powodu rozwi ą-złości, jaskinia hazardu, burdel, miejsce, gdzie rozbrzmiewaj ą sprośne piosenki i dzika głośna muzyka. Pewnego razu kilku członków plemienia Bałwochwalców posunęło się za daleko w swojej zachłanności na pielgrzymie pieni ądze. Odźwier-ni Domu zaczęli domagać się łapówek od znużonych wędrowców; czterech z nich, rozgor ączkowanych tym, że dostali takie psie pieni ądze, zabiło dwóch podróż-nych spychaj ąc ich z wielkich stromych schodów. Praktyka nie dała spodziewanych efektów, zniechęcaj ąc pielgrzymów do powtórnych odwiedzin. . . Obecnie często porywa się kobiety odbywaj ące pielgrzymkę — dla okupu, albo po to, by sprzedać je jako nałożnice. Gangi młodych Bałwochwalców patroluj ą miasto, eg-zekwuj ąc swoje prawa. Mówi się, że Abu Simbel spotyka się potajemnie z przy-wódcami gangów i organizuje ich działalność. To jest świat, któremu Mahound przyniósł swoje przesłanie: jeden jeden jeden. Pośród takiej różnorodności brzmi to jak słowo niebezpieczne.Naczelnik siada i od razu zbliżaj ą się nałożnice, by podj ąć na nowo smaro-wanie olejkami i gładzenie. Oddala je ruchem ręki, klaszcze w dłonie. Wchodzi eunuch. — Wyślij posłańca do domu Kahina Mahounda — poleca Abu Simbel.Poddamy go małej próbie. Uczciwa walka: trzy przeciw jednemu.

\* \* \*Nosiwoda imigrant niewolnik: trzej uczniowie Mahounda obmywaj ą się przy studni Zamzam. W tym piaskowym mieście ich obsesja na punkcie wody czyni z nich dziwaków. Ablucje, zawsze ablucje, nogi — w górę do kolan, ramiona —

w dół do łokci, głowa — w dół do karku. Jakżeż dziwacznie wygl ądaj ą z suchymi tułowiami, mokrymi kończynami i wilgotnymi głowami! Chlap, klap, obmycie i modlitwa. Na kolanach, wpychaj ąc ręce nogi głowy we wszechobecny piasek, a następnie znowu rozpoczynaj ą swój cykl wody i modlitwy. S ą łatwym celem dla Baalowego pióra. Ich zamiłowanie do wody jest pewnego rodzaju zdrad ą; mieszkańcy Dżahilijji godz ą się na wszechmoc piasku. Włazi im pomiędzy palce u stóp i dłoni, zlepia rzęsy i włosy, zatyka pory skóry. Otwieraj ą się na pustynię: przy-89

b ądź, piasku, obmyj nas w suchości. Taka jest postawa Dżahilijjan od najwyższego obywatela do najniższego z niskich. S ą ludźmi krzemu, a weszli między nich miłośnicy wody.Baal kr ąży wokół nich w bezpiecznej odległości — z takim człowiekiem jak Bilal nie ma żartów — i wykrzykuje szyderstwa. — Gdyby idee Mahounda były cokolwiek warte, czy myślicie, że znalazłyby uznanie jedynie wśród takiej hołoty jak wy? — Salman uspokaja Bilala: — Powinniśmy się czuć zaszczyceni, że sam potężny Baal zechciał nas zaatakować. — Uśmiech i Bilal odpręża się, uspokaja.Nosiwoda Chalid jest nerwowy i kiedy dostrzega zbliżaj ąc ą się ciężk ą sylwet-kę Hamzy, wuja Mahounda, biegnie z niecierpliwości ą na spotkanie. W wieku sześćdziesięciu lat Hamza jest wci ąż najsłynniejszym w mieście wojownikiem i łowc ą lwów. Jednak prawda jest mniej wspaniała niż w panegirykach: Hamza został wiele razy pokonany w walce, ratowany przez przyjaciół lub szczęśliwy zbieg okoliczności, wyrywany z paszczy lwa. Ma pieni ądze, więc takie nowiny nie dostaj ą się do publicznej wiadomości. A wiek i to, że przeżył, w jakiś sposób uprawomocniaj ą legendę o wojennej sławie. Bilal i Salman, zapominaj ąc o Baalu, pod ążaj ą za Chalidem. Wszyscy trzej s ą nerwowi, młodzi.Wci ąż jeszcze nie wrócił, komunikuje Hamza. A Chalid, zaniepokojony: Przecież to już trwa całe godziny, co ten skurwysyn mu robi, torturuje go, miażdży kciuki, biczuje? Salman, raz jeszcze, zachowuje największy spokój: To nie w stylu Simbela, mówi, to coś podejrzanego, możecie być pewni. A Bilal ryczy lojalnie: Podejrzane czy nie, ja tam wierzę w niego, w Proroka. On się nie załamie. Hamza upomina go tylko łagodnie: Och, Bilal, ile razy trzeba ci powtarzać? Zachowuj swoj ą wiarę dla Boga. Posłaniec jest tylko człowiekiem. Chalid wybucha: naciera z pięściami na starego Hamzę, protestuje, mówisz, że Posłaniec jest słaby? Możesz być jego wujem. . . Hamza daje nosiwodzie kuksańca w głowę. Nie pozwól, żeby zobaczył twój strach, mówi, nawet wtedy, gdy jesteś śmiertelnie wystraszony.Cała czwórka ponownie obmywa się, kiedy przybywa Mahound; gromadz ą się wokół niego, ktocodlaczego. Hamza zachowuje rezerwę. — Siostrzeńcze, nic z tego cholera nie będzie — warczy swoim żołnierskim głosem. — Kiedy schodzisz z góry Coney, bije od ciebie jasność. Dzisiaj jest to coś ciemnego.Mahound siada na krawędzi studni i uśmiecha się szeroko. — Zaproponowa-no mi transakcję. — Czy to Abu Simbel? Krzyczy Chalid. Nie do pomyślenia.Odmów. Wierny Bilal upomina go: Nie pouczaj Posłańca. Oczywiście, że odrzucił. Salman Pers pyta: Jakiego rodzaju transakcję. Mahound uśmiecha się znowu.— No, przynajmniej jeden z was chce wiedzieć.— To drobiazg — zaczyna znowu. — Ziarenko piasku. Abu Simbel prosi Allaha, aby wyświadczył mu jedn ą mał ą przysługę. — Hamza widzi jego wyczerpanie. Jak gdyby właśnie zmagał się z demonem. Nosiwoda wrzeszczy: — Nic!Nic takiego! — Hamza zamyka mu gębę.90

— Gdyby nasz wielki Bóg mógł uznać — użył właśnie tego słowa uznać —

trzy, tylko trzy z trzystu sześćdziesięciu bożków za godne czci. . .— Nie ma żadnego boga oprócz Boga — krzyczy Bilal. A jego kompani przył ączaj ą się: — O Allahu! — Mahound wygl ąda na zagniewanego. — Czy wierni wysłuchaj ą Posłańca? — Milkn ą, szuraj ąc nogami w kurzu.— On prosi Allaha o zaaprobowanie Lat, Uzzy i Manat. W zamian gwarantuje, że będziemy tolerowani, a nawet oficjalnie uznani, na znak czego ja mam być wybrany do rady Dżahilijji. Taka jest oferta.Salman Pers mówi: — To pułapka. Jeżeli wejdziesz na Coney i zejdziesz z takim posłaniem, on zapyta, jak mogłeś zmusić Gibrila, aby dostarczył odpowied-niego objawienia? Będzie mógł nazwać cię szarlatanem, oszustem. — Mahound kręci głow ą. — Wiesz, Salmanie, że nauczyłem się słuchać. Nie jest to zwyczajne słuchanie; na swój sposób to również pytanie. Często, kiedy Gibril przychodzi, zdaje się wiedzieć, co dzieje się w moim sercu. Mam wtedy zwykle uczucie, że on przychodzi z wnętrza mojego serca: z wnętrza moich najskrytszych zak ątków, z mojej duszy.— Albo to jest inna pułapka — upiera się Salman. — Jak długo już recytujemy wyznanie wiary, któr ą nam przyniosłeś? Nie ma żadnego boga oprócz Boga. Kim będziemy, jeżeli teraz porzucimy tę wiarę? To nas osłabia, czyni niedorzecznymi.Przestajemy być niebezpieczni. Nikt nie będzie już nigdy traktował nas poważnie.Mahound śmieje się, szczerze rozbawiony. — Być może jesteś tu zbyt krótko

— zaczyna uprzejmie. — Czy nie zauważyłeś? Ludzie nie traktuj ą nas poważnie.Nigdy nie więcej niż pięćdziesięciu słuchaczy, a połowa z nich to turyści. Czyż nie czytasz paszkwili, które Baal wywiesza po całym mieście? — Recytuje: Posłańcze, proszę wysłuchaj

mnie uważnie, nie chcemy twojej monofilii,twój jeden jeden jeden, nie dla Dżahilijji.Zwrócić nadawcy.— Wyśmiewaj ą się z nas wszędzie i ty nazywasz nas niebezpiecznymi — krzykn ął.Teraz Hamza wygl ąda na zmartwionego. — Nigdy przedtem nie przejmowałeś się ich opiniami. Dlaczego akurat teraz? Dlaczego po rozmowie z Simbelem?Mahound kręci głow ą. — Czasami myślę, że powinienem zrobić coś, żeby ludziom łatwiej było wierzyć.Wśród uczniów zapanowało kłopotliwe milczenie; wymieniaj ą spojrzenia, przestępuj ą z nogi na nogę. Mahound krzyczy znowu. — Wszyscy wiecie przecież, co się dzieje. Nie udaje nam się pozyskać nowych wyznawców. Ludzie nie zrezygnuj ą ze swoich bogów. Nie chc ą i już. — Wstaje, odchodzi od nich dużymi krokami, obmywa się po drugiej stronie studni Zamzam, klęka do modlitwy.91

— Ludzie pogr ążeni s ą w ciemnościach — mówi Bilal, zmartwiony. — Ale oni przejrz ą. Usłysz ą. Bóg jest jeden. — Przygnębienie ogarnia cał ą czwórkę; nawet Hamza mu ulega. Wstrz ąsnęło Mahoundem, a więc i jego uczniowie drż ą.Wstaje, zgina się w pokłonie, wzdycha, obchodz ąc studnię, wraca do nich. —

Słuchajcie mnie. Wszyscy — mówi, obejmuj ąc jednym ramieniem Bilala, a drugim swojego wuja — słuchajcie: to jest interesuj ąca oferta.Chalid, nie objęty tym uściskiem, przerywa z gorycz ą: — To kusz ˛

aca trans-

akcja. — Pozostali s ą przerażeni. Hamza mówi bardzo łagodnie do nosiwody:

— Czyż to nie ty, Chalidzie, chciałeś właśnie teraz mocować się ze mn ą, gdyż niesłusznie podejrzewałeś, że nazywaj ąc Posłańca człowiekiem, w rzeczy samej nazywałem go słabeuszem? A teraz co? Czy teraz moja kolej, żeby wyzywać cię do walki?Mahound błaga o pokój. — Jeżeli się teraz pokłócimy, nie ma już nadziei.— Usiłuje przenieść dyskusję na grunt teologii. — Nie proponuję, żeby Allah zaakceptował te trzy jako równe sobie. Nawet nie Lat. Jedynie to, żeby otrzymały jakiś status pośredni, niższy.— Taki jak diabły — wybucha Bilal.— Nie. — Salman Pers rozumie w czym rzecz. — Jak archaniołowie. Naczelnik jest bystrym człowiekiem.— Anioły i diabły — mówi Mahound. — Szejtan i Gibril. My wszyscy już wierzymy, że istniej ą, gdzieś w pół drogi między Bogiem a człowiekiem. Abu Simbel prosi, abyśmy dopuścili jedynie trzy dalsze postacie do tego prześwietne-go towarzystwa. Tylko trzy, i jak zaznacza, wszystkie dusze Dżahilijji będ ą nasze.— A Dom zostanie oczyszczony z pos ągów? — pyta Salman. Mahound odpowiada, że to nie zostało sprecyzowane. Salman kręci głow ą. — Robi ą to, żeby cię zniszczyć. — A Bilal dodaje: — Bóg nie może być czworgiem. — A Chalid, bliski łez: — Posłańcze, co ty mówisz? Lat, Manat, Uzza — to wszystko kobiety.Na miłość bosk ą! Czy mamy teraz mieć boginie? Te stare żurawie, czaple, harpie?Cierpienie wysiłek zmęczenie odcisnęły się głęboko na twarzy Proroka. Któr ą Hamza, jak żołnierz na polu bitwy pocieszaj ący rannego przyjaciela, bierze w swoje dłonie. — Nie możemy rozstrzygn ąć tego za ciebie, siostrzeńcze — mó-wi. — Wejdź na górę. Idź, zapytaj Gibrila.

\* \* \*Gibril: śni ący, który czasami ogl ąda sytuację z punktu widzenia kamery, a kiedy indziej znowu — oczyma widza. Kiedy jest kamer ą, jego pe wu nieustannie się zmienia, nienawidzi bowiem statycznych ujęć, tak więc unosi się w górę na wyso-92

kim żurawiu, spogl ądaj ąc ku ziemi na skrócone postaci aktorów, albo też rzuca się w dół, aby stamt ąd niepostrzeżenie, pośród nich, obracaj ąc się powoli na pięcie, otrzymać trzystu-sześćdziesięcio-stopniowy panoramiczny obraz, albo też będzie się starał zrobić ujęcie z platformy jad ącej obok Baala i Abu Simbela, kiedy ci id ą, względnie trzyman ą w dłoni stabiln ą kamer ą wniknie w sekrety sypialni Naczelnika. Lecz przeważnie siedzi na szczycie góry Cone, zupełnie jak facet, który zapłacił za miejsce w najniższej loży, a Dżahilijja jest jego srebrnym ekranem.Ogl ąda i ocenia akcję jak każdy miłośnik kina, rozkoszuje się walkami zdradami kryzysami moralnymi, lecz za mało tam dziewcz ąt, jak na naprawdę kasowy film, człowieku, i gdzie s ą te cholerne piosenki? Powinni byli porz ądnie opracować scenę na jarmarku, może nawet charakterystyczna rólka dla Pimple Billimorii —

w namiocie pokazów kręciłaby swoimi sławetnymi cyckami.I wówczas, bez ostrzeżenia, Hamza mówi do Mahounda: Idź i zapytaj Gibrila, i on, śni ący, czuje, jak serce mu skacze z trwogi, kto, ja? To ja mam znać odpowiedź? Siedzę tu sobie i ogl ądam ten film, i nagle ten aktor pokazuje palcem na mnie, kto słyszał coś podobnego, kto prosi cholern ą widownię ogl ądaj ąc ą film

„teologiczny” o rozwi ązanie tego cholernego w ątku? — Lecz w miarę jak sen się rozwija, stale zmienia formę, on, Gibril, nie jest już tylko widzem, ale centraln ą postaci ą, gwiazd ą. Ze swoj ą słabości ą do przyjmowania zbyt wielu ról: tak, tak, gra nie tylko archanioła, ale również jego, biznesmena, Posłańca, Mahounda, wspina się na górę razem z nim. Żeby ta podwójna rola się udała, potrzeba ele-ganckiego montażu, nie mog ą się pojawiać razem w jednym ujęciu, każdy z nich musi mówić w pustkę, w stronę wyobrażonego wcielenia tego drugiego i ufać, że współczesna technika stworzy ten brakuj ący obraz przy pomocy nożyczek, taśmy klej ącej lub bardziej egzotycznie, z udziałem przesuwanej maty. Nie mylić jej tylko z jakimś he he lataj ącym dywanem.Zrozumiał: że boi się tego drugiego, biznesmena, czyż to nie idiotyczne? Archanioł trzęs ący się ze strachu przed śmiertelnikiem. To prawda, ale: ten rodzaj lęku, który odczuwasz, kiedy jesteś po raz pierwszy na planie filmowym i ma tam właśnie wkroczyć jedna z żywych legend kina; myślisz, zbłaźnię się, nie będę wiedział, co mam powiedzieć, zdrętwieję, chcesz za wszelk ą cenę być coś wart.Zostaniesz wessany w gwałtowny strumień jego geniuszu; on może sprawić, że będziesz dobrze wygl ądał, jak człowiek o wygórowanych ambicjach, ale poczu-jesz, kiedy nie będziesz spełniał swojego zadania, a co gorsza on też. . . Strach Gibrila, strach przed własnym ja tworzonym przez jego sen, każe mu przeciwstawić się przybyciu Mahounda, próbować za wszelk ą cenę przesun ąć je w czasie, ale on już się zbliża, nie ma w ątpliwości, i archanioł wstrzymuje oddech.Te sny, w których wypychaj ą cię na scenę, gdzie w ogóle nie wiesz o co chodzi, nie jesteś w temacie, nie nauczyłeś się ani linijki ze swojej roli, ale cała widownia patrzy, patrzy: tak się to odczuwa. Albo też prawdziwa historia o białej aktorce graj ącej Murzynkę w sztuce Szekspira. Weszła na scenę i wtedy zdała so-93

bie sprawę z tego, że na nosie ci ągle ma okulary, ojej, ale zapomniała poczernić sobie ręce, nie mogła więc ich podnieść i zdj ąć szkieł, podwójne ojej: i tak również się to odczuwa. Mahound przychodzi do mnie po objawieniu, prosz ˛

ac mnie,abym wybierał pomiędzy monoteizmem a henoteizmem, a ja jestem tylko idiotycznym aktorem, którego prześladuje jakiś bhaen-chud, koszmarny sen, sk ˛

ad, kurwa,mam wiedzieć, jar, jak brzmi odpowiedź, ratunku. Ratunku.

\* \* \*Aby dostać się z Dżahiliji na górę Cone, trzeba wejść w ciemne w ąwozy, gdzie piasek nie jest biały, nie jest tym czystym piaskiem przefiltrowanym dawno temu przez ciała strzykw, lecz czarny i surowy, wysysaj ący światło słońca. Coney kuli się przed tob ą niczym jakiś wyimaginowany zwierz. Idziesz w górę wzdłuż jego grzbietu. Zostawiwszy za sob ą ostatnie drzewa, ukwiecone białymi, grubymi, mlecznymi liśćmi, wspinasz się między głazami, które staj ą się tym większe, im wyżej się wspinasz, aż w końcu przypominaj ą olbrzymie ściany i słońce staje się niewidoczne. Jaszczurki s ą czarne jak cienie. Potem jesteś na szczycie, Dżahilijja za tob ą, a monotonna pustynia przed tob ą. Schodzisz w dół, ku pustyni, i około pięćset stóp niżej dochodzisz do groty, która jest na tyle wysoka, że można w niej stan ąć prosto i której dno jest wyścielone cudownym białym piaskiem. Podczas wspinaczki słyszysz, jak pustynne gołębice wzywaj ą cię po imieniu, a skały witaj ą również w twoim własnym języku, wołaj ąc Mahound, Mahound. Kiedy wreszcie dochodzisz do jaskini, jesteś zmęczony, kładziesz się, zasypiasz.

\* \* \*Ale kiedy już wypocz ął, wkracza w inny rodzaj snu, coś w rodzaju nie-snu, w stan, który nazywa swoim słuchaniem, i odczuwa przewlekły ból w trzewiach, jakby coś próbowało urodzić się i Gibril, który dot ąd unosił się-w-górze-spogl ądaj ąc-w dół, odczuwa zmieszanie, kim jestem, w takich chwilach zaczyna się wydawać, że archanioł jest w rzeczy samej wewn ˛

atrz Proroka, ja jestem tym dr ążeniem

w trzewiach, ja jestem aniołem, którego coś wypycha z pępka śpi ącego wyłaniam się, Gibril Fariszta, podczas gdy moje drugie ja, Mahound leży, słuchaj ˛

ac, w tran-

sie, jestem z nim zwi ązany, pępek z pępkiem lśni ącym sznurem świetlnym, niemożliwe jest powiedzieć, który z nas śni drugiego. Płyniemy w obu kierunkach 94

wzdłuż pępowiny.Dzisiaj, tak jak przemożn ą siłę Mahounda, Gibril odczuwa jego rozpacz: je-go w ątpliwości. Również to, że jest w wielkiej potrzebie lecz Gibril wci ąż nie zna swojej roli. . . słucha słuchania-które-jest-również-pytaniem. Mahound pyta: Widzieli cuda, lecz nie uwierzyli. Widzieli, jak przychodzisz do mnie, na oczach całego miasta, i otwierasz moj ą pierś, widzieli, jak obmywasz moje serce w wodach Zam-zam i wkładasz je na powrót do ciała. Wielu z nich widziało to, lecz wci ąż czcz ą kamienie. A kiedy przyszedłeś noc ą i sprawiłeś, że poleciałem do Jerozolimy i uniosłem się nad świętym miastem, czyż nie powróciłem i nie opi-sałem dokładnie jego wygl ądu, do najdrobniejszego szczegółu? Tak aby nie było żadnych w ątpliwości co do cudu, a mimo to udali się do Lat. Czyż nie zrobiłem już wszystkiego, co w mojej mocy, aby uprościć im wszystko? Kiedy zaniosłeś mnie przed sam Tron, Allah obarczył wiernych ogromnym ciężarem czterdziestu modlitw dziennie. W drodze powrotnej spotkałem Mojżesza, a on powiedział, że ten ciężar jest zbyt wielki, zawróć i błagaj o mniej. Czterokrotnie zawracałem, czterokrotnie Mojżesz mówił, wci ąż zbyt wiele, wróć jeszcze raz. Lecz za czwartym razem Allah zmniejszył obowi ązuj ąc ą ilość do pięciu modlitw i odmówiłem powrotu. Wstyd mi było błagać dalej. W swojej szczodrości prosi jedynie o pięć zamiast czterdziestu, a mimo to oni uwielbiaj ą Manat, oni chc ą Uzzy. Co mam robić? Jakie modlitwy odmawiać?Gibril zachowuje milczenie, nie potrafi odpowiedzieć, na miłość Bosk ą, Bhai, przestań zadawać mi pytania. Udręka Mahounda jest straszliwa. Pyta: czy to możliwe, że one s ˛

a aniołami? Lat, Manat, Uzza. . . czy mogę nazywać je anielskimi?Gibrilu, czy ty masz siostry? Czy one s ą córkami Boga? A on karze sam siebie, O moja próżności, jestem zarozumiałym człowiekiem, czy to jest słabość, czy to jest sen o potędze? Czy mam zdradzić siebie w zamian za stołek w radzie miejskiej? Czy jest to rozs ądne i m ądre, czy też próżne i egoistyczne? Nie wiem nawet, czy Abu Simbel jest szczery. Czy on wie? Być może nawet nie on. Jestem słaby, a on jest mocny, ta oferta daje mu wiele sposobów, żeby mnie zniszczyć. Lecz ja, również, mam wiele do zyskania. Dusze całego miasta, całego świata, czy z ca-ł ą pewności ą s ą one warte trzech aniołów? Czy Allah jest tak nieugięty, że nie przyjmie trzech dalszych bóstw, aby ocalić rodzaj ludzki? — Nic nie wiem. —

Czy Bóg powinien być dumny czy też pokorny, majestatyczny czy prosty, ustępliwy czy nie? — Jakiego rodzaju ide ˛

a on jest? Jak ˛

a jestem ja?

\* \* \*Zawieszony gdzieś pomiędzy jaw ą a snem, Gibril Fariszta często czuje ura-95

zę z powodu nieobecności, w prześladuj ących go wizjach, Tego, który powinien znać odpowiedzi. On nigdy się nie pojawia, ten, który trzymał się z daleka, kiedy umierałem, kiedy potrzebowałem. Ten, o którego tu naprawdę chodzi, Allah Iszwar Bóg. Jak zawsze nieobecny, kiedy wijemy się i cierpimy w jego imię.Najwyższa Istota wci ąż trzyma się z dala; natomiast to, co wci ąż powraca, to ta scena, pogr ążony w ekstazie Prorok, wypychanie, świetlny sznur i wtedy Gibril w swojej podwójnej roli patrzy zarówno z-góry-w-dół, jak i z-dołu-w-górę.I obydwaj wystraszeni do szaleństwa transcendentalności ą tego. Gibril czuje się sparaliżowany obecności ą Proroka, jego wielkości ą, myśli, nie mogę się nawet odezwać, wyszedłbym na tak cholernego głupca. Rada Hamzy: nigdy nie dawaj poznać po sobie, że się boisz: rada ta przydaje się na równi archaniołom i nosi-wodom. Archanioł musi sprawiać wrażenie opanowanego, co pomyślałby sobie Prorok, gdyby Wyniesiony Przez Boga zacz ął niezrozumiale bełkotać z powodu tremy?Zdarza się: objawienie. W ten sposób: Mahound, wci ąż w swoim nie-śnie, sztywnieje, żyły pulsuj ą mu na karku, zwija się w kłębek. Nie, nie przypomina to w niczym epilepsji, nie można tego wytłumaczyć w tak łatwy sposób; jakiż to atak padaczki kiedykolwiek zamienił dzień w noc, zgromadził chmury nad głow ą, a powietrze zagęścił jak zupę, podczas gdy anioł wisiałby, blady ze strachu, na niebie, nad cierpi ącym, przytrzymywanym jak latawiec na złocistej nitce? Drżenie, znowu to drżenie, a teraz cud zaczyna się w jego moich naszych wnętrznościach, on walczy z czymś z cał ą sił ą, wymusza coś i Gibril zaczyna czuć tę siłę, tę moc, oto jest ona przy mojej własnej szczęce, porusza się, otwieraj ąc zamykaj ąc; i ta moc, zaczynaj ąc się gdzieś w samym Mahoundzie, dosięga moich strun głosowych i wydobywa się dźwięk.Nie mój głos nigdy bym nie znał takich słów nie jestem żadnym rasowym mówc ą nigdy nie byłem nigdy nie będę lecz to nie jest mój głos to jest Głos.Oczy Mahounda szeroko otwarte, ma coś w rodzaju objawienia, wpatruje się w to, och, racja, przypomina sobie Gibril, mnie. On mnie widzi. Moje wargi poruszaj ą się, s ą poruszane. Przez co, przez kogo? Nie wiem, nie umiem powiedzieć.Niemniej jednak, oto i one, wychodz ą z moich ust, przez moje gardło, między moimi zębami: te Słowa.Niewesoło jest być listonoszem Boga, jar.Alealeale: Boga nie ma w tym filmie.Bóg wie, czyim jestem listonoszem.96

\* \* \*

W Dżahilijji czekaj ą na Mahounda przy studni. Chalid nosiwoda, jak zwykle najbardziej niecierpliwy, biegnie do bramy miejskiej, aby wypatrywać. Hamza, jak wszyscy starzy żołnierze przyzwyczajony do własnego towarzystwa, przysia-da w kurzu i rozpoczyna grę w kamyki. Nie ma sensu się spieszyć; czasami nie wraca całymi dniami, tygodniami nawet. A dzisiaj miasto prawie opustoszało, wszyscy poszli do wielkich namiotów na terenie jarmarku, aby przysłuchiwać się zawodom poetów. W ciszy słychać tylko szczęk kamyków Hamzy i gruchanie pary gołębi skalnych, gości z góry Cone. I wtedy słysz ą odgłos biegn ących stóp.Przybywa Chalid, bez tchu, wygl ąda na nieszczęśliwego. Posłaniec powrócił, ale nie kieruje się ku studni Zamzam. Teraz wszyscy zrywaj ą się na równe nogi, zdumieni tym odstępstwem od ustalonej praktyki. Ci, którzy czekali z łodygami i palmowymi liśćmi w dłoniach, pytaj ą Hamzę: W takim razie nie będzie żadnego Przesłania? Lecz Chalid, ci ągle łapi ąc oddech, kręci głow ą. — Myślę, że będzie.On wygl ąda tak jak wtedy, kiedy otrzymał Słowo. Ale nie rozmawiał ze mn ą i zamiast tego poszedł na jarmark.Hamza przejmuje kierownictwo, uprzedzaj ąc dalsze dyskusje, i idzie przodem. Uczniowie — zebrało się ich około dwudziestu — id ą za nim w stronę świętuj ącego miasta, przybieraj ąc wyraz pobożnego obrzydzenia. Jedynie Hamza wydaje się cieszyć z wyprawy na jarmark.Przed namiotami Właścicieli Pstrokatych Wielbł ądów znajduj ą Mahounda, stoj ącego z zamkniętymi oczyma, przygotowuj ącego się do próby. Zadaj ą mu pełne niepokoju pytania; nie odpowiada. Po chwili wchodzi do namiotu poezji.

\* \* \*Wewn ątrz namiotu widownia wita drwinami przybycie niepopularnego Proroka i jego nędznych niewolników. Jednak w miarę jak Mahound idzie dalej, z mocno zamkniętymi oczyma, wycie i gwizdy powoli milkn ą i zapada cisza. Mahound nie otwiera oczu nawet na chwilę, lecz jego kroki s ą pewne, i dochodzi do sceny, nie potykaj ąc się ani nie zderzaj ąc z niczym. Wspina się po kilku stopniach i wychodzi w jasno oświetlon ą przestrzeń; oczy w dalszym ci ągu pozostaj ą zamknięte. Zebrani tu poeci liryczni, autorzy sławi ących zbrodnie panegieryków, recytatorzy prozy poetyckiej i satyrycy — Baal jest tutaj, oczywiście — patrz ą z rozbawieniem, ale i z pewnym niepokojem, na lunatycznego Mahounda. Jego uczniowie z trudem toruj ą sobie drogę w tłumie. Skryby walcz ą o miejsce jak 97

najbliżej Mahounda, aby zapisać wszystko, cokolwiek powie.Naczelnik Abu Simbel spoczywa na poduszkach ułożonych na jedwabistym dywanie tuż obok podwyższenia. Obok niego, oślepiaj ąco wspaniała, w złotym egipskim naszyjniku, jego żona, Hind, ten słynny grecki profil, te czarne włosy, tak długie jak jej ciało. Abu Simbel powstaje i woła do Mahounda: — Witaj.— Jest teraz uosobieniem dwornych manier. — Witaj, Mahoundzie, jasnowidzu, wieszczu. — Jest to publiczna deklaracja szacunku i jako taka wywiera wrażenie na zebranych. Uczniów Proroka nie odpycha się już na bok, lecz robi się im miejsce, by mogli przejść. Oszołomieni i mile połechtani id ą do przodu. Mahound przemawia, nie otwieraj ąc oczu.— Wielu poetów zebrało się tutaj — mówi dobitnie — i ja nie mogę twierdzić, że jestem jednym z nich. Ale jestem Posłańcem i przynoszę wersety od Tego, który większy jest niż wszyscy tu zebrani.Widownia zaczyna tracić cierpliwość. Religia jest dobra w świ ątyni; zarówno Dżahilijjczycy, jak i pielgrzymi przybyli tu dla rozrywki. Uciszyć tego faceta!Wyrzucić go! — Lecz Abu Simbel ponownie zabiera głos. — Jeżeli twój Bóg naprawdę przemówił do ciebie — mówi — to cały świat musi tego wysłuchać. —

I natychmiast w namiocie zapada zupełna cisza.— Gwiazda — wykrzykuje Mahound, a skryby zaczynaj ą pisać.— W imię Allaha, Litościwego i Miłosiernego!— Na Plejady, kiedy zachodz ą: Wasz towarzysz nie myli się; ani też nie zbacza.— Ani też nie przemawia, kierowany własnymi pragnieniami. To jest objawienie, które zostało mu dane: ten, który jest potężny moc ą, pouczył go.— Stał wysoko na horyzoncie: pan siły. A następnie podszedł blisko, bliżej niż na odległość dwóch łuków, i objawił swemu słudze to, co jest objawione.— Serce sługi było wolne od fałszu, kiedy zobaczył to, co zobaczył. Czy zatem ośmielicie się poddawać w w ątpliwość to, co widziano?— Zobaczyłem go również przy drzewie lotosu, na najdalszym krańcu, nie opodal którego znajduje się Ogród Wytchnienia. Kiedy okrycie tego drzewa przy-kryło je, nie odwróciłem oczu, ani też moje spojrzenie nie bł ądziło; i zobaczyłem jedne z największych znaków Pana.W tym miejscu, bez cienia wahania czy w ątpliwości, Mahound recytował dwa dalsze wersety.— Czy pomyśleliście o Lat i Uzzie oraz Manat, tej trzeciej, tej innej? — Po pierwszym wersecie Hind zrywa się się na nogi; Naczelnik Dżahilijji już wcześniej stoi wyprostowany jak struna. A Mahound, z zamkniętymi oczyma, recytuje:

— S ą one wysoko postawionymi ptakami i ich wstawiennictwo jest naprawdę po-ż ądane.Kiedy hałas — okrzyki, głosy oburzenia, krzyki sławi ące boginię Al-Lat —

nabrzmiewa i wybucha cał ą moc ą w namiocie, i tak już zdumiona widownia ogl ą-98

da podwójnie sensacyjny spektakl Naczelnika Abu Simbela, który kładzie kciuki na płatkach swoich uszu, wachluje palcami obu r ąk i wymawia wielkim głosem zaklęcie: „Allahu, Akbar”. Po czym upada na kolana i przyciska rozważnie czoło do ziemi. Jego żona Hind natychmiast bierze z niego przykład.Nosiwoda Chalid pozostawał cały czas przy odsłoniętym wejściu do namiotu.Teraz, z przerażeniem w oczach, wpatruje się, jak wszyscy tam zgromadzeni, zarówno tłum w samym namiocie, jak i kobiety i mężczyźni, którzy nie zmieścili się wewn ątrz, zaczynaj ą klękać rz ąd za rzędem, ruch, który kolistymi falami idzie od środka, od Hind i Abu Simbela, jak gdyby byli kamykami wrzuconymi do jeziora; aż w końcu całe zgromadzenie, na zewn ątrz namiotu, a także w nim samym, klęczy z zadartymi-w-górę-tyłkami przed zamkniętookim Prorokiem, który uznał

opiekuńcze bóstwa miasta. Sam posłaniec w dalszym ci ągu stoi, jak gdyby wstręt-nym mu było przył ączenie się do modłów tego tłumu. Wybuchaj ąc płaczem, nosiwoda ucieka do pustego serca miasta piasków. Kiedy tak biegnie, łzy spływaj ące mu z oczu wypalaj ą dziury w ziemi, jak gdyby zawierały mocny, żr ący kwas.Mahound pozostaje nieruchomy. Nie można dostrzec żadnego śladu wilgoci na rzęsach jego nie otwartych oczu.

\* \* \*W tę noc osamotniaj ącego triumfu biznesmena w namiocie niewiernych ma miejsce kilka zabójstw, które pierwsza dama Dżahilijji straszliwie pomści dopiero po wielu latach.

Wuj Proroka, Hamza, wracaj ąc samotnie do domu, z głow ą zwieszon ą i siw ą, w zmierzchu tego przygnębiaj ącego zwycięstwa, słyszy ryk, podnosi wzrok i widzi gigantycznego szkarłatnego lwa gotuj ącego się do skoku na niego z wysokich blanków murów miejskich. Zna tę bestię, tę baśń. Wszystkie kolory tęczy, jakimi mieni się jej szkarłatna skóra, zlewaj ˛

a się z migocz ˛

acym blaskiem pustynnych

piasków. Z jej nozdrzy zieje groz ˛

a wszystkich odludnych miejsc na ziemi. Pluje zaraz ˛

a, a gdy jakieś wojska ośmiel ˛

a się zapuścić na pustynię, pożre je w całości.Poprzez gasn ący błękit wieczoru krzyczy do bestii, przygotowuj ąc się, tak jak stoi

— nieuzbrojony — na spotkanie własnej śmierci. — Skacz, ty skurwielu, manty-koro. Bywało, że dusiłem duże koty gołymi rękoma. Kiedy byłem młodszy. Kiedy byłem młody. — Słyszy śmiech za sob ą i drugi, odległy, zda się wtóruj ący echem z murów miejskich. Rozgl ąda się; mantykora znikn ął z obwarowań. Otacza go grupa Dżahilijjczyków, chichocz ących przebierańców powracaj ących z jarmarku.— Teraz, kiedy ci mistycy stali się wyznawcami naszej Lat, widz ą nowych bogów za każdym rogiem, no nie? — Hamza, domyślaj ąc się, że noc będzie pełna rzeczy 99

strasznych, powraca do domu i każe sobie przynieść miecz. — Bardziej niż czegokolwiek na świecie — mruczy do w ątłego, chudego służ ącego, który usługiwał

mu podczas wojny i pokoju przez czterdzieści cztery lata — nienawidzę przy-znawania swoim wrogom racji. O wiele lepiej zabić tych skurwieli, zawsze tak myślałem. Najzręczniejsze, kurwa, rozwi ązanie. — Miecz pozostawał schowany w skórzanej pochwie od dnia, kiedy Hamza został nawrócony przez bratanka, ale dzisiejszej nocy zwierza się służ ącemu: — Lew jest na wolności. Pokój będzie musiał poczekać.Jest to ostatnia noc świ ąt Ibrahima. Dżahilijja jest maskarad ą i szaleństwem.Naoliwione tłuste cielska zapaśników przestały się już wić, a siedem poematów zostało zawieszonych na ścianach Domu Czarnego Kamienia. Teraz śpiewaj ące kurwy zastępuj ą poetów, a i kurwy tańcz ące, też z naoliwionymi ciałami, zabieraj ą się do pracy; dzienne zapasy zostaj ą zast ąpione nocnymi. Kurtyzany tańcz ą i śpiewaj ą w złotych maskach z ptasimi dziobami, a złoto odbija się w lśni ących oczach ich klientów. Złoto, wszędzie złoto, w łapach spekuluj ących Dżahilijjczyków i ich lubieżnych gości, w jaskrawych refleksach piasku, w jarz ących się noc ą ścianach miasta. Hamza przemierza smętnie ulice ze złota, mijaj ąc nieprzytom-nych pielgrzymów, podczas gdy towary zarabiaj ą na życie. Zza wszystkich lśni ących złotem drzwi słyszy rozmyte w daktylowym winie odgłosy hulanek i ma wrażenie, że śpiewy i rycz ący śmiech, pobrzękiwanie monet rani ą go jak śmiertelne zniewagi. Ale nie znajduje tego, czego szuka, nie tutaj, więc oddala się od rozświetlonej złotem biesiady i zaczyna przemierzać cienie, poluj ąc na widmo lwa.I po godzinach poszukiwań znajduje to, co i tak czekałoby w ciemnych zakamarkach zewn ątrznych murów miasta, istotę jego wizji, czerwonego mantykorę z trzema rzędami zębów. Mantykora, który ma błękitne oczy i twarz mężczyzny, a głos na poły tr ąby i fletu. Jest szybki jak wiatr, ma szpony skręcone na kształt korkoci ągu, a jego ogon miota zatrute kolce. Uwielbia karmić się ludzkim mięsem. . . jakaś burda ma tu miejsce. Noże świszcz ą w ciszy, niekiedy metal z trzaskiem uderza o metal. Hamza rozpoznaje zaatakowanych mężczyzn: Chalida, Salmana, Bilala. A teraz sam lew, Hamza wyci ąga miecz, rozrywaj ąc na strzępy ciszę gniewnym okrzykiem, pędzi przed siebie tak szybko, jak mog ą go ponieść sześć-dziesięcioletnie nogi. Ci, którzy napastuj ą jego przyjaciół, s ą nierozpoznawalni pod maskami.Jest to noc masek. Wcześniej przemierzaj ąc rozpustne ulice Dżahilijji z sercem pełnym goryczy Hamza widział kobiety i mężczyzn przebranych za orły, szakale, konie, gryfy, salamandry, guźce, ptaki-olbrzymy; wynurzaj ąc się z mroku w ąskich uliczek, nadeszły dwugłowe węże i skrzydlate byki, znane jako sfinksy asyryjskie. Dżinny, hurysy, demony zaludniaj ą miasto w tę noc fantasmagorii i po-ż ądania. Ale dopiero teraz, w tym ciemnym miejscu, dostrzega czerwone maski, których szukał. Maski ludzi-lwów: rzuca się ku swojemu przeznaczeniu.100

\* \* \*

Ogarnięci zgubn ą żałości ą trzej uczniowie zaczęli pić i nie zaznajomieni z alkoholem, wkrótce byli nie tyle nietrzeźwi, co kompletnie zachlani. Stanęli na małym placu i zaczęli lżyć przechodniów, a po jakimś czasie nosiwoda Chalid j ął

wymachiwać swoim skórzanym workiem na wodę i przechwalać się. Może zniszczyć to miasto, nosi przecież broń ostateczn ą. Woda: wysprz ąta plugaw ą Dżahilijję, zmyje j ą, a potem będzie można zacz ąć na nowo na oczyszczonych białych piaskach. I właśnie wtedy ludzie-lwy zaczęli biec za nimi i po długiej pogoni zostali otoczeni, przy czym pod wpływem strachu alkohol szybko wyparował, już patrzyli w czerwone maski śmierci, kiedy w sam ą porę zjawił się Hamza.. . . Gibril szybuje nad miastem, przygl ądaj ąc się walce. Kończy się szybko, z chwil ą przybycia Hamzy. Dwóch zamaskowanych napastników ucieka, dwaj le-ż ą martwi. Bilal, Chalid i Salman zostali ranni, lecz niezbyt groźnie. Od ich ran poważniejsza jest wiadomość, jak ą znaleźli pod maskami zabitych ludzi-lwów. —

Bracia Hind — rozpoznaje ich twarze Hamza. — No to dla nas wszystko skończone.Pogromcy mantykorów, wodo-terroryści, zwolennicy Mahounda siedz ą i płacz ą w cieniu miejskich murów.

\* \* \*Co się tyczy jego, Proroka Posłańca Biznesmena: jego oczy s ą teraz otwarte.

Chodzi po wewnętrznym podwórzu swojego domu, domu żony, i nie chce wejść.Ona ma prawie siedemdziesi ąt lat i obecnie czuje się bardziej matk ą niż kimkolwiek. Ona, bogata kobieta, która wynajęła go dawno temu do zarz ądzania kara-wanami. Pierwsz ą rzecz ą, która się jej w nim spodobała, była jego umiejętność zarz ądzania. A po jakimś czasie pokochali się. Niełatwo jest być olśniewaj ąc ą kobiet ą sukcesu w mieście, gdzie bogowie s ą kobietami, a kobiety zaledwie towarem. Mężczyźni albo się jej bali, albo też uważali, iż jest tak mocna, że nie potrzebuje ich względów, on nie obawiał się jej i dał jej poczucie stałości, którego potrzebowała. Natomiast on, sierota, znalazł w niej jednej wiele kobiet: matkę siostrę kochankę Sybillę przyjaciółkę. Kiedy uważał siebie za szaleńca, ona była t ą, która wierzyła w jego wizje. — To jest archanioł — powiedziała mu — a nie jakaś mgła wychodz ąca z twojej głowy. To jest Gibril, a ty jesteś Posłańcem Boga.101

Nie może nie chce widzieć się z ni ą teraz. Ona przygl ąda mu się z okna przez rzeźbion ą w kamieniu kratę. On nie może przestać chodzić, porusza się po podwórzu w przypadkowej sekwencji nie uświadomionych figur geometrycznych, kreśl ąc swoimi śladami serię elips, trapezów, rombów, owali, okręgów. W tym czasie ona przypomina sobie, jak wracał ze szlaków karawan, pełen opowieści za-słyszanych w oazach mijanych po drodze. Prorok, Jezus, którego urodziła kobieta imieniem Maria pod drzewem palmowym na pustyni, nie zrodzony z żadnego mężczyzny. Historie, które sprawiały, że oczy jej błyszczały, a potem przygasały zamglone. Przypomina sobie jego pobudliwość: pasję, z któr ą dowodził, całymi nocami, jeżeli zachodziła potrzeba, że stare koczownicze czasy były lepsze od te-go miasta ze złota, którego mieszkańcy porzucali swoje nowo narodzone córki na pustkowiu. W starych plemionach zatroszczono by się nawet o najbiedniejsz ą sie-rotę. Bóg jest na pustyni, mawiał, a nie tutaj, w tym absurdalnym miejscu. A ona odpowiadała, Nikt się z tob ą nie spiera, mój kochany, jest późno, a jutro czekaj ą księgi rachunkowe.Ona ma długie uszy; już usłyszała, co powiedział o Lat, Uzzie, Manat. I co z tego? Dawniej chciał ochronić nowo narodzone córki Dżahilijji; dlaczego nie miałby również wzi ąć pod swoje skrzydła córek Allaha? Jednak zadawszy sobie to pytanie, kręci głow ą i opiera się ciężko o chłodn ą ścianę obok przesłoniętego kamienn ą sieci ą okna. Podczas gdy tuż pod ni ą jej m ąż wyspacerowywuje pięcio-boki, równoległoboki, sześcioramienne gwiazdy, a następnie abstrakcyjne i coraz bardziej zawiłe wzory, na które nie ma nazw, jak gdyby nie mógł znaleźć linii prostej.Jednak kiedy ona zagl ąda na podwórze kilka chwil później, już go tam nie ma.

\* \* \*Prorok budzi się w jedwabnej pościeli, z rozsadzaj ącym bólem głowy, w pokoju, którego nigdy nie widział. Za oknem słońce zbliża się do okrutnego zenitu, a na tle bieli rysuje się sylwetka wysokiej zakapturzonej postaci w czarnym płaszczu, nuc ącej coś cichym, silnym, niskim głosem. Jest to pieśń, któr ą śpiewaj ą chórem kobiety Dżahilijji, kiedy przy wtórze bębnów wyprawiaj ą swoich mężczyzn na wojnę.

Atakuj i uściśniemy cię,Uściśniemy cię, uściśniemy cię,atakuj i uściśniemy cię,pościelimy kobierce.102Stchórzysz i opuścimy cię,Zostawimy cię, opuścimy cię,Cofnij się i nie kochamy cię,nie w łożu miłosnym.Rozpoznaje głos Hind, podnosi się i widzi, że jest zupełnie nagi. Woła do niej:

— Czy napadnięto na mnie? — Hind odwraca się do niego, uśmiechaj ąc się swoim Hindowym uśmiechem. — Napadnięto? — Przedrzeźnia go i klaszcze, żeby wniesiono śniadanie. Słudzy wchodz ą, przynosz ą, podaj ą, zabieraj ą, zmywaj ą. In-ni pomagaj ą Mahoundowi nałożyć atłasow ą czarnozłocist ą szatę; Hind z przesad ą odwraca oczy. — Moja głowa — pyta znowu. — Czy mnie uderzono? — Kobieta staje przy oknie, z nisko zwieszon ą głow ą odgrywaj ąc rolę przesadnie skromnej dziewicy. — Och, Posłańcze, Posłańcze — kpi z niego. — Cóż to za nierycer-ski Posłaniec. Czy nie mogłeś przyjść do mojej komnaty świadomie, z własnej woli? Nie, oczywiście, że nie, brzydzisz się mnie, jestem pewna. — On jednak nie podejmuje jej gry. — Czy jestem więźniem? — pyta i Hind ponownie śmieje się z niego. — Nie b ądź głupcem — A następnie, wzruszaj ąc ramionami, ustępuje. — Szłam zeszłej nocy ulicami miasta ukryta pod mask ą, aby przyjrzeć się uroczystościom, i o cóż to się potykam, jak nie o twoje nieprzytomne ciało? Jak pijak w rynsztoku, Mahound. Posłałam służ ących po lektykę i sprowadziłam cię do domu. Powiedz „dziękuję”.— Dziękuję.— Nie s ądzę, żeby cię rozpoznano — mówi. — Inaczej pewnie byś już nie żył. Wiesz, co się działo w mieście tej nocy. Ludzie posuwaj ą się za daleko. Moi rodzeni bracia dot ąd jeszcze nie wrócili do domu.Wraca teraz do niego jego szalona, pełna udręki wędrówka po zepsutym mieście, przygl ądanie się duszom, które rzekomo ocalił, wpatrywanie się w podobizny feniksów, maski diabłów, potworów i pegazów. Zmęczenie tego długiego dnia, w ci ągu którego zszedł z góry Cone, dotarł do miasta, uległ silnym napię-ciom w namiocie poetów — a później, gniew uczniów, w ątpliwości — wszystko to przygniotło go swoim ciężarem. — Zemdlałem — przypomina sobie.Ona podchodzi do łoża i siada blisko niego, wyci ąga palec, znajduje otwór w jego koszuli i gładzi jego pierś. — Zemdlał — mruczy. — To jest słabość, Mahoundzie. Czy ty słabniesz?Zanim zd ąży odpowiedzieć, kładzie na jego wargach palec, który gładził pierś.— Nie mów nic, Mahoundzie. Jestem żon ą Naczelnika i żadne z nas nie jest twoim przyjacielem. Mój m ąż jest jednak słabym człowiekiem. W Dżahilijji uważa się, że jest przebiegły, ale ja wiem lepiej. On wie, że biorę sobie kochanków, ale nie reaguje na to, ponieważ świ ątynie znajduj ą się pod zarz ądem mojej rodziny.Te — czy tak mam je nazwać — meczety twoich nowych aniołów, Lat, Uzzy, Manat — Częstuje go kostkami melona z półmiska, próbuje karmić. On nie pozwala 103

wkładać sobie do ust owoców, bierze kawałki ręk ą, je. Ona ci ągnie dalej. — Mo-im ostatnim kochankiem był ten chłopiec, Baal. — Widzi wściekłość na twarzy mężczyzny. — Tak — mówi z zadowoleniem. — Słyszałam, że ci zalazł za skórę.Ale on się nie liczy. Ani on, ani Abu Simbel nie s ą ci równi. Ale ja tak.— Muszę już iść — mówi. — Już niedługo — odpowiada mu, wracaj ąc do okna. Na krańcach miasta zwijane s ą namioty, długie sznury wielbł ądów przygotowuj ą się do drogi, konwoje wozów już obrały kurs gdzieś hen w dal przez pustynię; karnawał się skończył. Odwraca się znowu do niego.— Jestem równa tobie — powtarza — a jednocześnie ci przeciwna. Nie chcę, abyś stał się słaby. Nie powinieneś był robić tego, co zrobiłeś.— Ale ty na tym zyskasz — odpowiada cierpko Mahound. — Nic w tej chwili nie zagraża dochodom, które czerpiesz ze świ ątyń.— Nie rozumiesz, w czym rzecz. — Hind mówi łagodnie, podchodz ąc do niego tak blisko, że ich twarze prawie się stykaj ą. — Jeżeli ty jesteś za Allahem, ja jestem za Al-Lat. A ona nie ufa twojemu Bogu, kiedy on j ą uznaje. Jej sprzeciw wobec niego jest nieprzejednany, nieodwołalny i wszechogarniaj ący. Wojna między nami nie może zakończyć się zawieszeniem broni! Twój Bóg to protekcjonalny łaskawy władca. Al-Lat nie ma najmniejszej ochoty na to, by być jego córk ą. Jest mu równa, podobnie jak ja tobie. Zapytaj Baala: on j ą zna. Podobnie jak zna mnie.— A więc Naczelnik złamie swoje przyrzeczenie — mówi Mahound.— Któż to wie — szydzi Hind. — On nie zna nawet samego siebie. Musi skalkulować swoje szansę. Słaby, jak ci już powiedziałam. Ale ty wiesz, że mówię prawdę. Nie może być pokoju między Allahem i Trzema. Ja go nie chcę. Chcę walki. Na śmierć; tego rodzaju ide ą jestem. Jak ą jesteś ty?— Ty jesteś piaskiem, a ja wod ą — mówi Mahound. — Woda wymywa piasek i unosi ze sob ą.— A pustynia wchłania wodę — odpowiada mu Hind. — Rozejrzyj się wokół

siebie.Wkrótce po jego wyjściu do pałacu Naczelnika przybywaj ą poranieni mężczyźni, zdobywszy się wreszcie na odwagę, żeby powiadomić Hind, że stary Hamza zabił jej braci. Ale nie można już nigdzie znaleźć Posłańca, który znowu, powoli, pod ąża w stronę góry Cone.

\* \* \*Gibril, kiedy jest zmęczony, chce zamordować rodzon ą matkę za to, że dała mu tak cholernie głupie przezwisko, anioł, cóż to za słowo, błaga co? kogo? , żeby 104

mu oszczędzono tego miasta ze snu, miasta rozsypuj ących się zamków z piasku i lwów o trzech rzędach zębów, dosyć już obmywania serc proroków czy pouczeń, jak odmawiać modlitwy, czy obietnic raju, koniec z objawieniami, finko, khattam-

-shud. Do czego tęskni: spać jak kamień i nie mieć żadnych snów. Pieprzone sny, przyczyna wszelkich kłopotów ludzkości, filmy podobnie, gdybym był Bogiem, pozbawiłbym ludzi wyobraźni i wtedy może takie biedne skurwysyny jak ja mogłyby dobrze się wyspać. Walcz ąc ze snem, zmusza oczy, by pozostały otwarte, nie mrugały, aż w końcu czerwień znika z siatkówki i sprawia, że on ślepnie, ale jest tylko człowiekiem, w końcu wpada do króliczej nory i oto jest, znowu w Krainie Czarów, na szczycie góry, i biznesmen budzi się, i raz jeszcze jego pragnienia, jego potrzeby zaczynaj ą oddziaływać, tym razem nie na moje szczęki i głos, ale na całe moje ciało; pomniejsza do swoich wymiarów i przyci ąga do siebie, jego pole grawitacyjne jest nieprawdopodobne, tak potężne jak jakaś sakramencka me-ga-gwiazda. . . i wtedy Gibril i Prorok zwieraj ą się w zapasach, obydwaj nadzy, turlaj ąc się, w jaskini czystego, białego piasku, który wznosi się wokół nich jak welon. Jak gdyby to on uczył się mnie, przenikał, jak gdybym to ja był badany.W jaskini, około sto pięćdziesi ąt metrów poniżej wierzchołka góry Cone, Mahound mocuje się z Archaniołem, miotaj ąc nim z jednej strony na drug ą, i powiem wam, że sięga wszędzie, jego język w moim uchu jego dłoń wokół moich j ąder, nie było nigdy osoby, która by wpadła w taki szał, on musi musi wiedzieć on musi WIEDZIE Ć, a ja nie mam mu nic do powiedzenia, jest dwakroć sprawniejszy ode mnie i czterokroć m ądrzejszy, minimum, obydwaj mogliśmy byli wiele się nauczyć słuchaj ąc, lecz jasno widać, że on jest jeszcze lepszym słuchaczem ode mnie; tak więc toczymy się kopiemy drapiemy, on jest już nieźle pokaleczo-ny, lecz oczywiście moja skóra pozostaje gładka jak u niemowlęcia, nie da się nadziać anioła na cholerny krzew ciernisty, nie da się go zmiażdżyć uderzeniem o skałę. A do tego maj ą widownię; s ą tam dżinny i złe demony, i wszelkiego rodzaju zjawy, które przysiadły na głazach, aby obserwować walkę, a na niebie trzy skrzydlate stwory, podobne do czapli albo łabędzi, albo po prostu do kobiet, w zależności od tego, jakiego figla spłata obserwatorowi światło. Mahound kończy sprawę. Umyślnie przegrywa walkę.Po godzinach czy nawet tygodniach zmagań Mahound leży, w końcu przy-gwożdżony pod aniołem, to jest to, czego chciał, to jego wola wypełniała mnie i dodawała mi siły, żebym nie dał mu się podnieść, ponieważ archaniołowie nie mog ą przegrywać takich walk, to byłoby niewłaściwe, to tylko diabły s ą pokony-wane w takich okolicznościach, tak więc w chwili, kiedy znalazłem się na nim, zacz ął płakać z radości, a potem znowu zastosował swoj ą star ą sztuczkę, otwieraj ąc mi sił ą usta i zmuszaj ąc głos, ten Głos, by jeszcze raz wylał się ze mnie, zmuszaj ąc, by oblał go całego.105

\* \* \*

Na koniec zawodów zapaśniczych z Archaniołem Gibrilem wyczerpany Prorok Mahound zapada w typowy sen poobjawieniowy, lecz tym razem powraca do życia o wiele szybciej niż zwykle. Kiedy odzyskuje świadomość, na tym wysoko położonym pustkowiu nie widać nikogo, żadnych uskrzydlonych stworów przy-cupniętych na skałach, i zrywa się na równe nogi, przeniknięty nagł ą myśl ą. — To był Diabeł — mówi w pustkę, uwiarygodniaj ąc j ą poprzez przydanie jej głosu. —

Ostatnim razem to był Szejtan. — Właśnie to usłyszał podczas słuchania, że został wyprowadzony w pole, że Diabeł przyszedł do niego w przebraniu archanioła, tak więc wersety, które zapamiętał, te, które recytował w namiocie poezji, nie by-ły prawd ą, lecz jej diabolicznym przeciwstawieniem, nie boskie, ale szatańskie.Pospiesznie wraca do miasta, aby wymazać te plugawe wersety cuchn ące ogniem piekielnym i siark ą, usun ąć ich zapis na wieki wieków, dzięki czemu przetrwaj ą jedynie w jednym lub dwóch zbiorach podań ludowych w ątpliwej wartości i or-todoksyjni tłumacze będ ą usiłowali napisać je na nowo, lecz Gibril, unosz ący się

— obserwuj ący z punktu widzenia najwyżej umieszczonej kamery — zna jeden mały szczegół, drobn ą rzecz, która stanowi tu niewielki problem, mianowicie, że obydwa razy to byłem ja, baba, ja za pierwszym razem i ja za drugim razem również. Z moich ust zarówno oznajmienie jak i odrzucenie, wersety i ich odwrócenie, wszechświaty i antyświaty, ot i cała rzecz, a wszyscy wiemy, w jaki sposób moje usta wprawiono w ruch.— Za pierwszym razem to był Diabeł — mruczy Mahound, pędz ąc ku Dżahiliji. — Ale tym razem, anioł, nie ma w ątpliwości. Położył mnie na łopatki i przy-gwoździł do ziemi.

\* \* \*Uczniowie zatrzymuj ą go w parowach u stóp góry Cone, aby ostrzec go przed furi ą Hind, która włożyła biały żałobny strój i rozpuściła swoje czarne włosy, pozwalaj ąc im unosić się za ni ą jak burza lub nurzać się w piasku, zacieraj ąc ślady jej stóp, przez co wydaje się być wcieleniem samego ducha zemsty. Uciekli z miasta, a Hamza również pozostaje w ukryciu; lecz chodz ą słuchy, że Abu Simbel nie przystał jeszcze dot ąd na ż ądania żony, by krew zmyła krew. Wci ąż jeszcze oblicza szansę w sprawie Mahounda i bogiń. . . Mahound, wbrew swoim uczniom, powraca do Dżahilijji, zmierzaj ąc prosto do Domu Czarnego Kamienia.

Uczniowie, mimo strachu, id ą za nim. Zbieraj ą się tłumy, spodziewaj ąc się nowe-106

go skandalu lub rozczłonkowywania, lub innej podobnej rozrywki. Mahound nie rozczarowuje ich.Staje przed pos ągami Trzech i ogłasza zniesienie wersetów, które podszepn ął

mu Szejtan. Wersety te usuwa z prawdziwego tekstu, al-qur’an. W ich miejsce pojawiaj ą się nowe wersety, wypowiedziane grzmi ącym głosem.— Czy On ma mieć córki, a wy synów? — Mahound recytuje. — Niezły byłby to podział!— S ą to jedynie imiona, o których śniliście, wy i wasi ojcowie. Allah nie nadaje im żadnej władzy.Opuszcza osłupiałe ze zdumienia zgromadzenie, nim komukolwiek przyjdzie do głowy podnieść lub rzucić pierwszy kamień.

\* \* \*Po odrzuceniu Szatańskich wersetów Prorok Mahound wraca do domu, gdzie czeka go pewien rodzaj kary. Rodzaj zemsty — czyjej? Czarnego czy białego?

Złegofaceta dobregofaceta? — wywartej, co nie jest niczym niezwykłym, na nie-winnych. Żona Proroka, lat siedemdziesi ąt, siedzi u stóp witrażowego okna, siedzi wyprostowana, wsparta plecami o ścianę, martwa.Mahound pogr ążony w nieszczęściu, trzyma się na uboczu, przez całe tygodnie nie odzywa się ani słowem. Naczelnik Dżahilijji wprowadza politykę prze-śladowań, która według Hind rozwija się zbyt wolno. Nowa religia nazywa się Uległość; teraz Abu Simbel zarz ądza, że jej wyznawcy musz ą poddać się: przesie-dleniu do najnędzniejszej dzielnicy miasta, godzinie policyjnej, zakazowi pracy.Poza tym maj ą miejsce napaści, kobiety opluwane s ą w sklepach, wierni s ą mal-tretowani przez gangi młodych zawadiaków będ ących pod tajn ą kontrol ą Naczelnika, ogień wrzucany przez okno l ąduje pośród nieostrożnych śpi ących. A mimo to, co jest jednym z dobrze znanych paradoksów historii, szeregi wiernych mnoż ą się — zboże, które rośnie cudownie wbrew pogarszaj ącej się glebie i klimatowi.Otrzymuj ą propozycję od mieszkańców Jasrib, osady położonej w oazie na północy: Jasrib udzieli schronienia tym-którzy-s ą-ulegli, jeżeli chc ą opuścić Dża-hillijję. Hamza jest zdania, że powinni odejść. — Tutaj nigdy nie doprowadzisz swego Posłannictwa do końca, bratanku, uwierz mi. Hind nie spocznie, aż nie wyrwie ci języka, nie wspominaj ąc już o moich jajach, za przeproszeniem. — Mahound, samotny i pełen różnych myśli w domu swojej żałoby, wyraża zgodę i wierni oddalaj ą się, by poczynić przygotowania. Chalid, nosiwoda, oci ąga się z odej-ściem i zapadłooki Prorok czeka, aż ten zacznie mówić. — Posłańcze, zw ątpiłem w ciebie — mówi z zakłopotaniem. — Lecz jesteś m ądrzejszy, niż s ądziliśmy.107

Najpierw mówiliśmy, Mahound nigdy nie pójdzie na kompromis, a ty poszedłeś.Potem powiedzieliśmy, Mahound nas zdradził, lecz niosłeś nam jeszcze głębsz ą prawdę. Przyniosłeś nam samego Diabła, abyśmy mogli być świadkami uczynków Złego i powalenia go przez Dobro. Wzbogaciłeś nasz ą wiarę. Żałuję, że tak myślałem.Mahound odchodzi od światła słonecznego padaj ącego przez okno. — Tak.— Gorycz, cynizm. — To, co zrobiłem, to była cudowna rzecz. Jeszcze głębsza prawda. Przyniesienie wam Diabła. Tak, to do mnie podobne.

\* \* \*Ze szczytu góry Cone Gibril widzi, jak wierni uciekaj ą z Dżahilijji, pozostawiaj ąc jałowe miasto i kieruj ąc się ku miejscu, gdzie chłodne palmy i woda, woda, woda. Małymi grupkami, niemal z próżnymi rękoma, przemierzaj ą imperium słońca, w ten pierwszy dzień pierwszego roku w godzinie nowego pocz ątku Czasu, który sam narodził się ponownie, kiedy stare umiera za nimi, a nowe ich oczekuje. I któregoś dnia sam Mahound wymyka się. Kiedy jego ucieczka zostaje odkryta, Baal układa pożegnaln ą odę:

Jak ˛

a ide ˛

a

wydaje się „ Uległość” dziś?Wylęknion ˛

a myśl ˛

a.Ide ˛

a, która bieży sobie gdzieś.Mahound dotarł do swojej oazy; Gibril nie ma tyle szczęścia. Często siedzi teraz w samotności na wierzchołku góry Cone, obmywany przez chłodne spadaj ące gwiazdy, i wtedy spadaj ą na niego z nocnego nieba one, trzy uskrzydlone stwory, Lat Uzza Manat, trzepocz ąc wokół jego głowy, usiłuj ąc wbić szpony w jego oczy, gryz ąc, chłoszcz ąc go swoimi włosami, swoimi skrzydłami. Usiłuje zasła-niać głowę rękoma, lecz s ą niestrudzone w swojej zemście, atakuj ąc, kiedy tylko pozwala sobie na wytchnienie, kiedy tylko przestaje być czujny. Walczy z nimi, ale s ą szybsze, zwinniejsze, uskrzydlone.Nie ma żadnego diabła, na którego mógłby zrzucić winę. Śni ąc nie może spowodować ich zniknięcia.III

Eloen Deigreken

1

Wiem, czym jest duch, potwierdziła w myśli stara kobieta. Nazywała się Rosa Diamond; miała osiemdziesi ąt osiem lat; i mruż ąc po belfersku oczy, przez pokryte sol ą szyby sypialni obserwowała morze przy pełni księżyca. I wiem również, czym nie jest, znowu pokiwała głow ą, nie jest on luźn ą skór ą ani też trzepocz ącym prześcieradłem, a więc precz z tym, tfu, z cał ˛

a t ˛

a paplanin ą. Co to jest duch?Nie dokończona sprawa, ot co. — I tu starsza pani, metr osiemdziesi ąt wzrostu, wyprostowana, z włosami krótko podciętymi jak u mężczyzny, nagle ści ągnęła k ąciki ust ku dołowi, z upodobaniem robi ąc nad ąsan ą minę greckiej maski, —

owinęła robiony na drutach błękitny szal wokół kościstych ramion — i zamknęła, na chwilę, swoje bezsenne oczy, aby modlić się o powrót przeszłości. No, dalejże, przybywajcie wy, okręty Normanów, błagała: zjaw się, Wilusiu Nochalu.Dziewięćset lat temu wszystko to znajdowało się pod wod ą, ten wydzielony kawałek brzegu, ta prywatna plaża, której kamienista płaszczyzna wznosiła się stromo ku krótkiemu szeregowi łuszcz ących się z farby wilii, z obdrapanymi szo-pami na łodzie, zwalonymi po sam dach leżakami, pustymi ramami po obrazach, wiekowymi pudełkami po słodyczach wypchanymi stosami listów przewi ązanych wst ążk ą, jedwabn ą koronkow ą bielizn ą przełożon ą kulkami naftaliny, doszczętnie zaczytanymi i opłakanymi lekturami młodych niegdyś dziewcz ąt, kijami do hokeja na trawie, albumami znaczków i cał ą reszt ą tego ukrytego i zapomnianego skarbca wspomnień i minionego czasu. Linia brzegowa uległa zmianie, morze cof-nęło się o milę lub więcej, pozostawiaj ąc pierwszy zamek Normanów na mieliź-nie, daleko od wody, otoczony moczarami, które ciężko doświadczały biedaków żyj ących na swoich jakimtam parcelach wszelkiego rodzaju gor ączkami błotnymi i bagiennymi. Ona, stara dama, uważała ten zamek za szcz ątki ryby porzuconej przez jakiś starożytny odpływ, za potwora morskiego przemienionego w kamień przez czas. Dziewięćset lat! Przed dziewięciu wiekami flota Normanów przepłynęła dokładnie przez dom tej Angielki. W bezchmurne noce przy pełni księżyca czekała na jej świetlistego ducha.Najlepsze miejsce, z którego można przygl ądać się ich przybyciu, rozprasza-ła swoje w ątpliwości, widok z głównych trybun. Powtarzanie stało się z czasem otuch ą jej starych lat; oklepane zwroty nie dokończona sprawa, widok z głównych trybun, dawały jej poczucie trwałości, niezmienności, nieśmiertelności, nie czuła się wtedy pełn ą pęknięć i niedostatków istot ą, któr ą przecież była. — Kiedy księżyc w pełni zachodzi, ciemność przed brzaskiem, to jest właśnie ich chwila.Falowanie żagla, błysk wioseł i Zdobywca we własnej osobie na dziobie okrętu admiralskiego, żegluj ący w górę plaży między obrośniętymi skorupiakami drewnianymi falochronami i kilkoma odwróconymi łódkami. — Ach, swego czasu to widziałam rzeczy, zawsze miałam ten dar, widzenie duchów. — Zdobywca w spiczastym hełmie z przyłbic ą przechodzi przez frontowe drzwi, prześlizguje 110

się między szafkami i kanapami w pokrowcach, podobnie jak rozbrzmiewaj ące w tym domu echo wspomnień i tęsknot; po czym cichnie; jak grób.— Kiedyś, jako dziewczynka na Wzgórzu Bitewnym, lubiła szczegółowo opowiadać zawsze tymi samymi wypolerowanymi przez czas słowami — kiedyś, ja-ko samotne dziecko, znalazłam się całkiem nagle i bez jakiegokolwiek poczucia niezwykłości sytuacji w samym środku wojny. Łuki, maczugi, kopie. Jasnowło-si anglosascy chłopcy skoszeni w słodkim rozkwicie młodości. Harold Arroweye i Wilhelm z ustami pełnymi piasku. Tak, zawsze ten dar, widzenie duchów. — Historia tego dnia, w którym mała Rosa miała wizję bitwy pod Hastings, stała się dla starej kobiety jednym z punktów określaj ących jej istotę, mimo iż często mówiono, że nikt, nawet sama opowiadaj ąca, nie mógłby z cał ą pewności ą przysi ąc, że to jest prawd ą. Tęsknię za nimi nieraz, Rosa przebiegła myśl ą wielokrotnie powtarzane wypowiedzi. Les beaux jours: kochane, minione dni. Ponownie przymknęła tęskne oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła tam, tuż przy brzegu, bez w ątpienia, coś, co zaczynało się poruszać.Oto, co powiedziała głośno w podnieceniu: — Nie mogę w to uwierzyć. — To nieprawda! — Nigdy go tutaj nie było! — Na chwiejnych nogach, z głośnym ko-łataniem w piersiach, Rosa poszła po kapelusz, płaszcz, laskę. W tej samej chwili na zimowym brzegu morza obudził się Gibril Fariszta z ustami pełnymi, nie, nie piasku.Śniegu.

\* \* \*— Tfu!

Gibril splun ął: skoczył na równe nogi, jak gdyby odrzucony przez wyplut ą właśnie breję; życzył Czamczy — jak już wcześniej wspomniano — wszystkiego najlepszego; i j ął strzepywać śnieg z przemoczonych szkarłatnych rękawów.— Boże, jar — krzykn ął, przeskakuj ąc z nogi na nogę — nic dziwnego, że tym ludziom wyrastaj ą serca z cholernego lodu.Zaraz jednak szczery zachwyt z powodu takiej ilości otaczaj ącego go śniegu wzi ął górę nad jego pierwotnym cynizmem — wszak był człowiekiem tropików

— i zacz ął pl ąsać dookoła z posępn ą min ą i całkowicie przemoczony, lepić kule ze śniegu i ciskać nimi w leż ącego twarz ą do ziemi towarzysza, udawać bałwa-na i śpiewać zupełnie dzik ą i porywaj ąc ą wersję kolędy „Jingle Bells”. Pierwszy promyk światła pojawił się na niebie, a na tym przytulnym brzegu morza tańczył

Lucyfer, gwiazda zaranna.Jego oddech, należy o tym wspomnieć, w ten czy inny sposób całkowicie utra-111

cił swój zapach. . .— No, dalejże, dziecino — krzyczał niezwyciężony Gibril, w którego zachowaniu czytelnik może dostrzec, i nie byłoby to całkiem niedorzeczne, zaburzenia i nadmiern ą wesołość, efekty jego niedawnego upadku.— Wstań i świeć. Weźmy ten kraj szturmem. — Odwrócił się tyłem do wo-dy, wymazuj ąc złe wspomnienia, aby zrobić miejsce na inne myśli, zawsze z pa-sj ą oczekuj ący nowości, z pewności ą zatkn ąłby flagę (gdyby tylko takow ą posiadał), aby ogłosić, że zajmie tę biał ą krainę, ten nowo odnaleziony l ąd, w imieniu ktowieczyim. — Spoono — błagał — rusz się, mój mały, czy to twój cholerny koniec? — Pytanie to przywróciło wreszcie mówcy zdrowy rozs ądek (albo przynajmniej pchnęło go lekko w tym kierunku). Pochylił się nad wyprostowanym ciałem, nie śmiał go dotkn ąć. — Nie teraz, stary Czamczo — ponaglał. — Nie teraz, kiedy dotarliśmy tak daleko.Saladyn: nie umarł, ale płakał. Łzy wywołane szokiem zamarzły mu na twarzy. A całe jego ciało pokryte delikatn ą lodow ą powłok ą, gładk ą jak szkło, jak gdyby spełniał się jakiś zły sen. W tej miazmatycznej podświadomości wywołanej przez obniżon ą temperaturę ciała owładn ął nim koszmarny strach, że popęka, że zobaczy, jak jego krew wypływa, bulguc ąc, ze szczelin w powłoce, że jego ciało zacznie odłamywać się razem z kawałkami lodu. Był pełen pytań, czy my naprawdę, mam na myśli, dzięki temu, że machałeś rękoma, a potem fale morskie, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że one naprawdę, jak na filmie, kiedy to Charl-ton Heston wysun ął laskę, żebyśmy mogli, po dnie morza, nie, to nigdy nie miało miejsca, nie mogło się stać, ale jeżeli nie, wobec tego jak, albo czy my w jakiś sposób pod wod ą, eskortowani przez syreny, morze przechodziło przez nas jak gdybyśmy byli rybami albo duchami, czy tak było, tak czy nie, ja muszę. . . ale kiedy otworzył oczy, te pytania stały się równie niewyraźne jak marzenia senne i już nie potrafił obj ąć ich myśl ą, ich ogony śmignęły przed nim i zniknęły jak jakieś płetwy. Patrzył w górę, na niebo, i zauważył, że ma ono całkowicie nieodpowiedni kolor, krwistopomarańczowy z zielonymi kropkami, a śnieg jest niebieski jak atrament. Przymrużył oczy, ale kolory nie chciały się zmieniać, co sprowokowało myśl, że spadł z nieba w jak ąś obcość, w jakieś niewłaściwe miejsce, nie do Anglii, lub może do nie-Anglii, jakiejś fałszywej strefy, lichej dzielnicy, odmie-nionego państwa. Być może, rozważał błyskawicznie: Piekło? Nie, nie, rozproszył

swoje w ątpliwości w strachu przed nieświadomości ą, to nie może być to, jeszcze nie, nie umarłeś jeszcze; ale umierasz.A więc: poczekalnia dla podróżuj ących tranzytem.Zacz ął dygotać; wibracje stały się tak intensywne, że przyszło mu na myśl, że może w końcu rozsypać się na kawałki pod wpływem napięcia jak, jak, samolot.Potem nie było już niczego. Tkwił zawieszony w próżni i gdyby miał przeżyć, musiałby budować wszystko od samego pocz ątku, musiałby odkryć ziemię pod swoimi stopami, zanim mógłby zrobić chociaż jeden krok, tylko że nie było 112

już żadnej potrzeby zawracania sobie głowy takimi sprawami, ponieważ oto tuż przed nim stało to nieuniknione: wysoka, koścista postać Śmierci, w słomkowym kapeluszu z obszernym rondem, w czarnym płaszczu powiewaj ącym na wietrze.Śmierć, wspieraj ąca się na lasce ze srebrn ą r ączk ą i maj ąca na nogach oliwkowozielone kalosze.— A co wy tu robicie? — chciała wiedzieć Śmierć. — To teren prywatny.Jest tablica. — Zostało to powiedziane kobiecym głosem, który był nieco drż ący i bardziej niż nieco wzruszony.Chwilę później Śmierć pochyliła się nad nim — żeby mnie pocałować, wpadł

w niemy popłoch. ˙

Zeby wyssać ze mnie oddech. Poruszył się nieznacznie, na próżno próbuj ąc protestować.— Nie ma w ątpliwości, żyje — powiedziała Śmierć do, kto to był, do Gibrila.— Ale mój drogi. Ten jego oddech: cóż to za smród, kiedy on ostatnio mył zęby?

\* \* \*Oddech jednego stał się słodki, natomiast drugiego, w wyniku jednakowych, lecz przeciwnych tajemniczych procesów, nabrał kwaśności. A czego się spodzie-wali? Spadaj ąc w taki sposób z nieba: czy wyobrażali sobie, że nie będzie żadnych skutków ubocznych? Siła Wyższa okazała zainteresowanie, powinno to być oczywiste dla nich obu, a taka Siła (mówię oczywiście o sobie) ma figlarny, niemal złośliwy stosunek do spadaj ących much. I jeszcze jedna rzecz, bez niedomówień: wielkie upadki zmieniaj ą ludzi. S ądzicie, że oni spadli z dużej wysokości? Jeśli chodzi o spadanie, nikomu nie oddam palmy pierwszeństwa, bez względu na to, czy to istota śmiertelna, czy też nie. Z chmur w popioły, w dół kominem, powiecie, ze światłaniebios w ogieńpiekieł. . . pod wpływem stresu wywołanego długim nurkowaniem, jak mówiłem, należy spodziewać się mutacji, a nie wszystkie z nich s ą przypadkowe. Dobór nienaturalny. Niezbyt to wysoka cena za ocalenie życia, za ponowne narodziny, za odnowę, a w dodatku w ich wieku.

Co? Powinienem wyliczyć te zmiany?Normalny zapach z ust/przykry zapach z ust.I Rosie Diamond wydawało się, że wokół głowy Gibrila Fariszty, kiedy tak stał

tyłem do brzasku dnia, spostrzegła słab ą, lecz zdecydowanie złocist ą, poświatę.I czy na skroniach Czamczy pojawiły się te zgrubienia, pod jego nasi ąkniętym wod ą melonikiem, znajduj ącym się wci ąż-na-miejscu?I, i, i.113

\* \* \*

Kiedy jej wzrok padł na dziwaczn ą, przypominaj ąc ą satyra postać Gibrila Fariszty, tańcuj ącego na śniegu w nastroju dionizyjskim, Rosie Diamond nie przyszli na myśl, powiedzmy, aniołowie. Dostrzegłszy go ze swojego okna, przez zamglon ą sol ą szybę, zamglonymi wiekiem oczyma, poczuła dwa walnięcia serca, tak bolesne, że przestraszyła się, że może się ono zatrzymać; ponieważ w tym niewyraźnym kształcie zdawała się dostrzegać wcielenie najskrytszego pragnienia swojej duszy. Zapomniała już o najeźdźcach normańskich, jak gdyby nigdy ich nie było, i z wysiłkiem zeszła w dół zbocza pokrytego zdradliwymi kamykami, zbyt szybko zważywszy bezpieczeństwo swoich jeszcze-niezupełnie-dziewięćdziesię-cioletnich kończyn, aby móc udawać, że krzyczy na tego nieprawdopodobnego nieznajomego za wejście na jej posiadłość.Zwykle była nieprzejednana w obronie swojego ukochanego skrawka wybrzeża i kiedy latem sobotnio-niedzielni turyści zapędzali się na teren powyżej linii przypływu, spadała na nich jak wilk na stado owieczek, tak to nazywała, aby wyjaśnić i aby ż ądać: — To jest mój ogród, chyba widzicie. — A jeśli wczasowicze odpowiadali jej bezczelnie — Wynośsiętystarakrowo tojestprzecieżkurwaplaża,— szła z powrotem do domu po długi zielony w ąż ogrodowy i bezlitośnie kierowała strumień wody na ich kraciaste koce i plastikowe kije do krykieta, i butelki z olejkiem do opalania, druzgotała zamki z piasku zbudowane przez ich dzieci i moczyła doszczętnie ich kanapki z kiełbas ą, cały czas słodko się uśmiechaj ąc: Chyba wam nie przeszkodzi, jeśli tylko podleję swój trawnik. . . ? O, tak, była Dzi-waczk ą, znan ą we wsi, nie mogli jej zamkn ąć w żadnym domu starców, przepę-dzała cał ą swoj ą rodzinę, kiedy tylko ośmielali się to zasugerować, noga ich nigdy nie miała stan ąć w jej domu, mówiła im, nie zapiszę tej bandzie ani grosza, nie pytaj ąc ich o zdanie. Teraz żyła zupełnie samotnie, tydzień po błogosławionym tygodniu nie pojawiał się u niej nikt, nawet Dora Shufflebotham, która przychodziła sprz ątać przez całe te lata, Dora umarła we wrześniu, niech spoczywa, niemniej jednak jest zadziwiaj ące w jej wieku, jak to stare próchno radzi sobie, te wszystkie schody, z pewności ą ma lekkiego fioła, ale trzeba oddać tej czarownicy sprawiedliwość, wielu zbzikowałoby kompletnie w takiej samotności.Gibril nie został przywitany ani wężem ogrodowym, ani uszczypliwościami.Rosa powiedziała kilka słów, które miały brzmieć jak wyrzut, wstrzymała oddech przy badaniu leż ącego i od niedawna ziej ącego siark ą Saladyna (który w tym momencie nie uchylił swego melonika), a następnie w przypływie nieśmiałości, który zadziwił j ą i przyprawił o nostalgię, wyj ąkała słowa zaproszenia, llepiej nniech pan wniesie swego pprzyjaciela do środka z tego zzimna, i podreptała w górę plaży, żeby wstawić czajnik, wdzięczna szczypi ącemu zimowemu powietrzu za to, 114

że poczerwieniło jej policzki i oszczędziło, aby użyć tego starego pokrzepiaj ącego zwrotu, rumieńców.

\* \* \*Jako młody człowiek Saladyn Czamcza miał twarz całkiem wyj ątkowo niewinn ą, twarz, która wygl ądała tak, jakby nigdy nie dotknęło jej rozczarowanie lub zło, a której skóra była tak delikatna i gładka jak dłoń księżniczki. Bardzo mu się to przydało w postępowaniu z kobietami i, w rzeczy samej, było głównym powodem, dla którego jego przyszła żona Pamela Lovelace się w nim zakochała, jak sama zreszt ą twierdziła. — Tak okr ągła i tak anielska — podziwiała, ujmuj ąc w dłonie jego podbródek. — Jak gumowa piłka.

Poczuł się urażony. — Ależ mam kości — zapewnił — Cały układ kostny.— No tak, gdzieś tam w środku — zgodziła się. — Każdy ma.Przez jakiś czas po tym wydarzeniu prześladowała go myśl, że wygl ąda jak bezkształtna meduza i chęć złagodzenia tego odczucia była w dużej mierze głównym powodem, dla którego zabrał się za ćwiczenia tego wyniosłego sposobu zachowania, który obecnie stał się jego drug ą natur ą. Tak więc było rzecz ą dość istotn ą, kiedy po przebudzeniu się z długiego snu, pełnego dręcz ących niezno-śnych mar sennych, pośród których dominowała postać Zini Wakil, zamienionej w syrenę i śpiewaj ącej dla niego z góry lodowej rozdzieraj ąco słodkim głosem, lamentuj ącej nad tym, że nie może towarzyszyć mu na suchym l ądzie, przyzywaj ącej go, przyzywaj ącej; — lecz kiedy przyszedł do niej, zamknęła go szybko w sercu swojej góry lodowej, a jej pieśń stała się pieśni ą triumfu i zemsty. . . by-ło to, powtarzam, było to coś poważnego, kiedy Saladyn Czamcza obudził się, spojrzał w lustro oprawione w lakierowan ą niebiesko-i-złot ą ramę i zobaczył, że patrzy na niego znowu ta anielska buzia sprzed lat; natomiast na swoich skroniach zauważył parę intensywnie zabarwionych opuchniętych miejsc, które świadczyły o tym, że w którymś momencie swoich ostatnich przygód musiał otrzymać kilka potężnych ciosów.Patrz ąc w lustro na zmienion ą twarz, Czamcza próbował przypomnieć sobie siebie samego. Jestem prawdziwy, powiedział do lustra, z prawdziw ą histori ą i za-planowan ą przyszłości ą. Jestem człowiekiem, który przykłada wagę do pewnych rzeczy: dokładność, samodyscyplina, rozs ądek, d ążenie do szlachetności bez uciekania się do tej odwiecznej podpory, Boga. Ideał piękna, możliwości radosnego uniesienia, umysł. Jestem: żonatym mężczyzn ą. Ale pomimo tej litanii przekorne myśli wci ąż go nachodziły. Jak na przykład: że świat nie istnieje poza t ą plaż ą w dole i, teraz, poza tym domem. Że, jeżeli nie będzie uważał, jeżeli będzie pona-115

glał bieg spraw, spadnie z krawędzi w chmury. Rzeczy należało wytwarzać. Albo znowu: że jeżeli zadzwoniłby do swego domu właśnie teraz, tak jak powinien, jeżeli miałby poinformować swoj ą kochaj ąc ą żonę, że wcale nie umarł, nie został

rozerwany na strzępy w powietrzu, lecz jest tutaj, na twardej ziemi, jeżeli by zrobił

tę wybitnie rozs ądn ą rzecz, osoba, która podniosłaby słuchawkę z drugiej strony, nie rozpoznałaby go. Albo też trzecia myśl: że odgłos kroków, rozbrzmiewaj ący w jego uszach, nie jest jakimś chwilowym dzwonieniem w uszach, wywołanym jego upadkiem, lecz dźwiękiem jakiejś nadchodz ącej katastrofy, przybliżaj ącej się, litera po literze, eloen, deigreken, Londyn. Oto jestem, w domu Babki. Jej wielkie oczy, ręce, zęby.Na jego nocnym stoliku stał telefon. Uspokój się, strofował sam siebie. Podnieś słuchawkę, wykręć numer, a twoja równowaga zostanie przywrócona. Takie bredzenie: przecież to do ciebie niepodobne, niegodne ciebie. Pomyśl o jej żalu; zadzwoń do niej teraz.Była noc. Nie wiedział, która może być godzina. W pokoju nie było zegara, a jego zegarek znikn ął gdzieś w trakcie wydarzeń. Powinien nie powinien? —

Wykręcił dziewięć cyfr. Po czwartym dzwonku odezwał się głos mężczyzny.— Co u diabła? — Zaspany, nieznany, znajomy.— Przepraszam — powiedział Saladyn Czamcza. — Bardzo przepraszam. Pomyłka.Patrz ąc na telefon, przyłapał się na tym, że wspomina sztukę, któr ą ogl ądał

w Bombaju, opart ą na angielskim opowiadaniu napisanym przez, nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, Tennyson? Nie, nie. Somerset Maugham? — A do diabła z tym. — W tekście oryginalnym, obecnie pozbawionym autora, mężczyzna od dawna uznany za zmarłego powraca po wielu latach nieobecności, jak żywy duch, do miejsca, gdzie niegdyś straszył. Do swojego domu przychodzi w nocy, potajemnie, i zagl ąda do środka przez otwarte okno. Stwierdza, że je-go żona, uważaj ąc się za wdowę, powtórnie wyszła za m ąż. Na parapecie okien-nym dostrzega zabawkę dziecka. Dłuższy czas stoi w ciemności, zmagaj ąc się ze swoimi uczuciami; potem zabiera zabawkę z parapetu; i odchodzi na zawsze, nie widziany przez nikogo. W wersji hinduskiej historia była cokolwiek inna. Żona poślubiła najlepszego przyjaciela swojego męża. Powracaj ący m ąż stan ął przed drzwiami i wkroczył pewnie do środka, nie spodziewaj ąc się niczego. Widz ąc, że jego żona i najlepszy przyjaciel siedz ą razem, nie zrozumiał, że s ą małżonka-mi. Podziękował swojemu przyjacielowi za pocieszanie żony; ale teraz jest już w domu i wszystko wraca do normy. Małżonkowie nie wiedzieli, w jaki sposób powiedzieć mu prawdę; aż w końcu służ ący przypadkiem wyjaśnił sytuację. M ąż, którego długa nieobecność najwyraźniej spowodowana była atakiem amnezji, zareagował na wiadomość o ślubie oświadczeniem, że on, również, z pewności ą musiał powtórnie się ożenić, w którymś momencie swojej długiej nieobecności w domu; niestety, teraz, kiedy odzyskał pamięć swojego poprzedniego życia, za-116

pomniał wszystko, co wydarzyło się od jego zniknięcia. Wyszedł, aby zwrócić się do policji o pomoc w odszukaniu swojej nowej żony, mimo iż nie mógł sobie niczego o niej przypomnieć, ani koloru jej oczu, ani nawet tego prostego faktu, że naprawdę istniała.Opadła kurtyna.Saladyn Czamcza, sam w nieznanej sypialni, w obcej piżamie w czerwono-

-białe pr ążki, rzucił się na w ąskie łóżko i zapłakał. — Cholera ze wszystkimi Hindusami — krzyczał w knebluj ąc ą mu usta pościel, jego pięści biły tak mocno w obrębione falbankami poszewki od Harrodsa z Buenos Aires, że pięćdziesię-cioletnia tkanina została rozdarta na strzępy. — Co u diabła. Ależ to wulgarne, ależ, pieprzę to, pieprzę to. Co u diabła. Ten skurwysyn, te skurwysyny, ich brak skurwysyńskiego taktu.I właśnie w tym momencie przyjechała policja, aby go aresztować.

\* \* \*Następnej nocy po zabraniu tych dwóch z plaży do swojego domu Rosa Diamond znowu stała przy nocnym oknie swojej starczej bezsenności, wpatruj ąc się w dziewięćsetletnie morze. Ten śmierdz ący spał cały czas od momentu, kiedy położyli go do łóżka i obłożyli szczelnie butelkami z gor ąc ą wod ą, najlepsza rzecz dla niego, niech nabierze sił. Ulokowała ich na górze, Czamczę w wolnym pokoju, a Gibrila w gabinecie swojego zmarłego męża, i kiedy tak patrzyła w wielk ą świec ąc ą płaszczyznę morza, słyszała jego kroki tam nad głow ą, pośród rycin or-nitologicznych i ptasich wabików byłego Henry’ego Diamonda, bolasy i bat na byki i lotnicze zdjęcia estancji Los Alamos daleko st ąd i dawno temu, męskie kroki w tym pokoju, jak uspokajaj ąco działały. Fariszta chodził tam i z powrotem, unikaj ąc snów z sobie tylko znanych powodów. A pod jego stopami Rosa, patrz ąc w górę na sufit, wymówiła szeptem dawno nie wypowiadane imię. Przyzywała go. Martin powiedziała. Nazwisko, które nosił, takie samo jak nazwa najbardziej jadowitego węża jego kraju, żmija. Vibora, de la Cruz.

Nagle zobaczyła kształty poruszaj ące się na plaży, jak gdyby wymówienie zakazanego imienia przywołało umarłych. Oby nie znowu, pomyślała i poszła po swoj ą lornetkę teatraln ą. Kiedy wróciła, zobaczyła, że plaża pełna jest cieni i tym razem przestraszyła się, ponieważ o ile flota Normanów, kiedy przybywała, przybywała, żegluj ąc dumnie i otwarcie, bez uciekania się do podstępu, te cienie poruszały się ukradkiem, wydaj ąc z siebie ciche przekleństwa oraz niepokoj ące przy-tłumione ujadanie i szczekanie, wydawały się pozbawione głów, skulone, z luźno zwisaj ącymi kończynami jak gigantyczne wyjęte ze skorupy kraby. Pospiesznie 117

i ukośnie stawiane ciężkie buty chrzęściły na kamienistej plaży. Mnóstwo ich.Zobaczyła, że dotarli już do jej hangaru na łodzie, na którym szczerzyła zęby coraz bardziej wyblakła postać jednookiego pirata wymachuj ącego kordem i tego już było za wiele, na to nie pozwolę, zdecydowała, potykaj ąc się zeszła na dół, po coś ciepłego do ubrania, po drodze zabrała oręż swojej zemsty: duży zwój zielonego węża ogrodowego. Przy drzwiach frontowych zawołała czystym głosem. —

Widzę was całkiem wyraźnie. Wychodźcie, wychodźcie, kimkolwiek jesteście.Zapalili siedem słońc i oślepili j ą, i wówczas wpadła w popłoch, oświetlona niebiesko-białym światłem siedmiu reflektorów, wokół których, jak robaczki świętojańskie albo satelity, poruszała się bezładnie chmara mniejszych świateł: la-tarnie latarki papierosy. Kręciło się jej w głowie i na chwilę straciła zdolność roz-różniania pomiędzy wtedy i teraz, przerażona zaczęła mówić, zgaście to światło, czy nie wiecie, że obowi ązuje zaciemnienie, Szkop nam się zwali na głowę, jeżeli nie przestaniecie. — Wygaduję brednie — uprzytomniła sobie z odraz ą i stuk-nęła końcem swojej laski w wycieraczkę. Na co, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, policjanci zmaterialializowali się w oślepiaj ącym kręgu światła.Okazało się, że ktoś doniósł o pojawieniu się podejrzanej osoby na plaży, pamiętacie, jak to było, kiedy przypływali tu w łodziach rybackich, nielegalni imigranci, i dzięki temu pojedynczemu anonimowemu telefonowi pięćdziesięciu siedmiu policjantów przeczesywało teraz plażę, a światła ich latarek tańczyły jak oszalałe w ciemności, policjanci nawet z tak dalekich miejscowości jak Hastings Eastboume Bexhill-upon-Sea, a nawet delegacja z Brighton, ponieważ nikt nie chciał stracić okazji do rozrywki, dreszczyku emocji podczas pogoni. Pięćdziesięciu siedmiu przeczesywaczom plaż towarzyszyło trzynaście psów, wszystkie węszyły nosem w morskim powietrzu i podnosiły w podnieceniu nogi. Natomiast w górze przy samym domu, z dala od tego pospolitego ruszenia psów i ludzi, Rosa Diamond zaskoczona przygl ądała się pięciu policjantom pilnuj ącym wyjść, drzwi frontowych, okien na parterze, drzwi kuchennych, na wypadek, gdyby jakiś domniemany przestępca próbował rzekomej ucieczki; przypatrywała się również trzem mężczyznom w zwyczajnych cywilnych ubraniach, zwyczajnych płaszczach i zwyczajnych kapeluszach, i o takichże twarzach; a przed t ą gromad ą chodził ze spuszczonym wzrokiem inspektor Lime, powłóczył nogami i pocierał

nos, i miał bardziej nabiegłe krwi ą oczy, i wygl ądał starzej, niż na swoje czterdzieści lat. Końcem laski uderzyła lekko w jego pierś, o tak późnej porze, Frank, co ma znaczyć to, ale nie miał zamiaru pozwolić, by narzuciła mu swoj ą wolę, nie dzisiaj, kiedy ludzie z urzędu imigracyjnego obserwuj ą każdy jego ruch, więc niósł dumnie głowę, redukuj ąc swoje podbródki.— Bardzo przepraszam, pani D. — pewne twierdzenie jakoby, — doniesienia, które otrzymaliśmy, — powód by s ądzić, — zasługuj ą na zbadanie, — koniecz-ność przeszukania domu, — uzyskano nakaz rewizji.— Przestań gadać głupstwa, drogi Franku — zaczęła Rosa, ale właśnie trzej 118

mężczyźni o zwyczajnych twarzach wyprostowali się i jakby zastygli, każdy z nich z jedn ą nog ą lekko podniesion ą, zupełnie jak pointery; pierwszy zacz ął

wydawać jakiś niezwykły syk, co miało chyba oznaczać zadowolenie, natomiast z ust drugiego wyrwał się cichy jęk, a trzeci zacz ął przewracać oczyma z osobli-wym upojeniem. Następnie wszyscy wyci ągnęli ręce, wskazuj ąc gdzieś poza Rosę Diamond, na jej oświetlony reflektorami korytarz, gdzie stał pan Saladyn Czamcza, lew ą ręk ą podtrzymuj ąc piżamę, od której odleciał guzik, kiedy on rzucił się na łóżko.Praw ą ręk ą przecierał oczy.— Bingo — powiedział sycz ący oficer, natomiast jęcz ący splótł palce obu r ąk pod brod ą, żeby pokazać, że wszystkie jego modlitwy zostały wysłuchane, a ten od przewracania oczyma przepchn ął się obok Rosy Diamond bez większych ceregieli, mrucz ąc jedynie: Proszę mi wybaczyć, madame.Następnie nadeszła powódź i Rosa została wepchnięta w k ąt własnego salonu przez kołysz ące się morze kasków policyjnych, nie mogła więc już dostrzec Saladyna Czamczy, ani też usłyszeć tego co mówi. Nigdy nie usłyszała, jak mówi o rozerwaniu Bustana — to jakaś pomyłka, krzyczał, nie jestem jednym z tych waszych imigrantów, potajemnie przemykaj ących się w łodziach rybackich, nie jestem jednym z tych waszych ugandokenijczyków, to nie ja. Policjanci zaczęli szczerzyć zęby, tak, rozumiem proszę pana, z wysokości dziesięciu kilometrów, a potem pan sobie popłyn ął do brzegu. Ma pan prawo nic nie mówić, chichotali, ale wkrótce parsknęli głośnym rubasznym śmiechem, mamy właściwego ptaszka, nie ma w ątpliwości. Lecz Rosa nie dosłyszała protestów Saladyna, przeszkodził

jej śmiech policjantów, musicie mi uwierzyć, jestem Brytyjczykiem, mówił, w dodatku z prawem zamieszkania, ale kiedy nie mógł okazać paszportu ani żadnego innego dokumentu tożsamości, zaczęli płakać z uciechy, łzy spływały nawet po obojętnych twarzach tych w cywilnych ubraniach z urzędu imigracyjnego. Oczywiście, nie musisz mi mówić, chichotali, wypadły ci z marynarki, kiedy spadałeś, a może to syreny powyci ągały ci wszystko z kieszeni? Rosa nie mogła widzieć w tym faluj ącym śmiechem rozkołysaniu ludzi i psów, co robi ą ręce w mundurach z rękoma Czamczy, albo ich pięści z jego żoł ądkiem, albo buty z jego goleniami; ani też nie mogła być całkiem pewna, czy to on krzykn ął, czy było to tylko wycie psów. Ale w końcu usłyszała jego ostatni rozpaczliwy krzyk: — Czy żaden z was nie ogl ąda telewizji? Czy nie widzicie? Jestem Maksym. Maksym Obcy.— Rzeczywiście — powiedział oficer z wybałuszonymi oczyma. — A ja jestem Kermit Żaba.To, czego Saladyn Czamcza nigdy nie powiedział, nawet wtedy, gdy było jasne, że coś jest bardzo nie w porz ądku: — Oto londyński numer telefonu — za-niedbał poinformowania o tym aresztuj ących go policjantów. — Na drugim końcu linii znajdziecie osobę, która poręczy za mnie, za prawdziwość tego, co mówię, moj ą śliczn ą, biał ą żonę, Angielkę. Nie, mój panie. Co u diabła.119

Rosa Diamond zebrała swoje siły. — Chwileczkę, Franku Lime — zawołała.— Słuchajcie no — lecz ci trzej w cywilnych ubraniach ponownie rozpoczęli swoj ą dziwaczn ą procedurę syków jęków przewracania oczyma i w ciszy, która nagle zapanowała w tym pokoju, przewracacz oczyma wskazał drż ącym palcem na Czamczę i powiedział: — Szanowna pani, jeżeli to jest ten dowód, którego pani szukała, to naprawdę nie mogła pani znaleźć czegoś lepszego, niż to tam.Saladyn Czamcza, id ąc w ślad za wskazuj ącym palcem Wyłupiastookiego, sięgn ął rękoma do czoła i wtedy zrozumiał, że obudził się w jednym z najbardziej przerażaj ących koszmarów sennych, w koszmarze, który właśnie się rozpocz ął, ponieważ tam, u jego skroni, wydłużaj ąc się z każd ą chwil ą i na tyle ostre, że mogły kaleczyć do krwi, rysowały się dwa nowiuteńkie, koźle, niezaprzeczalne rogi.Zanim armia policjantów zabrała Saladyna Czamczę w nowy etap jego życia, miało miejsce jeszcze jedno nieoczekiwane zdarzenie. Gibril Fariszta, widz ąc blask świateł i słysz ąc szalony śmiech stróżów porz ądku publicznego, zszedł na dół ubrany w kasztanow ą bonżurkę i bryczesy wybrane z szafy Henry’ego Diamonda. Roztaczaj ąc lekk ą woń naftaliny, stał na półpiętrze i przygl ądał się zebraniu bez słowa. Stał tam nie zauważony, dopóki Czamcza, prowadzony w kajdan-kach i bez butów do suki, wci ąż trzymaj ąc kurczowo swoj ą piżamę, nie spostrzegł

go i nie zawołał — Gibril, na litość bosk ą, powiedz im co i jak.Sycz ący Jęcz ący Wyłupiastooki ochoczo zwrócili się ku Gibrilowi. — A któż to taki? — zapytał inspektor Limę. — Jeszcze jeden podniebny nurek?Ale słowa zamarły mu na ustach, ponieważ w tym właśnie momencie wył ą-czono reflektory, rozkaz taki został wydany wcześniej, kiedy Czamczę formalnie aresztowano, nakładaj ąc mu kajdanki, a w ciemnościach, które zapadły po zga-śnięciu siedmiu słońc, wszyscy obecni zdali sobie sprawę z tego, że blade, złociste światło wydobywaj ące się gdzieś w pobliżu mężczyzny w bonżurce, w rzeczy samej wypływa łagodnie z punktu znajduj ącego się tuż za jego głow ą. Inspektor Lime już nigdy nie wrócił do tematu tego światła, a gdyby zapytano go o nie, za-przeczyłby, że kiedykolwiek widział tak ą rzecz, aureola, pod koniec dwudziestego wieku, nie dam się nabrać.W każdym razie, gdy Gibril zapytał, „Czego ci ludzie chc ą?”, wszyscy obecni zostali owładnięci pragnieniem, aby odpowiedzieć na jego pytanie dokładnie i szczegółowo, aby podzielić się swoimi własnymi tajemnicami, jak gdyby był, jak gdyby, ależ nie, to śmieszne, będ ą kręcić głowami przez całe tygodnie, aż wszyscy wyperswaduj ą sobie, że zrobili to, co zrobili, kieruj ąc się czyst ą logik ą, on jest starym przyjacielem pani Diamond, we dwójkę znaleźli tego łobuza Czamczę ledwie żywego na plaży i przenieśli go do domu z humanitarnych powodów, nie ma potrzeby dalej niepokoić ani Rosy, ani pana Fariszty, godniej wygl ądaj ącego dżentelmena nie można sobie wyobrazić, w swojej bonżurce i swojej, swojej, no cóż, ekscentryczność nigdy nie była zbrodni ą, w każdym razie.120

— Gibril — powiedział Saladyn Czamcza — pomóż.Ale Rosa Diamond zdołała przyci ągn ąć wzrok Gibrila.Spojrzał na ni ą i nie mógł już oderwać oczu. Następnie kiwn ął głow ą i poszedł

z powrotem na górę. Nikt nie usiłował go zatrzymać.Kiedy Czamcza doszedł do suki, zobaczył, że zdrajca, Gibril Fariszta, patrzy na niego z góry, z małego balkonu sypialni Rosy, a wokół głowy skurwysyna nie świeci żadne światło.2

Kan ma kan / Fi qadim azzaman. . . Było tak, a może nie było, dawno, dawno temu, w krainie srebra, Argentynie, żył sobie pewien Don Enrique Diamond, który wiele wiedział o ptakach, a mało o kobietach, i jego żona, Rosa, która nie wiedziała nic o mężczyznach, ale sporo o miłości. Pewnego dnia tak się złoży-ło, że seniora, odbywaj ąc konn ą przejażdżkę w damskim siodle, ubrana w kapelusz z piórem, znalazła się przy wielkiej kamiennej bramie estancji Diamondów, stoj ącej zupełnie zwariowanie w samym środku pustych pampasów, i dostrzegła strusia pędz ącego w jej stronę co sił, uciekał on, ratuj ąc życie, stosuj ąc wszystkie możliwe sztuczki i pomysły, jakie tylko przyszły mu do głowy; bowiem struś jest przebiegłym ptakiem, trudnym do złapania. W pewnej odległości za strusiem widać było chmurę pyłu, pełn ą dźwięków wydawanych przez poluj ących myśliwych i kiedy struś był raptem dwa metry od Rosy, chmura wyrzuciła z siebie bolę, która owinęła się wokół jego nóg i w końcu powaliła go z hukiem u kopyt jej konia.Mężczyzna, który zsiadł z wierzchowca, aby zabić ptaka, ani przez moment nie spuścił wzroku z twarzy Rosy. Wyj ął z pochwy przy swoim pasie nóż o srebrnej rękojeści i zanurzył go w szyi ptaka, aż po koniec ostrza, a robi ąc to, ani razu nie spojrzał na umieraj ącego strusia, wpatruj ąc się w oczy Rosy Diamond, kiedy tak klęczał na rozległej żółtej ziemi. Nazywał się Martin de la Cruz.Po aresztowaniu Czamczy Gibril Fariszta często zastanawiał się nad swoim postępowaniem. W tej krótkiej nierealnej chwili, kiedy usidliły go oczy starej Angielki, wydawało mu się, że nie ma już własnej woli, któr ą mógłby się kierować, że decyduj ą teraz potrzeby innej osoby. Ponieważ był oszołomiony tym, co się ostatnio wydarzyło, jak również zdecydowany nie poddawać się snowi tak długo, jak to jest możliwe, dopiero po kilku dniach powi ązał w logiczn ą całość to, co działo się na świecie za jego powiekami, i dopiero wtedy zrozumiał, że musi się wyrwać, ponieważ wszechświat koszmarów sennych zacz ął przenikać do życia na jawie, i że jeżeli nie będzie uważał, nigdy nie uda mu się rozpoznać od nowa, odrodzić się z ni ą, przez ni ą, Alleluja, która widziała dach świata.Był zgorszony sob ą samym, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że dot ąd w ogóle nie próbował skontaktować się z Allie; nie usiłował pomóc Czamczy w potrzebie.Ani też nie zaniepokoiło go wcześniejsze pojawienie się na głowie Saladyna pa-ry wspaniałych nowych rogów, rzecz, która z pewności ą powinna była wzbudzić pewne zaniepokojenie. Trwał w pewnego rodzaju ekstazie i kiedy zapytał star ą damę, co ona s ądzi o tym wszystkim, uśmiechnęła się tajemniczo i powiedziała mu, że nie jest to nic nowego pod słońcem, ona widziała rzeczy, zjawy mężczyzn w hełmach z rogami, w tak starożytnej krainie jak Anglia nie ma już miejsca na 122

nowe historie, każde źdźbło trawy w darni było deptane setki tysięcy razy. Wielokrotnie przez dłuższy czas mówiła ona rzeczy bez zwi ązku i mieszała fakty, ale innymi razy upierała się i gotowała mu obfite pożywne posiłki, zapiekanki z mięsa i ziemniaków, kruche ciasto z rabarbarem i gęstym słodkim kremem z mleka i jaj, ragout w tłustym i gęstym sosie, wszelkiego rodzaju zawiesiste zupy. I cały czas z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu sprawiała wrażenie osoby zadowolonej, jak gdyby sama jego obecność dawała jej przyjemność w jakiś niezgłębiony, nieoczekiwany sposób. Chodził z ni ą do wsi na zakupy; ludzie wytrzeszczali oczy; ona nie zwracała na nich uwagi, wymachuj ąc swoj ą władcz ą lask ą. Dni mijały.Gibril nie odchodził.— Niech diabli wezm ą tę angielsk ą madam — mówił sobie. — Jakiś okaz wymarłego gatunku. Co ja tu, u diabła, robię? — Ale zostawał, skuty jakimiś nie-widzialnymi łańcuchami. Kiedy ona, przy każdej okazji, śpiewała star ą pieśń, po hiszpańsku, nie mógł zrozumieć ani słowa. Czy to jakieś czary? Jakaś starożytna Morgan Le Fay wabi ąca śpiewem młodego Merlina do swojej kryształowej jaskini? Gibril skierował się ku drzwiom. Rosa powiedziała coś piskliwym głosem; on zatrzymał się. — Dlaczego nie, ostatecznie — wzruszył ramionami. — Stara kobieta potrzebuje towarzystwa. Przywiędła wspaniałość, słowo daję! Patrzcie, na co jej przyszło. W każdym razie ja potrzebuję odpoczynku. Zebrać siły. Tylko kilka dni.Wieczorami siedzieli w salonie zapchanym srebrnymi ozdobami, pośród których wisiał na ścianie jakiś nóż ze srebrn ą rękojeści ą pod gipsowym popiersiem Henry’ego Diamonda, który spogl ądał w dół ze szczytu narożnej szafki, i kiedy stary stoj ący zegar wybijał szóst ą, Gibril nalewał dwa kieliszki sherry, a ona zaczynała mówić, wcześniej jednak musiała wypowiedzieć sakramentalne: Dziadek spóźnia się zawsze o cztery minuty, ma nienaganne maniery, nie lubi być zbyt punktualny, które to zdanie pojawiało się regularnie, jak w zegarku. Następnie zaczynała, nie zawracaj ąc sobie głowy tym pewnegorazubyłsobie, i bez względu na to, czy opowiadanie było całe prawdziwe, lub całe fałszywe, widział niepohamowan ą energię, która emanowała z jej opowieści, ostatnie desperackie rezerwy jej woli, które wkładała w swoje historie, jedyny pogodny okres, który pamiętam, powiedziała mu, i zrozumiał, że ten worek na skrawki materiału wypełniony mieszanin ą wspomnień w rzeczy samej jest jej najgłębsz ą natur ą, jej autoportretem, ten sposób, w jaki patrzyła w lustro, kiedy poza ni ą nie było nikogo w pokoju, i że jej ulubionym miejscem zamieszkania była tamta srebrna kraina jej przeszłości, a nie ten zrujnowany dom, w którym stale wpadała na przedmioty, — przewracaj ąc stoliki do kawy, nabijaj ąc sobie siniaki o klamki — i w końcu wybuchała płaczem i krzyczała: Wszystko się kurczy.Kiedy popłynęła statkiem do Argentyny w 1935, jako świeżo poślubiona żona 123

Anglo-Argentyńczyka Don Enrique’a z Los Alamos, on wskazał na ocean i powiedział, to jest pampa. Nie poznasz jej wielkości, patrz ąc tylko na ni ą. Musisz podróżować przez ni ą, tę niezmienność, dzień po dniu. W niektórych jej częściach wiatr jest mocny jak cios pięści ą, ale jest przy tym absolutnie cichy, uderzy cię mocno, ale niczego nie usłyszysz. Żadnych drzew, oto dlaczego: ani ombii, ani topoli, nic. I musisz uważać na liście drzewa ombii. Śmiertelna trucizna. Wiatr cię nie zabije, ale sok z drzewa może. Klasnęła w ręce jak dziecko: Naprawdę, Henry, cichy wiatr, truj ące liście. Mówisz tak, że brzmi to jak bajka. Henry, jasnowłosy ociężały mężczyzna o sflaczałym ciele i szeroko otwartych oczach, robił wrażenie przerażonego. Och, nie, powiedział. Aż tak źle to nie jest.Przyjechała do tego bezmiaru pod nieskończonym błękitnym sklepieniem nieba, ponieważ Henry nagle się jej oświadczył, a ona dała mu jedyn ą odpowiedź, jakiej może udzielić czterdziestoletnia stara panna. Ale kiedy już przybyła na miejsce, zadała sobie istotniejsze pytanie: na co j ą było stać w tej całej przestrzeni?Na co się mogła poważyć, w jaki sposób mogła się rozwin ˛

ać? Być dobr ą lub

zł ą, powiedziała sobie: ale być now ˛

a. Nasz s ąsiad, doktor Jorge Babington, powiedziała Gibrilowi, nigdy specjalnie mnie nie lubił, wiesz, często opowiadał mi o Brytyjczykach w Południowej Ameryce, zawsze takie wesołe chwasty, mówił

z pogard ą, szpiedzy i zbóje, i szabrownicy. Czy nie jesteście tak egzotyczni w swojej zimnej Anglii? pytał j ą, i sam sobie odpowiadał, seniora, nie s ˛

adzę, łeby tak

było. Wepchnięci w tę trumnę, któr ˛

a jest wasza wyspa, musicie szukać szerszych

horyzontów, aby dać wyraz tajemniczej części swoich osobowości.Tajemnic ą Rosy Diamond była tak olbrzymia potrzeba miłości, że wkrótce stało się oczywiste, że jej biedny prozaiczny Henry nigdy temu nie podoła, ponieważ resztki romantyczności, jakie się jeszcze ostały w tym galaretowatym ciele, były zarezerwowane dla ptaków. Sokoły błotne, jerzyki, słonki. Na miejscowych lagu-nach, pośród sitowia, spędzał w małej łódce swoje najszczęśliwsze dni z lornetk ą przytknięt ą do oczu. Kiedyś w poci ągu do Buenos Aires wprawił j ą w zakłopotanie, demonstruj ąc pasażerom swoje ulubione krzyki ptasie w wagonie restaura-cyjnym, zwijaj ąc ręce w tr ąbkę wokół ust: oto śpioch, ibis, trupial. Dlaczego nie możesz być taki, kiedy kochasz się ze mn ą, chciała zapytać. Ale nigdy nie zadała tego pytania, ponieważ w oczach Henry’ego była porz ądn ą kobiet ą, a namiętność była dziwactwem innych rodów. Stał się generalissimusem tego domostwa i usiłowała stłumić swoje niegodziwe pragnienia. W nocy zaczęła wychodzić na spacery po pampie, kładła się na wznak i patrzyła na nieboskłon ponad sob ą i czasami pod wpływem tego jasnego strumienia piękna zaczynała drżeć na całym ciele, drżeć z wielkiej rozkoszy i nucić nieznan ą melodię, i ta gwiezdna muzyka była dla niej niemal radości ą.Gibril Fariszta: czuł, że jej opowieści owijaj ą się wokół niego jak pajęczyna, zatrzymuj ąc go w tym zagubionym świecie, gdzie pięćdziesięciu zasiadało codziennie do kolacji, cóż to byli za mężczyźni, nasi gauchos, nic w nich służalczego, 124bardzo gwałtowni i dumni, bardzo. Wył ˛

acznie mięsożerni; możesz to zobaczyć na

zdjęciach. Podczas długich nocy, bezsennych dla obojga, opowiedziała mu o mgle przychodz ącej w czasie upałów nad pampę, kiedy to kilka drzew wystawało z niej jak wyspy, a jeździec wygl ądał jak mitologiczny stwór galopuj ący po powierzchni oceanu. To był jakby duch morza. Opowiedziała mu historie, jakich słuchało się przy ogniskach, na przykład o gaucho-ateiście, który udowodnił, że nie ma Raju, kiedy zmarła jego matka, wzywaj ąc jej ducha do powrotu przez siedem no-cy z rzędu, ósmej nocy ogłosił, na pewno go nie usłyszała, gdyż w przeciwnym razie przyszłaby pocieszyć swojego ukochanego syna; tak więc śmierć musi być końcem. Usidlała go opisami tych dni, kiedy to zjawili się ludzie Perona w białych garniturach i przylizanych włosach, a peoni ich wypędzili, opowiadała o tym, jak Angole budowali linie kolejowe do obsługi ich estancji, o swojej przyjaciółce Claudette, ta to złamała serce, mój drogi, poślubiła faceta o nazwisku Granger, który był inżynierem, sprawiła tym zawód połowie Hurlingham. Wyjechali w teren do jakiejś tamy, któr ą on budował, i niedługo potem otrzymali wiadomość, że jad ą do nich powstańcy, aby wysadzić j ą w powietrze. Granger z ludźmi pojechał

pilnować tamy, zostawiaj ąc Claudette tylko ze służ ąc ą, i wyobraź sobie, kilka godzin później przybiegła służ ąca, seniora, być jeden hombre u drzwi, on taki duży jak dom. Co jeszcze? Kapitan powstańców. — A małżonek pani, madame? —

Czeka na pana przy tamie, tak jak powinien. — Wobec tego skoro on nie uznał

za rzecz słuszn ą chronić pani, rewolucja to uczyni. — I porozstawiał straże dookoła budynku, mój drogi, niesamowite. Ale w walce obydwaj mężczyźni zostali zabici, m ąż i kapitan, i Claudette uparła się, by wyprawić im wspólny pogrzeb, patrzyła, jak dwie trumny s ą spuszczane do ziemi, jedna obok drugiej, opłakiwała obu. Po tej historii wiedzieliśmy, jakie to niebezpieczne z niej ziółko, trop fatale, no nie? Co? Trop cholernie fatale. W nieprawdopodobnej historii pięknej Claudette Gibril usłyszał muzykę tęsknot samej Rosy. W takich chwilach spostrzegał, że ukradkiem patrzy na niego i czuł jakieś szarpnięcie w okolicy pępka, jak gdyby coś usiłowało wyjść na zewn ątrz. Wówczas odwracała głowę i uczucie to znikało.Być może był to jedynie efekt uboczny napięcia, w jakim się znajdował.Zapytał j ą którejś nocy, czy widziała rogi wyrastaj ące z głowy Czamczy, lecz przestała słuchać i zamiast odpowiedzi usłyszał, jak to zwykle siadała na stołku przy galpon czy ogrodzeniu dla byków w Los Alamos i byki, zdobywcy nagród na wystawach, podchodziły do niej i kładły swoje rogate łby na jej kolanach. Pewnego popołudnia dziewczyna, Aurora del Soi, która była narzeczon ą Martina de la Cruz, pozwoliła sobie na impertynenck ą uwagę: Myślałam, że kład ą one łby tylko na kolanach dziewic, któr ą scenicznym szeptem skierowała do swoich chichocz ących przyjaciółek, a Rosa odwróciła się do niej i odpowiedziała słodko, wobec czego może ty zechcesz spróbować, moja droga? Od tego czasu Aurora del Soi, najlepsza tancerka w estancji i najbardziej atrakcyjna ze wszystkich kobiet, stała się śmiertelnym wrogiem tej zbyt wysokiej i zbyt kościstej kobiety zza morza.125

— Ty wygl ądasz zupełnie jak on — powiedziała Rosa Diamond, kiedy stali przy jej nocnym oknie ramię w ramię, patrz ąc na morze. — Jego sobowtór. Martin de la Cruz. — Na dźwięk imienia tego kowboja Gibril poczuł tak gwałtowny ból w swoim pępku, porywaj ący ból, jakby ktoś przyczepił hak do jego żoł ądka, że z jego ust wyrwał się okrzyk. Rosa Diamond sprawiała wrażenie, że tego nie słyszy.— Popatrz! — krzyknęła uszczęśliwiona. — Tam.Pędz ąc wzdłuż nocnej plaży w stronę wieży Martello i obozu wczasowiczów

— pędz ąc blisko skraju wody w ten sposób, że nadchodz ący przypływ zmywał

jego ślady — robi ąc uniki i zmyłki, pędz ąc co sił w nogach, pojawił się przed nimi dorosły, naturalnej wielkości struś. Uciekał wzdłuż plaży, a oczy Gibrila pod ążały za nim w zdumieniu, aż znikn ął mu w ciemności.Następna rzecz, jaka się wydarzyła, miała miejsce we wsi. Pojechali do miasta, aby kupić ciasto i butelkę szampana, ponieważ Rosa przypomniała sobie o swoich osiemdziesi ątych urodzinach. Rodzina została wykluczona z jej życia, więc nie było żadnych kartek z życzeniami ani telefonów. Gibril nalegał, żeby uczcić tę okazję w jakiś sposób i pokazał jej swój sekret pod koszul ą, wypchany pas na pieni ądze pełen funtów szterlingów zdobytych na czarnym rynku przed wyjazdem z Bombaju. — Również karty kredytowe, w bród — powiedział. — Nie jestem żadnym tam biednym facetem. Zgódź się, chodźmy. Ja stawiam. Był teraz do tego stopnia więźniem magicznych opowieści Rosy, że z dnia na dzień prawie zapomniał, że ma życie, do którego może wrócić, i kobietę, któr ą zadziwi po prostu tym, że wci ąż żyje, i inne podobne rzeczy. Posłusznie wlok ąc się za pani ą Diamond, niósł jej torbę z zakupami.Właśnie czekał bezczynnie na rogu ulicy, podczas gdy Rosa gawędziła sobie z piekarzem, kiedy znowu poczuł ten ci ągn ący hak w swoim brzuchu, zatoczył się na słup latarni i zacz ął ciężko łapać powietrze. Usłyszał odgłos kopyt końskich, a następnie zza rogu wyjechał staroświecki dwukołowy wózek ci ągnięty przez kucyka, pełen młodych ludzi, na pierwszy rzut oka przebierańców: mężczyźni w obcisłych czarnych spodniach, zdobionych przy łydkach srebrnymi guzami, ich białe koszule rozpięte prawie do pasa; kobiety w szerokich spódnicach z falba-nami i licznymi halkami w jaskrawych, purpurowych, szmaragdowych, złotych kolorach. Śpiewali w obcym języku, a ich wesołość, barwność ich strojów sprawiły, że ulica wydawała się szara i tandetna, lecz Gibril zdał sobie sprawę z te-go, że dzieje się coś niesamowitego, ponieważ nikt inny nie zwrócił najmniejszej uwagi na wózek. Wtedy właśnie z piekarni wyszła Rosa, trzymaj ąc na sznurku, zaczepionym o palec wskazuj ący lewej dłoni, kołysz ące się pudełko z ciastem, i wykrzyknęła: — O, oto i s ą. Przyjeżdżaj ą na tańce. Zawsze mieliśmy tańce.Wiesz, oni je uwielbiaj ą, maj ą to we krwi. — A po przerwie: — To były tańce, w czasie których zabił tego sępa.To były tańce, w czasie których Juan Julia, przezywany Sępem z powodu tru-126

piego wygl ądu, wypił za dużo i obraził honor Aurory del Soi, i nie przestawał, aż Martin nie miał innego wyboru niż walczyć, hej, Martin, jak ˛

a masz przyjemność

z pieprzenia się z t ˛

a tam, ona jest cholernie głupia — Wyjdźmy z tańców — powiedział Martin, i w ciemności na tle szklanych lamp zawieszonych na drzewach wokół miejsca tańców dwaj mężczyźni owinęli poncza wokół przedramion, wy-ci ągnęli noże, kr ążyli, walczyli. Juan zgin ął, Martin de la Cruz podniósł kapelusz zabitego i rzucił go do stóp Aurory del Soi. Podniosła kapelusz i patrzyła, jak odchodzi.Osiemdziesięciodziewięcioletnia Rosa Diamond w długiej srebrnej obcisłej sukni, z cygarniczk ą w osłoniętej rękawiczk ą dłoni i srebrnym turbanie na głowie, piła dżin i grzech z zielonego szklanego trójk ąta i opowiadała o starych dobrych czasach.— Chcę tańczyć — oznajmiła nagle. — To s ą moje urodziny, a ja jeszcze ani razu nie tańczyłam.Wysiłek tej nocy, któr ą Rosa i Gibril przetańczyli aż do świtu, okazał się nad-mierny dla starszej pani, która następnego dnia padła na łóżko z niewielk ą gor ączk ą, a ta sprowokowała coraz to dalsze szalone zjawy: Gibril zobaczył Martina de la Cruz i Aurorę del Soi tańcz ących flamenco na pokrytym dachówkami stromym dachu domu Diamondów, i Peronistów w białych garniturach, którzy weszli na szopę z łodziami, aby przemówić do zgromadzenia peonów o przyszłości: — Pod rz ądami Perona ziemie te zostan ą wywłaszczone i rozdzielone między lud. Brytyjskie linie kolejowe również stan ą się własności ą państwa. Wyrzućmy ich, tych bandytów, tych piratów. . . — Gipsowe popiersie Henry’ego Diamonda wisiało w powietrzu, przygl ądaj ąc się scenie, wygarniturzony na biało agitator wskazał

palcem na niego i krzykn ął, To on, wasz ciemięzca, tu jest ten wróg. Gibril czuł tak silny ból w jamie brzusznej, że obawiał się o swoje życie, lecz w tym samym momencie, kiedy jego racjonalny umysł rozważał możliwość perforacji wrzodu lub zapalenia wyrostka robaczkowego, reszta jego mózgu wyszeptała prawdę, któr ą było to, że siła woli Rosy więziła go i manipulowała nim, podobnie jak kiedyś nieprzeparta potrzeba Proroka Mahounda kazała Aniołowi Gibrilowi, przemówić.— Ona umiera — zrozumiał. — To już nie potrwa długo. Rzucaj ąc się na łóżku w ataku gor ączki, Rosa Diamond mamrotała coś o truciźnie z ombii i o wrogim do niej stosunku s ąsiada, doktora Babingtona, który zapytał Henryka, czy twoja żona jest naprawdę wystarczaj ąco spokojna jak na życie na wsi, i który dał (jako prezent, by wyzdrowiała z tyfusu) egzemplarz relacji Amerigo Vespucciego z je-go podróży. — Ten człowiek był znanym notorycznym fantast ą, oczywiście —

uśmiechn ął się Babington — lecz fantazja może być silniejsza od faktów; ostatecznie jego nazwiskiem nazwano kontynent. — W miarę jak słabła, wlewała coraz więcej pozostałych jej sił w swoje własne marzenia o Argentynie i Gibril czuł

127

się tak, jakby podpalono mu pępek. Leżał w fotelu przy jej łóżku, tak jak się w niego osun ął, a ilość zjaw rosła z godziny na godzinę. Powietrze wypełniła muzyka fletów, i, najcudowniejsza rzecz, jaka się mogła stać, mała biała wysepka pojawiła się tuż przy brzegu, a biały piasek sięgał w górę zbocza aż do kępy drzew-albino-sów, które były białe, jak kreda, jak papier, do sennych koniuszków liści.Po przybyciu białej wyspy Gibril zapadł w głęboki letarg. Leżał w fotelu w sypialni umieraj ącej kobiety, powieki stale mu opadały i czuł, że ciężar jego ciała wci ąż rośnie, aż w końcu udaremnił wszelkie poruszanie. Następnie znalazł się w innej sypialni, w obcisłych czarnych spodniach ze srebrnymi guzikami wzdłuż łydek i ciężk ą srebrn ą sprz ączk ą u pasa. Wzywał pan mnie, Don Enrique, mówił

do cichego, ciężkiego mężczyzny o twarzy jakby należ ącej do białego gipsowego popiersia, ale wiedział dobrze, kto go wzywał, i ani przez chwilę nie spuszczał

wzroku z jej twarzy, nawet wtedy, gdy widział rumieniec, który rozlewał się powoli, poczynaj ąc od białej kryzy wokół jej szyi.Henry Diamond odmówił władzom zgody na interwencję w sprawę Martina de la Cruz, ja odpowiadam za tych ludzi, powiedziała Rosie, jest to kwestia honoru. Natomiast zadał sobie sporo trudu, aby zamanifestować swoje niezachwiane zaufanie do zabójcy, Martina de la Cruz, na przykład mianuj ąc go kapitanem drużyny polo na estancji. Jednak Don Enrique zmienił się bardzo od chwili, kiedy Martin zabił Sępa. Coraz łatwiej się męczył, stał się apatyczny, nie interesowały go nawet ptaki. Coś zaczęło się psuć w Los Alamos, pocz ątkowo niezauważalnie, później stało się to bardziej oczywiste. Ludzie w białych garniturach wrócili i nikt ich nie wypędził. Kiedy Rosa Diamond zachorowała na tyfus, wielu z estancji odebrało to jako alegorię upadku starego maj ątku.Cóż ja tu robię, pomyślał Gibril poważnie zaniepokojony, kiedy tak stał przed Don Enrique w gabinecie ranchera, a Donia Rosa płonęła rumieńcem na dalszym planie, to miejsce należy do kogoś innego. — Całkowite zaufanie do ciebie, mówił

Henryk w jakimś innym języku, ale mimo to Gibril rozumiał. — Moja żona ma wyruszyć w podróż samochodem, dla nabrania sił, będziesz jej towarzyszył. . .Obowi ązki w Los Alamos nie pozwalaj ą mi z ni ą jechać. Teraz muszę się odezwać, co tu powiedzieć, ale kiedy otworzył usta, wypłynęły z nich nie jego słowa, będę zaszczycony, Don Enrique, trzaśniecie obcasami, zwrot, wyjście.Ogarnięta sw ą osiemdziesieciodziewięcioletni ą słabości ą Rosa Diamond zaczęła śnić swoj ą historię nad historiami, której strzegła przez przeszło pół wieku, i Gibril znalazł się na koniu za jej hispano-suiz ą, jeżdż ąc od estancji do estancji, poprzez lasek drzew arayana, u stóp wysokich gór, przybywaj ąc do groteskowych domostw zbudowanych w stylu szkockich zamków lub hinduskich pałaców, zwie-dzaj ąc posiadłości pana Cadwalladera Evansa, tego od siedmiu żon, które były uszczęśliwione tym, że każda ma tylko jedn ą noc obowi ązku tygodniowo, oraz terytorium osławionego MacSweena, który rozkochał się w ideach, przybywszy do Argentyny z Niemiec, i powiesił na maszcie estancji czerwon ą flagę ze złama-128

nym czarnym krzyżem w samym środku białego kręgu. I właśnie na estancji MacSweena natknęli się na tę lagunę, i Rosa po raz pierwszy zobaczyła biał ą wyspę swojego przeznaczenia, uparła się, by popłyn ąć nań łodzi ą na piknik, bez służ ącej czy szofera, jedynie z Martinem de la Cruz, który miał wiosłować, rozłożyć szkarłatny obrus na białym piasku i podarować jej mięso i wino.Białe jak śnieg i czerwone jak krew i czarne jak heban. Kiedy wyci ągnęła się w swojej czarnej spódnicy i białej bluzce, leż ąc w szkarłacie, który z kolei spoczywał na bieli, a on (również ubrany w czerń i biel) nalewał czerwone wino do kieliszka, który trzymała w dłoni obleczonej biał ą rękawiczk ą, — i następnie ku własnemu zdziwieniu, niech to cholera, kiedy uj ął jej rękę i zacz ął całować, —

coś się stało, obraz zamazał się i w chwilę później leżeli na szkarłatnym obrusie, tarzali się po nim, tak że sery i plastry mięsa na zimno i sałatki i paszteciki zostały zgniecione pod ciężarem ich poż ądania i kiedy powrócili do hispano-suizy, nie dało się ukryć niczego przed szoferem lub służ ąc ą, gdyż całe ich ubrania były poplamione jedzeniem, — a znowu chwilę później ona odskoczyła od niego, nie ze złości ą, lecz zasmucona, cofaj ąc swoj ą dłoń i czyni ąc lekki ruch głow ą, nie, a on wstał, skłonił się i odszedł, pozostawiaj ąc jej cnotę i obiad nietknięte — te dwie szansę zmieniały się co chwilę, podczas gdy Rosa rzucała się na swoim łóżku, zrobiła-to-nie-zrobiła-tego, tworz ąc ostatni ą wersję swojej biografii, niezdolna zdecydować, któr ą z nich chciałaby uczynić prawdziw ą.

\* \* \*„Zwariuję chyba — pomyślał Gibril. — Ona umiera, ale ja tracę rozum”. Księżyc odszedł i oddech Rosy był jedynym dźwiękiem w pokoju: chrapała i cicho po-mrukiwała, wci ągaj ąc i ciężko wypuszczaj ąc powietrze. Gibril spróbował wstać z fotela, ale stwierdził, że nie może. Nawet w czasie tych przerw pomiędzy wi-zjami jego ciało pozostawało nieprawdopodobnie ciężkie. Jak gdyby ktoś położył

mu na piersi ogromny kamień. A obrazy, kiedy znowu przyszły, nadal były prze-mieszane, tak więc raz zjawiła się w stodole w Los Alamos i kochał się z ni ą, a ona raz po raz szeptała jego imię. Marcin od Krzyża, — to znowu nie zwracała na niego uwagi w jasny dzień pod czujnym wzrokiem niejakiej Aurory del Sol —

niemożliwości ą było więc odróżnić wspomnienia od pragnień lub od konfesjonal-nych prawd zrekonstruowanych z nieczystym sumieniem, — ponieważ nawet na łożu śmierci Rosa Diamond nie wiedziała, jak spojrzeć na swoje życie.Światło księżyca wpłynęło do pokoju. Kiedy padło na twarz Rosy, zdało się przenikać j ą na wskroś i rzeczywiście Gibril zaczynał rozróżniać wzory na koron-kowych haftach poszewki. Następnie zobaczył Don Enrique’a i jego przyjaciela, 129

purytańskiego i zawsze krytycznie nastawionego doktora Babingtona, stoj ących na balkonie, tak realnych, jak moglibyście tylko sobie życzyć. Przyszło mu na myśl, że w miarę jak zjawy staj ą się coraz bardziej wyraźne, Rosa słabnie, marniej ąc w oczach, można było powiedzieć, zamieniaj ąc się miejscem, można by powiedzieć, z duchami. A ponieważ zdawał sobie również sprawę z tego, że istnienie zjaw zależy od niego, od jego bólu brzucha, ciężaru, który czuł na piersiach, zacz ął się obawiać również o swoje życie.— Chciałeś, abym sfałszował świadectwo zgonu Juana Julii — mówił doktor Babington. — Zrobiłem to ze względu na nasz ą star ą przyjaźń. Ale nie należało tego czynić; rezultat widzę przed sob ą. Osłoniłeś mordercę i być może z tego powodu gryzie cię sumienie. Wracaj do domu, Enrique. Wracaj do domu i weź tę twoj ą żonę, zanim zdarzy się coś gorszego.— Jestem w domu — powiedział Henry Diamond. — I czuję się dotknięty tym, że tak mówisz o mojej żonie.— Gdziekolwiek nie osiedliliby się Anglicy, nigdy nie opuszczaj ą Anglii —

powiedział doktor Babington, znikaj ąc w świetle księżyca. — Chyba że, podobnie jak Donia Rosa, zakochuj ą się.Chmura przesłoniła na chwilę księżyc i teraz, kiedy balkon był pusty, Gibril Fariszta zdołał wreszcie poderwać się z fotela i stan ąć na nogi. Id ąc miał wrażenie, że ci ągnie po podłodze kulę na łańcuchu, ale jakoś doszedł do okna. Wszędzie jak okiem sięgn ąć rosły gigantyczne osty faluj ące na wietrze. Tam, gdzie kiedyś było morze rozci ągał się teraz ocean ostów, dochodz ący aż do horyzontu, osty wysokości dorosłego mężczyzny. Usłyszał pozbawiony powłoki cielesnej głos doktora Babingtona, szepcz ący mu do ucha: — Pierwsza plaga ostów od pięćdziesięciu lat, przeszłość wydaje się powracać. Zobaczył jak ąś kobietę, przebiegaj ąc ą przez gęste, faluj ące poszycie, boso, z rozpuszczonymi czarnymi włosami. — Ona to zrobiła — usłyszał za sob ą wyraźny głos Rosy. — Zdradziła go z Sępem i uczyniła z niego mordercę. Nie mógł po tym patrzeć na ni ą. Ach, bez w ątpienia, ona to zrobiła. Bardzo niebezpieczna, ta tam. Bardzo. — Gibril stracił z oczu Aurorę del Soi, która zniknęła w ostach; jeden miraż przesłaniał następny.Poczuł, jak coś go od tyłu złapało, obróciło i cisnęło nim tak, że upadł na plecy. Nikogo nie było widać, lecz Rosa Diamond siedziała na łóżku sztywno jakby kij połknęła, patrz ąc na niego szeroko otwartymi oczyma, daj ąc mu do zrozumienia, że straciła już nadzieję na utrzymanie się przy życiu i że potrzebuje go, aby dokończyć ostatni obraz. Podobnie jak w przypadku tego handlowca ze swoich snów, czuł się teraz bezsilny, nieświadomy czegokolwiek. . . . a ona jednak zdawała się wiedzieć, jak wydobyć z niego obrazy. Spostrzegł ł ącz ący ich oboje, od pępka do pępka, świetlisty sznur.Teraz znalazł się przy jakimś stawie w bezkresie ostów, napoił konia, ona podjechała na swojej klaczy. Obj ął j ą, rozebrał, rozpuścił jej włosy, a teraz kochali się.Później szeptała mu, jak mogę ci się podobać, jestem dużo starsza od ciebie, a on 130

koił j ą słowami pocieszenia.Teraz wstała, ubrała się i odjechała, natomiast on pozostał, ciepłe i ospałe ciało; nie zauważył momentu, kiedy kobieca ręka wysunęła się ukradkiem z ostów i ujęła jego nóż o srebrnej rękojeści. . .Nie! Nie! Nie, w ten sposób!Teraz ona podjechała do niego tam przy stawie i w chwili, kiedy zsiadła z konia, patrzyła na niego pełna obaw, on rzucił się na ni ą, powiedział, że już dłużej nie zniesie jej odmów, upadli razem na ziemię, ona krzyczała, on rwał na niej ubranie, a jej dłonie, kiedy drapała go paznokciami, trafiały na rękojeść noża. . .Nie! Nie, nigdy, nie! O tak: w ten sposób!Teraz znowu kochali się, czule, obdarzaj ąc się pieszczotami; pojawił się trzeci jeździec i kochankowie zerwali się do ucieczki, każde w inn ą stronę; następnie Don Enrique wyci ągn ął mały pistolet i wycelował w serce rywala; —

— i poczuł, że Aurora dźga go nożem w serce, i jeszcze raz, i jeszcze raz, teraz za to, że mnie porzuciłeś, a teraz za tę twoj ą wielkopańsk ą angielsk ą kurwę,—

— i poczuł, że nóż jego ofiary wchodzi w jego serce, Rosa dźga go raz, drugi i jeszcze raz, —

— i kiedy kula Henryka zabiła go, Anglik wyj ął nóż z trupa i po wielokroć wbijał go w krawi ąc ą ranę.Gibril krzykn ął przeraźliwie i stracił przytomność.Kiedy się ockn ął, stara kobieta w łóżku mówiła do siebie tak cicho, że z trudności ą mógł rozróżnić słowa. — Przyszedł pampero, południowo-zachodni wiatr, przyginaj ący osty do ziemi. Wtedy właśnie go znaleźli, a może trochę wcześniej.— Kres opowiadania. O tym, jak Aurora del Soi na pogrzebie Martina de la Cruz splunęła Rosie w twarz. Jak załatwiono, że nikt nie zostanie oskarżony o to morderstwo, pod warunkiem, że Don Enrique zabierze Donie Rosę i jak najszybciej powróci z ni ą do Anglii. Jak wsiedli do poci ągu na stacji w Los Alamos, a mężczyźni w białych garniturach stali na peronie w kapeluszach borsalino, dopilno-wuj ąc ich wyjazdu. Jak, tuż po tym, jak poci ąg ruszył, Rosa Diamond otworzyła torbę podróżn ą leż ąc ą obok niej na siedzeniu i powiedziała wyzywaj ąco, przynio-słam coś. Mał ˛

a pami ˛

atkę. I rozpakowała płócienne zawini ątko, z którego wypadł

gauchowski nóż ze srebrn ą rękojeści ą.— Henryk umarł pierwszej zimy po powrocie. A później już nic się nie stało.Wojna. Koniec. — Przerwała na chwilę. — Zanikn ąć się w czymś takim, kiedy było się w tak niezmierzonej przestrzeni. To jest nie do zniesienia. — I po chwili milczenia: — Wszystko się kurczy.Nast ąpiła jakaś zmiana w księżycowym świetle i Gibril poczuł, że przygnia-taj ący go ciężar ustępuje szybko, tak że miał wrażenie, że uniesie się do sufitu.Rosa Diamond leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, jej ręce spoczywały na pstrokatej kołdrze. Wygl ądała: normalnie. Gibril uświadomił sobie, że nic już 131

nie powstrzymuje go od opuszczenia tego domu.Zszedł ostrożnie na dół, krokiem wci ąż jeszcze chwiejnym; znalazł ciężki gabardynowy płaszcz, który niegdyś należał do Henryka Diamonda oraz stary filcowy kapelusz z nazwiskiem Don Enrique’a wyszytym na tasiemce ręk ą jego żony; i wyszedł, nie ogl ądaj ąc się za siebie. W chwili, gdy opuszczał dom, wiatr zerwał mu kapelusz i pognał, tocz ąc wzdłuż plaży. Gibril dogonił go, złapał i wcisn ął z powrotem na głowę. Londyn sharif, oto nadchodzę. Miał miasto w swojej kieszeni: mapa Geographers’ London, cała metropolia na kilku złożonych kart-kach, od A do Z.Co mam robić? — zastanawiał się. — Zadzwonić czy nie zadzwonić? Nie, po prostu zjawić się, nacisn ąć dzwonek i powiedzieć, dziecino, twoje marzenia sprawdziły się, z łoża oceanu do twojego łóżka, trzeba by czegoś gorszego niż katastrofa lotnicza, by mnie oddzielić od ciebie. — Okay, no, może niezupełnie te słowa, ale coś w tym rodzaju. — Tak, działanie przez zaskoczenie jest najlepsz ą taktyk ą. Allie Bibi, a-ku-ku!I wtedy usłyszał ten śpiew. Dochodził ze starej szopy na łodzie, z wymalowan ą na ścianie postaci ą jednookiego pirata, a pieśń ta była w obcym języku, lecz znajoma: pieśń, nucona często przez Rosę Diamond, głos również był znajomy, chociaż trochę inny, mniej drż ący; młodszy. Drzwi hangaru z jakichś nie wyjaśnio-nych powodów były otwarte i skrzypiały poruszane podmuchem wiatru. Poszedł

w stronę pieśni.— Zdejmij płaszcz — powiedziała. Była ubrana tak samo jak w dniu białej wyspy: czarna spódnica i wysokie buty, biała jedwabna bluzka, goła głowa. Ro-zesłał płaszcz na podłodze hangaru, a jaskra — wopurpurowa podszewka lśniła w niewielkiej błyszcz ącej światłem księżyca przestrzeni. Położyła się pośród tego przypadkowego rozgardiaszu angielskiego życia, palików do krykieta, pożółkłych abażurów, wyszczerbionych wazonów, składanych stolików, waliz; i wyci ągnęła do niego rękę. Położył się u jej boku.— Jak mogę ci się podobać? — wyszeptała. — Jestem dużo starsza od ciebie.3

Kiedy w policyjnej karetce bez okien ści ągnęli z niego piżamę i Saladyn Czamcza zobaczył te gęste, ciemne kędzierzawe włosy pokrywaj ące jego uda, załamał się po raz drugi tej nocy; tym razem jednak zacz ął histerycznie chichotać, zarażony być może nieustaj ąc ą wesołości ą swoich strażników. Trzej oficerowie imigracyjni byli w szczególnie dobrych humorach i to właśnie jeden z nich — facet z wyłupiastymi oczyma, nosz ący nazwisko, jak się wreszcie okazało, Stein —

„wyportkował” Saladyna z wesołym okrzykiem — Zaczynamy, Packy; zobaczmy, z czegóż to cię zrobiono! — Ści ągnięto czerwono — białe paski z protestuj ącego Czamczy, który na wpół leżał na podłodze furgonu, przy czym czterech tęgich policjantów trzymało go za ramiona, a but pi ątego przygniatał mu klatkę piersiow ą, i na którego protesty nie zwracano najmniejszej uwagi w ogólnej wesołej wrzawie. Wci ąż walił rogami, a to o obudowę wnęki na koło, a to o podłogę nie przykryt ą wykładzin ą, czy też o policyjn ą łydkę — w tych ostatnich przypadkach odczuwaj ący uzasadnion ą wściekłość poszkodowany stróż porz ądku solid-nie grzmocił go po twarzy — a więc, w sumie, był przygnębiony jak nigdy dot ąd.Niemniej jednak, kiedy zobaczył, co znajdowało się pod pożyczon ą piżam ą, nie mógł powstrzymać się od chichotu zdumienia.Jego uda stały się niezwykle szerokie i potężne, no i pokryły się sierści ą. Pod kolanem owłosienie kończyło się, jego nogi zwężały się w twarde, kościste, niemal pozbawione mięśni łydki, kończ ąc się par ą rozczepionych błyszcz ących kopyt, takich, jakie można zobaczyć u każdego kozła. Saladyn był zaskoczony widokiem, jaki przedstawiał jego fallus, znacznie powiększony i żenuj ąco sztywny, narz ąd, który z największ ą trudności ą mógł uznać za swój. — A co to takiego?— żartował Novak, uprzednio „Sycz ący”, szczypi ąc go figlarnie. — Może masz ochotę na któregoś z nas? — Na co „Jęcz ący” oficer imigracyjny, Joe Bruno, klepn ął go w udo, dał Novakowi kuksańca pod żebro i krzykn ął. — Nie, to nie to. Wydaje się, że naprawdę zapędziliśmy go w kozi róg i jest poirytowany. —

Rozumiem — odkrzykn ął Novak, a jego pięść przypadkowo uderzyła Saladyna w dopiero co powiększone j ądra. — Hej! Hej! — wył Stein, a w jego oczach pokazały się łzy radości. — Słuchajcie, tu mam coś lepszego. . . nic dziwnego, że jest tak kurewsko rogaty.Na to wszyscy trzej, powtarzaj ąc wielokrotnie — w kozi róg. . . rogaty. . . —

rzucili się jeden drugiemu w objęcia, wyj ąc z uciechy. Czamcza chciał się odezwać, ale bał się, że zamiast głosu wydobędzie z siebie kozie beczenie, a poza tym but policjanta zaczaj jeszcze bardziej przygniatać jego pierś i było mu trudno wykrztusić cokolwiek. Jedyne, co intrygowało Czamczę, to okoliczność, któr ą on sam uznał za całkowicie oszałamiaj ąc ą i wprost niesłychan ą — jego metamorfoza w tego tu nadprzyrodzonego diabełka traktowana jest przez innych tak, jak 133

gdyby była to najbanalniejsza i najoczywistsza sprawa, jak ą mogli sobie wyobrazić. „To nie jest Anglia” pomyślał, nie po raz pierwszy, ani ostatni. Ostatecznie, jak to jest możliwe, gdzież w całym tym umiarkowanym i kieruj ącym się zdrowym rozs ądkiem kraju było miejsce dla takiej karetki policyjnej, w której mogły dziać się tak niewiarygodne rzeczy? Zmuszało go to do przyjęcia wniosku, że on naprawdę zgin ął w eksploduj ącym samolocie i że wszystko, co nast ąpiło później, jest pewnym rodzajem życia po śmierci. Jeżeli tak naprawdę rzeczy się maj ą, jego uporczywe odrzucanie Nieśmiertelnego zaczyna wygl ądać całkiem głupio.— Ale gdzie, w tym wszystkim, był jakikolwiek znak Najwyższej Istoty, łaskawej czy mściwej? Dlaczego Czyściec lub Piekło, czy czymkolwiek mogło być to miejsce, było tak podobne do hrabstwa Sussex, tego od kar i wróżek, które znał każdy uczniak? — A może, przyszło mu do głowy, nie, zgin ął w katastrofie Bustana, ale leży śmiertelnie chory na jakimś oddziale szpitalnym, nękany przez koszmary senne? To wyjaśnienie przemawiało do niego najbardziej, może nie tylko dlatego, że przypominało pewn ą nocn ą rozmowę telefoniczn ą oraz męski głos, które usiłował nadaremnie zapomnieć. . . Poczuł mocne kopnięcie w żebra, na ty-le bolesne i realistyczne, że zmusiło go do poddania w w ątpliwość wszystkie te teorie o halucynacjach. Skupił się z powrotem na rzeczywistości, tej obecnej, na któr ą składała się zaplombowana furgonetka zawieraj ąca trzech oficerów imigracyjnych i pięciu policjantów, i to, przynajmniej na razie, był cały wszechświat, jaki miał. Wszechświat strachu.Novak i pozostali otrz ąsnęli się już z poprzedniego wesołego nastroju. — By-dlę. — Stein skl ął go, aplikuj ąc mu jednocześnie serię kopniaków, zawtórował mu Bruno: — Jesteście wszyscy tacy sami. Nie można oczekiwać, że zwierzęta będ ą przestrzegać cywilizowanych norm. Co? — A Novak podj ął przerwany w ątek: —

Mówimy tu o pierdolonej higienie osobistej, ty mały pierdoło.Czamcza nie wiedział, o co chodzi. I wtedy zauważył, że na podłodze suki pojawiła się duża ilość miękkich kulek. Poczuł przypływ goryczy i wstydu. Wy-gl ądało na to, że nawet jego procesy fizjologiczne stały się obecnie koźle. Ależ poniżenie! Był przecież — a przynajmniej dołożył pewnych starań, aby stać się

— człowiekiem na pewnym poziomie! Takie mydlenia mog ą być dobre dla tej hołoty ze wsi Sylhetu lub warsztatu naprawy rowerów w Gudźranwali, ale on jest z całkiem innej gliny! — Moi dobrzy ludzie — zacz ął, staraj ąc się nadać swojemu głosowi ton powagi, co ciężko było uczynić, leż ąc w tej poniżaj ącej pozycji na plecach i z szeroko rozrzuconymi kopytnymi nogami, pośród tocz ących się dookoła własnych ekskrementów — moi dobrzy ludzie, zrozumcie swoj ą omyłkę, zanim będzie za późno.Novak przyłożył rękę do ucha. — Co to takiego? Co to za hałasy? — zapytał, rozgl ądaj ąc się wokół siebie i Stein mrukn ął: — Nie mam zielonego pojęcia. —

Pokażę wam, jak to brzmiało — zaoferował się Joe i przyłożywszy ręce do ust wrzasn ął: — Meee-ee-ee! — I ci trzej zaczęli się znowu śmiać, więc Saladyn nie 134

był w stanie powiedzieć, czy po prostu ubliżaj ą mu, czy też jego struny głosowe zostały naprawdę dotknięte, jak się obawiał, t ą makabryczn ą demonizacj ą, która zaatakowała go bez najmniejszego ostrzeżenia. Zacz ął ponownie dygotać. Noc była niezwykle zimna.Oficer Stein, który wydawał się być przywódc ą trójcy lub przynajmniej kimś w rodzaju primus inter pares, powrócił nagle do tematu bobków tocz ących się po podłodze karetki. — W tym kraju — poinformował Saladyna — sami sprz ątamy po sobie.Policjanci podnieśli Czamczę na kolana. — Zgadza się — powiedział Novak.— Posprz ątaj to. — Joe Bruno położył sw ą olbrzymi ą łapę na karku Czamczy i pchn ął jego głowę ku zaśmieconej bobkami podłodze. — No, zaczynaj już —

powiedział tonem człowieka prowadz ącego zwyczajn ą rozmowę. — Szybciej za-czniesz, szybciej się z tym uwiniesz.

\* \* \*Nawet w trakcie wykonywania (nie maj ąc wyboru) tego ostatniego i najbardziej niegodziwego rytuału, swojego niczym nie usprawiedliwionego poniżenia,

— lub, mówi ąc innymi słowy, w miarę jak konsekwencje cudownego ocalenia stawały się coraz bardziej piekielne i outré — Saladyn Czamcza zauważył, że trzej oficerowie imigracyjni przestali wygl ądać i zachowywać się dziwnie, tak jak na pocz ątku. Przede wszystkim w najmniejszym stopniu nie byli już podobni do siebie. Okazało się, że oficer Stein, którego koledzy nazywali „Mack” lub „Jockey”, jest dużym krzepkim mężczyzn ą o mięsistym nosie w kształcie diabelskiej kolejki z wesołego miasteczka, a akcent, okazało się teraz, miał przesadnie szkocki. —

No, teraz git! — powiedział z aprobat ą, podczas gdy nieszczęśliwy Czamcza kontynuował przeżuwanie. — Aktor, co nie? Lubię popatrzeć na grę dobrego aktora.Ta uwaga skłoniła oficera Novaka — to jest „Kima” — którego natura obda-rzyła niepokoj ąc ą blad ą cer ą, ascetycznie kościst ą twarz ą, przywodz ąc ą na myśl średniowieczne ikony, oraz grymasem, który sugerował jakieś głębokie wewnętrzne cierpienie, — do wygłoszenia krótkiej aczkolwiek gwałtownej mowy o swoich ulubionych gwiazdach seriali telewizyjnych oraz prowadz ących konkursy i wi-dowiska TV. Wtedy oficer Bruno, który w oczach Czamczy stał się nagle niesamowicie przystojny, ze świec ąc ą fryzur ą z przedziałkiem pośrodku, która kształt zawdzięczała specjalnemu żelowi, i z blond bródk ą, dramatycznie kontrastuj ą-c ą z ciemniejszymi włosami na głowie, — Bruno, najmłodszy z trójki, zapytał

lubieżnie, no, a co powiecie na podgl ądanie dziewcz ąt, to moje hobby. Pod wpływem tej nowej myśli wszyscy trzej zaczęli opowiadać różne anegdotki, które za-135

wierały sugestie określonego typu, lecz kiedy pięciu policjantów spróbowało stan ąć z nimi w szranki, ci zwarli szeregi, przybrali surowe miny i pokazali szere-gowcom, gdzie jest ich miejsce. — Dzieci i ryby — strofował ich pan Stein —

głosu nie maj ą.W tym momencie Czamcza poczuł straszliwe mdłości, zmuszał się, aby nie zwymiotować, gdyż wiedział, że taki bł ąd jedynie przedłuży jego mękę. Czoł-gał się po podłodze karetki, poszukuj ąc swoich ekskrementów, a te przelatywały z jednej strony wozu na drug ą i policjanci, aby dać upust swojej frustracji wywołanej skarceniem przez oficera, zaczęli z pasj ą ubliżać Saladynowi i szarpać mu sierść na zadzie, w ten sposób powiększaj ąc jego skrępowanie i zmieszanie. Następnie pięciu policjantów w prowokuj ący sposób zaczęło tworzyć własn ą wersję rozmowy oficerów imigracyjnych i zabrali się do omawiania walorów różnych gwiazd filmowych, graczy w lotki, zawodowych zapaśników i im podobnych; ponieważ jednak zarozumiałość „Jockeya” Steina wprawiła ich w zły humor, nie byli w stanie zachować abstrakcyjnego i intelektualnego tonu wyższych stopniem i zaczęli kłócić się o zalety poszczególnych graczy zespołu Tottenham Hotspur z wczesnych lat sześćdziesi ątych w zestawieniu z gr ą Liverpoolu, silnej współczesnej drużyny, — w trakcie dyskusji zwolennicy zespołu Liverpool doprowa-dzili do wściekłości fanów Spursów, utrzymuj ąc, że wielki Danny Blanchflower jest „zbytkownym” graczem, delikatnym ptysiem, mizernym kwiatem, urodzo-nym pedulkiem-kwiatulkiem; — na co obrażona klaka zareagowała wrzaskiem, że w Liverpoolu z kolei kibice s ą pedałami, zwolennicy Spursów mogliby ich roznieść w pył z palcem w dupie. Oczywiście, ci policjanci byli obeznani z techni-kami stosowanymi przez chuliganów na stadionach piłkarskich, spędziwszy wiele sobót na płytach boiska, gdzie stali tyłem do graczy i obserwowali widzów, i to na różnych stadionach całego kraju, i kiedy dyskusja stawała się coraz gorętsza, doszli do momentu, w którym pragnęli zademonstrować swoim przeciwnikom, co mieli na myśli, używaj ąc takich zwrotów, jak: „rozrywanie”, „kopanie w ja-ja”, „przyskrzynianie” i tym podobne. Zwaśnione strony mierzyły się nawzajem wzrokiem pełnym nienawiści i wtedy wszyscy razem zwrócili uwagę na osobę Saladyna Czamczy. Cóż, raban w karetce policyjnej stawał się coraz głośniejszy,— i prawd ą będzie, jeżeli powiem, że częściowo była to wina Czamczy, ponieważ zacz ął kwiczeć jak świnia, — a młodzi policjanci walili w różne części jego ciała i żłobili w nich rowki, był dla nich zarówno królikiem doświadczalnym, jak i za-worem bezpieczeństwa, mimo całego swojego podniecenia pilnowali jednak, by uderzenia ograniczyć do miękkich, bardziej umięśnionych części, zmniejszaj ąc w ten sposób do minimum niebezpieczeństwo złamań, czy stłuczeń; i kiedy Jockey, Kim i Joey zobaczyli psoty swoich młodszych kolegów, postanowili okazać wyrozumiałość, ponieważ dzieci musz ą mieć rozrywkę.W dodatku, cała ta rozmowa o obserwowaniu ludzi skierowała uwagę Steina, Bruna i Novaka na bardziej doniosłe sprawy i teraz z poważnymi minami i gło-136

sem pełnym rozs ądku rozmawiali o konieczności, jaka pojawia się w tych czasach wzmożonej obserwacji, i to nie tylko w sensie „kierowania na kogoś wzroku”, lecz również w sensie „czujności” i „inwigilacji”. Doświadczenie młodych policjantów było niezwykle istotne, zaintonował Stein: obserwować tłum, a nie grę. —

Nieustanna czujność jest cen ą wolności — obwieścił.— Kwik — wrzasn ął Czamcza, który nie mógł opanować się na tyle, by nie przerywać rozmowy. — Aargh, annhh, ołu.

\* \* \*Po jakimś czasie Saladyna ogarnęło poczucie całkowitej obojętności. Przestał

się orientować, jak długo już jedzie t ą suk ą, która uwieńczyła jego gwałtowne wy-padnięcie z łask, ani też nie miał odwagi zgadywać, jak blisko jest ich ostateczny cel, mimo że dzwonienie w uszach stawało się coraz głośniejsze, te upiorne kroki jego babki, zaduszki, złe duszki, eloen deigreken, Londyn. Ciosy spadaj ące na niego były teraz miękkie jak pieszczoty kochanki; groteskowy widok jego przemienionego ciała przestał już go przerażać; nawet ostatnie kulki kozich ekskrementów nie pogorszyły stanu jego znękanego żoł ądka. Niemal pozbawiony czucia skulił się w swoim małym światku, staraj ąc się stać jak najmniejszym, w nadziei, że w końcu będzie mógł całkowicie znikn ąć i w ten sposób odzyskać wolność.Rozmowa o technikach inwigilacji pojednała ponownie oficerów imigracyjnych i policjantów, zasypała przepaść, kor ą wykopały słowa purytańskiej przyga-ny wypowiedziane przez Jockeya Steina. Czamcza, mały robaczek na podłodze karetki, słyszał, jak gdyby przez telefon, dochodz ące z oddali głosy swoich prześladowców z ożywieniem mówi ących o potrzebie wprowadzenia większych ilości kamer telewizyjnych przy okazji publicznych zgromadzeń i o korzyściach skom-puteryzowania informacji, i, co wydawało się całkowicie sprzeczne, o skuteczności karmienia policyjnych koni nadmiernie bogat ą mieszank ą w noc przed dużym meczem, ponieważ koński rozstrój żoł ądka powoduje obsypanie maszeruj ących łajnem, a to zawsze prowokuje ludzi do ekscesów, i wtedy możemy naprawdę się za nich zabrać, no nie Nie potrafi ąc złożyć tego świata telewizyjnych seriali, me-czów dnia, sensacji, w jak ąś spójn ą całość, Czamcza ogłuchł na to trajkotanie i wsłuchiwał się w kroki dźwięcz ące w jego uszach.I wtedy oświeciło go.— Zapytajcie Komputer!Trzech oficerów imigracyjnych i pięciu policjantów oniemiało, kiedy olbrzymi stwór usiadł na podłodze i hukn ął na nich. — O co mu chodzi? — zapytał

najmłodszy policjant — jeden z kibiców Tottenhamu, jakby nie było — z pow ąt-137

piewaniem. — Czy mam mu znowu przyłożyć?— Nazywam się Salahuddin Czamczawalla, jestem znany pod nazwiskiem Saladyn Czamcza — wymamrotał pół-kozioł. — Jestem członkiem Zwi ązku Zawodowego Aktorów, Zwi ązku Automobilowego i Klubu Garnek. Numer rejestra-cyjny mojego wozu jest takiataki. Zapytajcie Komputer. Proszę.— Kogo próbujesz nabierać? — zapytał jeden z fanów Liverpoolu, ale wydawało się, że mówi niepewnie. — Popatrz na siebie. Jesteś pierdolonym pakistań-skim kozłem, Sala — jak to szło? Cóż to za imię dla Anglika?Czamcza gdzieś jeszcze znalazł odrobinę gniewu. — A oni to co? — zapytał

energicznie, ruchem głowy wskazuj ąc na imigracyjnych oficerów. — Nie wygl ądaj ą mi na Anglosasów.Przez chwilę wydawało się, że rzuc ą się na niego i rozerw ą go na strzępy za tak ą zuchwałość, ale w końcu oficer Novak, ten z twarz ą jak pupcia niemowlęcia, chlasn ął go tylko kilka razy po gębie, odpowiadaj ąc mu: — Jestem z Weybridge, ty skurwielu. Zapamiętaj to sobie: Weybridge, gdzie kiedyś mieszkały te skurwysyńskie Beatlesy.Stein powiedział: — Lepiej go sprawdź. — Trzy i pół minuty później suka zatrzymała się i trzech oficerów imigracyjnych, pięciu policjantów i jeden kierowca policyjny odbyli naradę wojenn ą — ładna historia— i Czamcza zauważył

po zmianie nastrojów, że wszyscy oni, cała dziewi ątka, upodobnili się do siebie, pod wpływem napięcia i strachu stali się równi i identyczni. Wkrótce też zrozumiał, że ich rozmowa z Narodowym Komputerem Policyjnym, który natychmiast zidentyfikował go jako Obywatela Brytyjskiego pierwszej klasy, wcale nie poprawiła jego sytuacji, a wręcz przeciwnie, znalazł się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż poprzednio.— Możemy powiedzieć — zaproponował jeden z dziewi ątki — że nieprzytomny na plaży. — To na nic — przyszła odpowiedź, z powodu starej damy i tego starego pryka. — No to wobec tego, stawiał opór przy aresztowaniu i zrobił się niemiły, i w zamieszaniu, które w zwi ązku z tym wynikło, właściwie zemdlał. —

Albo też, ta stara baba była głupkowata, żaden z nas nie mógł jej zrozumieć, a ten drugi facet jakmutam nie powiedział ani słowa, a jeśli chodzi o tego drania, aż się naprasza, cholera, żeby mu dołożyć, wygl ąda jak sam diabeł, za kogo mieliśmy go uważać? — No i potem, to on wzi ął i zemdlał, co więc mieliśmy robić, po sprawiedliwości pytam wysoki s ąd, jak nie przywieźć go do szpitala w Centralnym Areszcie, gdzie otrzymałby właściw ą opiekę, a później został poddany obserwacji i przesłuchany, takie były, mamy podstawy przypuszczać, nasze wytyczne; co s ądzicie o czymś takim? — Dziewięć do jednego, że stara baba i ten drugi zrobi ą trochę szumu. — Słuchajcie, historię sklecimy później, najważniejsze jest, jak cały czas mówię, żeby stracił przytomność. — Tak jest!138

\* \* \*

Czamcza obudził się na łóżku szpitalnym, zielony śluz wydobywał mu się z płuc. Jego kości sprawiały wrażenie, jak gdyby ktoś na dłuższy czas włożył je do lodówki. Zacz ął kaszleć, a kiedy dziewiętnaście i pół minuty później atak się skończył, Czamcza zapadł w płytki, niezdrowy sen, nie zorientowawszy się w żadnych szczegółach swojej obecnej sytuacji. Kiedy się ponownie obudził, patrzyła na niego uśmiechnięta przyjaźnie kobieta, która podziałała na niego koj ąco. — Na pewno wyzdrowiejesz — powiedziała, poklepuj ąc go po ramieniu. — Masz tylko małe zapalenie płuc. — Przedstawiła się jako fizjoterapeutka, Hiacynta Philips.I dodała: — Nigdy nie s ądzę osób po pozorach. Nigdy, mój drogi panie. Możesz przestać myśleć o tym, że wygl ąd jest dla mnie ważny.Mówi ąc to, przewróciła go na bok, postawiła przy jego ustach małe tekturowe pudełko, podkasała biały szlafrok, zrzuciła z nóg buty, skoczyła jak sportsmenka na łóżko i siadła na nim okrakiem, jota w jotę jak gdyby był koniem, na którym miała zamiar wprost wyjechać, przez parawany otaczaj ące jego łóżko, na zewn ątrz, bóg jeden wie do jakiej magicznie przemienionej krainy. — Polecenie lekarza — wyjaśniła. — Trzydziestominutowa sesja dwa razy dziennie. — Bez dalszych wstępów zaczęła go energicznie okładać w okolicy pasa swoimi lekko zaciśniętymi, lecz najwyraźniej znaj ącymi się na rzeczy pięściami.Dla biednego Saladyna, świeżo po przejściach w karetce policyjnej, ta no-wa napaść była już kropl ą przepełniaj ąc ą kielich goryczy. Zacz ął rzucać się pod okładaj ącymi go pięściami, krzycz ąc głośno: — Wypuście mnie st ąd; czy ktoś zawiadomił moj ą żonę? — Wysiłek wywołał kolejny paroksyzm kaszlu, trwaj ący siedemnaście i trzy czwarte minuty, który zakończył się bur ą od fizjoterapeutki, Hiacynty. — Szkoda mojego czasu — powiedziała. — Powinnam już skończyć z twoim prawym płucem, a przez to wszystko ledwie zaczęłam. Będziesz się zachowywał przyzwoicie, czy nie? — W dalszym ci ągu siedziała na nim okrakiem i skakała w górę i w dół jak jeździec ujeżdżaj ący konia na rodeo, usiłuj ący za wszelk ą cenę dotrwać do dzwonka po dziewięciu sekundach. Jego ciało skręcało się w konwulsjach. Pokonany, przestał walczyć i pozwolił, by uderzeniami wy-gniatała zielony płyn z jego płon ących płuc. Kiedy skończyła, musiał przyznać, że czuje się o wiele lepiej. Zabrała małe pudełko, które było teraz do połowy wypełnione śluzem, i powiedziała wesoło: — Wkrótce będziesz stał mocno na nogach. — Po czym zmieszana zaczerwieniła się, przeprosiła: — Wybacz mi. I uciekła, zapominaj ąc ustawić parawany na swoich miejscach wokół łóżka.— Czas zbadać sytuację — mrukn ął do siebie. Pobieżne badanie ciała po-wiedziało mu, że jego nowy status mutanta pozostał nie zmieniony. To odkrycie przygnębiło go, przecież miał cich ą nadzieję, że jego koszmar skończy się pod-139

czas snu. Ubrany był w now ą nieznan ą piżamę, tym razem jednolicie bladozie-lon ą, której kolor harmonizował zarówno z kolorem firanek, jak i ścian i sufitu, przynajmniej tego ich fragmentu, który mógł dojrzeć, tego tajemniczego i ano-nimowego oddziału. Jego nogi w dalszym ci ągu zakończone były tymi nieszczę-snymi kopytami, a rogi na jego głowie były równie ostre jak przedtem. . . W tym posępnym remanencie przeszkodził mu męski głos dobiegaj ący gdzieś z pobliża, który krzyczał w rozdzieraj ącej serce rozpaczy: — Och, czy kiedykolwiek ktoś tak cierpiał. . . !„Co u licha?” — pomyślał Czamcza i postanowił zbadać sprawę. Lecz w tym momencie zaczęło do niego dochodzić wiele innych odgłosów, równie niepokoj ących jak ten pierwszy. Wydawało mu się, ze słyszy różne głosy zwierz ąt: sapanie byków, piski małp, nawet skrzekliwy głos gadaj ących papug. Następnie, już z innej strony, dobiegły go pomruki i wrzaski jakiejś kobiety, jakby już pod koniec bolesnego porodu; po czym nast ąpiło kwilenie noworodka. Jednak kobiece krzyki wcale nie ustawały wraz z pojawieniem się głosu dziecka; wręcz przeciwnie, stawały się jeszcze bardziej intensywne i chyba piętnaście minut później Czamcza wyraźnie usłyszał głos drugiego niemowlaka, przył ączaj ący się do pierwszego.Niemniej jednak męka porodowa kobiety nie chciała się zakończyć i w odstępach od piętnastu do trzydziestu minut, co wydawało się wieczności ą, wci ąż dorzuca-ła nowe niemowlaki do tych już nieprawdopodobnych liczb wymaszerowuj ących jak armia zdobywców z jej łona.Jego nos poinformował go również, że to sanatorium, czy jaka tam nie by-ła nazwa tego miejsca, zaczynało również nieprawdopodobnie śmierdzieć; odór dżungli i gospodarstwa rolnego mieszał się z siln ą woni ą podobn ą do tej, która wydziela się z egzotycznych przypraw smaż ących się w klarownym maśle —

kolendry, kurkumy, cynamonu, kardamonu, goździków. „No, trochę już za dużo tego”, postanowił zdecydowanie. „Czas, żeby wyjaśnić kilka rzeczy”. Zsun ął no-gi z łóżka, spróbował stan ąć i natychmiast upadł, zupełnie nie mógł przyzwyczaić się do swoich nowych nóg. Niemal godzinę stracił na pokonywanie trudności —

uczył się chodzić, korzystaj ąc z pomocy łóżka i potykaj ąc się wokół niego, aż nabrał jako takiej pewności siebie. W końcu chwiejnym krokiem podszedł do naj-bliższego parawanu; i w tym momencie pojawiła się twarz oficera imigracyjnego, Steina, zupełnie na-wzór-Kota-z-Cheshire, pomiędzy dwoma ekranami na lewo od niego; zaraz za twarz ą szła reszta tego faceta, który podejrzanie szybko zasu-n ął parawany za sob ą.— Czujemy się lepiej? — zapytał Stein, wci ąż szeroko się uśmiechaj ąc.— Kiedy będę mógł zobaczyć się z lekarzem? Kiedy będę mógł iść do toalety?Kiedy będę mógł sobie st ąd pójść? — zapytał Czamcza pospiesznie. Zrównowa-żona odpowiedź Steina: lekarz pojawi się niebawem; siostra Philips przyniesie basen; będzie mógł st ąd wyjść, skoro tylko wyzdrowieje. — Cholernie ładnie z twojej strony, że złapałeś tę chorobę płuc — dodał Stein z wdzięczności ą au-140

tora, którego bohater nieoczekiwanie rozwi ązał delikatny problem techniczny. —

Czyni to cał ą historię o wiele bardziej przekonywaj ąc ą. Wydaje się, że byłeś tak chory, że w końcu sam zemdlałeś. Nasza dziewi ątka pamięta to doskonale. Dzięki. — Czamcza nie mógł znaleźć odpowiednich słów. — Aha, i jeszcze jedno. —

ci ągn ął Stein. — Ta stara baba, pani Diamond. Znaleziono j ą martw ą we własnym łóżku, zimn ą jak lód, a ten drugi dżentelmen po prostu się rozpłyn ął. Możliwość dokonania przestępstwa nie została jak dot ąd wykluczona.— Na zakończenie — powiedział przed zniknięciem na dobre z nowego życia Saladyna — proponuję, panie Obywatelu Saladyn, żebyś nie zadawał sobie trudu z wnoszeniem skargi. Wybacz, że mówię bez ogródek, ale ze swoimi maleńkimi różkami i wielkimi kopytami nie wygl ądałbyś na najbardziej wiarygodnego świadka. A teraz, do widzenia.Saladyn Czamcza zamkn ął oczy, a kiedy je otworzył, jego prześladowca zamienił się w pielęgniarkę i fizjoterapeutkę, Hiacyntę Philips. — Czemu chcesz chodzić sam? — zapytała. — Co dusza zapragnie, poproś mnie, Hiacyntę, i zoba-czymy, co się da załatwić.

\* \* \*— Pssst.

Tej nocy, w zielonkawym świetle tajemniczej instytucji, Saladyna zbudziło syczenie rodem z hinduskiego bazaru.— Pssst. Ty, Belzebub. Obudź się.Stała przed nim postać tak nieprawdopodobna, że Czamcza chciał schować głowę pod poduszkę; jednak nie mógł, może dlatego, że nie był sob ą. . . ? — Zgadza się — powiedział stwór. — Widzisz, nie jesteś sam.Miał zupełnie normalne ludzkie ciało, tylko w miejscu głowy znajdował się łeb dzikiego tygrysa, z potrójnym rzędem zębów. — Strażnicy nocnej zmiany często przysypiaj ą — wyjaśnił. — Dlatego możemy ze sob ą pogadać.I właśnie wtedy na jednym z łóżek — każde łóżko, Czamcza wiedział to już teraz, zasłonięte było parawanem — ktoś zajęczał głośno: — Och, czy ktokolwiek tak cierpiał! — i człowiek-tygrys albo mantykora, jak sam siebie zwał, warkn ął

poirytowany. — Ach, ten jęcz ący Mumia Liza — wykrzykn ął. — Przecież nic mu takiego nie zrobili, jedynie pozbawili wzroku.— Kto zrobił coś takiego? — Czamcza był wstrz ąśnięty.— Rzecz w tym — ci ągn ął dalej mantykora — czy zamierzasz to cierpliwie znosić?Saladyn wci ąż nie wiedział, co o tym myśleć. Ten drugi sugerował chyba, że 141

te wszystkie mutacje s ą sprawk ą — czyj ą? Jak to jest możliwe? — Nie rozumiem

— odważył się. — Kogo można winić. . .Najwyraźniej zawiedziony mantykora zazgrzytał swoimi trzema rzędami zębów. — Z tej strony leży kobieta — powiedział — która obecnie jest raczej indyjskim bawołem domowym. S ą tu biznesmeni z Nigerii, którym wyrosły ogony twarde jak kij żebraczy. Jest grupa turystów z Senegalu, którzy właśnie przesiada-li się z samolotu na samolot, kiedy zostali zamienieni w oślizłe węże. Ja sam robię w ciuchach; przez ostatnich kilka lat byłem dobrze płatnym modelem, mieszkałem w Bombaju, miałem do noszenia cał ą kolekcję garniturów i koszul. A teraz kto mnie zatrudni? — wybuchn ął nagłym i nieoczekiwanym płaczem. — Dobrze już, dobrze — powiedział odruchowo Czamcza. — Wszystko się dobrze ułoży, jestem pewien. Odwagi.Stwór uspokoił się. — Rzecz w tym — powiedział z zawziętości ą — że część z nas nie chce dłużej tego tolerować. Zamierzamy wyrwać st ąd, zanim nie zmieni ą nas w coś gorszego. Noc w noc czuję, że coraz to inna część mnie zaczyna się przeistaczać. Na przykład zacz ąłem na okr ągło puszczać wiatry. . . Przepraszam bardzo. . . wiesz, co mam na myśli? A propos, spróbuj tych. — Wsun ął Czamczy do ręki paczuszkę ekstra-mocnych cukierków miętowych. — Pomog ą ci na zapach z ust. Przekupiłem jednego ze strażników, żeby przyniósł mały zapasik.— Ale jak oni to robi ą? — dopytywał się Czamcza.— Oni nas opisuj ą — wyszeptał ten drugi uroczyście. — I to wszystko. Posiadaj ą moc opisywania, a my ulegamy obrazom, które oni konstruuj ą.— Trudno w to uwierzyć — upierał się Czamcza. — Mieszkam tu od wielu lat i nigdy przedtem mi się to nie przydarzyło. . . — Zamilkł, ponieważ zobaczył, że mantykora patrzy na niego zwężonymi, nieufnymi oczyma. — Od wielu lat?— zapytał. — Jak to jest możliwe? — A może jesteś kapusiem? — Tak, tak, szpiegiem?Właśnie w tej chwili z drugiego końca oddziału dobiegły ich jęki. — Puścić mnie — wył kobiecy głos. — O Jezu, chcę wyjść. Jezus Maria, ja muszę wyjść, puście mnie, o Boże, o Jezu. — Wilk o bardzo lubieżnym wygl ądzie wetkn ął łeb między parawany Saladyna i ponaglił mantykorę do odejścia. — Zaraz tu będ ą strażnicy — zasyczał. — To znowu ona, Szklana Berta.— Szklana. . . ? — zacz ął Saladyn. — Tak, jej skóra zamieniła się w szkło —

wyjaśnił niecierpliwie mantykora, nie wiedz ąc, że w ten sposób urzeczywistnia najgorszy koszmar Czamczy. — I te skurwysyny potłukły szkło na kawałeczki.Teraz nie może nawet pójść do toalety.Nowy głos zasyczał przez zieleń nocy. — Na miłość bosk ą, kobieto. Weź ten pieprzony basen.Wilk już odci ągał mantykorę. — Czy on jest z nami, czy nie? — chciał wiedzieć. Mantykora wzruszył ramionami. — Nie może się zdecydować — odpowiedział. — Nie może uwierzyć własnym oczom, na tym polega jego problem.142

Uciekli, usłyszawszy zbliżaj ące się skrzypienie ciężkich buciorów strażników.

\* \* \*Następnego dnia nie było ani śladu lekarza czy też Pameli i kompletnie oszołomiony Czamcza na przemian budził się i zasypiał, jak gdyby te dwa stany już nie musiały być uważane za przeciwstawne sobie, lecz przepływały przez siebie nawzajem, tworz ąc rodzaj nie kończ ącego się delirium zmysłów. . . Przyłapał się na tym, że śni o Królowej, że kocha się czule z Monarchini ą. Ona była ciałem Brytanii, ucieleśnieniem Państwa, a on j ą wybrał, poł ączył się z ni ą; była jego Ukochan ą, księżycem jego rozkoszy.

Hiacynta przychodziła o wyznaczonych porach, żeby go ujeżdżać i okładać pięściami, i poddawał się temu bez awantur. Ale kiedy skończyła, szepnęła mu do ucha: — Jesteś razem z innymi? — i zrozumiał, że ona uczestniczy w tym wielkim spisku. — Jeżeli ty jesteś — usłyszał siebie mówi ącego — możesz i mnie wł ączyć. — Kiwnęła głow ą, sprawiaj ąc wrażenie zadowolonej. Czamcza poczuł właśnie wypełniaj ące go ciepło i zacz ął się zastanawiać, czy nie uj ąć jednej z bardzo delikatnych, ale jakże silnych małych r ączek fizjoterapeutki; kiedy nagle usłyszał

krzyk dobiegaj ący z tej części sali, gdzie leżał ślepiec: — Moja laska, zgubiłem swoj ą laskę.— Biedny stary pierdziel — powiedziała Hiacynta i zeskoczywszy z Czamczy, popędziła do niewidomego faceta, podniosła leż ąc ą laskę, podała j ą właścicielowi i wróciła do Saladyna. — No — powiedziała — przyjdę jeszcze po południu; okay, poza tym zero problemów?Chciał, żeby została jeszcze chwilę, ale ona powiedziała energicznie: — Jestem bardzo zajęta, panie Czamcza. Tyle rzeczy do zrobienia, tylu ludzi do opo-rz ądzenia.Kiedy odeszła, położył się na plecach i po raz pierwszy od dłuższego czasu uśmiechn ął się. Nie przyszło mu do głowy, że chyba w dalszym ci ągu przechodzi metamorfozę, skoro w rzeczy samej dopuścił do siebie romantyczn ą myśl kr ąż ą-c ą wokół czarnej kobiety; i zanim zd ążył wprawić w ruch takie skomplikowane myśli, ślepiec w s ąsiednim pokoju ponownie zacz ął mówić.— Spostrzegłem cię — usłyszał jego słowa Czamcza — zauważyłem cię i do-ceniam twoje dobre serce i wyrozumiałość. — Saladyn zorientował się, że tamten wygłasza formaln ą mowę dziękczynn ą, kieruj ąc głos do pustego miejsca, w którym, jak s ądził, wci ąż stoi jeszcze fizjoterapeutka. — Nie jestem człowiekiem, który zapomina o przysłudze. Któregoś dnia, być może, będę w stanie spłacić zaci ągnięty dług, a chwilowo, wiedz o tym, że zostało to zauważone, i do tego 143

z serdeczności ą. . . — Czamcza nie miał odwagi, żeby krzykn ąć jej tam nie ma, staruszku, wyszła już jakiś czas temu. Słuchał tego przygnębiony, aż w kortcu nie-widomy zadał powietrzu pytanie: — Mam również nadzieję, że może mnie pani zapamięta. Może choć trochę? Może przy stosownej okazji? — Potem nast ąpiła cisza; krótki urywany śmiech; odgłosy siadania na łóżku, ciężko, nagle. A w końcu, po nieznośnej przerwie, przyziemność: — Och — zawył ten mówi ący do siebie — och, czy ktokolwiek tak cierpiał. . . !D ążymy do gwiazd, lecz zdradza nas nasza natura — rozmyślał Czamcza. —

Każdy z nas jest jak błazen pragn ący korony. Ogarnęło go rozgoryczenie. Kiedyś byłem lżejszy, szczęśliwszy, ciepły. Teraz wody Styksu kr ˛

aż ˛

a w moich żyłach.Wci ąż ani śladu Pameli. Co u diabła. Tej nocy powiedział mantykorze i wil-kowi, że zdecydowanie stoi po ich stronie.

\* \* \*Wielka ucieczka odbyła się kilka dni później, kiedy płuca Saladyna zostały niemal oczyszczone ze śluzu dzięki zabiegom panny Hiacynty Philips. Okazało się to dobrze zorganizowan ą akcj ą na całkiem duż ą skalę, która obejmo wała nie tylko pacjentów sanatorium, lecz również aresztantusów, jak ich nazywał mantykora, przetrzymywanych w Centralnym Areszcie za drucianym płotem nie opodal.

Nie będ ąc jednym z wielkich strategów planuj ących ucieczkę, Czamcza po prostu czekał obok swojego łóżka, tak jak mu polecono, aż Hiacynta przyjdzie go zawiadomić, a następnie wybiegli z tego oddziału koszmarów sennych i znaleźli się pod czystym, oświetlonym zimnym światłem księżyca, niebem, mijaj ąc po drodze kilku zwi ązanych i zakneblowanych mężczyzn; swoich byłych strażników.Przez połyskliw ą noc biegło wiele niewyraźnych, tajemniczych postaci i Czamcza dostrzegł stwory, których nigdy wcześniej nie byłby w stanie sobie wyobrazić, kobiety i mężczyźni, będ ący również częściowo roślinami lub gigantycznymi owadami, a nawet, od czasu do czasu, istoty zbudowane częściowo z cegły lub kamienia; byli tam mężczyźni z rogami nosorożców zamiast nosa i kobiety o szy-jach długich jak u żyrafy. Potwory dobiegły szybko i cicho do granicy Aresztu Centralnego, gdzie mantykora i inne ostrozębne mutanty czekały obok wielkich dziur wygryzionych przez siebie w płocie otaczaj ącym teren, a następnie wyszły na zewn ątrz, już wolne, kieruj ąc się każdy w swoj ą stronę, bez nadziei, ale również bez wstydu. Saladyn Czamcza i Hiacynta Philips biegli ramię w ramię, jego koźle kopyta stukały o twarde chodniki; na wschód powiedziała, mu akurat kiedy usłyszał, że odgłos własnych kroków zastępuje mu dzwonienie w uszach, na wschód na wschód na wschód biegli, wybieraj ąc boczne drogi do Londynu.4

Joshi Jumpy został kochankiem Pameli Czamczy w sposób, jak później sama to określiła, „zupełnie przypadkowy” tego samego wieczora, kiedy dowiedziała się o śmierci swego męża w eksplozji Bustana. Tak wiec głos Saladyna, je-go starszego przyjaciela ze studiów przemawiaj ącego zza grobu w środku nocy i wypowiadaj ącego pięć zagadkowych słów przepraszam, bardzo przepraszam, to pomyłka — a do tego odzywaj ący się w niecałe dwie godziny po tym, jak Jumpy i Pamela utworzyli dwugłow ą bestię dzięki dwóm butelkom whisky — spowodował, że Jumpy znalazł się w kropce. — Kto to był? — Pamela, wci ąż pogr ążona we śnie, z przepask ą zasłaniaj ąc ą oczy, przewróciła się na drugi bok, żeby o to zapytać, a on postanowił odpowiedzieć: — Jakiś wygłup, nie przejmuj się — co było niezłym wyjściem, z tym że został sam z całym zmartwieniem, siedział na łóżku, nagi, i ssał dla otuchy, tak jak to robił całe swoje życie, kciuk prawej dłoni.Był niewielkim mężczyzn ą, którego ramiona przypominały druciany wieszak i który bardzo łatwo się denerwował, czego oznak ą była jego blada twarz z zapad-niętymi oczyma; przerzedzaj ąca się czupryna — wci ąż całkowicie ciemna i kę-dzierzawa, która tak często była wzburzana przez jego szalej ące ręce, że włosy przestały już w ogóle reagować na szczotki i grzebienie, każdy z nich układał się w inn ą stronę, sprawiaj ąc wrażenie, jakby ich właściciel dopiero co wstał, późno i w pośpiechu; jego przymilnie wysoki, nieśmiały i samokrytyczny, zarazem przypominaj ący czkawkę, i nadpobudliwy chichot; wszystko to razem przyczyniło się do zmiany jego imienia Jamshed na Jumpy, którego obecnie wszyscy używali odruchowo, nawet zupełnie nowi znajomi; to jest wszyscy z wyj ątkiem Pameli Czamczy. Żony Saladyna, myślał gor ączkowo, ss ąc gor ączkowo palec. — A mo-że wdowy po nim? — A może, Boże dopomóż mi, żony mimo wszystko. Złapał

się na tym, że czuje urazę do Czamczy. Powrót z wilgotnego grobu: wydarzenie w obecnych czasach tak sceniczne, ze wydawało mu się być nieprzyzwoite niemal jak akt złej woli.Popędził do mieszkania Pameli zaraz po usłyszeniu wiadomości; zastał j ą opanowan ą, bez śladu łez na twarzy. Zaprowadziła go do swojego gabinetu, pokoju miłośniczki nieładu, gdzie na ścianach wisiały akwarele przedstawiaj ące ogrody różane, umieszczone między afiszami z zaciśnięt ą pięści ą i napisami Partido So-cialista, fotografie przyjaciół i grupę afrykańskich masek, i kiedy szedł ostrożnie między leż ącymi na podłodze popielniczkami, egzemplarzami „Voice” i femini-stycznymi powieściami SF, powiedziała apatycznie: — Zdumiewaj ące, że kiedy powiedzieli mi, pomyślałam, cóż, wzruszenie ramion, jego śmierć to naprawdę niewielka strata w moim życiu. — Jumpy, który był bliski łez i pełen wspomnień, stan ął jak wryty i zatrzepotał ramionami, wygl ądaj ąc, w swoim długim, bezkształtnym, czarnym płaszczu i z t ą blad ą przezroczyst ą twarz ą, jak wampir pochwycony przez nieoczekiwane i obrzydliwe światło dnia. I wtedy zobaczył

145

puste butelki po whisky. Według słów Pameli, zaczęła pić kilka godzin wcześniej i zabrała się do tego energicznie, ale i rytmicznie, z poświęceniem godnym długo-dystansowca. Usiadł obok niej na jej miękkiej i niskiej kanapie i zaproponował, że będzie nadawał tempo. — Jak sobie tylko życzysz — powiedziała i podała mu butelkę.Teraz, kiedy siedział na łóżku z kciukiem w ustach zamiast butelki, kiedy tajemnica i kac jednakowo boleśnie łomotały w jego głowie (nigdy nie przepadał za piciem czy za dotrzymywaniem tajemnic), Jumpy czuł, że ponownie łzy staj ą mu w oczach, i postanowił wstać i trochę przejść się po mieszkaniu. Poszedł na górę, do czegoś, co Saladyn upierał się nazywać swoj ą „jaskini ą” a co było dużym pod-daszem ze świetlikami i oknami wychodz ącymi na rozległe komunalne ogrody, usiane zapewniaj ącymi dobre samopoczucie drzewami — dębem, modrzewiem, a nawet nielicznymi wi ązami, którym udało się przetrwać lata zarazy. Najpierw wi ˛

azy, teraz my, rozmyślał Jumpy. Być może, że los tych drzew był ostrzeżeniem.Wzdrygn ął się, żeby odpędzić takie niezdrowe myśli zjawiaj ące się we wczesnych godzinach porannych i przysiadł na krawędzi mahoniowego biurka swojego przyjaciela. Kiedyś na przyjęciu w czasach studenckich usiadł w podobny sposób na stole mokrym od wina i piwa tuż obok zmizerowanej dziewczyny w czarnej ko-ronkowej mini spódniczce, purpurowym boa z piór i z powiekami jak dwa srebrne hełmy, i nie mógł zdobyć się na odwagę, żeby jej powiedzieć cześć. W końcu odwrócił się do niej i wyj ąkał jak ąś banaln ą uwagę, jedn ą czy drug ą; spojrzała na niego z absolutn ą pogard ą i powiedziała, nie poruszaj ąc swoimi na czarno poma-lowanymi wargami, rozmowa skończona, koleś. Bardzo go to wytr ąciło z równowagi, tak bardzo, że wyrzucił z siebie, powiedz mi, dlaczego wszystkie dziewczyny w tym mieście s ˛

a takie nieuprzejme, a ona odpowiedziała od razu, bez namysłu, ponieważ większość chłopaków jest podobna do ciebie. Po kilku chwilach zbliżył

się do nich Czamcza cuchn ący olejkiem paczuli, ubrany w biała kurtę, w oczach wszystkich cholerny filmowy symbol tajemnicy Wschodu i pięć minut później dziewczyna wyszła razem z nim. Ten skurwysyn, myślał dalej Jumpy Joshi, oży-wiaj ąc stare urazy, nie miał za grosz wstydu, był gotów dostarczyć wszystko, co one chciały kupić, to całe czytam-z-twojej-dłoni marynarka do przykrycia Hare-

-Kryszna cnota-dupa, raz się żyje. To zatrzymało go, te ostatnie słowa. Się żyje.Spójrz na to uczciwie, Jamshed, dziewczyny nigdy na ciebie nie leciały, święta prawda, a cała reszta to zazdrość. Cóż, być może tak w połowie przyznał sobie rację, i potem znowu. Może nie żyje, dodał, ale potem znowu, może i żyje.Pokój Czamczy wydał się bezsennemu intruzowi wymyślony, a przez to smut-ny: parodia garderoby aktora pełna fotografii z autografami kolegów, ulotek, programów, oprawionych w ramki fotosów z przedstawień, pochwał, nagród, tomów pamiętników napisanych przez gwiazdy filmowe, standardowy pokój, tyle a tyle za metr kwadratowy, imitacja życia, maska maski. Oryginalne przedmioty na całej powierzchni: popielniczki w kształcie fortepianów, porcelanowe pierroty wygl ą-146

daj ące zza półki z ksi ążkami. I wszędzie, na ścianach, na afiszach filmowych, w poświacie lampy podtrzymywanej przez Erosa z br ązu, w lustrze w kształcie serca, ta przedostaj ąca się przez krwisto-czerwony dywan, czy też kapi ąca z sufitu saladyńska potrzeba miłości. W teatrze każdy otrzyma swoje buziaki i każdy jest kochany. Życie aktora podsuwa, dzień w dzień, pozory miłości; maskę można zadowolić lub przynajmniej pocieszyć j ą echem tego, czego ona sama poszukuje.Ta rozpacz, która w nim tkwiła, Jumpy zorientował się, że za jedno czułe słówko zrobiłby wszystko, włożyłby każdy cholerny kostium błazna, przybrałby dowolny kształt, Saladyn, o którym przecież nie można było powiedzieć, że nie ma powodzenia u kobiet, patrz wyżej. Nieszczęśliwy próżniak. Nawet piękna i inteligentna Pamela nie wystarczała mu.Oczywistym było, że i on coraz mniej jej wystarcza. Gdzieś koło dna drugiej butelki whisky położyła mu głowę na ramieniu i powiedziała bełkotliwym głosem: — Nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga być z kimś, z kim nie musisz walczyć za każdym razem, kiedy wypowiadasz jak ąś opinię. Kimś trochę podobnym do tych cholernych aniołów. — Czekał; po chwili przerwy przyszedł dalszy ci ąg. —

On i ta jego Rodzina Królewska, nie uwierzyłbyś, Krykiet, Izby Parlamentu, Królowa. Ten kraj nigdy nie przestał być dla niego widokówk ą. Nie można go było zmusić do tego, by patrzył na to, co naprawdę autentyczne. — Zamknęła oczy i pozwoliła, by jej ręka przypadkowo spoczęła na jego dłoni. — On był prawdziwym Saladynem — powiedział Jumpy. — Miał za zadanie podbić ziemię święt ą, tę swoj ą Anglię, tę, w któr ą wierzył. I ty byłaś jej części ą. — Odsunęła się od niego i wyci ągnęła na czasopismach i zmiętych kulach wyrzuconego papieru, jeden bałagan. — Jej części ą? Ja byłam t ą cholern ą Brytani ą. Grzane piwo, paszteciki z mięsem, zdrowy rozs ądek i ja. Ja również jestem naprawdę autentyczna ja, J. J.; naprawdę. — Wyci ągnęła do niego ręce, przyci ągnęła go tam, gdzie czekały jej usta, i pocałowała go głośno, zupełnie w niepamelowy sposób. — Rozumiesz, co mam na myśli? — Tak, zrozumiał dobrze.— Szkoda, że nie słyszałeś go, jak mówił o wojnie o Falklandy — powiedziała później, odrywaj ąc się od niego i poprawiaj ąc włosy. — „Pamela, powiedzmy, że usłyszałaś hałas w środku nocy, zeszłaś na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje i zastałaś w salonie potężnego mężczyznę z rewolwerem, który mówi ci, wracaj na górę, co byś zrobiła?” Poszłabym na górę, powiedziałam. „No właśnie, to jest podobne do tej sytuacji. Intruz w domu. Nie można się na to zgodzić.” — Jumpy zauważył, że zacisnęła pięści, aż zbielały kostki. — Powiedziałam, jeżeli już musisz stosować te przeklęte, wygodne metafory, musisz je dobrze rozumieć. To jest podobne do sytuacji, w której dwóch ludzi rości sobie prawa do jednego domu i jeden z nich bezprawnie zajmuje to miejsce, a wtedy ten drugi wpada z rewolwerem. Oto, do czego to jest podobne. — Tak, to naprawdę jest autentyczne. —

Jumpy poważnie skin ął głow ą. — Właśnie — klepnęła go po kolanie. — Tak jest, właśnie, panie Autentyczny Dżem. . . naprawdę tak to wygl ąda, w rzeczy samej.147

Jeszcze drinka.Sięgnęła do magnetofonu i nacisnęła przycisk. Jezu, pomyślał Jumpy, Bo-neyM? Daj mi spokój! Mimo tych wszystkich jej zdecydowanych pogl ądów w sprawach rasowych i zawodowych, lady musi się jeszcze sporo nauczyć o muzyce. Oto pojawiły się, dźwięki bumtararabum. I nagle, bez ostrzeżenia, zacz ął

płakać, pobudzony do prawdziwych łez przez fałszywe uczucie, przez rytmiczno-

-r ąban ą imitację bólu. Był to psalm sto trzydziesty siódmy, „Nad rzekami Babi-lonu”. Król Dawid wołaj ący poprzez wieki. Jakże możemy śpiewać pieśń Pańsk ą w obcej krainie.— Musiałam uczyć się psalmów w szkole — powiedziała Pamela Czamcza, siedz ąc na podłodze, z głow ą wspart ą o kanapę, i mocno zaciskaj ąc oczy. By the river of Babylon, where we sat down, oh oh we wept. . . zatrzymała taśmę, znowu odchyliła się do tyłu, zaczęła recytować. „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica! Niech język mi przyschnie do podniebienia, jeśli nie będę pamiętał o Tobie, jeśli nie postawię Jeruzalem ponad największ ą moj ą radość”.Później zasnęła w łóżku i śniła jej się szkoła zakonna, godzinki i nieszpory, śpiewanie psalmów, i nagle Jumpy wpadł do pokoju i potrz ąsn ął ni ą krzycz ąc: —

Na nic to, muszę ci powiedzieć. On nie zgin ął. Saladyn: on, cholera, żyje.

\* \* \*Przebudziła się od razu, zanurzaj ąc ręce w swoich gęstych, kręconych, farbo-wanych henn ą włosach, w których pojawiały się pierwsze białe kosmyki; uklękła naga na łóżku, z rękoma cały czas we włosach, niezdolna do ruchu, aż Jumpy przestanie mówić, a wtedy, bez ostrzeżenia, zaczęła bić go, uderzaj ąc w pierś, rę-ce i ramiona, i nawet w twarz, tak mocno, jak tylko potrafiła. Usiadł obok niej na łóżku, wygl ądał śmiesznie w jej szlafroku z falbankami, a ona tłukła go; rozluźnił mięśnie, aby przyj ąć uderzenia, aby je znieść. Kiedy wyczerpał się zapas jej sił, cała była pokryta potem, a on podejrzewał, że złamała mu rękę. Usiadła obok niego dysz ąc i zaległa cisza.

Do sypialni wszedł jej pies, wygl ądał na przygnębionego, i przydreptał do niej, podał łapę i polizał w lew ą nogę. Jumpy poruszył się bardzo ostrożnie. —

Myślałem, że go ukradli — powiedział po chwili. Pamela podniosła gwałtownie głowę, żeby tak, ale. — Złodzieje skontaktowali się ze mn ą. Zapłaciłam okup.Obecnie reaguje na imię Glenn. Niech będzie; w końcu nigdy nie mogłam nawet wymówić imienia Szer Khan prawidłowo.Po chwili Jumpiemu wróciła ochota do rozmowy. — To, co zrobiłaś przed chwil ą — zacz ął.148

— Och, Boże.— Nie, w porz ądku. Zachowałem się kiedyś podobnie. Chyba była to najroz-s ądniejsza rzecz, któr ą w życiu zrobiłem. — Latem 1967 roku zmusił „apolitycz-nego” dwudziestoletniego Saladyna, by poszedł z nim na antywojenn ą demonstrację. „Chociaż raz w twoim życiu, Panie Kinol, zamierzam zniżyć cię do mojego poziomu”. Do miasta przyjeżdżał Harold Wilson i w zwi ązku z poparciem rz ą-du labourzystów dla amerykańskiej interwencji w Wietnamie planowano zorga-nizowanie masowego protestu. Czamcza zgodził się, „z ciekawości”, powiedział.„Chcę zobaczyć, jak rzekomo inteligentni ludzie zmieniaj ą się w dziki motłoch”.Tego dnia lało. Demonstranci na Market Square byli kompletnie przemoczeni.Jumpy i Czamcza, porwani przez tłum, znaleźli się w końcu na schodach ratu-sza; efektowny widok z trybun, powiedział Czamcza ironicznie. Obok nich stało dwóch studentów przebranych za rosyjskich zamachowców, w czarnych kapeluszach filcowych, płaszczach i ciemnych okularach, w rękach mieli pudełka po butach pełne pomidorów wypełnionych atramentem, na pudełkach drukowanymi literami, bomby. Na krótko przed przyjazdem premiera jeden z nich klepn ął

policjanta w ramię i powiedział: „Przepraszam. Kiedy pan Wilson, samozwań-czy premier, podjedzie swoim długim samochodem, uprzejma prośba, opuścić szybę w oknie, tak aby mój przyjaciel mógł wrzucić tam bomby”. Policjant odpowiedział, „Ha, ha, szanowny panie. Bardzo dobre. A teraz coś panu powiem.Możecie sobie rzucać w niego jajkami, szanowny panie, nie mam nic przeciwko temu. Możecie sobie rzucać w niego pomidorami, szanowny panie, choćby tymi z atramentem, które ma pan w pudełku z napisem bomby, ponieważ nie mam nic przeciwko temu. Ale spróbuj pan rzucić czymś twardym, szanowny panie, a mój kolega kropnie pana ze swojej spluwy”. O dni niewinności, kiedy świat był jeszcze młody. . . kiedy przyjechał samochód, tłum ruszył i rozdzielił Czamczę i Jumpy’ego. Po jakimś czasie Jumpy pojawił się na masce limuzyny Harolda Wilsona i zacz ął skakać po niej, robi ąc duże wgłębienia, harcuj ąc jak jakiś dzikus w takt okrzyków tłumu: Powalczymy, zwyciężymy, niech tyje Ho Szi Min.— Saladyn zacz ął wrzeszczeć do mnie, żebym schodził, częściowo dlatego, że w tłumie było sporo typów z Oddziału Specjalnego, ale głównie dlatego, że czuł się tak cholernie zażenowany. — Lecz on skakał w dalszym ci ągu, wysoko w górę i mocno w dół, przemoczony do suchej nitki, jego długie włosy powiewa-ły: Skoczny Nerwus wskakiwał do mitologii tamtych antycznych lat. A Wilson i Marcia skulili się ze strachu na tylnym siedzeniu. Ho! Ho! Ho Szi Min! Dosłownie w ostatniej chwili Jumpy wzi ął głęboki oddech i zanurkował w morze mokrych i przyjaznych twarzy; i znikn ął. Nigdy go nie złapali: gliny świniaki plugastwa. —

Saladyn nie rozmawiał ze mn ą przeszło tydzień — przypomniał sobie Jumpy. —

A kiedy się odezwał, powiedział jedynie, „Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że ci gliniarze mogli podziurawić cię jak sito, tylko po prostu nie strzelali”.W dalszym ci ągu siedzieli obok siebie na krawędzi łóżka. Jumpy dotkn ął ra-149

mienia Pameli. — Chcę przez to powiedzieć, że wiem, jakie to uczucie. Buch, bam. Wprost nie do wiary. Czułem, że jest mi to potrzebne.— O, mój Boże — powiedziała, zwracaj ąc się do niego. — O, Boże, tak mi przykro, ale masz rację, potrzebowałam tego.

\* \* \*Rano uzyskanie poł ączenia z liniami lotniczymi zabrało jej godzinę z powodu ilości rozmów zwi ązanych z katastrof ą, a następne dwadzieścia pięć minut ob-stawanie przy swoim — ale przecież to on dzwonił, to był jego głos — a przez cały ten czas na drugim końcu linii kobiecy głos, fachowo przygotowany na takie okoliczności, umiej ący sobie radzić z ludzkim nieszczęściem, rozumiał jej tragedię, ł ączył się z ni ą w tej ciężkiej chwili i był bardzo cierpliwy, ale nie wierzył

ani jednemu słowu. Przykro mi, proszę pani, nie chcę być brutalna, ale samolot rozpadł się w powietrzu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Pod koniec rozmowy Pamela Czamcza, zwykle jedna z najbardziej opanowanych kobiet, która zamykała się w łazience, kiedy chciała płakać, zaczęła wrzeszczeć, na miłość bosk ą, kobieto, czy przymkniesz się z twoimi nędznymi przemówieniami dobrego Samarytanina i wysłuchasz, co mam do powiedzenia? W końcu z trzaskiem odłożyła słuchawkę i naskoczyła na Jumpy Joshiego, który po wyrazie oczu zrozumiał, co się z ni ą dzieje i wylał przyniesion ą kawę, ponieważ ręce i nogi zaczęły trz ąść mu się ze strachu. — Ty pieprzony sraluchu — sklęła go. — On żyje czy nie? Przypuszczam, że sfrun ął na dół z nieba na swoich pieprzonych skrzydłach i pognał wprost do najbliższej budki telefonicznej, żeby ści ągn ąć z siebie ten swój pieprzony strój Supermana i żeby zadzwonić do żonusi. — Byli w kuchni i Jumpy zauważył na ścianie kilka kuchennych noży przyczepionych do taśmy magne-tycznej w pobliżu lewej ręki Pameli. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu. — Wynoś się, zanim coś ci zrobię — powiedziała. — Nie mogę uwierzyć, że tak dałam się nabrać. Ty i te twoje głosy w telefonie: powinnam była, kurwa, wiedzieć.Na pocz ątku lat siedemdziesi ątych Jumpy prowadził objazdow ą dyskotekę w tylnej części swojej żółtej mini-bagażówki. Nazwał to Kciukiem Finna na cześć legendarnego śpi ącego olbrzyma z Irlandii, Finna MacCoola, jeszcze jeden frajer, jak mówił o nim Czamcza. Któregoś dnia Saladyn spłatał figla Jumpy’emu, zadzwonił do niego, nadaj ąc głosowi zbliżony do śródziemnomorskiego akcent, i poprosił w imieniu pani Jacqueline Kennedy Onassis o muzyczny serwis Kciuka na wyspie Skorpios, proponuj ąc honorarium w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów oraz transport do Grecji prywatnym samolotem na sześć osób. Zrobienie 150

takiej strasznej rzeczy Jumpy’emu, tak niewinnemu i prawemu, było czymś po-twornym. — Potrzebuję godzinę do namysłu — powiedział, a następnie rozpętała się w jego duszy śmiertelna udręka. Kiedy godzinę później Saladyn zadzwonił ponownie i usłyszał, że Jumpy odrzuca ofertę pani Onassis z przyczyn politycznych, zrozumiał, że jego przyjaciel przygotowuje się, aby zostać świętym, i że robienie mu kawałów nie ma sensu. — Pani Onassis na pewno pęknie serce z tego powodu.— rzekł, na co Jumpy odpowiedział zmartwiony: — Proszę jej przekazać, że to nie z powodów prywatnych, w rzeczy samej osobiście bardzo j ą podziwiam.Zbyt długo już się wszyscy znamy, pomyślała Pamela, kiedy Jumpy wyszedł.Dwudziestoletnimi wspomnieniami możemy tylko wzajemnie się ranić.

\* \* \*O pomyłkach z głosami rozmyślała po południu, jad ąc o wiele za szybko szos ą M4 swoim starym MG, który był dla niej źródłem przyjemności, w stopniu, jak zwykle radośnie wyznawała, „ideologiczne dość ryzykownym”, — w tej sprawie powinnam być naprawdę bardziej wyrozumiała.

Pamela Czamcza, z domu Lovelace, była właścicielk ą głosu, za który, na wiele sposobów, musiała płacić przez resztę swego życia. Był to głos, na który składały się tkaniny tweedowe, chustki na głowę, letni pudding, kije hokejowe, domy kryte strzech ą, mydło do czyszczenia skóry, domowe przyjęcia, zakonnice, rodzinne ławki kościelne, duże psy i filisterstwo, i pomimo wszystkich jej starań, by zmniejszyć jego siłę, pozostał on tak głośny, jak wysmokingowany pijak rzucaj ący kulkami chleba w Klubie. Tragedi ą jej młodości było to, że dzięki temu głosowi nieustannie nagabywali j ą panowie farmerzy, wsiowi uwodziciele, a także różni ważniacy z miasta, którymi gardziła z całego serca, natomiast zieloni i członkowie ruchów pokojowych, i naprawiacze świata, z którymi instynktownie czuła wspólnotę, traktowali się z podejrzliwości ą granicz ąc ą z niechęci ą. Jak ktoś może stać po stronie aniołów, skoro jego głos za każdym razem, kiedy ta osoba otwiera buzię, brzmi jak głos nie-dobrzaka? Przyspieszaj ąc koło Reading, Pamela zacisnęła zęby. Jednym z powodów, dla których postanowiła, przyznaj to, zakończyć swoje małżeństwo, jeszcze zanim wyręczył j ą los, był fakt, że obudziła się pewnego dnia i zrozumiała, że Czamcza tak właściwie nie j ą kocha, ale ten głos zalatuj ący puddingiem Yorkshire i noszonymi na sercu liśćmi dębowymi Karola II, ten krzepki, rumiany głos starej wymarzonej Anglii, w której tak rozpaczliwie chciał zamieszkać. Było to małżeństwo sprzecznych celów, każde z nich d ążyło właśnie ku tej rzeczy, od której drugie uciekało.Nikt nie przeżył. A w środku nocy Jumpy idiota i jego głupi fałszywy alarm.151

Tak była tym wstrz ąśnięta, że nawet jeszcze nie zd ążyła przeżyć wstrz ąsu z powodu pójścia do łóżka z Jumpym i kochania się z nim w całkiem, przyznaj to, zado-walaj ącym stylu, oszczędź mi tej twojej obojętności, skarciła sam ą siebie, kiedy po raz ostatni miałaś tyle uciechy. Musiała rozwi ązać wiele poważnych problemów i dlatego właśnie była tu, rozwi ązuj ąc je poprzez jak najszybsz ą od nich ucieczkę.Kilka dni folgowania sobie w drogim hotelu poza miastem i świat może znowu zacz ąć się wydawać mniej podobny do pieprzonej otchłani piekieł. Terapia luksusem: wporz ądkuwporz ądku, przyznała się, wiem: powracam do formy. Pierdolę to; zobaczysz, dam sobie radę. A jeżeli masz coś naprzeciw, to wsadź sobie palec w cipę. W dupę. W cipę.Sto mil na godzinę na wysokości Swindon i pogoda zrobiła się paskudna. Nagłe, czarne chmury, piorun, ulewa; trzymała w dalszym ci ągu nogę na gazie. Nikt nie przeżył. Ludzie zawsze zaskakuj ą j ą swoj ą śmierci ą, zostawiaj ąc z ustami pełnymi słów i bez kogokolwiek, przed kim mogłaby się wygadać. Jej ojciec był

humanist ą, który potrafił układać kalambury w grece i po którym odziedziczy-ła ten Głos, spuścizna i przekleństwo; a jej matka, która usychała z tęsknoty za mężem podczas Wojny, kiedy pilotował samolot rozpoznawczy i był zmuszony sto jedenaście razy lecieć do domu z Niemiec powoln ą maszyn ą poprzez noc, rozświetlan ą dla nadci ągaj ących bombowców wystrzelonymi przez niego flarami i która przysięgła, kiedy on wrócił, wci ąż jeszcze maj ąc „pom-pom” w uszach, że go nigdy nie opuści, — tak więc szła za nim wszędzie, w powoln ą pustkę depre-sji, z której tak naprawdę nigdy już nie wyszedł, — i w długi, ponieważ nie miał

odpowiedniej twarzy, by grać w pokera, i roztrwonił jej pieni ądze, kiedy już zabrakło mu własnych, — i ostatecznie na dach wysokiego budynku, gdzie znaleźli ostatecznie swoj ą własn ą drogę. Pamela nie wybaczyła im nigdy, szczególnie te-go, że pozbawili j ą możliwości oznajmienia, że im nie wybacza. Aby się zemścić, ogłosiła, że zrywa z wszystkim, co wi ązało się z nimi. Jej rozum, na przykład: odmówiła pójścia na studia. A ponieważ nie mogła pozbyć się swojego głosu, zmuszała go, by wypowiadał myśli, które jej konserwatywni rodzice-samobójcy obłożyliby kl ątw ą. Wyszła za Hindusa. A ponieważ okazał się zbyt podobny do nich, postanowiła go porzucić. Już postanowiła go porzucić, kiedy ponownie została oszukana przez śmierć.Wyprzedzała konwój ciężarówek z mrożonkami, oślepiona strugami wody wydobywaj ącymi się spod kół, kiedy wjechała w ogromn ą kałużę czekaj ąc ą na ni ą w płytkim wgłębieniu i wówczas MG z przerażaj ąc ą prędkości ą zacz ął ślizgać się po wodzie, zjechał z pasa szybkiego ruchu i obrócił wokół własnej osi tak, że ujrzała reflektory ciężarówki wlepione w ni ą jak oczy anioła śmierci, Azraila.„Kurtyna”, pomyślała; lecz jej wóz skręcił i ześlizn ął się z drogi zbliżaj ącego się molocha, przecinaj ąc wszystkie trzy pasy autostrady, cudem puste, i zatrzymał się z mniej donośnym, niż można było się spodziewać, hukiem na barierce przy krawędzi pobocza, obracaj ąc się o następne sto osiemdziesi ąt stopni, a więc znowu 152

skierowany przodem ku zachodowi, gdzie z banaln ą wręcz zbieżności ą, spotykan ą tylko w prawdziwym życiu, słońce właśnie przebijało się przez burzowe chmury.

\* \* \*To, że wci ąż jest się żywym, stanowi jak ąś rekompensatę za wszystko, czego dot ąd doznało się od życia. Tegoż wieczora, w jadalni wykładanej dębow ą boazeri ą i przybranej średniowiecznymi chor ągwiami, Pamela Czamcza w swojej najbardziej olśniewaj ącej sukni jadła dziczyznę i piła Chateau Talbot przy stole uginaj ącym się pod ciężarem sreber i kryształów, świętuj ąc nowy pocz ątek, ucieczkę ze szponów, rozpoczęcie wszystkiego, aby narodzić się ponownie, musisz najpierw: cóż, o mało co, w każdym razie. Taksowana poż ądliwymi spojrzeniami Amerykanów i handlowców, siedziała i jadła sama, wcześnie udała się na spoczynek do sypialni księżniczki na szklanej górze, tam wzięła k ąpiel, a potem ogl ądała stare filmy w telewizji. W następstwie spotkania ze śmierci ą czuła, jak przeszłość ucieka od niej: wiek dojrzewania na przykład, spędzony pod opiek ą niegodziwego wuja, Harry’ego Highama, który mieszkał w siedemnastowiecznym dworze, niegdyś będ ącym własności ą dalekiego krewnego Matthew Hopkinsa, Głównego Łowczego Czarownic, który dał posiadłości nazwę Czartowisko, niew ątpliwie si-l ąc się na czarny humor. Przypomniała sobie pana sędziego Highama, aby o nim zapomnieć, mamrotała do nieobecnego Jumpy’ego, że ona również ma swój wiet-namski epizod. Po pierwszej dużej demonstracji na Grosvenor Square, podczas której wielu ludzi rzucało szklane kulki pod kopyta szarżuj ących koni policyjnych, miał miejsce jeden jedyny znany prawu brytyjskiemu przypadek uznania kulek do gry za śmiercionośn ą broń i młodzi ludzie byli więzieni, a nawet de-portowani, za ich posiadanie. Sędzi ą, który przewodniczył w rozprawie Kulek z Grosvenor, był tenże sam Henry (później znany jako „Powieś”) Higham, i po-krewieństwo z nim było dodatkowym brzemieniem dla młodej kobiety, i tak już uginaj ącej się pod swoim prawicowym głosem. Teraz w cieple łóżka, w swoim tymczasowym zamku, Pamela Czamcza uwolniła się od tego starego demona, że-gnaj, Powieś, nie mam już dla ciebie czasu; i od duchów swoich rodziców; gotowa na to, aby pozbyć się również tych najnowszych.

S ącz ąc koniak, Pamela ogl ądała wampiry w telewizji i pozwoliła sobie na przyjemność zajęcia się, cóż, sob ą. Czyż to nie ona stworzyła sam ą siebie na swój obraz i podobieństwo? Jam jest, która jest, wzniosła toast na swoj ą cześć i spełniła go kieliszkiem Napoleona. Pracuję w radzie do spraw stosunków społecznych okręgu Brickhall, Londyn, NE1; zastępca kierownika d/s stosunków społecznych i na dodatek cholernie dobra, jakzwykłammówićosobie. Na zdrowie! Wybraliśmy 153

właśnie naszego pierwszego czarnego przewodnicz ącego i przeciw niemu głoso-wali jedynie biali. Chlup w ten głupi dziób! W ostatnim tygodniu ogólnie szano-wany handlarz uliczny, Azjata, w którego obronie stanęli członkowie wszystkich partii w parlamencie, został deportowany po osiemnastoletnim pobycie w Brytanii, ponieważ piętnaście lat temu spóźnił się z wysłaniem jakiegoś tam formularza o czterdzieści osiem godzin. Do dna! W nadchodz ącym tygodniu przed Niższym S ądem w Brickhall policja będzie próbowała zaopatrzyć w odpowiedni wyrok pięćdziesięcioletni ą Nigeryjkę, oskarżaj ąc j ą o naruszenie nietykalności osobistej, uprzednio pobiwszy j ą do utraty przytomności. Skol! To moja głowa; no nie? Oto, co nazywam swoj ą prac ą: walenie głow ą w mur w Brickhall.Saladyn umarł, a ona wci ąż żyje.Wypiła i za to. Czekałam na to, żeby powiedzieć ci o pewnych sprawach, Saladynie. O pewnych wielkich sprawach: o tym nowym biurowcu przy High Street w Brickhall, naprzeciwko McDonalda; — ten wieżowiec zbudowano jako dźwię-koszczelny, ale urzędnikom tam zatrudnionym tak przeszkadzała cisza, że przez głośnik puszczaj ą im delikatny szmer. — Podobałoby ci się to, co? — Aha, i o tej Parsyjce, któr ą znam, na imię jej Bapsy, przez pewien czas mieszkała w Niem-czech i zakochała się w Turku. — Rzecz w tym, że jedynym językiem, w którym mogli się porozumiewać, był niemiecki; Bapsy zapomniała już prawie wszystko, czego się kiedyś nauczyła, a jego niemiecki staje się coraz lepszy; śle jej coraz bardziej romantyczne listy, a ona może mu odpowiedzieć zaledwie dziecięc ą rymowank ą. — Miłość umieraj ąca z powodu nieznajomości języka, co o tym s ądzisz?Umieraj ąca miłość. Oto temat dla nas, co? Saladynie? Co na to powiesz?I kilka małych, malutkich spraweczek. Gdzieś w mojej okolicy grasuje morderca, specjalizuje się w zabijaniu staruszek; więc nie przejmuj się, jestem bezpieczna. O wiele starsze ode mnie.I jeszcze jedna sprawa: odchodzę od ciebie. Koniec. Koniec z nami Nigdy nie wolno mi było zwrócić ci uwagi, nawet najmniejszej. Jeżeli mówiłam, że tyjesz, wrzeszczałeś co najmniej przez godzinę, jak gdyby to mogło zmienić twoje odbicie w lustrze albo to, co mówiły ci twoje przyciasne spodnie.Przerywałeś mi przy innych. Ludzie zauważali, jaki masz do mnie stosunek. Prze-baczyłam ci, to był mój bł ąd; widziałam, co siedziało wewn ątrz ciebie, pytanie tak przerażaj ące, że musiałeś je chronić cał ą pewności ą siebie. To próżnia.Żegnaj, Saladynie. Wychyliła kieliszek do dnia i odstawiła. Powracaj ący deszcz zastukał w jej okna; zaci ągnęła zasłony i zgasiła światło.Leż ąc tak, unosz ąc się w stronę snu, myślała o ostatniej już rzeczy, któr ą musi powiedzieć swojemu świętej pamięci mężowi. — W łóżku — w końcu nadeszły słowa — nigdy nie wydawałeś się specjalnie zainteresowany ani mn ą, ani moimi potrzebami; tym, czego tak bardzo pragnęłam, chociaż czasami. Odkryłam w końcu, kogo potrzebujesz, nie kochanki. Służ ącej. — No, dosyć już. Teraz spoczywaj w pokoju.154

Śniła o nim, jego twarz wypełniała cały sen. — Sprawy zbliżaj ą się ku koń-cowi — powiedział jej. — Ta cywilizacja; coś j ą dławi. Była to całkiem niezła kultura, wspaniała i plugawa, kultura kanibali i chrześcijan, chwała świata. Powinniśmy czcić j ą, dopóki się da; nim zapadnie noc.Nie mogła się z tym zgodzić, nawet we śnie, lecz wiedziała, śni ąc, że teraz nie ma sensu mówić mu o tym.

\* \* \*Po tym jak Pamela Czamcza wyrzuciła go, Jumpy Joshi poszedł do kawiarni pana Sufjana, do Shaandaar Café na High Street w Brickhall i siadł sobie tam, za-stanawiaj ąc się, czy jest głupcem. Było wcześnie rano i kawiarnia świeciła pustka-mi, nie licz ąc otyłej damy kupuj ącej opakowanie pista, barfi i jalebis, kilku samotnych krawców pij ących chaloo chai i starszej Polki pamiętaj ącej te czasy, kiedy Żydzi prowadzili fabryczki żeruj ące na taniej sile roboczej, która siedziała przez cały dzień w rogu nad dwiema jarzynowymi samosas, jedn ą puri i szklank ą mleka, informuj ąc każdego wchodz ącego, że siedzi tu tylko dlatego, że „ta kawiarnia jest tylko trochę gorsza od koszernego lokalu i że dziś trzeba starać się, jak tylko można”. Jumpy usiadł ze swoj ą kaw ą pod tragicznym malowidłem przedstawiaj ącym jak ąś mityczn ą kobietę o kilku głowach i obnażonych piersiach, których sutki zakrywały małe obłoczki, postać była naturalnej wielkości, w kolorach łososiowo-różowym, neonowozielonym i złotym, a ponieważ ruch się jeszcze nie zacz ął, pan Sufjan zauważył, że jego gość jest w złym nastroju, wręcz przygnębiony.

— Hej, święty Jumpy — zawołał głośno — dlaczego przychodzisz do mojego lokalu z zachmurzonym obliczem? Czy nie mamy w tym kraju wystarczaj ąco kiepskiej pogody?Jumpy zaczerwienił się, kiedy Sufjan naskoczył na niego, na głowie miał jak zwykle mał ą biał ą myckę, był bez w ąsów, broda wci ąż ufarbowana czerwon ą henn ą po niedawnej pielgrzymce do Mekki. Muhammad Sufjan był tęgim facetem z wielkim brzuchem i grubymi przedramionami, tak pobożnym i niefanatycz-nym wiernym, że drugiego takiego ze świec ą szukać, i Joshi uważał go za kogoś w rodzaju starszego krewnego. — Słuchaj, Wuju — powiedział, kiedy właściciel kawiarni stan ął nad nim — czy myślisz, że jestem kompletnym idiot ą lub kimś takim?— Czy kiedykolwiek doszedłeś do jakichś pieniędzy? — zapytał Sufjan.— Nie, Wuju, to nie w moim stylu.— Zrobiłeś kiedykolwiek jakiś interes? Import-eksport? Koncesja na sprzedaż alkoholu? Jakiś monopol?155

— Nigdy nie miałem głowy do liczb.— A gdzie twoja rodzina?— Nie mam żadnej rodziny, Wuju. Jestem sam.— Wobec tego musisz się stale modlić do Boga, by cię prowadził w twojej samotności?— Znasz mnie, Wuju. Nie modlę się,— Nie ma w ątpliwości — podsumował Sufjan. — Jesteś jeszcze większym głupcem, niż myślisz.— Dzięki, Wuju — powiedział Jumpy, dopijaj ąc kawę. — Bardzo mi pomo-głeś.Sufjan, wiedz ąc, że afektowane żarty rozwesel ą Jumpy’ego mimo jego niezmiernie smutnej twarzy, zawołał błękitnookiego Azjatę, który właśnie wszedł do sali, ubrany w płaszcz w kratkę z nadzwyczaj szerokimi klapami. — Ty, Hanif Johnson — zawołał — podejdź tu i rozwi ąż tajemnicę. — Johnson, bystry prawnik i miejscowy szczęściarz, który prowadził biuro nad Shaandaar Café, z trudem oderwał się od miłego towarzystwa dwu pięknych córek Sufjana i podszedł do stołu Jumpiego. — Wytłumacz mi, o co chodzi temu kolesiowi — poprosił Sufjan. — Nie mogę tego zrozumieć. Nie pije, pieni ądze traktuje jak zarazę, posiada wszystkiego może ze dwie koszule, żadnego magnetowidu, ma czterdziechę i nie ożenił się, pracuje za psie pieni ądze w centrum sportowym, gdzie uczy sztuk walki i czegoś tam jeszcze, żyje powietrzem, postępuje jak riszi lub pir, ale nie wyznaje religii, nigdzie nie chodzi, ale wygl ąda jakby był posiadaczem jakiejś tajemnicy.Zbierz to do kupy, dodaj swoje wyższe wykształcenie, a rozwi ązanie samo przyjdzie. Hanif Johnson szturchn ął Jumpy’ego w ramię. — On słyszy głosy — powiedział. Sufjan wzniósł ręce do nieba, udaj ąc zdumienie. — Głosy, ojej — baba!Głosy sk ąd? Z telefonu? Z nieba? Z walkmana firmy Sony ukrytego w płaszczu?— Wewnętrzne głosy — powiedział Hanif uroczyście. — Na górze, na jego biurku leży kawałek papieru zapisany kilkoma wersami. A tytuł: „Rzeka Krwi”.Jumpy skoczył na nogi, przewracaj ąc pust ą filiżankę. — Zabiję cię — krzyczał do Hanifa, który uciekał szybko przez salę, wołaj ąc: — Mamy poetę wśród nas, sahibie Sufjan. Odnosić się z szacunkiem. Zachować ostrożność. Twierdzi, że ulica jest rzek ą, a my unosimy się z jej pr ądem; ludzkość jest rzek ą krwi, oto puenta poety. Tak samo jak pojedynczy człowiek — przerwał, żeby przebiec na drug ą stronę dużego stołu, Jumpy ruszył za nim, czerwony ze złości i machaj ący rękoma — bo przecież czy w naszych własnych ciałach nie płynie rzeka krwi? —

Podobnie jak Rzymianinowi, powiedział kiedyś szpiclowaty Enoch Powell, wydaje mi się, że rzeka Tybr spływa krwi ˛

a. Trzeba oswoić tę metaforę, powiedział

do siebie Jumpy Joshi. Przekształcić j ą; zrobić z niej przedmiot, którego można używać. — To jest jak gwałt — błagał Hanifa. — Na miły Bóg, przestań.— Głosy, które słyszymy, s ą na zewn ątrz nas, ale — dumał właściciel kawiarni

— Joanna d’Arc, na. Albo ten jak mu tam, z kotem: Wróć, Whittington. Ale gdy 156

się słyszy takie głosy, człowiek może stać się wielki albo przynajmniej bogaty.Ten tutaj jednak nie jest wielki, a do tego biedny.— Wystarczy. — Jumpy uniósł obie ręce nad głow ą, uśmiechaj ąc się wbrew sobie od ucha do ucha. — Poddaję się.Jeszcze trzy dni później, pomimo wszystkich wysiłków pana Sufjana, pani Sufjan, ich córek: Miszal i Anahity, oraz prawnika Hanifa Johnsona, Jumpy Joshi ci ągle nie mógł przyjść do siebie, — Jest bardziej przygnębiony niż pode-nerwowany — jak to powiedział Sufjan. Niby prowadził normalny tryb życia, pokazywał się w klubach młodzieżowych, biurach spółdzielni filmowej, do której należał, a na ulicach rozdawał ulotki, sprzedawał gazety, tracił czas, nic nie ro-bi ąc; lecz kiedy tak szedł swoj ą drog ą, jego krok był ociężały. I wtedy, czwartego wieczora, za lad ą kawiarni Shaandaar Café rozległ się dźwięk telefonu.— Pan Jamshed Joshi — zaśpiewała radośnie Anahita Sufjan, na swój sposób naśladuj ąc angielski akcent wyższych sfer. — Uprasza się pana, by podszedł do telefonu. Rozmowa osobista.Jej ojciec raz tylko spojrzał na tryskaj ąc ą radości ą twarz Jumpy’ego i powiedział cicho do żony — Pani, głos, który ten chłopak chce usłyszeć, nie jest bynajmniej głosem wewnętrznym, stanowczo nie.

\* \* \*To nieprawdopodobne stworzenie weszło między Pamelę i Jamsheda po siedmiu dniach spędzonych na kochaniu się, co robili z takim niewyczerpanym en-tuzjazmem, nieskończon ą czułości ą i takim szczerym zapałem, że można by pomyśleć, że cał ą tę procedurę dopiero co wymyślono. Przez siedem dni byli nadzy, centralne ogrzewanie wł ączyli na maksa i udawali, że s ą tropikalnymi kochankami w jakimś upalnym miejscu na południu. Jamshed, zawsze niezręczny w postępowaniu z kobietami, powiedział Pameli, że nie czuł się tak wspaniale od dnia swoich osiemnastych urodzin, kiedy to w końcu nauczył się jeździć na rowerze.

Ledwo to wypowiedział, przestraszył się, że wszystko zepsuł, że to porównanie największej miłości jego życia do rozklekotanego roweru ze szkolnych czasów zostanie poczytane za zniewagę, jak ą niew ątpliwie było; ale niepotrzebnie się martwił, ponieważ Pamela pocałowała go w usta i podziękowała mu za wypowiedzenie najpiękniejszych słów, jakie kiedykolwiek jakikolwiek mężczyzna powiedział

jakiejkolwiek kobiecie. W tym momencie zrozumiał, że cokolwiek zrobi, zawsze to będzie dobrze odebrane i po raz pierwszy w życiu zacz ął czuć się autentycznie bezpieczny, bezpieczny jak w domu rodzinnym, bezpieczny jak człowiek, który jest kochany; podobnie było z Pamel ą Czamcza.157

Siódmej nocy wyrwał ich z głębokiego snu niew ątpliwy odgłos włamywania się do domu. — Pod łóżkiem leży kij hokejowy — wyszeptała przerażona Pamela. — Daj mi go — zasyczał Jumpy, który był równie wystraszony. — Idę z tob ą

— zatrzęsła się Pamela, a Jumpy zadrżał: — O nie, zostań tu. — W końcu oboje, skradaj ąc się, zeszli w dół, każde ubrane w falbankowy szlafrok Pameli, każde z ręk ą na kiju hokejowym, którego oboje bali się użyć. A jeśli ten facet ma splu-wę, wyobraziła sobie Pamela, facet ze spluw ą, który mówi, Wracajcie na górę. . .Doszli do końca schodów. Ktoś zapalił światło.Pamela i Jumpy jednocześnie krzyknęli, rzucili kij hokejowy i błyskawicznie pobiegli na górę; natomiast na dole w sieni stało jasno oświetlone światłem przechodz ącym przez szybę w drzwiach frontowych, któr ą wcześniej stłukło, aby otworzyć zamek zatrzaskowy (Pamela w ferworze namiętności zapomniała zamkn ąć na zasuwę) straszydło żywcem wyjęte z koszmarnego snu lub kina nocnego, postać pokryta błotem i lodem, i krwi ą, najbardziej obrośnięty stwór, jakiego kiedykolwiek widzieliście, z nogami i kopytami olbrzymiego kozła, z ludzkim torsem pokrytym koźl ą sierści ą, z ludzkimi ramionami i głow ą, wprawdzie przyozdobion ą dwoma rogami, ale poza tym całkiem ludzk ą, pokryt ą gnojem i bru-dem, i kilkudniowym zarostem. Samotne, przez nikogo nie obserwowane to nieprawdopodobne stworzenie runęło na podłogę i zastygło w bezruchu.Na samej górze, to jest w „jaskini” Saladyna, pani Pamela Czamcza łkała spazmatycznie w ramionach kochanka, rozpaczliwie szlochaj ąc i wrzeszcz ąc wniebogłosy: — To nieprawda. Mój m ąż eksplodował. Nikt nie przeżył. Słyszysz mnie?Jestem wdow ą po Czamczy, który jest przeraźliwie martwy.5

Pana Gibrila Farisztę jad ącego poci ągiem do Londynu na powrót ogarnęło przerażenie, zreszt ą kto by mu nie uległ, że oto Bóg postanowił ukarać go za brak wiary, przyprawiaj ąc o utratę zmysłów. Usiadł przy oknie w pierwszej klasie, w przedziale dla niepal ących, niestety tyłem do kierunku jazdy, ponieważ niestety jakiś facet wcześniej zaj ął miejsce po przeciwnej stronie, i wcisn ąwszy mocniej kapelusz na głowę, siedział z dłońmi głęboko ukrytymi w lamowanej szkarła-tem gabardynie i trz ąsł się ze strachu. Lęk przez postradaniem zmysłów na rzecz czegoś zupełnie paradoksalnego, przed zniszczeniem przez zjawiska, w których istnienie dawno przestał wierzyć, przed przeobrażeniem się jego szaleństwa we wcielenie jakiegoś chimerycznego archanioła, przerażenie to było tak potężne, że nie dało się na nie długo patrzeć; a jednak jak inaczej miał wytłumaczyć te cuda, metamorfozy i zjawy ostatnich dni? „Wybór jest oczywisty — zadygotał cicho na sam ą myśl o tym. — Wariant A — zwariowałem, albo też B, baba, ktoś się zjawił

i zmienił reguły”.Teraz jednak znajdował się w tym dodaj ącym otuchy schronieniu, w przedziale, w którym na szczęście nie było elementu cudowności, oparcia były wystrzę-pione, lampka do czytania nad jego ramieniem nie działała, w ramie brakowało lustra, a do tego przepisy: małe, okr ągłe czamo-białe znaki zakazuj ące palenia, napisy groż ące kar ą za nieuzasadnione użycie hamulca, strzałki oznaczaj ące do jakiego poziomu — ale ani centymetr niżej! — można otworzyć okno. Gibril odwiedził toaletę i tutaj również cały szereg zakazów i nakazów radował jego serce.Kiedy pojawił się konduktor z półokr ągłym, tchn ącym powag ą władzy dziurka-czem do biletów, Gibril zd ążył już cokolwiek uspokoić się, widz ąc te wszystkie dowody istnienia praw, i nabrał otuchy, i zacz ął szukać realnego wytłumaczenia.Szczęśliwie unikn ął śmierci i specyficznych majaków, które potem nast ąpiły, a teraz, kiedy już doszedł do siebie, mógł się spodziewać, że poszczególne w ątki jego dawnego życia — to jest jego dawnego, nowego życia, nowego życia, które planował jeszcze przed t ą, hm, przerw ą — zostan ą ponownie złożone w jedn ą całość.Podczas gdy poci ąg uwoził go coraz dalej od tej sfery mroku, okrywaj ącej jego przybycie, i następuj ącego potem tajemniczego zniewolenia, unosz ąc go wzdłuż radosnej oczywistości równoległych linii z metalu, poczuł, że przyci ąganie wielkiego miasta zaczyna wywierać na niego swój magiczny wpływ, i dar nadziei, który miał uprzednio, powrócił, daj ąc mu możliwość prolongaty starego długu, zamknięcia oczu na trudy przeszłości po to, by mógł spojrzeć w przyszłość. Zerwał się ze swojego miejsca i klapn ął po przeciwnej stronie, z twarz ą symbolicznie zwrócon ą w stronę Londynu, choć oznaczało to rezygnację z miejsca przy oknie.Co go zreszt ą obchodz ą okna? Cały ten Londyn, którego tak pragn ął, był tam, we wnętrzu jego duszy. Wymówił głośno jej imię: — Alleluja.159

— Alleluja, bracie — potwierdził jedyny poza nim pasażer w tym przedziale.— Hosanna, mój dobry panie, i amen.

\* \* \*— Chociaż muszę dodać, proszę pana, że moje przekonania nie mieszcz ą się w ramach żadnej religii czy sekty — kontynuował nieznajomy. — Gdyby pan użył

słowa „Lailaha”, z przyjemności ą odpowiedziałbym panu na cały głos „illa’llah”.Gibril zrozumiał, że to, że się przesiadł oraz nieroztropnie wymówił rzadkie imię Allie, zostało błędnie odebrane przez tamtego jako wstęp do rozmowy zarówno na tematy towarzyskie, jak i religijne. — John Maslama — wrzasn ął facet, wyszarpuj ąc wizytówkę ze swojej aktówki z krokodylej skóry i wciskaj ąc j ą Gibrilowi. — Jeśli o mnie chodzi, jestem wyznawc ą swojego własnego warian-tu, uniwersalnej wiary wynalezionej przez Cesarza Akbara. Bóg, rzekłbym, jest czymś pokrewnym Muzyce Sfer.Było oczywistym, że z pana Maslamy wytryśnie kaskada słów i że teraz, kiedy się ujawnił, nie można zrobić nic innego, jak tylko pozwolić, by ta ulewa wypa-dała się do końca. Ponieważ facet miał budowę zawodowego boksera, było raczej niewskazane, by go denerwować. W jego oczach Fariszta dostrzegł blask Prawdziwego Wiernego, lśnienie, które do niedawna codziennie zauważał przy goleniu w swoim własnym lustrze.— Powiodło mi się w życiu, proszę pana — chełpił się Maslama, doskonale moduluj ąc akcent na oksfordzki. — Jak na kolorowego, wyj ątkowo dobrze, zważywszy na rzeczywiste warunki, w których żyjemy; mam nadzieję, że zgodzisz się ze mn ą. — Oszczędnym, ale wymownym gestem tłustej jak baleron ręki podkreślił bogactwo swojego ubioru: szyty na zamówienie elegancki garnitur w pr ąż-ki, złoty zegarek z dewizk ą, włoskie buty, ozdobnie zawi ązany jedwabny krawat, wysadzane klejnotami spinki przy wykrochmalonych mankietach. Ten kostium angielskiego milorda wieńczyła głowa zdumiewaj ącej wielkości, pokryta gęstymi zaczesanymi do tyłu włosami i wypuszczaj ąca niewiarygodnie bujne brwi, pod którymi płonęły dzikie oczy, które Gibril zd ążył już zauważyć. — Dość wyszukane — przyznał Gibril, bo najwyraźniej domagano się teraz od niego jakiejś reakcji. Maslama kiwn ął głow ą. — Zawsze miałem skłonności — potwierdził —

do stylu kwiecistego.Pierwsze swoje pieni ądze, a właściwe grube pieni ˛

adze — mówi ąc jego słowa-

mi — zrobił na reklamowych wierszykach „tej starej diabelskiej muzyki”, przy-wabiaj ących kobiety do bielizny i szminek, a mężczyzn wodz ących na pokusze-nie. Obecnie był właścicielem sklepów muzycznych w całym mieście, ciesz ącego 160

się powodzeniem klubu nocnego Hot Wax oraz sklepu ze lśni ącymi instrumentami muzycznymi, źródła jego dumy i radości. Był Indianinem z Gujany — lecz nic tam nie zostało w tym kraju, proszę pana. Ludzie uciekaj ą stamt ąd szybciej niż samoloty potrafi ą latać. — Dorobił się błyskawicznie — z łaski Boga Wszechmog ącego. Co niedziela regularnie chodzę do kościoła, proszę pana; przyznaję, mam słabość do Zbioru Hymnów Angielskich i wyśpiewuję pod niebiosa.Autobiografia została zakończona krótk ą wzmiank ą o istnieniu żony i jakiegoś tuzina dziatek. Gibril złożył gratulacje i miał nadzieję na chwilę ciszy, ale Maslama dopiero teraz waln ął z grubej rury. — Nie musi mi pan opowiadać o sobie

— zacz ął jowialnie. — Oczywiście wiem, kim pan jest, nawet jeżeli człowiek nie spodziewa się spotkać tak wybitnej osoby na trasie Eastbourne-Victoria. — Mrugn ął chytrze i położył palec na ustach. — Ani słówka! Szanuję prawo człowieka do prywatnego życia, żadnych pytań o to, żadnych pytań w ogóle.— Ja? Kim ja jestem? — Gibril był niedorzecznie wystraszony. Tamten z powag ą pokiwał głow ą, jego brwi zafalowały jak miękkie rogi jelenia. — Moim zdaniem, pytanie godne nagrody. W dzisiejszych czasach obyczajnemu człowiekowi, proszę pana, nie żyje się łatwo. Jeżeli człowiek nie jest pewny istoty swojego by-tu, sk ąd może wiedzieć, czy jest dobry czy zły? Ale zanudzam pana. Sam sobie odpowiadam na swoje pytania wiar ą w To, proszę pana — tu Maslama wskazał sufit przedziału — a poza tym, pan oczywiście nie ma żadnych w ątpliwości co do własnej tożsamości, ponieważ jest pan tym sławnym, tym, mogę powiedzieć legendarnym panem Gibrilem Fariszt ą, gwiazd ą kina i w coraz większym stopniu, przykro mi to mówić, pirackiego przemysłu wideo; dwanaścioro moich dzieci, jedna żona i ja jesteśmy wszyscy od dawna oddanymi wielbicielami pana boskich, bohaterskich wyczynów. — Pochwycił prawicę Gibrila i potrz ąsn ął ni ą mocno.— Ponieważ skłaniam się ku pogl ądom panteistycznym — grzmiał dalej Maslama — moje zrozumienie dla pana dzieła bierze się st ąd, że chętnie się pan wciela w bóstwa wszelkiego możliwego do pomyślenia autoramentu. Tak, proszę pana, jest pan tęczow ą kolacj ą mieszkańców niebios, chodz ącymi Narodami Zjednoczonymi bogów! Jest pan, krótko mówi ąc, przyszłości ą. Proszę pozwolić oddać sobie honory. — W powietrzu zaczęła roznosić się wyraźna do rozpoznania woń prawdziwego szaleństwa i mimo że Maslama jeszcze nie powiedział, ani nie zrobił niczego, co by wykraczało poza normę, zatrwożony Gibril niespokojnymi zerknięciami mierzył odległość do drzwi. — Skłaniam się, proszę pana — mówił

Maslama — ku opinii, że jakimkolwiek imieniem nazywałoby się To, nie byłoby to niczym więcej jak kodem; szyfrem, panie Fariszta, za którym dopiero ukryte jest prawdziwe imię.Gibril milczał i Maslama, nie próbuj ąc nawet ukryć rozczarowania, czuł się w obowi ązku mówić za niego. — Pyta pan, jak brzmi to prawdziwe imię — i wtedy Gibril zrozumiał, że się nie myli; ten człowiek jest skończonym obł ąkańcem, 161

a jego biografia to prawdopodobnie taki sam czczy wymysł, jak jego „wiara”.Gdziekolwiek się człowiek nie ruszy, wszędzie chodz ą po świecie fikcje, rozmyślał Gibril, fikcje przebrane za prawdziwych ludzi. „To ja go sobie ści ągn ąłem na głowę — oskarżał się — obawiaj ąc się o swoje zdrowe zmysły, przywołałem, Bóg jeden wie, z jakich ciemnych zakamarków, tego gadatliwego i być może niebezpiecznego świra”.— Nic o tym nie wiesz — wrzasn ął nagle Maslama, zrywaj ąc się na nogi. —

Szarlatan! Pozer! Oszust! Twierdzisz, że jesteś kinowym nieśmiertelnym. Wcieleniem stu i jeden bogów, a nie masz o nich najmniejszego pojęcia! Jak to możliwe, że ja, biedny chłopak z Bartica nad rzek ą Essequibo, który coś osi ągn ął, wiem takie rzeczy, natomiast Gibril Fariszta nie wie? Fałszywcze! Tfu!Gibril wstał, ale tamten zajmował prawie cał ą przestrzeń pomiędzy siedzeniami i on, Gibril, musiał uchylić się niezgrabnie, aby unikn ąć młóc ących powietrze r ąk tamtego; jedna z nich straciła kapelusz Fariszty. Maslama natychmiast zastygł

i pozostał tak z otwartymi ustami. Wydawało się, że skurczył się o parę cali, a po kilku nieznośnie długich chwilach opadł na kolana z głuchym odgłosem.Cóż on wyczynia na tej podłodze, zastanawiał się Gibril, podnosi mój kapelusz? Lecz szaleniec błagał o wybaczenie. — Nigdy nie w ątpiłem, że przybędziesz

— mówił. — Wybacz mi mój nietaktowny gniew. — Poci ąg wjechał do tunelu i Gibril zauważył, że otacza ich ciepła złocista poświata, która emanuje zza jego głowy. W szybie drzwi przedziału zobaczył odbicie unosz ącej się nad nim aureoli.Maslama walczył ze swoimi sznurowadłami. — Przez całe życie, proszę pa-na, wiedziałem, że zostałem wybrany — mówił głosem, który teraz był równie pokorny, jak przedtem groźny. — Nawet będ ąc dzieckiem w Bartica, wiedziałem.— Ści ągn ął prawy but i zacz ął zdejmować skarpetkę. — Dano mi — powiedział

— znak. — Skarpetka została zdjęta, ukazuj ąc coś, co wygl ądało na całkiem normaln ą, no może trochę za duż ą, stopę. Wówczas Gibril policzył i znowu policzył, od jednego do sześciu. — To samo druga stopa — powiedział Maslama z dum ą.— Nigdy ani przez chwilę nie w ątpiłem w znaczenie tego. — Był on mianowa-nym przez siebie samego współpracownikiem Pana, szóstym palcem u stopy Najwyższego. Coś jest nie w porz ądku z duchowym życiem planety, myślał Gibril Fariszta. Zbyt wiele diabelstwa w ludziach utrzymuj ących, że wierz ą w Boga.Poci ąg wyjechał z tunelu, Gibril powzi ął decyzję. — Wstań sześciopalcy Joh-nie — zaintonował w doskonały sposób, żywcem wyjęty z jego hinduskich filmów religijnych. — Maslamo, powstań.Tamten wygramolił się z trudem i stan ął z pochylon ą głow ą, nerwowo wyłamuj ąc palce u r ąk. — Chcę wiedzieć, proszę pana — wymamrotał — które z nich to będzie? Unicestwienie czy zbawienie? Dlaczego powróciłeś?Gibril myślał intensywnie. — Aby s ądzić — odpowiedział w końcu. — Fakty musz ą zostać dokładnie zbadane, argumenty za i przeciw rozważone. Cały rodzaj ludzki będzie przedmiotem s ądu, a jest oskarżonym z paskudn ą przeszłości ą: 162

fałszerz historii, nicpoń. Należy przeprowadzić wyważone analizy. Na razie wydanie wyroku odkłada się; zostanie obwieszczony we właściwym czasie. Zanim to nast ąpi, moja obecność musi być utrzymana w tajemnicy, z istotnych względów bezpieczeństwa. — Włożył ponownie kapelusz na głowę, czuł się zadowolony.Maslama kiwn ął gwałtownie głow ą. — Może pan na mnie polegać — obiecał.— Jestem człowiekiem, który szanuje prywatność drugiej osoby. Ani słówka —

po raz drugi!Gibril uciekł z przedziału, a hymny szaleńca ścigały go nieustannie. Kiedy wreszcie dobiegł na sam koniec poci ągu, peany Maslamy już ledwo było słychać. „Alleluja! Alleluja!” Najwidoczniej jego nowy zwolennik zaatakował wy-j ątki z „Mesjasza” Haendla.Jednakowoż nikt nie ścigał Gibrila i na szczęście w tyle poci ągu również znajdował się wagon pierwszej klasy. Nie był podzielony na przedziały, wygodne pomarańczowe fotele ustawiono po cztery wokół stołów i Gibril usiadł przy oknie, wypatruj ąc Londynu z łomotaniem w piersiach, a kapelusz miał mocno wciśnięty na głowę. Próbował pogodzić się z niezaprzeczalnym faktem istnienia aureoli i nie udało mu się to, ponieważ za sob ą miał obł ąkanie Johna Maslamy, a przed sob ą zdenerwowanie Allelui Cone i trudno mu było uporz ądkować myśli. Następnie zauważył z rozpacz ą, że za oknem unosi się na swoim dywanie z Suchary pani Rekha Merchant, najwyraźniej nie zwracaj ąc uwagi na śnieżycę, która rozszalała się tam na zewn ątrz i upodobniała Anglię do obrazu w telewizji po zakończeniu emisji. Pomachała mu i poczuł, że nadzieja z niego uchodzi. Zemsta na lewituj ącym dywaniku: zamkn ął oczy i skoncentrował się na tym, żeby opanować drżenie.

\* \* \*— Wiem, czym jest duch — powiedziała Allie Cone do klasy pełnej nastolatek, których twarze jaśniały od delikatnego wewnętrznego światła uwielbienia.

— W wysokich partiach Himalajów często zdarza się, że alpinistom towarzysz ą duchy tych, którzy zginęli podczas próby zdobycia szczytu, albo też smutniejsze, ale zarazem bardziej dumne duchy tych, którym udało się osi ągn ąć wierzchołek, po to tylko, by stracić życie w drodze powrotnej.Za oknem w parku Fields śnieg osiadał powoli na wysokich nagich drzewach i na trawnikach. Pomiędzy nisko wisz ącymi, ciemnymi śniegowymi chmurami a miastem przykrytym białym dywanem można było dostrzec brudnożółte światło, słabe, zamglone światło, które gasiło porywy serca i odbierało chęć snucia marzeń. Tam w górze, przypomniała sobie Allie, tam w górze na wysokości ośmiu tysięcy metrów światło było tak czyste, że zdawało się dźwięczeć, śpiewać, po-163

dobne muzyce. Tutaj na płaskiej ziemi światło również było płaskie, i przyziem-ne. Tutaj nic nie fruwało w powietrzu, trzcina znikła już z jeziora i umilkły ptaki.Wkrótce zapadanie zmrok.— Pani Cone? — Ręce dziewcz ąt, uniesione w górę, zaci ągnęły j ą z powrotem do klasy. — Duchy, proszę pani? Tam w górze? Pani stroi sobie z nas żarty, no nie? — Pow ątpiewanie na ich twarzach walczyło z uwielbieniem. Znała pytanie, które chciały jej zadać, a które prawdopodobnie nie padnie: pytanie o cud, jakim jest jej skóra Wchodz ąc do klasy, słyszała jak szeptały podniecone, to prawda, zobacz, jaka blada, to niewiarygodne. Alleluja Cone, której lodowatość była w stanie oprzeć się gor ącu słońca na wysokości ośmiu tysi ący metrów. Allie, śnieżna dziewica, królowa lodu. Proszę pani, jak to się dzieje, ze pani nie może się opalić?Kiedy zdobyła Everest z ekspedycj ą Collingwooda, gazety nazywały ich Królewn ą Śnieżk ą i Siedmioma Krasnoludkami, chociaż nie przypominała dziewczyny z filmów Disneya, miała pełne usta blade raczej, a nie czerwone jak maki, włosy śnieżno-blond, nie czarne, oczy wcale nie otwarte szeroko, niewinne, lecz przy-mrużone z przyzwyczajenia, dla ochrony przed blaskiem słońca odbijaj ącym się od śniegu. Wspomnienie o Gibrilu Fariszcie pojawiło się niespodziewanie, zaskakuj ąc j ą: Gibril w pewnej chwili podczas ich wspólnych trzech i pół dni, zagrzmiał, z tym swoim zwykłym brakiem umiaru, „Dziecino, nie jesteś żadn ą gór ą lodow ą, co by tam nie mówili. Jesteś namiętn ą kobiet ą, bibi. Gor ąc ą i ostr ą jak kachori”. Udawał, że dmucha na poparzone koniuszki palców i dla podkreślenia potrz ąsał ręk ą: Och, za gor ˛

ac ˛

a. Och, przynieście wody. Gibril Fariszta. Opanowała się: Hej-ho, do pracy.— Duchy — powtórzyła stanowczo. — W czasie wspinaczki na Everest, po przejściu lodospadu, zobaczyłam mężczyznę siedz ącego w pozycji lotosu na od-słoniętej skale, oczy miał zamknięte, na głowie szkocki beret, zawodził star ą mantrę: „om mani padmé hum”. — Po jego archaicznym ubiorze i dziwnym zachowaniu domyśliła się od razu, że jest to zjawa Maurice’a Wilsona, jogi, który w roku 1943 przygotowywał się do samotnego wejścia na Everest poprzez trzytygodnio-we posty, maj ące mu pomóc w osi ągnięciu tak silnego zespolenia ciała i duszy, że góra będzie za słaba, aby więź tę rozerwać. Poleciał niewielkim samolotem tak wysoko, na ile maszyna mogła się wznieść, i wyl ądował awaryjnie na śnieżnym poletku, rozmyślnie rozbijaj ąc samolot, ruszył w górę i nigdy nie wrócił. Kiedy Allie podeszła bliżej, Wilson otworzył oczy i lekko skin ął głow ą na powitanie.Szedł obok niej przez resztę dnia albo też wisiał w powietrzu, kiedy wspinała się po ścianie. W pewnym momencie klapn ął brzuchem w śnieg na stromym zboczu i zacz ął sun ąć pod górę, jak gdyby wyjeżdżał na niewidzialnym toboganie, wbrew sile grawitacji. Allie uświadomiła sobie, że zachowuje się wobec niego całkiem naturalnie, jak gdyby wpadła przed chwil ą na starego znajomego — później przyczyny tego były dla niej niezrozumiałe.Wilson sporo gawędził, — „Nie narzekam obecnie na nadmiar towarzystwa, 164

ani w tę stronę, ani w tamt ą”, i wyraził między innymi swoje oburzenie z powodu odkrycia jego ciała przez chińsk ą ekspedycję z 1960 roku. — „Ci mali żółci faceci mieli naprawdę tupet, czelność niesamowit ą, żeby filmować moje ciało”.Alleluja Cone była pod wrażeniem jaskrawej, żółto-czarnej szkockiej kraty jego nieskazitelnych pumpów. Wszystko to opowiedziała dziewczynom z Gimnazjum Żeńskiego w Brickhall Fields, które wcześniej napisały do niej tyle listów z prośb ą, by przyjechała do nich z wykładem, że po prostu nie mogła odmówić. „Musi pani”, błagały w listach, „Pani mieszka tuż obok”. Z okna w klasie, patrz ąc ponad parkiem, mogła dostrzec swoje mieszkanie, w tej chwili ledwo widoczne poprzez coraz mocniej sypi ący śnieg.A oto, czego nie powiedziała klasie: jak duch Maurice’a Wilsona opisał jej z najdrobniejszymi szczegółami jego własn ą wspinaczkę, a także odkrycia dokonane po śmierci, na przykład powolny, pokrętny, nieskończenie delikatny i niezmiennie bezproduktywny rytuał kopulacji yeti, którego świadkiem był ostatnio na South Col, — przyszło więc jej na myśl, że spotkanie z duchem ekscentryka z 1934, pierwszej istoty ludzkiej, która próbowała samotnie wejść na Everest i która sama była pewnego rodzaju obrzydliwym człowiekiem śniegu, nie było przypadkiem, ale rodzajem drogowskazu, deklaracj ą pokrewieństwa. Proroctwem, być może, ponieważ właśnie w tamtym momencie narodziło się jej ciche marzenie, ta nieosi ągalna rzecz: marzenie o samotnej wspinaczce. Było również możliwe, że Maurice Wilson był aniołem jej śmierci.— Chcę mówić o duchach — oznajmiła — ponieważ większość alpinistów po zejściu ze szczytu zaczyna odczuwać zażenowanie z tego powodu i nie wspomina o tym w swoich relacjach. Naprawdę istniej ą, muszę to przyj ąć do wiadomości, chociaż jestem realistk ą twardo st ąpaj ąc ą po ziemi.Śmiechu warte. Jej stopy. Nawet przed wypraw ą na Everest odczuwała prze-szywaj ący ból i jej lekarka, doktor Mistry, bardzo konkretna kobieta — zasadnicza kobieta z Bombaju, powiedziała jej, że ma zniekształcone łuki stóp. „W

języku potocznym płaskostopie”. Jej podbicie, zawsze słabe, zostało jeszcze bardziej osłabione przez lata chodzenia w trampkach i innym nieodpowiednim obu-wiu. Doktor Mistry nie mogła zalecić jej nic specjalnego: ćwiczenie zaciskania i wyprostowywania palców u nóg, bieganie boso po schodach, wygodne obuwie.— Jest pani jeszcze młoda — powiedziała. — Jeżeli będzie pani dbała o siebie, będzie pani zdrowa. Jeżeli nie, zostanie pani kalek ą w wieku czterdziestu lat —

Kiedy Gibril — cholera! — dowiedział się, że weszła na Everest pomimo cierni w stopach, zacz ął j ą nazywać swoj ą kurz ą łapk ą. Czytał kiedyś zbiór bajek, w którym znalazł opowiadanie o morskiej kobiecie, która porzuciła ocean i przybrała ludzk ą postać dla ukochanego mężczyzny. Miała teraz stopy zamiast płetw, lecz każdy krok był dla niej śmierteln ą udręk ą, jak gdyby chodziła po potłuczonym szkle; mimo to szła przed siebie, dalej i dalej, w gł ąb l ądu. Zrobiłaś coś takiego dla jakiejś cholernej góry, powiedział. Czy zrobiłabyś to dla mężczyzny?165

Zataiła swoje dolegliwości przed kolegami z ekspedycji, ponieważ czar Everestu był wprost nieodparty. Lecz obecnie ból wcale nie ust ąpił, można by wręcz powiedzieć, nasilał się, jeżeli to w ogóle możliwe. W jej przypadku rolę stopo-kształtka odegrała wrodzona choroba. Koniec przygód, pomyślała Allie; zdradzo-na przez swoje stopy. Obraz celowo zniekształconych stóp wci ąż pozostał przed jej oczyma. Cholerni Chińczycy, zadumała się, powtarzaj ąc za duchem Wilsona.— Życie jest dla niektórych takie łaskawe — płakała kiedyś w ramionach Gibrila Farszity. — Dlaczego ich przeklęte stopy nie nawalaj ą? — Pocałował j ą w czoło. — Być może tobie pisana jest walka — powiedział. — Za bardzo tego pragniesz.Dziewczęta czekały na ni ą coraz bardziej zniecierpliwione t ą cał ą mow ą o duchach. Chciały tej relacji, jej relacji. Chciały stać na szczycie góry. Czy wiecie, jakie to uczucie, chciała je zapytać, kiedy całość waszego życia jest skoncentro-wana do jednej chwili, trwaj ˛

acej kilka godzin? Czy wiecie, jak to jest, kiedy jedyn ˛

a

możliwości ˛

a jest droga w dół? — Byłam w parze z Szerp ą Pemb ą — powiedziała. — Pogoda była świetna, świetna. Powietrze tak przejrzyste, aż czuło się, że można przeszyć wzrokiem całe niebo i spojrzeć we wszystko, co leżało za nim.Pierwsza dwójka najprawdopodobniej już doszła do szczytu, powiedziałam do Pemby. Warunki utrzymuj ą się, możemy ruszać. Pemba bardzo spoważniał, co było nowości ą, jako że był clownem ekspedycji. Także nigdy nie był na szczycie. W tamtej chwili nie miałam najmniejszego zamiaru iść bez tlenu, ale kiedy zobaczyłam, że on zdecydował się na to, pomyślałam sobie, OK, ja również. Był

to niem ądry kaprys, zupełnie szczeniacki, lecz nagle zapragnęłam być kobiet ą, która si ądzie na szczycie tej parszywej góry, istot ą ludzk ą, a nie maszyn ą do od-dychania. Pemba powiedział, Allie Bibi, nie rób tego, ale już ruszyłam. Wkrótce minęliśmy tamtych, schodz ących, i widziałam cudown ą rzecz w ich oczach. Byli tak szczęśliwi, tak triumfowali, że nawet nie zauważyli braku aparatu tlenowego.B ądźcie ostrożni, krzyknęli do nas, uważajcie na anioły. Pemba zacz ął oddychać miarowo, a ja próbowałam naśladować ten rytm, kiedy on wdychał i ja wdycha-łam, kiedy wydychał i ja wydychałam. Czułam, że coś ulatuje z czubka mojej głowy i wyszczerzyłam zęby, po prostu wyszczerzyłam zęby od ucha do ucha, a kiedy Pemba spojrzał w moj ą stronę, zauważyłam, że robi to samo. Wygl ądało to jak jakiś grymas, jak ból, ale to była po prostu głupia radość. — Była kobiet ą, która doszła do tego, co transcendentne, do cudów duszy, dzięki ciężkiej fizycznej pracy — wspinaniu się po skutej lodem skale. — W tym momencie — powiedziała dziewczętom, które razem z ni ą wspinały się, pokonuj ąc każdy krok jej trasy

— uwierzyłam w to wszystko: że świat ma własny głos, że można podnieść zasłonę i zobaczyć twarz Boga, wszystko. Ujrzałam Himalaje rozpościeraj ące się pode mn ą i to także była twarz Boga. Pemba musiał dostrzec coś w wyrazie mojej twarzy, co zaniepokoiło go, ponieważ krzykn ął do mnie, Uważaj, Allie Bibi, kulminacja. Przypominam sobie, że było tak, jakbym przepłynęła nad ostatnim 166

nawisem i dalej w górę, na sam wierzchołek i oto znaleźliśmy się tam, a ziemia opadała w dół, w każdym kierunku. Takie światło; świat tak oczyszczony, że stał się światłem. Chciałam zedrzeć z siebie rzeczy i pozwolić, by przeniknęło przeze mnie. — Nikt w klasie nie zachichotał; wszystkie tańczyły nago na dachu świata. — Wówczas pojawiły się obrazy, tęcze splatały się i tańczyły na niebie, blask spływał jak wodospad ze słońcem, i były tam anioły, tamci nie żartowali.Widziałam je, podobnie zreszt ą jak Szerpa Pemba. Klęczeliśmy już wtedy. Jego źrenice były zupełnie białe, tak jak moje, jestem pewna. Prawdopodobnie umar-libyśmy tam, jestem pewna, oślepieni przez śnieg i otumanieni przez górsk ą eu-forię, ale nagle usłyszałam hałas, głośny i przeraźliwy huk, podoby do strzału. To mnie wyrwało z tego nastroju. Musiałam krzyczeć na Pembę, aż i on otrz ąsn ął się i zaczęliśmy schodzić. Pogoda zmieniła się gwałtownie; nadchodziła zamieć. Powietrze było teraz ciężkie, ciężkość zamiast tego światła, tej światłości. Z trudem dobrnęliśmy do punktu spotkania i cała nasza czwórka wtłoczyła się do małego namiotu w Obozie Szóstym, ponad osiem tysięcy metrów. Niewiele się tam rozmawia. Wszyscy mieliśmy swoje Everesty, na które wspinaliśmy się ponownie, wiele razy w ci ągu nocy. Ale w pewnej chwili zapytałam: „Co to był za hałas?Czy ktoś wystrzelił z rewolweru?” Popatrzyli na mnie jak na wariatkę. Kto zrobiłby tak ą cholern ą głupi ą rzecz na tej wysokości, powiedzieli, a poza tym, Allie, wiesz przecież bardzo dobrze, że nigdzie na tej górze nie ma rewolweru. Mieli rację, oczywiście, ale słyszałam strzał, tego jestem pewna: bam, bam, strzał i echo.I to byłoby na tyle — zakończyła nagle. — Koniec. Historia mojego życia.Chwyciła laskę ze srebn ą r ączk ą i przygotowała się do wyjścia. Nauczyciel-ka, pani Bury, podeszła do niej, aby wygłosić zwykłe w tej sytuacji banały. Ale dziewczęta nie chciały dać się zbyć byle czym. — Więc co to było w takim razie, Allie? — nalegały: a ona, wygl ądaj ąca tak jakby do jej trzydziestu trzech lat nagle przybyło dziesięć, wzruszyła ramionami. — Nie wiem — powiedziała im. —

Może to był duch Maurice’a Wilsona?Wyszła z klasy, wspieraj ąc się mocno na lasce.

\* \* \*Miasto — Ten Właśnie Londyn, jar, wyobraźcie sobie do cholery — spowite było w biał ą szatę jak żałobnik na pogrzebie. — Czyim, cholera, pogrzebie, proszę pana, zapytał sam siebie bliski obłędu Gibril Fariszta, nie moim, mam cholern ˛

a nadzieję i ufam. Kiedy poci ąg wjechał na stację Victoria, Gibril wyskoczył

w biegu, potkn ął się i wyłożył jak długi wprost pod wózki bagażowe i szyderstwa czekaj ących Londyńczyków, trzymaj ąc kurczowo, kiedy padał, swój coraz 167

bardziej sponiewierany kapelusz. Rekhi Marchant nigdzie nie było widać i chc ąc wykorzystać ten moment, Gibril zacz ął biec przez rzedn ący tłum jak opętaniec, po to tylko, by zastać j ą przy barierce biletowej, gdzie cierpliwie unosiła się na swoim dywanie, niewidzialna dla niczyich oczu z wyj ątkiem jego, trzy stopy nad ziemi ą.— Czego chcesz — wybuchn ął — jak ą masz do mnie sprawę? — Zobaczyć twój upadek — odpowiedziała natychmiast — Rozejrzyj się — dodała. — Już teraz udało mi się zrobić z ciebie całkiem niezłego durnia.Ludzie rozstępowali się przed Gibrilem, szaleńcem w przydługim płaszczu i w kapeluszu włóczęgi, ten pan mówi sam do siebie, powiedział jakiś dziecięcy głosik, a mama dziecka wyszeptała ćśśśś, kochanie, nie wolno śmiać się z czyjegoś nieszczęścia. Witamy w Londynie. Gibril Fariszta popędził w stronę schodków prowadz ących do metra. Siedz ąca na swoim dywanie Rekha pozwoliła mu odejść.Lecz kiedy wpadł na peron Linii Victorii w kierunku północnym, zobaczył

j ą znowu. Tym razem była kolorow ą fotografi ą na czterdziestoośmioarkuszowym afiszu reklamuj ącym zalety systemu bezpośrednich międzynarodowych poł ączeń telefonicznych, rozlepionym wzdłuż torów. Wykup miejsce na magiczn ˛

a podróż

do Indii na lataj ˛

acym dywanie, doradzała. Nie potrzeba dżinnów ani czarodziejskich lamp. Krzykn ął głośno, ponownie budz ąc wśród współpasażerów w ątpliwości co do stanu swojego zdrowia psychicznego, i uciekł na peron Unii południowej, przy którym właśnie zatrzymywał się poci ąg. Wskoczył do środka i znalazł

się twarz ą w twarz z Rekh ą, trzymaj ąc ą na kolanach zwinięty dywan. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.Tego dnia Gibril Fariszta uciekał metrem londyńskim we wszystkich możliwych kierunkach i dok ądkolwiek się nie ruszył, Rekha zawsze go odnajdywa-ła; siedziała u jego stóp na niekończ ących się ruchomych schodach przy Oxford Circus, a w niemiłosiernie zatłoczonych windach stacji Tufnell Park ocierała się o niego w sposób, który za życia uważałaby za skandaliczny. Na końcowych odcinkach Linii Metropolitan str ącała zjawy swoich dzieci z drzew o rozcapierzo-nych gałęziach, a kiedy wyszedł na ulicę nie opodal Banku Angielskiego, żeby zaczerpn ąć powietrza, rzuciła się w teatralnym geście ze szczytu frontonu klasy-cystycznego budynku. I mimo że nie miał pojęcia, jaki jest kształt tego najbardziej zmiennego i podobnego kameleonowi miasta, doszedł do przekonania, że nieustannie zmienia ono swoj ą postać w czasie, kiedy przemieszczał się pod jego powierzchni ą, a więc że stacje metra przenosz ą się z jednej linii na drug ą i pojawiaj ą w dowolnej kolejności. Niejeden raz wynurzał się, na wpół uduszony, z tego podziemnego świata, w którym przestały obowi ązywać prawa czasu i przestrzeni i próbował złapać taksówkę; żadna jednak nie chciała się zatrzymać, co zmuszało go do ponownego zanurzania się w piekielnym labiryncie, labiryncie bez wyjścia, i kontynuowania swojej eposu godnej ucieczki. W końcu beznadziejnie zmęczony, uległ nieuchronnej logice własnego obłędu, na którejś z kolei stacji, 168

która jak postanowił, musi być ostatnim z przystanków w jego z góry skazanej na niepowodzenie pogoni za chimer ą. Wyszedł na zewn ątrz i znalazł się na dramatycznie obojętnej ulicy wyściełanej śmieciami, nie opodal ronda, które aż roiło się od ciężarówek. Było już ciemno, kiedy chwiejnym krokiem, przywołuj ąc ostatnie już zapasy optymizmu, wszedł do jakiegoś nieznanego parku, zupełnie upiornego na skutek ektoplazmowego światła lamp sodowych. Klękaj ąc w pustce zimowego wieczoru, zobaczył jak ąś kobiec ą postać sun ąc ą wolno w jego stronę poprzez trawnik okryty całunem śniegu i odgadł, że musi to być jego nemezis, Rekha Merchant, która zbliża się, by złożyć na jego ustach pocałunek śmierci, by wci ągn ąć go w otchłań jeszcze głębsz ą niż ta, w której dokonała dzieła zniszczenia jego ducha. Było mu już wszystko jedno i kiedy kobieta zbliżyła się, zd ążył już opaść na ręce, a na dodatek płaszcz zwisał z niego luźno, co nadawało mu wygl ąd wielkiego umieraj ącego żuka, który z jakichś niezrozumiałych powodów ma na głowie szary brudny kapelusz.Jakby z oddali dobiegł go okrzyk zdziwienia, który wyrwał się z ust kobiety, mieszały się w nim niedowierzanie, radość i dziwna uraza i zanim stracił przytomność, zdołał jeszcze zrozumieć, że Rekha pozwoliła mu, przynajmniej chwilowo, mieć złudzenie, że osi ągn ął bezpieczn ą przystań, by tym słodszy był jej ostateczny triumf.— Żyjesz — powiedziała kobieta, powtarzaj ąc słowa, którymi się kiedyś po raz pierwszy do niego zwróciła. — Odzyskałeś życie. A to przecież najważniejsze.Uśmiechaj ąc się zapadł w sen u płaskich stóp Allie, a śnieg padał, padał.IV

Aisza

Nawet seriale telewizyjne już wyemigrowały; znaj ą to miasto lepiej od niego. W następstwie spotkań z Ros ą i Rekh ą światy marzeń jego drugiego, archanielskiego ja zaczęły wydawać się obecnie tak realne, jak zmieniaj ące się jedna po drugiej rzeczywistości, które on zamieszkuje, kiedy się budzi. Na przykład, pojawia się coś takiego: kamienica czynszowa w holenderskim stylu w dzielnicy Londynu, któr ą później zidentyfikuje jako Kensington, do której to kamienicy marzenie przenosi go z duż ą prędkości ą obok domu towarowego Barkers i małego, szarego budyneczku z podwójnymi oknami w wykuszach, w którym Thackeray pisał swoje „Targowisko próżności” oraz obok placu z klasztorem, do którego zawsze wchodz ą małe dziewczynki w mundurkach, ale nigdy z niego nie wychodz ą, obok domu, gdzie mieszkał pod koniec życia Talleyrand, kiedy po tysi ącu i jednej kameleonowych zmianach zasad przybrał zewnętrzn ą formę ambasadora Fran-cji w Londynie, i wreszcie przybywa on do siedmiopiętrowego narożnego bloku z zielonymi balkonami z kutego żelaza aż do piętra czwartego, a teraz wizja przyspiesza jego podróż w górę wzdłuż wewnętrznej ściany budynku i na czwartym piętrze odsuwa on ciężkie zasłony w oknie salonu, i w końcu siedzi w tym pokoju, nie śpi ąc jak zwykle, szeroko otwarte oczy w przyćmionym żółtym świetle, patrz ąc w przyszłość, brodaty Imam w turbanie.Kim jest? Wygnańcem. Czego nie wolno mylić i co nie może się zlewać z ty-mi wszystkimi innymi określeniami, których ludzie używaj ą tak lekkomyślnie: emigrant, osoba która zrzekła się obywatelstwa, uciekinier, imigrant, cisza, prze-biegłość. Wygnanie jest marzeniem o powrocie w chwale. Wygnanie jest wizj ą rewolucji: Elb ą, a nie Święt ą Helen ą. Jest nieustannym paradoksem: patrzeniem do przodu poprzez stałe patrzenie wstecz. Wygnaniec to piłka rzucona wysoko w gó-rę. Wisi tam, zastygły w czasie, przemieniony w fotografię; wstrzymany ruch, zawieszony nieprawdopodobnie ponad swoj ą rodzinn ą ziemi ą, wygl ąda on tego nieuniknionego momentu, w którym fotografia musi zacz ąć się ruszać, a ziemia zaż ąda swego. O takich sprawach myśli Imam. Jego domem jest wynajęte mieszkanie. Jest ono poczekalni ą, fotografi ą, powietrzem.Gruba tapeta, oliwkowe paski na kremowym tle, nieco tylko wyblakła, a jednak wystarczaj ąco, aby podkreślić żywsze prostok ąty i owale, które zdradzaj ą miejsca, gdzie kiedyś wisiały obrazki. Imam jest wrogiem podobizn, kiedy wprowadził się, obrazy ześliznęły się bezszelestnie ze ścian i wymknęły ukradkiem z pokoju, usuwaj ąc się w ten sposób przed wściekłości ą jego milcz ącej dezaprobaty. Niektórym podobiznom pozwolono jednak zostać. Na obramowaniu kominka trzyma kilka widokówek ze stereotypowymi obrazami rodzinnej miejscowości, która nazywa się po prostu Desz: jakaś góra wznosi się nad miastem; malowni-cza scenka wiejska pod olbrzymim drzewem; meczet. Ale w sypialni, na ścianie naprzeciwko twardego składanego łóżka, na którym sypia, wisi ikona, portret kobiety o nadzwyczajnej sile, słynnej z profilu greckiego pos ągu i czarnych włosów długich do samej ziemi. Potężna kobieta, jego wróg, jego alter ego: trzyma 171

j ą blisko siebie. Podobnie zreszt ą, daleko st ąd, w pałacach swojej wszechwładzy ona będzie trzymać kurczowo jego portret ukryty pod królewskim płaszczem lub schowany w medalionie na szyi. Cesarzowa, a nazywa się — jakżeby inaczej? —

Aisza. Na tej wyspie, Imam-uchodźca, a w kraju, w Desz, Ona. Każde obmyśla śmierć drugiego.Zasłony, gruby, złocisty aksamit, s ą zaci ągnięte przez cały dzień, ponieważ gdyby je odsłonięto, zło mogłoby wkraść się do mieszkania: cudzoziemszczyzna, zagranica, obcy naród. Przykry powód, dla którego on jest tu, a nie Tam, na którym koncentruje wszystkie swoje myśli. W tych rzadkich chwilach, kiedy Imam wychodzi zaczerpn ąć kensingtońskiego powietrza, w samym środku kwadratu utwo-rzonego przez ośmiu młodych mężczyzn w ciemnych okularach i z wybrzusze-niami pod marynarkami, składa przed sob ą ręce i idzie ze wzrokiem utkwionym w ochroniarzy, żeby żaden element czy cz ąstka tego znienawidzonego miasta, —

tego gniazda rozpusty, które poniża go udzielaj ąc mu schronienia, za co musi czuć się zobowi ązany wobec niego pomimo tej poż ądliwości, chęci zysku i próżności,— nie dostał się jak pyłek kurzu do jego oczu. Kiedy zostawi za sob ą to ohydne wygnanie i powróci tryumfalnie do tego innego miasta, pod widokówkow ą górę, będzie mógł z dum ą powiedzieć, że nadal pozostaje w stanie całkowitej niewiedzy o tej Sodomie, w której musiał czekać; nie wiedz ący, a więc nie splamiony, nie zmieniony, czysty.Inn ą przyczyn ą, dla której zasłony pozostaj ą zaci ągnięte, jest oczywiście to, że wokół niego s ą oczy i uszy, ale nie wszystkie przyjazne. Te pomarańczowe budynki nie s ą neutralne. Gdzieś po drugiej stronie ulicy pojawi się teleobiektyw, sprzęt wideo, olbrzymie mikrofony; i zawsze niebezpieczeństwo snajperów. I nad, i pod, i obok Imama znajduj ą się bezpieczne mieszkania zajęte przez jego strażników, którzy przechadzaj ą się po ulicach Kensington przebrani za kobiety w całunach i ze srebrzystymi dziobami; ale nadmiar ostrożności nigdy nie zaszkodzi. Dla wygnańca paranoja jest niezbędnym warunkiem utrzymania się przy życiu.Bajka, któr ą usłyszał z ust jednego ze swoich ulubieńców, amerykańskiego neofity, niegdyś słynnego piosenkarza, znanego obecnie jako Bilal X. W pewnym nocnym klubie, do którego Imam ma zwyczaj wysyłać swoich ludzi, aby przy-słuchiwali się temu, co powiedz ą pewne osoby należ ące do pewnych ugrupowań opozycyjnych, Bilal spotykał młodego człowieka z Desh, również śpiewaj ącego, zaczęli więc rozmawiać. Okazało się, że ten Mahmud jest bardzo przerażo-nym osobnikiem. Ostatnio schronił się u gori, wysokiej kobiety o rudych włosach, i wtedy wyszło na jaw, że poprzednim kochankiem jego kochanej Renaty był emigracyjny szef SAVAK-u, organizacji oprawców podległej szachowi Iranu.Sam Wielki Bonzo numer jeden; nie jakiś tam pomniejszy sadysta z talentem do wyrywania paznokci lub przypalania powiek, ale wielki harem zada we własnej osobie. Dzień po wprowadzeniu się Mahmuda i Renaty do nowego mieszkania Mahmud otrzymał list. W porz ˛

adku, gnoju, posuwasz moj ˛

a kobietę, chciałbym ci

172tylko powiedzieć czołem. Następnego dnia przyszedł kolejny Ust. A propos, kutasie, zapomniałem ci podać, oto twój nowy numer telefonu. Mahmud i Renata zwrócili się wcześniej z prośb ą o numer zastrzeżony, ale jak dot ąd nie otrzymali go jeszcze od przedsiębiorstwa telefonicznego. Kiedy przydzielono ten numer dwa dni później i okazał się identyczny, jak ten otrzymany w liście, Mahmudo-wi natychmiast wypadły wszystkie włosy. Wtedy, widz ąc je leż ące na poduszce, złożył ręce przed Renat ą i błagał: — Dziecino, kocham cię, ale jesteś zbyt gor ąca dla mnie, proszę, odejdź gdzieś, daleko daleko. — Kiedy Imamowi opowiedzia-no tę historię, pokręcił głow ą i powiedział, to dziwka, kto j ą teraz dotknie, mimo że jej ciało wzbudza u mężczyzn poż ądanie? Naznaczyła siebie piętnem gorszym od tr ądu; w ten sposób istoty ludzkie okaleczaj ą same siebie. Ale prawdziwym morałem tej przypowieści jest potrzeba wiecznej czujności. Londyn jest miastem, w którym były szef SAVAK-u miał dojścia w przedsiębiorstwie telefonicznym, a były kucharz Szacha prowadził świetnie prosperuj ąc ą restaurację w Hounslow.Takie gościnne miasto, taka przystań, przyjmuje ludzi wszelkiego pokroju. Koniecznie zaci ągajcie zasłony.W tym domu z okazałymi mieszkaniami piętra od trzeciego do pi ątego s ą chwilowo wszystkim, co Imam posiada. Tu właśnie znajduj ą się pistolety i krót-kofalówki, i pokoje, w których bystrzy młodzi ludzie w garniturach siedz ą i zała-twiaj ąc pilne sprawy mówi ą do kilku słuchawek naraz. Nie widać tu nigdzie alkoholu ani kart do gry czy kości, a jedyn ą kobiet ą jest ta postać wisz ąca na ścianie w sypialni starego człowieka. W tej zastępczej ojczyźnie, któr ą bezsenny święty traktuje jako swoj ą poczekalnię lub strefę eksterytorialn ą, ogrzewanie działa pełn ą par ą dzień i noc, a okna s ą szczelnie zamknięte. Wygnaniec nie może zapomnieć, a więc musi symulować suchy upał w Desz, ziemi przeszłości i przyszłości, gdzie nawet księżyc jest gor ący i apetyczny jak świeżutki, ociekaj ący masłem czapati.O, ty tak wytęskniona części świata, gdzie i słońce, i księżyc s ą rodzaju męskiego, lecz ich gor ące, słodkie światło nosi kobiece imiona. W nocy wygnaniec odsuwa swoje zasłony i obce światło księżyca wchodzi ukradkiem do pokoju, a jego chłód uderza w oczy mężczyzny jak gwoździe. Krzywi się, przymyka powieki.Przyobleczony w luźn ą szatę, niezadowolony, złowieszczy: oto jest Imam.Wygnanie jest krain ą bez duszy. Na wygnaniu meble s ą brzydkie, drogie, wszystkie kupione w tym samym czasie i w tym samym sklepie i z nadmier-nym pośpiechem: błyszcz ące srebrne kanapy z płetwami jak w starych buickach de Soto oldsmobilach, oszklone półki, na których zamiast ksi ążek stoj ą segrega-tory z wycinkami z gazet. Na wygnaniu za każdym odkręceniem kranu w kuchni z prysznica nagle leci wrz ątek, tak więc kiedy Imam zażywa k ąpieli, cała jego świta musi pamiętać, aby nie nalewać wtedy wody do czajnika i nie opłukiwać brudnego talerza, a kiedy Imam idzie do toalety, jego ludzie wyskakuj ą poparze-ni spod prysznica. Na wygnaniu nie gotuje się w ogóle nic: jego straż osobista, chłopcy w ciemnych okularach, id ą do knajpy, by wzi ąć jedzenie na wynos. Na 173

wygnaniu wszelkie próby zapuszczenia korzeni wygl ądaj ą jak zdrada; s ą przyzna-niem się do klęski.Imam jest w samym środku koła.Cały ruch promieniuje od niego na zewn ątrz, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jego syn, Chalid, wchodzi do sanktuarium ojca, nios ąc szklankę z wo-d ą, trzyma j ą praw ą ręk ą, a lewa dłoń jest pod szklank ą. Imam ustawicznie pije wodę, szklankę co pięć minut, aby pozostać czystym; zanim zacznie pić, woda jest czyszczona w amerykańskim aparacie filtracyjnym. Wszystkim młodym ludziom z jego otoczenia znana jest słynna Monografia Imama na temat Wody, której czystość, jak Imam wierzy, udziela się pij ącemu, jej rozcieńczenie i prostota, ascetyczne przyjemności jej smaku. — Cesarzowa — zaznacza — pije wino. —

Burgundy, wina czerwone, wina reńskie — swoje upajaj ące działanie rozkładaj ące ł ącz ą w jej ciele, zarówno pięknym, jak i plugawym. Grzech ten wystarczy, żeby skazać j ą na wieczne potępienie, bez nadziei odkupienia. Obraz na ścianie jego sypialni przedstawia Cesarzow ą Aiszę trzymaj ąc ą w dłoniach ludzk ą czaszkę wypełnion ą ciemnoczerwonym płynem. Cesarzowa pije krew, ale Imam jest człowiekiem wody. „Nie bez powodu narody naszych gor ących krajów okazuj ą jej taki szacunek — głosi Monografia. — Woda daje życie. Żaden cywilizowany osobnik nie może odmówić jej bliźniemu. Staruszka, o nogach nie wiadomo jak sztywnych z powodu artretyzmu, podniesie się od razu i pójdzie do kranu, jeżeli małe dziecko do niej przyjdzie i poprosi, pani, nani. Strzeżcie się wszystkich tych, którzy bluźni ą przeciw wodzie. Kto j ą zanieczyszcza, wyjaławia swoj ą duszę”.Imam często daje upust złości na wspomnienie o nieżyj ącym Aga Khanie; kiedyś pokazano mu tekst wywiadu, w którym zauważono, że głowa Izmailitów pije szampana. Ależ proszę pana, ten szampan jest tylko na pokaz. W chwili, kiedy dotyka moich ust, przemienia się w wodę. Szatan, grzmi Imam. Apostata, bluźnierca, oszust. Kiedy nadejdzie przyszłość, takie indywidua będzie się s ądzić, mówi swoim ludziom. Przyjdzie dzień wody i krew będzie płyn ąć jak wino. Tak wygl ąda cudowna istota przyszłości wygnańców: to, co po raz pierwszy jest wypowiadane w czasach bezsilności w przegrzanym mieszkaniu, staje się przeznaczeniem narodów. Komu nie śnił się ten sen, że na jeden dzień został królem? — Ale Imam marzy o okresie dłuższym niż jeden dzień, czuje emanuj ące z koniuszków palców pajęcze nitki, dzięki którym pokieruje biegiem historii.Nie: nie historii.Jego sen jest snem jeszcze dziwniejszym.174

\* \* \*

Jego syn, nosiwoda Chalid, bije pokłony przed swoim ojcem jak pielgrzym w świ ątyni, informuje go, że na zewn ątrz sanktuarium straż trzyma w tej chwili Salman Farsi. Bilal siedzi przy nadajniku radiowym, transmituj ąc do Desz posłanie na dzisiejszy dzień, na uzgodnionej częstotliwości.Imam jest bryłowat ą cisz ą, bezruchem. Jest żywym kamieniem. Jego olbrzymie sękate ręce, szare jak granit, wspieraj ą się ciężko o poręcze fotela z wysokim oparciem. Jego głowa, zbyt wielka w stosunku do ciała, wspiera się nonszalancko a zarazem ociężale na zdumiewaj ąco chudej szyi, wyzieraj ącej poprzez szaro-

-czarne kosmyki brody. Oczy Imama s ą zamglone; wargi nie poruszaj ą się. Jest sił ą w czystej formie, istot ą żywiołów; porusza się bez ruchu, działa bez jakiegokolwiek działania, mówi bez wydania najmniejszego dźwięku. Jest kuglarzem i historia to jego magiczna sztuczka.Nie, nie historia: coś dziwniejszego.Wyjaśnienie tej zagadkowej łamigłówki można usłyszeć właśnie w tej chwili, na pewnych tajnych falach radiowych, na których głos amerykańskiego neofity, Bilala, śpiewa święt ą pieśń Imama. Muezzin Bilal: jego głos wchodzi do amatorskiego radioaparatu w Kensington, a wychodzi w wyśnionym Desz, przeobrażony w grzmi ące przemówienie samego Imama. Zaczynaj ąc od rytualnych obelg pod adresem Cesarzowej, od długich list jej zbrodni, morderstw, łapówek, jej stosunków seksualnych z jaszczurkami i tak dalej, przechodzi w końcu do tematu, wygłaszaj ąc gromkim głosem conocne wezwanie Imama skierowane do jego ludu, by powstał przeciwko złu, jakim jest jej Państwo. „Zrobimy rewolucję — obwieszcza Imam przez muezzina — która jest buntem nie tylko przeciwko tyranowi, lecz przeciwko historii”. Wszak za Aisz ą kryje się jeszcze inny wróg, a jest nim Historia sama w sobie. Historia jest krwi ą-winem, którego dłużej już nie wolno pić.Historia — trucizna, dzieło i opętanie Diabła, wielkiego Szejtana, to największe z kłamstw — postęp, nauka, prawa — przeciwko którym Imam występuje. Historia jest zejściem ze Ścieżki, wiedza jest ułud ą, ponieważ skarbiec wiedzy zapełnił

się do końca w dniu, w którym Al-Lah zakończył przekazywanie swoich objawień Mahoundowi. „My usuniemy zasłonę historii — głos Bilala przenika w zasłucha-n ą noc — i kiedy to się spełni, ujrzymy Raj w całym jego blasku i chwale”. Imam wybrał Bilala do tego zadania z powodu piękna jego głosu, który w swoim poprzednim wcieleniu zdołał wspi ąć się na Everest listy przebojów, i to nie jeden raz, a tuzin razy, na sam szczyt. Głos jest głęboki i stanowczy, jest to głos na-wykły do posłuchu, dobrze utrzymany, świetnie wyszkolony, głos amerykańskiej pewności siebie, broń Zachodu skierowana przeciwko jej twórcom, których potęga wspiera Cesarzow ą i jej tyranię. Dawniej Bilal protestował przeciwko takiemu 175

opisowi swojego głosu. On również należ ący do uciskanego ludu — tak mówił

— a więc niesprawiedliwości ą jest przyrównywać go do jankeskich imperiali-stów. Imam odparł nie bez łagodności: Bilalu, twoje cierpienie jest również naszym cierpieniem. Ale rozrastanie się władzy w domu oznacza poznanie jej dróg, wchłanianie jej w siebie, i to przez tę sam ą skórę, która jest przyczyn ą twojego ucisku. Przyzwyczajenie, jakie daje potęga, jej barwa głosu, jej postawa, jej sposób odnoszenia się do innych. To jest choroba, Bilal, atakuj ąca wszystkich, którzy podejd ą do niej zbyt blisko. Jeżeli ci potężni podepcz ą cię, zostaniesz zarażony podeszwami ich stóp.Bilal w dalszym ci ągu kieruje swoje słowa w ciemność. „ Śmierć tyranii Cesarzowej Aiszy, kalendarza, Ameryki, czasu! My poszukujemy wieczności, nieskończoności, Boga. Jego niezm ąconych wód, a nie jej płyn ącego wina”. Pal-cie ksi ążki, a zawierzcie Księdze, targajcie papiery na strzępy, a słuchajcie Słowa, tego, które zostało objawione przez Anioła Gibrila Posłańcowi Mahoundowi i rozwinięte przez waszego przewodnika i Imama. „Amen” — powiedział Bilal, kończ ąc pracę tej nocy. Podczas gdy w swoim sanktuarium Imam wysyła własne posłanie: wzywa, wywołuje, archanioła Gibrila.

\* \* \*Widzi sam siebie w marzeniu sennym: żaden z niego anioł, po prostu mężczyzna w normalnym codziennym ubraniu, używanej garderobie, któr ą dostał po Henrym Diamondzie: na zewn ątrz gabardyna i kapelusz filcowy, a pod spodem za duże spodnie przytrzymywane szelkami, rybacki wełniany pulower, obszerna biała koszula. Ten Gibril ze snu, tak podobny do tego na jawie, stoi drż ący w sanktuarium Imama, którego oczy s ą białe jak obłoki.

Gibril mówi zrzędliwie, aby ukryć swój strach.— Dlaczego upierać się przy archaniołach? Tamte czasy, powinieneś wiedzieć, dawno minęły.Imam zamyka oczy, wzdycha. Dywan wyrzuca z siebie długie w ąsy, które owijaj ą się wokół Gibrila, mocno go przytrzymuj ąc.— Nie potrzebujesz mnie — podkreśla Gibril. — Objawienie jest już skończone. Puść mnie

Tamten kręci głow ą i mówi, z t ą drobn ą różnic ą, że jego wargi nie poruszaj ą się, i uszy Gibrila wypełnia głos Bilala, jakkolwiek prelegenta nigdzie nie widać, dziś jest ta noc, mówi głos, i musisz przenieść mnie do Jerozolimy.Wówczas mieszkanie znika i oto staj ą na dachu, obok zbiornika wodnego, ponieważ Imam, kiedy życzy sobie się przenieść, może pozostać w miejscu — poru-176

sza świat wokół siebie. Jego broda powiewa na wietrze. Jest teraz dłuższa; gdyby nie wiatr, który łapie j ą, jak gdyby był to szalik szyfonowy, dotknęłaby ziemi przy jego stopach; ma zaczerwienione oczy, a jego głos unosi się wokół niego na niebie. Zabierz mnie. Gibril spiera się, wydaje się, że możesz to z łatwości ą zrobić sam: lecz Imam, pojedynczym, zdumiewaj ąco błyskawicznym ruchem przerzuca brodę za ramię, podwija swój płaszcz, odsłaniaj ąc dwa cienkie patyki nóg, pokryte monstrualnym włosiem, i skacze wysoko w nocne powietrze, lec ąc robi zwrot i osiada na ramionach Gibrila, trzymaj ąc się go kurczowo pazurami, które zmieniły się w długie kręcone szpony. Gibril czuje, że unosi się w niebo, nios ąc na sobie tego starego żeglarza, Imama, którego włosy staj ą się dłuższe z minuty na minutę, płyn ąc we wszystkich kierunkach, jego brwi powiewaj ą jak proporce na wietrze.Jerozolima, zastanawia się, w któr ą to stronę? — A poza tym, śliskie to słowo, Jerozolima, może być zarówno ide ą, jak i miastem: cel, triumf. Gdzie jest ta Jerozolima Imama? „Upadek wszetecznicy — mówi mu w ucho jakiś głos oderwany od ciała. — Jej koniec, tej babilońskiej kurwy”.Wzlatuj ą w noc. Księżyc nagrzewa się coraz bardziej, zaczyna bulgotać jak ser na rożnie; i on, Gibril, widzi, jak kawałki odpadaj ą od niego od czasu do czasu, księżycowe kapki, które sycz ą i kipi ą na skwiercz ącej blasze nieba. Pod nimi pojawia się ziemia. Nadchodzi wielki upał.Jest to olbrzymia kraina, czerwona, ze spłaszczonymi czubkami drzew. Prze-latuj ą nad górami, których wierzchołki s ą również spłaszczone przez żar; nawet kamienie tutaj s ą płaskie z gor ąca. W końcu s ą przy wysokim wzniesieniu, niemal dokładnie w kształcie stożka, góra również przycupnęła sobie w formie pocztów-ki na gzymsie kominka daleko st ąd; a w jej cieniu miasto, rozci ągnięte jak długie u jej stóp, jakby błagało o coś, a na dolnych skłonach góry, pałac, ten pałac, jej dom: Cesarzowej, któr ą zniszczyły orędzia radiowe. To rewolucja radioamatorów.Gibril, z Imamem ujeżdżaj ącym go jakby był dywanem, obniża się gwałtownie i w parnej nocy zdawać by się mogło, że ulice żyj ą, wij ą się jak węże; natomiast wydaje się, że przed pałacem klęski Cesarzowej wyrasta nowe wzgórze popatrzmy, baba, co tu się dzieje! Głos Imama zawisa w powietrzu: „Zejdź niżej.Pokażę ci Miłość”.S ą już na wysokości dachów, kiedy Gibril zdaje sobie sprawę z tego, że na ulicach jest mrowie ludzi. Istoty ludzkie s ą tak gęsto upakowane na tych wij ących się ścieżkach, że zlewaj ą się w większ ą, bardziej złożon ą całość, nieustępliw ą, wężow ą. Ludzie poruszaj ą się wolno, id ą równym krokiem, bocznymi ulicami do zaułków, zaułkami do ważniejszych ulic, ważniejszymi ulicami na gościńce, z których wszystkie d ąż ą do wielkiej alei, dwunastopasmowej, z olbrzymimi eu-kaliptusami po bokach; a ta prowadzi do bram pałacowych. Wielka aleja jest wy-pełniona ludźmi, to centralny organ nowej, wielogłowej istoty. Po siedemdziesi ąt osób w szeregu, ludzie id ą pełni powagi w kierunku bram Cesarzowej, przed którymi czeka w trzech szeregach jej gwardia pałacowa, leż ąc, klęcz ąc, stoj ąc, z ka-177

rabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Ludzie podchodz ą w górę zbocza ku karabinom; siedemdziesięciu za jednym razem, znajduj ą się w zasięgu broni; karabiny szemrz ą i ci umieraj ą, a dalej następna siedemdziesi ątka przechodzi nad ciałami poległych, karabiny chichocz ą ponownie i wzgórze umarłych staje się coraz wyższe. Teraz kolej na następnych, którzy zaczynaj ą swoj ą wspinaczkę.W ciemnych drzwiach domostw miasta matki z zakrytymi twarzami pchaj ą swoich ukochanych synów, by doł ączyli do pochodu, idź, zostań męczennikiem, zrób to, co powinno się zrobić, umrzyj. — Widzisz, jak mnie kochaj ą — mówi głos bez ciała. — Żadna tyrania na świecie nie oprze się potędze tej wolno id ącej miłości.— To nie jest miłość — odpowiada, płacz ąc. Gibril. — To nienawiść. Cesarzowa pchnęła ich w twoje objęcia, — Wyjaśnienie to brzmi nieprzekonywaj ąco, powierzchownie.— Oni mnie kochaj ą — mówi głos Imama — ponieważ ja jestem wod ą. Ja jestem płodności ą, a ona jest rozkładem. Kochaj ą mnie za ten mój zwyczaj rozbi-jania zegarów. Istoty ludzkie, które odwracaj ą się od Boga, trac ą miłość i pewność, a także poczucie Jego nieograniczonego czasu, który zawiera w sobie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nie kończ ący się czas, który nie odczuwa żadnej potrzeby ruchu. Tęsknimy za czymś wiecznym, a ja jestem wieczności ą. Ona jest niczym: tik-lub-tak. Patrzy codziennie w swoje lustro i jest przerażona pojęciem wieku, przemijania czasu. Tak więc jest więźniem swojej własnej natury, ona, również, jest w okowach Czasu. Po rewolucji nie będzie żadnych zegarów; zmiaż-dżymy je. Słowo zegar zostanie wymazane z naszych słowników. Po rewolucji nie będzie żadnych urodzin. My wszyscy urodzimy się na nowo. Wszyscy w oczach Wszechmog ącego Boga będziemy w tym samym, nie zmieniaj ącym się wieku.Przestaje mówić, teraz, ponieważ poniżej nadchodzi wielka chwila: ludzie doszli do karabinów, które z kolei zostaj ą uciszone, gdy nie kończ ący się w ąż ludzki, gigantyczny pyton powstały z mas, chwyta członków gwardii w pół, dusi ich i ucisza śmiertelne gdakanie broni. Imam wzdycha ciężko. — Zrobione.Światła pałacu gasn ą, kiedy ludzie zaczynaj ą iść w tamt ą stronę, tym samym miarowym krokiem co poprzednio. Wtem, gdzieś z czeluści pogr ążonego w ciemnościach pałacu, podnosi się szkaradny dźwięk, pocz ątkowo jako wysoki, cienki, przenikliwy jęk, który następnie obniża ton i przechodzi w wycie, zawodzenie na tyle głośne, by swoj ą wściekłości ą zapełnić każd ą kryjówkę w mieście. Następnie złocista kopuła pałacu otwiera się, pękaj ąc zupełnie jak skorupka jajka, i wylatuje z niej, połyskuj ąc swoj ą czerni ą, mityczna zjawa o olbrzymich czarnych skrzydłach, jej włosy powiewaj ą luźno na wietrze, tak długie i czarne, jak długie i białe s ą włosy Imama: Al-Lat, pojmuje Gibril, eksploduj ąca ze skorupy Aiszy.— Zabij j ą — rozkazuje Imam.Gibril stawia go na głównym balkonie pałacu. Ramiona Imama wyci ągnięte, aby obj ąć radość ludzi, która głuszy nawet wycie bogini i unosi się pod niebiosa jak pieśń. I wtedy coś pcha go do góry, nie ma wyboru, jest marionetk ą wyrusza-178

j ąc ą na wojnę; a ona, widz ąc, że się zbliża, odwraca się, gotuje do skoku w powietrzu i jęcz ąc przeraźliwie, spada na niego z całej siły. Gibril jest świadom, że Imam, prowadz ąc wojnę, jak zwykle rękoma swoich zastępców, poświęci go równie chętnie, jak poświęcił to wzgórze ciał przy bramie pałacowej, rozumie, że jest kamikadze w służbie sprawy, sprawy duchownego. Jestem słaby, myśli, nie jestem dla niej godnym przeciwnikiem, ale i ona została poważnie osłabiona przez porażkę, któr ą poniosła. Siła Imama porusza Gibrila, wkłada mu pioruny w dłonie i rozpoczyna się bitwa; ciska świetlistymi włóczniami w jej stopy, a ona zatapia komety w jego podbrzuszu, zabijemy się nawzajem, myśli, umrzemy i w przestrzeni kosmicznej pojawi ˛

a się dwie nowe konstelacje: Al-Lat i Gibril. Podobni do wyczerpanych wojowników na zasłanym trupami polu, słaniaj ą się na nogach i rozdaj ą ciosy dookoła. Oboje szybko trac ą siły.Ona pada.Runęła w dół, Al-Lat królowa nocy; uderza głow ą w ziemię, rozbijaj ąc j ą na kawałki; i oto leży, bezgłowy czarny anioł, z wyszarpanymi skrzydłami, obok furt-ki w bramie prowadz ącej do pałacowych ogrodów, żałośnie zmiażdżony stos. —

A Gibril, z odraz ą odwracaj ąc od niej oczy, widzi, jak Imam staje się monstrualnie wielki, leż ąc na pałacowym podwórcu tuż przy bramie, ma szeroko otwarte usta; kiedy ludzie maszeruj ą przez bramy, połyka ich w całości.Ciało Al-Lat kurczy się na trawie, zostaje po nim tylko ciemna plama; i w tym momencie wszystkie zegary w stołecznym mieście Desz zaczynaj ą dzwonić, i wy-biwszy dwunast ą, dzwoni ą dalej bez końca, dwadzieścia cztery, tysi ąc jeden i dalej, ogłaszaj ąc koniec Czasu, godzinę, której nie da się określić, godzinę powrotu wygnańca, zwycięstwa wody nad winem, pocz ątek Nieczasu Imama.

\* \* \*Kiedy nocna opowieść zmienia się, kiedy, bez ostrzeżenia, bieg wydarzeń w Dżahilijji i Jasrib musi ust ąpić miejsca walce Imama i Cesarzowej, Gibril przez krótk ą chwilę ma nadzieję, że jego kl ątwa już minęła, że jego marzenia senne powróciły już do zupełnej ekscentryczności normalnego życia; ale wówczas, wraz z now ą opowieści ą, wpada w stary schemat, podejmuj ąc w ątek dokładnie tam, gdzie został on przerwany, i ponownie pojawia się obraz jego własnej osoby, przemienia się w zst ąpienie archanioła, po raz kolejny, więc jego nadzieja umiera —

on sam znowu poddaje się nieubłaganemu. Sytuacja doszła do tego punktu, gdzie niektóre z jego nocnych sag wydaj ą się być bardziej znośne niż inne i po apo-kalipsie Imama czuje się niemal zadowolony, że oto znów rozpoczyna się kolejne opowiadanie, rozszerzaj ąc tym samym jego wewnętrzny repertuar, ponieważ 179

w ten sposób przynajmniej ono sugeruje, że bóstwo, które on, Gibril, bezskutecznie próbował zabić, może równie dobrze być bogiem miłości, jak i zemsty, potęgi, obowi ązków, reguł i nienawiści; jest to również opowieść nostalgiczna o utraconej ojczyźnie; sprawiaj ąca wrażenie powrotu do przeszłości. . . cóż to za opowiadanie? Właśnie się zaczyna. Ale zacznijmy od pocz ątku: Rankiem w dniu swoich czterdziestych urodzin, w pokoju pełnym motyli, Mirza Sajid Achtar patrzył na swoj ą śpi ąc ą żonę. . .

\* \* \*Tego fatalnego ranka w dniu swoich czterdziestych urodzin, w pokoju, w którym roiło się od motyli, zamindar Mirza Sajid Achtar czuwał przy swojej śpi ącej żonie, a jego serce kipiało nadmiarem miłości. Przynajmniej dzisiaj obudził się wcześnie i wstał przed świtem, wci ąż maj ąc w pamięci zły sen, z powodu którego czuł gorycz w ustach, jego powracaj ący sen o końcu świata, w którym niezmiennie był winien tej katastrofy. Poprzedniego wieczoru czytał Nietzschego — „bezlitosny koniec tego małego, nadmiernie rozprzestrzenionego gatunku zwanego Człowiekiem” — i zasn ął z otwart ą ksi ążk ą na piersiach. Kiedy obudził się w chłodnym, ciemnym pokoju, świadomy szelestu motylich skrzydeł, był zły na siebie za tak nierozs ądny wybór lektury do poduszki. Teraz jednak otrz ąsn ął się już z resz-tek snu. Wstawszy cicho z łóżka, wsun ął stopy w czappale i przeszedł powoli wzdłuż kilku werand wielkiego budynku, pogr ążonych wci ąż w ciemności dzięki opuszczonym roletom, a motyle unosiły się za nim jak dworzanie, to w górę, to w dół. Gdzieś w oddali ktoś grał na flecie. Mirza Sajid podniósł rolety i zamoco-wał ich sznury. Ogrody zasnuwała głęboka mgła, w której wirowały obłoki motyli, mgła przenikaj ąca mgłę. Ten odległy region zawsze słyn ął z łuskoskrzydłych, z tych nadprzyrodzonych eskadr, które wypełniały powietrze dniem i noc ą, motyli z talentem kameleonów, których skrzydła zmieniały swój kolor w zależności od tego, czy siedziały na cynobrowych kwiatach, ochrowych zasłonach, pucharach z obsydianu czy bursztynowych pierścieniach. W rezydencji zamindara, a także w pobliskiej wiosce, ten motyli cud stał się już tak znany, że w końcu zacz ął wydawać się czymś nieświętym, banalnym, w rzeczywistości powróciły dopiero przed dziewiętnastu laty, jak przypominaj ą sobie służ ące. Niegdyś były dobrze znanymi duchami, przynajmniej tak utrzymuje legenda o miejscowej świętej, świ ątobliwej kobiecie znanej po prostu jako Bibidżi, która dożyła dwustu czterdziestu dwóch lat i której grób, przynajmniej wtedy jeszcze pamiętano, gdzie się znajdował, miał

właściwość leczenia impotencji i brodawek. Od czasu śmierci Bibidżi sto dwadzieścia lat temu motyle zniknęły w tym samym królestwie legend, co i sama 180

Bibidżi, tak więc ich powrót, dokładnie sto jeden lat po zniknięciu, pocz ątkowo wygl ądał jak zapowiedź jakiegoś cudownego wydarzenia, które wkrótce miało się urzeczywistnić. Po śmierci Bibidżi — należy dodać — wiosce nadal powodziło się dobrze, zbiory ziemniaków pozostały obfite, lecz w wielu sercach pojawiła się jakaś pustka, mimo że późniejsi mieszkańcy nie mogli już pamiętać czasów dawnej świętej. Tak więc powrót motyli podniósł wielu na duchu, kiedy jednak spodziewane cuda jakoś się nie ziściły, miejscowi wieśniacy powpadali z powrotem w rutynę szarego życia. Nazwa rezydencji zamindara, Peristan, podobnie jak nazwa wioski Titlipur, na pewno wywodzi się od czarodziejskich skrzydełek tych magicznych stworzeń. Ale nazwy, skoro już wejd ą w powszechne użycie, szybko staj ą się tylko pustymi dźwiękami, a ich etymologię pokrywa, podobnie jak wiele cudów tego świata, kurz przyzwyczajenia. Ludzie mieszkaj ący w Titlipur oraz jego motyle hordy ocierali się o siebie z pewnym rodzajem wzajemnej pogardy.Wieśniacy i rodzina przewielebnego dawno już porzucili próby przegnania motyli ze swoich domów, nic więc dziwnego, że kiedy tylko otwierano jak ąś skrzynię, zwykle wylatywała z niej chmara skrzydeł zupełnie jak zawartość puszki Pandory, zmieniaj ąc kolor z każdym ruchem; motyle były zamknięte wieczkami puzderek z kosmetykami na toaletkach Peristanu, w każdej szafie i pomiędzy stronami ksi ążek. Po przebudzeniu znajdowano motyle drzemi ące na policzkach.Codzienność staje się w końcu niewidzialna i Mirza Sajid przez wiele lat nie zauważał motyli. Jednak wczesnym rankiem w dniu czterdziestych urodzin, kiedy tylko pierwsze światło świtu musnęło dom, a motyle natychmiast zaczęły iskrzyć się i jarzyć, piękno tej chwili zaparło mu dech w piersiach. Pospieszył do sypialni, w skrzydle zenany, gdzie spała jego żona, Miszal, zasłonięta moskitier ą. Czarodziejskie motyle odpoczywały na palcach jej stóp, a i jakiś moskit najwyraźniej w sobie tylko znany sposób przedostał się do środka, gdyż wzdłuż uniesionej linii jej obojczyka biegła ścieżka drobnych ukłuć. Chciał podnieść moskitierę, wpełzn ąć do środka i scałować ślady uk ąszeń. Jakżeż były zaognione! Jak bardzo będ ą j ą swędzieć, kiedy się przebudzi! Powstrzymał się jednak, wol ąc podziwiać niewinność jej śpi ącego ciała. Miała miękkie kasztanowe włosy, biał ą skórę, a jej oczy pod zamkniętymi powiekami były jedwabistoszare. Jej ojciec sprawował funkcję dyrektora banku państwowego, trudno więc było Mirzie oprzeć się tak świetnej partii, umówionej transakcji ślubnej, która odświeżyła maj ątek jego starodawnej wymieraj ącej rodziny. Z czasem ich małżeństwo dojrzało i stało się zwi ązkiem opartym na prawdziwej miłości, mimo że nie udało im się mieć dzieci. Mirza Sajjid patrzył wzruszony na śpi ąc ą Miszal, odpędzaj ąc od siebie resztki nocnej zmory. „Jakże ten świat może być zgubiony — z zadowoleniem przekonywał sam siebie — skoro ukazuje nam takie przejawy doskonałości jak dzisiejszy cudowny świt?”Pod ążaj ąc śladem tych szczęśliwych myśli, po cichu wygłosił przemówienie do śpi ącej żony. — Miszal, mam czterdzieści lat, a zadowolony jestem jak czter-181

dziestodniowe niemowlę. Widzę teraz, że z biegiem lat coraz bardziej zanurza-łem się w naszej miłości i teraz pływam, do ryby podobny, w tym morzu pełnym ciepła. — Jak wiele ona mu dała, nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo on jej potrzebuje! Ich małżeństwo wykroczyło poza zwyczajn ą zmysłowość, stworzyło więź tak intymn ą, że jakakolwiek rozł ąka była nie do pomyślenia. — Starzenie się u twojego boku — powiedział jej, wci ąż pogr ążnej we śnie — będzie, Miszal, prawdziwym zaszczytem. — Pozwolił sobie na sentymentalny gest przesłania pocałunku w jej stronę, a następnie wyszedł na palcach z pokoju. Kiedy znalazł

się ponownie na głównej werandzie swojego prywatnego mieszkania na piętrze budynku, zapatrzył się w ogrody, które zaczęły się właśnie wyłaniać z porannej mgły, i ujrzał widok, który odbierze mu spokój ducha na zawsze, niszcz ąc go do końca i to w tej samej chwili, kiedy był pewien, że jest niewrażliwy na ciosy losu.Na trawniku przykucnęła młoda kobieta, z wysunięt ą przed siebie lew ą dłoni ą.Motyle sadowiły się na niej, a ona chwytała je praw ą ręk ą i wkładała do ust Wolno, metodycznie, spożywała śniadanie składaj ące się z uległych skrzydeł.Jej wargi, policzki, podbródek były mocno zabrudzone wieloma kolorami skradzionymi z umieraj ących motyli.Kiedy Mirza Sajjid Achtar zobaczył młod ą kobietę jedz ąc ą swoje pajęcze śniadanie na jego trawniku, poczuł przypływ ż ądzy tak potężny, że natychmiast się tego zawstydził. „Tak nie może być — zbeształ się w myślach. — Ostatecznie nie jestem zwierzęciem”. Młoda kobieta miała na sobie szafranowożółte sari owinięte zwyczajem biednych niewiast tego regionu wokół nagiego ciała i kiedy pochylała się nad motylami, sari wystawiało drobne piersi na spojrzenia oniemiałego zamindara.Mirza Sajid wyci ągn ął ręce, by mocno uchwycić poręcz balkonu, i lekkie poruszenie jego białej kurty musiało zwrócić uwagę dziewczyny, ponieważ szybko uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.I nie spuściła ich tak od razu. Nie wstała też i nie uciekła, czego niemal oczekiwał.Oto, co zrobiła: poczekała kilka sekund, jak gdyby chciała upewnić się, czy nie ma zamiaru odezwać się do niej. Kiedy nic nie powiedział, po prostu dalej jadła swój dziwny posiłek, nie spuszczaj ąc z Mirzy wzroku. Najdziwniejsze było to, że motyle sprawiały wrażenie, jakby jakimś lejem spadały w dół z rozjaśniaj ącego się powietrza i chętnie przesuwały się ku jej wyci ągniętym dłoniom i ku własnej śmierci. Chwytała je za koniuszki skrzydeł, odrzucała głowę do tyłu i wci ąga-ła je do ust końcem w ąskiego języka. W pewnym momencie nie zamknęła ust, jej ciemne wargi rozchyliły się wyzywaj ąco i Mirza Sajjid z drżeniem zobaczył, że wewn ątrz tej ciemnej jamy śmierci trzepocze motyl, który jednak nie próbuje uciekać. Kiedy upewniła się, że widzi to, zamknęła usta i zaczęła żuć. Pozostali w tej pozycji, chłopka na dole, właściciel ziemski na górze, aż niespodziewanie wywróciła oczyma i ciężko upadła na lewy bok, wij ąc się w drgawkach.182

Po kilku sekundach panicznego osłupienia krzykn ął: — Hej, dom! Hej, obudź

się, ratunku! — W tym samym czasie pobiegł ku majestatycznym, mahoniowym, angielskim schodom sprowadzonym tutaj z jakiegoś nieprawdopodobnego War-wickshire, jakiegoś urojonego miejsca, gdzie, w jakimś wilgotnym i ciemnym klasztorze, Król Karol I wszedł raz po tychże schodach, zanim jeszcze stracił głowę, w siedemnastym wieku według innej rachuby czasu. Tymi schodami Mirza Sajjid Achtar pognał w dół, ostatni z rodu, i kiedy mkn ął w stronę trawnika, deptał

po upiornych śladach oddzielonych od głowy stóp.Dziewczyna trwała w konwulsjach, a tarzaj ąc się i kopi ąc gwałtownie, przygniatała sob ą motyle. Mirza Sajjid dobiegł do niej pierwszy, chociaż służ ący i Miszal, zbudzeni jego krzykiem, biegli tuż za nim. Uchwycił szczękę dziewczyny i otworzył j ą sił ą, wtykaj ąc między zęby jakiś patyk podniesiony z trawy, który przegryzła od razu na pół. Krew kapała z jej ust i wystraszył się o jej język, lecz akurat w tym momencie atak ustał, uspokoiła się i zasnęła. Miszal kazała j ą zanieść do własnej sypialni i teraz Mirza Sajjid był zmuszony patrzeć na drug ą już śpi ąc ą w tym łóżku królewnę i po raz drugi ogarnęło go coś, co wydawało się doznaniem zbyt bogatym i głębokim, by po prostu prymitywnie nazwać je poż ˛

adaniem. Zaskoczony stwierdził, że jednocześnie czuje obrzydzenie do siebie samego z powodu swoich nieczystych zamiarów i niezwykłe uniesienia wywołane uczuciami, które nim targaj ą, świeżymi uczuciami, których nowość bardzo go podniecała. Miszal stanęła obok niego. — Znasz j ą? — zapytał Sajjid, a ona kiwnęła głow ą. — Sierota. Lepi małe emaliowane zwierz ątka i sprzedaje je przy głównej szosie. Od dzieciństwa cierpi na padaczkę. Mirza Sajjid nie mógł wyjść z podziwu, zreszt ą nie po raz pierwszy, dla talentu żony, który pozwalał jej anga-żować się w sprawy innych ludzi. On sam z trudem mógł rozpoznać nieco więcej niż garstkę wieśniaków, ale ona znała przezwiska, historie rodzinne i dochody każdego we wsi. Opowiadali jej nawet swoje sny, chociaż niewielu z nich śniło się cokolwiek częściej niż raz w miesi ącu, gdyż byli zbyt biedni, by pozwolić sobie na taki luksus. Powróciła ta przepełniaj ąca go czułość, która ogarnęła go o świcie, i obj ął żonę ramieniem. Oparła na nim swoj ą głowę i powiedziała łagodnie: —

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. — Pocałował j ą w czubek głowy. Stali objęci, patrz ąc na śpi ąc ą dziewczynę. Aisza: żona powiedziała mu imię.

\* \* \*Kiedy sierota Aisza weszła w okres dojrzewania i stała się, z powodu swojej oszałamiaj ącej urody i zwyczaju wpatrywania w inny świat, przedmiotem poż ądania wielu młodych mężczyzn, zaczęto mówić, że szuka kochanka z niebios, 183

ponieważ uważa się za zbyt wspaniał ą dla śmiertelników. Odrzucani przez ni ą konkurenci skarżyli się, że praktycznie rzecz bior ąc, nie ma prawa tak grymasić, po pierwsze dlatego, że jest sierot ą, a po drugie — ponieważ jest opętana przez demona epilepsji, który z pewności ą odstraszy każde niebiańskie duchy, mog ące być ni ą ewentualnie zainteresowane. Niektórzy z rozgoryczonych młodzieńców posuwali się do tego, że sugerowali, iż skoro mankamenty Aiszy przeszkadzaj ą jej w znalezieniu sobie męża, równie dobrze mogłaby zacz ąć brać sobie kochanków, aby nie zmarnować tej urody, któr ą sprawiedliwie powinna była otrzymać jakaś mniej problematyczna osoba. Pomimo prób młodzieńców z Titlipur zrobienia z niej ich własnej kurwy, Aisza pozostała czysta, a środkiem jej obrony było spojrzenie tak mocno skoncentrowane na warstwach powietrza tuż nad lewym ramieniem rozmówcy, że stale brano to za wyraz pogardy. Następnie ludzie usłyszeli o jej nowym zwyczaju, polegaj ącym na połykaniu motyli, i zmieniali o niej zdanie, przekonani, że ma bzika i że niebezpieczn ą rzecz ą byłoby kochać się z ni ą, gdyż demony mogłyby przejść na jej kochanków. Tak więc poż ądliwi mężczyźni z wioski zostawili j ą w jej norze, razem z jej figurkami i tym szczególnym trzepocz ącym pokarmem. Jeden z młodzieńców zacz ął jednakże siadywać w pewnej odległości od jej drzwi, dyskretnie spogl ądaj ąc w przeciwnym kierunku, jak gdyby stał na straży, mimo iż już nie potrzebowała obrońców. Uprzednio był pariasem w s ąsiedniej wiosce Czatnapatna, który przeszedł na islam i przyj ął imię Osman.Aisza nigdy nie dała poznać po sobie, że świadoma jest jego stróżowania, ani też zreszt ą on takiego uznania z jej strony się nie domagał. Pokryte bujnym listowiem gałęzie szumiały na wietrze nad ich głowami.Wioska Titlipur wyrosła w cieniu olbrzymiego drzewa figowego, pojedynczego monarchy, który sprawował rz ądy przy pomocy swoich licznych korzeni nad obszarem o przeszło półmilowej średnicy. Stopniowo przemiana drzewa w wioskę i wioski w drzewo stawała się coraz bardziej zawiła i obecnie niemożliwe było dostrzeżenie różnic między nimi. Pewne obszary drzewa stały się dobrze znanymi miejscami schadzek kochanków, jeszcze inne były wybiegiem dla drobiu. Niektórzy biedniejsi wieśniacy zbudowali sobie proste szałasy u zbiegu potężniejszych konarów i teraz mieszkali wśród wcale gęstego listowia. Były gałęzie, których używano jako wioskowych dróg, huśtawki dla dzieci robiono z powojnika ro-sn ącego gęsto na drzewie, a w miejscach, gdzie drzewo pochylało się nisko nad ziemi ą, jego liście tworzyły dach dla wielu baraków, które sprawiały wrażenie, że zwisaj ą z zieleni, zupełnie jak gniazda ptaka tkacza. Kiedy zbierał się wiejski panczajat, zasiadał na najpiękniejszej ze wszystkich gałęzi. Wieśniacy przyzwy-czaili się nazywać drzewo wiosk ą, a wiosce po prostu dali nazwę „drzewo”. Inni lokatorzy figowca — mrówki miodne, wiewiórki, sowy — były traktowane z szacunkiem należnym współmieszkańcom. Jedynie na motyle nie zwracano uwagi, podobnie jak na nadzieje, których płonność dawno stała się oczywista.Była to wioska muzułmańska, co wyjaśnia powód przybycia tutaj przechrzty 184

Osmana w przebraniu klowna i z wołem „bum-bum”, kiedy w akcie rozpaczy zmienił wiarę, maj ąc nadzieję, że przyjęcie muzułmańskiego imienia przyniesie mu większy pożytek niż wcześniejsze zmiany imion, jak na przykład ta, która kazała członków najniższej kasty nazywać „dziećmi Boga”. Jako dziecku Boga w Czatnapatnie nie pozwolono mu czerpać wody z publicznej studni, ponieważ dotyk pariasa mógłby zabrudzić wodę do picia. . . Nie miał ziemi i, podobnie jak Aisza, był sierot ą, zarabiał więc na życie, występuj ąc jako klown. Jego wół nosił

na rogach stożki z jaskrawego czerwonego papieru, a nozdrza i grzbiet przybrane miał błyskotkami. Osman chodził od wioski do wioski daj ąc przedstawienia na weselach i innych uroczystościach, podczas których wół był jego głównym part-nerem i przeciwnikiem, kiwaj ąc łbem w odpowiedzi na pytania, jedno kiwnięcie na nie, dwa na tak.— Czyż ta wioska, do której przyszliśmy, nie jest przyjemna? — pytał Osman.Bum, zwierzę było innego zdania.— Co, nie jest? Ależ jest. Popatrz: czy ci ludzie nie s ą dobrzy?Bum.— Co? Czy wobec tego jest to wioska pełna grzeszników?Bum, bum.— O, ojczulku! Czy w takim razie oni wszyscy pójd ą do piekła?Bum, bum.— Ależ, braciszku, Czy jest dla nich jakaś nadzieja?Bum, bum, wół dał szansę zbawienia. Podniecony Osman pochylił się i przyłożył ucho do pyska zwierzęcia. — Powiedz szybko. Co powinni zrobić, ażeby zostać zbawionymi? — Na to wół zrywał Osmanowi czapkę z głowy i obchodził

z ni ą zebrany tłum, prosz ąc o pieni ądze, a Osman przytakiwał cały szczęśliwy: Bum, bum.Przechrztę Osmana i jego woła bum-bum lubiano w Titlipur, lecz młody człowiek czekał na pochwałę jednej tylko osoby, a ta nie chciała mu jej dać. Przyznał

się jej kiedyś, że jego przejście na islam było w dużej mierze kwesti ą taktyki.„Po prostu, żebym mógł dostać łyk wody do picia, bibi, cóż ma człowiek zrobić?” Czuła się znieważona, że jego dusza jest w niebezpieczeństwie i jeśli o ni ą chodzi, to może sobie wracać do Czatnapatny i umrzeć z pragnienia. Cała poczer-wieniała, kiedy to mówiła, najwyraźniej z niezrozumiałych powodów silnie nim rozczarowana, a właśnie gwałtowność tego rozczarowania była źródłem nadziei dla Osmana, który dzień w dzień w dalszym ci ągu siedział kilkanaście kroków od jej domu, ale ona niezmiennie przechodziła obok niego dumnym krokiem, z nosem w górze, nie mówi ąc mu ani dzień dobry, ani jak-się-masz.Raz w tygodniu z Titlipur wyjeżdżały wozy z ziemniakami, które toczyły się pokryt ą koleinami, w ąsk ą, czterogodzinn ą drog ą do Czatnapatny, leż ącej u zbiegu traktu i głównej szosy. W Czatnapatnie stały wysokie, błyszcz ące aluminiowe si-losy hurtowników ziemniaczanych, ale nie miało to nic wspólnego z regularnymi 185

wyjazdami Aiszy do miasta. Zwykle jechała tam na przygodnym wozie z ziemniakami, trzymaj ąc kurczowo małe zawini ątko z workowego płótna, aby zawieźć swoje zabawki na rynek. Czatnapatna znana była w całym regionie ze sprzedaży różnych dziecięcych drobiazgów, rzeźbionych drewnianych zabawek i emaliowa-nych figurek. Osman i jego wół stali w cieniu figowca, patrz ąc, jak Aisza podska-kuje na górze worków z ziemniakami, dopóki nie zmniejszyła się do rozmiarów małej kropki.W Czatnapatnie szła do firmy Sri Sriniwasa, właściciela największej fabryki zabawek w mieście. Na murach faktorii widniały aktualne polityczne graffiti: Gło-suj na Handa. Albo, grzeczniej: Oddaj swój głos na CP(M). Ponad tymi zaklęcia-mi znajdował się dumny napis: Zabawki Sriniwasa — Toy Univas. Nasz ˛

a dewiz ˛

a:

Szczerość i Duch Twórczy. Sriniwas był w biurze: duży galaretowaty mężczyzna, jego głowa jaśniała jak łyse słońce, facet około pięćdziesi ątki, którego nie zdołało przepełnić gorycz ą życie spędzone na sprzedaży zabawek. Aisza zawdzięczała mu utrzymanie. Tak ujęło go mistrzostwo jej struganych figurek, że zgadzał się kupo-wać od niej wszystko, co zdołała zrobić. Ale, mimo że zazwyczaj był człowiekiem jowialnym, teraz twarz mu spochmurniała. Aisza rozwi ązała swoje zawini ątko i pokazała mu dwa tuziny figurek przedstawiaj ących młodego mężczyznę w kapeluszu klowna, któremu towarzyszył specjalnie przystrojony wół, przechylaj ący swoj ą sprytn ą głowę przybran ą świecidełkami. Rozumiej ąc, że Aisza wybaczyła Osmanowi zmianę religii, Sri Sriniwas krzykn ął — Ten człowiek sprzeniewierzył

się swoim narodzinom, jak dobrze ci wiadomo. Któż to zmienia bogów równie łatwo jak swoje dhoti? Bóg jeden wie, co w ciebie wst ąpiło, córko, ale ja nie chcę takich lalek. Na ścianie za biurkiem wisiał dyplom w ramkach o następuj ącej treści wypisanej drukiem z ozdobnymi zawijasami: Niniejszym zaświadcza się, że PAN SRI S. SRINIWAS jest Ekspertem w Dziedzinie Geologii Historycznej Planety Ziemia, w wyniku przelotu wzdłuż Wielkiego Kanionu samolotem UNII LOTNICZYCH SCENIC. Sriniwas zamkn ął oczy i skrzyżował ramiona, nie śmiej ący się Budda o niew ątpliwym autorytecie „tego-który-latał”. — Ten chłopak jest diabłem — powiedział nieodwołalnie i Aisza złożyła figurki do workowego płótna, i chciała wyjść bez słowa protestu. Sriniwas natychmiast otworzył oczy. —

Niech cię diabli wezm ą — wrzasn ął — zamierzasz mnie przycisn ąć? Czy myślisz, że nie wiem, że potrzebujesz pieniędzy? Dlaczego post ąpiłaś tak cholernie głupio? Co teraz zrobisz? Cóż, idź i zrób kilka lalek PR, i to biegiem, a ja kupię je po najwyższych stawkach, ponieważ jestem hojny aż do przesady. Osobistym wynalazkiem pana Sriniwasa była lalka Planowanie Rodziny, społecznie odpowiedzialny wariant starej lalki rosyjskiej. Wewn ątrz wygarniturowanej-i-obutej lalki Abby znajdowała się Amma przyodziana w skromne sari, a wewn ątrz niej córka, w której z kolei był syn. Dwoje dzieci to aż nadto: takie było znaczenie figurek. — Zrób je szybko szybko — zawołał Sriniwas za odchodz ąc ą Aisza. —

Lalki PR id ą jak woda. — Aisza odwróciła się do niego i uśmiechnęła. — Nie 186

martw się o mnie, Sriniwasji — powiedziała i odeszła.Sierota Aisza miała dziewiętnaście lat, kiedy ruszyła w drogę powrotn ą do Titlipur pełnym kolein traktem ziemniaczanym, ale kiedy pojawiła się w swojej wiosce jakieś czterdzieści osiem godzin później, osi ągnęła rodzaj niezależności od czasu, ponieważ jej włosy stały się białe jak śnieg, natomiast skóra odzyska-ła lśni ąc ą doskonałość skóry noworodka i mimo iż była zupełnie naga, motyle obsiadły j ą cał ą w takiej masie, że wydawało się, iż ma na sobie suknię z najdeli-katniejszego materiału na świecie. Klown Osman ćwiczył swoje sztuczki z wołem bum-bum w pobliżu drogi, ponieważ mimo ze bardzo się martwił z powodu prze-dłużaj ącej się nieobecności dziewczyny i spędził cał ą poprzedni ą noc szukaj ąc jej, musiał przecież zarabiać na życie. Kiedy j ą nareszcie ujrzał, on, ten młody człowiek, który nigdy nie miał szacunku dla Boga, ponieważ urodził się pariasem, poczuł wszechogarniaj ąc ą bojaźń Boż ą i nie śmiał podejść do dziewczyny, któr ą tak beznadziejnie kochał.Weszła do swojej chaty i spała dzień i noc bez przerwy. Następnie poszła zobaczyć się ze starszym wioski, sarpanczem Muhammadem Dinem, i oznajmiła mu głosem chłodnym-i-rzeczowym, że objawił się jej Archanioł Gibril i ułożył się obok niej, aby spocz ąć. — Wielkość zeszła pomiędzy nas — powiedziała zatrwo-żonemu sarpanczowi, który do tej chwili bardziej interesował się kontyngentami ziemniaków niż rzeczami transcendentnymi. — Wszystkiego od nas zaż ądaj ą, ale również wszystko będzie nam dane.W innej części drzewa żona sarpancza, Chadidża, pocieszała płacz ącego klowna, który nie mógł pogodzić się z faktem, że utracił swoj ą ukochan ą Aiszę na rzecz wyższej istoty, ponieważ kiedy archanioł pokłada się z kobiet ą, to jest stracona dla mężczyzn na zawsze. Chadidża była stara, miała słab ą pamięć i próbuj ąc okazać Osmanowi trochę czułości, często była wręcz niezręczna. Pouczyła go chłodno:

— Słońce zawsze zachodzi, kiedy ludzie zaczynaj ą bać się tygrysów. — Cytowała star ą prawdę: złe wiadomości zawsze chodz ą stadami.Niedługo później historia cudu rozniosła się po okolicy i dziewczynę Aiszę wezwano do wielkiego domu. Przez kilka następnych dni spędzała długie godziny, konferuj ąc z żon ą zamindara, Begum Miszal Achtar, do której z wizyt ą przyjechała matka. Również i ona uległa urokowi białowłosej żony archanioła.

\* \* \*Śni ący, śni ąc chce (ale nie jest w stanie) zaprotestować: „Nigdy nie tkn ąłem jej palcem, cóż sobie wyobrażacie, że to jest jakiś rodzaj polucji nocnej, czy co?

Niech mnie diabli porw ą, jeżeli wiem, sk ąd ta dziewczyna otrzymała swoj ą infor-187

mację/inspirację. Na pewno nie ode mnie.A oto, co się wydarzyło: wracała pieszo do swojej wioski i wygl ąda na to, że zupełnie nagle poczuła się zmęczona i zeszła z drogi na bok, aby odpocz ąć w cieniu tamaryndowego drzewa. W chwili, kiedy zamknęły się jej oczy, on był już u jej boku, śni ący Gibril w płaszczu i kapeluszu, oblewaj ący się potem w upale.Patrzyła na niego, ale nie potrafiła powiedzieć, co widzi, skrzydła może, aureole, cuda. I on leżał tam, i uświadomił sobie, że nie może się podnieść, jego nogi i ręce stały się cięższe od sztab żelaza, wydawało się, że jego ciało własnym ciężarem zostanie wgniecione w ziemię. Kiedy przestała patrzeć na niego, skinęła głow ą, uroczyście, jak gdyby coś powiedział, a następnie zsunęła z siebie sari, ten skrawek materiału, i wyci ągnęła się obok niego, naga. Następnie, wci ąż śni ąc, zasn ął

w tym swoim marzeniu sennym momentalnie i kiedy obudził się z tego drugiego snu, ona stała nad nim z rozpuszczonymi białymi włosami i okrywaj ącymi j ą motylami: przemieniona. Wci ąż kiwała głow ą, a twarz jej zdradzała uniesienie —

otrzymała posłanie z miejsca, które nazywała sobie Gibrilem. Następnie zostawiła go leż ącego tam i powróciła do wioski, aby dokonać uroczystego wejścia.A więc mam żonę z marzenia sennego, śni ący staje się na tyle świadomy, by móc myśleć. Co, u diabła, z ni ą zrobić? — Ale decyzja nie leży w jego mocy.Aisza i Miszal Achtar s ą razem w wielkim domu.

\* \* \*Od czasu swoich urodzin Mirza Sajjid był pełen zmysłowego poż ądania, „jak gdyby życie naprawdę zaczynało się po czterdziestce”, zdumiewała się jego żona.

Ich pożycie małżeńskie stało się tak intensywne, że służba musiała zmieniać prześcieradła trzy razy dziennie. Miszal żywiła po kryjomu nadzieję, że to wzmocnie-nie libido u jej męża doprowadzi w końcu do poczęcia dziecka, ponieważ przekonana była, że liczy się entuzjazm, cokolwiek by o tym negatywnego nie mówili lekarze, i że lata porannego mierzenia sobie temperatury przed wstaniem z łóżka, a następnie nanoszenie wyników na papier milimetrowy celem ustalenia momentu owulacji, w istocie rzeczy odwiodły maluchy od ostatecznej decyzji, częściowo dlatego, że trudno być odpowiednio namiętnym, kiedy nauka włazi do łóżka razem z tob ą, a częściowo również dlatego, że w jej mniemaniu żaden szanuj ący się zarodek nie chciałby wejść do łona tak mechanicznie zaprogramowanej matki.Miszal wci ąż modliła się o dziecko, chociaż przestała już o tym wspominać Sajjidowi, żeby oszczędzić mu poczucia winy w tej kwestii. Z oczyma zamkniętymi, udaj ąc sen, błagała Boga o znak i kiedy Sajid stawał się taki namiętny, a zdarza-ło się to coraz częściej, zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest właśnie ten znak.188

Skutkiem tego jego dziwna prośba, aby od tej chwili przy każdym przyjeździe do Peristanu, przyjęła „stare zwyczaje” i usuwała się do pardy, nie spotkała się z jej strony z pogard ą, na jak ą zasługiwała. W mieście, gdzie mieli olbrzymi gościnny dom, zamindar i jego żona znani byli jako jedna z najbardziej „nowoczesnych”i „rozrywkowych” par na scenie życia towarzyskiego; kolekcjonowali dzieła sztuki awangardowej i urz ądzali ekstrawaganckie przyjęcia, spraszaj ąc znajomych na migdalenie się w ciemnościach na sofach przy wtórze wyświetlanych na wideo filmów soft-porno. Tak więc, kiedy Mirza Sajjid zaproponował: „Czy nie byłoby cudownie, Miszu, gdybyśmy przystosowali swoje zwyczaje do klimatu tego starego domu?”, powinna była roześmiać mu się w twarz. Zamiast tego odpowiedziała:

„Jak sobie życzysz, Sajid”, ponieważ dał jej do zrozumienia, że jest to rodzaj gry erotycznej. Nawet napomkn ął, że namiętność, jak ą czuje wobec niej, stała się tak potężna, że może odczuwać potrzebę wyrażania jej w każdej chwili i że jeżeli znalazłaby się wtedy w ogólnodostępnej części domu, mogłoby to wprawić służbę w zakłopotanie; z pewności ą jej nieobecność pozwoli mu koncetrować się na każdym z jego przedsięwzięć, a poza tym, w mieście, „będziemy wci ąż szli-z-

-duchem-czasu”. Z tego wszystkiego zrozumiała, że miasto rozprasza Mirzę i że jej szansę zajścia w ci ążę największe s ą tu, w Titlipur. Postanowiła więc nie ruszać się z tego miejsca. Właśnie wtedy zaprosiła swoj ą matkę, aby przyjechała zamieszkać z ni ą, ponieważ jeżeli musi ograniczyć swoje ruchy do zenany, będzie potrzebowała towarzystwa. Pani Kurajszi przyjechała rozdygotana z wściekłości, zdecydowana tak długo krzyczeć na swojego zięcia, aż w końcu zrezygnuje on z tej głupoty z „parda”, ale Miszal zdumiała swoj ą matkę, błagaj ąc j ą: — Proszę cię, nie rób tego. — Pani Kurajszi, żona dyrektora banku państwowego, sama również posiadała spore doświadczenie. — Tak naprawdę, Miszu, jako nastolatka byłaś głupi ą g ąsk ą, natomiast ja biegałam w biodrówkach. Myślałam, że wyszłaś już z tego bagna, ale widzę, że on zepchn ął cię tam ponownie”. Żona finansisty zawsze uważała, że jej zięć jest w głębi serca strasznym kutw ą i nie zmieniła tej opinii, mimo że nie dysponowała nawet najdrobniejszym skrawkiem dowodu.Nie zważaj ąc na protesty córki, odszukała Mirzę Sajjida w zewnętrznym ogrodzie i zaatakowała go, cała się przy tym trzęs ąc, jak było to w jej zwyczaju, dla podkreślenia wagi swoich słów. — Cóż to za tryb życia wprowadzasz? — zapytała.— Nie po to masz moj ą córkę, by j ą zamykać w czterech ścianach, ale by wyprowadzić j ą w świat! Po co ci te wszystkie pieni ądze, skoro je również trzymasz cały czas pod kluczem? Mój synu, wydob ądź z ukrycia i portfel, i żonę! Zabierz j ą w jakieś miłe gdzieś, odświeżcie swoj ą miłość! — Mirza Sajjid otworzył usta, nie wiedział, co odpowiedzieć, zamkn ął je ponownie. Olśniona własnym krasomów-stwem, które zupełnie przypadkowo naprowadziło j ą na myśl o wakacjach, pani Kurajszi zapaliła się do tego projektu — Całkiem po prostu, zbierz się i jedźcie! —

ponaglała. — Jedź, człowieku, jedź! Wybierz się z ni ą w podróż, bo inaczej sama się tam wybierze — tutaj dźgnęła złowieszczo palcem w niebo — na zawsze?189

— Świadom swojej winy, Mirza Sajjid obiecał rozważyć ten pomysł. — Na co czekasz? — krzyknęła triumfalnie. — Ty dupo wołowa? Ty. . . ty Hamlecie!Atak teściowej wywołał wyrzuty sumienia, które co jakiś czas trapiły Mirzę Sajjida od dnia, kiedy przekonał Miszal, by wyszła za niego. Aby się pocieszyć, zabrał się do czytania powieści Tagore’a pod tytułem Ghae-Baire, w której zamindar namawia żonę, by opuściła pardę, po czym ona zaczyna żyć z kontrower-syjnym politykiem zaangażowanym w kampanię „swadeszu”, a zamindar umiera.Powieść ta rozchmurzyła go na jakiś czas, ale wkrótce podejrzenia powróciły. Czy był szczery, podaj ąc żonie powody jej zamieszkania w pardzie, czy też po prostu szukał sposobu, aby mieć wolny teren na uganianie się za t ą motyl ą madonn ą, epi-leptyczk ą Aisz ą? „Jakiś tam grunt — pomyślał, przypominaj ąc sobie pani ą Kurajszi patrz ąc ą zimnym, przenikliwym wzrokiem. — Jakaś tam wolność”. Obecność teściowej, przekonywał sam siebie, jest kolejnym dowodem jego dobrej wiary.Czyż naprawdę nie zachęcał Miszal, aby posłała po ni ą, mimo iż wiedział, że tłusta starucha nie znosi go i będzie podejrzewała o każde najbardziej cholerne oszustwo pod słońcem! „Czy zależałoby mi tak bardzo na jej przyjeździe, gdybym planował jakieś sztuczki?” — pytał sam siebie. Ale te uporczywe wewnętrzne głosy ci ągnęły dalej: „Wszystkie twoje ostatnie wyczyny seksualne, to ponowne zainteresowanie twoj ą pani ą-żon ą, to po prostu zwykły wybieg. Tak naprawdę, pragniesz, żeby przyszła chłopska kurwa i kurwiła się z tob ą”.Poczucie winy spowodowało, że zamindar uznał siebie za całkowicie bez-wartościowego. Obelgi teściowej zaczęły mu się wydawać, w jego nieszczęściu, prawdziwe co do joty. — Dupa wołowa — powiedziała mu i siedz ąc teraz w swoim gabinecie, otoczony ksi ążkami, całymi szafami ksi ążek , w którym mole ksi ążkowe z zadowoleniem chrupały teksty Sanskrytu, jakimi nie dysponowały nawet archiwa krajowe, i z mniejsz ą ochot ą komplet dzieł Percy’ego Westermona, G.A.Hentye’ego i Dornforda Yatesa, Mirza Sajjid przyznał, tak, jestem dupek. Dom został wybudowany siedem pokoleń temu i przez siedem pokoleń zachodził w nim proces dupo-wołowienia. Przeszedł się wzdłuż korytarza, na którego ścianach wi-sieli jego przodkowie w złowrogich pozłacanych ramach i zacz ął medytować nad lustrem, które kazał powiesić na ostatnim pustym miejscu jako memento, że pewnego dnia on również musi wejść na tę ścianę. Był mężczyzn ą o wygładzonym ciele, bez kantów i ostrych krawędzi; nawet łokcie miał pokryte małymi poduszkami ciała. W lustrze zobaczył rzadki w ąsik, niewyraźnie zarysowany podbródek, wargi poplamione betelem. Policzki, nos, czoło: wszystko to miękkie, miękkie, miękkie. — Kto dopatrzy się czegokolwiek w takim facecie jak ja? — krzykn ął, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, iż z powodu wzburzenia nawet zacz ął mówić na głos, zrozumiał, że na pewno jest zakochany, że jest jak szczeniak chory z miłości i że obiektem jego westchnień wcale nie jest jego kochaj ąca żona.— Wobec tego, cóż ze mnie za piekielnie płytki, chytry i zakłamany facet

— westchn ął sam do siebie — że potrafię zmieniać się tak bardzo, tak szybko.190

Zasługuję na natychmiastow ą śmierć, bez dalszych ceregieli. — Nie był jednak typem człowieka, który rzuca się na własny miecz. Zamiast tego przechadzał się korytarzami Peristanu i wkrótce zadziałała magia tego domu i przywróciła mu ponownie coś, co można nazwać dobrym nastrojem.Dom: pomimo czarodziejskiej nazwy, był to solidny, raczej prozaiczny budynek, który stał się egzotyczny jedynie wskutek tego, ze znajdował się w niewłaściwym kraju. Zbudował go siedem pokoleń wstecz niejaki Perowne, angielski architekt ciesz ący się dużym uznaniem władz kolonialnych, który doceniał jedynie neoklasyczny styl angielskiej rezydencji wiejskiej. W owych czasach wielcy zamindarowie mieli bzika na punkcie architektury europejskiej. Pra-pra-pra-pradziad Sajida zaangażował tego faceta po pięciu minutach rozmowy w recepcji hotelu Viceroy, aby zaznaczyć publicznie, że nie wszyscy indyjscy muzułmanie popieraj ą akcję zbuntowanych żołnierzy w Mirut, czy też sympatyzuj ą z następnymi powstaniami, nie, bynajmniej nie; — a następnie dał budowniczemu woln ą rękę;— i oto stał sobie teraz Peristan pośrodku prawie-tropikalnych pól ziemniaczanych i nie opodal wielkiego drzewa figowego, cały pokryty pn ączem bugenwilli z wężami w pomieszczeniach kuchni i motylimi szkielecikami w szafach. Niektórzy twierdzili, że nazwę budynku należy raczej zawdzięczać Anglikowi, a nie zjawiskom bardziej fantastycznym: że była to po prostu skrócona forma nazwy Perownistan.W siódmym pokoleniu dom zacz ął wreszcie nabierać wygl ądu, który świad-czyłby o jego przynależności do tego krajobrazu wolich zaprzęgów, drzew pal-mowych i wysokiego, przezroczystego, przeładowanego gwiazdami nieba. Nawet witrażowe okno nad schodami Króla Karola Bezgłowego w jakiś nieokreślony sposób zostało znaturalizowane. Tylko nieliczne z tych starych zamindarowskich domów uniknęły egalitarnej grabieży obecnych czasów i w rezultacie nad Perista-nem wisiało coś w rodzaju stęchłej muzealnej atmosfery i to pomimo — a może właśnie dlatego — że Mirza Sajjid był bardzo dumny ze starej rezydencji i nie żałował pieniędzy, aby utrzymać j ą w dobrym stanie, spał pod wysokim baldachimem z obrabianego i kutego mosi ądzu, w łóżku o kształcie okrętu, które w przeszłości służyło trzem wicekrólom. Lubił siadywać w wielkim salonie, co niezwykłe, z Miszal i pani ą Kurajszi na osobliwej trójosobowej kozetce, maj ącej służyć miłosnej pogawędce. W rogu tego pokoju stał olbrzymi perski dywan z Szirazu, nawinięty na drewniane bloki i czekaj ący na wspaniałe przyjęcie, które by uzasad-niało jego rozłożenie, a które nigdy nie nadeszło. W jadalni stały grube klasyczne kolumny o ozdobnych korynckich zwieńczeniach, w domu były też pawie, zarówno kamienne, jak i prawdziwe, przechadzaj ące się po głównych schodach, oraz kandelabry z weneckiego szkła, dzwoni ące delikatnie w holu. Oryginalne pun-kah wci ąż jeszcze były całkowicie sprawne: wszystkie te sznury służ ące do ich poruszania przechodziły przez kr ążki i otwory w ścianach i podłogach do małego dusznego pomieszczenia, gdzie siedział służ ący, punka-walla, który wprawiał

191

w ruch maszynerię, był w mocy straszliwej ironii zaduchu tego maleńkiego pokoju, sk ąd wysyłał podmuchy chłodnego powietrza do wszystkich innych części domu. Również służba miała za sob ą historię siedmiu pokoleń, w wyniku czego straciła umiejętność skarżenia się. Obowi ązywały ich stare zwyczaje: nawet titlipurski sprzedawca słodyczy był zobowi ązany starać się o zgodę zamindara na sprzedaż jakiegokolwiek nowego cukierka, który właśnie sam wyprodukował.Życie w Peristanie było równie łatwe, jak trudne było to pod drzewem, ale nawet nad takim sielskim krajobrazem czasami zrywa się gwałtowny wicher.

\* \* \*Kiedy Mirza odkrył, że jego żona spędza większość czasu, rozmawiaj ąc sam na sam z Aisz ą, ogarnęła go irytacja nie do zniesienia, egzema ducha doprowadzaj ąca go do szału, ponieważ nie było sposobu, żeby dostać się do niej i podrapać chore miejsce. Miszal miała nadzieję, że archanioł, m ąż Aiszy, wysłucha jej prośby i pozwoli jej mieć dziecko, jednak nie mogła tego powiedzieć mężowi i dlatego stawała się coraz bardziej markotna i wzruszyła w rozdrażnieniu ramionami, gdy ten pytał j ą, dlaczego marnuje tyle czasu z najbardziej pomylon ą dziewczyn ą we wsi. Dziwna małomówność Miszal powiększyła jeszcze bardziej poż ądanie w sercu Mirzy Sajjida, w dodatku wzbudziła w nim zazdrość, nie był tylko pewien, czy jest zazdrosny o Aiszę, czy o Miszal. Zauważył po raz pierwszy, że władczyni motyli ma oczy o tym samym połyskuj ącym szarym odcieniu, co jego żona, i również ten fakt, z jakiejś przyczyny, wywołał jego niezadowolenie. Jak gdyby miało to stanowić dowód, że kobiety te spiskuj ą przeciw niemu, szepcz ąc Bóg jeden wie jakie tajemnice; być może gawędziły i plotkowaly o nim! Ta zmowa przyniosła efekt odwrotny od zamierzonego; a nawet ta stara galareta, pani Kurajszi, dała się podejść Aiszy. Niezła trójca, pomyślał Mirza Sajjid; kiedy fetysze i bzdurne o nich rozmowy wchodz ą drzwiami, zdrowy rozs ądek ucieka oknem.

Co do Aiszy: kiedy spotykała Mirzę na balkonie lub w ogrodzie, gdzie przechadzał się powoli, czytaj ąc poezję miłosn ą w języku urdu, była niezmiernie skromna i okazywała mu szacunek; ale właśnie to poprawne zachowanie w po-ł ączeniu z całkowitym brakiem choćby jednej iskry erotyzmu pogr ążało Sajjida coraz bardziej w bezbronnej rozpaczy. Nic więc dziwnego, że kiedy któregoś dnia podpatrzył Aiszę wchodz ąc ą do kobiecej części domu i kilka minut później po-słyszał melodramatyczny wrzask jego teściowej, ogarn ął go nastrój upartej mści-wości i z premedytacj ą odczekał pełne trzy minuty, zanim poszedł zbadać sprawę.Zastał pani ą Kurajszi wyrywaj ąc ą sobie włosy z głowy i szlochaj ąc ą jak gwiazda marnego filmu. Miszal i Aisza siedziały po turecku w łóżku, przodem do siebie, 192

szare oczy utkwione w szarych, a wyci ągnięte dłonie Aiszy ujmowały twarz Miszal.Okazało się, że archanioł poinformował Aiszę, że żona zamindara umiera na raka, że jej piersi wypełnione s ą złośliwymi guzkami śmierci, i że ma przed sob ą nie więcej niż kilka miesięcy życia. Umiejscowienie raka było dla Miszal dowodem okrucieństwa Boga, ponieważ tylko złośliwe bóstwo może włożyć śmierć do piersi kobiety, której jedynym marzeniem jest przecież karmienie nowego życia.Kiedy wszedł Sajjid, Aisza właśnie gor ączkowo szeptała do Miszal: — Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Bóg cię ocali. To próba wiary.Pani Kurajszi przekazała Mirzy Sajjidowi tę fataln ą wiadomość, nie mog ąc opanować krzyków i wycia, i skołowanemu zamindarowi tego było już za wiele.Wpadł w złość i zacz ął wrzeszczeć i trz ąść ni ą, jak gdyby lada moment miał

zacz ąć niszczyć meble w pokoju wraz z jego lokatorami.— Do diabła z twoim wymyślonym rakiem — wrzasn ął na Aiszę poirytowany.— Weszłaś do mojego domu wraz ze swoim szaleństwem i aniołami i ws ączyłaś jad w uszy mojej rodziny. Wynoś się ze swoimi zwidami i swoimi straszydłami.Żyjemy w nowoczesnym świecie i to lekarze, doktorzy medycyny, a nie duchy w kartofliskach stwierdzaj ą, czy jesteśmy chorzy. Wywołałaś to piekielne zamieszanie bez powodu. Wynoś się i nigdy tu już nie przychodź.Aisza wysłuchała go, wci ąż patrz ąc w oczy Miszal i trzymaj ąc jej twarz w swoich dłoniach. Kiedy Sajjid przerwał na chwilę, żeby wzi ąć oddech, a ca-ły czas przy tym nerwowo zaciskał i otwierał pięści, Aisza powiedziała cicho do jego żony: — Wszystkiego od nas zaż ądaj ą, ale również wszystko będzie dane. —

Kiedy usłyszał tę formułę, któr ą ludzie w całej wiosce zaczęli już powtarzać jak papugi, jakby rozumieli jej znaczenie, Mirzy Sajidowi Achtarowi na krótko odebrało rozum, podniósł rękę i uderzył Aiszę tak, że straciła przytomność. Upadła na podłogę, krew poleciała jej z ust, z miejsca po wybitym zębie, i kiedy tak leżała, pani Kurajszi obrzuciła swojego zięcia stekiem wyzwisk. — O Boże, oddałam swoj ą córkę w ręce mordercy. O Boże, damski bokser. No już, uderz i mnie, po-ćwicz sobie. Tfu, bezcześciciel świętych, bluźnierca, diabeł, nieczysty. — Sajjid wyszedł z pokoju bez słowa.Następnego dnia Miszal Achtar nalegała, żeby wrócić do miasta i przeprowadzić wszystkie badania lekarskie. Sajjid sprzeciwiał się. — Jeśli chcesz ulegać przes ądom, jedź, lecz nie spodziewaj się, że dam się namówić. To osiem godzin jazdy samochodem w jedn ą stronę; a więc do diabła z tym. — Miszal wyjechała po południu ze swoj ą matk ą i szoferem i w następstwie tego Mirzy Sajjida nie było tam, gdzie powinien był być, to jest boku u żony w chwili, kiedy zakomunikowano jej wynik prób: dodatni, nieoperacyjny, zbyt zaawansowany, szpony raka worały się głęboko w jej piersi. Kilka miesięcy, sześć w najlepszym razie, a wcześniej, i to już wkrótce — bóle. Miszal wróciła do Peristanu i udała się prosto na swoje pokoje w zenanie, gdzie napisała krótki formalny list do męża na papeterii koloru 193

lawendy, w którym przekazała mu diagnozę lekarsk ą. Kiedy przeczytał jej wyrok śmierci, napisany jej własn ą raka, bardzo chciał wybuchn ąć płaczem, ale jego oczy uparcie pozostawały suche. Przez wiele lat nie miał czasu dla Najwyższej Istoty, ale teraz kilka zwrotów Aiszy pojawiło się ponownie w jego pamięci. Bóg cię ocali. Wszystko będzie dobrze. Gorzka, przes ądna myśl przyszła mu do głowy:

„To kl ątwa — pomyślał. — Ponieważ tak bardzo pragn ąłem Aiszy, zamordowała mi żonę”.Kiedy poszedł do zenany, Miszal nie chciała się z nim widzieć, ale jej matka, zagradzaj ąc sob ą drogę, przekazała mu drug ą notatkę na perfumowanym niebieskim papierze listowym. „Chcę widzieć Aiszę — brzmiał tekst. — Uprzejmie proszę, zgódź się”. Skłaniaj ąc głowę, Mirza Sajjid wyraził zgodę i powlókł się zawstydzony z powrotem.

\* \* \*Kiedy ma do czynienia z Mahoundem, jest walka, z Imamem — niewolnictwo; ale z t ą dziewczyna — po prostu nie ma niczego. Gibril jest apatyczny, zazwyczaj śpi pogr ążony w marzeniu sennym, zupełnie identycznie jak na jawie.

Ona zastaje go pod drzewem, lub w rowie, słucha tego, czego nie mówi, bierze to, czego potrzebuje, i odchodzi. Co na przykład może wiedzieć na temat raka?Najzupełniej nic.Wszędzie wokół niego, myśli, na wpół pogr ążony w marzeniu sennym, na wpół już w świecie rzeczywistym, ludzie słysz ą głosy, uwiedzeń! przez słowa.Ale wcale nie jego; nie jest to nigdy jego własne dzieło. — W takim razie czyje?Kto to szepcze do ich uszu, umożliwiaj ąc im przenoszenie gór, zatrzymywanie zegarów, diagnozowanie choroby?Nie potrafi rozwi ązać tej zagadki.

\* \* \*Dzień po powrocie Miszal Achtar do Titlipur, dziewczyna Aisza, któr ą ludzie zaczynali nazywać kahina, zniknęła bez śladu na tydzień. Jej nieszczęsny wielbiciel, klown Osman, który pod ążał za ni ą w pewnej odległości po zakurzonym szlaku ziemniaczanym prowadz ącym do Czatnapatny, powiedział wieśniakom, że nagle zawiał wiatr i sypn ął mu piaskiem w oczy; kiedy mógł znowu patrzeć, ona 194

„po prostu zniknęła”. Zazwyczaj kiedy Osman i jego wół zaczynali opowiadać swoje historie o dżinnach i magicznych lampach i różnych „sezamie-otwórz-się”, wieśniacy przyjmowali to wyrozumiale i dogadywali mu, w porz ądku, Osman, zachowaj to sobie dla tych idiotów w Czatnapatnie; być może dadz ą się nabrać na takie historyjki, ale tutaj, w Titlipur, wiemy, jak się rzeczy maj ą, i że pałace nie zjawi ą się same, jeżeli nie zbuduje ich jakichś tysi ąc i jeden robotników, ani też nie znikaj ą, chyba że ci sami robotnicy je rozbior ą. Tym razem jednak nikt nie śmiał

się z klowna, ponieważ w sprawach dotycz ących Aiszy wieśniacy byli skłonni przyj ąć każde wyjaśnienie. Doszli do przekonania, że śnieżnowłosa dziewczyna jest prawdziw ą następczyni ą starej Bibi-dżi, bo czyż motyle nie powróciły w ro-ku jej urodzin i czyż nie pod ążały za ni ą, okrywaj ąc j ą jak płaszcz? Aisza była spełnieniem ich nadziei zgorzkniałej długim czekaniem, a wywołanej powrotem motyli. Była również dowodem na to, że wielkie rzeczy wci ąż s ą możliwe w tym życiu, nawet dla tych najsłabszych i najbiedniejszych w kraju.— Anioł j ą zabrał — nie mogła wyjść z podziwu żona Sarpancza, Chadidża, i Osman wybuchn ął płaczem. — Ależ nie płacz, to wspaniała rzecz — wyjaśniła stara Chadidża, nie rozumiej ąc niczego. Wieśniacy przygadywali Sarpanczowi: —

Jak udało ci się zostać starszym wioski, jeżeli masz tak ą nietaktown ą małżonkę, naprawdę trudno to zrozumieć.— Wyście mnie wybrali — odpowiadał ponuro.Siódmego dnia po zniknięciu dostrzeżono zbliżaj ąc ą się do wsi Aiszę. Była znowu naga i okryta złocistymi motylami, jej srebrne włosy rozwiewał wiatr. Poszła wprost do domu Sarpancza Muhammada Dina i poprosiła, aby jak najszybciej zwołać nadzwyczajne zebranie titlipurskiego panczajatu. — Jesteśmy świadkami wielkiego wydarzenia w historii drzewa, zwierzyła się. — Muhammad Din nie potrafił jej odmówić i wyznaczył czas spotkania na wieczór, tuż po zmroku.Tego wieczora członkowie panczajatu zajęli miejsca na zwykłej gałęzi drzewa, a kahina Aisza stanęła przed nimi na ziemi. — Leciałam z aniołem pod niebiosa

— powiedziała. — Tak, nawet do Drzewa na najdalszym krańcu. Archanioł Gibril: przyniósł nam wieść, która jest również rozkazem. Wszystkiego od nas ż ądaj ą i wszystko będzie dane.Nic w życiu Sarpancza Muhammada Dina nie przygotowało go do dokonania tego wyboru, przed którym miał zaraz stan ąć. — O co anioł prosi, Aiszo, córko?— zapytał, usiłuj ąc opanować drżenie głosu.— Jest wol ą anioła, żebyśmy wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w wiosce, zaczęli natychmiast przygotowywać się do pielgrzymki.Mamy rozkaz pójść piechot ą z tej tu miejscowości do Mekki Szarif, aby ucałować Czarny Kamień w Kaabie w samym centrum Haram Szarif, w świętym meczecie.Musimy tam iść.Panczajatowska pi ątka rozpoczęła gwałtown ą dyskusję. Trzeba było wzi ąć pod uwagę nie zebrane z pól zbiory oraz fakt, że nie można porzucić domów tak 195

en masse. — Nie, to absolutnie wykluczone, dziecko — powiedział jej Sarpancz.— Dobrze wiadomo, że Allah wybacza, jeżeli ktoś naprawdę nie jest w stanie odbyć hadżdży i umry ze względu na ubóstwo lub stan zdrowia. — Ale Aisza nie odezwała się ani słowem i starsi kontynuowali dyskusję. Następnie stało się tak, jak gdyby jej milczenie zaraziło pozostałych i przez dłuższ ą chwilę, w czasie której sprawa została rozstrzygnięta — chociaż w jaki sposób, nikt nigdy nie zdołał

poj ąć — nikt nie odezwał się ani słowem.To klown Osman przerwał w końcu tę ciszę, Osman przechrzta, dla którego nowa wiara nie była niczym więcej jak piciem wody. — St ąd do morza jest prawie dwieście mil — krzykn ął. — S ą tu stare kobiety, dzieci. Jakżeż my wszyscy możemy pójść?— Bóg da nam siłę — odpowiedziała spokojnie Aisza.— Czy nie przyszło wam do głowy — krzyczał dalej Osman, nie chc ąc dać za wygran ą — że między nami a Mekk ą Szarif jest olbrzymi ocean? Jak go przebę-dziemy? Nie mamy pieniędzy na opłacenie miejsc na statkach dla pielgrzymów.Może anioł spowoduje, że wyrosn ą nam skrzydła, abyśmy mogli polecieć?Wielu rozzłoszczonych wieśniaków otoczyło bluźniercę Osmana kołem. —

Uspokój się natychmiast — zganił go Sarpancz Muhammad Din. — Przecież całkiem niedawno przył ączyłeś się do naszej wioski i wiary. Trzymaj swoj ą jadaczkę zamknięt ą i ucz się naszych zwyczajów.Osman jednak odpowiedział zuchwale: — To tak witacie nowych osadników?Nie jako ludzi równych, ale chłopów, którzy maj ą robić to, co im powiedziano?— Kr ąg mężczyzn o czerwonych twarzach zacz ął się zacieśniać wokół Osmana, ale zanim cokolwiek zd ążyło się wydarzyć, kahina Aisza zmieniła całkowicie atmosferę, odpowiadaj ąc na pytanie klowna:

— To również zostało wyjaśnione przez anioła — powiedziała spokojnie. —

Przejdziemy dwieście mil, a kiedy dojdziemy do brzegów morza, zanurzymy nasze stopy w pianie morskiej i wody otworz ą się przed nami. Fale rozdziel ą się i przejdziemy po-dnie-oceanu do Mekki.

\* \* \*Następnego ranka Mirza Sajjid Achtar obudził się w domu, w którym panowała niezwykła cisza, i kiedy wezwał służ ących, nie było żadnej odpowiedzi. Cisza ta ogarnęła również pola ziemniaków; jedynie pod szerokim rozpostartym dachem Titlipurskiego drzewa panował rwetes i krz ątanina. Panczajat jednogłośnie zadecydował, że trzeba usłuchać rozkazu Archanioła Gibrila, a wieśniacy rozpoczęli przygotowania do wymarszu. Pocz ątkowo Sarpanch chciał, aby cieśla Isa zrobił

196

lektyki ci ągnięte przez woły, na których mogłyby jechać osoby stare i niedołęż-ne, ale pomysł ten został uśmiercony przez jego własn ą żonę, która powiedziała mu, — Nie słuchaj tego, Sarpanchu! Czyż anioł nie powiedział, że musimy pod ążać piechot ą? W takim razie właśnie tak musimy uczynić. — Jedynie najmłodsze z małych dzieci miały być niesione (tak zdecydowano) przez dorosłych na zmianę.Wieśniacy poł ączyli wszystkie swoje zapasy i obok gałęzi panczajatu piętrzyły się stosy ziemniaków, soczewicy, ryżu, gorzkich tykw, czerwonego pieprzu, oberżyny i innych warzyw. Te wszystkie produkty żywnościowe miały być podzielone na równe porcje pomiędzy pielgrzymów. Również naczynia kuchenne zostały złożone na wspólnym stosie, a także pościel, jeśli tak ą dało się w ogóle znaleźć. Miano zabrać zwierzęta poci ągowe oraz kilka wozów do przewozu żywych kurczaków i tym podobnych, ale ogólnie pielgrzymów obowi ązywały instrukcje Sarpancza, stanowi ące, że rzeczy osobiste należy zredukować do minimum. Przygotowania rozpoczęto jeszcze przed świtem i kiedy rozzłoszczony Mirza Sajjid wszedł do wsi, prace były daleko zaawansowane. Przez czterdzieści pięć minut zamindar zwolnił tempo tych robót, wygłaszaj ąc gniewne przemówienie i potrz ąsaj ąc niektórymi chłopami, aż w końcu na całe szczęście zrezygnował i odszedł, a więc można było kontynuować pracę w poprzednim, szybkim tempie. Kiedy Mirza odchodził, pukał się w czoło i wyzywał ludzi, krzyczał wariaci kpy i używał jeszcze innych bardzo brzydkich określeń, no ale cóż ostatecznie zawsze był bezbożni-kiem, słabym spadkobierc ą silnego rodu i trzeba było go pozostawić własnemu losowi, by sam odnalazł swoje przeznaczenie; z ludźmi jego pokroju nie ma sensu dyskutować.Przed zachodem słońca wieśniacy byli gotowi do drogi i Sarpancz polecił

wszystkim zebrać się we wczesnych godzinach porannych na modlitwy, aby zaraz potem mogli wyruszyć i w ten sposób unikn ąć największego upału. Tej nocy, kład ąc się na macie obok starej Chadidży, mrukn ął: — Nareszcie. Zawsze chciałem zobaczyć Kaabę, obejść j ą dookoła, zanim umrę. — Uścisnęła jego rękę. — Ja również zawsze żyłam tak ą nadziej ą, wbrew nadziei — powiedziała. — Pójdziemy razem przez fale.Mirza Sajjid, doprowadzony widokiem przygotowuj ącej się do drogi wioski do bezsilnego szaleństwa, wpadł bezceremonialnie do pokojów swojej żony. —

Powinnaś zobaczyć, co się tam dzieje, Miszu — wykrzykn ął, śmiesznie gestyku-luj ąc. — Całe Titlipur pożegnało się ze zdrowym rozs ądkiem i rusza ku morskie-mu wybrzeżu. Co się stanie z ich domami, polami? Okolicę czeka ruina. Musieli być w to zamieszani agitatorzy polityczni. Ktoś kogoś przekupił. Czy myślisz, że post ąpi ą jak normalni ludzie i zostan ą, gdy zaoferuję im pieni ądze? — Zamilkł.W pokoju była Aisza.— Ty dziwko — przekl ął j ą. Siedziała po turecku na łóżku, a Miszal i jej matka przykucnęły na podłodze, sortuj ąc swoje rzeczy i próbuj ąc jak najbardziej ograniczyć ilość potrzebnych im na pielgrzymce.197

— Ty nie pójdziesz — wykrzykiwał patetycznie Mirza Sajjid. — Zakazuję ci, chyba tylko diabeł wie, jakim choróbskiem ta dziwka zaraziła wieśniaków, ale ty jesteś moj ą żon ą i nie daję swojego pozwolenia na twój udział w tym samobój-czym przedsięwzięciu.— No, no, niezłe słowa. — Miszal zaśmiała się z gorycz ą. — Sajjid, dobry dobór słów. Wiesz, że umieram, a mówisz o samobójstwie. Sajjid, dziej ą się tu ważne rzeczy, a ty ze swoim importowanym europejskim ateizmem nie wiesz, czego dotycz ą. Zreszt ą, może byś i wiedział, gdybyś zajrzał pod te swoje angielskie garnitury i spróbował odnaleźć serce.— Nie do wiary — krzykn ął Sajjid. — Miszal, Miszu, czy to naprawdę ty?Nagle zmieniłaś się w dewotkę, typ z zamierzchłych czasów?Pani Kurajszi powiedziała: — Odejdź, synu. Nie ma tu miejsca dla niewierz ących. Anioł powiedział Aiszy, że kiedy Miszal dojdzie z pielgrzymk ą do Mekki, jej rak zniknie. Wszystkiego ż ądaj ą i wszystko będzie dane.Mirza Sajjid Achtar oparł dłonie o ścianę w sypialni żony i przycisn ął czoło do tynku. Po dłuższym milczeniu powiedział: — Jeżeli chodzi tu o spełnienie umry, wobec tego, na miłość bosk ą, jedźmy do miasta i wsi ądźmy do samolotu.Możemy być w Mekce za parę dni.Miszal odpowiedziała: — Rozkazano nam pod ążać pieszo.Sajjid stracił panowanie nad sob ą. — Miszal? Miszal? — wykrzykn ął. — Rozkazano? Archanioły, Miszu? Gibril? Bóg z dług ą brod ą i aniołowie ze skrzydłami?Niebo i piekło, Miszal? Diabeł ze spiczastym ogonem i rozszczepionymi kopytami? Co jeszcze? Czy kobiety maj ą dusze, co powiesz na to? Albo inaczej: czy dusze s ą podzielone na dusze kobiet i dusze mężczyzn? Czy Bóg jest czarny, czy biały? Kiedy rozst ąpi ą się fale oceanu, dok ąd przemieści się ta dodatkowa woda?Czy woda stanie pionowo po dwóch stronach jak ściany? Miszal? Odpowiedz mi.Czy istniej ą cuda? Czy wierzysz w Raj? Czy zostan ą mi wybaczone grzechy? —

Zacz ął szlochać i padł na kolana, z czołem wci ąż przyciśniętym do ściany. Jego umieraj ąca żona podeszła do niego i objęła go. — Idź wobec tego na pielgrzymkę

— powiedział przytłumionym głosem. — Ale przynajmniej weź swojego mercedesa kombi. Ma klimatyzację i możesz wzi ąć cał ą lodówkę pełn ą coca-coli.— Nie — odpowiedziała cicho. — Pójdziemy jak wszyscy. Jesteśmy pielgrzy-mami, Sajjid. To nie piknik na plaży.— Nie wiem, co zrobić — szlochał Mirza Sajjid Achtar. — Miszu, nie potrafię sam sobie z tym poradzić.Aisza odezwała się z łóżka, na którym wci ąż siedziała. — Mirza, sahibie, chodź z nami — powiedziała. — Twoje idee się przeżyły. Chodź i ocal swoj ą duszę.Sajjid podniósł się. oczy miał zaczerwienione — Chciałaś cholernej wycieczki

— powiedział ze złości ą do pani Kurajszi. — Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Twoje przekleństwo z pewności ą spadło na głowę przeklinaj ącego. Twoja 198

wycieczka wykończy nas wszystkich, siedem pokoleń, cał ą tę paczkę.Miszal oparła swój policzek o jego plecy. — Chodź z nami, Sajjid. Po prostu chodź.Odwrócił się ku Aiszy. — Boga nie ma — powiedział stanowczo.— Nie ma Boga innego niż Bóg, a Muhammad jest Jego Prorokiem — odpowiedziała.— Doświadczenie mistyczne jest prawd ą subiektywn ą, a nie obiektywn ą —

ci ągn ął. — Wody się nie rozst ąpi ą.— Morze rozst ąpi się na rozkaz anioła — odpowiedziała Aisza.— Prowadzisz tych ludzi ku oczywistej katastrofie.— Zabieram ich na łono Boga.— Nie wierzę w ciebie — upierał się Mirza Sajjid. — Ale zamierzam pójść i na każdym kroku będę próbował położyć kres temu szaleństwu.— Bóg wybiera wiele środków — odparła Aisza — wiele dróg, które mog ą przywieść w ątpi ących do jego prawd.— Idź do diabła — krzykn ął Mirza Sajjid Achtar i wybiegł z pokoju, rozpę-dzaj ąc motyle.

\* \* \*— I kto tu jest szalony — szepn ął klown Osman swemu wołowi do ucha, czyszcz ąc go w małej obórce — obł ąkana czy błazen, który kocha obł ąkan ą? —

Wół nie odpowiedział. — A może powinniśmy byli zostać pariasami? — mówił

dalej Osman. — Przymusowy ocean brzmi o wiele gorzej niż zakazana studnia.— I byczek kiwn ął głow ą, dwakroć na tak, bum, bum.V

Miasto widzialne,lecz nie widziane

1

Kiedy już przemienię się w sowę, jak wypowiem zaklęcie, które przywróci mi moj ˛

a właściw ˛

a postać? Pan Muhammad Sufjan, właściciel Shaandaar Café i gospodarz znajduj ących się ponad ni ą pokoi do wynajęcia, mentor różnorodnych, przejezdnych i różnokolorowych gości obu tych miejsc, doświadczony facet, najmniej doktrynerski z wszystkich hadżi i najbardziej bezwstydny z entuzjastów filmów wideo, były nauczyciel, samouk i znawca klasyki wielu kultur, zwolniony z pracy na poczcie w Dhace z powodu zapatrywań na kulturę skrajnie odmiennych od przekonań pewnych generałów w tych dawnych czasach, kiedy Bangladesz był

zaledwie Wschodnim Skrzydłem, i od tej pory, mówi ąc jego słowami „nie tyle karzeł imigrant, co emigrant” — słowo „karzeł” to jego dobroduszna aluzja do zbyt małej ilości centymetrów, gdyż mimo że był barczystym mężczyzn ą, potężnym w ramionach i w pasie, nie wznosił się nad ziemię wyżej niż na jakieś metr pięćdziesi ąt, stał mrugaj ąc zaspanymi oczyma w drzwiach swojej sypialni, obudzony gwałtownym dobijaniem się Jumpy Joshiego tuż po północy, wyczyścił swoje okulary w półoprawkach o skraj kurty w stylu bengalskim (ze sznurkami zawi ązanymi pod szyj ą w zgrabn ą kokardkę), zacisn ął mocno powieki, zamkn ął je przed swoimi krótkowzrocznymi oczyma, włożył z powrotem okulary, otworzył oczy, pogłaskał się po pozbawionej towarzystwa w ąsów, farbowanej henn ą brodzie, cmokn ął, i zareagował na niezaprzeczaln ą obecność rogów na czole trzęs ącego się faceta, którego Jumpy, zupełnie jak kot, najwyraźniej zwabił do środka wymyślonym na poczekaniu żartem, o treści podanej wyżej, skradzionym, z bystrości ą umysłu pochwały godn ą jak na kogoś wyci ągniętego z głębokiego snu, Lucju-szowi Apulejuszowi z Madaury, kapłanowi marokańskiemu, A.D. 120-ok. 180, obywatelowi kolonii wczesnego Cesarstwa, osobie, która odparła oskarżenie, jakoby rzuciła urok na bogat ą wdowę, jednak przyznała się, nieco przewrotnie, do tego, że w młodości padła ofiar ą czarnej magii i została zamieniona w (nie, wcale nie w sowę, lecz) osła.— Tak, tak — ci ągn ął Sufjan, wychodz ąc na korytarz i dmuchaj ąc w zgrabiałe dłonie biał ą mgł ą zimowego oddechu. — Biedny nieszczęśnik, ale nie czas na rozpamiętywanie. Trzeba przyj ąć konstruktywn ą postawę. Pójdę obudzić żonę.Czamcza miał potargan ą i pokryt ą kurzem brodę. Owinięty był w koc udra-powany na nim jak toga, spod którego wystawały komicznie zdeformowane koźle kopyta, górę okrywała tragikomiczna kurtka z owczej skóry pożyczona od Jumpy’ego, z postawionym kołnierzem, tak że owcze kędziory znajdowały się o kilka tylko centymetrów od ostrych kozich rogów. Wydawał się niezdolny wykrztusić z siebie choćby słowo, ruchy ciała miał niemrawe, wzrok przyćmiony; nawet pomimo to, że Jumpy usiłował dodać mu otuchy — „Dobrze już, dobrze, rozumiesz, 201

rozwi ążemy cał ą sprawę w mig” — on, Saladyn, wci ąż był najbardziej apatycz-nym i biernym ze wszystkich — wszystkich co? — powiedzmy: satyrów. Tymczasem Sufjan wyst ąpił z dalszymi słowami apulejuszowskiego współczucia. —

W przypadku osła odwrotna metamorfoza wymagała osobistej interwencji bogi-nii Izydy — rozpromienił się. — Ale stare dzieje s ą dla starych pryków. W twoim przypadku, mój młody panie, pierwszym krokiem będzie miska dobrej gor ącej zupy.Tutaj jego dobrotliwy głos został zagłuszony przez interwencję drugiego, wznosz ącego się z przerażenia na operowe rejestry; kilka chwil później niska postać Sufjana została popchnięta i odsunięta na bok przez ogromn ą otył ą kobietę, która najwidoczniej nie mogła się zdecydować, czy całkowicie usun ąć go ze swojej drogi, czy też trzymać przed sob ą jako tarczę ochronn ą. Kul ąc się za Sufjanem, ta nowa istota wyci ągnęła trzęs ąc ą się rękę zakończon ą drż ącym, grubym palcem wskazuj ącym o purpurowym paznokciu. — To coś, o tam — zawyła. — Co to za zjawa zwaliła się nam na głowę?— To jest przyjaciel Joshiego — Sufjan uśmiechn ął się łagodnie i mówił dalej, zwracaj ąc się do Czamczy: — Proszę wybaczyć, ale nagłość tego et cet, no nie?W każdym razie, czy mogę przedstawić moj ą pani ą; moj ą Begum Sahiba, Hind.— Co za przyjaciel? Jak to przyjaciel? — krzyknęła kul ąca się osoba. — Ya Allah, czy nie masz oczu na miejscu?Korytarz, — o podłodze z gołych desek i ze ścianami pokrytymi podart ą tapet ą w kwiatki, — zacz ął wypełniać się zaspanymi mieszkańcami. Wyróżniały się pomiędzy nimi dwie nastolatki, jedna rozczochrana, druga z włosami zwi ązanymi w koński ogon, a obydwie z przyjemności ą korzystały z okazji zademonstrowa-nia swoich umiejętności (zdobytych od Jumpy’ego) w walkach obronnych karate i Wing-Chun: córki Sufjana, Miszal (lat siedemnaście) i piętnastoletnia Anahita, wyskoczyły ze swojej sypialni w strojach sportowych, piżamach Bruce’a Lee, zarzuconych niedbale na T-shirty z nadrukiem nowej Madonny; — spostrzegły nieszczęsnego Saladyna; — i aż pokręciły głowami z niekłamanego zachwytu.— Ostre — powiedziała Miszal z uznaniem. A jej siostra przytaknęła, kiwaj ąc głow ą: — Ale bomba. Pieprzona pi ątka — Matka jednak nie zganiła jej za niewybredny język; Hind myślami była gdzie indziej i zaczęła zawodzić jak nigdy dot ąd: — Spójrzcie na tego mojego męża. Co za hadżi z niego? Oto sam Szejtan we własnej osobie wchodzi do naszego domu, a mnie zmusza się jeszcze, żebym podała mu gor ąc ą yakhni z kurczaka, przygotowan ą moimi własnymi rękoma.Na nic się teraz zdały skierowane do Hind prośby Jumpy Joshiego o wyrozumiałość, próby wyjaśnień czy domaganie się solidarności. — Jeżeli on nie jest diabłem wcielonym, u licha — dama z faluj ącym biustem użyła argumentu nie do zbicia — to sk ąd ten nieznośny smród, który on wydycha? Może z Wonnych Ogrodów?— Wcale nie z Gulistanu, ale z Bustanu — odezwał się nagle Czamcza. —

202

Lot AI-420 — Kiedy jednak Hind usłyszała jego głos, zapiszczała przeraźliwie i rzuciła się w stronę kuchni.— Proszę pana — powiedziała Miszal do Saladyna, kiedy jej matka zbiegła jak oszalała schodami w dół — ktoś, kto jest w stanie j ą aż tak przerazić, musi być naprawdę zły.— Paskudny — zgodziła się Anahita. — Witamy na pokładzie.

\* \* \*Owa Hind, obecnie tak mocno okopana na pozycjach wrzaskliwego sposobu reagowania, była kiedyś — dziwnetoleczprawdziwe! — najbardziej rumieni ąc ą się ze wszystkich panien młodych, uosobieniem łagodności, prawdziwym wcieleniem tolerancyjnego dobrego nastroju. Jako żona nauczyciela i erudyty z Dhaki ochoczo podjęła swoje obowi ązki, doskonała towarzyszka życia, przynosz ąca mężowi herbatkę pachn ąc ą kardamonem, kiedy siedział do późna w nocy, sprawdza-j ąc prace egzaminacyjne, wkradał się w łaski dyrektora szkoły na cosemestralnej Wycieczce Rodzin Nauczycieli, borykał się z powieściami Bibhutibhuszana Ba-nerdżiego i z metafizyk ą Tagore’a, próbowała być godna swojego małżonka, który potrafił swobodnie cytować z Rigwedy, jak i z Koranu, z zapisków wojennych Ju-liusza Cezara, jak również z Apokalipsy św. Jana. W owych czasach była pełna podziwu dla jego pluralistycznej otwartości umysłu i w swojej kuchni d ążyła do podobnego eklektyzmu, ucz ąc się przygotowywać dosa i uttapam południowej Indii, jak również delikatne klopsiki Kaszmiru. Stopniowo jej poparcie dla sprawy gastronomicznego pluralizmu przerodziło się w wielk ą pasję i podczas gdy zwolennik laicyzacji Sufjan połykał rozliczne kultury subkontynentu — „i nie udawajmy, że nieobecna jest tu kultura Zachodu; po upływie stuleci, jakże mogłaby i ona nie być części ą naszej spuścizny?” — jego żona przyrz ądzała, i zjadała w coraz większych ilościach, jedzenie. I kiedy tak pożerała mocno przyprawione dania Hajdarabadu i wysokokaloryczne jogurty z Lukhnau, jej ciało zaczęło się zmieniać, ponieważ całe to jedzenie musiało znaleźć gdzieś swoje miejsce, i powoli zaczęła przypominać ten łagodnie pofałdowany olbrzymi kraj, subkontynent bez granic, ponieważ jedzenie przekracza wszelkie możliwe granice.

Pan Muhammad Sufjan, jednakże, nie przybrał w ogóle na wadze: ani jednej tola, ani jednej uncji.Jego odmowa przybierania na wadze była pocz ątkiem problemów. Kiedy czyniła mu wymówki: — Nie lubisz mojej kuchni? Dla kogo robię to wszystko i puchnę jak balon? — odpowiadał jej łagodnie, patrz ąc na ni ą z dołu (była wyższa) sponad górnej krawędzi okularów w półoprawce: — Powści ągliwość jest 203

również części ą naszej tradycji, Begum. Jedzenie dwóch kęsów mniej niż domaga się nasze ciało: samozaparcie, droga ascetyczna. — Co za mężczyzna: ma odpowiedzi na wszystko, ale nie można sprowokować go do uczciwej walki.Powści ągliwość — to nie było coś dla Hind. Być może, gdyby Sufjan kiedykolwiek zacz ął narzekać; gdyby chociaż raz powiedział, myślałem, że żenię się z jedn ˛

a kobiet ˛

a, ale teraz jest ciebie tyle, ze dałoby się zrobić dwie; gdyby tylko kiedykolwiek dał jej jakiś bodziec! — wówczas być może powstrzymywałaby się, dlaczego by nie, na pewno by to zrobiła; a więc to on był winny, nie maj ąc w sobie żadnej agresji, cóż to jest za mężczyzna, który nawet nie wie, jak lżyć swoj ą tłust ą żonę? — W istocie było wysoce prawdopodobne, że Hind nie byłaby w stanie opanować swoich gastronomicznych szaleństw, nawet gdyby Sufjan nie zawiódł

jej nadziei i poczęstował j ą porcj ą przekleństw i błagań; jednak ponieważ tego nie zrobił, w dalszym ci ągu pałaszowała swoje przysmaki, rada, że może zrzucić na męża cał ą winę za swój wygl ąd.Prawdę powiedziawszy, skoro już raz zaczęła winić go za cokolwiek, stwierdziła, że jest jeszcze spora liczba innych spraw, które również ma mu za złe; a na dobitkę przypomniała sobie, że ma język w gębie, nic więc dziwnego, że skromne mieszkanie nauczycielskie rozbrzmiewało donośnymi dźwiękami regularnie wtóruj ącymi Sufjanowi w czasie poprawiania wypracowań, których z powodu swojej nieśmiałości nie oddawał uczniom. A przede wszystkim dostawało mu się za jego całkowicie nienaruszalne zasady, które, Hind powiedziała mu, nigdy nie pozwol ą jej zostać żon ą bogatego człowieka; — no bo co można powiedzieć o człowieku, który stwierdziwszy, że bank omyłkowo wpłacił na jego konto dwie pensje w jednym miesi ącu, z miejsca zwrócił uwagę tej instytucji na bł ąd i oddał gotówkę?; —

jak ą nadzieję można było ł ączyć z nauczycielem, który, nagabywany przez najbo-gatszych rodziców, kategorycznie odmawiał przyjęcia zwykłej przecież zapłaty za przysługę wyświadczon ą przy ocenianiu arkuszy egzaminacyjnych młodych ludzi?— Jednak wszystko to mogłabym jeszcze wybaczyć — mamrotała ponuro pod jego adresem, nie dopowiadaj ąc zdania do końca, który to koniec brzmiał gdyby nie twoje dwa prawdziwe występki: twoje seksualne, i polityczne, zbrodnie.Od samego pocz ątku małżeństwa podejmowali życie seksualne nieczęsto, w całkowitej ciemności, głuchej ciszy i niemal kompletnym bezruchu. Hind nie przyszłoby do głowy kręcić się to w jedn ą, to w drug ą stronę czy kołysać się, a ponieważ wydawało się jej, że Sufjan załatwia sprawę ograniczaj ąc ruch do ab-solutnego minimum, przyjmowała za pewnik — zawsze tak uważała — że oboje s ą jednomyślni w tej kwestii, mianowicie, że jest to nieprzyzwoita sprawa, o której nie powinno się rozmawiać ani przed, ani po, jak również na któr ą nie należy zwracać uwagi w trakcie. To, że dzieciom nie spieszno było na ten świat, przyjęła jako karę Boż ą za On tylko wie jakie przewiny jej młodości; a win ą za to, że dzieci były dziewczynkami, nie obarczała Allaha, daj ąc pierwszeństwo cherlawemu 204

nasieniu wszczepionemu w ni ą przez jej niemęskiego małżonka, nie powstrzyma-ła się zreszt ą przed wyrażeniem swojego zdania, i to z naciskiem i ku przerażeniu akuszerki, podczas urodzin małej Anahity. — Znowu dziewczynka — zasapała z odraz ą. — Cóż, jeśli się weźmie pod uwagę, kto zrobił to dziecko, to powinnam być szczęśliwa, że nie urodziłam karalucha albo myszy. — Po tej drugiej córce powiedziała Sufjanowi, że już dosyć, i kazała mu wynieść się z łóżkiem do sieni.Przyj ął bez dyskusji jej decyzję, że nie chce mieć więcej dzieci; ale stwierdziła wtedy, że ten rozpustnik s ądzi, że od czasu do czasu może jeszcze wchodzić sobie do jej ciemnego pokoju i uprawiać ten dziwny rytuał ciszy i niemal-bezruchu, któremu przedtem poddawała się jedynie w imię reprodukcji. — Czy ty sobie myślisz — krzyczała na niego za pierwszym razem, kiedy tego spróbował — że robię tę rzecz dla przyjemności?Kiedy już dotarło do jego zakutego łba, że ona mówi poważnie, więcej żadnego bara-bara, o nie, mój panie, że jest przyzwoit ą kobiet ą, a nie szalej ąc ą z poż ądania rozpustnic ą, zacz ął późno wracać do domu. Właśnie w tym czasie — s ądziła wtedy, niesłusznie, że odwiedza prostytutki — zaangażował się w politykę, i to nie żadn ą tam staroświeck ą politykę, och nie, Pan Inteligentny musiał wst ąpić do samych diabłów, do Partii Komunistycznej, a to niemało jak na człowieka z takimi zasadami; demony, oto czym oni byli, o wiele gorsi od kurew. I właśnie z powodu tego babrania się w siłach nadprzyrodzonych musiała spakować się w tak krótkim czasie i wyjechać do Anglii wlok ąc za sob ą dwójkę maleńkich dzieci; z powodu tej ideologicznej czarnej magii musiała znosić cał ą tę nędzę i upokorzenie procesu imigracyjnego; to przez ten jego kult szatana utknęła na zawsze w tej Anglii i nigdy już nie zobaczy rodzinnej wioski. — Anglia — powiedziała mu pewnego razu — jest twoj ą zemst ą za to, że nie pozwoliłam ci na te sprośności, jakie chciałeś wyczyniać z moim ciałem. — Nic na to nie odpowiedział; a milczenie jest oznak ą zgody.I co zapewniło im przeżycie w tym Wilajacie jej wygnania, tym Yuké mści-wości jej opętanego seksem męża? Co? Czy Jego ksi ążkowa wiedza? Jego Gitan-dżali, Eklogom. czy tej sztuce Otello, która, jak wyjaśniał, naprawdę nazywała się Attallah, czy też Attaullah, po prostu autor nie mógł tego wymówić, zreszt ą, co to był za pisarz?Tym czymś było: jej gotowanie. — Shaandaar — chwalono je. — Znakomite, świetne, wyśmienite. — Ludzie przyjeżdżali z całego Londynu, żeby jeść jej samosa, jej bombajski chaat, jej gulab-dżaman prosto z Raju. Co miał tam Sufjan do roboty? Przyjmować pieni ądze, podawać herbatę, biegać to tu, to tam, zachowywać się jak służ ący, mimo całego swojego wykształcenia. O tak, oczywiście, klienci lubili go, zawsze miał miły charakter, ale kiedy prowadzi się restaurację, nie za konwersację ci płac ą. Jalebis, barfi. Dziś szef kuchni poleca. Jakiego figla spłatało mu życie! Ona była teraz pani ą.Zwycięstwo!205

A jednak prawd ą było również, że ona, kucharka i żywicielka rodziny, główny konstruktor sukcesu Shaandaar Café, który pozwolił im ostatecznie wykupić cały trzypiętrowy budynek i zacz ąć wynajmować pokoje, — ona była jedyn ą osob ą, wokół której unosił się, jak zły oddech, miazmat klęski. Sufjan w dalszym ci ągu błyszczał, natomiast ona wygl ądała na przygaszon ą, jak żarówka z przepalonym włóknem, jak wypalona gwiazda, jak zgaszony płomień. — Dlaczego? — Dlaczego, kiedy Sufjan, pozbawiony swojego zawodu, uczniów i szacunku, skakał

jak kózka i zacz ął nawet przybierać na wadze, tyj ąc w Tym Właśnie Londynie, tak jak nigdy nie udało mu się to tam, w domu; dlaczego, kiedy władza wymknęła mu się z r ąk i przeszła w jej ręce, dlaczego wygl ądała jak — według określeń męża — „smętny worek”, „stary kapeć” i „zmokła kura”? Po prostu: nie pomimo, lecz z powodu. Wszystko, cokolwiek ceniła, zostało wywrócone przez zmianę; zostało w tym procesie przeniesienia — utracone.Jej mowa: zmuszona obecnie do wydawania z siebie tych obcych dźwięków, które szybko męczyły jej język, czyż nie miała prawa jęczeć? Jej rodzinne strony: co to ma za znaczenie, że przedtem mieszkali w Dhace, w skromnym mieszkaniu nauczycielskim, a teraz, dzięki duchowi przedsiębiorczości, oszczędnościom i wprawie w stosowaniu przypraw zajmuj ą ten trzypiętrowy budynek stoj ący w szeregu domów? Gdzie jest teraz to miasto, które znała? Gdzie ta wioska jej młodości i zielone kanały jej kraju? Zwyczaje, na których zbudowała swoje życie, też gdzieś się zapodziały, a przynajmniej trudno było je odnaleźć. Nikt w tym Wilajacie nie kwapił się do celebrowania czasochłonnej wymiany uprzejmości, charakterystycznej dla życia w kraju rodzinnym, czy rozlicznych obrzędów religijnych. Ponadto: czy nie musi cierpliwie znosić męża, człowieka bez pozycji, choć wcześniej mogła się pławić w blasku jego dostojeństwa? Czy może teraz być dumna z tego, że musi pracować na swoje utrzymanie, jego utrzymanie, natomiast przedtem mogła sobie siedzieć w domu w stosownym przepychu? — A wiedziała, jakżeby mogła nie wiedzieć, że pod jego jowialności ą kryje się smutek, i to również było klęsk ą; nigdy nie czuła się tak nie na miejscu jak teraz jako żona, co to zreszt ą za Pani, która nie potrafi pocieszyć swojego męża, a musi zachować pozory szczęścia i zadowolić się nimi, jak gdyby to była prawda. — A dodatkowo jeszcze: przybyli do diabelskiego miasta, gdzie wszystko mogło się przytrafić, w nocy twoje szyby wylatywały z okien bez żadnego powodu, niewidzialne rę-ce przewracały cię na ulicy, w sklepach padały takie obelgi, że uszy więdn ą, ale kiedy człowiek spojrzał w kierunku słów, widać było jedynie pust ą przestrzeń i uśmiechnięte twarze, a codziennie słyszało się, że ten chłopiec czy ta dziewczyna zostali pobici przez duchy. — Tak, kraj niewidzialnych skrzatów, oto jak można to wyjaśnić; najlepiej pozostać w domu, nie wychodzić nawet, aby wrzucić list, pozostać wewn ątrz, zamkn ąć drzwi na klucz, odmówić należne modlitwy, a gobliny (być może) będ ą się trzymać od nich z daleka. — Przyczyny klęski?Baba, kto potrafiłby je zliczyć? Nie tylko to, że jest żon ą sklepikarza i kuch-206

t ą, ale nawet to, że nie można polegać na swoich rodakach; — było wśród nich wielu mężczyzn, których uważała za porz ądnych facetów, sharif, którzy przez telefon rozwodzili się z żonami, a sami uciekali z jak ąś tam haramzadi-kobiet ą, były wśród nich dziewczyny, które zabijano ze względu na posag (niektóre rzeczy wolno było przewieźć przez granicę bez cła); (a co najgorsze, trucizna tej diabelskiej-wyspy dostała się do krwi jej własnych dzieci, które dorastaj ąc odmówiły używania ojczystego języka, chociaż rozumiały każde słowo, a jeżeli używały, to tylko po to, żeby kogoś zranić; Miszal obcięła całkiem włosy, a następnie poma-lowała na wszystkie kolory tęczy; a dzień w dzień wci ąż walki, kłótnie, awantury,— najboleśniejsze było to, że w jej skargach nie było nic nowego pod słońcem, tak wygl ądała sytuacja wszystkich kobiet do niej podobnych, a więc nie była wy-j ątkiem, po prostu przykładem, po prostu sob ą, po prostu Hind żon ą nauczyciela Sufjana; utonęła w anonimowości, w bezkształtnym tłumie, staj ąc się tylko jedn ą-z-podobnych-sobie-kobiet. Była to lekcja historii: kobietom-jej-podobnym nie pozostawało nic innego, jak cierpieć, wspominać, i umrzeć.A oto, co zrobiła: aby zanegować słabość męża, przeważnie traktowała go jak pana, jak władcę, ponieważ w jej utraconym świecie jej chwała ukryta była w je-go chwale; aby zaprzeczyć, że na zewn ątrz kawiarni istniej ą duchy, pozostawała cały czas wewn ątrz, wysyłaj ąc innych po zakupy pr ąwiantu i rzeczy niezbędnych w gospodarstwie, a również po nie kończ ąc ą się dostawę wideo-filmów w języku bengalskim i hindi, dzięki którym (jak również dzięki jej stale-powiększaj ącemu-

-się zbiorowi hinduskich czasopism filmowych) mogła pozostawać w kontakcie z wydarzeniami w „prawdziwym świecie”, takimi jak dziwaczne zniknięcie nie-zrównoważonego Gibrila Fariszty, a następnie tragiczny komunikat o jego śmierci w katastrofie lotniczej; i aby dać ujście swoim uczuciom pokonanej, wyczerpa-nej rozpaczy, krzyczała na swoje córki. Starsza, odpłacaj ąc pięknym za nadobne, obcięła sobie włosy i pozwoliła, by jej sutki przebijały się przez prowokacyjnie obcisłe koszulki.Zjawienie się w pełni rozwiniętego diabła, rogatego kozła-człowieka było, w świetle powyższego, czymś w rodzaju przepełniaj ącej, a w każdym razie na pewno dopełniaj ącej kielich kropli.

\* \* \*Mieszkańcy Shaandaaru zebrali się w nocnej kuchni na zaimprowizowanej kryzysowej konferencji na szczycie. Kiedy tak Hind miotała przekleństwami w zupę z kurczaka, Sufjan umieścił Czamczę przy stole, podsuwaj ąc mu najpierw aluminiowe krzesło z niebieskim plastykowym siedzeniem, i rozpocz ął nocne ob-207

rady. Z przyjemności ą donoszę, że nauczyciel na wygnaniu, mówi ący swoim najlepszym dydaktycznym głosem, cytował teorie Lamarcka. Kiedy Jumpy skończył

szczegółowo opowiadać niemił ą historię Czamczowego upadku z nieba — sam bohater był zbyt pochłonięty jedzeniem zupy z kurczaka i swoim cierpieniem, by móc mówić — Sufjan, cmokaj ąc, nawi ązał do ostatniego wydania „O powstawa-niu gatunków”. — W którym nawet wielki Karol przyj ął ideę mutacji in extremis, która miałaby zapewnić przetrwanie gatunków; a więc cóż z tego, że zwolennicy jego teorii — zawsze bardziej darwinowscy niż on sam! — odrzucili po śmierci uczonego tę lamarksowsk ą herezję, podkreślaj ąc znaczenie doboru naturalnego i niczego innego poza tym — jednak, jestem zmuszony przyznać, taka teoria nie obejmuje pojedynczych osobników, lecz jedynie gatunek jako całość — a dodatkowo odnośnie istoty niutacji, rzecz w tym, aby zrozumieć rzeczywist ą przydatność takiej zmiany.— Ta-ta — Anahita Sufjan przerwała te rozmyślania, wzniosła oczy ku niebu podpieraj ąc się dłoni ą. — Przestań. Chodzi o to, w jaki sposób on mógł przemienić się w takiego, takiego — z podziwem w głosie — potwora.Na co diabeł we własnej osobie oderwał wzrok od rosołu z kurczaka i wrzasn ął. — Nie, nie jestem. Nie jestem potworem o nie, z cał ą pewności ą nie jestem. — Wydawało się, że jego głos wydobywa się z niezmierzonej otchłani żalu i wzruszył on i zaniepokoił młodsz ą dziewczynę, która podbiegła do niego i spon-tanicznie głaszcz ąc nieszczęśliw ą bestię po ramieniu, powiedziała chc ąc naprawić szkodę: — Oczywiście, że nie jesteś, przepraszam oczywiście, nie s ądzę, żebyś był potworem; ale po prostu wygl ądasz jak potwór.Saladyn Czamcza wybuchn ął płaczem.W tym czasie pani Sufjan, przerażona zachowaniem młodszej córki, która przecież naprawdę dotknęła tego stwora, zwróciła się do galerii mieszkańców w nocnych koszulach, machnęła w ich stronę chochl ą, staraj ąc się uzyskać z tej strony poparcie. — To nie do zniesienia. — Honor, bezpieczeństwo młodych dziewcz ąt s ą w niebezpieczeństwie. — Że też w moim własnym domu, taka rzecz. . . !Miszal Sufjan straciła cierpliwość.— Jezu, Mamo.— Jezu?Myślicie, że to tylko tymczasowe? Miszal obróciła się tyłem do zgorszonej Hind, kieruj ąc pytanie do Sufjana i Jumpy’ego. — Jakiś rodzaj tego tam opętania,— może moglibyśmy wiecie poddać go egzorcyzmom? — Wróżby, znaki, światła, wampiry, koszmary z Elm Street, wszystko to pojawiło się w podnieconych oczach dziewczyny, wydawało się, że jej ojciec, taki sam pasjonat filmów wideo jak każdy nastolatek, jest gotów rozważyć tę możliwość poważnie. — W „Der Steppenwolf” — zacz ął, lecz Jumpy miał już dosyć tych głupstw. — Zasadnicz ą spraw ą — powiedział — jest ideologiczne spojrzenie na sytuację.208

Uciszyło to wszystkich.— Obiektywnie rzecz bior ąc — powiedział z lekkim samokrytycznym uśmiechem — co się tu wydarzyło? Po pierwsze: Bezprawne aresztowanie, zastraszenie, użycie siły. Po drugie: Nielegalne przetrzymywanie, bliżej nieokreślone eksperymenty medyczne w szpitalu, — tu dało się słyszeć potakuj ące głosy, w miarę jak wszyscy obecni wrócili pamięci ą do wspomnień o badaniach ginekologicznych, skandalach Depo-Provera, nielegalnych sterylizacjach przeprowadzanych tuż po porodzie oraz, jeszcze wcześniejszych, wiadomościach o zarzucaniu Trzeciego Świata bezwartościowymi lekarstwami, wszystko dodało wagi oskarżeniom mó-wi ącego, — ponieważ to, w co wierzysz, zależy od tego, co widziałeś — nie tylko od tego, co jest widzialne, ale od tego, czemu jesteś gotów spojrzeć prosto w oczy

— zreszt ą coś musiało uzasadnić obecność tych rogów i kopyt; a na tych policyjnych oddziałach medycznych wszystko jest możliwe. — A po trzecie — ci ągn ął

Jumpy — załamanie psychiczne, utrata poczucia własnego ja, niezdolność radze-nia sobie w różnych sytuacjach. Wszystko to już widzieliśmy.Nikt tego nie kwestionował, nawet Hind; s ą pewne prawdy, z którymi trudno jest się nie zgodzić. — Ideologicznie rzecz bior ąc — powiedział Jumpy —

nie zgadzam się z przyjęciem postawy biernej ofiary. Z cał ą pewności ą uczyniono z niego ofiarę, ale wiemy, że za każde nadużycie władzy s ą po części odpowie-dzialne same ofiary; nasza bierność współdziała z takimi zbrodniami, dopuszcza do nich. — Nakrzyczawszy na zebranych, co przyjęli z wstydliw ą uległości ą, za-ż ądał od Sufjana, aby ten udostępnił mały pokoik na poddaszu, który akurat był

wolny, a Sufjan, z kolei, zrozumiał, że poczucie solidarności i winy nie pozwala mu zaż ądać chociażby jednego pensa opłaty. Hind, co prawda półgłosem, wy-mamrotała: — Teraz, kiedy diabeł jest gościem w moim domu, wiem, że świat zwariował — ale powiedziała to tak cicho, że nikt z wyj ątkiem jej starszej córki Miszal nie słyszał tej wypowiedzi.Id ąc za przykładem swojej młodszej córki, Sufjan podszedł do Czamczy, owi-niętego w koc i pij ącego olbrzymie ilości niezrównanego Hindowego rosołu, przykucn ął i otoczył ramieniem wci ąż-trzęs ącego-się nieszczęśnika. — Najlepsze miejsce dla ciebie jest tutaj — powiedział, jakby zwracał się do prostaka czy małego dziecka. — Gdzie jeszcze mógłbyś leczyć swoje zeszpecenie i wracać do zdrowia? Gdzie jak nie tutaj, z nami, pośród swoich rodaków?Dopiero kiedy Saladyn Czamcza został sam w pokoju na poddaszu, dosłownie resztk ą sił odpowiedział na retoryczne pytanie Sufjana. — Nie jestem taki jak wy

— rzucił wyraźnie w noc. — Nie jesteście moimi rodakami. Pół życia spędziłem usiłuj ąc od was uciec.209

\* \* \*

Jego serce zaczęło brykać, kopać i potykać się, jak gdyby i ono chciało przyj ąć jak ąś now ą diaboliczn ą formę, zast ąpić stary metronomiczny rytm absolutn ą nieprzewidywalności ą tabla improwizacji. Kiedy tak leżał na w ąskim łóżku i, nie mog ąc zasn ąć, rzucał się i przewracał, raz po raz dziobi ąc rogami w prześcieradła i poduszki, nagle poczuł nawrót wieńcowych dziwactw, które przyj ął z fatalistyczn ą rezygnacj ą: jeżeli spotkały go już wszystkie inne nieszczęścia, wobec tego, dlaczego i nie to? Badumbum, uderzyło serce i szarpnęło tułowiem. Uważaj, bo tym razem naprawdę zrobię ci psikusa. Dum. Bumbadum. Tak: to jest Piekło, bez żartów. Miasto Londyn, przemienione w Dżahannam, Gehennę, Muspellheim.Czy diabły cierpi ą w Piekle? Czyż to nie ci z widłami?Przez okno dymnika zaczęła miarowo kapać woda. Tam na zewn ątrz, do tego zdradzieckiego miasta przyszła odwilż, nadaj ąc nawierzchniom niepewn ą konsy-stencję mokrej tektury. Powolne masy bieli ześlizgiwały się z pochyłych dachów pokrytych szar ą dachówk ą. Ślady samochodów dostawczych odciskały się kar-bami w na wpół stajałym śniegu. Pierwszy świt; i rozpocz ął się poranny chór, terkot świdrów przy robotach drogowych, ćwierkanie alarmów przeciwwłama-niowych, ryk istot na kółkach zderzaj ących się na skrzyżowaniach, głęboki war-kot oliwkowozielonego zjadacza śmieci, wrzaskliwe odgłosy radia, dobiegaj ące z drewnianego pomostu dla malarzy, przytulonego do wyższego piętra Piwiarni, ryk budz ących się do życia olbrzymów drogowych pędz ących z przeraźliw ą prędkości ą t ą dług ą w ąsk ą uliczk ą. Spod ziemi dochodziły drgania oznaczaj ące przejście ogromnych dżdżownic, które wchłaniały i wypluwały ludzi, a z nieba dobiegało bębnienie helikopterów i wycie jeszcze wyżej lec ących lśni ących ptaków.Wstało słońce, rozpakowuj ąc miasto, jak gdyby było ono prezentem. Saladyn Czamcza spał.Nie dawało mu to jednak żadnej ulgi: wręcz odwrotnie, przeniosło na ulicę z poprzedniej nocy, któr ą to ulic ą uciekał wtedy w towarzystwie fizjoterapeutki Hiacynty Philips, ku swojemu przeznaczeniu klip-klop, na niepewnych kopytach; i przypomniało mu, w miarę jak miejsce niewoli pozostawało coraz bardziej z ty-łu, a miasto przybliżało się, że twarz i ciało Hiacynty zaczęły się jakby zmieniać.Zobaczył, jak między jej środkowymi górnymi siekaczami pojawiła się i zaczęła rozszerzać przerwa, że jej włosy powi ązały się i zaplotły w meduzy i że dziwny trójk ąt jej profilu, który spadał od czoła do koniuszka nosa, obrócił się wokół osi i teraz szedł do wewn ątrz, ku szyi. W żółtym świetle zobaczył, że jej skóra ciem-nieje z każd ą minut ą, zęby uwydatniaj ą się coraz bardziej, a ciało swoj ą długości ą zaczyna przypominać patykowate postacie z rysunków dzieci. Jednocześnie rzu-210

cała mu spojrzenia coraz bardziej lubieżne i pochwyciła jego rękę w palce tak kościste i tak mocno go trzymaj ące, że odniósł wrażenie, że to szkielet złapał go i usiłuje wci ągn ąć ze sob ą do grobu; czuł zapach świeżo skopanej ziemi, jej zbyt intensywn ą woń, w jej oddechu, na jej wargach. . . ogarnęło go obrzydzenie. Jak w ogóle mogła kiedykolwiek wydać mu się atrakcyjn ą, jak mógł jej kiedykolwiek poż ądać, posuwaj ąc się nawet do tego, że wyobrażał sobie, kiedy tak siedziała na nim okrakiem i uderzeniami wyduszała flegmę z jego płuc, że s ą kochankami miotaj ącymi się w ferworze seksualnych zapasów?. . . Miasto gęstniało wokół nich jak puszcza; budynki oplatały się wokół siebie i stawały się tak spl ątane jak jej włosy.— Żadne światło nie przedostanie się tutaj — szeptała do niego. — Jest ciemno; wszędzie ciemno. — Uczyniła ruch jak gdyby chciała się położyć i przyci ągn ąć go do siebie, do ziemi, lecz on krzykn ął — szybko, kościół — i rzucił się do wnętrza niezbyt przyjemnego pudełkowatego budynku, maj ąc nadzieję znaleźć w nim prawdziwe sanktuarium, w pełnym tego słowa znaczeniu. Wewn ątrz jednak ławki wypełnione były Hiacyntami, młodymi i starymi, Hiacyntami maj ącymi na sobie niezgrabne spodniumy, sztuczne perły i małe okr ągłe-sztywne czepeczki przybrane kawałkami gazy, Hiacyntami w narzuconych dziewiczo białych koszulach, wszelkimi możliwymi do wyobrażenia formami Hiacynty, a wszystkie one śpiewały głośno Umocnij mnie, Jezu; a kiedy zobaczyły Czamczę, porzuciły nabożne pienia i zaczęły obrzucać go przekleństwami w bynajmniej nie nabożnym stylu, Szatan, Kozioł, Kozioł i tym podobne. Stało się oczywiste, że ta sama Hiacynta, z któr ą wszedł do środka, patrzyła teraz na niego zupełnie innymi oczyma, spogl ądała na niego tak, jak on na ni ą przed chwil ą na ulicy; że ona również zaczynała dostrzegać coś, co przyprawiało j ą o mdłości; i kiedy zobaczył obrzydzenie na tej niewyraźnej twarzy o szkaradnie ostrych rysach, po prostu machn ął na wszystko ręk ą „ Hubszi” przekl ął je w tym kościele, z niewiadomego powodu przechodz ąc na zarzucony język ojczysty. Intrygantki i dzikuski, wrzeszczał na nie. — Żal mi was — oświadczył. — Każdego ranka musicie ogl ądać siebie w lustrze i widzicie, że patrzy na was coś ciemnego: skaza, dowód, że jesteście najpodlejszymi z podłych. Otoczył go wówczas ten pobożny tłum Hiacynt, jego własna gdzieś zniknęła pośród innych, nie do odróżnienia, już nie odrębna osoba, ale kobieta-

-taka-sama-jak-pozostałe i zaczęto go przeraźliwie bić, beczał przy tym żałośnie i biegał w koło, próbuj ąc się wydostać; a w końcu zorientował się, że strach tych, które napadły na niego, jest o wiele większy od ich gniewu, wyprostował się więc, rozpostarł ramiona i wrzasn ął na nie, wydaj ąc przeraźliwe czarcie odgłosy, aż te rozbiegły się, szukaj ąc schronienia wśród ławek, natomiast on cały pokrwawiony, ale z podniesionym czołem, dumnym krokiem opuścił pole bitwy.Marzenia senne kształtuj ą rzeczywistość na swój sposób; ale Czamcza, budz ąc się na krótko pod wpływem nowej serii synkopowania, w któr ą ponownie skoczył

sobie jego puls, z gorycz ą zdał sobie sprawę, że ten koszmar senny nie był aż tak odległy od prawdy; przynajmniej atmosfera była identyczna. — Chyba pozbyłem 211

się wreszcie Hiacynty, pomyślał i ponownie znikn ął. — Po to tylko, żeby znaleźć się, cały roztrzęsiony, w sieni własnego domu, podczas gdy na piętrze Jumpy Joshi spierał się gwałtownie z Pamel ą. Z moj ˛

a żon ˛

a.I kiedy Pamela-z-marzeń-sennych, jak echo powtarzaj ąc wszystkie słowa tej prawdziwej Pameli, wyparła się swojego męża sto i jeden razy, on nie istnieje, takich rzeczy nie ma, to właśnie ten prawy Jamshed odsun ął na bok miłość i po-ż ądanie i przyszedł z pomoc ą. Pozostawiaj ąc za sob ą płacz ąc ą Pamelę — Tylko się nie waż przyprowadzić mi tego z powrotem krzyknęła z najwyższego piętra —

z jaskini Saladyna — Jumpy, nałożywszy barani ą skórę na Czamczę i owin ąwszy go kocem, zaprowadził osłabionego przez ciemne ulice do Shaandaar Café, obiecuj ąc z gołosłown ą dobroduszności ą: — Będzie dobrze. Zobaczysz. Będzie dobrze.Kiedy Saladyn Czamcza obudził się, wspomnienie tych słów napełniło go gniewem i gorycz ą. Gdzie jest Fariszta, zastanawiał się. Ten skurwiel: założę się, że świetnie mu idzie. — Do tej myśli wci ąż później wracał, i to ze zdumiewaj ącym rezultatem; teraz jednak miał inne zmartwienie.Jestem wcieleniem zła, myślał. Musiał przyj ąć to za fakt. Bez względu na to, jak to się stało, nie można temu zaprzeczyć. Nie jestem już sob ˛

a, i nie tylko to.Jestem uosobieniem zła, tego-czego-nienawidzimy, grzechu.Dlaczego? Dlaczego ja?Jakież to zło wyrz ądził — jak ą to podłość mógł popełnić czy też popełnił?Za co — nie mógł o to nie zapytać — za co był karany? A jeżeli już, to przez kogo? (Tu ugryzłem się w język).Czyż nie d ążył do osi ągnięcia własnej idei dobra, czy nie starał się stać tym, co najbardziej podziwiał, czy nie poświęcił się z zapałem woli, granicz ącym z obsesj ą, konkwiście angielskości. Czy nie pracował ciężko, czy nie unikał kłopotów, czy nie dokładał starań, żeby stać się kimś nowym? Pracowitość, wytrwałość, wymagania, umiarkowanie, panowanie nad sob ą, niezależność, uczciwość, życie rodzinne: do czego się to wszystko sprowadzało, jeśli nie do kodeksu moralnego?Czy było jego win ą, że nie miał dzieci z Pamel ą? Czy był odpowiedzialny za swój kod genetyczny? A może, w tych zwariowanych czasach, stawał się ofiar ą — fatum, tak ą nazwę uzgodnił z samym sob ą dla prześladuj ących go sił — właśnie z powodu d ążeń ku temu „dobru”? — Może obecnie takie d ążenia s ą uważane za przewrotne, nawet moralnie złe? — W takim razie jakżeż okrutne było to fatum, skoro doprowadziło do odrzucenia go przez ten właśnie świat, o który tak zdecydowanie zabiegał; jak smutne było przepędzenie go spod bram miasta, które, jak mu się wydawało, przekroczył dawno temu! — Cóż to za nikczemna małostko-wość, odesłać go na łono własnego narodu, który od tak dawna był mu tak obcy!— Nagle pojawiły się wspomnienia o Zini Wakil i nerwowo, z poczuciem winy, znowu je zdławił.Jego serce łomotało gwałtownie, usiadł, zgi ął się wpół, z trudem łapał oddech.212Uspokój się, bo inaczej to koniec. Nie miejsce tu na takie stresuj ˛

ace dywagacje:

już wystarczy. Odetchn ął głęboko; położył się na plecach; odsun ął wszelkie myśli.Ten zdrajca w jego klatce piersiowej podj ął normaln ą pracę.Dosyć już tego, powiedział sobie Saladyn Czamcza stanowczo. Dosyć już tego traktowania siebie samego jako uosobienia zła. Pozory myl ą; okładka wcale nie jest najlepsz ą reklam ą dla ksi ążki. Diabeł, Kozioł, Szejtan? To nie ja.Nie ja: kto inny.Kto?

\* \* \*Miszal i Anahita pojawiły się ze śniadaniem na tacy i z podnieceniem na twarzach. Czamcza pochłaniał płatki kukurydziane i neskę, a w tym czasie dziewczyny, po kilku chwilach pocz ątkowego onieśmielenia, zaczęły trajkotać do niego jedna przez drug ą. — Wiesz, narobiłeś tutaj szumu, jak babcię kocham. — W nocy nie zwiałeś ani nie zmieniłeś się z powrotem, ani nic takiego, prawda? — Słuchaj, to nie żadna sztuczka, prawda? No, wiesz, chcę powiedzieć, że nie przebrałeś się, nie pomalowałeś sobie twarzy — jak w teatrze? — Wiesz, Jumpy powiedział, że jesteś aktorem i tak sobie tylko myślałam, mam na myśli — i tu młoda Anahita zamilkła, ponieważ Czamcza, pluj ąc płatkami kukurydzianymi, zawył ze złości ą:

— Przebrałeś się? Jak w teatrze? Sztuczka!— Bez urazy — powiedziała z niepokojem Miszal w imieniu siostry. — Po prostu myślałyśmy, wiesz co mam na myśli, i byłoby okropne, gdybyś nie był, ale jesteś, oczywiście jesteś, a więc wszystko w porz ądku — skończyła pospiesznie, ponieważ Czamcza znowu patrzył na ni ą z furi ą. — Chodzi o to, że — podjęła Anahita, a następnie, zaj ąkn ąwszy się: — Chcę powiedzieć, wiesz, że myślę sobie, że to wspaniałe. — Wiesz, ona chce powiedzieć — poprawiła Miszal. —

Uważamy, że jesteś, no wiesz. — Kapitalny — powiedziała Anahita i oślepiła zdezorientowanego Czamczę uśmiechem. — Zaczarowany. Wiesz. Total.— Nie spałyśmy cał ą noc — powiedziała Miszal. — Wpadłyśmy na pomysł.— Pomyślałyśmy sobie — Anahita aż zadrżała na myśl o tym — że skoro zamie-niłeś się w, — no, w to, czym jesteś — wobec tego może, cóż, może, naprawdę, nawet jeżeli sam tego jeszcze nie wypróbowałeś, jest możliwe, że mógłbyś. . . —

A starsza dziewczyna dokończyła myśl: — Że mógłbyś rozwin ąć w sobie — no wiesz — moce.— W każdym razie, myślałyśmy — dodała słabym głosem Anahita, widz ąc chmury zbieraj ące się na czole Czamczy. I cofaj ąc się w stronę drzwi, dodała: —

Ale być może nie mamy racji. — Taa. Dobrze już, myliłyśmy się. Smacznego.213

— Miszal, zanim uciekła, z kieszeni swojej grubej kurtki w czerwono-czarn ą-

-kratę wyjęła mał ą buteleczkę pełn ą zielonego płynu, postawiła j ą na podłodze przy drzwiach i na pożegnanie wypaliła: — O, przepraszam, ale Mama mówi, że możesz tego używać, to jest płyn do płukania ust, na ten twój przykry zapach.

\* \* \*Uwielbienie, które Miszal i Anahita okazywały jego zeszpeceniu, którego on sam nienawidził z całego serca, przekonało go, że „jego naród” jest tak zwariowanie-przewrotny, jak to od dawna przypuszczał. To, że obydwie dziewczyny zareagowały na jego rozgoryczenie wyrażaj ąc swoje współczucie — kiedy, drugiego ranka spędzonego na poddaszu przyniosły mu masala dosę zamiast paczki płatków ze srebrnymi figurkami kosmonautów, i kiedy wykrzykn ął, bez cienia wdzięczności: — I co, mam teraz jeść to obrzydliwe obce jedzenie? — a więc, kiedy to zrobiły, jedynie pogorszyły sytuację. Obrzydliwe paskudztwo — zgodziła się Miszal. — Nawet bez przypraw. Pieprzone życie. — Świadom tego, że uraził ich gościnność, próbował wyjaśnić, że uważa się obecnie, hmm, za Brytyjczyka. . . — No, a my? — chciała wiedzieć Anahita. — Kim jesteśmy, jak s ądzisz? — A Miszal zwierzyła się: — Bangladesz nic dla mnie nie znaczy. Po prostu jakieś miejsce, o którym tata i mama wci ąż nawijaj ą. — A Anahita, stawiaj ąc kropkę nad i powiedziała: — Banglawesz! — kiwaj ąc z zadowoleniem głow ą.

— Przynajmniej ja to tak nazywam.Ależ one nie s ą Brytyjkami, chciał im powiedzieć, że nie, że naprawdę w pełni nie spełniaj ą żadnego z kryteriów. A jednak stare prawdy opuszczały go wraz z jego starym stylem życia. . . — Gdzie jest telefon? — zapytał. — Muszę zadzwonić.Był w hallu; Anahita, rujnuj ąc swoje oszczędności, pożyczyła mu monety. Z głow ą zawinięt ą w pożyczony turban, a ciałem ukrytym w pożyczonych spodniach (Jumpy’ego) i butach Miszal Czamcza wykręcił numer przeszłości.— Czamcza — powiedział głos Mimi Mamoulian. — Ty nie żyjesz.To stało się pod jego nieobecność: Mimi straciła przytomność i zęby. —

A właściwie to ludzie okazali duż ą przytomność umysłu — powiedziała mu, mó-wi ąc bardziej szorstko niż zazwyczaj ze względu na uszkodzon ą szczękę. — Dlaczego tak się stało? Nie pytaj. Co za sens pytać o powód w tych czasach? Jaki jest twój numer? — dodała, kiedy ucichł sygnał. — Zaraz do ciebie zadzwonię.Ale upłynęło całe pięć minut, zanim to zrobiła. — Poszłam zrobić siusiu. Czy mógłbyś wyjaśnić, dlaczego jeszcze żyjesz? Dlaczego wody rozst ąpiły się przed tob ą i tym drugim facetem, a zamknęły się nad reszt ą? Nie mów mi tylko, że bar-214

dziej sobie na to zasłużyłeś. Ludzie nie pójd ą na takie plewy w obecnych czasach, nawet a twoim przypadku, Czamcza. Szłam sobie wzdłuż Oxford Street szukaj ąc butów z krokodylej skóry, kiedy to się stało: straciłam przytomność nagle, w pół kroku i przewróciłam się jak podcięte drzewo, wyl ądowałam na brodzie i wszystkie zęby mi powypadały na chodnik tuż przed facetem, który szukał-sobie-panienki. Ludzie potrafi ą być bardzo troskliwi, Czamcza. Kiedy doszłam do siebie, znalazłam swoje zęby ułożone w kupce tuż obok twarzy. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że te małe skurwiele gapi ą się na mnie, miłe to, no nie? Pierwsz ą rzecz ą, o której pomyślałam, było, dzięki Bogu, mam pieni ądze. Dałam je sobie wstawić z powrotem, prywatnie oczywiście, świetna robota, jest lepiej niż było.A więc od jakiegoś czasu odpoczywam sobie. Nasza działka w radiu nie wygl ą-da najlepiej, jakby zreszt ą mogła, bior ąc pod uwagę fakt, że ty sobie umierasz, a ja tracę zęby, po prostu nie mamy za grosz poczucia odpowiedzialności. Poziom się obniżył, Czamcza. Wł ącz telewizor, posłuchaj radia i usłyszysz, jak kiepskie s ą obecnie reklamówki pizzy, reklamy piwa wypowiadane z niemnieckim akcentem ludzi z agencji doboru obsady, Marsjanie zajadaj ą się purée ziemniaczanym w proszku, z głosem istot, które spadły z księżyca. Wylali nas z programu „Ob-cy z kosmosu”. Wracaj do zdrowia. Nawiasem mówi ąc, mógłbyś życzyć mi tego samego.A więc oprócz żony, domu, kontroli nad swoim życiem, stracił jeszcze pracę.— Mam problemy nie tylko ze spółgłoskami zębowymi — ci ągnęła dalej Mimi.— Strasznie się boję w czasie programu tych pieprzonych głosek zwartowybucho-wych. Myślę sobie, że kiedyś znowu rozsieję te swoje stare kości po ulicy. Podeszły wiek, Czamcza: składa się tylko z upokorzeń. Rodzisz się, potem cię obijaj ą i siniacz ą na całym ciele, w końcu wysiadasz i łopat ą zgarniaj ą cię do urny. W każdym razie, nie mam nic przeciwko temu, żeby nie pracować. Czy wiesz, że teraz kręcę z Billym Battut ą? Oczywiście, sk ąd miałbyś wiedzieć, przecież pływałeś.Taa, zrezygnowałam z czekania na ciebie i padłam w ramiona jednego z twoich rodaków. Możesz uważać to za komplement. Teraz muszę już pędzić. Miło było rozmawiać z umarłym, Czamcza. Następnym razem skacz z niższej trampoliny.Pa.Z natury jestem introwertykiem, powiedział cicho do głuchej już słuchawki.Walczyłem, na swój sposób, aby znaleźć drogę do zrozumienia rzeczy wyższych, do chociażby odrobiny piękna. Kiedy miałem dobre dni, czułem, że było to w zasięgu ręki, tuż, tuż, gdzieś we mnie, gdzieś wewn ątrz. Ale wci ąż łudziło mnie.Uwikłałem się w rzeczy, w świat i jego bałagan i nie potrafię oprzeć się temu.Znalazłem się w niewoli groteski, tak jak uprzednio byłem w niewoli codzienności. Morze wypluło mnie z głębin w górę; życie na l ądzie wci ąga w dół.Zjeżdżał po jakiejś szarej pochyłości, czarna woda chlupotała mu w sercu.Dlaczego powtórne narodziny, ta druga szansa dana Gibrilowi Fariszcie i jemu samemu, były tak bardzo podobne, w jego przypadku, do bezustannego końca?215

Rodz ąc się na nowo, otrzymał wiedzę o śmierci; i nieuchronność zmian, rzeczy-

-zawsze-innych, dróg-bez-powrotu zatrwożyła go. Kiedy tracisz swoj ą przeszłość, stajesz zupełnie nagi przed pogardliwym Azrailem, aniołem-śmierci. Trzymaj się, jeżeli możesz, powiedział do siebie. Trzymaj się kurczowo swoich dni wczoraj-szych. Pozostaw po sobie ślady paznokci na tym szarym zboczu, po którym się ześlizgujesz.Billy Battuta: ta bezwartościowa kupa gówna. Pakistański playboy zmienił

zwykłe biuro podróży — Battuta’s Travels — we flotę supertankowców. Oszust, znany głównie ze swoich romansów z czołowymi gwiazdami hinduskich filmów, i według plotek, ze szczególnego upodobania do białych kobiet o wydatnym biu-ście i takim samym zadku, z którymi „źle się obchodził”, jak brzmiało eufemi-styczne określenie, i które „sowicie wynagradzał”. Na co był Mimi potrzebny zły Billy, jego akcesoria seksualne i jego maserati biturbo? Dla chłopców pokroju Battuty białe kobiety — nieważne, czy grube, czy Żydówki, nie-łatwe białe kobiety — s ą po to, by je pieprzyć i porzucać. To, czego nienawidzi się u białych —

zamiłowanie do kolorowych panienek — zasługuje również na nienawiść, kiedy analogicznie pojawia się u czarnych. Fanatyzm niekoniecznie musi być pochodn ą siły.Mimi zadzwoniła następnego wieczora z Nowego Jorku. Anahita zawołała go do telefonu, imituj ąc jak tylko umiała najlepiej tych cholernych Jankesów. Szybko zacz ął się ubierać. Zanim dotarł do telefonu, zd ążyła już odłożyć słuchawkę, ale za chwilę zadzwoniła ponownie. — Nikt nie będzie płacił transatlantyckich sum za czekanie na linii. — Mimi — powiedział z wyraźn ą rozpacz ą w głosie — nic mi nie mówiłaś o tym, że wyjeżdżasz. — A ty nawet nie podałeś mi tego cholernego adresu — odparła. — Tak więc każde z nas ma swoje tajemnice. — Chciał

jej powiedzieć, Mimi, wracaj do domu, zostaniesz sponiewierana. — Przedstawi-łam go rodzinie — powiedziała nazbyt ironicznie. — Możesz sobie wyobrazić.Jasir Arafat spotyka się z państwem Begin. Mniejsza o to. Przeżyjemy. — Chciał

jej powiedzieć, jesteś wszystkim, co mi pozostało. Zdołał j ą tylko wkurwić. —

Chciałem ostrzec cię przed Billym — tylko tyle powiedział.Jej głos stał się lodowaty. — Słuchaj, Czamcza. Kiedyś porozmawiam o tym z tob ą, bo chociaż pieprzysz, trochę ci na mnie zależy. Zrozum więc, proszę, że jestem inteligentn ą kobiet ą. Czytałam „Finnegans Wake” i posiadam gruntown ą znajomość post-modemistycznej krytyki Zachodu, na przykład tej, która twierdzi, że my tutaj jesteśmy społeczeństwem, które stać tylko na pastisz: „spłaszczony świat”. Kiedy staję się głosem butelki z płynem do k ąpieli, wchodzę do Płasklan-dii świadomie, rozumiej ąc, co robię i dlaczego. To jest tłukę szmal. I jako inteligentna kobieta, która potrafi mówić przez piętnaście minut na temat stoicyzmu i dłużej na temat japońskiego kina, oświadczam ci, Czamczo, że w pełni jestem świadoma repertuaru Billy boya. Nie rób mi wykładów o wyzysku. Mieliśmy prawdziwy wyzysk, kiedy ty, przepraszam, wy, biegaliście w skórach. Spróbuj 216

raz być narodowości żydowskiej, kobiet ą i może na dodatek brzydul ą. Będziesz wtedy błagał, żebyś mógł stać się czarny. Przepraszam cię za tę chińszczyznę: br ązowy.— Przyznajesz wobec tego, że on cię wykorzystuje — wtr ącił Czamcza, ale potok mowy porwał go z sob ą. — Co to, kurwa, zmienia? — powiedziała jak Ćwierkaj ący Placek z reklamówki. — Billy jest zabawnym chłopcem, natural-nym naci ągaczem, artyst ą, jednym z największych. Kto wie, jak długo to potrwa?Podam ci kilka pojęć, do których ja nie przywi ązuję wagi: patriotyzm, Bóg i miłość. Zdecydowanie nie s ą potrzebne w czasie podróży. Lubię Billy’ego, ponieważ zna życie.— Mimi — powiedział — coś mi się przydarzyło — ale ona wci ąż go prze-krzykiwała i uszło to jej uwagi. Odłożył słuchawkę, nie podaj ąc jej swojego adresu.Zadzwoniła do niego jeszcze raz, kilka tygodni później i teraz trzymali się już niewypowiedzianych zasad ustalonych w poprzednich rozmowach; ona nie prosiła o jego adres, on go nie podał, było oczywiste dla obojga, że skończyła się pewna epoka, że oddalili się od siebie i przyszedł czas, by sobie pomachać na do widzenia. Mimi wci ąż mówiła o Billym: jego planach kręcenia hinduskich filmów w Anglii i Ameryce, importowania takich gwiazd, jak Vinod Khanna, Sridevi, robieniu z szumem zdjęć przed ratuszem w Bradford i na tle Golden Gate —

Oczywiście jest to pewien sposób na obejście podatków — śpiewała Mimi radośnie. W rzeczy samej. Billy’emu palił się grunt pod nogami; Czamcza dostrzegł

wcześniej jego nazwisko w gazetach, w s ąsiedztwie określeń brygada śledcza d/s oszustw i uchylania się od podatków, ale skoro już raz ktoś był naci ągaczem, zawsze nim zostanie, powiedziała Mimi. — Więc on mnie pyta, czy chcesz futro z norek? Mówię, Billy, nie kupuj mi rzeczy, ale on na to, kto tu mówi o ku-powaniu? Weź sobie futro. To business. — Byli znowu w Nowym Jorku i Billy wynaj ął mercedesa-limuzynę z naci ąganym dachem i „naci ąganym szoferem”.Kiedy przyjechali do sklepu z futrami, wygl ądali jak szejk, właściciel pól nafto-wych, i jego dupeczka. Mimi zaczęła przymierzać pięciocyfrowe modele czekaj ąc na zagrywkę Billy’ego. W końcu ten powiedział, Podoba ci się to? Ładne. Billy, wyszeptała, to czterdzieści tysięcy, ale on już gładko przekonywał sprzedawcę: było pi ątkowe popołudnie, banki już zamknięte, czy wobec tego przyjm ą czek.— Cóż, obsługa sklepu wiedziała już teraz, że jest on szejkiem naftowym, powiedzieli więc tak, wychodzimy z futrem, a on prowadzi mnie do drugiego sklepu, tuż za rogiem, i mówi, przed chwil ą kupiłem to za czterdzieści tysięcy dolarów, oto rachunek, czy możecie dać mi trzydzieści, potrzebuję gotówki, mam przed sob ą upojny weekend. — Mimi i Billy’ego poproszono, by poczekali, a w tym czasie pracownicy drugiego sklepu zadzwonili do pierwszego, gdzie w mózgu kierownika zadźwięczał system alarmowy, a po pięciu minutach przyjechała policja, aresz-towała Billy’ego za puszczenie w obieg czeku bez pokrycia, i on i Mimi spędzili 217

weekend w więzieniu. W poniedziałek rano otwarto bank i okazało się, że konto Billy’ego ma saldo dodatnie na sumę czterdziestu dwóch tysięcy stu siedemnastu dolarów, a więc czek miał pokrycie. Poinformował sklep futrzarski o swoim za-miarze zaskarżenia ich do s ądu o odszkodowanie w wysokości dwóch milionów dolarów za zniesławienie, błyskawiczna rozprawa, i w ci ągu czterdziestu ośmiu godzin załatwili sprawę polubownie za 250.000 dolarów płatnych od ręki. — Jak tu go nie lubić? — zapytała Mimi Czamczę. — Ten chłopak jest geniuszem. Chcę powiedzieć, że to było zrobione z klas ˛

a.Jestem człowiekiem, pomyślał sobie Czamcza, który nie zna życia, żyj ąc w amoralnym świecie, w którym ważne jest, aby przetrwać i mieć-farta. Miszal i Anahita Sufjan, które wci ąż z niezrozumiałych powodów traktowały go jako pokrewn ą-duszę mimo jego prób przekonania ich, że s ą w błędzie, były istotami najwyraźniej pełnymi podziwu dla takich stworów jak osoby wyłudzaj ące za-siłek dla bezrobotnych, złodzieje sklepowi, drobne złodziejaszki: dla mistrzów nieuczciwości ogólnie rzecz bior ąc. Poprawił się: nie, nie podziwu, to nie o to chodziło. Żadna z dziewczyn nie ukradłaby nawet szpilki. Ale uważały takie osoby za przedstawicieli prawdziwego świata. Chc ąc przeprowadzić doświadczenie, opowiedział im historię Billy’ego Battuty i futra z norek. Oczy im błyszczały, a pod koniec biły brawo i chichotały z uciechy: niegodziwość nie ukarana wy-woływała śmiech. Czamcza zrozumiał, że nie inaczej ludzie bili kiedyś brawo i chichotali nad wyczynami wcześniejszych wyjętych spod prawa Dicka Turpi-na, Neda Kelly’ego, Phulan Devi i oczywiście, tego innego Billy’ego: Williama Bonneya, bardziej znanego jako Billy the Kid.Przestępczy Idole Śmietnikowych Gówniarzy, przeczytała Miszal w jego myślach, a następnie, śmiej ąc się z jego dezaprobaty, przetłumaczyła je na nagłówki prasy brukowej, a na dodatek układała swoje smukłe i, jak zauważył to Czamcza, zdumiewaj ące ciało, w równie wystudiowane pozycje, tak charakterystyczne dla fotosów tychże gazet. Nadymaj ąc bezwstydnie wargi, w pełni świadoma tego, że go podnieciła, ładnie dodała: — Buzi, buzi?Nie chc ąc być gorsz ą, jej młodsza siostra próbowała naśladować pozę Miszal, ale z mamiejszym rezultatem. Porzuciła tę próbę z pewnym zakłopotaniem i powiedziała nad ąsana: — Chodzi o to, że mamy dobre perspektywy, my. Interes rodzinny, żadnych braci, i już. Ten dom robi duż ą kasę, cholera. No nie?— Shaandaar był domem zaklasyfikowanym jako interes Śniadaniowo-Łóżkowy.Rady poszczególnych dzielnic miejskich coraz częściej korzystały z takich budynków z powodu kryzysu w publicznym budownictwie mieszkaniowym; umiesz-czały pięcioosobowe rodziny w jednym pokoju, przymykaj ąc oko na naruszanie przepisów sanitarnych i bezpieczeństwa, domagaj ąc się funduszy na „mieszkania tymczasowe” od rz ądu. — Dziesięć funciochów za noc od osoby — poinformowała Czamczę Anahita w jego pokoju na poddaszu. — Trzysta pięćdziesi ąt funciaków za pokój tygodniowo, najczęściej dochodzi do takich sum. Sześć za-218

jętych pokoi: oblicz sobie sam. Obecnie tracimy trzysta funtów miesięcznie na tym pokoiku, mam więc nadzieję, że jesteś naprawdę zmartwiony. — Za takie pieni ądze, zorientował się Czamcza, można by wynaj ąć niedrogie mieszkanie dla całej rodziny w sektorze prywatnym. Ale wówczas nie mogłoby ono zostać za-klasyfikowane jako „mieszkanie tymczasowe”; żadnych centralnych funduszy dla takich rozwi ązań. Przeciwstawiliby się temu również miejscowi politycy, zaangażowani w walkę „cięciami”. La lutte continue; w tym czasie Hind i jej córki zgarniały pieni ądze, a oderwany od świata Sufjan pojechał do Mekki i wrócił do domu, aby dzielić się niewyszukan ą m ądrości ą, życzliwości ą i uśmiechami. A za sześciorgiem drzwi, które uchylały się nieco za każdym razem, kiedy Czamcza szedł do telefonu albo do toalety, przebywało tymczasowo około trzydziestu istot ludzkich, nie maj ących niemal żadnej nadziei, że zmieni się ich status.Po prostu realia.— Nie musisz przy tym robić miny oburzonego świętoszka — wytknęła mu Miszal Sufjan. — Spójrz tylko, dok ąd zaprowadziło cię to twoje przestrzeganie prawa.

\* \* \*— Twój wszechświat się kurczy. Zapracowany człowiek, Hal Valance, twórca programu „Obcy z kosmosu” oraz wył ączny posiadacz, poświęcił dokładnie siedemnaście sekund na złożenie Czamczy gratulacji z okazji przeżycia katastrofy, a następnie przeszedł do wyjaśnień, dlaczego ten fakt nie wpłyn ął na zmianę decyzji zwalniaj ącej Czamczę z udziału w programie. Valance rozpocz ął karierę w reklamach i jego słownictwo nigdy nie powróciło do normy po tym ciosie. Jednak Czamcza był w stanie dostosować swój sposób mówienia do interlokutora.

Wszystkie te lata pracy przy użyczaniu głosu nauczyły go kilku ordynarnych wy-rażeń. W języku reklam wszechświat był olbrzymim potencjalnym rynkiem zbytu dla danego produktu czy usługi: wszechświat czekolady, wszechświat odchudza-nia. Wszechświat zębów oznaczał wszystkich ludzi z zębami; pozostali tworzyli coś, co nazywano kosmosem protetyki. — Mam w tej chwili na myśli — popłyn ął

lini ą telefoniczn ą najlepszy wariant jego Głęboko Gardłowego głosu — wszechświat etniczny.Znowu mój naród: ubrany w turban i cał ą resztę źle na nim leż ących cudzych rzeczy, stał w hallu ze słuchawk ą mocno przyciśnięt ą do ucha, a oczy kobiet i dzieci bez prawa do stałego pobytu błyszczały w szparach uchylonych drzwi; i zastanawiał się, co też takiego ten jego naród mu zrobił. — Nie kapuję — powiedział, pamiętaj ąc o zamiłowaniu Valance’a do włosko-amerykańskiego żar-219

gonu złodziejskiego — ostatecznie był to autor hasła reklamuj ącego potrawy na wynos Bierz pizzę i szamaj. Jednak tym razem Valance nie podj ął gry. — Son-daże wśród telewidzów wykazuj ą — sapał w słuchawkę — że kolorowi nie chc ą ogl ądać programów z kolorowymi. Nie chc ą ich, Czamcza. Chc ą tej pierdolonej Dynastii, tak jak wszyscy inni. Masz zły profil, jeśli dobrze mnie rozumiesz: twoje uczestnictwo w programie zmienia go w spektakl z kontekstem rasowym, zbyt cholernie rasowym. „Obcy z kosmosu” jest wielkim przedsięwzięciem i nie mog ą go wstrzymywać problemy rasowe. A jakie s ą możliwości sprzedaży tego programu, o tym chyba nie muszę ci mówić.Czamcza zobaczył swoje odbicie w małym popękanym lustrze nad aparatem telefonicznym. Wygl ądał jak zagubiony dżinn z bajek arabskich, poszukuj ący swojej cudownej lampy. To zależy od punktu widzenia — odpowiedział Valance’owi, wiedz ąc, że spieranie się nie ma sensu. Dla Hala wszystkie wyjaśnienia były jedynie racjonalizacj ą post factum. Był człowiekiem, który-kieruje-się-wy-ł ącznie-własnym-wyczuciem i który za swoje motto przyj ął radę udzielon ą przez Głęboko Gardłowy głos Bobowi Woodwardowi: Goń za pieniędzmi. Kazał wydru-kować to hasło wielk ą czcionk ą i zawiesić nad fotografi ą sceny z filmu Wszyscy ludzie prezydenta: Hal Holbrook (jeszcze jeden Hal!), na parkingu samochodo-wym, stoi w cieniu. Goń za pieniędzmi: slogan ten wyjaśniał, jak Valance lubił

powtarzać, sk ąd się wzięło jego pięć żon, z których każda była bogata i zostawiła mu niezł ą sumkę jako odprawę rozwodow ą. Jego obecn ą żon ą było wybla-kłe dziewczę, prawdopodobnie trzykrotnie młodsze od niego, o kasztanowych, długich, sięgaj ących do pasa włosach i przenikliwym spojrzeniu, dziewczę, które miałoby duże szansę zostać wielk ą piękności ą ćwierć wieku wcześniej. — Ta akurat nie ma ani grosza; wyci ąga ode mnie wszystko, co mam, a kiedy już nic nie zostanie, oleje mnie — powiedział Valance Czamczy, kiedyś, w szczęśliwych jeszcze czasach. — Tam do diabła. Też jestem człowiekiem. Tym razem to miłość.— Coraz częściej stare pierniki wi ąż ą się z małolatami. To nagminne w dzisiejszych czasach. Teraz, w trakcie rozmowy, Czamcza stwierdził, że nie może sobie przypomnieć imienia tej małej. — Znasz moje motto — mówił Valance. — Tak

— odpowiedział Czamcza obojętnie. — Tak właśnie postępuje się z towarem. —

Ten towar, skurwielu, to ty.Kiedy spotkał po raz pierwszy Hala Valance’a (ile to lat temu? Pięć, może sześć), na obiedzie w White Tower, człowiek ten już był znany jako potwór: idealny, stworzony przez niego samego wizerunek, bez żadnych domieszek, zbiór cech gęsto poprzylepianych jedna przy drugiej na jego ciele, jak mówił sam Hal, miały go upodobnić do Orsona Wellsa. Palił absurdalnie śmieszne cygara, rezygnował jednak z gatunków kubańskich ze względu na swoj ą nieprzejednan ą ka-pitalistyczn ą postawę. Nosił kamizelkę z flag ą brytyjsk ą i uparł się, że nad jego agencj ą, jak również drzwiami domu w Highgate także powinien wisieć Union Jack; miał skłonność do przebierania się za Maurice’a Chevaliera i do naśladowa-220

nia jego śpiewu, z kapeluszem słomkowym i laseczk ą, na ważniejszych konferen-cjach w obecności zdumionych klientów; twierdził, że posiada pierwszy chateau nad Loar ą wyposażony w teleks i fax; a także chwalił się swoj ą „wielk ą zażyłości ą” z pani ą premier, o której mówił z czułości ą „Pani Tortura”. Hal, mówi ący akcentem środkowoatlantyckim, uosobienie filisterskiego triumfalizmu, był jedn ą ze sławniejszych postaci tego wieku, twórcza połowa najbardziej energicznej agencji w mieście, Spółki Valance i Lang. Podobnie jak Billy Battuta lubił wielkie samochody prowadzone przez wielkich chauffeurs. Mówiono o nim, że kiedyś jego szofer spowodował wypadek, jad ąc po w ąskich drogach Kornwalii z prędkości ą, która miała „rozgrzać” towarzysz ąc ą Valance’owi wyj ątkowo lodowat ą dwumetrow ą fińsk ą modelkę: nikt nie został ranny, ale kiedy kierowca drugiego wozu wściekły wynurzył się ze swojego rozbitego pojazdu, okazało się, że jest jeszcze wyższy od kierowcy Hala. I kiedy kolos ten rzucił się ku niemu, Hal nacisn ął guzik i opuścił szybę, i powiedział cicho, ze słodkim uśmiechem: „Naprawdę, radzę panu, żeby pan zawrócił i szybko odjechał; ponieważ, szanowny panie, jeżeli pan tego nie zrobi w ci ągu piętnastu sekund, każę pana zabić”. Inni geniusze reklamy słynęli ze swoich dzieł: Mary Wells ze swoich różowych samolotów Braniff, David Ogilvy ze swojej opaski na oko, Jerry delia Femina z dzieła

„Od tych wspaniałych facetów, którzy dali wam Pearl Harbour”. Valance, którego agencja zajmowała się tani ą i wesoł ą wulgarności ą, wszystkie te damskie tyłki i wesoła muzyczka, znany był w branży właśnie z tego (prawdopodobnie mało oryginalnego) zwrotu „Każę pana zabić”, który dla dobrze poinformowanych był

dowodem, że facet naprawdę jest geniuszem. Czamcza od dawna podejrzewał, że cała ta historia została przez niego zmyślona, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę doskonałe egzotyczne elementy — skandynawska królowa lodu, dwóch bandziorów, kosztowne samochody, Valance w roli Blofelda, no i agent 007 nieobecny na scenie — a do tego rozpuszczona jako plotka, kora mogła być pomocna w interesach.Obiad był form ą podziękowania Czamczy za jego ostatni ą przebojow ą kampanię reklamow ą dietetycznej żywności Slimbix. Saładyn był wtedy głosem re-zolutnej plamki z filmu rysunkowego: Cześć. Nazywam się Kal i jestem po prostu smutn ˛

a kalori ˛

a. Cztery dania i mnóstwo szampana jako nagroda za namówie-nie ludzi, by się głodzili. W jaki sposób biedna kaloria może zarobić na życie?To dzięki Slimbixowi jestem bez pracy. Czamcza nie wiedział, czego się spodziewać po Halu. To, co w końcu powiedział, było przynajmniej pozbawione upiększeń. — Nieźle to zrobiłeś — pogratulował mu Valance — jak na kolorowego.— I kontynuował, nie odrywaj ąc wzroku od twarzy Czamczy: — Pozwól, że po-dam ci kilka faktów. W ci ągu ostatnich trzech miesięcy musieliśmy powtórnie kręcić reklamę masła orzechowego, ponieważ nasz sondaż opinii publicznej wykazał, że będzie przyjęty lepiej bez czarnego dziecka w tle. Musieliśmy jeszcze raz nagrywać wierszyk reklamuj ący przedsiębiorstwo, ponieważ Szefunio uznał, 221

że piosenkarz ma głos Murzyna, mimo że ten był biały jak, kurna, prześcieradło; i chociaż rok wcześniej użyliśmy głosu czarnoskórego chłopaka, ten, na szczęście dla siebie, nie uważał się za Jamesa Browna. Jedna z ważniejszych linii lotniczych powiedziała nam, że nie możemy pokazywać Czarnych w jej reklamach, mimo że wielu z nich było tam zatrudnionych. Czarny aktor zgłosił się do mnie na przesłuchanie i miał wpięty w ubranie okr ągły znaczek Równości Rasowej, czarna ręka ściskaj ąca biał ą. Powiedziałem mu tak: nie myśl sobie, koleś, że będę cię traktował w jakiś specjalny sposób. Rozumiesz? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?„Przecież jestem właśnie na cholernym przesłuchaniu” — zdał sobie sprawę Saladyn. — Nigdy nie czułem przynależności do jakiejś rasy — odparł. I być może właśnie dlatego Czamcza znalazł się na „liście A” Hala Valance’a, kiedy ten uru-chamiał swoje przedsiębiorstwo produkcyjne; i dlatego w końcu trafiła mu się rola Maksyma Obcego.Kiedy program „Obcy z kosmosu” zacz ął być krytykowany przez czarnych radykałów, do Czamczy przylgnęło przezwisko. Ze względu na to, że chodził do prywatnej szkoły i ze względu na powi ązania ze znienawidzonym Valance’em, znany był jako „Br ązowy Wuj Tom”.Najwyraźniej presja polityczna wywierana na ten program musiała wzrosn ąć pod nieobecność Czamczy. Wszelkimi naciskami kierował niejaki doktor Uhuru Simba. — Doktor czego, zastanawiam się — powiedział Valance do słuchawki swoim niskim głosem. — Nasi specjaliści jeszcze niczego nie znaleźli. — Masowe pikietowanie, kłopotliwe wyst ąpienie w programie „Prawo do odpowiedzi”— Facet wygl ąda jak, kurwa, nie przymierzaj ąc czołg. — Czamcza wyobraził

sobie tę parę, Valance’a i Simbę, z których jeden był antytez ą drugiego. Wydaje się, że protesty poskutkowały: Valance „odpolitycznił” swój program, zwalniaj ąc Czamczę i wrzucaj ąc w świat olśniewaj ącego uzębienia i komputerowej wyobraźni jasnowłosego Teutona z przerośnięt ą klat ą i kobietę o ostrych rysach. Latekso-wy-i-wysokojakościowy Schwarzenegger, syntetyczna, przemawiaj ąca biodrami wersja Rutgera Hauera z „Łowcy androidów”. Żydzi też musieli odejść: zamiast Mimi w nowym programie miała wyst ąpić zmysłowa gojka. — Posłałem doktorowi Simbie wiadomość: Wsadź sobie w dupę to swoje pieprzone de er. Nie nadeszła żadna odpowiedź. Będzie musiał wzi ąć się ostro do roboty, jeżeli chce przej ąć to małe państwo. Ja — oznajmił Hal Valance — kocham to pieprzone państwo. I właśnie dlatego zamierzam sprzedać je całemu cholernemu światu, Ja-ponii, Ameryce, pieprzonej Argentynie. Zamierzam wyprzedać jego dupę. I to właśnie sprzedawałem przez całe swoje pieprzone życie: ten pieprzony naród. Tę flagę. — Nie słyszał tego, co mówi. Kiedy już wszedł na ulubiony temat, robił się czerwonobr ązowy, a często płakał. Właśnie tak stało się w White Tower, za pierwszym razem, kiedy zapchał się greckim jedzeniem. Czamcza przypomniał sobie datę: było to tuż po wojnie o Falklandy. Ludzie mieli w tym czasie skłonność do składania przysięgi lojalności, w autobusach nucili sobie pod nosem „Wielk ą 222

Paradę”. A więc kiedy Valance, nad olbrzymi ą butl ą Armagnac, rozpocz ął — „Powiem ci, dlaczego kocham ten kraj” — Czamcza, który sam popierał rozwi ązanie falklandzkie, był przekonany, że wie, co się stanie. Ale Valance zacz ął opisywać program badań naukowych brytyjskiego przedsiębiorstwa produkuj ącego sprzęt lotniczy i kosmiczny, które było jednym z jego klientów, a które właśnie, w wyniku studiów nad lotem zwyczajnej muchy domowej, zrewolucjonizowało budowę systemu kierowania pociskami. — Poprawki kursu podczas lotu — wyszeptał teatralnie. — Tradycyjnie przeprowadza się to w płaszczyźnie lotu: poprawić o lekki k ąt w górę, nieco w dół, małe wychylenie w prawo lub w lewo. Jednak naukowcy, przestudiowawszy film w zwolnionym tempie, odkryli, że te małe dranie dokonu-j ą korekty lotu zawsze, ale to zawsze, pod k ˛

atem prostym. — Zademonstrował to

wyci ągaj ąc otwart ą dłoń ze zł ączonymi palcami. — Bzzt! Bzzt! Te cholerniki, tak naprawdę, lataj ą pionowo do góry, na dół lub pod k ątem prostym w bok. Jest to o wiele dokładniejsze. Zaoszczędza się więcej paliwa. Spróbuj to zrobić z silni-kiem, który uzależniony jest od przepływu powietrza, od-przodu-do-ogona i co się dzieje? Ta pieprzona maszyna nie potrafi oddychać, traci prędkość, spada z nieba, l ąduje wprost twoim cholernym sojusznikom na głowy. Zła karma. Rozumiesz?Rozumiesz, co mówię? A więc ci faceci bior ą i wymyślaj ą silnik o potrójnym przepływie powietrza: od przodu do ogona, a dodatkowo od góry ku dołowi, plus z jednej strony na drug ą. I oto, hokus pokus: pocisk, który zapierdala jak mucha i może trafić w pięćdziesięciopensówkę z prędkości ą stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę z odległości trzech mil. To, co tak bardzo lubię, jeśli chodzi o ten kraj, to jego geniusz. Najwięksi wynalazcy na świecie. Wspaniałe: mam rację czy nie? — Był śmiertelnie poważny. Czamcza odpowiedział: — Masz rację. — A ty masz, kurwa, rację mówi ąc, że mam rację — potwierdził.Po raz ostatni spotkali się tuż przed odlotem Czamczy do Bombaju: niedzielny obiad w ozdobionej flagami rezydencji w Highgate, boazeria z palisandra, taras z kamiennymi urnami, widok w dół z porośniętego lasem wzgórza. Valance narzekaj ący na ekspansję nowych domów, które zepsuj ą krajobraz. Jak było do przewidzenia, obiad składał się z dań szowinistycznych: rosbif, boudin Yorkshire, choux de brouxelles. Dziecina, czyli jego dziewczęca żona, nie przył ączyła się do nich, lecz jadła gor ące żytnie pastrami w pobliskim pokoju, graj ąc jednocześnie w bi-lard. Służba, zwalaj ący z nóg burgund, znowu Armagnac, cygara. Raj człowieka, który wszystko zawdzięcza tylko sobie, rozmyślał Czamcza i dostrzegł zazdrość w tych rozmyślaniach.Po obiedzie, niespodzianka. Valance zaprosił go do pokoju, w którym stały dwa klawikordy, sprawiaj ące wrażenie bardzo lekkich i delikatnych. — Tak, sam je zrobiłem — przyznał. — Dla relaksu. Dziecina chce, żebym jej, kurna, zrobił

gitarę. — Bezsprzecznie Hal Valance był utalentowanym stolarzem meblowym i jakoś ów talent pozostawał w sprzeczności z reszt ą osobowości tego człowieka.— Mój ojciec był z branży — przyznał się w końcu Czamczy i Saladyn zrozumiał, 223

że uprzywilejowano go, pozwalaj ąc mu rzucić okiem na jedyn ą nie zmienion ą część, jaka pozostała po oryginalnym Halu, na tego Harolda, który wywodził się z historii i krwi, a nie był jedynie wytworem jego własnego, szalonego umysłu.Kiedy zostawili za sob ą tajn ą salę klawikordów, natychmiast powrócił ten dobrze znany Hal Valance. Opieraj ąc się o balustradę tarasu, zwierzał się Czamczy:

— Zdumiewa przy tym ogrom tego, czego ona chce dokonać. — Ona? Dziecina?Czamcza stracił orientację. — Wiesz, o kim w tej chwili mówię — brzmiało po-mocne wyjaśnienie Valance’a. — O Torturze. O Maggie Suce. — Ona naprawdę jest radykalna. Chce teraz i w rzeczy samej s ądzi, że tego, kurwa, dokona, dosłownie tworzyć cał ą tę cholern ą now ą klasę średni ą w kraju. Pozbyć się tych starych sklerotycznych nieudolnych dziadów z pieprzonych hrabstw Surrey i Hampshire i wprowadzić nowych. Ludzi bez przeszłości, bez historii. Głodnych ludzi. Ludzi, którzy naprawdę chc ˛

a i którzy wiedz ą, że dopóty, dopóki ona sprawuje urz ąd, że, do cholery, na pewno dostan ˛

a to, czego chc ą. Nikt nigdy wcześniej nie próbował wymienić całej pieprzonej klasy i jest rzecz ą zdumiewaj ąc ą, że ona może dopi ąć swego, chyba że wcześniej jej dopadn ą. Stara klasa. Trupy. Rozumiesz, o czym mówię. — Tak, s ądzę, że tak — skłamał Czamcza. — I nie chodzi wy-ł ącznie o biznesmenów — dodał Valance, zlewaj ąc ze sob ą słowa. — Również o intelektualistów. Won z cał ą t ą zramolał ą zgraj ą. Wpuścić zgłodniałych facetów z niewłaściwym wykształceniem. Nowi profesorowie, nowi malarze, wszyscy. To cholerna rewolucja. Nowe wchodzi do tego kraju, który wypchany jest po brzegi pieprzonymi starymi trupami. Będzie to coś, co warto zobaczyć. Zreszt ą już można.Dziecina wyszła wolno z budynku, zmierzaj ąc w ich stronę. Wygl ądała na znudzon ą. — Czas na ciebie, Czamcza — zarz ądził jei m ąż. — w niedzielne popołudnie idziemy do łóżka i ogl ądamy filmy porno. To zupełnie nowy świat, Saladynie. Wszyscy musz ą kiedyś się do niego przył ączyć.Żadnych kompromisów. Jesteś z nimi albo po prostu giniesz. Nie była to droga Czamczy; ani jego, ani tej Anglii, któr ą sobie wyidealizował i któr ą przyjechał

podbić. Powinien był od razu to zrozumieć: dawano mu, dano mu uczciwe ostrzeżenie.A teraz coupe de grâce. — Nie czujesz się chyba urażony — mówił mu cicho do ucha Valance. — Do zobaczenia kiedyś tam, co? OK. W porz ądku.— Hal — zmusił się, by zaprotestować — Przecież mam kontrakt.Jak bydło prowadzone na rzeź. Głos w jego uchu był teraz szczerze rozbawiony. — Nie wygłupiaj się — powiedział mu. — Jasne, że nie masz. Przeczytaj tekst drobnym drukiem. Daj ten tekst prawnikowi do przeczytania. Wytocz mi sprawę. Rób, co musisz zrobić. Mnie to nie obchodzi. Czy jeszcze nie rozumiesz?Przeszedłeś do historii.Ci ągły sygnał w słuchawce.224

\* \* \*

Porzucony przez jedn ą obc ą mu Anglię, izolowany w drugiej, pan Saladyn Czamcza był wci ąż bardzo przygnębiony, kiedy nadeszły wiadomości o jego starym współtowarzyszu, któremu najwidoczniej powodziło się o wiele lepiej niż je-mu samemu. Wrzask jego gospodyni — „Tini benche achen!” — ostrzegł go, że coś się szykuje. Hind biegła jak wzburzona fala po korytarzach części mieszkalnej Shaandaaru (Noclegi-i- Śniadania), machaj ąc, jak się okazało, ostatnim numerem importowanego hinduskiego fanzin „Cine-Blitz”. Drzwi otworzyły się; tymczasowi wyskoczyli na korytarz, zdziwieni i zaniepokojeni. Miszal Sufjan wynurzyła się ze swojego pokoju ukazuj ąc całe kilometry brzucha pomiędzy króciutk ą koszulk ą a pięćsetjedynkami. Z biura po drugiej stronie korytarza wyłonił się Hanif Johnson w zupełnie niestosownym jak na tę okazję eleganckim garniturze z kamizelk ą i porażony widokiem gołego ciała zakrył twarz. — Panie, zmiłuj się —

błagał. Miszal zlekceważyła jego uwagę i krzyknęła do matki: — Co się dzieje?Kto żyje?— Bezwstydnico — odkrzyknęła Hind — zakryj swoj ą nagość.— Spierdalaj — mruknęła cicho Miszal i utkwiła buntownicze oczy w Hanifie Johnsonie. — Chciałabym wiedzieć, co to za zwały tłuszczu pomiędzy jej sari a choli. — W przyćmionym świetle można było dostrzec Hind rzucaj ąc ą „Ci-ne-Blitz” w lokatorów i powtarzaj ąc ą, on żyje. Z całym tym ferworem, z jakim Grecy po zniknięciu polityka Lambrakisa pokryli mury całego kraju liter ą Z. Zet: on żyje.— Kto? — dopytywała się znowu Miszal.— Gibril — odkrzyknęły tymczasowe dzieci. — Fariszta benche achen. —

Hind, znikaj ąc na parterze, nie przygl ądała się, jak starsza córka wraca do pokoju,— ta zostawiła drzwi uchylone; — a kiedy było pewne, że korytarz jest pusty, wślizn ął się za ni ą odziany w garnitur, znany prawnik Hanif Johnson, który prowadził biuro, aby zachować kontakt z nizinami społecznymi, któremu szła również nieźle praktyka w wytwornej dzielnicy miasta, który posiadał rozległe znajomości wśród miejscowego kierownictwa Partii Pracy i którego aktualny członek parlamentu z tego okręgu oskarżał o intrygi, maj ące na celu zajęcie jego miejsca w najbliższych wyborach.Kiedy wypadały osiemnaste urodziny Miszal Sufjan? — Nie wcześniej jak za kilka tygodni. I gdzie była jej siostra, jej współmieszkanka, kompan, cień, echo i partner do sparingów? Gdzie była jej potencjalna przyzwoitka? Była: poza domem.Ale oto i dalszy ci ąg:

Wiadomość z „Cine-Blitz” głosiła, że nowa wytwórnia filmowa z siedzib ą 225

w Londynie, na czele której stoi cudowne dziecię, potentat przemysłowy Billy Battuta, o szeroko znanych koneksjach w świecie kina, przyst ąpił do spółki z sza-nowanym niezależnym hinduskim producentem filmowym panem S. S. Sisodi ą w celu nakręcenia filmu, który byłby okazj ą do powrotu na ekran legendarnego Gibrila, który, jak ujawniał artykuł w gazecie, w ostaniej chwili uciekł śmierci spod kosy. „To prawda, że miałem zarezerwowane miejsce w tym samolocie pod nazwiskiem Nadżmuddin — przekazywała gazeta słowa gwiazdora. — Wiem, że kiedy tajniacy prowadz ący śledztwo odkryli, że było to moje przybrane nazwisko — w rzeczy samej, moje prawdziwe — wywołało to wielki żal w kraju i za to szczerze przepraszam swoich wielbicieli. Widzi pan, rzecz w tym, że dzięki łasce boskiej jakoś nie zd ążyłem na ten samolot i ponieważ chciałem i tak zdez-integrować się, przepraszam bardzo, ten dowcip jest zupełnie niezamierzony, po-zwoliłem sobie nie prostować tej pomyłki na temat własnej śmierci i poleciałem późniejszym samolotem. Ależ miałem szczęście: naprawdę, musiał czuwać nade mn ą anioł”. Po okresie przemyślenia doszedł jednak do wniosku, że jest błędem w tak niesportowy i bolesny sposób pozbawianie publiczności prawdziwych informacji, a również jego obecności na srebrnym ekranie. „Tak więc przyj ąłem ten projekt z pełnym zaangażowaniem i radości ą”. Film ten miał być — jakżeby inaczej — filmem religijnym, ale nowego typu. Akcja rozgrywałaby się w zmy-ślonym i bajecznym mieście wzniesionym z piasku i byłaby to historia spotkania proroka i archanioła; a również kuszenia proroka, który wybiera drogę czystości zamiast nędznego kompromisu. „Jest to film — jak poinformował »Cine-Blitz«

producent Sisodia — o tym, jak nowe przychodzi do tego świata”. — Ale czy nie będzie to uważane za bluźnierstwo, zbrodnię przeciw. . . — „Z pewności ą nie

— utrzymywał Billy Battuta. — Fikcja jest fikcj ą; a fakty faktami. Naszym zamiarem nie jest nakręcenie sieczki takiej jak film „Posłanie” w którym jeśli tylko Prorok Mahomet (pokój z nim!) zaczynał mówić, widziało się jedynie łeb jego wielbł ąda z poruszaj ącym się pyskiem. Takie postępowanie — proszę mi wybaczyć, że tak to podkreślam — nie miało klasy. Kręcimy w tej chwili niezły obraz o wysublimowanej estetyce. Opowieść z morałem: podobnie jak w tych tam —

jak je nazywacie? — bajkach”.„Podobnie jest we śnie”, podpowiedział pan Sisodia.Kiedy Anahita i Miszal Sufjan przyniosły tę wiadomość na poddasze do pokoiku Czamczy, ogarnęła go najgwałtowniejsza furia, jak ą kiedykolwiek widziały, szał, pod którego strasznym wpływem jego głos podniósł się tak wysoko, że wydawał się rozdzierać powietrze, jak gdyby w gardle wyrosły mu noże i rozpruwały jego okrzyki na strzępy; jego wstrętny oddech prawie wyrzucił je z pokoju, a tańcz ąc wściekle na koźlich nogach i trzymaj ąc ręce wzniesione wysoko w górę wy-gl ądał wreszcie niemal identycznie jak ten diabeł, którego stał się wizerunkiem.— Kłamca — wrzeszczał pod adresem nieobecnego Gibrila. — Zdrajca, dezerter, szumowina. Nie zd ążyłem na ten samolot, ha, czyżby? W takim razie czyja 226

to głowa, w moich objęciach. . . ? Kogo to gładziłem, kto mówił wci ąż o zmorach czyhaj ących we śnie i kto wreszcie spadł z nieba ze śpiewem na ustach?— Dobrze, już dobrze — prosiła przerażona Miszal. — Uspokój się. Zaraz ści ągniesz tu mamę.Saladyn uciszył się i znowu był patetyczn ą brył ą koziego mięsa, nie zagraża-j ąc ą nikomu. — To nieprawda — lamentował. — To, co się przydarzyło, przydarzyło się nam obu.— Oczywiście że tak — zachęciła go Anahita. — Nikt przecież nie wierzy te-mu, co wypisuj ą w tych czasopismach filmowych. S ą gotowi wypisać największ ą bzdurę, ci tam.Siostry wycofały się z pokoju, wstrzymuj ąc oddech, pozostawiaj ąc Czamczę z jego własnym cierpieniem i nie zauważaj ąc czegoś naprawdę nadzwyczajnego. Nie należy ich za to winić; błazeństwa Czamczy wystarczyły, by odci ągn ąć uwagę najbystrzejszych oczu. Trzeba też uczciwie przyznać, że i sam Saladyn nie zauważył tej zmiany.Co się stało? Mianowicie to: podczas krótkiego, ale gwałtownego wybuchu gniewu Czamczy rogi na jego głowie (które, jak może warto by zaznaczyć, w czasie jego cierpień na poddaszu Shaandaar, Noclegi-i- Śniadania, urosły o kilka dalszych cali) zdecydowanie, tu nie może być żadnej pomyłki — skurczyły się o około trzy czwarte cala.W imię jak największej precyzji trzeba by dodać, że nieco niżej jego zmienio-nego ciała, — wewn ątrz pożyczonych spodni (skromność nie pozwala na określenie dokładniej tych szczegółów) — coś innego, zostawmy to w tej formie, również nieco się zmniejszyło.Jak tam było, tak było: wyszło na jaw, że optymizm doniesienia zamieszczo-nego w importowanym czasopiśmie filmowym był przedwczesny, ponieważ kilka dni później miejscowe gazety doniosły o aresztowaniu w centrum Nowego Jorku w barze Sushi Billy’ego Battuty oraz towarzysz ącej mu Mildred Mamoulian, według dziennikarza, aktorki, lat czterdzieści. Zgodnie z tym doniesieniem Billy zwrócił się do pewnej liczby matron, przedstawicielek sfer bardzo wpływo-wych, z prośb ą o „pokaźn ą” sumę pieniędzy, których jak twierdził, potrzebował

na wykupienie swojej wolności od sekty czcicieli diabła. Oszust zawsze pozo-stanie oszustem: niew ątpliwie akcję tę Mimi Mamoulian nazwałaby majsterszty-kiem. Docieraj ąc do samego rdzenia religijności Amerykanów, błagaj ąc o pomoc w zbawieniu — „kiedy się już sprzedało duszę, nie można liczyć na to, że będzie j ą można wykupić za grosze” — Billy otrzymywał, jak wykazało dochodzenie

„sumy sześciocyfrowe”. Pod koniec lat osiemdziesi ątych światowa społeczność wiernych tęskniła za bezpośrednim kontaktem z sitami nadprzyrodzonymi i Billy, twierdz ąc, że rozzłościł piekielne bestie (i w rezultacie potrzebował ratunku przed nimi), był bliski sukcesu, zwłaszcza że Diabeł, którego im oferował, był tak de-mokratycznie posłuszny nakazom Wszechmocnego Dolara. W zamian za pokaź-227

ne czeki Billy oferował damom z West Side potwierdzenie: tak, Diabeł istnieje; widziałem go na własne oczy — Boże, to było przerażaj ące! — a jeżeli istnieje Lucyfer, to musi istnieć również Gabriel; jeżeli widziano Ognie Piekielne, wobec tego gdzieś tam, nad tęcz ą, z pewności ą jest Raj. Według gazet Mimi Mamoulian brała udział w tych oszustwach, płacz ąc i błagaj ąc o pomoc tak przekonuj ąco, jak tylko potrafiła. Zgubiła ich nadmierna pewność siebie, w barze Takesushi dostrzegła ich (krzycz ących z radości i dowcipkuj ących z szefem kuchni) niejaka pani Aileen Struwelpeter, która poprzedniego popołudnia wręczyła nieszczęśli-wej wówczas i przerażonej parze czek na pięć tysięcy dolarów. Pani Struwelpeter miała pewne wpływy w nowojorskiej policji i niebiescy chłopcy przyjechali, zanim Mimi zd ążyła spożyć swoj ą tempurę. Oboje poszli spokojnie do wozu. Na zdjęciach w gazetach widać było, że Mimi ma na sobie okrycie, które Czamcza uznał za futro z norek wartości czterdziestu tysięcy dolarów, a wyraz jej twarzy można było interpretować w jeden tylko sposób.Do diabła z wami wszystkimi.Przynajmniej przez jakiś czas milczano o filmie Fariszty.

\* \* \*

Było tak, a może nie było, że w miarę, jak uwięzienie Saladyna Czamczy w ciele diabła i na poddaszu Shaandaaru (Noclegi-i-Sniadania) przeci ągało się już w tygodnie i miesi ące, nie można było nie zauważyć, że jego stan stopniowo się pogarsza. Rogi (pomijaj ąc ich chwilowe i niezauważalne zmniejszenie się) stały się i grubsze, i dłuższe, zwijaj ąc się w fantazyjne arabeski, wieńcz ące je-go głowę turbanem ciemniej ącej kości. Wyrosła mu gęsta, długa broda, co było dezorientuj ące u osoby, której okr ągła, księżycowa twarz nigdy wcześniej nie mogła poszczycić się owłosieniem; w rzeczy samej włosy rosły mu na całym ciele, a u nasady kręgosłupa zafundował sobie wspaniały ogon, który z każdym dniem stawał się coraz dłuższy i który zmusił go do rezygnacji z noszenia spodni; zamiast tego wkładał swoj ą now ą część ciała w obszerne majtasy, które Anahita Sufjan dziubnęła z zasobnej kolekcji matki. Łatwo sobie wyobrazić rozpacz, któr ą wywoływały u Saladyna niekończ ące się przeobrażenia w jakiś gatunek dżinna z butelki. Nawet jego przyzwyczajenia kulinarne zaczęły się zmieniać. Zawsze był bardzo wybredny, jeśli chodzi o jedzenie, a teraz z przerażeniem stwierdził, że traci delikatność podniebienia, że wszystko zaczyna mu smakować tak samo, a od czasu do czasu przyłapywał się też na tym, że z roztargnieniem podskubuje swoj ą pościel lub stare gazety, i natychmiast, zaskoczony, przytomniał w poczuciu winy i bardzo zawstydzony z powodu tych kolejnych dowodów na postęp, jaki 228

czynił na drodze od człowieczeństwa ku — tak, tak — ku kozłowatości. Trzeba było coraz większych ilości zielonego płynu do płukania ust, żeby utrzymać je-go oddech w granicy ludzkiej wytrzymałości. To już naprawdę było trudne do zniesienia.Jego obecność w tym domu była cierniem w oku Hind, u której żal straconych pieniędzy mieszał się z resztkami pierwszego przerażenia, jakkolwiek prawd ą będzie, jeżeli powiemy, że koj ące procesy przyzwyczajenia podziałały na ni ą jak czary i spowodowały, że zaczęła uważać przypadek Saladyna za rodzaj esło-niowacizny, choroby, która wywołuje obrzydzenie, ale niekoniecznie obawę. —

Niech mi nie wchodzi w drogę, a ja nie będę jemu wchodziła — powiedziała swoim córkom. — A wy, dzieci mojej straconej nadziei, dlaczego spędzacie tyle czasu siedz ąc tam z chor ą osob ą, podczas gdy wasza młodość ucieka, kto to wie, ale w tym Wilajacie mam wrażenie, że wszystko, co zdołałam poznać, jest kłamstwem, jak na przykład prawidłowość, że młode dziewczęta powinny pomagać swojej matce, myśleć o małżeństwie, zajmować się studiami, a nie przesiadywać z kozłami, którym nasz stary zwyczaj, tam w Indiach Wschodnich, każe podrzy-nać gardła.Jej m ąż nie przestał troszczyć się o Czamczę nawet po dziwnym incydencie, który wydarzył się wtedy, kiedy któregoś dnia wspi ął się na poddasze i powiedział

Saladynowi, że może jednak dziewczęta miały trochę racji, że być może temu, jak to wyrazić, temu opętaniu jego ciała można położyć kres przez interwencję mułły? Na wzmiankę o kapłanie Czamcza stan ął dęba, uniósł ręce nad głowę i jakimś dziwnym sposobem pokój wypełnił się gęstym siarczanym dymem, a wysoki wibruj ący skrzek o rozdzieraj ących właściwościach przebił uszy Sufjana jak ostrze.Dym znikn ął szybko, ponieważ Czamcza otworzył okno i przepędził opary, przepraszaj ąc jednocześnie Sufjana, najwyraźniej bardzo zażenowany: — Naprawdę nie wiem, co mnie opętało, — ale czasami boję się, że zamieniani się w coś — co nazywaj ą złem.Sufjan, będ ąc dobrodusznym facetem, podszedł do Czamczy, którego ręce kurczowo zaciskały się na rogach, poklepał go po ramieniu i próbował go na tyle, na ile mógł, pocieszyć. — Kwestia zmienności zasadniczego rdzenia jaźni — za-cz ął ni w pięć, ni w dziewięć — od dawna jest przedmiotem głębokiej debaty. Na przykład, wielki Lukrecjusz mówił nam w swoim De Rerurn Natura tak ą rzecz: quodcumque suis mutatum finibus exit, continuo hoc mors est illius quod fuid an-te. Co w tłumaczeniu brzmi, wybacz mi moj ą niezdarność, „Cokolwiek wskutek swej zmiany wychodzi poza swoje granice” — to jest, występuje ze swoich brzegów — albo też być może, omija swoje ograniczenia — że tak powiem, przestaje zważać na rz ądz ące nim zasady, lecz być może jest to zbyt dowolne, myślę. . .w każdym razie „ta rzecz”, jak utrzymuje Lukrecjusz, „poprzez takie zachowanie sprowadza natychmiastow ą śmierć na swoj ą poprzedni ą jaźń”. Jednakże —

palec byłego nauczyciela powędrował w górę — poeta Owidiusz w swoich Meta-229morfozach przyjmuje diametralnie odmienny pogl ąd. Dowodzi on w następuj ący sposób: „Jak miękki wosk” — ogrzewany, rozumiesz, po to, by pieczętować do-kumenty i tym podobne, — „jest wyciskany wci ąż nowymi stemplami i zmienia kształt i nie wydaje się być nadal tym samym. A jednak jest on wci ąż taki sam, podobnie ma się nawet z naszymi duszami” — czy słyszysz, mój panie? Nasze duchy! Nasza nieśmiertelna istota! „Na zawsze s ą one takie same, ale przyjmuj ą w swoich migracjach wci ąż zmieniaj ące się formy.”Przeskakiwał teraz z nogi na nogę, wzruszony antycznymi słowami.— Zawsze stawiam Owiudiusza nad Lukrecjuszem — oświadczył. — Twoja dusza, mój dobry biedny szanowny panie, pozostaje niezmieniona. Jedynie w swojej migracji przyjęła tę obecnie przekształcaj ąc ą się formę.— To mizerna pociecha. — Czamcza zdobył się na odrobinę swojego dawnego sarkazmu. — Albo przyjmuję Lukrecjusza i wyci ągam wniosek, że jakieś diabelskie i nieodwracalne mutacje zachodz ą w najskrytszych głębiach mojej duszy, albo też przyjmuję rozumowanie Owidiusza i przyznaję, że wszystko to, co zaczyna się obecnie pojawiać, nie jest niczym innym, jak przejawem tego, co już od dawna tam było.— Źle przedstawiłem swoj ą argumentację — usprawiedliwiał się przygnębiony Sufjan.— Chciałem jedynie rozproszyć twoje w ątpliwości.— Jak ąż pociechę może znaleźć człowiek — zgorzkniaLe odpowiedział

Czamcza, po czym jego ironia rozsypała się w pył pod wpływem nieszczęścia —

którego stary przyjaciel i wybawca jest jednocześnie conocnym kochankiem jego żony, w ten sposób powoduj ąc — co twoje stare ksi ążki z pewności ą potwierdz ą

— wzrost rogów rogacza?

\* \* \*Stary przyjaciel, Jumpy Joshi, nie potrafił pozbyć się świadomości, nawet na drobn ą chwilę w ci ągu dnia, że po raz pierwszy, jak daleko sięgn ąć pamięci ą wstecz, stracił wolę, by kierować się w życiu w oparciu o własne normy moralne.

W ośrodku sportowym, gdzie coraz większe masy studentów uczył technik walk Wschodu, podkreślaj ąc duchowe aspekty tych dyscyplin, zreszt ą wzbudzaj ąc tym ich wesołość („Ach, rozumiem. Koniku Polny — drażniła się z nim jego najlepsza studentka, Miszal Sufjan — kiedy czcigodna faszystowska świnia wyskoczy na ciebie z ciemnej bocznej uliczki, zaoferuj mu najpierw nauki Buddy, zanim go kopniesz w jego czcigodne jaja”), — zacz ął przejawiać porywcz ˛

a intensyw-

ność, aż jego studenci, domyślaj ąc się jakiejś wewnętrznej przyczyny, poważnie 230

się zaniepokoili. Kiedy Miszal zapytała go o to pod koniec treningu, z którego oboje wyszli zasapani i posiniaczeni, i podczas którego oboje, studentka i nauczyciel rzucili się na siebie jak wygłodzeni kochankowie, odpowiedział jej pytaniem, z nietypowym dla siebie brakiem otwartości. — Przyganiał kocioł garnkowi —

powiedział. — Problem źdźbła w oku bliźniego, belki w twoim. — Stali przy au-tomatach z napojami. Wzruszyła ramionami. — W porz ądku — powiedziała. —

Wyznam ci coś, ale trzymaj to w tajemnicy. — Sięgn ął po swoj ą colę: — Co to za tajemnica? — Naiwny Jumpy. Miszal szepnęła mu do ucha: — Sypiam z facetem.Z twoim przyjacielem: panem Hanifem Johnsonem, adwokatem.Oburzył się, co z kolei j ą rozzłościło. — Daj spokój, przecież to nie to samo, co gdybym miała piętnaście lat. Odpowiedział, bez przekonania: — Gdyby twoja mama kiedykolwiek — i ponownie zniecierpliwiła się. — Jeśli chcesz wiedzieć

— opryskliwie — martwię się nie o siebie, ale o Anahitę. Ona zawsze chce mieć to, co ja. A ona, tak a propos, ma właśnie piętnaście lat — Jumpy zauważył, że potr ącił swój tekturowy kubek z col ą i wylał jego zawartość na buty. — Wyduś to z siebie — nalegała Miszal. — Ja swoje powiedziałam. Teraz twoja kolej. —

Ale Jumpy nie mógł powiedzieć; wci ąż kręcił głow ą na myśl o Hanifie. — To go wykończy — powiedział. Na to Miszal zadarła głowę. — Ach, rozumiem —

odparła. — Uważasz, że nie jestem dla niego wystarczaj ąco dobra. — I rzuciła przez ramię: — Hej, Koniku Polny. Czy święci nigdy się nie pieprz ą?Nie tacy święci. Nie był stworzony do świętości, przynajmniej nie bardziej niż postać Davida Carradine’a w starych programach Kung Fu: podobny do Konika Polnego, podobny do Jumpy’ego. Codziennie cierpi męki usiłuj ąc trzymać się z dala od dużego domu w Notting Hill i co wieczór l ąduje u drzwi Pameli, z palcem w ustach, z którego obgryza skórki wokół paznokcia, odpędzaj ąc psa i własne wyrzuty sumienia, i kieruj ąc się od razu, bez zbędnych ceregieli, do sypialni. Gdzie w końcu rzucaj ą się na siebie, usta szukaj ą tych miejsc na ciele, od których zaczynali lub nauczyli się zaczynać grę miłosn ą: najpierw jego wargi wokół jej sutków, później jej wzdłuż jego kciuka.Pokochała w nim tę niecierpliwość, ponieważ szła za ni ą taka cierpliwość, jakiej ona nigdy nie doświadczyła, cierpliwość mężczyzny, który nigdy nie był

„atrakcyjny”, i cenił sobie to, co mu oferowano, w każdym razie myślał tak na pocz ątku; później nauczyła się doceniać to, że wyczuwał i przejmował się własnym wewnętrznym napięciem, że orientował się w trudności, z jak ą jej szczupłe kościste ciało o małych piersiach znajdowało, uczyło się i w końcu poddawało jego rytmowi, jego znajomości czasu. Kochała w nim również jego pokonywanie siebie; kochała wiedz ąc, że jest to niedobre uzasadnienie, jego gotowość przezwy-ciężania skrupułów po to, żeby mogli być razem: kochała w nim to poż ądanie, które odsuwało na bok wszystkie jego imperatywy. Kochała je, nie chc ąc widzieć właśnie w tej miłości pocz ątku końca.Pod koniec aktu miłosnego stawała się hałaśliwa. — Och! — krzyczała, cała 231

arystokratyczność jej głosu skupiała się w tych pozbawionych znaczenia sylabach

— sylabach oddania i samotności. — Uch! Och! Och!Wci ąż piła na umór, różne szkock ą burbon żytniówkę, czerwona pręga biegła przez środek jej twarzy. Pod wpływem alkoholu jej prawe oko skurczyło się do połowy wielkości lewego i, ku przerażeniu Hanifa, zaczęła wzbudzać w nim odrazę. Jednak zabroniona była jakakolwiek dyskusja na temat jej chlania: raz, kiedy próbował, znalazł się na ulicy z butami w prawej ręce i płaszczem przewie-szonym przez lewe ramię. Nawet po tym wydarzeniu powrócił: a ona otworzyła drzwi i poszła prosto na górę, jak gdyby nic się nie stało. Zakazane tematy Pameli: dowcipy o jej pochodzeniu, wszelkie uwagi o pustych butelkach po whisky i jakiekolwiek sugestie, że jej świętej pamięci m ąż, aktor Saladyn Czamcza żyje pod postaci ą nadprzyrodzonej bestii i mieszka w tanim hotelu oferuj ącym noclegi i śniadania.Obecnie Jumpy — który pocz ątkowo zadręczał j ą nieustannymi uwagami o Saladynie, mówi ąc, że powinna bez namysłu rozwieść się z nim, że przecież to symulowanie wdowieństwa jest nie do zniesienia: przecież co stanie się z maj ątkiem tego człowieka, co z jego prawem do nieruchomości, i tak dalej? Chyba nie zostawi go bez środków do życia? — już nie protestował przeciw jej niedorzecz-nemu zachowaniu. — Mam prawnie potwierdzony akt zgonu — powiedziała mu wtedy, ten jedyny raz, kiedy zdecydowała się zabrać głos w tej sprawie. — A ty co masz? Śmierdz ącego capa, potwora z cyrku, nic wspólnego toto ze mn ą nie ma.I to także, podobnie jak jej picie, zaczęło ich dzielić. Treningi sztuki walki prowadzone przez Jumpy’ego stawały się tym gwałtowniejsze, im większy niepokój odczuwał z powodu swoich problemów.Jak na ironię, mimo że Pamela kategorycznie odmówiła przyjęcia do wiadomości faktów dotycz ących swojego wypędzonego męża, została wci ągnięta, poprzez pracę w Komitecie do Spraw Społeczności, w śledztwo, jakie wszczęto w zwi ązku z doniesieniem o czarnej magii szerz ącej się wśród policjantów miejscowego komisariatu. Rzeczywiście różne komisariaty od czasu do czasu „wy-mykały się spod kontroli” — to w Notting Hill, to w Kentish Town, to znowu w Islington — ale czarna magia? Jumpy odnosił się do tego sceptycznie. — Kłopot z tob ą — odezwała się do niego Pamela najbardziej wzniosłym i arystokratycznym głosem, na jaki mogła się zdobyć — polega na tym, że wci ąż s ądzisz, że normalność jest normalna. Mój Boże: popatrz, co się dzieje w tym kraju. To, że kilku popieprzonych gliniarzy ści ąga swoje gatki i pije mocz z własnych heł-mów, nie jest jeszcze niczym niesamowitym. Można to raczej nazwać masone-ri ą świata pracy. Codziennie przychodz ą do mnie Murzyni, wprost nieprzytomni ze strachu i mówi ą o fetyszach, wnętrznościach kurczaków, o takich rzeczach.Te cholerne skurwiele uwielbiaj ˛

a takie sytuacje: przerazić czarnuchów, wykorzystuj ąc ich własne czary mary, a potem na dodatek otrzymuj ą w prezencie kilka niegrzecznych nocy. Nieprawdopodobne? Cholerne obudź się. — Polowania na 232

czarownice, wydawało się, s ą cech ą rodzinn ą: od Matthew Hopkinsa po Pamelę Lovelace. W głosie Pameli, słyszanym wszędzie — na zebraniach ludności w lo-kalnym radiu, nawet w wiadomościach regionalnych telewizji, dał się słyszeć cały ten zapał i autorytet starego Wielkiego Inkwizytora i właściwie tylko z tego powodu, że głos ten przywodził na myśl dwudziestowieczn ą Glorianę, kampania ta nie została tak od razu wyśmiana i zapomniana. Nowa Miotła Potrzebna, by Wymieść Czarownice. Słyszano pogłoski o oficjalnych dochodzeniach. Jednak do zupełnego szału doprowadził Jumpiego upór Pameli, która nie chciała przenieść argumentów użytych w kwestii okultyzmu policyjnego na sprawę swojego własnego męża: ostatecznie transformacja Saladyna Czamczy miała wiele wspólnego z ide ą głosz ąc ą, że normalność przestała się już składać (jeśli kiedykolwiek w ten sposób była skonstruowana) z banalnych, „normalnych” elementów. — Nie ma to z tym nic wspólnego — odpowiedziała stanowczo, kiedy próbował argumen-tować: równie stanowczo, pomyślał, jak pierwszy lepszy sędzia wydaj ący wyrok śmierci.

\* \* \*Dowiedziawszy się od Miszal Sufjan o jej potajemnych stosunkach seksualnych z Hanifem Johnsonem, Jumpy — id ąc znowu do Pameli Czamczy, musiał stłumić w sobie cał ą masę fanatycznych myśli, takich jak: gdyby jego ojciec nie był białym, nigdy by tego nie zrobił; Hanif, Jumpy aż szalał ze złości, ten niedojrzały skurwiel, który prawdopodobnie robi sobie nacięcia na kutasie, żeby nie stracić rachuby podbojów miłosnych, ten Johnson z aspiracjami reprezentanta swoich łudzi, który zaczyna ich dziobać, zanim osi ągn ą pełnoletność!. . . czy nie widział, że Miszal, pomimo tego swojego wszechwiedz ącego ciała, jest jeszcze dzieckiem? — Nie, już nie jest. Niech go diabli, niech go diabli wezm ą za to (i tutaj Jumpy zaszokował sam siebie), że był pierwszy.

Id ąc tak do swojej kochanki, Jumpy usiłował przekonać sam siebie, że uraza, jak ą czuje do Hanifa, przyjaciela Hanifa, ma swoje uzasadnienie — jak to powiedzieć? — lingwistyczne. Hanif doskonale włada językami, które się liczyły: językiem socjologicznym, socjalistycznym, murzyńskich radykałów, anty-anty-

-antyrasistowskim, demagogicznym, krasomówczym, kaznodziejskim: wszelkim słownictwem daj ącym władzę. A ty, skurwielu, ty grzebiesz w moich szufladach i śmiejesz się z moich głupich wierszy. Prawdziwy problem z językiem: jak nagi ˛

ać

go, nadać mu kształt, jak zmusić, by był nasz ˛

a wolności ˛

a, jak odzyskać jego za-

trute światło, jak opanować tę rzekę słów czasu krwi; o tym wszystkim nie miał

najmniejszego pojęcia. Jak ciężka to walka, jak nieunikniona klęska. Nikt nie wy-233bierze mnie na żadne stanowisko. Gdzie moi zwolennicy, gdzie moi wyborcy: to tylko walka przy pomocy słów. Ale on, Jumpy, musiał też przyznać, że w równym stopniu zazdrościł Hanifowi większej łatwości w posługiwaniu się językami poż ądania. Miszal Sufjan jest bardzo atrakcyjn ą dziewczyn ą, piękności ą o smu-kłym ciele, ale on nie wiedziałby, jak to zrobić, nawet gdyby o tym pomyślał, nigdy by się nie ośmielił. Język jest odwag ą: umiejętności ą sformułowania myśli, wypowiadania jej, a przez to uwiarygodnienia.Kiedy Pamela Czamcza otworzyła mu drzwi, dowiedział się, że w ci ągu jednego dnia jej włosy zmieniły kolor na śnieżnobiały i że w odpowiedzi na to niewytłumaczalne nieszczęście ścięła je i ogoliła do samej czaszki, a następnie owinęła głowę absurdalnym turbanem w kolorze burgunda, którego za nic nie chciała zdj ąć.— Po prostu stało się to i już — powiedziała. — Nie można wykluczyć możliwości, że zostałam zaczarowana.Nie miał zamiaru tego tak zostawić. — Albo też prawdopobieństwa, że jest to reakcja, jakkolwiek spóźniona, na wiadomość o zmienionym i niestety wci ąż trwaj ącym stanie twojego męża.Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, będ ąc w połowie schodów prowadz ących do sypialni i dramatycznym gestem wskazała na otwarte drzwi salonu.— W takim razie — powiedziała triumfuj ąco — dlaczego to samo przydarzyło się psu?

\* \* \*Mógł powiedzieć jej tej nocy, że chce to zakończyć, że jego sumienie nie pozwala mu już dłużej, — może i gotów był znieść jej gniew i żyć ze świadomości ą paradoksu, że decyzja może wynikać z dyktatu sumienia i mimo to być niemo-ralna (ponieważ jest okrutna, egoistyczna i podjęta tylko przez jedn ą stronę); ale kiedy wszedł do sypialni, ujęła jego twarz w dłonie i obserwowała go bacznie, żeby przekonać się, jak zareaguje na wiadomość o jej kłamstwach dotycz ących brania przez ni ą środków antykoncepcyjnych. Była w ci ąży. Okazało się, że ona o wiele lepiej sobie radzi z jednostronnymi decyzjami niż on i że po prostu wzięła sobie z niego dziecko, którego Saladyn Czamcza nie był jej w stanie dać. —

Chciałam tego dziecka — krzyknęła wyzywaj ąco, tuż przy jego twarzy. — A teraz zamierzam je urodzić.Jej egoizm przelicytował jego własny. Odkrył, że czuje niesamowit ą ulgę; zwolniony od odpowiedzialności dokonywania wyborów moralnych i wprowa-dzania ich w życie, — no bo jak mógł j ą teraz zostawić? — wyrzucił takie myśli 234

z głowy i pozwolił, by łagodnie, ale niedwuznacznie pchnęła go na łóżko.

\* \* \*Bez względu na to, czy uznamy, że przeobrażaj ący się Saladyn Czamcza zmienił się w pewien rodzaj mutanta z ksi ążek science-fiction lub filmów grozy, a więc był rzadkim przykładem przypadkowej mutacji, która wkrótce miała go wyeli-minować zgodnie z prawami doboru naturalnego, — czy też przekształcał się we wcielenie Władcy Piekieł, — czy też w zupełnie coś innego (a wnioskować w obecnej sprawie należy ostrożnie, przechodz ąc krok po kroku od jednego usta-lonego faktu do drugiego, nie skracaj ąc sobie drogi do konkluzji, że ślepy zaułek nienawiści stanowi zaledwie cal lub dwa naszego szlaku ku przeznaczeniu) pozostaje faktem, że dwie córki Hadżi Sufjana wzięły Czamczę pod swoje skrzydła, opiekuj ąc się Besti ą tak jak tylko Piękne potrafi ą; i że z biegiem czasu sam bardzo je polubił. Przez dłuższy czas uważał Miszal i Anahitę za nierozłoczn ą parę, pięść i jej cień, wystrzał i echo, przy czym młodsza dziewczyna usiłowała zawsze rywalizować z wyższ ą od siebie, wojownicz ą starsz ą siostr ą, ćwicz ąc kopnięcia karate, wyprowadzane z przedramienia ciosy według systemu Wing-Chun, co było pochlebn ą imitacj ą bezkompromisowego stylu Miszal. Jednak ostatnio Czamcza ze smutkiem zauważył narastanie wrogości między siostrami. Któregoś wieczoru Miszal pokazywała mu z okna jego pokoiku na poddaszu bardziej znane postacie Ulicy, — o, tam, staruszek Sikh, który w czasie rasistowskiego napadu doznał

szoku i stracił mowę; nie mówi już, według miejscowych, od prawie siedmiu lat; przed atakiem był jednym z nielicznych „czarnych” sędziów w mieście. . . , teraz jednak nie wypowiada żadnych skazuj ących formułek prawniczych i wszędzie towarzyszy mu jego kapryśna żona, odnosz ąca się do niego lekceważ ąco i z roz-goryczeniem. O, nie zwracajcie na niego uwagi, on nigdy nie puszcza pary z ust; a tam znowu, całkiem zwyczajnie wygl ądaj ący „typ księgowego” (określenie Miszal), który wraca do domu z teczk ą i pudełkiem słodyczy w ręku; znany jest z tego na Ulicy, że rozwin ął w sobie dziwny nawyk przestawiania co wieczór mebli w salonie przez pół godziny, ustawia krzesła rzędem, z przerw ą na przejście w środku i udaje, iż jest konduktorem w autobusie jad ącym do Bangladeszu, ob-sesyjna fantazja, zachcianka, w której musi brać udział cała rodzina, dokładnie po pół godzinie otrz ˛

asa się z tego nastroju i przez pozostał ˛

a część doby pozosta-

je najnudniejszym facetem, jakie go można spotkać; — po kilku minutach takich objaśnień piętnastoletnia Anahita wmieszała się do rozmowy ze złośliw ą uwag ą:

— Ona chce przez to powiedzieć, że nie jesteś jedyn ą ofiar ą, takich dziwadeł jest tu na pęczki, trzeba tylko dobrze popatrzeć.235

Miszal miała zwyczaj mówić o Ulicy tak, jak gdyby było to mitologiczne pole walki, a ona, stoj ąc na wysokościach przy oknie poddasza Czamczy, była aniołem rejestruj ącym szczegóły, a także aniołem feruj ącym wyroki. To od niej Czamcza usłyszał baśni o nowych synach Kuru i Pandu, białych rasistach i czarnej „samo-pomocy”, czyli oddziałach straży obywatelskiej, występuj ących w tej nowożytnej Mahabharacie, albo też, co byłoby trafniejsze, Mahawilajacie. A tam dalej pod wiaduktem kolejowym Front Narodowy staczał bitwy z nieustraszonymi radyka-łami z Socjalistycznej Partii Robotniczej, — co niedzielę od czasu zamknięcia do czasu otwarcia — szydziła — pozostawiaj ąc nam wszystkim tyle gruzów do sprz ątania, że mieliśmy co robić przez resztę pieprzonego tygodnia. — W głębi tamtej uliczki słynna Trójka z Brickhall została zaatakowana i pobita przez policję, a następnie sterroryzowano ich i postawiono w stan oskarżenia; z kolei, gdyby skręcić w tę boczn ą uliczkę, znaleźlibyśmy się w miejscu, gdzie zamordowano Ja-majczyka Ulissesa E. Lee, a plama na dywanie tamtej knajpy oznacza dokładnie miejsce, w którym wyzion ął ducha Jatinder Singh Meht. — Thatcheryzm wydał

swoje owoce — perorowała Miszal, natomiast Czamcza, któremu zabrakło już ochoty i słów, by sprzeczać się z ni ą, by mówić o sprawiedliwości i rz ądach prawa, przygl ądał się, jak w Anahicie narasta gniew. — Nie ma obecnie żadnych walnych bitew — wyjaśniała Miszal. — Teraz popiera się rozwój przedsiębiorczości na mał ą skalę i podkreśla się znaczenie pojedynczego człowieka. Innymi słowy, pięciu lub sześciu białych skurwysynów morduje nas, jednego po drugim.— Obecnie grupy ochotników wędruj ą nocami po Ulicy gotowi pogorszyć sytuację. — To nasza działka — powiedziała Miszal Sufjan o tej Ulicy bez jednego kwiatka jak okiem sięgn ąć. — Niech tylko spróbuj ą przyjść j ą zabrać.— Patrzcie j ą — wybuchła Anahita. — Ależ wytworna z niej dama, no nie?A jak m ądrze mówi. Wyobraźcie sobie, co powiedziałaby mama, gdyby wiedziała.— Gdyby co wiedziała, ty mała donosicielko? — Ale Anahita nie dała się zastra-szyć: — O, tak — zawodziła. — O, tak, my wiemy, nie myśl sobie, że nie. Jak to w niedzielne poranki ona chodzi sobie na koncerty, na których potajemnie zaży-waj ą narkotyki, jak to przebiera się w damskiej toalecie w te bezwstydne szmatki

— z kim to wije się, kręci tyłkiem w dziennej dyskotece Hot Wax, według niej ja o tym miejscu nigdy nie słyszałam — o tym, co się działo podczas tych tańców bluesowych, na które wymknęła się razem z Panem Ty-wiesz-kim Chujoglutem

— to mi dopiero siostra — po czym zamknęła wyst ąpienie bardzo efektownie —

prawdopodobnie skończy umieraj ąc na tak zwan ą ignorancję. — Chciała powiedzieć, jak Czamcza i Miszal dobrze wiedzieli, — te reklamy filmowe, ekspresjo-nistyczne nagrobki powstaj ące z ziemi i z morza, nieźle wszczepiły swój slogan, choćby w szcz ątkowej postaci, nie ma w ątpliwości — Aids.Miszal rzuciła się na siostrę, szarpnęła j ą za włosy — Anahita, mimo że za-bolało j ą to bardzo, zdołała jednak zrewanżować się następnym docinkiem. —

Ja przynajmniej nie obcięłam swoich włosów i nie zamieniłam ich w dziwacz-236

n ą poduszkę do igieł, tylko jakiemuś pomyleńcowi może podobać się coś takiego

— i obydwie wyszły, pozostawiaj ąc Czamczę jego myślom; zastanawiał się nad tym, co mogło spowodować, że Anahita tak nagle i tak całkowicie poparła etykę kobiecości głoszon ą przez swoj ą matkę. Dojrzewa jakaś burza, podsumował.I burza nadeszła: niedługo potem.

\* \* \*Coraz częściej w chwilach samotności czuł, że jakiś powolny ciężar pcha go ku dołowi, aż w końcu tracił przytomność i śmigał jak wiatraczek, a w tych okre-sach nieaktywności, które zreszt ą zawsze kończyły się tuż przed przyjściem gości, jego ciało wydawało zatrważaj ące dźwięki, wycie piekielnych przetworników o-uuu, o-uuu, trzaskanie szatańskich kości. W takich to momentach jego ciało powoli rosło. A wraz z ciałem rosła liczba plotek na temat jego postaci; nie można zamkn ąć diabła na strychu i spodziewać się, że nikt się o tym nigdy nie dowie.

A oto, w jaki sposób wiadomość o nim dotarła do ludzi (bo przecież ci, którzy byli wtajemniczeni, trzymali język mocno za zębami, Sufjanowie — w obawie przed utrat ą klientów, „tymczasowi” dlatego, że ich ulotny status nie pozwalał im działać, przynajmniej na razie, — a wszystkie zainteresowane strony — po prostu z obawy przed przybyciem policji, która chętnie wykorzystywała każd ą okazję do wkroczenia do instytucji tego typu, przy czym policjanci najzupełniej przypadkowo uderzali w drobniejsze meble i równie przypadkowo przydeptywali jakieś tam ramiona nogi szyje): zacz ął się ukazywać mieszkańcom dzielnicy w ich snach.Mułłom meczetu Dżame Masdżid, który wcześniej był synagog ą Machzikel Ha-Dath, która z kolei zajęła miejsce kościoła kalwinów; — i doktorowi Uhuru Simbie, człowiekowi-górze w afrykańskiej okr ągłej sztywnej czapeczce bez daszka i czerwono-żółto-czarnym ponczo, który stał na czele udanej kampanii protestów przeciwko programowi „Obcy z kosmosu” i którego Miszal Sufjan nienawidziła najbardziej ze wszystkich Murzynów, a to z powodu jego zamiłowania do bicia zarozumiałych kobiet pięści ą w twarz, sama mogła służyć tu za przykład, stało się to w miejscu publicznym, na zebraniu, mnóstwo świadków, ale nie przeszkodziło to Doktorowi, to szalony skurwysyn powiedziała Czamczy, wskazuj ąc mu go któregoś dnia z okna pokoika na poddaszu, zdolny do wszystkiego; mógł mnie wtedy zabić, a to wszystko dlatego, że rozpowiadałam naokoło, że nie jest żadnym tam Afrykańczykiem, znałam go, kiedy nazywał się po prostu Sylwester Roberts i mieszkał przy ulicy New Cross; pieprzony szarlatan, jeśli chcesz wiedzieć; —

ukazywał się też samej Miszal i Jumpy’emu, i Hanifowi; — a także Konduktoro-wi Autobusowemu, wszyscy oni widzieli go w swoich snach, jak góruje nad Ulic ą 237

na kształt Apokalipsy i bez trudu spala miasto jak grzankę. I w każdym z tych tysi ąca i jeden snów on, gigantyczny i z turbanem na głowie Saladyn Czamcza śpiewał, śpiewał głosem tak diabelnie upiornym i gardłowym, że niemożliwości ą było rozpoznać słowa, mimo że okazało się, że te sny s ą emitowane z przerażaj ąc ą jakości ą i tworz ą pewien rodzaj serialu, każdy następny jest kontynuacj ą snu z nocy poprzedniej i tak dalej, noc po nocy, aż w końcu nawet Milcz ący Człowiek, były sędzia pokoju, który nie odezwał się słowem od tego wieczora w hinduskiej restauracji, kiedy to pijany młokos podsun ął mu nóż pod nos, zagroził pocięciem go, a następnie popełnił o wiele bardziej skandaliczne przestępstwo, bo opluł mu całe jedzenie, — aż w końcu ten łagodny dżentelmen zadziwił swoj ą małżonkę, siadaj ąc nagle wyprostowany w łóżku, nadal pogr ążony we śnie, pochylaj ąc głowę ku przodowi jak goł ąb, klaszcz ąc dłońmi przy prawym uchu i wykrzykuj ąc z całych sił pieśń, która wydawała się tak cudzoziemska i była tak niewyraźna, że kobieta nie mogła zrozumieć ani słowa.Ponieważ obecnie wszystko, co ma się zdarzyć, zdarza się raczej wcześniej niż później, podobizna diabła ze snów szybko weszła w obieg, staj ąc się niezwykle popularn ą, trzeba to dodać, jedynie wśród grup, które Hal Valance nazwał

ludźmi o kolorowym przekonaniu. I kiedy niekolorowym neo-georgianom jawił

się we śnie ziej ący siark ą wróg, miażdż ący swoj ą dymi ąc ą pięt ą ich wychucha-ne rezydencje przywrócone do poprzedniej świetności, śpi ący br ązowi-i-czarni krzyczeli, dodaj ąc otuchy temu jak-by-nie-było-czarnemu, być może nieco skrzy-wionemu przez los klasę rasę historię, albo wszystkie naraz, złemu i wściekłemu, podnosz ącemu wreszcie swój zasiedziały dot ąd zad, aby kopn ąć tamt ą delikatn ą dupkę.Pocz ątkowo sny te były intymn ą kwesti ą nocn ą, lecz wkrótce zaczęły przenikać w dzienne życie ludzi, kiedy azjatyccy sprzedawcy i producenci odznak koszulek afiszów zrozumieli potęgę tego snu, i wtedy z dnia na dzień pojawił

się on wszędzie, na piersiach młodych ino dziewcz ąt i w oknach zakratowanych w obawie przed rzucanymi cegłami, był wyzwaniem i ostrzeżeniem. Sympatia dla Diabła; nowe życie dla starej śpiewki. Dzieciaki na Ulicy zaczęły nosić na głowach diabelskie rogi z gumy, zupełnie tak jak kilka lat wcześniej nosiły różo-we-i-zielone kulki kołysz ące się na końcach sztywnych drutów, kiedy to wolały naśladować obcych z kosmosu. Symbol Rogatego, z pięści ą wzniesion ą w górę na znak potęgi, zacz ął pojawiać się wszędzie. Wskakiwał na flagi niesione w czasie demonstracji politycznych. Ocalić Sześciu, Uwolnić Czterech, Zjeść Heinza 57.Pleasechu meechu, śpiewały odbiorniki radiowe, hopeyu guessma nayym. Rzecz-nicy prasowi policji wskazywali na „rosn ący kult diabła pośród młodych Murzynów i Azjatów”, nazywaj ąc go „pożałowania godn ą skłonności ą”, korzystaj ąc z tego „nawrotu satanizmu” w walce z oskarżeniami Pani Pameli Czamczy i miejscowych Komitetów do Spraw Stosunków Społecznych: Kto teraz jest czarownic ą? — Czamcza — wykrzyknęła podniecona Miszal — jesteś bohaterem. Wiesz, 238

ludzie naprawdę identyfikuj ą się z tob ą. Białe społeczeństwo od tak dawna odrzuca ten obraz, że naprawdę możemy go przej ąć, wiesz, zaj ąć go, wprowadzić do niego nasze wartości, oswoić go i uczynić naszym. Czas najwyższy, żebyś zacz ął

działać.— Odejdź — krzykn ął Saladyn, pogr ążony w pl ątaninie myśli. — Nie tego chciałem. To wcale nie to, co zamierzałem osi ągn ąć.— W każdym razie stajesz się za duży na to poddasze — odparła Miszal, urażona. — Już wkrótce będzie ci tu za ciasno.Wydarzenia zbliżały się do punktu kulminacyjnego.

\* \* \*— Następna starsza dama dostacz ciach wczorajszej nocy — oznajmił Hanif Johnson, sil ąc się, co było typowe dla niego, na wymowę trynidadzk ą. — Już więcej nie miecz żadne ubezpieczenie. — Anahita, której akurat przypadł dyżur za kontuarem Shaandaar Café, trzasnęła talerzami i filiżankami. — Nie wiem, dlaczego to robisz — utyskiwała. — Denerwuje mnie to. — Hanif nie zwrócił na ni ą uwagi, usiadł obok Jumpy’ego, który zamruczał nieprzytomnie: — Co mó-wi ą. — Myśl o nadchodz ącym ojcostwie przygniatała Jumpy Joshiego, ale Hanif klepn ął go po plecach. — Cóż, stara poezja nie robicz postępu, co, brachu — wyraził swoje współczucie. — Wygl ądacz na to, że ta rzeka krwi po prostu stygn ącz.

— Tu Jumpy tak popatrzył na Hanifa, że ten z miejsca przestał się wygłupiać.— Mówi ą, co mówi ą — odpowiedział. — Zwracacz uwagę na kolorowi wolno jeżdż ący samochodami. No, a gdyby staruszka była Murzynk ą, człowieku, wtedy mówiliby „Brak podstaw, by podejrzewać motywy rasowe”. Mówię ci — tu zupełnie już zrezygnował z silenia się na inny akcent. — Czasami poziom agresji pulsuj ącej tuż pod skór ą tego miasta po prostu mnie przeraża. I to nie tylko ten Rozpruwacz Staruszek. To jest wszędzie. Zawadzisz o gazetę faceta w porannym poci ągu i pokiereszuj ą ci twarz. Wydaje mi się, że wszyscy s ą jakoś cholernie wściekli. Ł ącznie, stary przyjacielu, z tob ą — t ą uwag ą zakończył. Jumpy wstał, przeprosił i wyszedł bez słowa. Hanif przeci ągn ął się i poczęstował Anahitę swoim najbardziej ujmuj ącym uśmiechem: — Co takiego ja zrobicz?W odpowiedzi Anahita uśmiechnęła się słodko. — Czy ty kiedykolwiek po-myślecz, że być może ludzie nie przepadaj ą za tob ą aż tak bezgranicznie?Kiedy rozniosła się wiadomość o następnym uderzeniu Rozpruwacza, coraz częściej dały się słyszeć głosy, że do rozwi ązania tajemnicy tych ohydnych zabójstw starych kobiet dokonywanych przez „diabła w ludzkiej skórze” — który niezmiernie troskliwie układał organy wewnętrzne ofiar przy ich ciałach, płuca 239

przy uszach, a serca z oczywistych przyczyn włożone w usta — może doprowadzić śledztwo nad nowym okultyzmem, który zdobył sobie tak wielk ą popular-ność wśród murzyńskiej ludności miasta i który stał się też powodem poważnego zaniepokojenia władz miejskich.W zwi ązku z tym nasilono zatrzymania i przesłuchania „kolorowych”, jak również zwiększono częstotliwość niespodziewanych najazdów policji na hoteliki

„podejrzane o udzielanie schronienia zakonspirowanym komórkom ruchu okulty-stycznego”. Jakkolwiek nie przyznawano się do tego, a pocz ątkowo nawet nie zdawano sobie z tego sprawy, wszyscy: czarni br ązowi biali zaczęli uważać postać ze snów za prawdziw ˛

a, za kogoś, kto przekroczył granicę, unikaj ąc kontroli wszelkich norm, i teraz wędrował nie skrępowany po mieście. Nielegalny tułacz

— imigrant, król wyjętych spod prawa, ohydny przestępca lub bohater rasy, Saladyn Czamcza stawał się powoli rzeczywistości ą. Po mieście kr ążyły plotki: jakaś fizjoterapeutka sprzedała absurdaln ą historię niedzielnym gazetom, nie uwierzono temu, ale nie ma dymu bez ognia, mówili ludzie; był to bardzo niepewny stan rzeczy i wkrótce należało spodziewać się rozróby zakończonej posłaniem Shaandaar Café do diabła. Do dysputy przył ączyli się duchowni, którzy dodali jeszcze jeden w ątpliwy element — powi ązanie pomiędzy pojęciem belzebub a grzechem bluźnierstwa — do tej całej mieszaniny. A Saladyn Czamcza powoli rósł na swoim poddaszu.

\* \* \*Przedkładał Lukrecjusza nad Owidiusza. Niestały duch, zmienność wszystkiego, das Ich, do ostatniego źdźbła. Istota id ąca przez życie może stać się tak odmienna, w swoim mniemaniu, że po prostu staje się kimś innym, oderwanym, odciętym od historii. Myślał czasami o Zini Wakil na tej drugiej planecie, w Bombaju, na krańcach galaktyki; Zini, ekletyczność, hybrydyzacja. Optymizm tamtych idei! Pewność, której byli pewni: wola, wybór! Ależ, mojaż ty Zini, życie po prostu ci się przytrafia, jak wypadek. Nie: to przydarza się jako wynik tego uwa-runkowania. Nie wybór, lecz — w najlepszym razie — proces, a w najgorszym

— wstrz ąsaj ąca, całkowita zmiana. Nowość: poszukiwał innego rodzaju, a oto, co otrzymał.Również gorycz i nienawiść, wszystkie te prostackie, ordynarne i nieokrze-sane cechy. Wejdzie w tę swoj ą now ą osobowość; będzie tym, czym się stał: głośnym, śmierdz ącym, olbrzymim, groteskowym, nieludzkim, potężnym. Miał

świadomość, że może wyci ągn ąć mały palec i burzyć wieże kościelne przy pomocy tej siły, która wci ąż w nim rosła, tego gniewu, tego gniewu, tego gniewu.240Moce.Szukał kogoś, kogo mógłby obarczyć win ą za to wszystko. On również miał

sny; i tam w jego snach pewien kształt, pewna twarz podpływała coraz bliżej do niego, wci ąż jeszcze była rozmazana jak oblicze upiora, mglista, ale wkrótce przyjdzie taki dzień, kiedy będzie mógł zwrócić się do niej, nazywaj ąc j ą jej własnym imieniem.Jestem, zgodził się, tym, czym jestem.Uległość.

\* \* \*Jego życie w bezpiecznym kokonie Shaandaar Café, Noclegi-i- Śniadania, skończyło się nagle tego wieczoru, kiedy Hanif Johnson wszedł do kawiarni krzycz ąc, że aresztowano Uhuru Simbę za morderstwa Rozpruwacza Staruszek, i że mówiono, że oskarż ą go o Czarn ą Magię, zrobi ą z niego kapłana-voodoo, baro-na-samedi, kozła ofiarnego, a akcje odwetowe — pobicia, ataki na domy, to co zwykle — już się zaczęły. — Zamknijcie drzwi na klucz — polecił Hanif Sufjanowi i Hind. — Czeka nas fatalna noc.

Hanif stał dokładnie na samym środku kawiarni, pewien wrażenia, jakie mu-si wywrzeć przyniesiona przez niego wiadomość, toteż kiedy Hind podeszła do niego i z całej siły uderzyła go w twarz, był tak nie przygotowany na ten cios, że po prostu zemdlał, bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Ocucił go Jumpy, wylewaj ąc na niego szklankę wody, dokładnie tak, jak nauczył się z filmów. Jednak w owej chwili Hind była już w biurze, na piętrze, sk ąd wyrzucała wyposażenie biurowe przez okno na ulicę; taśmy maszynowe i czerwone tasiemki, służ ące do zabezpie-czenia ważnych dokumentów prawnych, leciały w powietrze niczym świ ąteczne serpentyny. Anahita Sufjan nie potrafiła już dłużej walczyć z diabelskimi pod-szeptami swojej zazdrości i zdradziła matce tajemnicę zwi ązku Miszal z wielce obiecuj ącym prawniko-politykiem, a wtedy nie było już niczego, co mogłoby powstrzymać Hind, wszystkie te lata jej poniżenia znalazły teraz swoje ujście; nie dosyć, że utknęła w tym kraju pełnym Żydów i przybyszów z obcych stron, którzy pakowali j ą do jednego worka z Murzynami, nie dosyć, że m ąż był słabym człowiekiem, który co prawda odbył hadżdżę, ale któremu we własnym domu nie można było zawracać głowy pobożności ą, nie dosyć było tego wszystkiego, to jeszcze musiała j ą spotkać taka rzecz; ruszyła na Miszal z nożem kuchennym, a jej córka odpowiedziała bolesn ą seri ą kopnięć i uderzeń, oczywiście tylko z zakresu samoobrony, inaczej z cał ą pewności ą skończyłoby się to matkobójstwem. — Hanif odzyskał przytomność i Hadżi Sufjan pochylił się nad nim, nieskoordynowane 241

ruchy r ąk były odzwierciedleniem bezradności, nie ukrywaj ąc łez, niezdolny czerpać pociechę z wiedzy, ponieważ jeżeli dla większości muzułmanów podróż do Mekki była wielkim błogosławieństwem, w jego przypadku stała się pocz ątkiem działania kl ątwy; — Odejdź — powiedział — Hanifie, mój przyjacielu, wynoś się. — Ale Hanif nie zamierzał się wynieść bez wypowiedzenia ostatniego słowa, Trzymałem gębę na kłódkę zbyt dlugo — krzyczał — nazywacie siebie ludźmi o wysokiej moralności, podczas gdy zbijacie fortuny na nieszczęściu własnej ra-sy, stało się wtedy jasne, że Hadżi Sufjan nie miał pojęcia o pobieranych przez żonę opłatach, która nie powiedziała mu o tym, i zaklęła na wszystkie świętości swoje córki, aby dochowały tajemnicy, wiedz ąc, że jeśli on to odkryje, na pewno znajdzie sposób na zwrócenie tych pieniędzy, tym samym pogr ążaj ąc cał ą rodzinę w ubóstwie; — a on, wiecznie żywy rodzinny duch Shaandaar Café, straciłby cał ą radość życia. A teraz w kawiarni pojawiła się Miszal i ku zawstydzeniu rodziny zaczęła wywlekać na światło dzienne ich prywatne sprawy, które jak tania kome-dia rozegrały się przed oczyma klientów, — pomimo ucieczki ostatniej amatorki herbaty, która wyniosła się z widowni tak szybko, jak były w stanie unieść j ą stare nogi. Miszal trzymała w rękach torby. — Ja też się wyprowadzam — zakomunikowała. — Spróbuj mnie zatrzymać. To tylko jedenaście dni.Kiedy Hind zobaczyła swoj ą starsz ą córkę, odchodz ąc ą z jej życia na zawsze, zrozumiała, że to cena, jak ą płaci człowiek za przyjęcie pod swój dach Księcia Ciemności. Błagała męża, by poj ął wreszcie, że jego dobroduszna bezinteresow-ność sprowadziła na nich to piekło i gdyby tylko ten diabeł Czamcza został usu-nięty po pierwszych zwiastunach nadchodz ącego nieszczęścia, wtedy zapewne mogliby na powrót stać się szczęśliw ą rodzin ą z tradycjami. Zaledwie jednak zamilkła, dom nad jej głow ą zacz ął grzmieć i trz ąść się i wkrótce na schodach rozległo się ciężkie st ąpanie czegoś, co ryczało i jakby podśpiewywało sobie i to głosem tak wstrętnie ochrypłym, że niemożliwości ą wprost było zrozumieć słowa.W końcu Miszal zdobyła się na odwagę i poszła na górę. Miszal z Hanifem Johnsonem trzymaj ącym j ą za rękę, a zdrajczyni Anahita przygl ądała się temu z dołu. Czamcza rozrósł się i mierzył obecnie prawie dwa i pół metra, z jego nozdrzy wydobywał się dym w dwóch różnych kolorach: żółty z lewej strony, a czarny z prawej. Stwór nie miał na sobie odzienia. Włosy na ciele zmieniły się w gęst ą i dług ą sierść, ogon w złości ze świstem przecinał powietrze, oczy były bladoczerwone, ale błyszcz ące i potwór zd ążył już śmiertelnie przerazić „tymczasowych” lokatorów, wszystkich „tymczasowych” mieszkańców instytucji noclegi i śniadania. Jednakże Miszal nie była na tyle wystraszona, żeby stracić głos. —

Dok ąd to się wybierasz? — zapytała go. — Myślisz, że przeżyjesz na ulicy choćby pięć minut, wygl ądaj ąc tak jak wyl ądasz? — Czamcza przystan ął, spojrzał na siebie, dostrzegł pokaźnych rozmiarów erekcję, która zaczynała się gdzieś w oko-licach lędźwi i wzruszył ramionami. — Zamierzam natychmiast zacz ˛

ać działać

— powiedział, używaj ąc jej własnych słów, jakkolwiek wypowiedziane tym gło-242

sem ze sfery lawy, gromów i piorunów, nie wydawały się należeć do niej. — Jest pewna osoba, któr ą pragnę odnaleźć.— Ści ągnij cugle — odpowiedziała Miszal. — Coś wymyślimy.

\* \* \*Cóż można tu znaleźć, w odległości około jednej mili od kawiarni Shaandaar, tu gdzie rytm wychodzi na ulicę, tu w Klubie Hot Wax, dawniej u Br ązowo-Czarnych? W tę nieszczęsn ą i bezksiężycow ą noc pójdźmy za tymi postaciami — niektóre z nich id ą dumnym krokiem, wystrojone, drepcz ące niecierpliwie w miejscu, inne przemykaj ą się ukradkiem, trzymaj ąc się cienia, nieśmiałe — d ąż ącymi tutaj z całej okolicy i nagle zapadaj ącymi się pod ziemię, za tymi bardzo zwyczajny-mi drzwiami. A co wewn ątrz? Światła, płyny, pudry, proszki, trzęs ące się ciała, pojedynczo, parami, trójkami, próbuj ące wszelkich możliwości. Lecz czym s ą te inne postacie, niemal niewidoczne w migocz ącym tęczowym blasku przestrzeni, te formy zastygłe w swoich pozach pośród oszalałych tancerzy? Kim s ą ci, którzy gotowi s ą pl ąsać w rytmie hip-hop i hindu-pop, ale nie porusz ą się ani o krok? —

Świetnie wygl ądacie, pospolite ruszenie Klubu Hot Wax! — Nasz gospodarz mó-wi: deklamuje z patosem, wznosi toasty, niezrównany DJ — tańcz ący Pinkwalla, jego świetlisty strój skrzy się zgodnie z pulsem rytmu. Naprawdę jest nadzwyczajny; albinos o ponad dwóch metrach wzrostu, włosy w odcieniu najbledszego różu, podobnego koloru białka jego oczu, rysy niew ątpliwie hinduskie, hardy nos, w ąskie usta, twarz jakby przeniesiona z tkaniny Hamzanama. Hindus, który nigdy nie widział Indii, człowiek Wschodnich Indii z Indii Zachodnich, biały czarny.Gwiazda.W dalszym ci ągu nieruchome postacie tańcz ą pośród gibaj ących się sióstr, podskoków i odskoków młodzieży. Co to za postacie? — Cóż, figury woskowe, nic więcej. — Kim s ą? — Histori ą. Popatrz, oto Mary Seacole, która zdziałała na Krymie tyle samo, co inna Dama od magicznej lampy, ale z powodu ciemnej skóry była niewidoczna przy płomyku świecy Florence; — a tam znowu, o tam! Niejaki Abdulkadir, znany jako Munsji, którego królowa Wiktoria chciała odznaczyć, ale został oszukany przez ministrów maj ących awersję do kolorów. S ą tu oni wszyscy, tańcz ą bez ruchu w gor ącym wosku: czarny błazen Septymiusza Sewera, to ten na prawo; na lewo tańczy cyrulik Jerzego IV z niewolnic ą, Grace Jones. Afrykański ksi ążę Ukawsaw Groniosaw, sprzedany za sześć łokci sukna, tańczy swój staroświecki taniec razem z synem niewolnika, Ignatiusem Sancho, który w 1782

został pierwszym afrykańskim autorem, którego dzieło opublikowano w Anglii.— Ci migranci przeszłości, w równym stopniu poprzednicy, jak i krew z krwi, 243

kość z kości żywych tu tancerzy, wiruj ą nieruchomo, podczas gdy Pinkwalla deklamuje wznosi toasty dowcipkuje na scenie. Teraz-mi-czuć-abominacja-kiedy-

-ich-mó wić-imigracja-kiedy-ich-robić-insynuacja-myy.wiznie-części ą-nacji-i-my-

-z-melka-dete rminacja-dać-wykład-od-Rzymu-Okupacja, a z różnych części zatłoczonej sali czołgaj ą się ze strachu i wysyłaj ą przerażone grymasy sk ąpani w zielonym świetle zła, woskowi nikczemnicy: Mosley, Powell, Edward Long i inni miejscowi awatarzy Legree. I nagle słychać pomruk w samych trzewiach Klubu, pomruk narasta, staje się pojedynczym słowem, skandowanym raz po raz: —

Stopić — zaż ądali goście. — Stopić, stopić, stop.Pinkwalla szybko podchwycił myśl tłumu, więc-to-czas-topienia-kiedy-zbrod-niarze- ustawiaj ˛

a-się-w-kolejce-aby-smaźyć-się- w-piekielnym-ogniu, po czym zwraca się do tłumu z szeroko rozpostartymi ramionami, nogi ruszaj ą się zgodnie z rytmem i pyta Kto-to-ma-być? — Kogo-chcecie-zobaczyć? Wykrzykuj ą nazwiska, głosy rywalizuj ą ze sob ą zlewaj ą się, aż w końcu zebrane towarzystwo jest znowu jednomyślne i skanduje tylko jedno słowo. Pinkwalla klaszcze w dłonie. Za jego plecami rozsunęła się kurtyna, co pozwala dziewczynom w błyszcz ących różowych szortach i krótkich koszulkach wytoczyć przerażaj ąc ą szafkę: wysokości człowieka, z przedni ą ścian ą ze szkła i wewnętrznym oświetleniem — kuchenkę mikrofalow ą, z kompletnym wyposażeniem i Krzesłem Elektrycznym, która znana jest bywalcom jako: Kuchnia Piekieł. — W porz ądelu — krzyczy Pinkwalla.— No, teraz to naprawdę gotujemy.Dziewczyny z obsługi id ą w stronę grupy znienawidzonych postaci, rzucaj ą się na tę, która dzisiejszej nocy ma być złożona w ofierze, postać najczęściej dot ąd wybierana, jeżeli mamy powiedzieć prawdę, przynajmniej trzy razy w tygodniu.Ze swoj ą trwał ą ondulacj ą, perłami na szyi, niebieskim strojem. Maggie-maggie-

-maggie — wyje tłum. — Na stos-na stos-na stos. Przywi ązuj ą kukłę do Krzesła Elektrycznego. Pinkwalla naciska przeł ącznik. O, jak pięknie się topi, od środka, później na zewn ątrz, zapadaj ąc się w bezkształtność. A później jest już jedynie kałuż ą i tłum wzdycha w ekstazie: zrobione. — Ależ tym razem był ogień —

mówi im Pinkwalla. Muzyka ponownie zawładnęła noc ą.

\* \* \*Kiedy DJ Pinkwalla zobaczył, jaki to stwór wspina się pod osłon ą ciemności na tył jego bagażówki, któr ą jego przyjaciele Hanif i Miszal polecili mu podstawić pod kawiarnię Shaandaar od podwórza, serce zamarło w nim ze strachu przed czarami; ale doznał też uczucia przeciwnego, radości, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że potężny bohater wielu jego snów jest postaci ą prawdziw ą, z krwi-i-kości. Stał

244

później po drugiej stronie ulicy pod latarni ą i trz ąsł się cały, mimo że nie było specjalnie zimno, stał tam z pół godziny, podczas gdy Miszal i Hanif usilnie go przekonywali, on potrzebuje jakiegoś lokum, musimy myśleć o jego przyszłości.Wreszcie wzruszył ramionami, poszedł do bagażówki i uruchomił silnik. Hanif usiadł obok niego w kabinie; Miszal jechała z tyłu z Saladynem, ukrytym przed ludzkim wzrokiem.Była prawie czwarta nad ranem, kiedy ułożyli Czamczę do snu w pustym i zamkniętym nocnym klubie. Pinkwalla — nikt nigdy nie nazywał go jego właściwym nazwiskiem Sewsunker — zdobył gdzieś na zapleczu kilka śpiworów i to wystarczyło. Hanif Johnson, mówi ąc dobranoc tej przerażaj ącej istocie, której je-go kochanka Miszal zupełnie się nie obawiała, usiłował nadać rozmowie ton poważny. — Musisz zdać sobie sprawę z tego, że możesz być nam bardzo potrzebny, że chodzi tu o coś więcej niż twoje osobiste problemy — ale mutant Saladyn tylko prychn ął, żółtym i czarnym dymem, i Hanif szybko się wycofał. Kiedy Czamcza pozostał sam na sam z figurami woskowymi, mógł znowu skoncentrować swoje myśli na twarzy, która wreszcie ukazała się oczom jego duszy jako jedna całość, na tej promieniuj ącej twarzy, otoczonej światłem płyn ącym z punktu tuż na głow ą, na Panu Perfecto, odtwórcy bogów, który zawsze spadał na cztery łapy, któremu zawsze wybaczano grzechy, którego zawsze kochano, chwalono, wielbiono. . .twarz tę usiłował odtworzyć w swoich snach, Pana Gibrila Farisztę równie pewnie przekształconego w coś na podobieństwo anioła, jak on sam był zwierciadlanym odbiciem samego Diabła.Kogo Diabeł powinien winić, jeśli nie Archanioła, Gibrila?Stwór w śpiworze otworzył oczy, z jego nozdrzy pocz ął wysnuwać się dym.Twarze wszystkich woskowych figur były teraz takie same, twarz Gibrila, z charakterystyczn ą grzywk ą nad czołem i jego spojrzenie — przeci ągłe ostre ponure dobre. Stwór obnażył zęby i zrobił głęboki, długi wydech o obrzydliwym zapachu i z figur woskowych zostały kałuże i ubrania. Stało się tak z wszystkimi figurami, co do jednej. Stwór z powrotem położył się, zadowolony. I skupił cał ą uwagę na swoim wrogu.Wtedy właśnie zacz ął odczuwać, że w jego wnętrzu maj ą miejsce dziwne procesy, jakieś ściskanie, wsysanie, cofanie się; jego ciałem wstrz ąsnęły straszliwe konwulsje. Skowyczał przy tym głosem tak przenikliwym, że nikt, nawet Miszal, która stała z Hanifem w pokoju Pinkwalli nad Klubem, nie zdobyła się na odwagę, by zejść na dół i zbadać sytuację. Bóle stawały się bardziej intensywne i stwór miotał się po parkiecie, wal ąc rękoma i nogami we wszystko, co stało na drodze i zawodz ąc żałośnie; aż w końcu, gdy spłynęła nań upragniona ulga, natychmiast zasn ął.Kiedy Miszal, Hanif i Pinkwalla ośmielili się kilka godzin później zejść do sa-li Klubu, oczom ich ukazała się scena przerażaj ącego spustoszenia, powywracane stoły, połamane krzesła i, co oczywiste, wszystkie figury woskowe — i dobre, 245

i złe — Topsy i Legree — roztopiły się jak masło; a w samym środku tego po-bojowiska, śpi ąc jak niemowlę, wcale nie żadna postać z mitologii, żadny tam konwencjonalny Stwór znany z obrazów, z rogami i o piekielnym oddechu, ale pan Saladyn Czamcza we własnej osobie, najwyraźniej przywrócony do swojej dawnej postaci, nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył, lecz o ludzkim wygl ądzie i proporcjach, uczłowieczony — cóż pozostało innego jak podsumować? — poprzez przerażaj ąc ą koncentrację własnej nienawiści.Otworzył oczy; które wci ąż żarzyły się blad ą czerwieni ą.2

Alleluja Cone, schodz ąc z Everestu, zobaczyła miasto z lodu na zachód od Obozu Szóstego, za Opask ą Skaln ą, całe lśni ące w świetle słonecznym poniżej masywu Cho Oyu. Shangri-La pomyślała natychmiast; jednak nie była to wcale żadna zielona dolina nieśmiertelności, lecz metropolia gigantycznych lodowych iglic, cienkich, ostrych i zimnych. Z zamyślenia wyrwał j ą głos Szerpy Pemby, nakazuj ącego jej zachowanie koncentracji i kiedy obejrzała się, miasta już nie było.Znajdowała się wci ąż na wysokości ośmiu tysięcy metrów, ale widok nie widzia-nego miasta przeniósł j ą wstecz w czasie i przestrzeni do gabinetu przy londyńskim Bayswater, pełnego starych ciemnych mebli i ciężkich aksamitnych zasłon, w którym jej ojciec, Otto Cone, historyk sztuki i biograf Picabii, opowiadał jej —

wchodziła wówczas w swój czternasty, a on w ostatni rok życia — o „najbardziej niebezpiecznym ze wszystkich kłamstw, jakim karmi się nas za naszego życia”, którym jest, według niego, idea continuum. Jeżeli ktokolwiek będzie usiłował ci wmówić, że ta najpiękniejsza i najbardziej zła z planet jest jednak jednorodna, że składa się z możliwych do pogodzenia elementów, że ostatecznie to wszystko pięknie się sumuje, dzwoń wówczas do krawca szyj ącego kaftany bezpieczeństwa

— poradził jej, i udało mu się przy tym stworzyć wrażenie, że przed dojściem do takiego wniosku zwiedził więcej niż jedn ą planetę. — Świat składa się z elementów nie do pogodzenia, nigdy tego nie zapomnij: jest wariatem. Duchy, naziści, święci, wszyscy oni żyj ą obok siebie; na jednej ulicy, w jednym miejscu — błogie szczęście, a nieco dalej — piekło. Nie ma nigdzie niczego bardziej zwariowanego”. Otto nie przej ąłby się wcale lodowymi miastami na dachu świata. Podobnie jak jego żona Alicja, matka Allie, był polskim emigrantem, człowiekiem, którem u udało się przeżyć obóz koncentracyjny w czasach wojny; nazwy obozu nie wymieniono przy Allie przez całe dzieciństwo. Chciał wymazać obóz z pamięci, jak gdyby go w ogóle nie było — powiedziała później Alicja swojej córce. — Pod wieloma względami nie był realist ą. Ale był dobrym człowiekiem; najlepszym, jakiego znałam. — Twarz jej rozjaśniła się przy tym jakimś wewnętrznym uśmiechem tolerancji, na któr ą nie zawsze było j ą stać za jego życia, kiedy często był

dla niej po prostu przerażaj ący. Na przykład: żywił tak ą nienawiść do komuni-zmu, że prowadziło to do skrajnych reakcji, kłopotliwych dla innych, zwłaszcza podczas Świ ąt Bożego Narodzenia, kiedy to ten Żyd upierał się, że będzie wraz ze swoj ą żydowsk ą rodzin ą i znajomymi Żydami obchodził święta według czegoś, co określał jako „angielski rytuał”, na dowód szacunku dla narodu, dla swojego nowego „narodu zastępczego” — a następnie zepsuł wszystko (w opinii żony) wpadaj ąc do salonu, gdzie zebrane towarzystwo odpoczywało przy żarz ącym się na kominku ogniu, świec ących na choince lampkach i kieliszku brandy, przebrany za typowego Chińczyka z pantomimy, z obwisłym w ąsem i tak dalej, i krzycz ąc: 247

— Święty Mikołaj nie żyje! Zabiłem go! Jestem Mao: żadnych prezentów dla nikogo! Hi — hi — hi! — Wspominaj ąc to na Evereście, Allie skrzywiła się —

grymas jej matki, zdała sobie z tego sprawę, został przeniesiony na jej własn ą oszronion ą twarz.Niemożność pogodzenia elementów życia: w namiocie Obozu Czwartego, osiem tysięcy dwieście osiemdziesi ąt metrów, idea, która nieraz była natchnie-niem jej ojca, wydawała się banalna, pozbawiona znaczenia, atmosfery, przez sa-m ą wysokość. — Everest cię wycisza — zwierzyła się Gibrilowi Fariszcie w łóżku, nad którym jedwab spadochronu tworzył firmament pustych Himalajów. —

Kiedy schodzisz w dół, wydaje się, że nie ma niczego, o czym warto by mówić, dosłownie niczego. Stwierdzasz, że spowija cię nicość, jak dźwięk. Niebyt. Nie można tego utrzymać przez dłuższy czas, oczywiście. Świat szybko znowu wdziera się w ciebie. A zamyka ci usta, jak s ądzę, ten obraz czegoś doskonałego, który miałeś przed oczyma: dlaczegóż mówić o tym, jeżeli nie dysponujesz doskonałymi myślami, doskonałymi zdaniami? Odczuwa się to jako zdradę tego, przez co się przeszło. Ale uczucie to zanika; zgadzasz się z tym, że pewne kompromisy, zaniknięcia rozdziałów s ą konieczne, jeżeli mamy trwać. Podczas pierwszych wspólnych tygodni większość czasu spędzili w łóżku: poż ądanie, jakie odczuwali wobec siebie, zdawało się być nie do zaspokojenia, kochali się sześć lub siedem razy dziennie. — Otworzyłeś mnie — mówiła mu. — Ty, z t ą szynk ą w ustach.Wygl ądało to dosłownie tak, jak gdybyś rozmawiał ze mn ą, jak gdybym mogła czytać w twoich myślach. Nie, nie jak gdyby — dodała. — Ja naprawdę w nich czytałam, czy nie tak? Kiwn ął głow ą: — Prawda. — Czytałam w twoich myślach, a z moich ust wypływały właśnie te słowa, co trzeba — powtarzała zdumiona. —

Po prostu wypływały. Brawo: miłość. Na pocz ątku było słowo.Matka Allie zapatrywała się fatalistycznie na ten dramatyczny zwrot w jej życiu, na ten powrót kochanka zza grobu. — Powiem ci uczciwie, co pomyślałam, kiedy przekazałaś mi wiadomość — mówiła nad obiadow ą zupk ą i kreplach w restauracji Blooma w Whitechapel. — Pomyślałam sobie, Boże mój, to wielka namiętność, i biedna Allie musi teraz właśnie przez to przechodzić, nieszczęsne dziecko. — Strategia Alicji polegała na dokładnym panowaniu nad swoimi uczuciami. Była wysok ą kobiet ą o bujnych kształtach i zmysłowych ustach, ale jak sama przyznawała, „Nigdy nie krzyczałam z rozkoszy”. Szczerze mówiła Allie o swojej seksualnej bierności i ujawniła, ze Otto wykazywał, „Powiedzmy, inne skłonności. Miał słabość do wielkiej namiętności i zawsze był bardzo przygnębiony z tego powodu, ze nie umiem dojść do stanu dużego podniecenia”. Pocieszała j ą jednak świadomość, że kobiety, z którymi zadawał się jej niski, łysy i kapryśny m ąż, były „jej typu”, podobne do niej, wysokie i hoże, „poza tym, że były również bezwstydne: robiły to, co on chciał, krzyczały głośno, aby go jeszcze bardziej podniecić, udaj ąc, ile tylko mogły; reagowały w ten sposób na jego zapał, s ądzę, a być może również na jego ksi ążeczkę czekow ą. Był ze starej szkoły i dawał

248

hojne prezenty”.Otto nazywał Alleluję swoj ą „bezcenn ą perł ą” i marzył o wielkiej przyszłości dla niej, przyszłości wielkiej pianistki lub, gdyby to nie wyszło, Muzy. „Twoja siostra, szczerze mówi ąc, zawiodła moje nadzieje — powiedział trzy tygodnie przed swoj ą śmierci ą w tym gabinecie Wielkich Ksi ąg pełnym Picabiańskich bi-belotów — a to wypchana małpa, która, według niego, była „pierwszym szkicem”słynnego Portretu Cezanne’a, Portretu Rembrandta, Portretu Renoira, a to liczne urz ądzenia mechaniczne, pomiędzy nimi stymulatory seksualne, które potrafiły wywoływać lekkie wstrz ąsy elektryczne, a to znowu pierwsze wydanie Ubu Króla Jarry’ego. Zamiast myśli Elena ma zachcianki. Zangielszczył to imię — z Jelie-ny na Ellayna — podobnie zreszt ą jak jego pomysłem było skrócenie Alleluji do Allie, a także usunięcie drażliwego fragmentu z własnej księgi życia, zamiana Co-hena z Warszawy na Cone’a. Echa przeszłości przygnębiały go; nie czytał w ogóle literatury polskiej, odwrócił się plecami do Herberta, do Miłosza, do „młodszych facetów”, takich jak Barańczak, ponieważ w jego oczach język ten był nieodwra-calnie skażony przez historię. Jestem teraz Anglikiem — mówił dumnie z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. — Głupie średniaki! Też mi coś! Wdowa po Księciu Windsoru! Wielkie zero. — Pomimo tych niedopowiedzeń robił wrażenie człowieka w miarę zadowolonego z tego, że jest pantomimicznym członkiem angielskiej klasy wyższej. Jednak z perspektywy lat wydawało się prawdopodobne, że dobrze wiedział, iż całe przedstawienie opiera się na bardzo kruchych podstawach i dlatego też grube zasłony w jego pokoju były zawsze zaci ągnięte, na wypadek gdyby nielogiczność rzeczy kazała mu zobaczyć za oknem potwory lub krajobraz księżycowy zamiast dobrze znanej Moscow Road.— Był całkowitym zwolennikiem stopienia się wielu narodowości w jeden naród — powiedziała Alicja atakuj ąc duż ą porcję cymesu. — Kiedy zmienił nasze nazwisko, powiedziałam mu, Otto, nikt tego od nas nie ż ąda, to nie Ameryka, to Londyn W-2; ale on chciał zacz ąć zupełnie od nowa i wymazać przeszłość, nawet swoje żydowskie pochodzenie, wybacz, ale tak było. Te walki z Rad ą Deputo-wanych! Wszyscy zachowywali się nienagannie, kulturalne słowa od pocz ątku do końca, niemniej jednak szła tam walka na noże. — Po jego śmierci wróciła od razu do nazwiska Cohen, do synagogi, chanuki i Blooma. — Koniec z imitacj ą życia — żuj ąc, machnęła widelcem w nagłym, roztargnionym ruchu. — Ten film.Przepadałam za nim. Lana Turner, czyż nie? I Mahalia Jackson śpiewaj ąca w kościele.Maj ąc lat siedemdziesi ąt z okładem Otto Cone skoczył do szybu dźwigowego bez windy i zgin ął. I była to sprawa, o której Alicja absolutnie nie chciała mówić, mimo iż zazwyczaj nie uznawała niemal żadnych tematów tabu: dlaczego więzień, który przeżył obozy koncentracyjne, żyje jeszcze czterdzieści lat, po czym wykańcza to, czego nie zdołały zrobić te bestie? Czy ostatecznie, triumfuje wielkie zło bez względu na wysiłki przeciwstawienia się mu? Czy pozostawia ono we 249

krwi lodow ą drzazgę, aby powoli torowała sobie drogę i w końcu uderzyła w serce? Albo gorzej: czy śmierć człowieka może być niezgodna z jego życiem? Allie, której pierwsz ą reakcj ą na wiadomość o śmierci ojca był atak szału, zarzucała teraz matkę pytaniami właśnie tego typu. A ona, z kamienn ą twarz ą ukryt ą pod szerokim rondem czarnego kapelusza, powiedziała tylko: — Odziedziczyłaś po nim brak umiaru, moja droga.Po śmierci Ottona Alicja zarzuciła elegancki wyniosły styl ubierania się i ge-stykulacji, który był dot ąd jej ofiar ą składan ą na ołtarzu mężowskiej pasji osi ągnięcia integracji, jej prób ą stania się jego beatonowsk ą wielk ą dam ą. — Uff —

zwierzyła się Allie — co za ulga, moja droga, znowu być dla odmiany niezgrabn ą.— Upinała teraz swoje rzadkie siwe włosy w kok, nosiła jedn ą po drugiej identyczne perkalowe sukienki z supermarketu z nadrukowanymi wzorami kwiatów, przestała się malować, sprawiła sobie źle dopasowan ą bolesn ą sztuczn ą szczękę, sadziła jarzyny, tam gdzie według Ottona miał być angielski ogród kwiatowy (po-rz ądnie utrzymane rabatki wokół centralnego, symbolicznego drzewa, „chimery”powstałej ze szczodrzeńca i janowca) i wydała, w miejsce kolacji pełnych intelektualnego szczebiotu, cały szereg obiadów — każdy z nich to ciężkostrawne gulasze i minimum trzy niesamowite puddingi — na których węgierscy dysydenc-cy poeci opowiadali mętne dowcipy Gurdżijewowskim mistykom, albo też (jeżeli była totalna klapa) goście siedzieli na poduszkach na podłodze, wpatrzeni ponuro w swoje naładowane talerze i w pokoju panowało coś na kształt totalnej ciszy, i to zdawało się trwać cale tygodnie. Allie w końcu porzuciła ten rytuał niedzielnych popołudni i tkwiła nad ąsana w swoim pokoju, aż osi ągnęła pełnoletność i mogła się wyprowadzić, na co Alicja chętnie przystała; porzuciła również drogę, jak ą wybrał dla niej ojciec, którego sprzeniewierzenie się własnej woli przetrwania z okresu wojny tak bardzo j ą rozzłościła. Zwróciła się ku działaniu; i odkryła, że czekaj ą na ni ą góry, na które musi się wspi ąć.Alicja Cohen, która tę zmianę kursu Allie uznała za rzecz całkowicie zrozumiał ą, a nawet godn ą pochwały, i która kibicowała jej przez cały czas, nie rozumiała poczynań córki (przyznała to przy kawie), jeśli chodzi o Gibrila Farisztę, powracaj ąc ą z zaświatów gwiazdę filmu hinduskiego.— Sposób, w jaki o nim mówisz, moja droga, świadczy o tym, że nie jest to człowiek twojej klasy — powiedziała, używaj ąc zwrotu, który, jak s ądziła, znaczy tyle samo co nie w twoim typie, byłaby oburzona, gdyby ktoś odebrał to jako obraźliw ą uwagę o podłożu rasowym lub religijnym, zmazę albo plamę: nieoczekiwanie właśnie w tym znaczeniu odebrała ten zwrot jej córka, Allie. — Mnie to nie przeszkadza — odcięła się żywo i wstała. — W rzeczy samej nawet nie lubię mojej klasy.Stopy miała obolałe i z tego powodu wyszła z restauracji kuśtykaj ąc, zamiast wypaść z niej jak burza. — Wielka namiętność — usłyszała za sob ą, jak jej matka mówi głośno, na cał ą salę. — Dar języków; oznacza to, że każda dziewczyna 250

może wyrzucić z siebie każde bluźnierstwo.

\* \* \*Pewne aspekty edukacji zostały z niewiadomych powodów przez ni ą zanie-dbane. Którejś niedzieli tuż po śmierci ojca kupowała właśnie niedzieln ą prasę w kiosku na rogu ulicy, kiedy sprzedawca oznajmił: — To już ostatni tydzień.

Stoję na tym rogu od dwudziestu trzech lat i w końcu przez Pakistańców muszę zwijać interes. — Dosłyszała tylko słowo p-a-k-i i od razu stan ął jej przed oczyma dziwaczny obraz słoni ciężko biegn ących wzdłuż Moscow Road i wdeptuj ących w ziemię sprzedawców niedzielnych gazet. — Co to takiego paki? — zadała niem ądre pytanie, a w odpowiedzi otrzymała zjadliwe: — Br ązowy Żyd. — Po tym wydarzeniu przez długi czas uważała właścicieli miejscowego kiosku „SPP” (słodycze-papierosy-prasa) za pakidermów: grupy ludzi izolowanej i obrzydliwej ze względu na kolor swojej skóry. Opowiedziała tę historyjkę rówież Gibrilowi. —

Och, — jego odpowiedź była miażdż ąca, — ciężki dowcip. — Nie był on łatwym człowiekiem.Niemniej jednak miała go akurat w swoim łóżku, tego wielkiego prostackiego faceta, przed którym potrafiła otworzyć się jak przed nikim dot ąd; potrafił sięgn ąć dłoni ą do samego jej serca i pieścić je. Od dawna już nie wchodziła na arenę życia seksualnego z tak ą skwapliwości ą i nigdy przedtem tak szybko nawi ązany romans nie pozostawał całkowicie wolny od wyrzutów sumienia i uczucia obrzydzenia do samej siebie. Przedłużaj ące się milczenie Gibrila (gdyż za takie je uważała, aż do chwili, gdy dowiedziała się, że jego nazwisko figurowało na liście pasażerów Bustana) bolało bardzo i świadczyło o tym, że on inaczej ocenia ich spotkanie; ale pomylić się co do jego poż ądania, co do jego samotności, choć to bolesne uświadomienie, było niemożliwe. Tak więc wiadomość o jego śmierci wywołała u niej dwojakiego rodzaju reakcję: z jednej strony odczuwała wdzięczność, ulgę i radość, jakie czerpała ze świadomości, że oto gnał przez pół świata, żeby tylko zrobić jej niespodziankę, że zrezygnował z całego swojego dotychczasowego życia po to, aby zacz ąć budować nowe razem z ni ą, no i z drugiej strony pozostał jej pusty żal, że odebrano go jej dosłownie w tym momencie, kiedy spostrzegła, że ktoś j ą naprawdę kocha. Później zdała sobie sprawę z jeszcze jednej, już nie tak szlachetnej myśli. Co też on sobie wyobrażał, jeśli zamierzał przybyć bez uprzedzenia pod jej drzwi i jeśli spodziewał się, że będzie na niego czekała z otwartymi ramionami, że będzie prowadził życie wolne od obci ążeń i że bez w ątpienia za-mieszkaj ą w apartamencie wystarczaj ąco dużym dla nich obojga? Takiego postępowania można było się spodziewać po zepsutym do cna aktorze filmowym, który 251

oczekuje, iż przedmioty jego poż ądania wpadn ą mu w ręce jak dojrzałe śliwki. . .krótko mówi ąc, czuła, że naruszono jej spokój, względnie zamierzano to uczynić. Po takich myślach czyniła sobie wyrzuty, a same myśli spychała do dołu, z którego wypełzły, bo czyż Gibril nie zapłacił ciężko za swoj ą pewność, jeżeli to naprawdę była pewność siebie. Zmarły kochanek zasługuje na to, by w ątpliwości, które go dotycz ą, interpretować na jego korzyść.Później znowu leżał nieprzytomny u jej stóp w śniegu, a jej aż dech zaparło na sam ą myśl, jak nieprawdopodobny jest fakt jego istnienia, i przez chwilę zastanawiała się, czy aby nie jest on wynikiem jeszcze jednej aberracji wzrokowej, których miała dot ąd cał ą serię — wolała użyć tu neutralnego zwrotu, zamiast bardziej obci ążonego semantycznie słowa wizje — i które prześladowały j ą od chwili, kiedy pogardziła butlami z tlenem i postanowiła zdobyć Czomolungmę polegaj ąc tylko na możliwościach swoich płuc. Wysiłek, jaki musiała włożyć w podniesie-nie go, zarzucenie sobie jego ręki na ramiona i niemal zaniesienie go do swojego domu — a nawet więcej, niż niemal, jeżeli mamy powiedzieć prawdę — całkowicie przekonał j ą, że nie jest żadn ą chimer ą, ale ciężk ą istot ą z krwi i kości.Kłucie w stopach czuła przez cał ą drogę do domu, a ból ponownie tchn ął życie we wszystkie urazy, które zdusiła w sobie, kiedy s ądziła, że on nie żyje. Co teraz miała z nim zrobić, z tym ciołem, rozwalonym na jej łóżku? Boże, przecież już zapomniała, jakim rozwalaczem był ten mężczyzna, jak w nocy kolonizował

jej część łóżka i anektował cał ą kołdrę. Ale pojawiły się ponownie także i inne uczucia, i one odniosły zwycięsto; bo przecież ma go tu, śpi ącego pod jej opiek ą, porzucon ą nadzieję: po długim czasie wreszcie, miłość.Przez tydzień przesypiał niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, budz ąc się tylko po to, by nieco zaspokoić głód i podstawowe potrzeby fizjologiczne, prawie się wtedy nie odzywał. We śnie znosił męczarnie: rzucał się po całym łóżku, a od czasu do czasu jakieś słowa uciekały z jego warg: Dżahilijja, Al-Lat, Hind. W tych krótkich chwilach, kiedy nie spał, sprawiał wrażenie, że chce odeprzeć atak snu, ale sen wygrywał, całymi falami przelewał się i zatapiał, podczas gdy on, niemal żałośnie, machał słabo wyci ągnięt ą ręk ą. Allie nie była w stanie odgadn ąć, jakie to traumatyczne wrażenia mogły spowodować takie zachowanie i, poważnie zaniepokojona, zadzwoniła do swojej matki. Alicja przybyła na inspekcję, przyjrzała się śpi ącemu Gibrilowi, zacisnęła usta i oświadczyła: — To człowiek opętany. — Coraz bardziej uciekała w praktyki religijne typu spiryty-zmu braci Singer, zajmuj ącego się dybukami, i nie było wypadku, by mistycyzm Alicji nie zdenerwował jej pragmatycznej córki-alpinistki. — Być może należałoby przyłożyć mu do ucha pompę ss ąc ą — zaleciła. — Jest to wyjście, które te istoty przedkładaj ą nade wszystko. — Allie odci ągnęła swoj ą matkę do drzwi. —

Bardzo ci dziękuję — powiedziała. — Zadzwonię do ciebie.Siódmego dnia obudził się na dobre, wytrzeszczył oczy i natychmiast wyci ą-gn ął po ni ą rękę. Bezceremonialność tej propozycji, w równym stopniu co jej 252

nagłość, rozśmieszyła j ą, ale znowu w tym geście była naturalność i poczucie słuszności; uśmiechnęła się. — W porz ądku, sam tego chciałeś — i wyśliznęła się z luźnych, elastycznych kasztanowych spodni i luźnego kaftana — nie znosiła rzeczy, które podkreślały kształt jej ciała — i tak rozpocz ął się ich łóżkowy mara-ton. Kiedy się wreszcie skończył — byli obolali, wyczerpani, ale i szczęśliwi.Powiedział jej: spadł z nieba i żyje. Odetchnęła głęboko i uwierzyła mu, częściowo ze względu na wiarę jej ojca w niezliczone i wzajemnie wykluczaj ące się możliwości, jakie niosło życie, a częściowo również ze względu na naukę, któr ą otrzymała od himalajskiej góry. — W porz ądku — powiedziała, wypuszczaj ąc powietrze. — Kupuję to. Tylko nie opowiadaj tego mojej matce, dobrze? — Świat jest miejscem, w którym dziej ą się cuda, i jedynie przyzwyczajenie, ta narkoza codzienności, przytępia nasz wzrok. Kilka dni wcześniej czytała, że w trakcie swojego naturalnego procesu spalania gwiazdy na niebie miażdż ą węgiel i zamieniaj ą w diamenty. Idea gwiazd sypi ących deszczem diamentów w pustkę kosmiczn ą: to również brzmi jak cud. Jeżeli taka rzecz jest możliwa, to dlaczego nie upadek Fariszty. Niemowlęta spadaj ą z okien milionowych pięter i skacz ą sobie jak piłki.Była taka scena w filmie Francois Truffauta L’Argent du Poche. . . Skupiła myśli.— Czasami — zdecydowała się wreszcie ujawnić — mnie także przydarzaj ą się cudowne rzeczy.Powiedziała mu wtedy o przeżyciach, o których dot ąd nie mówiła nikomu: o wizjach na Evereście, aniołach i mieście z lodu. — I nie działo się to tylko tam — dodała i po chwili wahania mówiła dalej. Po powrocie do Londynu poszła na spacer bulwarem nad Tamiz ą, próbuj ąc zapomnieć o nim, a także o górze.Był wczesny ranek i świat spowijała mgła, a gęsty śnieg odbierał wszystkiemu kontury. Wtedy nadeszły te góry lodowe.Było ich dziesięć i posuwały się w uroczystym pochodzie, jedna za drug ą, w górę rzeki. Mgła wokół nich była gęstsza, i dopiero kiedy podpłynęły bliżej, zrozumiała ich kształty, były dokładnymi miniaturami dziesięciu najwyższych gór świata, przy czym płynęły w kolejności od najniższej, a jej góra, ta góra, zamykała pochód. Allie usiłowała właśnie odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób te góry lodowe zdołały przepłyn ąć pod mostami na rzece, kiedy mgła zgęstniała, a następnie, kilka chwil później, rozwiała się całkowicie, zabieraj ąc góry ze sob ą.— Ale one naprawdę tam były — tłumaczyła Gibrilowi — Nanga Parbat, Dhaulagiri, Szisza Pangma. — Nie spierał się. Skoro tak mówisz, wobec tego wiem, że naprawdę tak było.Góra lodowa to woda, która stara się być l ądem; natomiast góra, szczególnie góra w Himalajach, a w szczególności Everest, jest z kolei prób ą ziemi, by przemienić się w niebo; jest unieruchomionym lotem, ziemi ą zmienion ą — prawie —

w powietrze, czymś, co w istocie rzeczy, stało się wyniosłe. Na długo przed spo-tkaniem z gór ą Allie zdała sobie sprawę z tej ci ąż ącej obecności w swojej duszy.Jej mieszkanie wypełnione było Himalajami. Everesty rzeźbione w korku, two-253

rzywach sztucznych, kaflach, kamieniu, żywicach akrylowych, cegle, rozpychały się i walczyły o przestrzeń; w kolekcji był nawet jeden wyrzeźbiony w lodzie, maleńka góra lodowa, któr ą trzymała w zamrażarce i wyjmowała od czasu do czasu, aby pochwalić się ni ą przed przyjaciółmi. Dlaczego aż tyle? Dlatego —

chyba tylko tak można było na to odpowiedzieć — że po prostu tam byly. — Popatrz — powiedziała, wyci ągnęła rękę nie wstaj ąc z łóżka i podniosła ze stolika swój najnowszy nabytek, prosty Everest rzeźbiony w powykrzywianej przez wi-chry sośnie. — Podarunek Szerpów z Namche Bazar. — Gibril wzi ął go do r ąk i obejrzał dokładnie. Pemba wręczył go jej nieśmiało przy pożegnaniu, mówi ąc, że jest to prezent od całej grupy Szerpów, mimo że nawidoczniej wystrugał to sam. Był to szczególny model, ukazuj ący nawet lodospad i Stopień Hillary’ego, ostatnie poważne przeszkody przed samym szczytem, a droga, któr ą przeszli, była oznaczona głębokim wycięciem w drewnie. Kiedy Gibril odwrócił model do góry nogami, znalazł w podstawie napis wydrapany tam w mozolnej angielszczyźnie.Dla Ali Bibi. My mieli szczęście. Nie próbować znowu.Allie nie powiedziała Gibrilowi, że zakaz Szerpy przeraził j ą, gdyż utwierdził

w przekonaniu, że jeśli kiedykolwiek postawi ponownie stopę na tej bogini-górze, z pewności ą umrze, ponieważ śmiertelnik może tylko raz spojrzeć bóstwu w twarz; jednak góra ta jest w równym stopniu diaboliczna co transcendental-na, albo jeszcze inaczej, jej diaboliczność i transcendentalność to jedno, nic więc dziwnego, że samo rozważanie zakazu Pemby wydobyło z niej tak bolesne pragnienie, że aż jęknęła głośno, jak gdyby w ekstazie seksualnej czy rozpaczy. —

Himalaje — zaczęła szybko tłumaczyć Gibrilowi, chc ąc ukryć prawdziw ą myśl

— to szczyty zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym: podobnie jak opera. I właśnie przez to budz ą tak ą grozę. Nic oprócz zawrotnych wysokości.Rzadko komu udaje się ta sztuka. Allie miała zwyczaj przeskakiwania z tematów konkretnych na abstrakcyjne, przy czym przejście to następowało tak niepostrzeżenie, że wreszcie słuchacz zaczynał się zastanawiać, czy dostrzega ona różnicę między nimi, czy w ogóle można powiedzieć o owej różnicy istnieniu.Allie nie podzieliła się z nikim swoim przekonaniem, że musi albo odpowiedzieć na zew góry, albo umrzeć, że pomimo płaskich stóp, które wykluczały myśl o jakiejkolwiek poważnej wspinaczce, wci ąż była zarażona bakcylem Everestu i że w najgłębszych tajnikach swojej duszy wci ąż przechowywała nieprawdopodobny plan, śmierteln ą wizję Maurice’a Wilsona, nie spełnion ą po dziś dzień. To jest: samotne wejście.O czym jeszcze nie powiedziała: o tym, że po swoim powrocie do Londynu widziała Maurice’a Wilsona, siedz ącego sobie na dachu wśród kominów, te-go chochlika w kraciastych pumpach i w szkockim berecie z pomponem, który to chochlik przywołał j ą do siebie. Z kolei Gibril Fariszta nie opowiedział jej o swojej ucieczce przed duchem Rekhi Merchant. Mimo całego tego fizycznego zbliżenia wci ąż istniały między nimi zamknięte drzwi; każde z nich utrzymywało 254

w tajemnicy istnienie niebezpiecznego ducha. — Gibril, słysz ąc relację Allie o innych zjawach, musiał ukryć swoje wiekie wzburzenie za pozornie obojętnym —

jeżeli tak mówisz, wobec tego wiem — wzburzenie, które reakcję na pojawienie się dalszych dowodów świadcz ących o tym, że świat marzeń sennych przedostawał się do jego realnego świata, że pękały pieczęcie na bramach dziel ących te dwie rzeczywistości i że lada moment te dwa firmamenty mog ą zlać się w jeden. Któregoś ranka Allie, budz ąc się z głębokiego i niczym nie zakłóconego snu, zaskoczyła Gibrila na lekturze ksi ążki, której od dawna nie otwierała, Blake’a

„Zaślubiny Nieba i Piekła”; w egzemplarzu tym naniosła kiedyś, w młodości, kiedy nie szanowała specjalnie ksi ążek, cał ą serię uwag: podkreśleń, znaczków na marginesie, wykrzykników, wielokrotnych znaków zapytania. Kiedy zobaczył, że już nie śpi, przeczytał jej kilka wyj ątków z figlarnym uśmiechem na twarzy.— Z Przysłów piekielnych — zacz ął. — Lubieżność satyra jest hojności ˛

a Boż ˛

a.— Zaczerwieniła się nagle. — A co więcej — czytał dalej — Prawdziwym jest starożytny przekaz, jaki usłyszałem w Piekle, że świat będzie ogniem strawiony po sześciu tysi ˛

acleciach. A następnie, niżej na tej samej stronie: Dokona się to dzięki wydoskonaleniu uciech zmysłowych. Powiedz mi, kto to jest? Znalazłem j ą pomiędzy stronami tej ksi ążki. — Podał jej fotografię nie żyj ącej kobiety: jej siostry, Eleny, zagrzebanej tutaj i zapomnianej. Jeszcze jednej osoby oddaj ącej się nałogowo wizjom; i ofiary własnego nawyku. — Nie mówimy o niej prawie wcale. — Klęczała naga na łóżku, jasne włosy zasłaniały jej twarz. — Odłóż j ą tam, gdzie j ą znalazłeś.Nie widziałem żadnego Boga ani też nie usłyszałem głosu Jego w ograniczonym organicznym postrzeganiu; ale moje zmysły odkryły to, co jest nieskończone w każdej rzeczy. Przerzucił kilka kartek ksi ążki i umieścił Elenę Cone obok podobizny Odrodzonego Człowieka, który siedział sobie na wzgórzu, nagi i z szeroko rozstawionymi płaskimi stopami, a słońce świeciło zza jego pleców. Zawsze wiedziałem, że Aniołowie s ˛

a na tyle próżni, by podawać się za jedynych m ˛

adrych.Allie ukryła twarz w dłoniach. Gibril próbował j ą pocieszyć. — Napisałaś na pocz ątku ksi ążki: „Stworzenie świata wg Arcybisk. Ushera rok 4004 przed Chr.Przewid. data apokalipsy,.., 1996”. A więc mamy jeszcze trochę czasu na do-skonalenie uciech zmysłowych. Potrz ąsnęła głow ą: — Przestań. — Przestał. —

Opowiedz mi — powiedział odkładaj ąc ksi ążkę.

\* \* \*Maj ąc lat dwadzieścia, Elena szturmem zdobyła Londyn. Swoim nieokiełzna-nym stuosiemdziesięciocentymetrowym ciałem prześwituj ącym przez strój przy-255

pominaj ący złot ą kolczugę. Zawsze nosiła się z niesamowit ą pewności ą siebie, głosz ąc swoje prawo do całej ziemi. Miasto było jej żywiołem, potrafiła pływać w nim jak ryba. Maj ąc lat dwadzieścia jeden, już nie żyła, utopiwszy się w wannie z zimn ą wod ą, przy czym ciało jej wypełnione było środkami psychotropowymi.Czy można utopić się we własnym żywiole, zastanawiała się Allie dawno temu.Jeżeli ryby potrafi ą utopić się w wodzie, czy istoty ludzkie mog ą udusić się powietrzem? W tym czasie, maj ąc osiemnaście-dziewiętnaście lat, Allie zazdrościła Elenie braku w ątpliwości. A co było jej własnym żywiołem? W jakiejże to perio-dycznej tablicy ducha można by go znaleźć? — Teraz, jako płaskostopa weteranka Himalajów, opłakiwała jego utratę. Kiedy już zdobędzie się wysokie horyzonty, nie jest łatwo na powrót wtłoczyć się w ramy, na w ąsk ą wyspę, do ci ągłej przy-ziemności. Ale stopy odmówiły jej posłuszeństwa, a góra mogłaby zabić.Mitologiczna Elena, dziewczyna z okładek, spowita w sztuczne tworzywa naj-modniejszych kreacji, była pewna swojej nieśmiertelności. Allie, odwiedzaj ąc j ą w jej tymczasowym locum przy World’s End, nie przyjęła ofiarowanej kostki cu-kru, mamrocz ąc coś o uszkodzeniach mózgu i jak zwykle, czuj ąc, że nie dorasta Elenie do pięt. Twarz jej siostry, z oczyma otwartymi zbyt szeroko, ze zbyt ostrym podbródkiem, wrażenie niesamowite, kpi ąco wpatrywała się w ni ą. — Kto tu mó-wi o braku komórek mózgowych — powiedziała Elena. — Mogłabyś sporo ich odst ąpić. — Nadmierna pojemność mózgu była kapitałem Eleny. Pozbywała się swoich szarych komórek jak pieniędzy, poszukuj ąc własnych szczytów; i w kul-minacji usiłuj ąc odlecieć, fraza dnia. Śmierć, podobnie jak życie, przyszła do niej polukrowana.Próbowała „popracować” nad młodsz ą od siebie Alleluj ą. — Hej, masz piękne kształty, dzieciaku, dlaczego chować je w tych drelichowych spodniach? Chcę przez to powiedzieć, Boże drogi, kochana, schowałaś tam swój cały ekwipunek.— Któregoś wieczoru sama ubrała Allie, włożyła na ni ą coś oliwkowo-zielonego, co się składało prawie wył ącznie z falbanek i wycięć i co ledwie zakrywało jej pachwiny, na które naci ągnięty był obcisły trykot: pokrywa mnie lukrem, jak ciasteczko, przyszła Allie do głowy purytańska myśl, moja rodzona siostra wypycha mnie na wystawę w oknie sklepowym, dziękuję bardzo. Poszły do klubu gry pełnego podjaranych lordzi ątek i Allie szybko wyszła stamt ąd, gdy tylko Elena odwróciła od niej uwagę. Tydzień później, wstydz ąc się, że była takim tchórzem i że odtr ąciła próby siostry, zmierzaj ące do nawi ązania z ni ą serdeczniej-szych stosunków, siedziała na twardej poduszce w mieszkaniu przy World’s End i przyznała się Elenie do utraty dziewictwa. Na co jej starsza siostra uderzyła j ą w twarz i obrzuciła starodawnymi wyzwiskami: ladacznica, lampucera, wszetecz-nica. — Elena Cone nigdy nie pozwalała mężczyźnie dotkn ąć się choćby palcem

— wrzeszczała, pokazuj ąc przy tym, że potrafi myśleć o sobie w osobie trzeciej — nawet cholernym tycim paznokietkiem. Wiem, co jestem warta, kochana, wiem, jak cała tajemniczość ginie natychmiast z chwil ą, gdy wsadz ą co trzeba do 256

środka, powinnam była się domyśleć, że okażesz się w końcu kurw ą. To pewnie jakiś pierdolony komunista — zakończyła. Odziedziczyła po ojcu jego uprzedzenia w tych kwestiach, czego nie można było powiedzieć o Allie, i Elena dobrze o tym wiedziała.Po tym wydarzeniu spotykały się sporadycznie, Elena pozostała dziewicz ą królow ą miasta — sekcja zwłok potwierdziła jej status określony jako Virgo intac-ta — natomiast Allie przestała nosić bieliznę, chwytała się różnych dorywczych prac w małych, gniewnych czasopismach i ponieważ jej siostra była nietykalna, sama stała się jej przeciwieństwem, a każdy stosunek z mężczyzn ą — policzkiem wymierzonym w tę groźnie patrz ąc ą twarz siostrzyczki o sinych wargach. Trzy usunięcia ci ąży w przeci ągu dwóch lat i poniewczasie uzyskana świadomość, że wskutek częstego stosowania pigułki antykoncepcyjnej znajduje się w grupie osób o najwyższej zapadalności na raka.O zgonie siostry dowiedziała się z afisza przy kiosku z gazetami, „ ŚMIER Ć

MODELKI W KWA ŚNEJ K ĄPIELI”. Nawet śmierć nie chroni człowieka przed kalamburami dziennikarzy, to była jej pierwsza myśl. A zaraz potem stwierdziła, że nie potrafi płakać.— Jeszcze przez wiele miesięcy wci ąż widziałam j ą w czasopismach — powiedziała Gibrilowi. A to z powodu długiego cyklu wydawniczego periodyków drukowanych na błyszcz ącym papierze. Zwłoki Eleny tańczyły po marokańskich pustyniach okryte jedynie przezroczystymi welonami; albo też dostrzeżono je znowu na księżycowym Morzu Cieni, zupełnie nagie, jeżeli nie będziemy liczyli kosmicznego hełmu na głowie i kilka jedwabnych krawatów opasuj ących jej piersi i biodra. Allie zaczęła dorysowywać w ąsy na ilustracjach, ku oburzeniu właścicieli kiosków z gazetami; obrywała okładki ze świętej pamięci siostr ą z czasopism pokazuj ących nie-śmierć w stylu zombie i zgniatała je. Prześladowana przez periodycznego ducha Eleny, Allie rozmyślała o niebezpieczeństwach zwi ązanych z odlotem; jakież to upadki w ogniu płomieni, jakie makabryczne piekła były zarezerwowane dla tych, którzy szli w ślady Ikara! Zaczęła w końcu myśleć o Elenie jako o duszy w męczarniach i doszła do przekonania, że jej własna niewola w świecie determinuj ących notatek w kalendarzyku, w świecie czarnych biustonoszy z wkładkami o trzy numery powiększaj ącymi piersi; w świecie pseudo-erotycznych póz; i haseł wydrukowanych na jej pępku, że ta właśnie niewola nie była wcale lżejsz ą od osobistego piekła Eleny. W jej oczach Allie zaczęła dostrzegać niemy krzyk, udrękę z powodu uwięzienia na zawsze w tych reklamach mody. Elena była dręczona przez demony, niszczył j ą ogień, a ona nawet nie mogła się ruszyć. . . po jakimś czasie Allie musiała omijać sklepy, w których mogła dostrzec siostrę patrz ąc ą na ni ą z półek. Nie potrafiła zdobyć się na kartkowanie czasopism i schowała wszystkie fotografie Eleny, jakie tylko były w jej posiada-niu. — Żegnaj, Jel — powiedziała wspomnieniu siostry, nazywaj ąc je imieniem wczesnego dzieciństwa. — Muszę odwrócić od ciebie wzrok.257

— Ale w końcu okazałam się podobna do niej. — Góry zaczęły wabić j ą swoim śpiewem; po czym również ona zaryzykowała swoje komórki mózgowe, decyduj ąc się na poszukiwanie uniesień. Wybitni lekarze specjalizuj ący się w pro-blemach, jakie staj ą przed himalaistami, udowodnili wielokrotnie ponad wszelk ą w ątpliwość, że istoty ludzkie nie mog ą utrzymać się przy życiu bez aparatu tlenowego na wysokościach znacznie przekraczaj ących osiem tysięcy metrów. Następuje wówczas krwawienie z gałek ocznych, nie do opanowania, a i mózg zaczyna eksplodować, miliardami trac ąc komórki, a więc zbyt wiele i za szybko, co ostatecznie prowadzi do stałych uszkodzeń, znanych jako Deterioracja Wysokogórska, po których szybko następuje śmierć. W warunkach wiecznej zmarzliny panuj ącej na tych najwyższych zboczach oślepione zwłoki nie ulegn ą rozkładowi. A jednak Allie i Szerpa Pemba poszli w górę, a następnie zdołali zejść i przekazać innym swoje doświadczenie. Komórki ze skrzynek depozytowych mózgu zast ąpiły te, które padły ofiar ą i zniknęły z rachunku bież ącego. Nie pękły również ich oczy.Dlaczego naukowcy się pomylili? — Uprzedzenie, przede wszystkim — powiedziała Allie, leż ąc zwinięta wokół Gibrila pod jedwabiem spadochronu. — Nie potrafi ą oznaczyć ilości woli, a więc pomijaj ą j ą w swoich obliczeniach. A przecież to wola stawia cię na szczycie Everestu, wola i wściekłość, i potrafi nagi ąć każde prawo przyrody, jakie tylko przyjdzie ci do głowy, przynajmniej na krótko, nie wył ączaj ąc prawa ci ążenia. To jest, jeżeli nie wystawisz swojego szczęścia na próbę zbyt często.Pewne uszkodzenia jednak nast ąpiły. Od czasu do czasu miała niewytłumaczalne zaniki pamięci: nieistotne, nagłe zjawiska. Kiedyś w sklepie rybnym zapomniała słowa ryba. Innego ranka zauważyła w łazience, że bierze do ręki szczotkę do zębów i spogl ąda na ni ą zakłopotana, nie maj ąc pojęcia, do czego może służyć. Jeszcze innego ranka obudziła się obok wci ąż jeszcze śpi ącego Gibrila i już chciała szarpn ąć go za ramię i zapytać, „Kim pan, u diabła, jesteś? Jak się znalazłeś w moim łóżku?” — kiedy akurat w porę wróciła jej pamięć. — Mam nadzieję, że to chwilowe — powiedziała mu. Ale nawet teraz nie zdecydowała się przyznać, że raz po raz widzi ducha Maurice’a Wilsona machaj ącego do niej zapraszaj ąco z dachów domów wokół parku Fields.

\* \* \*Była świetnym fachowcem, kobiet ą, z któr ą pod wieloma względami trzeba było się liczyć: typow ą zawodow ą sportsmenk ą lat osiemdziesi ątych, klientk ą gigantycznej agencji reklamowej MacMurraya, osob ą sponsorowan ą aż do przesady. Obecnie również występowała w programach telewizyjnych, reklamuj ąc 258

sprzęt i stroje alpinistyczne, aby maksymalnie poszerzyć to, co Hal Valance na-zwałby wszechświatem w danej dziedzinie, przy czym adresatami tej reklamy byli raczej urlopowicze i amatorzy alpinistyki niż zawodowi wspinacze. Była t ą złot ą dziewczyn ą z dachu świata, pozostał ą przy życiu części ą „mojego teutońskiego duetu”, jak Otto Cone miał w zwyczaju nazywać swoje córki. I znowu, Jel, idę twoimi śladami. To, że była atrakcyjn ą kobiet ą w dziedzinie sportu zdominowanej przez, hm, cóż, zarośniętych mężczyzn, oznaczało łatwość w znalezieniu sponso-rów, no a obraz „królowej lodu”, jaki stworzono, również nie przynosił jej szkody.Były w tym pieni ądze i teraz, kiedy wiek pozwalał już jej na skwitowanie starych, płomiennych ideałów prostym wzruszeniem ramion i wybuchem śmiechu, gotowa była zarabiać masę pieniędzy, gotowa nawet wyst ąpić w dyskusjach telewizyjnych, podczas których odparowywała, stosuj ąc pikantne docinki, nieuniknione i wci ąż niezmiennie pojawiaj ące się pytania o współżycie z chłopcami na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Takie łamańce prezentowane szerokiej widowni telewizyjnej niezbyt pasowały do obrazu własnej osoby, jaki chciała za wszelk ą cenę zachować: do idei, że jest naturaln ą samotniczk ą, najbardziej prywatn ą spośród wszystkich kobiet i że wymogi jej zawodowego życia dosłownie rozdzieraj ą j ą na pół. Pierwsz ą swoj ą walkę z Gibrilem stoczyła właśnie z tego powodu, ponieważ powiedział, jak to on zwykle, bez upiększeń: — Myślę, że uciekać przed kamerami można dopóty, dopóki wiemy, że jeszcze nas goni ą. Ale przy-puśćmy, że zatrzymuj ą się, co wtedy? Myślę, że wtedy zawrócisz i pobiegniesz w przeciwnym kierunku. — Później, kiedy się pogodzili, drażniła go swoj ą rosn ą-c ą popularności ą (ponieważ była pierwsz ą poci ągaj ąc ą blondynk ą, która podbiła Everest, wrzawa wokół niej zrobiła się naprawdę duża, otrzymywała poczt ą fotografie wspaniałych młodych atletów, a także zaproszenia na wieczorne spotkania śmietanki towarzyskiej i pewn ą ilość obelg od osób niezrównoważonych): — Cóż, mogłabym teraz sama zostać aktork ą filmow ą, skoro ty się wycofałeś. Kto wie?Być może to zrobię. — Na co odpowiedział, zaskakuj ąc j ą przy tym gwałtowności ą słów: — Kurwa, po moim trupie.Mimo, iż gotowa była z chłodnym pragmatyzmem wskoczyć w brudne wo-dy świata wolnego, a także płyn ąć z ich pr ądem, nigdy właściwie nie pozbyła się przeświadczenia, że jakieś straszliwe nieszczęście czyha zaraz za rogiem —

następstwo gwałtownych śmierci jej ojca i siostry. To przewrażliwienie spowodowało, że wspinała się bardzo ostrożnie, zupełnie jak pośrednik w handlu nieruchomościami, jak mawiali chłopcy, a kiedy uwielbiani przez ni ą przyjaciele ginęli na różnych górach jeden po drugim, jej ostrożność wzrastała, W normalnym życiu przejawiało się to pod postaci ą niespokojnego spojrzenia, nadmiernej nerwowości; w końcu robiła na ludziach wrażenie mocno obwarowanej fortecy przygotowuj ącej się na nieuchronny atak. Współgrało to z obiegow ą opini ą o niej, utrzymuj ąc ą, że jest kobiec ą gór ą lodow ą, a nie kobiet ą; ludzie odnosili się do niej z rezerw ą, a z jej własnych słów wynikało, że uważała samotność za cenę, któr ą 259

jej przyszło płacić za przywilej samotności. — Było tutaj jednak więcej sprzeczności, ostatecznie dopiero niedawno zaniechała ostrożności, kiedy postanowiła przeprowadzić bez tlenu końcowy szturm na Everest. Pomijaj ąc już wszelkie inne implikacje — zapewniała j ą agencja w formalnym liście z gratulacjami — „czyn ten przybliża pani ą wszystkim ludziom, ujawnia, że drzemie w pani ta gotowość poniesienia ryzyka, ta furia a-do-diabła-z-tym, i jest to pozytywny nowy wymiar pani osobowości”. Agencja od razu zabrała się do pracy nad tym. Tymczasem, pomyślała Allie, pomimo zmęczenia uśmiechaj ąc się zachęcaj ąco do Gibrila, kiedy ten ześlizn ął się w dół w stronę jej niższych głębi, tymczasem ty jesteś tutaj. Niemal zupełnie obcy człowiek, zjawiłeś się tu i wtargn ąłeś do środka. Boże, nawet przeniosłam cię przez próg, chociaż to chyba nie ma znaczenia. Trudno cię winić za to, że pozwoliłeś się podwieźć.Nie był przyzwyczajony do porz ądku. Zwykle robili to służ ący, a więc zostawiał garderobę, okruchy, torebki po herbacie tam, gdzie upadły. Gorzej jeszcze, on je upuszczał, dosłownie pozwalał im upaść tam, gdzie trzeba będzie je podnieść; całkowicie nieświadom, w pełni nieświadom tego, co robi, w dalszym ci ągu udo-wadniał sobie, że on, biedny chłopak z ulicy, nareszcie nie musi po sobie sprz ątać.Nie tylko tym doprowadzał j ą do szewskiej pasji. Jeżeli nalewała wino do kieliszków, szybko opróżniał swój i kiedy nie patrzyła, chwytał jej kieliszek, uspokajaj ąc j ą doskonale-niewinnym tonem, z anielskim-wyrazem-twarzy. „Jest jeszcze trochę, no nie?” Lubił pierdzieć. Uskarżał się — rzecz nie do wiary, naprawdę uskarżał się, i to po tym, kiedy ona dosłownie wygrzebała go ze śniegu! — na ciasnotę mieszkania. „Za każdym razem po wykonaniu dwóch kroków uderzam twarz ą w ścianę”. Obrażał ludzi telefonuj ących do Allie, naprawdę obrażał, bez zadania sobie trudu, by upewnić się, kto dzwoni: był to automatycznie przejęty styl zachowania gwiazd filmowych Bombaju, kiedy jakimś zbiegiem okoliczności nie było pod ręk ą fagasa, który chroniłby ich przed natrętem. Kiedy Alicja przetrwała jedn ą tak ą burzę i wysłuchała steku obscenicznych przekleństw, powiedziała córce (kiedy ta wreszcie dostała się do telefonu): — Wybacz, że o tym wspominam, kochana, ale twoja sympatia to moim zdaniem niezły okaz.— Okaz, mamo? — Pytanie sprowokowało Alicję do użycia jej najwytwor-niejszego tonu. Wci ąż stać j ą było na majestatyczność, miała szczególny dar ku temu, chociaż od śmierci męża z uporem manifestowała swoj ą bylejakość. —

Okaz — oznajmiła, bior ąc pod uwagę fakt, że Gibril jest towarem importowanym z Indii — dziwactwa i małpich jaj.Allie nie próbowała spierać się z matk ą, sama nie będ ąc wcale pewna, czy będzie w stanie żyć dalej z Gibrilem, nawet jeżeli przypędził tu z drugiego końca świata, nawet jeżeli spadł z nieba. Trudno było przypuszczać, że potrwa to długo, nawet średnio-długo wydawało się być w ątpliwe. Na razie skoncentrowała się na próbie rozgryzienia tego człowieka, który właśnie przed chwil ą wyraził przekonanie, ot tak, od razu, że jest wielk ą miłości ą jej życia, i mówił to bez cienia w ąt-260

pliwości, co oznaczało, że albo ma rację, albo zwariował. Takich trudnych chwil było mnóstwo. Nie miała pojęcia o tym, cóż on ma w swojej głowie, nie wiedziała, jakiej wiedzy się u niego spodziewać: spróbowała sprawdzić to pewnego razu, nawi ązuj ąc do fatalistycznego gracza szachowego, Luzina, u Nabokova, który doszedł do przekonania, że w życiu, podobnie jak w szachach, istniej ą pewne kombinacje, które kiedyś na pewno pojawi ą się, aby go pokonać, przez analogię chciała wyjaśnić własne przeczucie (w rzeczywistości nieco przecież odmienne) nieuchronnej katastrofy (która w jej przypadku nie miała nic wspólnego z po-wtarzaniem się pewnych schematów, a raczej wynikała z niemożności ucieczki przed czymś niemożliwym do przewidzenia), ale on jedynie spojrzał na ni ą urażony i ten wzrok powiedział jej, że Gibril nigdy nie słyszał o takim pisarzu, a co dopiero o jego powieści. Dla odmiany, on zaskoczył j ą nagłym pytaniem, „Dlaczego Picabia?”. Dodał przy tym, że było to dziwne, czyż nie, iż Otto Cohen, weteran obozów koncentracyjnych, zaj ął się cał ą t ą neofaszystowsk ą miłości ą do maszynerii, przemocy, wręcz dehumanizacji. Jeżeli ktokolwiek przez chwilę chociaż zajmował się maszynami, dziecino — wyjaśnił — dotyczy to i ciebie, i mnie, nas wszystkich, zorientuje się z miejsca, że tylko jedno jest w nich pewne i tylko to jedno można o nich powiedzieć, nieważne, czy to będzie komputer, czy rower. Wszystkie one się psuj ą”. Sk ąd się dowiedziałeś o. . . , zaczęła, i zaj ąknęła się, gdyż nie spodobał jej się protekcjonalny ton, w który zaczęła uderzać, lecz odpowiedział bez cienia próżności. Kiedy po raz pierwszy usłyszał o Marinettim, powiedział, pomieszało mu się wszystko i s ądził, że futuryzm to coś, co wi ąże się z kukiełkami. „Marionetki, kathputli, w tym czasie bardzo interesowało mnie zastosowanie w filmie udoskonalonych technologii kukiełkowych, na przykład w celu przedstawienia demonów i innych nieziemskich istot Tak więc znalazłem sobie ksi ążkę”. Znalazłem ksi ˛

ażkę: samouk Gibril powiedział to tak, jak gdyby mówił o zastrzyku. W oczach dziewczyny wychowanej w rodzinie odnosz ącej się do ksi ążek z nadzwyczajn ą rewerencj ą — jej ojciec zmuszał je wszystkie, by całowały każdy tom, który przypadkiem upadł na ziemię — dziewczyny, której reakcj ą było niszczenie ksi ążek, wyrywanie stron potrzebnych jej lub przez ni ą znienawidzonych, bazgranie na nich i gryzmolenie, po to, aby pokazać im, kto tu jest panem, ta forma braku specjalnego szacunku, jak ą wybrał Gibril, poprawna i traktuj ąca ksi ążki tak, jak na to zasługiwały, ani na klęczkach, ani z nienawiści ą, była czymś nowym i przyznała — przyjemnym. Uczyła się od niego. On jednak wydawał się być odporny na wszelkie m ądrości, jakie mógłby zechcieć od niej przej ąć, na przykład gdzie jest miejsce odpowiednie do składania brudnych skar-petek. Kiedy usiłowała przekonać go, że powinien „mieć swój udział” w utrzy-maniu porz ądku, na długo stracił humor i obnosił się ze swoj ą min ą urażonego dziecka oczekuj ąc, że zostanie przeproszony i przebłagany, i będzie mógł powrócić do pogodnego nastroju. Zdziwiona i oburzona stwierdziła u siebie gotowość spełnienia jego oczekiwań, przynajmniej na razie.261

Najgorsz ą stron ą jego charakteru, skonkludowała ostrożnie, jest jego wybitny talent do przedstawiania siebie jako osoby lekceważonej, nie docenianej, nieustannie atakowanej. Doszło do tego, że nie można było zwrócić mu najdrobniejszej uwagi, nawet jeżeli wymagał tego rozs ądek, nawet jeżeli robiła to bardzo delikatnie. „No, dalej, dalej, karm się złudzeniami” — krzyczał wtedy i uciekał pod namiot swojej urażonej dumy. A jego najbardziej ponętn ą cech ą było intuicyjne wyczucie jej pragnień, łatwość, z jak ą, jeśli tylko chciał, mógł zawsze zostać po-wiernikiem tajników jej duszy. Skutkiem tego ich życie seksualne było dosłownie naelektryzowane. Ta pierwsza maleńka iskra, która pojawiła się przy ich inaugu-racyjnym pocałunku, nie była bynajmniej jednorazowym zjawiskiem. Fenomen ten wci ąż trwał i czasami, kiedy się kochali, była przekonana, że dookoła słyszy trzaski wyładowań elektrycznych; czasami czuła, że włosy jej staj ą na głowie. —

Przypomina mi to tego elektrycznego Huta z gabinetu mojego ojca — powiedziała Gibrilowi i oboje wybuchneli śmiechem. — Czy jestem miłości ą twojego życia?rzuciła, o on odpowiedział, równie szybko: — Oczywiście.Na pocz ątku ich zażyłości zwierzyła mu się, że pogłoski o jej nieosi ągalno-ści, a nawet oziębłości nie s ą nieuzasadnione. — Po śmierci Jel i w tej dziedzinie poszłam jej śladami. — Nie czuła już potrzeby szokowania siostry swoimi kochankami. — A poza tym przestało mi to sprawiać przyjemność. — Wtedy przeważnie byli to rewolucyjni socjaliści, którzy musieli zadowalać się mn ą, podczas gdy tak naprawdę marzyli o bohaterskich kobietach widzianych na Kubie podczas trzytygodniowych wycieczek na tę wyspę. Tamtych nigdy nie tknęli palcem, oczywiście; mundury polowe i czystość ideologiczna odstraszały ich nie na żarty. Wracali do kraju nuc ąc „Guantanamerę” i dzwonili do mnie. — Wypisała się z tego. — Pomyślałam sobie, niech najświatlejsze umysły mojego pokolenia wygłaszaj ą swoje mowy nad ciałem jakiejś innej pożałowania godnej kobiety, ja to olewam. — Zaczęła się wspinać i zwykle tłumaczyła wtedy „robię to, gdyż wiem, że oni nigdy za mn ą tam nie wejd ą”. — Potem jednak pomyślałam, a gówno. Nie zrobiłam tego ze względu na nich; zrobiłam to dla siebie.Co wieczór przez godzinę ćwiczyła boso na palcach wbieganie i zbieganie po schodach, a to ze względu na swoje obniżone łuki stóp. Po powrocie rozwście-czona padała na stos poduszek, następnie miotała się bezsilnie po mieszkaniu i wreszcie kończyło się to nalaniem sobie mocnego drinka: przeważnie irlandz-kiej whisky. Zaczęła nieźle popijać, kiedy zrozumiała wreszcie, jak realnym problemem jest jej płaskostopie. („Na miłość Bosk ą, niech pani tylko nie wspomina o swoich stopach — głos z agencji reklamowej nierealnie brzmiał w słuchawce telefonicznej. — Jeżeli wyjd ą na jaw, wówczas finito, koniec, sajonara, zbiera-my manatki, dobranoc.”) Podczas dwudziestej pierwszej wspólnej nocy, kiedy już rozprawiła się z pięcioma podwójnymi drinkami Jamesona, powiedziała: — Dlaczego naprawdę poszłam w te góry. Tylko się nie śmiej: aby uciec przed dobrem i złem. — On się nie zaśmiał. — Czy s ądzisz, że moralność nie dotyczy gór?262

— zapytał poważnie. — Tego nauczyłam się podczas rewolucji — zaczęła. —

Przede wszystkim: informację obalono kiedyś tam w dwudziestym wieku, nie potrafię powiedzieć dokładnie kiedy; trudno temu zaprzeczyć, to właśnie ta część informacji, która musiała zostać obalona. Obalona. Od tego czasu żyjemy w bajce. Rozumiesz mnie? Wszystko dzieje się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. My, wróżki i czarnoksiężnicy, nie mamy najmniejszego pieprzonego pojęcia o tym, co naprawdę się dzieje. Sk ąd więc mamy wiedzieć, czy coś jest słuszne, czy nie? Nie wiemy nawet, czym to jest. Pomyślałam więc sobie, że albo człowiek zamęczy się na śmierć, usiłuj ąc rozwikłać to wszystko, albo też wdrapie się i si ądzie na górze, bo właśnie tam uciekła prawda, możesz mi wierzyć lub nie, po prostu uniosła się wysoko w górę i uciekła daleko od tych miast, gdzie nawet grunt pod naszymi stopami jest czymś sztucznym, fałszem, i ukryła się tam wysoko, wysoko, w rzadkim powietrzu, gdzie kłamcy nie ośmiel ą się przyjść w pogoni za ni ą, boj ąc się eksplozji swoich mózgów. Ona naprawdę tam jest Byłam tam.Zapytaj mnie. — Zasnęła; zaniósł j ą do łóżka.Kiedy dotarła do niej wiadomość o jego śmierci w katastrofie lotniczej, zadrę-czała się wymyślaniem go: inaczej mówi ąc, rozmyślaniem o swoim utraconym kochanku. Przez ostatnie pięć lat, do chwili, kiedy nie pojawił się on, nie spała z żadnym mężczyzn ą, to nieźle, jak na ni ą. Odwróciła się od seksualności, jej instynkt ostrzegł j ą, że seksualność może j ą pochłon ąć; że jest to dla niej, zawsze będzie, ważna dziedzina, cały nieznany kontynent, którego mapę dopiero trzeba sporz ądzić, i że ona nie może pójść t ą drog ą, zostać tym odkrywc ą, nakre-ślić zarys tych brzegów: już nie może tego zrobić, względnie, być może, jeszcze nie. Nigdy jednak nie pozbyła się uczucia, że niszczy j ą jej nieznajomość Miłości, nieświadomość tego, jak mógłby wygl ądać moment, kiedy ów archetypiczny dżinn o imieniu pisanym wielk ą liter ą posiadłby j ą całkowicie, owa tęsknota za tym zacieraniem się własnego ja, owo stopniowe rozpinanie, aż otwierasz się od jabłka Adama po krocze: ale to wszystko słowa, ponieważ nie znała istoty rzeczy.Przypuśćmy, że jednak przyjechał do mnie, marzyło się jej. Mogłabym nauczyć się go, krok po kroku, wspinać się po nim aż do samego szczytu. Skoro moje stopy o słabych kościach nie pozwoliłyby mi pójść w góry, szukałabym tej góry w nim: założyłabym główny obóz, powoli badała trasy przejścia, pokonała lodo-spady, szczeliny, nawisy. Zaatakowałabym szczyt i ujrzała tańcz ące anioły. Och, żebym tak mogła, ale on nie żyje i spoczywa na dnie morza.I wtedy go znalazła. — Być może on również wymyślił j ą sobie, chociaż trochę wymyślił kogoś, dla czyjej miłości warto byłoby porzucić stare życie. — Nic w tym nadzwyczajnego. Zdarza się to w miarę często i dwoje takich wynalaz-ców kontynuuje swoje eksperymenty, ścieraj ąc sobie wzajemnie ostre krawędzie, przystosowuj ąc nawzajem do siebie swoje wymysły, rzeźbi ąc wyobraźnię tak, by pasowała do stanu rzeczywistego, ucz ąc się, jak być razem: albo i nie. Kończy się to sukcesem, albo i nie. Jednak przypuszczaj ąc, że Gibril Fariszta i Alleluja Co-263

ne mogli pójść tak zgodnie t ą drog ą, popełnilibyśmy poważny bł ąd: uznalibyśmy ich zwi ązek za przeciętny. Nie był nim; nie miał w sobie najmniejszej drobiny przeciętności.Był to zwi ązek pełen prawdziwych skaz.(„Współczesne miasto — mówił na temat swojego konika Otto Cone, wygłaszaj ąc odczyt dla znudzonej rodziny siedz ącej wokół stołu — stanowi locus clas-sicus nie przystawalnych rzeczywistości. Ludzie nie maj ący ze sob ą nic wspólnego mieszaj ą się ze sob ą w dumie, siedz ąc obok siebie w autobusie. Jeden świat, mrugaj ący właśnie jak królik, stoi na przejściu dla pieszych oślepiony światłem reflektorów samochodu, w którym znajduje się całkowicie odmienne, a wręcz przeciwne continuum. I dopóki do tego się to sprowadza, mijaj ą się w ciemności nocy, potr ącaj ąc się na stacjach metra, uchylaj ąc kapelusza w jakimś korytarzu hotelowym, nie jest źle. Ale jeśli się spotkaj ą! Wówczas jest to uran i tor, jedno powoduje rozpad drugiego, buum. — Prawdę powiedziawszy, najdroższy — sko-mentowała Alicja z poważn ą min ą — ja również często czuję się trochę skłócona z sob ą sam ą.”)

Skazy w wielkiej namiętnej miłości Allelui Cone i Gibrila Fariszty były następuj ące: jej tajemniczy strach przed własnym tajemnym poż ądaniem, to jest, miłości ą; — z którego to powodu miała zwyczaj uciekać od tej właśnie osoby, której oddania najbardziej poszukiwała, a nawet często czyniła j ą celem swoich ataków;— im większa intymność, tym mocniej się buntowała; — tak więc jej partner, przywiedziony do miejsca, w którym panowało absolutne zaufanie, wyzbywał się środków samoobrony i wówczas spadała na niego cała siła ciosu i niszczyła go;— i właśnie to przydarzyło się Gibrilowi Fariszcie, kiedy to po trzech tygodniach najbardziej ekstatycznego kochania się, jakie obojgu było znane, powiedziano mu po prostu, żeby znalazł sobie inne miejsce do mieszkania, i to szybko, ponieważ ona, Allie, potrzebowała więcej wolnej przestrzeni niż miała do dyspozycji w danej chwili; —

— oraz jego arogancka zaborczość i zazdrość, z której jedynie on sam całkowicie nie zdawał sobie sprawy, a która wynikała z faktu, że nigdy poprzednio nie uważał kobiety za skarb, którego za wszelk ą cenę należy strzec przed hordami piratów, którzy oczywiście zawsze będ ą próbowali j ą porwać; — o czym będzie mowa zaraz dalej; —

— i decyduj ąca skaza, mianowicie, niebezpieczna świadomość Gibrila Fariszty — lub, jeśli wolicie, obł ˛

akańcza idea — że był ni mniej, ni więcej, ale archaniołem w ludzkiej postaci, i to nie byle archaniołem, lecz Aniołem Recytacji, najwyżej postawionym (skoro już Szejtan był upadł) ze wszystkich aniołów.264

\* \* \*

Spędzili te dni w takiej izolacji, owinięci w płaszczyzny prześcieradła własnego poż ądania, że jego dzika, nieposkromiona zazdrość, co do której Jago ostrzegał, że „czyni pośmiewiskiem ciało, na którym się żywi”, nie od razu wyszła na jaw. Po raz pierwszy pojawiła się przy absurdalnej okazji trzech rysunków, które Allie powiesiła przy drzwiach frontowych, w kremowej oprawie i ramkach koloru starego złota, wszystkie miały tę sam ą dedykację zagryzmolon ą w prawym dolnym rogu kremowej oprawki: Dla A, z nadziej ˛

a, od Brunela. Kiedy Gibril zo-

baczył te dedykacje, zaż ądał wyjaśnienia, z wściekłości ą wskazuj ąc jedn ą ręk ą na rysunki, a drug ą przytrzymuj ąc na sobie prześcieradło (odziany był w ten niefor-malny strój, ponieważ doszedł do wniosku, że nadszedł stosowny czas, aby przeprowadzić dokładn ą inspekcję całego lokalu, nie można przecież spędzić całego życia na własnych plecach, czy choćby na twoich — powiedział); Allie, przebacza-j ąc mu, roześmiała się. — Wygl ądasz jak Brutus, pełen godności i ż ądzy mordu

— drażniła go. — Portret szacownego męża. — Przeraził j ą krzycz ąc gwałtownie: Powiedz mi natychmiast, kim jest ten skurwiel.— Chyba nie mówisz poważnie — odparła. Jack Brunel pracował jako animator, zbliżał się do sześćdziesi ątki i znał jeszcze jej ojca. Nigdy nie była nim zainteresowana w najmniejszym stopniu , ale on zacz ął starać się ojej względy w ten właśnie dziwny sposób, bez słów, podarowuj ąc jej od czasu do czasu takie rysunki.— Dlaczego nie wyrzuciłaś ich do kosza na śmieci? — zawył Gibril. Allie, wci ąż jeszcze do końca nie pojmuj ąc intensywności jego furii, ci ągnęła swoje wyjaśnienia tonem żartobliwym. Zachowała te rysunki, ponieważ podobały jej się. Pierwszy z nich był star ą karykatur ą z Puncha, w której Leonardo da Vinci stał w swojej pracowni w otoczeniu grona uczniów i jak dyskiem rzucał Mon ą Liz ą przez cały pokój. „ Zważcie na moje słowa, panowie — mówił w podpisie pod ilustracj ą — któregoś dnia ludzie będ ˛

a latać do Padwy w taki właśnie spo-

sób”. W drugiej ramce znajdowała się strona z Toff, pisma humorystycznego dla chłopców z czasów Drugiej Wojny Światowej. Pomyślano w redakcji tego pisma, że w czasach, kiedy tyle dzieci zostało wysiedlonych ze swoich domów, koniecznie trzeba stworzyć komiksow ą wersję wydarzeń w świecie dorosłych, która by te tak niecodzienne wydarzenia tłumaczyła. Tak więc ilustracja przedstawia jedno z cotygodniowych spotkań między zespołem gospodarzy — Elegant (przerażaj ący dzieciak z monoklem w oku, ubrany w etoński frak i pr ążkowane spodnie) i Bert, chłopiec w kaszkiecie i z poobijanymi kolanami — a wrażym zespołem szubraw-ców, to jest Hokropnym Hadolfem i Nieprzyjemniakami (band ą niesamowitych zbirów, z których każdy miał jak ąś bardzo nieprzyjemn ą część ciała, np. stalo-265

wy hak zamiast dłoni, stopy podobne do szponów, zęby, które mogły przegryźć ci ramię). Zespół brytyjski niezmiennie wygrywał. Gibril pogardliwie spojrzał

na komiks w ramce. — Wy cholerne Angole. Naprawdę myślicie w ten sposób; oto czym naprawdę była dla was ta wojna. — Allie postanowiła nie wspominać o swoim ojcu, ani też nie mówić Gibrilowi o tym, że jeden z artystów pracuj ących dla Toffa, zjadliwie antyfaszystowski Berlińczyk o nazwisku Wolf, został

pewnego dnia aresztowany i odtransportowany do obozu dla internowanych razem z innymi Niemcami zamieszkałymi w Brytanii i według Brunela ani jeden z jego kolegów nie kiwn ął palcem w jego obronie. „Nieczułość — rozmyślał przy niej Jack. — Jedyna rzecz, która jest karykaturzyście naprawdę potrzebna. Czegóż mógłby dokonać Disney, gdyby nie miał serca. A on miał tę nieszczęsn ą wadę”.Brunel prowadził małe studio filmów rysunkowych o nazwie Wytwórnia Strach na Wróble, zapożyczonej z Czarnoksiężnika z Krainy Oz.Trzecia ramka zawierała ostatnie ujęcie z jednego z filmów wielkiego japońskiego animatora Yoji Kuri, którego wyj ątkowo cyniczne obrazy doskonale ilu-struj ą niesentymentalny pogl ąd Brunela na sztukę rysownika. W tym filmie człowiek spada z drapacza chmur, wóz strażacki zajeżdża pędem na miejsce i ustawia się pod wci ąż spadaj ącym człowiekiem. Z otwartego dachu samochodu wysuwa się olbrzymi stalowy kolec. W kadrze wisz ącym na ścianie pokoju Allie człowiek spadaj ąc głow ą w dół wbija sobie ów kolec w mózg. — Chore — zawyrokował

Gibril Fariszta.Skoro te hojne dary nie przyniosły żadnych rezultatów, Brunel musiał wyjść z ukrycia i zjawić się we własnej osobie. Stawił się w mieszkaniu Allie któregoś wieczoru, nie zapowiedziany, nieźle podchmielony, i wyci ągn ął butelkę rumu z podniszczonej aktówki o trzeciej nad ranem wypił ostatni ą kroplę trunku, ale nie zdradzał najmniejszej ochoty do wyjścia. Allie ostentacyjnie ruszyła do łazienki umyć zęby i kiedy wróciła, zastała animatora stoj ącego nagusieńkiego na samym środku dywanu w jej saloniku, ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że ma on niezwykle kształtne ciało pokryte nadmiern ą mas ą gęstych siwych włosów. Kiedy j ą zobaczył, wyci ągn ął ramiona i zawołał: „Bierz mnie! Rób ze mn ą, co zechcesz!”Ubrała go, zdobywaj ąc się przy tym na cał ą uprzejmość, jaka jej jeszcze została i delikatnie wypchnęła go razem z teczk ą za drzwi. Nigdy nie wrócił.Allie opowiedziała Gibrilowi tę historyjkę, niczego nie taj ąc i chichocz ąc od czasu do czasu, co sugerowało, że jest całkowicie nie przygotowana na burzę, któr ą jej opowiadanie miało rozpętać. Jest jednak prawdopodobne (stosunki między nimi były raczej napięte przez kilka ostatnich dni), że jej niewinna postawa była nieco obłudna, że miała prawie nadzieję, iż on zacznie zachowywać się niewłaści-wie, w wyniku czego za wszelkie następstwa odpowiedzialność spadnie na niego, a nie na ni ą. . . b ądź co b ądź, Gibril wybuchn ął jak wulkan, pod same chmury, oskarżaj ąc Allie o to, że sfałszowała koniec opowiadania, sugeruj ąc, że biedny Brunel na pewno wci ąż czeka na telefon od niej i że właśnie zamierzała zadzwo-266

nić do tamtego, skoro tylko on, Fariszta, odwróciłby się na chwilę. Miotanie się w szale, krótko mówi ąc, zazdrość o jej przeszłość, najgorsza ze wszystkich. Kiedy to okrutne uczucie całkowicie go opanowało, złapał się na tym, że wymyśla dla niej tabuny kochanków, wyobrażaj ąc sobie, że czekaj ą za każdym rogiem. Posłużyła się histori ą o Brunelu po to, aby naigrywać się z niego, wrzeszczał, była to okrutna groźba, przygotowana z cał ą premedytacj ą. — Chcesz widzieć mężczyzn klęcz ących u twych stóp — krzyczał, resztki jego opanowania dawno już się ulotniły. — Ja, ja na kolana nie padnę.— Otóż to — powiedziała. — Wynocha.Gniew rozgorzał w nim na dobre. Trzymaj ąc kurczowo w garści swoj ą togę, przeszedł majestatycznie do sypialni, aby się ubrać; włożyć na siebie jedyne rzeczy, jakie posiadał, wł ączaj ąc w to gabardynowy płaszcz o szkarłatnym podbiciu i szary filcowy kapelusz Don Enrique Diamonda; Allie stała w drzwiach i przygl ądała się. — Nie myśl sobie, że wrócę — krzykn ął, wiedz ąc, że jego wściekłość jest sił ą, która bez trudu przepchnie go przez próg i wci ąż czekaj ąc na jej gest, na to, że zacznie go uspokajać, przemawiać do niego czule, że da mu pretekst pozwalaj ący zostać. Ale ona wzruszyła ramionami i odeszła, i właśnie wtedy, dokładnie w momencie jego największego gniewu, pękły granice ziemi, usłyszał hałas przypominaj ący jakby pękanie tamy i kiedy duchy świata marzeń sennych zaczęły się wlewać przez wyrwę do świata codzienności, Gibril Fariszta zobaczył Boga.Dla Blake’owego Izajasza Bóg był po prostu immanentności ą, bezcielesnym oburzeniem; ale wizja Najwyższej Istoty, jak ą miał Gibril, nie była bynajmniej abstrakcyjna. Ujrzał siedz ącego na łóżku mężczyznę mniej więcej równego sobie wiekiem, średniego wzrostu, o krępej budowie ciała i z szar ą brod ą przycięt ą krótko, blisko linii szczęki. Najbardziej uderzyło go to, że duch ten wyraźnie łysiał, miał prawdopodobnie łupież i nosił okulary. Nie był to Wszechmocny, jakiego się spodziewał. — Kim jesteś — zapytał z zainteresowaniem. (Nie interesowała go natomiast w tej chwili Alleluja Cone, która usłyszawszy, że zaczyna rozmawiać sam ze sob ą, natychmiast się zatrzymała i obserwowała go właśnie najwyraźniej ogarnięta panik ą.)

— Nad-ziemiarz — odpowiedziała zjawa. — Facet z Góry.— Sk ąd mam wiedzieć, że nie jesteś tym Drugim? — zapytał chytrze Gibril

— Pod-ziemiarzem. Facetem z Dołu?Śmiałe pytanie, wywołuj ące natychmiastow ą zgryźliw ą odpowiedź. To Bóstwo mogło sobie wygl ądać jak jakiś urzędniczyna krótkowidz, ale z cał ą pewności ą potrafiło zmobilizować tradycyjny aparat gniewu bożego. Za oknem zgęstnia-ły chmury; wiatr i gromy wstrz ąsnęły pokojem. W parku Fields łamały się drzewa.— Tracimy do ciebie cierpliwość, Gibrilu Fariszto. Chyba już dosyć długo w Nas w ątpiłeś. — Gibril zwiesił głowę, zmiażdżony gniewem Boga. — Nie musimy się przed tob ą tłumaczyć z Naszej istoty — pranie mózgu trwało dalej. — Nie będzie się tutaj rozwi ązywało kwestii, czy My jesteśmy wielopostaciowi, w wielu 267

osobach, czy stanowimy jedność-poprzez-krzyżowanie takich przeciwieństw jak Nad i Pod, ani też tej kwestii, czy My jesteśmy nieskalani, absolutni i najwyż-si. Rozgrzebane łóżko, na którym jego gość usadowił Swój tyłek (teraz dopiero Gibril zauważył, że tyłek ów lekko promieniował, podobnie jak i reszta Osoby) zostało obrzucone spojrzeniem pełnym najwyższej dezaprobaty. — Rzecz w tym, że nie będzie już żadnego oci ągania się. Domagałeś się wyraźnych dowodów Naszego istnienia? Zesłaliśmy Objawienie, które wypełniło twoje sny: wyjaśniło nie tylko Nasz ą istotę, ale i twoj ą. Ale ty walczyłeś z nim, walczyłeś z tym snem, w którym My ciebie budziliśmy. Twój strach przed prawd ą zmusił Nas w końcu do ujawnienia się o późnej nocnej porze, z niew ątpliwym narażeniem się na osobiste niewygody, w miejscu zamieszkania tej kobiety. Czas już najwyższy, żebyś zacz ął rozwijać się po naszej myśli. Czy po to wyrwaliśmy cię z niebios, byś mógł

się gzić i kłócić z jak ąś (niew ątpliwie godn ą uwagi) płaskostop ą blondynk ą? Jest robota.— Jestem gotów — powiedział Gibril pokornie. — Tak, czy inaczej, już od-chodziłem.— Słuchaj — powiedziała Allie Cone — Gibril, niech to cholera, zapomnij o walce. Posłuchaj: kocham cię.W mieszkaniu byli teraz tylko oni we dwoje. — Muszę iść — powiedział

cicho Gibril. Uwiesiła się u jego ramienia — Naprawdę, jestem pewna, że źle się czujesz. — W dalszym ci ągu zachowywał się w stosunku do niej wyniośle.— Skoro rozkazałaś mi wyjść, nie możesz już decydować o moim zdrowiu. —

Uciekł. Allie usiłowała iść za nim i nagle odczuła tak rozdzieraj ący ból w stopach, że nic innego jej nie pozostało jak upaść, szlochaj ąc, na podłogę: podobnie jak aktorka w hinduskim filmie masala; lub jak Rekha Merchant w dniu, w którym Gibril porzucił j ą na dobre. W każdym razie podobnie jak postać w opowiadaniu, z któr ą utożsamienia nigdy wcześniej by sobie nie wyobraziła.

\* \* \*Turbulencje meterologiczne wywołane gniewem Boga na swojego sługę ust ąpiły miejsca jasnej koj ącej nocy, której przewodniczył tłusty kremowy księżyc.

Jedynie zwalone drzewa wci ąż świadczyły o potędze przechodz ącego tędy Najwyższego. Gibril, w filcowym kapeluszu wciśniętym aż po oczy, z pasem na pieni ądze mocno zapiętym na brzuchu, rękoma głęboko w kieszeniach gabardy-ny, przy czym prawa wyczuwała wyraźny kształt ksi ążki — cicho dziękował za swoj ą ucieczkę. Pewien już swojego archanielskiego statusu, odpędził od siebie wszelkie wyrzuty sumienia, które mógłby odczuwać z powodu momentu zw ąt-268

pienia, a w ich miejsce wprowadził nowe postanowienie: przywrócenie tej metropolii współczesnych bezbożnych pobratymców ludu Ad i plemienia Samud wiary w Boga, obsypania ich błogosławieństwami Recytacji, Świętego Słowa. Poczuł, że odpada odeń poprzednie ego, pożegnał je wzruszeniem ramion, postanowił

jednak zachować, przynajmniej na razie, wymiary ludzkiego ciała. Nie nadszedł

jeszcze czas, by zacz ąć rosn ąć i wypełnić w końcu całe niebo od horyzontu po horyzont — chociaż i to stanie się już niedługo.Ulice miasta okręcały się wokół niego, wij ąc się jak węże. Londyn ponownie stracił równowagę, jeszcze raz ujawniaj ąc swoj ą prawdziw ą, kapryśn ą i udręczon ą naturę, katusze miasta, które zagubiło swój sens i pławiło się w poczuciu bezsilności wobec swojego egoistycznego i wściekłego organizmu składaj ącego się z masek i parodii, miasta umęczonego i powykręcanego przez nieznośn ą i na czas nie wyrzygan ą zawartość trzewi własnej przeszłości, miasta wpatrzonego w posępny obraz nędznej przyszłości. Wędrował jego ulicami tej nocy, cały następny dzień, cał ą następn ą noc, aż w końcu światło i ciemność straciły jakiekolwiek znaczenie. Wydawało się, że przestał odczuwać potrzebę jedzenia czy odpoczynku, szedł wci ąż naprzód przez tę umęczon ą metropolię, której budulec uległ obecnie całkowitej przemianie, domy w bogatych dzielnicach były zbudowane z zastygłe-go strachu, budynki rz ądowe częściowo z zarozumialstwa, częściowo z pogardy, a miejsca zamieszkania biedoty — z bałaganu i marzeń o bogactwie. Kiedy spogl ądało się na to wszystko oczyma anioła, widziało się esencję zamiast powłoki, widziało się wyciek dusz z pęcherzy bulgocz ących na skórach przechodników, widziało się wspaniałomyślność pewnych dusz, które pod postaci ą ptaków spoczęły na ludzkich ramionach. I kiedy tak włóczył się po tym przemienionym mieście, widział skrzaty o skrzydłach nietoperzy, siedz ące na narożnikach budynków zbudowanych z oszustwa i dojrzał również chochliki wydostaj ące się z pokrytych potłuczonymi dachówkami publicznych pisuarów. Podobnie jak kiedyś trzynasto-wieczny mnich niemiecki Richalmus zamykał oczy i natychmiast widział chmary małych demonów otaczaj ących każdego mężczyznę i kobietę na ziemi, tańcz ących w świetle słonecznym jak pyłki kurzu, tak i Gibril, maj ąc otwarte oczy i to przy świetle księżyca jak i słońca, dostrzegał wszędzie obecność swojego adwersarza, swojego — wróćmy tu do oryginalnego znaczenia tego starego słowa —

szejtana.Na długo przed Potopem, przypomniał sobie — teraz, kiedy ponownie przyj ął

rolę archanioła, najwyraźniej krok po kroku przywracano mu pełen zakres archa-nielskiej pamięci i m ądrości — pewna liczba aniołów (jako pierwsze przyszły mu na myśl imiona Semdżaza i Azazel) została wyrzucona z nieba, ponieważ poż ˛

a-

dała córek człowieczych, które w odpowiednim czasie wydały na świat zł ą rasę gigantów. Zaczynał teraz rozumieć ogrom niebezpieczeństwa, przed którym go ocalono, pozwalaj ąc mu odejść od Allelui Cone. O najbardziej fałszywe ze stworzeń! O księżniczko mocy powietrza! — Kiedy Prorok, niech będzie pokój Jego 269

imieniu, po raz pierwszy otrzymał wahi, Objawienie, czyż nie obawiał się, że postradał zmysły? — A kto wówczas ofiarował mu tę uspokajaj ąc ą pewność, która tak była mu potrzebna? — Cóż, Chadidża, jego żona. To ona przekonała go, że nie jest majacz ącym pomyleńcem, lecz Posłańcem Bożym. — Natomiast co zrobiła dla niego Alleluja? Nie jesteś sob ˛

a. Jestem pewna, że źle się czujesz. — O

przynosz ąca cierpienia stworzycielko konfliktów i bólu duszy! Syreno, kusiciel-ko, diable w ludzkiej skórze! To śnieżnobiałe ciało i te jasne, jasne włosy: jak ona posłużyła się nimi, aby otumanić jego duszę, i jak ciężko było jemu, który ma takie słabe ciało, odeprzeć to. . . do tego stopnia przez ni ą usidlony, złapany w pajęczynę miłości tak skomplikowan ą, że wprost trudno uwierzyć, doszedł do samej krawędzi ostatecznego Upadku. Jak dobroczynna okazała się wobec niego Nad-Istota! — Rozumiał teraz, że wybór jest prosty: pomiędzy diabelsk ą miłości ą córek człowieczych a niebiańskim uwielbieniem Boga. Był w stanie wybrać to drugie; i w sam ą porę.Wyci ągn ął z prawej kieszeni płaszcza ksi ążkę, która tkwiła tam cały czas od momentu, kiedy wyszedł z domu Rosy tysi ąclecie temu: ksi ążki o tym mieście, które przyszedł ocalić, o Tym Właśnie Londynie, stolicy Wilajatu, mieście, które było tu szczegółowo naszkicowane specjalnie dla niego. Wybawi to miasto: Londyn Geografów i to cały od A do Z.

\* \* \*Na rogu ulicy w centrum miasta, dzielnicy niegdyś słynnej ze względu na jej mieszkańców, artystów i radykałów, mężczyzn poszukuj ących prostytutek, a obecnie danej w posiadanie urzędnikom zajmuj ącym się reklamami i drobniejszym producentom filmowym, Archanioł Gibril przypadkowo dostrzegł zagubion ą duszę. Była młoda, rodzaju męskiego, wysoka i bardzo piękna, o orlim nosie, z długimi czarnymi włosami nasmarowanymi olejkiem i z przedziałkiem na środku głowy; miała złote zęby. Zagubiona dusza stała na samej krawędzi chodnika, odwrócona tyłem do ulicy, lekko pochylała się do przodu i trzymała w prawej rę-ce coś, co najwyraźniej było jej bardzo drogie. Zachowanie duszy zastanawiało: najpierw dzikim wzrokiem patrzyła w rzecz, któr ą trzymała w prawej dłoni, następnie rozgl ądała się na wszystkie strony, i z przenikliw ą koncentracj ą wbijała wzrok twarze przechodniów. Nie chc ąc spłoszyć duszy, Gibril min ął j ą bez słowa i zobaczył, że tym przedmiotem w jej dłoni była mała paszportowa fotografia. Za drugim nawrotem podszedł wprost do nieznajomego i zaoferował mu swoj ą pomoc. Tamten nieufnie popatrzył na niego, a następnie podetknał mu tę fotografię niemal pod sam nos. — Ten człowiek — powiedział, dźgaj ąc fotografię długim 270

palcem wskazuj ącym. — Czy zna pan tego człowieka?Kiedy Gibril zobaczył, że z fotografii spogl ąda na niego młody, bardzo piękny mężczyzna, o imponuj ącym orlim nosie, z długimi czarnymi włosami nasmarowanymi olejkiem i z przedziałkiem na środku głowy, zrozumiał, że instynkt go nie zawiódł, że tutaj, na rogu ruchliwej ulicy przygl ądała się przechodniom, aby w końcu wyłowić siebie samego, gdyby tamtędy przechodził, Dusza poszukuj ą-ca swojego zagubionego ciała, widmo rozpaczliwie odczuwaj ące brak utraconej powłoki fizycznej — archaniołom bowiem znany jest fakt, że dusza lub Ka nie może sama istnieć (po zerwaniu złocistego sznura światła ł ącz ącego j ą z ciałem) dłużej niż jedn ą noc i jeden dzień. — Mogę ci pomóc — obiecał i młody duch popatrzył na mego z bliskim obłędu niedowierzaniem. Gibril pochylił się, uj ął

twarz istoty Ka w dłonie i mocno pocałował w same usta, ponieważ dusza ucało-wana przez archanioła odzyskuje natychmiast utracone poczucie orientacji i w ten sposób wchodzi na drogę prawdy i sprawiedliwosci. — Jednakże zagubiona dusza zareagowała zdumiewaj ąco na to wyróżnienie archanielskim pocałunkiem. —

Odpierdol się — krzyknęła. — Może jestem doprowadzony do ostateczności, ale nie aż na tyle, facet — Po czym zademonstrowała krzepkość fizyczn ą niezwykł ą dla ducha uwolnionego od powłoki cielesnej i zadała Archaniołowi Pańskiemu mocne uderzenie w nos t ą sam ą pięści ą, w której znajdowała się fotografia; —

powoduj ąc dezorientuj ące i krwawe następstwa.Kiedy poprawiło się jego widzenie, zagubionej duszy już nie było, natomiast tuż obok, na swoim lataj ącym dywanie kilka stóp nad ziemi ą siedziała Rekha Merchant, kpi ąc sobie z jego porażki. — Nie taki znów dobry pocz ątek — prychnęła.— Archanioł, dobre sobie. Mój ty szanowny panie Gibril, zwariowałeś, uwierz mi. Grałeś zbyt wielu typów ze skrzydłami, żeby ci to wyszło na dobre. Nie ufa-łabym również temu twojemu Bóstwu, gdybym była na twoim miejscu — dodała bardziej konspiracyjnym tonem, chociaż Gibril podejrzewał, że intencje jej wypowiedzi pozostaj ą prześmiewcze. — Sam to zasugerował, partacz ąc odpowiedź na twoje pytanie o kwestię Nad i Pod. Ta myśl o rozdzieleniu funkcji, światło przeciw ciemności, zło przeciw dobru, może być wystarczaj ąco niedwuznaczna w Islamie

— O, dzieci Adama, niech was Diabeł nie zwiedzie, tak jak wygnał waszych rodziców z ogrodu, ści ˛

agaj ˛

ac z nich ich przyodziewek, żeby móc pokazać im ich wstyd

— ale cofnij się trochę, a przekonasz się, że jest to całkiem niedawno zmyślona rzecz. Amos, ósmy wiek przed Chrystusem, pyta: „Czyż zdarza się w mieście nieszczęście, by Pan tego nie sprawił?” A również Jahwe, według Deutero-Izajasza, zauważa: „Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czynię to wszystko”. Dopiero w Księdze Kronik, a więc zaledwie w czwartym wieku przed Chrystusem, po raz pierwszy zostaje użyte słowo szejtan w znaczeniu osobnej istoty, a nie jedynie atrybutu Boga. „Prawdziwa” Rekha nie byłaby po prostu w stanie wygłosić takiego przemówienia, gdyż wychowała się, jakby nie było, w politeistycznej tradycji i nigdy nie przejawiała 271

najmniejszego zainteresowania porównywaniem religii, a już na pewno nie Apo-kryfami. Ale ta Rekha, która ścigała go nieustannie od chwili, kiedy wysypał się z Bustana, nie była, i Gibril dobrze o tym wiedział, rzeczywista w jakikolwiek obiektywny, psychologicznie lub cieleśnie konsekwentny sposób. — Czym więc była? Łatwo byłoby wyobrazić j ą sobie jako zjawisko, do którego powstania sam przyłożył rękę — jego własnego wspólnika-przeciwnika, jego wewnętrznego demona. To wyjaśniałoby łatwość, z jak ą poruszała się po zakamarkach wiedzy. —

Ale w jaki sposób on sam doszedł do takiej znajomości rzeczy? Czy naprawdę w dawnych czasach posiadał tę wiedzę, a później j ą utracił, jak to obecnie dono-siła mu pamięć? (Nie dawało mu spokoju wrażenie jakiejś nieścisłości, ale kiedy usiłował skoncentrować myśli na swoim „ciemnym okresie”, to znaczy na tym czasie swojego życia, kiedy w niewyjaśniony sposób przestał wierzyć w swoje anielskie posłannictwo, napotykał gęsty wał chmur, przez które, jak by nie wytę-żał wzroku, nie potrafił dostrzec niczego poza rozmazanymi cieniami.) — Albo też, czyż mogło być tak, ze materiał wypełniaj ący obecnie jego myśli, dalekie echo, by przytoczyć tylko pojedynczy przykład, starodawnej historii, kiedy to je-go posłańcy — aniołowie Ituriel i Zefon zdybali adwersarza przykucniętego jak ropucha przy uchu Ewy w Edenie, używaj ąc swych sztuczek „by osi ągn ąć Źródła jej wyobraźni, i tam wykuć Iluzje, jakie tylko chciał, przywidzenia i sny”, więc czyż było tak, że to wszystko zostało wprowadzone do jego głowy i tam zaszcze-pione przez tę sam ą zagadkow ą Istotę, tę rzecz Z-Góry-i-Z-Dołu, która stanęła przed nim twarz ą w twarz w sypialni Allelui i która obudziła go z długiego snu na jawie? — Wobec tego, może i Rekha była emisariuszk ą tego Boga, boż ą antago-nistk ą z zewn ątrz, a nie wewnętrznym cieniem, wytworem winy; kimś, kto został

posłany, aby mocować się z nim, przywrócić mu integralność.Nos, z którego wci ąż leciała krew, zacz ął dawać o sobie znać rw ącym, pulsuj ącym bólem. Nigdy nie był w stanie znieść cierpienia fizycznego. — Zawsze byłeś mazgajem — Rekha parsknęła śmiechem. Szejtan rozumiał więcej: Czy jest ktoś taki, kto kocha swój ból?Kto, znalazłszy drogę, nie wyrwałby się z piekła, Choć tam jego przeznaczenie? Ty post ˛

apiłbyś tak, to pewne,I śmiało uciekał dok ˛

adkolwiek,Byle od bólu jak najdalej, gdzie mógłbyś żywić nadzieję na zamianę Udręczenie na ulgę. . .Nie można by tego uj ąć lepiej. Osoba, która trafi do jakiegoś piekła, jest gotowa robić wszystko, gwałcić, wydzierać sił ą pieni ądze, mordować, popełnić samobójstwo, cokolwiek, aby tylko się stamt ąd wydostać. . . przyłożył sobie chusteczkę do nosa, a Rekha, wci ąż obecna na swoim lataj ącym dywanie, domyślaj ąc się in-tuicyjnie, że wspi ął się (zszedł w dół?) w królestwo spekulacji metafizycznych, usiłowała sprowadzić wszystko na bliższ ą sobie płaszczyznę. — Powinieneś był

272

zostać ze mn ą — wyraziła swoje zdanie. — Mogłeś mnie kochać uczciwie, tak jak należy. Wiem przecież, jak kochać. Nie każdy to potrafi; ja potrafię. Potrafiłam, chciałam powiedzieć. Nie jestem jak ta egocentryczna blond bomba, która potajemnie zamierza mieć z tob ą dziecko, a tobie nawet jednym słowem o tym nie wspomni. Ani jak twój Bóg; już nie te czasy, kiedy takie Osoby okazywały stosowne zainteresowanie.Aż się prosiło, żeby temu zaprzeczyć i to na kilku płaszczyznach. — Byłaś zamężna, od pocz ątku do końca — odpowiedział. — Łożyska kulkowe. Byłem dla ciebie przystawk ą, a nie głównym daniem. Tak więc ja, który czekałem tak długo na Niego, i jego objawienie się, nie będę tutaj wyrażał się o Nim małodusznie, po tym jak mi się objawił we własnej Osobie. Wreszcie o co tu chodzi z tym dzieckiem? Wydaje się, że popadasz w przesadę.— Nie wiesz, jak wygl ąda piekło — odparowała natychmiast, zrzucaj ąc maskę niewzruszoności. — Ale możesz być pewien, nieudolny skoczku, że je poznasz.Gdybyś tylko zaż ądał, rzuciłabym tego nudziarza od łożysk w dwie sekundy, ale ty trzymałeś gębę na kłódkę. A teraz dopilnuję, żebyś się znalazł tam na dole: w Hotelu Pod-ziemia.— Nigdy nie zostawiłabyś swoich dzieci — dalej upierał się przy swoim. —

Biedaczyny, posunęłaś się nawet do tego, że rzuciłaś je w dół, zanim sama sko-czyłaś. — To j ą ruszyło. — Lepiej nic nie mów! Jeszcze taki dziób otwiera! Szanowny panie, już ja nawarzę ci piwa! Usmażę twoje serce i zjem je z grzank ą!A jeśli chodzi o twoj ą Biał ą Królewnę Śnieżkę, uważa ona, że dziecko jest wy-ł ączn ą własności ą matki, ponieważ mężczyźni raz s ą, raz ich nie ma, ale ona trwa zawsze, czyż nie? Jesteś jedynie, przepraszam, nasieniem, ona jest ogrodem. Kto pyta nasienie, czy chce ono wykiełkować? No i czy ty wiesz, co robisz, cholerny głupi bombajski chłopaczku, zadaj ąc się z kobietami o nowoczesnych pogl ądach?— A ty — odpowiedział gwałtownie. — Czy na przykład zapytałaś tatusia swoich dzieci o zgodę, zanim zrzuciłaś je z dachu?Zniknęła w ataku furii i w obłoku żółtego dymu, wywołuj ąc eksplozję, która zachwiała nim i zdmuchnęła mu kapelusz z głowy (odwrócony wyl ądował na chodniku u stóp Gibrila). Do tego wszystkiego uruchomiła również mocne efekty zapachowe o tak obrzydliwej woni, że zmusiło go to do zatkania ust, następnie zebrało mu się na wymioty. A tu nic: ponieważ nie było w nim żadnego jedzenia, ani żadnych płynów; już od wielu dni nie jadł i nie pił. Ach, nieśmiertelność, myślał: ach, szlachetne uwolnienie się od tyranii ciała. Zauważył, że przygl ąda mu się z zaciekawieniem dwoje ludzi, jednym był agresywnie wygl ądaj ący młody człowiek, ubrany w skórę i ćwieki, z mohikańsk ą fryzur ą we wszystkich kolorach tęczy i z agrafk ą w nosie, drug ą osob ą była życzliwa kobieta w średnim wieku i w chustce na głowie. No i bardzo dobrze: korzystaj z chwili. — Okażcie skruchę

— krzykn ął żarliwie — Ponieważ jestem Archaniołem Pana.— Biedny skurwiel — powiedział Mohikanin i rzucił monetę do leż ącego ka-273

pelusza Fariszty. Odszedł; życzliwa dama o błyszcz ących oczach pochyliła się jednak konfidencjonalnie w stronę Gibrila i podała mu ulotkę. — Zainteresuje to pana. — Szybko zorientował się, że jest to rasistowski tekst domagaj ący się „repa-triacji” czarnych obywateli. Wzięła go, wywnioskował, za białego anioła. A więc aniołowie również podlegaj ą takim kategoriom, przyj ął tę wiadomość z niedowierzaniem. — Niech pan spojrzy na to w ten sposób — mówiła kobieta, tłumacz ąc sobie jego milczenie jako przejaw niepewności i swoim przejściem na zbyt wyraźn ą i zbyt głośn ą artykulację dowodz ąc, że uważa go za nie całkiem białego, za anioła z Lewantu być może, Cypryjczyka lub Greka, do którego powinna przemawiać najlepszym, na jaki potrafiła się zdobyć, tonem stosowanym-wobec-ciężko-dotkniętych. — Gdyby przyjechali i zapchali ten kraj, sk ądkolwiek pan jesteś, cóż! Z pewności ą to by się panu nie spodobało.

\* \* \*Uderzony w nos, wyśmiewany przez zjawy, otrzymawszy jałmużnę zamiast szacunku, i różnorodnymi drogami wprowadzony w bagno upadku mieszkańców miasta, przy czym wyraźnie widać było tu niezmienn ą wyższość zła, Gibril był

bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany rozpocz ąć czynienie dobra, zacz ąć wielkie dzieło odsunięcia jak najdalej granic panowania adwersarza. Mapa w kieszeni była jego głównym planem działania. Wybawi miasto kwadrat po kwadracie, od Hockley Farm w północno-zachodnim rogu nakreślonego obszaru do Chance Wo-od na południowym wschodzie; po czym, być może, uczci zakończenie swoich prac drobn ą rozgrywk ą na zlokalizowanym na samej krawędzi mapy polu golfo-wym o trafnie dobranej nazwie: Odludzie.A gdzieś tam po drodze będzie na niego czekał sam główny przeciwnik. Szejtan, Iblis, czy jakiekolwiek inne imię sobie przybrał — i w rzeczy samej imię to Gibril miał wci ąż na końcu języka — podobnie jak twarz przeciwnika, złośliwa i z rogami nad czołem, wci ąż była jakoś zamazana. . . cóż, niedługo odzyska ona swoj ą wyrazistość, podobnie jak i imię wróci do jego pamięci, Gibril był tego pewien, bo czyż jego możliwości nie powiększały się z każdym dniem, czyż on nie był tym, który przywrócony do swojej chwały ciśnie przeciwnika w dół, ponownie w Najciemniejsz ą Głębię? — To imię: cóż to mogło być? Cz-coś? Czu Cze Czin Czou. Nieważne. Wszystko w swoim czasie.274

\* \* \*

Ale miasto w swoim zepsuciu moralnym nie chciało poddać się nowemu panowaniu kartografów, zmieniaj ąc kształt według własnego widzimisię i bez ostrzeżenia uniemożliwiaj ąc Gibrilowi zbliżanie do obranych celów w jakiś systema-tyczny sposób, który by przecież wolał. W niektóre dni skręcał na rogu przy końcu wspaniałej kolumnady zbudowanej z ciała ludzkiego i pokrytej skór ą, która krwa-wiła, jeśli się j ą podrapało, i nagle znajdował się na nie wykorzystanych terenach, pustkowiu nie ujętym na mapie, na którego obrzeżu mógł rozpoznać wysokie sylwetki znajomych budowli, kopułę katedry św. Pawła, sypi ąc ą iskrami, świe-cę zapłonow ą Wieży Telekomunikacyjnej, rozsypuj ące się na wietrze jak zamki z piasku. Bł ądz ąc przechodził przez anonimow ą pl ątaninę parków i wychodził na zatłoczone ulice West Endu, na których, ku osłupieniu kierowców, z nieba zacz ął

padać kwas, wypalaj ąc wielkie dziury w nawierzchni dróg. W tym pandemonium miraży często słyszał śmiech: miasto wyśmiewało jego bezsiłę, oczekuj ąc poddania się, przyznania, że nie jest nawet w stanie obj ąć rozumem tego, co tu istnieje, a cóż dopiero mówić o zmienianiu. Wykrzykiwał przekleństwa pod adresem wci ąż niewidocznego przeciwnika, błagał Boga o następny znak, obawiaj ąc się, że jego siły naprawdę nigdy nie sprostaj ą zadaniu. Krótko mówi ąc, stawał się najbardziej żałosnym i zszarganym z archaniołów; ubiór jego brudny, włosy długie i przetłuszczone, podbródek pokryty kępkami nieujarzmionych kłaków. W takim właśnie żałosnym stanie dotarł do stacji metra Angel.Musiał być wczesny ranek ponieważ na jego oczach głębia wypluła z siebie obsługę, która otworzyła, a następnie odci ągnęła metalow ą kratę nocy. Wszedł

za nimi powłócz ąc nogami, głowa spuszczona, ręce głęboko w kieszeniach (plan ulic został już dawno wyrzucony); i podniósłszy w końcu oczy, znalazł się twarz ą w twarz z osob ą, która była bliska płaczu.— Dzień dobry — zaryzykował, a młoda kobieta w kasie biletowej odpowiedziała z gorycz ą: — Co w nim takiego dobrego, chciałabym wiedzieć — i teraz dopiero pojawiły się jej łzy, pełne, kuliste i obfite. — No dobrze, już dobrze, moje dziecko — powiedział i dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem.— Nie jest pan wcale księdzem — wyraziła swoje zdanie. Odpowiedział trochę niezdecydowanie: — Jestem Aniołem, Gibrilem. — Roześmiała się, równie niespodziewanie, jak wcześniej zaczęła płakać. — No tak, tylko że anioły zwisaj ą tu z lamp ulicznych na Boże Narodzenie. Ozdoby. Tylko, że Rada Miejska wiesza je za szyję. — Nic nie mogło zbić go z tropu. — Jestem Gibril — powtórzył

i utkwił w niej wzrok. — Recytuj. — I ku swemu zdziwieniu, które z naciskiem podkreśliła, nie mogę uwierzyć, że to robię, że zwierzam się jakiemuś włóczędze, nie podoba mi się to, wie pan, kasjerka biletowa zaczęła mówić.275

Nazywała się Orfea Phillips, miała dwadzieścia lat, utrzymywała obydwoje rodziców, zwłaszcza teraz, kiedy jej postrzelona siostra Hiacynta utraciła pracę fizjoterapeutki „pakuj ąc się w jakiś zupełny nonsens”. Młody człowiek nazywał

się, bo, a jakże, był w tym i młody człowiek, Uriasz Moseley. Na stacji ostatnio zainstalowano dwie błyszcz ące nowe windy, i Orfei i Uriaszowi powierzono ich obsługę. W godzinach szczytu, kiedy pracowały obydwa dźwigi, było mało czasu na rozmowy; jednak w innych porach dnia używano tylko jednego. Orfea stawała wówczas na stanowisku kontroli biletów nie opodal szybu windy i Uriemu udało się spędzić wiele godzin na rozmowie z ni ą tam na dole, wspierał się o futry-nę drzwi swojej błyszcz ącej windy i czyścił zęby srebrna wykałaczk ą, któr ą jego pradziadek dawno temu dziubn ął jakiemuś właścicielowi plantacji. Była to prawdziwa miłość. — Ale mnie poniosło uczucie — zawodziła Orfea przed Gibrilem.— Jestem zbyt szybka, by zachować rozs ądek. Pewnego popołudnia, przy słabym ruchu, opuściła swój posterunek i stanęła przed nim, kiedy był akurat pochylony i czyścił zęby, i widz ąc to spojrzenie jej oczu, odłożył wykałaczkę. Po tym wydarzeniu zacz ął przychodzić do pracy sprężystym krokiem; ona również była w siódmym niebie, zjeżdżaj ąc codziennie do wnętrza ziemi. Ich pocałunki stawały się coraz dłuższe i bardziej namiętne. Czasami nie potrafiła oderwać się od niego, kiedy dzwoniono po windę; Uriasz musiał j ą wtedy odpychać krzycz ąc, „Opanuj się, dziewczyno, ludzie czekaj ą”. Uriasz podchodził do swojej pracy jak do po-wołania. Mówił Orfei o dumie z munduru, który nosi, o zadowoleniu ze służby dla społeczeństwa, z tego, że daje społeczeństwu życie. Pomyślała, że brzmi to nieco pompatycznie i chciała powiedzieć: „Uri, człowieku, ty żeś tutaj tylko windziarz”, ale wyczuwaj ąc, że taki realizm nie byłby mile przyjęty, powstrzymywała swój nieznośny język, a ściślej mówi ąc, wsadzała go w jego usta.Ich uściski w tunelu przekształciły się w wojny. Próbował, powiedzmy, oderwać się od niej, wygładzaj ąc swój mundur, kiedy ugryzła go w ucho i wsadziła rękę do jego spodni. — Chyba zwariowałaś — powiedział, ale ona kontynuj ąc, zapytała: — No to co? Przeszkadza ci to?Jak można było przewidzieć, przyłapano ich: skargę złożyła dobrotliwa kobieta w chustce na głowie i tweedowym płaszczu. Mieli szczęście, że nie wyrzucono ich z pracy. Orfeę „uziemiono”, oderwano od szybów i wind, przeniesiono na górę i odizolowano w kasie biletowej. Co gorsza jej miejsce zajęła stacyjna piękność, Rachela Watkins. — Wiem, co się dzieje — krzyknęła ze złości ą. — Widzę wyraz twarzy Racheli, kiedy wjeżdża na górę, poprawia włosy i nie wiedzieć co jeszcze.— Uriasz unikał obecnie wzroku Orfei.— Nie mam pojęcia, jak pan zmusił mnie, abym opowiedziała swoj ą historię

— zakończyła niezdecydowanie. — Nie jesteś pan żadnym aniołem. To pewne.— Ale nie potrafiła, mimo że usilnie próbowała, wyrwać się spod władzy jego paraliżuj ącego spojrzenia. — Wiem — powiedział jej — co jest w twoim sercu.Sięgn ął przez okienko kasy i uj ął jej nie opieraj ąc ą się dłoń. — Tak, o to cho-276

dziło, wypełniła go siła jej pragnień, co pozwalało mu przetłumaczyć je i przesłać z powrotem do niej, dzięki czemu stało się możliwe działanie — wypowiedzenie przez ni ą i spełnienie tego, czego najgłębiej poż ądała; tak, to było coś, co pamiętał, ta cudowność ł ączenia się z t ą, której się objawiał, a to, co dalej następowało, było owocem tego poł ączenia. Wreszcie — pomyślał — wracaj ą archanielskie umiejętności. — W kasie biletowej kasjerka Orfea Phillips miała zamknięte oczy, jej ciało osunęło się na krześle, wygl ądała na ciężk ą i ospał ą, a jej wargi poruszały się. — Równocześnie, w całkowitej zgodzie z nimi, poruszyły się jego usta. —

Otóż i to. Zrobione.W tym samym momencie zawiadowca stacji, mały zagniewany człowieczek z dziewięcioma długimi włoskami, które złapane na poziomie ucha jak plaster przylepione były przez cał ą łysinę, wypadł jak kukiełka zza swoich małych drzwi.— Co ty tam knujesz? — krzykn ął na Gibrila. — Wyrywaj st ąd, zanim zawołam policję. Gibril nie ruszył się z miejsca. Zawiadowca stacji zobaczył, że Orfea wychodzi ze swojego transu i zacz ął wrzeszczeć: — Ty, Phillips, nigdy nie widziałem czegoś takiego. Lecisz na każde spodnie, ale to już jest śmiechu warte. Jak długo żyję. I przysypia w czasie pracy, też pomysł. — Orfea wstała, włożyła swój płaszcz przeciwdeszczowy, wzięła składan ą parasolkę i wynurzyła się z kasy. —

Zostawia własność publiczn ą bez opieki. Natychmiast tu wracaj, albo tracisz ro-botę, masz to jak w banku. — Orfea ruszyła w stronę spiralnych schodów i zeszła ku głębi. Pozbawiony pracownika, zawiadowca odwrócił twarz do Gibrila. — No, dalej — powiedział. — Zjeżdżaj, już cię nie ma. Pal zelówy.— Ja czekam — odpowiedział Gibril z godności ą — na windę.Kiedy Orfea Phillips dotarła na sam dół i wyszła zza rogu, zobaczyła Uriasza Moseleya we właściwy sobie sposób opartego o budkę kontrolera biletów i Rachelę Watkins, głupawo uśmiechnięt ą w rozkoszy. Ale Orfea wiedziała, co robić.— Dałeś już poczuć Cheli swoj ą wykałaczkę, Uri? — zawołała głośno. — Na pewno chciałaby sobie potrzymać.Oboje podskoczyli jak uż ądleni. Uriasz próbował j ą zagadać: — No, no nie b ądź taka wulgarna, Orfea — ale jej spojrzenie od razu ostudziło jego zapędy. Potem ruszył w jej stronę, cały rozmarzony, zostawiaj ąc Rachelę na lodzie. — Właśnie tak — powiedziała delikatnie, nie spuszczaj ąc z niego wzroku ani na chwilę.— No, chodź. Chodź do mamy. — Teraz muszę iść tyłem do windy i po prostu wessać go tam do środka, a potem w górę i odchodzimy sobie. — Ale coś było nie tak. Już nie szedł ku niej. Rachela Watkins stanęła obok niego, cholera, o wiele za blisko, i zatrzymał się. — Powiedz jej, Uriasz — odezwała się Rachela — że jej gusła tu na dole nie działaj ą. — Uriasz obj ął ramieniem Rachelę Watkins. Nie tak to sobie wyobrażała, nie takiego rozwoju akcji stała się nagle pewna, bardzo pewna, kiedy Gibril uj ął jej dłoń, ot po prostu tak, jak gdyby byli sobie przeznaczeni; my-ty, myślała; co się ze mn ą działo? Podeszła bliżej. — Weź j ą ode mnie, Uriasz

— krzyknęła Rachela. — Gniecie mi mundur i w ogóle. — Wtedy Uriasz, trzyma-277

j ąc szamocz ąc ą się bileterkę za oba nadgarstki, ogłosił tę wiadomość: — Proszę j ą właśnie, żeby za mnie wyszła! — Na te słowa Orfeę opuściła jakakolwiek chęć walki. Ozdobione paciorkami warkocze przestały wirować i trzaskać. — Więc zostajesz skreślona z zamówienia, Orfeo Phillips — ci ągn ął Uriasz, sapi ąc nieco.— I tak jak dama tu mówi, żadne gusła niczego nie zmieni ą. — Orfea, z ubra-niem w nieładzie i również dysz ąc ciężko, opadła na podłogę, zwrócona tyłem do krętej ściany tunelu. Do ich uszu dobiegł odgłos hamuj ącego poci ągu, para zaręczonych pospieszyła na swoje stanowiska, po drodze doprowadzaj ąc się do porz ądku, zostawiaj ąc Orfeę tam, gdzie usiadła. — Dziewczyno — wypowiedział

Uriasz Moseley swoj ą opinię zamiast pożegnania — jesteś zbyt nieprzyzwoita, diabelnie nieprzyzwoita jak na mój gust. — Rachela Watkins przesłała Uriaszowi buziaka ze swojej budki kontrolera biletów; on, z kolei, nonszalancko oparł się o swoj ą windę i zacz ął czyścić zęby. — Domowe jedzenie — obiecała mu Rachela

— bez jakichkolwiek niespodzianek.— Ty ohydny włóczęgo — wrzasnęła Orfea Phillips na Gibrila, kiedy już pokonała dwieście czterdzieści siedem stopni w spiralnych schodach klęski. —

Ty nic nie wart diabelny włóczęgo. Kto cię prosił, żebyś tak diabelnie zniszczył

mi życie?

\* \* \*

Nawet aureola zgasła, zupełnie jak przepalona żarówka, a ja nie wiem, gdzie jest sklep. Gibril na ławce w małym parku w pobliżu stacji medytował nad bez-skuteczności ą swoich dotychczasowych wysiłków. I stwierdził, że gór ą s ą bluźnierstwa: jeżeli puszki z jedzeniem zostały źle oznakowane i trafiły do niewłaściwego odbiorcy, czy jest to wina dostawcy? Jeżeli któryś z efektów specjalnych

— lataj ąca mata, czy coś takiego — nie udał się, i widzisz błyszcz ące niebieskie kontury postaci lec ącego faceta, jak można winić za to aktora? Podobnie dowodz ąc, jeżeli jego aniołowanie okazywało się mało skuteczne, kto, przepraszam, był za to odpowiedzialny? On sam czy też jakaś inna Wielka Figura? — W ogrodzie jego zw ątpienia, pośród rojów muszek, krzaków róży i rozpaczy bawiły się dzieci. Kroki babci, pogromcy duchów, morały. Eloen deigreken, Londyn. Upadek aniołów rozmyślał Gibril, to nie była ta sama para kaloszy co Upadek Kobiety i Mężczyzny. W przypadku ludzi chodziło o moralność. O owoc z drzewa poznania dobra i zła, którego spożywać nie mieli, a spożyli. Najpierw kobieta, a za jej namow ą mężczyzna, zdobyli zakazane normy etyczne, zaprawione atrak-cyjnym smakiem jabłek: w ąż przyniósł im system wartości. Umożliwiaj ąc im, między innymi, os ąd Samego Boga, daj ąc możliwość, we właściwym czasie, za-278

danie wszystkich tych niefortunnych pytań: dlaczego zło? Dlaczego cierpienie?Dlaczego śmierć? — Tak więc, fora ze dwora, wyszli. On chciał, aby Jego piękne stworzenia wywyższały się ponad swój stan. — Dzieci śmiały mu się w twarz: Coś dziiiwnego w s ˛

asiedztwie. Uzbrojeni w pistolety-zabawki, udawali, że chc ą go poskromić jak jakiegoś zwyczajnego podłego oszusta. Odejdźcie stamt ˛

ad —

rozkazała jakaś kobieta — kobieta schludnie ubrana, biała, rudowłosa, z szerokim pasem piegów na samym środku twarzy, jej głos był pełen wstrętu i awersji. Słyszeliście? W tej chwili! — Natomiast katastrofa aniołów była po prostu spraw ą władzy: dziecinnie łatwym fragmentem pracy nad utrzymaniem porz ądku w niebie, kar ą za bunt, dobr ą i tward ą „pour encourager les autres”. — Wobec tego jak bardzo niepewnym Samego Siebie był ten Bóg, Który nie chciał, aby Jego najpiękniejsze stworzenia odróżniały dobro od zła, i Który rz ądził terrorem, domagaj ąc się bezwzględnego posłuszeństwa nawet Swoich najbliższych współtowarzyszy, wysyłaj ąc wszystkich dysydentów do Swoich ogniem płon ących Syberii, guła-gów-piekielnych przedsionków Piekła. . . pohamował się. Były to szatańskie myśli, włożone mu do głowy przez Iblisa-Belzebuba-Szejtana. Jeżeli Byt Najwyższy wci ąż karał go za wcześniejsz ą utratę wiary, z pewności ą nie tędy droga do uzy-skania odpuszczenia grzechów. Po prostu musi dalej iść, aż, oczyszczony, poczu-je, że przywrócona mu została cała moc. Oczyszczaj ąc swój umysł siedział sobie w zapadaj ącym zmierzchu i obserwował (już z pewnej odległości) zabawę dzieci.Hip-hop-raz-dwa-trzy kto-tam-to-nie-ty nie-bo-jesteś-brudny nie-bo-jesteś-czysty, i w tym momencie, był tego pewien, jeden z chłopców poważny jedenastolatek o bardzo dużych oczach utkwił w nim wzrok: mama-mówi-żeś-królewna-z-bajki.Zmaterializowała się Rekha Merchant, cała wystrojona, cała w klejnotach. —

Chłopcy układaj ą teraz obraźliwe wierszyki o tobie, Aniele Pańskim — szydziła.— Nawet ta mała kasjerka, nawet ona nie jest specjalnie tob ą zachwycona. Wci ąż idzie źle, baba, tak to mi wygl ąda.

\* \* \*Tym razem, jednakże, duch samobójczyni Rekhi Merchant nie zjawił się tylko po to, aby kpić. Ku zdumieniu Gibrila stwierdziła, że przyłożyła rękę do jego rozlicznych cierpień: — Czy wyobrażasz sobie, że tylko ta twoja Jedyna Istota nimi szafuje? — krzyknęła. — Cóż, mój kochasiu, pozwól sobie objaśnić. — Jej przem ądrzała angielszczyzna z Bombaju boleśnie ukłuła go w serce nagł ą tęsknot ą za tym utraconym miastem, ale Rekha nie czekała, aż Gibril odzyska równowagę. —

Pamiętaj, że umarłam z miłości do ciebie, ty nieszczery pochlebco; daj mi moje prawa. W szczególności do zemsty na tobie, poprzez całkowite zepsucie ci życia.279

Człowiek musi sporo wycierpieć za spowodowanie skoku kochanki; nie uważasz?Taka jest zasada, w każdym razie. Aż dot ąd wywracałam cię na drug ą stronę, ale teraz mam po prostu dosyć. Nie zapominaj, jak dobra byłam w przebaczaniu.Również i tobie się to podobało, co? Tak więc pojawiłam się, żeby powiedzieć, że kompromis zawsze jest możliwy. Chcesz porozmawiać o tym czy też wolisz w dalszym ci ągu gubić się w tym szaleństwie, staj ąc się nie aniołem, a wykole-jeńcem, żałosnym nieporozumieniem?Gibril zapytał: — Co za kompromis?— Ha, cóżby innego? — odpowiedziała, jej zachowanie zmieniło się, stała się delikatna jak nigdy, a twarz jej promieniała. — Mój fariszto, to przecież tak niewiele.Żeby tylko powiedział, że j ą kocha:

Żeby tylko powiedział to i żeby raz w tygodniu, gdy ona przyjdzie położyć się obok niego, okazał jej swoj ą miłość:

Jeżeli podczas jednej z nocy, o terminie zadecyduje on sam, będzie mogło być tak jak kiedyś, podczas służbowych podróży człowieka od łożysk kulkowych:

„Wówczas położę kres szaleństwom miasta, którymi tak cię nękam; skończy się również twoje opętanie t ą pomylon ą myśl ą, że musisz zmienić miasto, wykupić je, jakby było zastawione w lombardzie; wszędzie będzie cicho — cichuteńko; możesz sobie nawet żyć ze swoj ą bladolic ą kobiet ą i zostać największ ą gwiazd ą filmow ą na świecie, jak mogłabym być zazdrosna, Gibrilku, skoro już umarłam, nie chcę, żebyś mówił, że jestem tak ważna w twoim życiu jak ona, nie, wystarczy mi drugorzędna miłość, pozycja dodatkowej kochanki, jak dodatkowej potrawy na stole. Co ty na to, Gibril, wystarcz ą dwa-krótkie-słówka, cóż ty na to?Daj mi czas.— Ostatecznie nie proszę cię o nic nowego, o nic, na co jeszcze nigdy dot ąd się nie zgadzałeś, czego jeszcze nie robiłeś, czemu dot ąd nie ulegałeś. Przespanie się ze zjaw ą to nie najgorsza rzecz. A ta historia na podłodze u starej pani Diamond —

w szopie na łodzie, tamtej nocy? Niezła heca, nie uważasz? A więc: jak myślisz, czyja to robota? Posłuchaj, mogę przybrać dowolny kształt, jakiego sobie tylko zażyczysz, jest to jedyna korzyść z mojego obecnego stanu. Chcesz j ą znowu, tę kobietę z epoki kamiennej, któr ą spotkałeś w szopie na łodzie? Hej, presto.A może chcesz zwierciadlane odbicie tej twojej alpinistycznej spoconej narwanej góry lodowej? To też tylko chwila, człowieczku, chłystku. Jak myślisz, któż to czekał na ciebie po śmierci starszej pani?Przez cał ą tę noc chodził ulicami miasta, które wci ąż pozostawały niezmienione, banalne, jak gdyby ponownie oddano je pod władanie praw przyrody; podczas gdy Rekha — płyn ąc przed nim na dywanie, zupełnie jak artystka na scenie, tuż nad głow ą — umilała mu czas śpiewaj ąc najsłodsze z pieśni miłosnych przygry-waj ąc sobie na starej fisharmonii o ściankach z kości słoniowej, śpiewała wszystko, pocz ąwszy od Faiz Ahmada Faiza, a skończywszy na najlepszych utworach 280

muzycznych ze starych filmów, takich jak pełna buntu aria śpiewana przez tan-cerkę Anarkali w obecności Wielkiego Mogoła Akbara w klasycznym filmie z lat pięćdziesi ątych „Mughal-e-Azam”, — w której ogłasza i opiewa swoj ą miłość do Księcia, Salima, uczucie w jej sytuacji nieprawdopodobne i zakazane, — „Pyaar kiya to darna kya?” — Co znaczy miniej więcej, dlaczego bać się miłości? i Gibril, którego zaczepiła w ogrodzie jego w ątpliwości, czuł, że muzyka ta zakłada coraz większ ą liczbę pętli na jego serce i prowadzi go wprost ku niej, ponieważ to, o co prosiła, było, w istocie rzeczy, takim drobiazgiem.Doszedł do rzeki; i do jeszcze jednej ławki, wielbł ądy z żeliwa podtrzymy-wały drewniane listwy, tuż pod Iglic ą Kleopatry. Siedz ąc, zamkn ął oczy. Rekha śpiewała Faiza:

Nie proś mnie, moja miłości,o tę miłość, któr ˛

a-żem cię kiedyś darzył. . .Jaka śliczna wci ˛

aż jesteś, moja miłości

lecz ja też jestem bezradny

ponieważ świat ma inne zmartwienia, niż miłość I inne też przyjemności.Nie proś mnie, moja miłości,o tę miłość, któr ˛

a-żem cię kiedyś darzył.Poprzez zamknięte powieki Gibril ujrzał mężczyznę: nie Faiza, lecz innego poetę, który najlepsze lata życia miał dawno za sob ą, zniedołężniałego faceta.— Tak, to było, jego imię: Baal. Cóż on tu porabia? Co ma do powiedzenia?— Ponieważ wyraźnie usiłował coś powiedzieć; jego głos, niewyraźny i ochrypły, utrudniał jednak zrozumienie. . . Każdej nowej idei, Mahoundzie, stawia się dwa pytania. Pierwsze zadaje się wtedy, gdy idea jest słaba JAKIEGO RODZAJU

IDE ˛

A JESTE ´

S? Czy należysz do tych idei, które id ˛

a na kompromis, układaj ˛

a się,przystosowuj ˛

a do społeczeństwa. Szukaj ˛

a dla siebie schronienia, aby przetrwać,czy też jesteś przekorn ˛

a i krwiożercz ˛

a myśl ˛

a, sztywn ˛

a jak kij ciężk ˛

a idiotk ˛

a, która

prędzej złamie się niż ugnie pod podmuchem wiatru? — Tym rodzajem, który najprawdopodobniej, dziewięćdziesi ˛

at dziewięć razy na sto, zostanie starty na proch; ale, za setnym razem, zmieni świat.— Jakie jest drugie pytanie? — zapytał głośno Gibril.Odpowiedz najpierw na pierwsze.

\* \* \*Gibril, otworzywszy oczy o świcie, zastał Rekhę niezdoln ą do śpiewu, uci-281

szon ą przez nadzieję i niepewność. Z miejsca postanowił dać jej za swoje. — To podstęp. Nie ma Boga prócz Boga. Nie jesteś ani Bytem, ani Jego przeciwnikiem, lecz jedynie jak ąś awanturuj ąc ą się mgiełk ą. Żadnych kompromisów, nie będę prowadził rozmów z oparami. — Zobaczył wówczas, że spadły z niej szmaragdy i brokaty, a następnie jej ciało, aż został sam szkielet, po czym i on rozsypał się w pył, w końcu dał się słyszeć żałosny rozdzieraj ący krzyk i to, co jeszcze zostało z Rekhi, odleciało ze zdruzgotan ą furi ą do słońca.I nie powróciło: aż dopiero — lub prawie — przy końcu.Przekonany, że przeszedł jak ąś próbę, Gibril uświadomił sobie, że pozbył się wielkiego ciężaru; jego nastrój ulegał poprawie z sekundy na sekundę i kiedy słońce pojawiło się na niebie, dosłownie szalał już z radości. Teraz naprawdę mogło się to zacz ąć: tyrania jego wrogów, Rekhi i Allelui Cone i wszystkich kobiet, które chciały go zwi ązać okowami poż ądania i pieśni, została przełamana na dobre; czuł teraz, że znowu z niewidocznego punktu tuż nad jego głow ą wypływa strumień światła; i ciężar jego ciała, także, był coraz mniejszy. — Tak, tracił resztki swojej ludzkiej natury, powracał doń dar latania, w miarę jak stawał się coraz bardziej eteryczny, utkany z oświetlonego powietrza. — Mógł zrobić krok naprzód, dosłownie w tej sekundzie, opuszczaj ąc poczerniał ą krawędź nabrzeża, i wznieść się wysoko ponad star ą szar ą rzekę; — albo też skoczyć z któregoś z jej mostów i nigdy już nie dotkn ąć stop ą ziemi. A więc: nadszedł czas, aby pokazać temu mia-stu wspaniały widok, ponieważ jeśli dostrzeże ono Archanioła Gibrila staj ącego w całym swym majestacie na zachodnim horyzoncie, sk ąpanego w promieniach wschodz ącego słońca, z pewności ą jego mieszkańcy okrutnie się przeraż ą i będ ą żałować za swoje grzechy.Zacz ął powiększać swoj ą osobę.Jakżeż więc zdumiewaj ące było, że z wszystkich kierowców jad ących nieprze-rwanym potokiem wzudłuż Nabrzeża — ostatecznie były to godziny szczytu —

ani jeden nie spojrzał w jego kierunku, nie mówi ąc już o zauważeniu jego obecności! Tak, zaiste był to lud, który oślepł. A ponieważ zwi ązek między ludźmi i aniołami jest niejasny — aniołowie lub mala’ika s ą zarówno zarz ądcami świata przyrody, jak i pośrednikami między Bogiem a rodzajem ludzkim, ale jednocześnie, jak Koran dobitnie stwierdza, i rzekliśmy do aniołów, b ˛

adźcie posłuszni Ada-

mowi, miało to symbolizować zdolność człowieka do panowania, dzięki jego wiedzy, nad siłami przyrody, uosobionymi przez aniołów — doprawdy niezbyt wiele mógł tu zdziałać niezauważony i rozwścieczony malak Gibril. Archaniołowie mo-g ą mówić jedynie wtedy, gdy ludzie zdecyduj ą się słuchać. Co za banda! Czyż nie on pierwszy dostrzegł Najwyższ ą-Istotę, zanim uczyniła to ta zgraja przestępców i złoczyńców? „Czy umieścisz ich na ziemi, aby siali na niej niezgodę i przelewali krew?” — zapytał wtedy, a Najwyższy, jak zwykle odpowiedział, że on wie lepiej.Cóż, oto byli oni, panowie ziemi, upakowani jak sardynki w puszkach na kółkach i ślepi jak nietoperze; ich głowy wypełnione s ą intrygami, a gazety krwi ą.282

Naprawdę trudno było w to uwierzyć. Oto pojawiła się tu niebiańska istota, pełna blasku, promienności i dobroci, większa niż Big Ben, zdolna okrakiem stan ąć na obu brzegach Tamizy, zupełnie w stylu kolosa, a te małe mróweczki w dalszym ci ągu tkwiły po uszy w programie radiowym dla kierowców i kłótniach z innymi kierowcami. — Jestem Gibril — krzykn ął głosem, który wstrz ąsn ął każdym budynkiem na obu brzegach rzeki: nikt nie zauważył. Ani jedna osoba nie wybiegła z tych trzęs ących się budowli, aby uciec przed trzęsieniem ziemi. Ślepi, głusi i pogr ążeni we śnie.Postanowił iść za ciosem.Potok samochodów płyn ął obok niego. Wzi ął potężny oddech, podniósł gigantyczn ą stopę i zrobił zamaszysty krok naprzód, aby stawić czoła samochodom.

\* \* \*Cały potłuczony, ze skór ą otart ą w wielu miejscach na ramionach i twarzy, ale pod wpływem wstrz ąsu mniej więcej w normie psychicznej, Gibril Fariszta został

odstawiony z powrotem przed drzwi Allie przez niskiego błyszcz ącego dżentelmena, który niemożliwie się j ąkał i który nie bez trudności przedstawił się jako producent Filmowy S. S. Sisodia, „znany jako Whi-whisky p-p-ponieważ nie s-

-s-stronię od k-k-kieliszka; p-proszę p-p-pani, moja w-w-wizytówka”. (Kiedy już poznali się bliżej, Sisodia często wywoływał u Allie paroksyzmy śmiechu, kiedy podci ągał sobie praw ą nogawkę spodni, obnażaj ąc kolano, i głaszcz ąc je dumnie, trzymał swoje olbrzymie okulary filmowca tuż przy skórze: — Au-au-autoportret.— W pewnym stopniu był dalekowidzem: — Nie potrzebuję szkieł, żeby ogl ądać f-film, ale n-n-normalne życie wdziera się, psiakrew, pod sam nos.) To właśnie wypożyczona limuzyna Sisodii potr ąciła Gibrila; na szczęście był to wypadek w zwolnionym tempie, wskutek korków ulicznych; aktor wyl ądował na masce samochodu, wygłaszaj ąc z patosem najstarsz ą kwestię w historii kina: Gdzie ja jestem, a Sisodia, widz ąc wciśnięte w przedni ą szybę legendarne rysy zaginionego półboga, miał ochotę odpowiedzieć: Zpo-zpo-powrotem na Swo-o-oim miejscu: na szk-szk-szklanym ekranie. — k-k-kości ma całe — powiedział Sisodia Allie.— Pra-a-awdziwy cud. Wpa-wpa-a-akował mi się wprost pod k-k-koła w-w-wo-zu.Więc wróciłeś, Allie przywitała cicho Gibrila. Wydaje się, że jest to miejsce, w którym zawsze l ˛

adujesz po upadku.— Również Scotch-i-Sisodia — producent filmowy powrócił do tematu swoich przydomków. — Ze względów hu-hu-humorystycznych. Moja ulubiona t-t-

-trucizna.283

— Bardzo to uprzejme z pana strony, że przywiózł pan Gibrila do domu —

Allie wreszcie zrozumiała przytyk. — Pozwoli pan poczęstować się drinkiem?— Ależ oczywiście! Oczywiście! — Sisodia nawet klasn ął w dłonie. — Dla mnie, dla c-c-całego h-h-hinduskiego kina jest dziś w-w-wielki dzień.

\* \* \*— Być może nie słyszałaś tej historii o paranoidalnym schizofreniku, który uważaj ąc się za Cesarza Napoleona Bonaparte, zgodził się poddać testowi z wykrywaczem kłamstw? — Alicja Cohen, jedz ąc łapczywie rolmopsy, machała przed nosem córki jednym z widelców Blooma. — Pytanie, jakie mu zadano: czy jesteś Napoleonem? A oto odpowiedź, któr ą dał, uśmiechaj ąc się złośliwie, bez wahania: Nie. Patrz ą wiec na maszynę, która z cała przenikliwości ą współczesnej nauki pokazuje, że wariat kłamie. — Znowu Blake, pomyślała Allie. Wtedy za-pytałem: czy mocne przekonanie o tym, że rzecz jest taka, a nie inna, powoduje zaistnienie tej własności? On — tj. Izajasz — odpowiedział. Wszyscy poeci byli przekonani, że tak się dzieje. I w epokach wyobraźni to mocne przekonanie prze-nosiło góry; lecz wielu nie stać na głębokie przekonanie. — Słuchasz mnie, młoda damo? Mówię teraz poważnie. Ten dżentelmen, którego masz u siebie w łóżku: jemu nie s ą potrzebne twoje conocne zaloty — wybacz, powiem wprost, bo widzę, że to konieczne — ale, szczerze mówi ąc, szpitalna cela dla wariatów.

— Ty byś to zrobiła, niew ątpliwie. — Allie nie pozostała dłużna. — Potem wyrzuciłabyś klucz. Być może nawet podł ączyła go do pr ądu. Wypalić diabła z jego mózgu: dziwne, jak nasze uprzedzenia wcale się nie zmieniaj ą.— Hmm — Alicja przemyśliwała sprawę, jednocześnie przybieraj ąc swój najbardziej nieprzytomny i najniewinniejszy wyraz twarzy, aby rozłościć córkę. —

W czym to może zaszkodzić? Tak, może niezbyt duże napięcie, mała dawka pr ą-du. . .— Dostaje to, czego potrzebuje, mamo. Właściwa opieka lekarska, mnóstwo odpoczynku i coś, o czym być może już zapomniałaś. — Zaniemówiła nagle, jej język zasupłał się i już zupełnie innym, niskim głosem, wpatruj ąc się w swoj ą nietknięt ą sałatkę, wydobyła z siebie to ostatnie słowo. — Miłość.— Ach tak, ta potęga miłości — Alicja poklepała córkę po dłoni (która od razu została cofnięta). — Nie, tego nie zapomniałam, Allelujo. Jest to coś, czego właśnie zaczęłaś się uczyć po raz pierwszy w swoim pięknym życiu. I kogo to wybierasz? — Wznowiła swój atak. — Biegacza-z-obiadami! Dziewięćdziesi ąt-pensów-zamiast-funta! Faceta-z-motylami-w-mózgownicy! Chciałam powiedzieć anioła, kochanie, nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Mężczyźni zawsze 284

roszcz ą sobie prawa do specjalnych przywilejów, ale ten pobił wszystkich.— Mamo. . . — zaczęła Allie, jednak nastrój Alicji znowu się zmienił, i tym razem, kiedy odezwała się ponownie, Allie nie przysłuchiwała się już słowom, gdyż dotarł do niej ból, które słowa te zarazem ujawniały i ukrywały, ból kobiety, któr ą historia potraktowała jak najbardziej brutalnie, która straciła już męża i do-czekała się tego, że jej starsza córka zrobiła jej coś, co kiedyś, z niezapomnianym czarnym humorem, nazwała falstartem w wyścigu przez Styks (musiała chyba czytać kolumny sportowe w czasopismach, żeby natkn ąć się na to określenie). —

Allie, moja kochana — powiedziała Alicja Cohen — będziemy musieli bardzo na ciebie uważać.Allie była w stanie dostrzec ten wyraz paniki-udręki na twarzy swojej matki między innymi dlatego, że niedawno zauważyła tę sam ą kombinację rysów u Gibrila Fariszty. Kiedy Sisodia pozostawił go pod jej opiek ą, stało się jasne, że coś musiało wstrz ąsn ąć Gibrilem do głębi, miał wygl ąd człowieka tak przerażonego i tak zszokowanego swoj ą wewnętrzn ą ran ą, że widok ten wprost rozdzierał jej serce. Fakt swojej choroby psychicznej Gibril przyj ął z odwag ą, nie chciał go po-mniejszać, ani ukrywać pod jak ąś fałszyw ą nazw ą, ale uświadomienie sobie tej niemocy przeraziło go, co całkiem zrozumiałe. Nie był już (przynajmniej na razie) tym porywczym parweniuszem, który wzbudził w niej „wielk ą namiętność”i stał się teraz dla niej, w tym nowym wcieleniu osoby narażonej na niebezpie-czefistwo, o wiele droższy niż kiedykolwiek przedtem. Postanowiła doprowadzić go z powrotem do zdrowia psychicznego, wytrzymać do końca i zdobyć swój szczyt. A był Gibril obecnie najłatwiejszym i najbardziej posłusznym z pacjentów, do pewnego stopnia otumaniony silnymi lekami przepisanymi przez specjalistów ze szpitala Maudsley, spał całymi godzinami, a między jednym snem a drugim bez najmniejszego sprzeciwu spełniał wszystkie jej polecenia. W momentach pełnej świadomości wyjaśnił jej wszystkie szczegóły dotycz ące choroby: dziwne serie marzeń sennych, a jeszcze przed nimi niemal-śmierteln ą utratę zdrowia w Indii.— Nie boję się już snu — powiedział jej. — Ponieważ to, co przydarza mi się na jawie, jest obecnie o wiele gorsze. — Jego największy lęk przypominał jej Karola II, który, odzyskawszy już tron, zawsze czuł strach, przed ponownym wysłaniem

„w swoj ą drogę”: — Dałbym wszystko za pewność, że to więcej już mi się nie przydarzy — powiedział jej, potulny jak baranek.Czy jest ktoś taki, kto kocha swój ból? — To się nie powtórzy — uspokajała go. — Masz najlepsz ą opiekę, jak ą można zdobyć. — Wypytał j ą o pieni ądze, i kiedy próbowała zmienić temat, zacz ął nalegać, żeby potr ąciła koszty leczenia psychiatrycznego z małej fortunki, jak ą schował na później w swoim pasie na pieni ądze. Był w dalszym ci ągu przygnębiony. — Możesz mówić, co chcesz —

wymamrotał w odpowiedzi na jej optymistyczne i wesołe uwagi. — Szaleństwo tkwi tutaj i wprost drętwieję cały, kiedy pomyślę, że może wydostać się na ze-wn ątrz lada chwila, dosłownie teraz, i że on znowu przejmie kontrolę. — Zacz ął

285

określać „anielsk ą”, „opętan ą” część własnego ja jako drug ą osobę: prawdziwie Beckettowska formuła, Nie ja. On. Jego jak najbardziej własny Mr. Hyde. Allie próbowała wyperswadować mu taki opis. — To wcale nie on, to ty, a kiedy wrócisz do zdrowia, nie będzie już tamtego ciebie.Bez skutku. Przez jakiś czas jednak wygl ądało na to, że leczenie przyniesie efekty. Gibril wydawał się spokojniejszy, bardziej opanowany; sny w odcinkach jednak wci ąż się pojawiały — wci ąż mówił, w nocy, wiersze po arabsku, w języku, którego nie znał: tilk al-ghara-niq al’ula wa inna shafa’ ta-hunna la-turtadża, na przykład, co, jak okazało się, oznacza (Allie, obudzona jego mówieniem przez sen, zapisała to fonetycznie i ze swoim skrawkiem papieru poszła do meczetu w Brickhall, gdzie jej recytacja spowodowała, że włosy mułły stanęły dęba pod turbanem na jego głowie): — S ą to wysoko postawione niewiasty i ich wstawiennictwo jest poż ądane — ale zdawało się, że Gibril uważa te nocne występy za nie zwi ązane z sob ą samym, co dla Allie i psychiatrów ze szpitala Maudsley było dowodem na to, że Gibril powoli odbudowuje mur dziel ący marzenia senne od rzeczywistości i że jest na najlepszej drodze do odzyskania zdrowia; w rzeczy samej, jak się okazało, to rozdzielenie było powi ązane, było nawet tym samym zjawiskiem, co podział jego świadomości samego siebie na dwa osobne byty, z których jeden Gibril usiłował bohatersko zdusić, lecz który, poprzez podkreśle-nie odmienności od właściwego Gibrila, przetrwał, wci ąż karmiony i potajemnie wzmacniany.Jeśli chodzi o Allie, pozbyła się, przynajmniej chwilowo, kłuj ącego mylne-go odczucia, że została zrzucona w jakieś nieprawdziwe otoczenie, jakieś nieznane sobie opowiadanie; zajmuj ąc się Gibrilem, inwestuj ąc w jego mózg, i jak tłumaczyła to samej sobie, walcz ąc o uratowanie go, aby mogli podj ąć na nowo wielk ą, ekscytuj ąc ą walkę swojej miłości — ponieważ prawdopodobnie będ ą się już sprzeczać aż do samej śmierci, dumała sobie wyrozumiale, będ ą dwojgiem starych dziwaków, okładaj ących się nieudolnie po głowach zwiniętymi gazetami, kiedy tak będ ą sobie siedzieli na wieczornej werandzie o zmierzchu swojego życia

— z każdym dniem czuła się coraz ściślej z nim zwi ązana; zakorzeniona, można powiedzieć, w jego ziemi. Sporo już czasu upłynęło od chwili, kiedy widziała Maurice’a Wilsona siedz ącego na dachu wśród kominów i przywołuj ącego j ą ku śmierci.

\* \* \*Pan „Whisky” Sisodia, to błyszcz ące, pełne uroku kolano w okularach, stał

się częstym gościem — trzy lub cztery wizyty w tygodniu — podczas rekonwale-286

scencji Gibrila, niezmiennie przywoż ącym ze sob ą pudełka pełne łakoci. Podczas swojego „anielskiego okresu” Gibril zagłodził się niemal na śmierć i zdaniem lekarzy to wygłodzenie w niemałym stopniu przyczyniło się do jego halucynacji.— Więc teraz u-u-utuczymy go — Sisodia klasn ął w dłonie i skoro tylko żoł ądek chorego był gotów sprostać temu zadaniu, „Whisky” zacz ął wpychać w niego przysmaki: chińsk ą słodk ą kukurydzę i zupę z kurczaka, bombajskie placki bhel-

-puri, zakupione w nowej eleganckiej restauracji na nieszczęście nazwanej „Pagal Khana”, której „Wariackie jedzenie” (chociaż nazwę tę można by również przetłumaczyć jako „Dom Wariatów”) stało się bardzo popularne, szczególnie wśród młodych brytyjskich Azjatów, i zaczęło nawet podważać wieloletni prymat kawiarni Shaandaar, w której Sisodia, nie chc ąc okazać się gorsz ąco stronniczym, także kupował jedzenie, słodycze, samosa, kurczaka patti — dla coraz bardziej nienasyconego Gibrila. Przywoził również potrawy, które sam przygotował, ry-by w curry, chłodniki raita, danie siwajjan, ryż khir, a następnie sk ąpo rozdzielał, oprócz żywności, opowiadania o uroczystych kolacjach z udziałem znakomitych osobistości, które miały świadczyć o jego z nimi zażyłych stosunkach: jak Pa-varotti uwielbiał napój chłodz ący lassi przyrz ądzony przez Whisky’ego, i Och, jakżeż ten biedny James Mason przepadał za jego ostro przyprawionymi krewet-kami. Vanessa, Amitabh, Dustin, Sridevi, Christopher Reeve, wszyscy oni zostali również przywołani. — S-s-supergwiazda powinna orientować się w g-gustach swoich k-k-kolegów. — Sam Sisodia był czymś w rodzaju chodz ącej legendy, tyle Allie dowiedziała się od Gibrila. Ten najbardziej przebiegły i elokwentny spośród producentów filmowych zrobił cały szereg „cenionych” filmów przy zupełnie mi-kroskopijnym budżecie, przez dwadzieścia lat bazuj ąc wył ącznie na osobistym uroku i nieustannej krz ątaninie. Bywały trudności z płaceniem ekipie, ale nikomu to jakoś nie przeszkadzało. Stłumił pewnego razu bunt obsady któregoś z filmów

— oczywiście bunt wywołany kwestiami płacowymi, jakże by inaczej — zabieraj ąc cały zespół na wielki piknik w jednym z najsłynniejszych pałaców maharadży w Indii, miejscu, które na co dzień dostępne jest jedynie dla elity wysokourodzo-nych, ksi ąż ąt z Gwalijaru, Dżajpuru i Kaszmiru. Nikt nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób udało mu się to załatwić, ale większość członków tamtego zespołu zawsze już chętnie zgadzała się pracować przy dalszych filmach Sisodii, kwestia finansów znikała odsunięta na dalszy plan przez wspaniałomyślność takich gestów. — A kiedy jest komuś naprawdę potrzebny, natychmiast staje na wysokości zadania — dodał Gibril. — Kiedy Czarulata, cudowna aktorka-tancerka, któr ą często zatrudniał, potrzebowała pieniędzy na leczenia raka, nagle z dnia na dzień zmaterializowały się całe lata nie zapłaconych honorariów.Obecnie, dzięki całej serii zadziwiaj ących kasowych przebojów filmowych, opartych na kompendium Katha-Sarit-Sagar — „Ocean Strumieni Opowieści”, dłuższych od Tysi ąca i jednej nocy i równie jak one dziwacznych, Sisodia nie działał już tylko i wył ącznie ze swojego małego biura na bombajskiej ulicy Ready-287

money Terrace, ale miał apartamenty w Londynie i Nowym Jorku, a w szafkach Oskary. Mówiono o nim, że nosi w portfelu fotografię mieszkaj ącego w Hong Kongu producenta filmów kung-fuj, Run Run Shawa, jego domniemanego bohatera, którego imienia absolutnie nie był w stanie wymówić. — Czasami wychodz ą cztery Runy, a kiedy indziej szóstka — opowiadał Gibril Allie, która była szczęśliwa, że widzi go śmiej ącego się. — Ale nie mógłbym przysi ąc. To tylko plotki z gazet i telewizji.Allie była wdzięczna za uprzejmość Sisodii. Słynny producent wydawał się dysponować nieograniczonym czasem, w momencie, kiedy harmonogram zajęć Allie znacznie się zwiększył. Podpisała kontrakt promocyjny z gigantyczn ą sieci ą sklepów sprzedaj ących mrożonki, której agent reklamowy, pan Hal Valance, powiedział Allie przy śniadaniu otwieraj ącym ich współpracę — grejpfruty, sucha grzanka, kawa bez kofeiny, wszystko to po niebotycznych cenach — że jej sylwetka, „ł ącz ąc w sobie pozytywne parametry (dla naszego klienta) chłodu i opanowania jest właśnie odpowiednia. Niektóre gwiazdy funkcjonuj ą jak wampiry, odci ągaj ąc uwagę od nazwy firmy, ale to zapowiada się na prawdziw ą synergię”.A więc nast ąpiły teraz uroczyste, z przecinaniem wstęgi otwarcia ośrodków han-dluj ących chłodniami, i konferencje omawiaj ące politykę działów handlowych, i zdjęcia reklamowe z wannami pełnymi lodów, a dodatkowo regularne spotkania z projektantami i producentami, przygotowuj ącymi jej reklamy sprzętu turystycz-nego i odzieży; oraz, oczywiście, musiało się znaleźć miejsce na ćwiczenia spraw-nościowe. Zapisała się na bardzo przez wszystkich polecany kurs walk Wschodu prowadzony przez pana Joshiego w miejscowym centrum sportowym i w dalszym ci ągu przebiegała pięć mil dziennie wokół parku Fields, pomimo bólu stóp jak-gdyby-biegała-boso-po-rozbitym-szkle. — Nie ma p-p-pro-blemu — Sisodia odsyłał j ą do jej zajęć pogodnym machnięciem ręki. — Zo-zo-zostanę tutaj tylko do p-p-pani powrotu. Przebywanie z Gi-i-ibrilem jest dla mnie za-za-zaszczytem.— Wychodz ąc zostawiała go usypiaj ącego Farisztę jak zwykle niewyczerpanym zasobem anegdot, opinii i ploteczek, a kiedy wracała, wci ąż trzymał się dzielnie.Powoli ustaliła kilka głównych tematów, a w szczególności zbiór jego wypowiedzi o Kłopocie Z Anglikami. — Kłopot z An-an-anglikami po-po-lega na tym, że ich hi-hi-historia dzi-działa się za morzami, więc n-n-nie wiedz ą, co ona nanaprawdę z-znaczy. — Ta-ta-tajemnica u-u-udanego przyjęcia w Londynie p-polega na prze-e-ewadze liczebnej n-n-nie-Anglików. Jeżeli jest ich mniej, zazachowuj ą się popoprawnie, w przeciwnym razie jesteś w k-k-kłopocie. — Idź do Ga-Ga-Gabinetu Okropności i zobaczysz, czego b-b-brakuje Anglikom. To, co nanaprawdę lubi ą, t-t-trupy w w-w-wannach krwi, f-f-fryzjerzy-sza-leńcy, it-it-takdalej. Ich gag-gazety pełne zbo-bo-boczonego seksu i śmierci. Ale mówi ą św-światu, że zazachowuj ą się z rezerw ą, s ą t-t-twardzi i tak dalej, a my jejesteśmy na t-t-tyle głupi, żeby w to uwierzyć. — Gibril przysłuchiwał się tej litanii uprzedzeń z tak ą min ą, jakby całkowicie się z nimi zgadzał, co niezmiernie rozdrażniło Allie. Czy 288

ich obraz Anglii naprawdę ograniczał się do tych uogólnień? — Nie — przyznał

Sisodia, bezczelnie się uśmiechaj ąc. — Ale cz-cz-czło-wiek cz-czuje się lepiej, k-k-kiedy to z siebie wyrzuci.Do czasu, kiedy specjaliści z Maudsley uznali, że mog ą zalecić zasadnicz ą re-dukcję dawek przyjmowanych przez Gibrila, Sisodia zdołał utkn ąć na dobre przy jego łóżku, do tego stopnia staj ąc się kimś w rodzaju nieoficjalnego ekscentrycz-nego i zabawnego, pełnego energii kuzyna, że kiedy uruchomił swoj ą pułapkę, Gibril i Allie byli kompletnie zaskoczeni.

\* \* \*Był w kontakcie ze swoimi kolegami z Bombaju: siedmioma producentami, których Gibril pozostawił własnemu losowi, kiedy wsiadł do samolotu Air India Lot Nr 420, Bustan. — Na wiadomość o tym, że ż-żyjesz wszyscy bab-bardzo się u-u-ucieszyli — poinformował Gibrila. — N-nie-niestety, pojawia się k-k-kwestia zerwania kontraktu. — Również różne inne osoby s ą zainteresowane zaskarże-niem Fariszty o duże sumy, a zwłaszcza gwiazdka o nazwisku Pimple Billimoria, która twierdzi, że poniosła straty finansowe, a także zawodowe. — To może kosz-tować dziesi ątki milionów rupii — rzekł ponuro Sisodia. Allie była wściekła. —

Poruszył pan to gniazdo os — powiedziała. — Dałam się wywieść w pole: to było zbyt piękne, żeby było prawdziwe.Sisodia wyraźnie się zdenerwował. — Ch-cholera ch-cholera ch-cholera.— Tu s ą damy — ostrzegł Gibril, wci ąż jeszcze był trochę otumaniony narkotykami, ale Sisodia zacz ął machać ramionami jak wiatrak, daj ąc tym samym znak, że próbuje przecisn ąć słowa poprzez zbyt wzburzone zęby. No i nareszcie:

— Ograniczyć straty. Moim zamiarem. Nie zdrada, nie w-wolno wam tak m-m-

-myśleć.Według Sisodii, nikt tam w Bombaju nie zamierzał tak naprawdę skarżyć Gibrila o odszkodowanie, zabijać w s ądzie tę kwokę, która znosi złote jaja. Wszyscy zainteresowani zgodzili się, że prac nad tymi przerwanymi filmami nie da się już wznowić: aktorzy, reżyserzy, najważniejsi członkowie zespołów, a nawet plany filmowe, na których można by kręcić, wszystko to było wykorzystane w innych filmach. Następnie wszystkie strony uznały, że powrót Gibrila ze świata zmarłych jest elementem daleko bardziej istotnym handlowo niż każdy z tych świętej pamięci tytułów filmowych; pozostawał tylko problem jak spożytkować ten element, by odbyło się to z jak największ ą korzyści ą dla wszystkich zainteresowanych. To, że ostatecznie wyl ądował w Londynie, również sugerowało możliwość międzynarodowych powi ązań, być może zagranicznego finansowania, wykorzy-289

stania do kręcenia zdjęć miejsc poza Indi ą, udział gwiazd „zagranicznych” itd.: krótko mówi ąc, nadszedł już czas, aby Gibril porzucił swoje odosobienie i stan ął

ponownie twarz ą w twarz z kamer ą. — Nie ma innego w-w-wyjścia — wyjaśnił

Sisodia Gibrilowi, który usiadł w łóżku próbuj ąc pozbierać myśli. — Jeżeli od-mówisz, wszyscy rusz ą przeciw tobie jak jeden m ˛

aż, i nawet twój ma-ma-maj ątek

na niewiele się zda. Bankructwo, w-w-więzienie, ruina.Sisodia przekonał zainteresowanych, żeby to jemu właśnie powierzyć kierownictwo realizacji projektu. Wszyscy mandatariusze zgodzili się przekazać mu swoje pełnomocnictwo w tej sprawie, no i tym razem udało mu się ułożyć niezły plan. Brytyjski impresario Billy Battuta miał wielk ą ochotę zainwestować, zarówno w funtach szterlingach, jak i „zablokowanych rupiach” — zyskach osi ągniętych na subkontynencie indyjskim przez różnych brytyjskich dystrybutorów filmowych, których to zysków nie wolno było wywieźć z Indii, a które Battuta przej ął płac ąc w zbywalnych walutach po maksymalnie obniżonych stawkach (trzydziestosiedmiopunktowy rabat). Wszyscy hinduscy producenci dadz ą swój wkład finansowy, a panna Pimple Billimoria, aby pozbawić j ą chęci zgłaszania roszczeń, zostanie obsadzona w widowiskowej roli, co prawda nie głównej, ale takiej, która przewidywałaby przynajmniej dwa numery taneczne. Zdjęcia będ ą kręcone na trzech kontynentach — Europa, Indie, wybrzeże Afryki Północnej.Nazwisko Gibrila ma być umieszczone na afiszach przed tytułem filmu, a on sam ma otrzymać trzy procent od zysków netto producentów filmu. . . — Dziesięć

— przerwał Gibril — zamiast dwóch od wpływów brutto. — Najwyraźniej je-go umysł odzyskiwał swoj ą sprawność. Sisodia nie mrugn ął okiem. — Dziesięć zamiast dwóch — zgodził się. — Kampania reklamowa ma wygl ądać n-na-następuj ąco. . .— Ale cóż to za projekt? — dopytywała się Allie Cone. Pan „Whisky” Sisodia rozpromienił się od ucha do ucha — Szanowna p-p-pani — odparł. — Będzie grał

archanioła, Gibrila.

\* \* \*Propozycja dotyczyła serii filmów, zarówno historycznych, jak i współczesnych, każdy z nich miał koncentrować się na jednym wydarzeniu z długiej i znakomitej kariery anioła: co najmniej trylogia. — Chyba nie powie mi pan — ci ągnęła Allie, przedrzeźniaj ąc tę mał ą lśni ąc ą ważn ą osobistość. — Gibril w Dżahilijji, Gibril spotyka Imama, Gibril z Motylow ˛

a Dziewczyn ˛

a. — Sisodia nie był

ani trochę zakłopotany, natomiast z dum ą kiwał głow ą. — W-w-w ątki, projekty scenariuszy, w-warianty obsady s ą już roz-rozważone. — Tego było już za wiele 290

dla Allie. — To jest obrzydliwe — wściekła się na niego, a on cofn ął nieco swoje drż ące i przepraszaj ące kolano, aż w końcu zaczęła go gonić po całym mieszkaniu, wpadaj ąc na meble, trzaskaj ąc drzwiami. — To jest wykorzystywanie jego choroby, nie ma to nic wspólnego z jego obecnymi potrzebami i okazuje całkowite lekceważenie jego własnym intencjom. On się wycofał z życia zawodowego; czy wy, ludzie, nie możecie tego uszanować? On nie chce być gwiazd ą. I proszę, niech pan wreszcie się zatrzyma. Nie zjem pana.Stan ął, ale roztropnie, za sof ą. — Proszę, niech pani zrozumie, że to jest w-

-w-waż-ważne, krzykn ął, w zdenerowaniu j ąkaj ąc się jeszcze bardziej. — Czy k-k-księżyc może się wycofać? A poza tym, proszę wybaczyć, ale istnieje tych siedem pod-pod-pod. Podpisów. To go absolutnie oddaje w ich ręce. Chyba, że chce pani go oddać do pa-pa-pa. — Zrezygnował, zlany potem.— Co takiego?— Pagal Khana. Szpital psychiatryczny. To byłoby to drugie w-w-wyjście.Allie podniosła ciężki mosiężny kałamarz w kształcie Mount Everestu i przygotowała się do rzutu.— Jest pan prawdziwym łajdakiem — zaczęła, ale wtedy Gibril stan ął

w drzwiach, wci ąż bardzo blady, kościsty i o zapadniętych oczach. — Alleluja

— powiedział. — Tak się zastanawiam, może ja jednak tego potrzebuję. Może powinienem wrócić do pracy.

\* \* \*— Gibrilu, sahibie! Nie umiem wprost powiedzieć, jak się cieszę. Gwiazda narodziła się na nowo. — Billy Battuta zaskoczył ich: nie był już tym lwem z kolumn życia towarzyskiego z-żelem-we-włosach-i-pierścionkami-na-palcach; na sobie miał nie rzucaj ąc ą się w oczy kurtkę z mosiężnymi guzikami i granatowe dżinsy, a w miejsce pewnej siebie fanfaronady, której Allie się spodziewała, pojawiła się sympatyczna, niemal uległa, małomówność. Zapuścił krótk ą, wypielę-gnowan ą bródkę, która spowodowała, że stał się uderzaj ąco podobny do Chrystusa z Całunu Turyńskiego. Witaj ąc cał ą trójkę (Sisodia przyjechał po nich swoj ą limuzyn ą, a kierowca Nigel, elegancik z wyspy St. Lucia, przez cał ą drogę opowiadał

Gibrilowi, jak wielu pieszych zawdzięcza swoje ocalenie od ran lub śmierci jego błyskawicznemu refleksowi, od czasu do czasu akcentuj ąc te wspomnienia roz-mowami przez samochodowy telefon, w których to rozmowach omawiano tajemnicze transakcje dotycz ące zdumiewaj ących sum pieniężnych), Billy ciepło uścisn ął dłoń Allie, a następnie rzucił się na Gibrila i porwał go w ramiona w przypływie czystej, zaraźliwej radości. Jego towarzyszka, Mimi Mamoulian, była o wiele 291

mniej opanowana. — Wszystko jest załatwione — ogłosiła. — Owoce, gwiazdki, reporterzy, wywiady telewizyjne, plotki, wzmianki o skandalach: wszystko, czego postać o sławie światowej może wymagać. Kwiaty, ochrona, kontrakty na tryliony funtów. — Rozgośćcie się. Czujcie się jak u siebie w domu.O to w zasadzie chodziło, pomyślała Allie. Jej pocz ątkowy sprzeciw wobec całego projektu musiał ust ąpić wobec zainteresowania samego Gibrila, co z kolei skłoniło lekarzy do wyrażenia zgody, uważali bowiem, że jego powrót do znanego środowiska — niejako przecież, powrót do domu — naprawdę może wywrzeć dobroczynny wpływ. A to, że Sisodia ukradł historie z marzeń sennych, o których usłyszał przy łóżku Gibrila, może okazać się zbawienne: skoro już historie te zostan ą wyraźnie umieszczone w sztucznym, wymyślonym świecie kina, powinno wówczas być łatwiej Gibrilowi odbierać je jako fantazje. Ten Mur Berliński między stanem widzenia marzeń sennych a jaw ą mógłby w rezultacie zostać o wiele szybciej wzniesiony. Ostateczny werdykt stwierdzał, że warto spróbować.Rzeczy (ponieważ s ą rzeczami) nie poszły po ich myśli. Allie czuła oburzenie z powodu przejęcia kontroli nad życiem Gibrila przez Sisodię, Battutę i Mimi, w tym również objęcia przez nich opieki nad jego ubraniami i rozkładem zajęć, oburzało j ą też i to, że wyprowadzili go z jej mieszkania, oświadczaj ąc przy tym, że nie nadszedł jeszcze czas na „trwały zwi ązek”, że psuje to jego „pozytywny image”. Po oszczędnym okresie u Ritza, Gibril otrzymał trzy pokoje w przepast-nym i elegancko urz ądzonym mieszkaniu Sisodii w starym domu przy Grosvenor Square, wszędzie art deco, marmurowe podłogi, stonowane kolory na ścianach.Najbardziej ze wszystkiego złościła Allie pasywność, z jak ą Gibril przyjmował te wszystkie zmiany i powoli zaczynała rozumieć, jak wielki krok zrobił wtedy, kiedy porzucił to wszystko, co najwyraźniej stanowiło jego drug ą naturę, i kiedy udał

się na jej poszukiwania. Teraz, gdy ponownie pogr ążał się w świecie uzbrojonych goryli i pokojówek ze śniadaniem na tacy i chichotami, czy porzuci j ą równie dramatycznie, jak wcześniej wszedł w jej życie? Czyżby ona sama przyłożyła rękę do przeprowadzenia jego podróży w odwrotnym kierunku, podróży, która j ą sam ą zepchnie na mieliznę? Gibril patrzył na ni ą z gazet, czasopism, odbiorników telewizyjnych, z wieloma różnymi kobietami uczepionymi jego ramienia, szczerz ąc zęby w głupim uśmiechu. Nie cierpiała tego, ale on nie chciał zauważyć jej wstrętu. — Czym się przejmujesz? — zbywał j ą, zapadaj ąc głęboko w pokryt ą skór ą sofę wielkości furgonetki. — To tylko okazja do reklamy: biznes, i to wszystko.Najgorsze ze wszystkiego: on stał się zazdrosny. Kiedy przestał brać silnie działaj ące lekarstwa i kiedy jego praca (a również jej) zaczęła wymuszać na nich okresy rozł ąki, znowu opanowała go irracjonalna nie-kontrolowana podejrz-liwość, która wywołała tę śmieszn ą kłótnię z powodu rysunków Brunela. Kiedykolwiek się spotykali, poddawał j ą surowemu i dokładnemu przesłuchaniu: gdzie 292

była, kogo widziała, a co on robił, czy ona go do tego nie prowokowała? Czuła, że się dusi. Jego choroba psychiczna, nowe pr ądy w jego życiu, a teraz ta conocna kuracja trzeciego stopnia: było to tak, jak gdyby jej prawdziwe życie, to, którego pragnęła, to, w którym tkwiła i o które walczyła, pogr ążało się coraz głębiej pod lawin ą fałszywych posunięć. A co z moimi potrzebami — chciało jej się krzyczeć

— kiedy to ja będę ustalała warunki? Doprowadzona niemal do utraty kontroli nad sob ą, zwróciła się z prośb ą o poradę do swojej matki, jako ostatniej deski ratunku. W starym gabinecie ojca w domu przy Moscow Road — w którym Alicja utrzymywała wszystko jak to Otto lubił, z wyj ątkiem zasłon, które obecnie były odsunięte, żeby wpuścić do środka tyle światła, na ile Anglię było stać, i wazonów z kwiatami w ważniejszych punktach — Alicja pocz ątkowo nie ofiarowała jej nic oprócz uwag osoby zmęczonej światem. — Tak więc plany życiowe kobiety zostaj ą stłumione przez plany mężczyzny — powiedziała nie bez życzliwości.— Witaj więc wśród swojego rodzaju. Widzę, że dziwnie się czujesz pozbawiona kontroli. — I Allie przyznała się: chciała go rzucić, ale stwierdziła, że nie potrafi. Nie tylko z powodu poczucia winy, że porzuca poważnie cierpi ąc ą osobę, ale również z powodu „wielkiej namiętności”, z powodu tego słowa, które nadal usztywniało jej język, kiedy próbowała je wypowiedzieć. — Chcesz jego dziecka — Alicja nazwała rzecz po imieniu. Pocz ątkowo Allie wybuchła gniewem:

— Chcę swojego dziecka — ale później, uspokajaj ąc się nagle i wycieraj ąc nos, kiwnęła bez słowa głow ą, a oczy miała pełne łez.— Musisz dać sobie głowę do zbadania, ot, co — pocieszyła j ą Alicja. Jak dawno już nie obejmowały się tak jak teraz? Zbyt dawno. A może to być ostatni raz. . . Alicja trzymała córkę w objęciach. — No, już dobrze. Wytrzyj oczy. Teraz kolej na dobr ą wiadomość. Twoje sprawy mog ą rozlecieć się na strzępy, ale twoja stara matka jest w lepszej formie.Chodziło o profesora amerykańskiego uniwersytetu, niejakiego Bońka, grub ą rybę w inżynierii genetycznej. — Tylko nie zaczynaj, kochana, nic nie wiesz, to wszystko to wcale nie Frankenstein i o rany, co to takiego, ma to wiele ko-rzystnych zastosowań — Alicja mówiła z widocznym zdenerwowaniem, i Allie, przezwyciężaj ąc swoje zaskoczenie i swoje czerwonookie poczucie nieszczęścia, wybuchnęła konwulsyjnym i wyzwalaj ącym śmiechem, aż się od niego zanosz ąc, a do niej przył ączyła się jej matka. — W twoim wieku — Allie aż płakała — powinnaś się wstydzić. — A właśnie, że się nie wstydzę — odpowiedziała przyszła pani Boniek. — Profesor, i to w Standford w Kalifornii, a więc wnosi w mo-je życie i promyki słońca. Zamierzam spędzać wiele godzin pracuj ąc nad swoj ą opalenizn ą.293

\* \* \*

Kiedy Allie odkryła (raport znaleziony przypadkowo w szufladzie biurka w pałacu Sisodii), że Gibril wynaj ął agentów, którzy mieli j ą śledzić, zerwała z nim w końcu. Napisała na karteczce — To mnie zabija — wsunęła j ą do raportu, który położyła na wierzchu; i wyszła bez słowa pożegnania. Gibril ani razu do niej nie zadzwonił. W tym czasie odbywał próby przed swoim wielkim publicznym powrotem; miał wyst ąpić w ostatnim z całej ciesz ącej się wielkim powodzeniem serii przedstawień, ł ącz ących śpiew-i-taniec, w którym miały się zaprezentować gwiazdy hinduskiego filmu, a przedstawienie wystawiał jeden z teatrów Billy’ego Battuty na Earls Court. Gibril miał wyst ąpić jako nie zapowiedziana gwiazda-z-

-czołówki-afisza, absolutna-niespodzianka, aktor otrzymuj ący owacje na stoj ąco po każdym numerze, całymi tygodniami ćwiczył więc kroki taneczne z zespołem tancerek rewiowych: musiał również przypomnieć sobie technikę poruszania ustami do muzyki z playbacku. Plotki na temat tożsamości Tajemniczego Człowieka lub Czarnej Gwiazdy puszczali w obieg z aptekarsk ą dokładności ą i monitorowali specjaliści od promocji Billy’ego Battuty. Wynajęto również agencję reklamow ą Valance’a, aby przygotowała serię reklam radiowych oraz lokaln ą kampanię czter-dziestoośmioarkuszowych plakatów. Zamierzano uczynić z przybycia Gibrila na scenę na Earls Court — miał zostać tam spuszczony z nadscenia w otoczeniu chmur z tektury i dymu — kulminacyjny punkt angielskiego etapu jego powrotu do gwiazdorstwa; następny przystanek Bombaj. Opuszczony, jak to nazywał, przez Alleluję Cone, ponownie „odmówił płaszczenia się” i rzucił się w wir pracy.Następnym problemem w przygotowaniach było aresztowanie Billy’ego Battuty w Nowym Jorku za jego szatańskie oszustwo. Allie, przeczytawszy o tym w niedzielnej gazecie, schowała do kieszeni swoj ą dumę i zadzwoniła do Gibrila, który był na próbach, aby ostrzec go przed zadawaniem się z takim jawnie kry-minalnym elementem. — Battuta to gangster — utrzymywała. — Ten cały jego sposób zachowania był przedstawieniem, był udawany. Chciał być pewien, że uda się mu ten numer z majętnymi wdowami Manhattanu, a więc wypróbował swoje wrażenie na nas. Ta bródka! I kurtka uniwersytecka, na Boga: jak mogliśmy dać się na to nabrać? — Ale Gibril był chłodny i zamknięty w sobie; w jego rejestrach figurowała jako ta, która zostawiła go na lodzie, a nie miał zamiaru przyjmować rad od dezerterów. A poza tym, Sisodia i promocyjny zespół Battuty zapewnili go — a wypytał ich o to jak w śledztwie — że problemy Battuty nie maj ą żadnego zwi ązku z wieczorem galowym (Filmmela, oto jak go nazwano) ponieważ stan finansów przygotowawczych był w dalszym ci ągu solidny, pieni ądze na ho-noraria i gwarancje zostały już wyasygnowane, wszystkie gwiazdy z Bombaju potwierdziły przylot i swój udział zgodnie z planem. — Wszystkie p-p-przygoto-294

wania zbliżaj ą się już do końca. — obiecywał Sisodia — P-przedstawienie musi się odbyć.Kolejny problem, jaki się pojawił, dotyczył samego Gibrila.

\* \* \*Plan Sisodii, zakładaj ący, że ludzie musz ą sobie łamać głowę tożsamości ą Czarnej Gwiazdy, oznaczał również, że Gibril powinien wejść przez drzwi od sceny ubrany w burkę zakrywaj ąc ą cał ą twarz oprócz oczu. Tak więc nawet płeć wchodz ącej osoby pozostawała w tajemnicy. Otrzymał największ ą garderobę —

na drzwiach przylepiono pięcioramienn ą czarn ą gwiazdę — a drzwi za nim zostały bezceremonialnie zamknięte na klucz przez kolano-podobnego producenta z okularami na nosie. W garderobie znalazł swój anielski kostium, w tym również urz ądzenie, które włożone na czoło powodowało świecenie żarówek z tyłu głowy, stwarzaj ąc w ten sposób iluzję aureoli; dalej — system telewizji przemysłowej, który pozwoli mu śledzić przebieg spektaklu — a więc podskoki i harce Mithu-na i Kimi w numerze „disco-maniaków”; Dżajapradhę i Rekhę (zbieżność imion przypadkowa: megagwiazda filmowa, a nie tam jakaś fikcja na dywanie) łaskawie znosz ących pytania osób przeprowadzaj ących wywiady na scenie, w których Dżaja wyjawia swoje pogl ądy na poligamię, podczas gdy Rekha fantazjuje na temat alternatywnych wyborów życiowych — „Gdybym urodziła się poza Indi ą, była-bym malark ą w Paryżu”; kaskaderskie wyczyny He-mana w wykonaniu Winoda i Dharmendry; numer Sridewi, w którym jej sari staje się kompletnie mokre — aż w końcu nadszedł czas, by on sam zaj ął miejsce w „rydwanie” zawieszonym wysoko nad scen ą, a poruszanym przy pomocy kołowrotu. Był tam bezprzewodowy telefon, przez który Sisodia powiedział mu, że widownia jest pełna. — Przyszli ludzie wszelkiego rodzaju — triumfował, a następnie zacz ął objaśniać Gibrilowi swoj ą technikę analizy widowni: możesz odróżnić Pakistańczyków, ponieważ się niesamowicie wystrojeni, Hindusów, ponieważ s ą niesamowicie ufryzowani, i mieszkańców Bangladeszu, ponieważ s ą niesamowicie pstrokaci, zupełnie bez gustu, „cały ten purpurowy i różowy i z-zło-złoty blichtr, ot, co oni uwielbiaj ą” — a który poza tym jednym razem milczał jak zaklęty; w końcu olbrzymia paczka przewi ązana wst ążk ą jak prezent, maleńki prezencik od jego troskliwego producenta, w którym, jak się okazało, znajdowała się panna Pimple Billimoria, z uroczym uśmiechem na twarzy i mas ą wst ążeczek gdzie indziej. Kino przyje-chało.295

\* \* \*

To dziwne uczucie pojawiło się — to znaczy powróciło — kiedy wszedł do

„rydwanu” i czekał, aż go opuszcz ą na dół. Uważał się za osobę, która podróżuje wzdłuż pewnej trasy, na której już lada moment może stan ąć przed nim koniecz-ność wyboru, wyboru — ta myśl sama sformuowała się w jego głowie bez jakiejkolwiek pomocy z jego strony — między dwiema rzeczywistościami, pomiędzy tym światem a tym drugim, który również jest dokładnie tutaj, widzialny, lecz nie widziany. Czuł w sobie jak ąś powolność, ociężałość, czuł się oddzielony od swojej świadomości i zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego pojęcia, któr ą drogę wybierze, do którego świata wejdzie. Teraz dostrzegł, że lekarze mylili się diagnozuj ąc jego chorobę jako schizofrenię; rozszczepnienie nie było w nim, ale we wszechświecie. Kiedy rydwan zacz ął obniżać się ku olbrzymiemu przypły-wowi rynku, którego fala zaczęła piętrzyć się pod nim, powtarzał pierwsze słowa swojej kwestii — Nazywam się Gibril Fariszta, i powróciłem — i usłyszał je, jakby w stereo, ponieważ one również tkwiły w dwóch światach, maj ąc w każdym z nich odmienne znaczenie; — a teraz, kiedy poraziły go światła, podniósł wysoko ręce, powracał spowity wieńcem chmur, — i tłum rozpoznał go, podobnie jak jego koledzy aktorzy; wszyscy ludzie wstali z miejsc, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na sali, płyn ąc fal ą, której nic nie może powstrzymać, w kierunku sceny, jak morze. Pierwszy człowiek, który go dopadł, zd ążył wykrzykn ąć Pamiętasz mnie, Gibrilu? Sześć palców u nóg. . . Maslama, proszę pana, John Maslama. Nikomu nie powiedziałem o twojej obecności między nami; ale owszem, mówiłem o przyjściu Pana, szedłem przed tob ˛

a, Głos wołaj ˛

acego na pustyni, drogi kręte

niech się stan ˛

a prostymi, a wyboiste gładkimi — zanim został odci ągnięty, a ludzie z ochrony otoczyli Gibrila, sytuacja wymknęła się spod kontroli, przecież to niemal pieprzone rozruchy, będziecie musieli, ale on nie chciał się ruszyć z miejsca, ponieważ zobaczył, że prawie połowa ludzi na widowni ma dziwaczne przy-branie głowy, rogi z gumy, które nadawały im wygl ąd diabłów, jak gdyby były to symbole przynależności i buntu; — i w tym momencie, kiedy ujrzał znak swojego wroga, poczuł, że wszechświat się rozwidla i wszedł na ścieżkę po lewej stronie.Oficjalna wersja wydarzeń, które nast ąpiły, wersja przyjęta przez wszystkie środki przekazu, utrzymywała, że Gibril Fariszta został wyniesiony z niebezpiecznego obszaru w tym samym rydwanie, poruszanym korb ą, w którym opadł na scenę, i z którego po prostu nie miał czasu wysi ąść; — łatwo więc mu było uciec z tego izolowanego i nie obserwowanego miejsca wysoko ponad zamieszaniem.Wersja ta okazała się na tyle odporna, że udało się jej przeżyć, mimo „rewelacji”podanej przez „Voice”, że asystent reżysera odpowiedzialny za mechanizm dźwi-gowy nie uruchomił go, powtarzam, nie uruchomił, po wyl ądowaniu rydwanu; —

296

że, w rzeczy samej, rydwan pozostał na scenie podczas tego zamieszania wywołanego przez rozradowanych fanów filmowych; — i że znaczne sumy pieniędzy wypłacono obsłudze sceny, aby namówić j ą do udziału w zmowie, której celem było sfabrykowanie historyjki, która właśnie z tego powodu, że była całkowit ą fikcj ą, stała się na tyle realistyczna, by mogli w ni ą uwierzyć czytelnicy gazet. Jednakże pogłoska, że Gibril Fariszta naprawdę uniósł się ze sceny teatru przy Earls Court i znikn ął w jasnym niebie bez jakiejkolwiek pomocy z zewn ątrz, rozeszła się błyskawicznie wśród azjatyckiej ludności miasta i podtrzymywało j ą wiele relacji naocznych świadków, którzy widzieli aureolę wychodz ąc ą z punktu tuż za jego głow ą. W niewiele dni po drugim zniknięciu Gibrila Fariszty, sprzedawcy nowości w Brickhall, Wembley i Brixton sprzedawali równe ilości zabawkowych aureol (zielone fluoryzuj ące obręcze cieszyły się największ ą popularności ą) co opasek na głowę, do których była przymocowana para gumowych rogów.

\* \* \*Unosił się wysoko nad Londynem! — Ha, nie mogły go teraz tkn ąć żadne diabły pędz ące na niego w tym Pandemonium! — Spojrzał w dół na miasto i zobaczył Anglików. Problem z Anglikami polega na tym, że s ą angielscy: cholernie zimne ryby! — Żyj ą pod wod ą przez większ ą część roku, przez dni o kolorze no-cy! — Cóż: oto i on, wielki Transformuj ący, i tym razem pewne zmiany zostan ą przeprowadzone — prawa przyrody s ą prawami przemiany, a on był właśnie t ą osob ą, która miała je spożytkować! — Tak, naprawdę: tym razem klarowność.

On im pokaże — tak! — swoj ą moc. — Ci bezsilni Anglicy! — Czy nie spo-dziewali się, że ich historia powróci, aby ich prześladować? — „Krajowiec jest uciśnion ą osob ą, której nieustannym marzeniem jest stać się prześladowc ą” (Fanon). Angielki nareszcie go nie wi ąż ą; spisek został ujawniony! — Wobec tego precz z wszystkimi mgłami. Stworzy tę ziemię na nowo. Jest Archaniołem, Gibrilem. — Wróciłem!Twarz jego przeciwnika ponownie wisiała przed nim, wyostrzaj ąc się, staj ąc się wyraźniejsz ą. Księżycowa z sardonicznym skrzywieniem warg: ale imię wci ąż mu się wymykało. . . cza, podobnie jak herbata? Szczacza — Tak, to już prawie to. A charakter przeciwnika: nienawidz ący sam siebie, tworz ący fałszyw ą jaźń, autodestrukcyjny. Fanon ponownie: „W ten sposób osobnik ten — Fanoniowski krajowiec— zgadza się na rozpad zarz ądzony przez Boga, pokornie schyla się przed przybyłym kolonist ą i jego pobratymcami i poprzez wewnętrzn ą ponown ą stabilizację uzyskuje kamienny spokój”. — Ja mu dam kamienny spokój —

Krajowiec i kolonista, ta stara dysputa, kontynuowana nawet teraz na tych prze-297

nikniętych wilgoci ą ulicach, przy czym kategorie uległy odwróceniu. — Przyszło mu na myśl, że jest na zawsze zł ączony z przeciwnikiem, spleceni w uścisku ramion, usta w usta, głow ą przy tyłku, tak jak wtedy, gdy spadali na ziemię: kiedy osiedli. — Wszystko trwa tak, jak się zaczęło. — Tak, tamten był coraz bliżej. —

Cziczi? Sasa? — Mój sobowtór, moja miłość. . .. . . Nie! — Płyn ął teraz nad parkiem i wrzasn ął, strasz ąc ptaki. — Koniec z tymi ambicjami sprowokowanymi przez Anglię, tym biblijno-szatańskim po-mieszaniem! — Klarowność, klarowność, za wszelk ą cenę klarowność! — Ten Szejtan nie był wcale żadnym upadłym aniołem! — Zapomnij o tych fikcyjnych historyjkach o synu-poranka; to wcale nie był dobry chłopak, który zszedł na zł ą drogę, to było nie fałszowane zło. Prawdę powiedziawszy, nie był to wcale żaden anioł. — „Był on z dżinnów, a więc zgrzeszył”. — Koran 18:50, było to jasne jak słońce. — Jak dużo prostsza była ta wersja! O ileż praktyczniejsza, o wiele bardziej przyziemna, zrozumiała! Iblis/Szejtan oznacza ciemność, Gibril światło.— Precz, precz z t ą czułostkowości ą: ł ˛

aczenie się, splot we wzajemnym uścisku,miłość. Szukaj i niszcz: to wszystko.. . . O najbardziej nieuczciwe, najbardziej szatańskie z miast! — W którym takie wyraźne i niezbędne kontrasty tonęły pod niekończ ąc ą się mżawk ą szarości. — Jak słusznie post ąpił, na przykład, i wypędził te swoje szatańsko-bibilijne w ątpliwości — te dotycz ące niechęci Boga, aby zezwolić na bunt wśród swoich zastępców, — ponieważ, skoro Iblis/Szejtan nie był wcale aniołem, nie było żadnych aniołów buntowników, które Bóg musiałby poskramiać; — oraz w ątpliwości dotycz ące zakazanego owocu i rzekomej odmowy Boga obdarowania swoich stworzeń wyborem moralnym; — ponieważ nigdzie w całej Recytacji nie napisa-no, że drzewo to zwano (tak jak twierdziła Biblia) drzewem poznania dobra i zła.To było po prostu inne Drzewo! Szatan, kusz ąc edeńsk ą parę, nazwał je tylko

„Drzewem Nieśmiertelności” — a ponieważ jest kłamc ą, prawd ą (odkryt ą przez odwrócenie) było, że zakazany owoc (jabłek konkretnie nie wymieniono) wisiał

na Drzewie Śmierci, a nie na niczym innym, na zabójcy ludzkich dusz. — Co teraz pozostało z tego obawiaj ącego się moralności Boga? Gdzie Go teraz szukać? — Tylko tam na dole, w sercach Anglików. — Które on, Gibril, przyszedł

przemienić.Abrakadabra!Hokus-pokus!Ale gdzie ma zacz ąć: — Cóż, w takim razie, kłopot z Anglikami polega na ich:

Ich:

Jednym słowem, Gibril uroczyście oświadczył, na ich pogodzie.Płyn ąc na swojej chmurze Gibril Fariszta doszedł do wniosku, że brak wyrazistości moralnej u Anglików wynika z ich meteorologii. — Kiedy dzień nie jest wcale cieplejszy od nocy — rozumował — kiedy światło nie jest jaśniejsze od 298

ciemności, kiedy ziemia nie jest bardziej sucha od morza, wówczas ludzie najwyraźniej trac ą zdolność odróżniania jednego od drugiego, i zaczynaj ą widzieć wszystko — poczynaj ąc od partii politycznych, poprzez partnerów seksualnych i wyznania religijne — jako coś-bardzo-podobnego, brak-różnicy, wzajemność.Co za szaleństwo! Przecież prawda jest czymś krańcowym, jest tak ˛

a, a nie tak

więc, jest ni ˛

a. a nie nim; jest spraw ą, w której okazujemy swoje zaangażowanie, a nie sportem widzów. Krótko mówi ąc, wywołuje gor ˛

ace dyskusje. Miasto

— zakrzykn ął, i jego głos potoczył się łoskotem po metropolii. — Uczynię cię tropikalnym.Gibril wyliczył korzyści z proponowanej zmiany Londynu na miasto tropikal-ne: lepsze definicje moralne, instytucja ogólnonarodowej sjesty, wyłonienie się żywych i ekspansywnych wzorców zachowania wśród ludności, wyższej jakości pop-music, nowe ptaki na drzewach (papugi ary, pawie, kakadu), nowe drzewa pod ptakami (palmy kokosowe, tamaryndy, banijany z wisz ącymi brodami). Po-prawa jakości życia na ulicy, jaskrawe kolory kwiatów (karmazyn, cynober, seledyn), małpy szerokonose na dębach. Nowy olbrzymi rynek dla domowych urz ą-dzeń klimatyzacyjnych, wentylatorów podsufitowych, moskitier i sprayów. Przemysł bazuj ący na koprze i włóknie kokosowym. Zwiększona atrakcyjność Londynu jako centrum konferencyjnego, itd.; lepsi gracze w krykieta; większy nacisk na opanowanie piłki przez zawodowych piłkarzy, zdezaktualizowane, pod wpływem upału, tradycyjne i bezduszne przywi ązanie Anglików do „wysokiej wydajności pracy”. Żarliwość religijna, polityczny ferment, wznowienie zainteresowania inteligencj ą. Koniec z brytyjsk ą rezerw ą; nakaz wyrzucenia butelek z gor ąc ą wod ą na zawsze, zast ąpienie ich dotychczasowego użycia podczas cuchn ących nocy przez powoln ą i pachn ąc ą miłość. Pojawienie się nowych wartości społecznych: przyjaciele zaczynaj ą odwiedzać się wzajemnie bez wcześniejszego umawiania się, zamknięcie domów starców, nacisk położony na szeroko pojęt ą rodzinę. Bardziej pikantne jedzenie; użycie zarówno wody, jak i papieru w angielskich toaletach; radość z biegania w ubraniu przez pierwsze monsunowe deszcze.Strony ujemne: cholera, dur brzuszny, choroba legionistów, karaluchy, kurz, hałas, kultura nadmiaru.Stoj ąc na horyzoncie, rozkładaj ąc ramiona tak, aby wypełniły niebo, Gibril krzykn ął: „Niech się stanie”.Wydarzyły się trzy rzeczy, szybko.Pierwsza to nagłe wypłynięcie z jego ciała niewyobrażalnie kolosalnych żywiołów-potęg procesu transformacyjnego (czyż nie był on tych potęg wcieleniem?); chwilowo ogarnęła go ciepła, wiruj ąca ociężałość, wywołuj ąca senność kipiel (bynajmniej nie nieprzyjemna), która zmusiła go do zamknięcia, chociaż na krótk ą chwilę, oczu.Druga polegała na tym, że w chwili, kiedy miał na krótko zamknięte oczy, pokazały się zaopatrzone w rogi kozie kształty pana Saladyna Czamczy na ekranie 299

jego umysłu, obraz tak ostry i wyraźny, jak tylko sobie można wyobrazić; do obrazu doł ączone było nazwisko jego przeciwnika, jak gdyby był to podtytuł.Trzeci ą rzecz ą było to, że kiedy Gibril Fariszta otworzył oczy, stwierdził, że ponownie leży przed drzwiami Allelui Cone, błagaj ąc o przebaczenie, szlochaj ąc, O Boże, to się stało, to naprawdę znowu się stało.

\* \* \*Położyła go do łóżka; czuł, że ucieka w sen, nurkuj ąc głow ą naprzód w ma-terię senn ą, byle dalej do Tego Właśnie Londynu, w stronę Dżahilijji, ponieważ prawdziwy strach przeszedł przez zburzony mur graniczny i już na jawie zacz ął

podchodzić coraz bliżej.— Instynkt naprowadzaj ący na cel: jeden wariat bierze kurs na drugiego —

powiedziała Alicja, kiedy jej córka zadzwoniła do niej z wiadomości ą. — Pewnie wysyłasz jakiś sygnał, pewnie masz przy sobie jakiś rodzaj małego aparaciku emi-tuj ącego wysokie dźwięki. — Jak zwykle, ukryła zaniepokojenie pod dowcipami.W końcu wyrzuciła z siebie: — Tym razem b ądź rozs ądna, dobrze, Allelujo? Tym razem do szpitala.— Zobaczymy, mamo. W tej chwili śpi.— A więc nie obudzi się już — Alicja próbowała przekonywać, ale opanowała się. — W porz ądku, wiem, to twoje życie. Słuchaj, ależ ta pogoda jest niesamo-wita. Mówi ą, że może tak potrwać kilka miesięcy: „Zablokowany układ wyżów i niżów” słyszałam w telewizji, deszcz nad Moskw ą, gdy tutaj mamy falę upałów.Dzwoniłam do Bońka w Standford i powiedziałam mu: my w Londynie też mamy teraz piękn ą pogodę.VI

# Powrót do Dżahilijji

Kiedy poeta Baal ujrzał pojedyncz ą kroplę koloru krwi, która pojawiła się w rogu lewego oka pos ągu Al-Lat w Domu Czarnego Kamienia, zrozumiał, że Prorok Mahound jest w drodze powrotnej do Dżahilijji po ćwierćwieczu spędzo-nym na wygnaniu. Odbiło mu się gwałtownie — przypadłość wieku, tak, niew ątpliwie, a grubiaństwo tego odruchu zdawało się odpowiadać ogólnemu grubieniu wywołanemu upływem lat, grubieniu języka, jak i reszty ciała, powolnemu gęst-nieniu krwi, co w wieku lat pięćdziesięciu zmieniło Baala w postać zupełnie nie przypominaj ąc ą jego samego, bystrego sprzed lat. Czasami miał wrażenie, że sa-mo powietrze zgęstniało, stawiaj ąc mu opór, w wyniku czego nawet króciutki spacer wywoływał u niego zadyszkę, co przy bólu w ramieniu i kołatania serca. . .i Mahound także musiał się zmienić, skoro wracał obecnie z przepychu i wszech-mocy do miejsca, z którego kiedyś uciekł z pustymi rękoma, a nawet bez żony.Mahound sześćdziesięciopięcioletni. Nasze imiona spotykaj ą się, rozdzielaj ą i ponownie spotykaj ą, myślał Baal, lecz ludzie nosz ący te imiona nie pozostaj ą tacy sami. Opuścił Al-Lat, by wynurzyć się w pełnym blasku słońca, a za sob ą usłyszał

krótki, ur ągliwy chichot. Odwrócił się ociężale; nikogo nie było widać. Kraj szaty znikał za rogiem. Przeżywaj ący obecnie chude lata Baal często stawał się pośmiewiskiem dla nieznajomych. — Skurwiel! — krzykn ął na cały głos, gorsz ąc tym wiernych w Domu. Baal, zniedołężniały poeta, znów zachowuje się nieodpowied-nio. Wzruszył ramionami i poszedł do domu.Miasto Dżahilijja nie było już zbudowane z piasku. Upływ czasu, magia pustynnych wiatrów, zamieniaj ący wszystko w kamień księżyc, ludzka zdolność zapominania oraz nieuchronność postępu zahartowały miasto, straciło więc ono swój dawny, zmienny, tymczasowy status fatamorgany, w której mogli żyć ludzie, a stało się prozaicznym miejscem, codziennym i (jak jego poeci) biednym. Ręce Mahounda z czasem wydłużyły się: jego potęga otoczyła miasto, odcięła dopływ żywotnych soków, pielgrzymów i karawan. W obecnych czasach targi Dżahilijji stanowiły żałosny widok.Nawet sam Naczelnik zacz ął sprawiać wrażenie zabiedzonego, jego siwe włosy były równie przerzedzone jak uzębienie. Jego konkubiny umierały ze starości, a jemu samemu brakowało energii — lub, jak głosiły plotki szeptane w bezładnie rozmieszczonych uliczkach miasta, potrzeby — by szukać nowych. Czasami za-pominał się ogolić, co jeszcze bardziej wzmagało wrażenie upadku i kieski. Tylko Hind była taka sama jak dawniej.Zawsze uważano j ą za kogoś w rodzaju czarownicy, która może zesłać na ciebie chorobę, jeżeli nie skłoniłeś się wystarczaj ąco nisko przed jej lektyk ą, za wiedźmę zdoln ą przemieniać swoich mężczyzn w pustynne węże, kiedy ma ich już dosyć, a następnie łapać za ogony i żywcem gotować na kolację. Teraz miała sześćdziesi ąt lat i wci ąż w nadzwyczajny i nienaturalny sposób zachowywała młodość, co dodatkowo potwierdzało legendarn ą siłę jej czarów. Podczas gdy wszystko wokół niej twardniało i zastygało, podczas gdy dawni członkowie gangów Bał-302

wochwalców wkraczali w wiek zaawansowany, wysiaduj ąc na rogach ulic, graj ąc w karty i w kości, podczas gdy niby-wróżki i akrobaci cyrkowi umierali z głodu w rynsztokach, podczas gdy wyrosło nowe pokolenie, którego konserwatyzm i ślepe uwielbienie dóbr materialnych zrodziły się z przekonania, że bezrobocie i nędza naprawdę istniej ą, podczas gdy to wielkie miasto utraciło poczucie własnego znaczenia i gdy nawet kult zmarłych tracił na znaczeniu, ku wielkiej uldze wielbł ądów Dżahilijji, których niechęć do zdychania z podciętymi ścięgnami na grobach właścicieli łatwo można zrozumieć. . . a więc, krótko mówi ąc, podczas gdy Dżahilijja rozkładała się, twarz Hind wci ąż pozostawała gładka, bez zmarsz-czek, ciało wci ąż jędrne jak u młodej kobiety, włosy wci ąż czarne jak skrzydła kruka, oczy wci ąż błyszcz ące jak noże, postawa wci ąż wyniosła, głos wci ąż nie znosz ący żadnego sprzeciwu. Hind, a nie Simbel, rz ądziła obecnie miastem; lub przynajmniej była o tym święcie przekonana.Kiedy Naczelnik stał się w końcu zniewieściałym i otyłym starcem, Hind zabrała się do pisania całego cyklu napominaj ących i nawołuj ących epistoł lub bulli skierowanych do ludności miasta. Rozklejono je na wszystkich murach. Tak więc to Hind, a nie Abu Simbel, stała się dla Dżahilijjan symbolem miasta, jego awa-tarem, ponieważ w jej fizycznej niezmienności i niezachwianym zdecydowaniu pisanych przez ni ą odezw znaleźli o wiele pochlebniejszy obraz samych siebie niż w wizerunku, który patrzył na nich z popękanego lustra twarzy Simbela. Ob-wieszczenia Hind wpływały na nich silniej niż wiersze któregokolwiek z poetów.Wci ąż była seksualnie wyuzdana i spała już ze wszystkimi literatami tego miasta (jakkolwiek dawno minęły te czasy, kiedy Baal miał wstęp do jej łoża); obecnie zużyła już i odprawiła wszystkich ludzi pióra, wci ąż niesyta. Zarówno miecza, jak i pióra. Była t ą Hind, która wyruszyła razem z dżahilijjańsk ą armi ą, przebrana za mężczyznę, używała czarów przeciwko włóczniom i mieczom wrogów, odnala-zła zabójcę swoich braci w zawierusze bitewnej. Hind, która zaszlachtowała wuja Proroka i zjadła w ątrobę i serce starego Hamzy.Któż mógłby się jej oprzeć? Ze względu na jej wieczn ą młodość, która by-ła również ich młodości ą; ze względu na jej dzikość, która dawała im złudzenie, że s ą niezwyciężeni; i ze względu na jej bulle; które sprzeciwiały się upływowi czasu, historii, epoki, które opiewały niczym nie przyćmion ą wspaniałość miasta i ignorowały brud i zrujnowane ulice, które kładły nacisk na wielkość, na przy-wództwo, na nieśmiertelność, na status Dżahilijjan jako strażników boskości. . .z wdzięczności za to, co pisała, ludzie wybaczali jej rozwi ązłość, głusi na opo-wiastki o tym, jak w dzień urodzin ważono Hind, używaj ąc góry szmaragdów ja-ko przeciwwagi, puszczali mimo uszu plotki o orgiach, śmiali się, kiedy mówiono o przepychu jej garderoby, o pięciuset osiemdziesięciu jeden nocnych koszulach wykonanych z płatków złota i o czterystu dwudziestu parach pantofelków wysa-dzanych rubinami. Obywatele Dżahilijji snuli się po coraz bardziej niebezpiecznych ulicach, na których zabójstwo za drobn ą opłat ą było na porz ądku dziennym, 303

na których gwałcono i rytualnie zarzynano stare kobiety, na których osobista policja Hind, Mantykorpus, brutalnie tłumiła rozruchy głodowe; i wbrew świadectwu własnych oczu, żoł ądków i trzosów, wierzyli w to, co Hind szeptała do ich uszu: Panuj, Dżahilijjo, chlubo świata.Nie wszyscy z nich, oczywiście. Nie Baal, na przykład. Który odwracał wzrok od spraw publicznych i pisał wiersze o nieodwzajemnionej miłości.Chrupi ąc biał ą rzodkiewkę, dotarł do domu, przeszedłszy pod obdrapanym łukiem w popękanym murze. Znajdowało się tu małe, śmierdz ące moczem, zaśmiecone mieszanin ą piór, obierków z jarzyn, krwi podwórko. Ani śladu człowieka: tylko muchy, cienie, lęk. W tych czasach trzeba było mieć się na baczności.Zbrodnicza sekta asasynów włóczyła się po mieście. Zamożniejszym obywate-lom radzono, by wracali do siebie id ąc po przeciwnej stronie ulicy, aby sprawdzić, czy ich dom nie jest obserwowany; jeśli droga była wolna, pędem wbiegali do środka, natychmiast zatrzaskiwali za sob ą drzwi, uniemożliwiaj ąc czyhaj ącemu przestępcy wdarcie się do wewn ątrz. Baal nie zawracał sobie głowy takimi środkami ostrożności. Kiedyś był bogaty, ale było to ćwierć wieku temu. Popyt na satyrę zanikł — powszechny strach przed Mahoundem zniszczył rynek szyderstwa i dowcipu. A wraz z upadkiem kultu zmarłych nast ąpił gwałtowny spadek zamówień na epitafia i triumfalne, przesycone słodycz ą, ody do zemsty. Czasy w ogóle były ciężkie.Marz ąc o minionych bankietach, Baal wszedł po rozchwierutanych schodach do swojego pokoiku na górze. Czy ma tu cokolwiek, co można by ukraść? Nie jest wart nawet pchnięcia nożem. Otworzył drzwi i przest ąpił próg, kiedy silny cios przewrócił go i posłał z rozkwaszonym nosem pod przeciwległ ą ścian ą. —

Nie zabijaj mnie — zaskowytał, nie widz ąc jeszcze nikogo. — O Boże, nie zabijaj mnie, na litość bosk ą, O.Intruz zamkn ął drzwi. Baal wiedział, że może sobie teraz krzyczeć na całe gardło, i tak zostan ą tu sami, odcięci od świata w tym obojętnym na wszystko pokoju. Nikt nie przyjdzie; on sam, słysz ąc krzyki s ąsiada, zabarykadowałby jedynie drzwi własnym barłogiem.Kaptur płaszcza całkowicie skrywał twarz napastnika. Baal klęczał i trzęs ąc się wycierał zakrwawiony nos. — Nie mam pieniędzy — błagał. — Nie mam niczego. — Teraz nieznajomy przemówił: — Jeżeli głodny pies szuka jedzenia, nie zagl ąda do psiarni. — A następnie, po chwili: — Baal. Niewiele z ciebie zostało.Liczyłem na więcej.O dziwo, w tym momencie, pomimo strachu, Baal poczuł się dotknięty. Czy jest to jakiś zwariowany wielbiciel, który zabije go za to, że jego poezja obniżyła loty? Wci ąż dygoc ąc, spróbował posłużyć się fałszyw ą skromności ą. — Spotkanie z pisarzem zwykle rozczarowuje — podsun ął. Tamten zbył uwagę. — Mahound nadchodzi — powiedział.To kategoryczne stwierdzenie przeraziło Baala do głębi. — Co to ma wspól-304

nego ze mn ą? — krzykn ął. — Czego on chce? To było tak dawno temu — całe życie temu — więcej niż całe życie. Czego on chce? Czy przychodzisz od, czy jesteś przysłany przez niego?— Jego pamięć sięga równie daleko jak ramię — powiedział obcy, odrzucaj ąc kaptur. — Nie, nie jestem jego posłańcem. Ja i ty jesteśmy nieco podobni do siebie. Obydwaj się go boimy.— Znam cię — powiedział Baal.— Tak.— Twoja wymowa. Jesteś cudzoziemcem.— „Rewolucja nosiwodów, imigrantów i niewolników” — zacytował przybysz. — Twoje słowa,— Jesteś tamtym imigrantem — przypomniał sobie Baal. — Pers. Sulejman.— Pers wykrzywił twarz w uśmiechu. — Salman — poprawił. — Nie m ądry, lecz skłonny do ugody.— Byłeś jednym z najbliższych jemu — powiedział Baal, zdumiony.— Im bliżej jesteś kuglarza, tym łatwiej poznasz się na jego sztuczkach.A oto, co Gibril wyśnił:

W oazie Jasrib zwolennicy nowej wiary, Uległości nie mieli ziemi uprawnej, byli więc biedni. Przez wiele lat jedynym źródłem ich utrzymania był rozbój, napadali karawany bogaczy przybywaj ących do Dżahilijji, lub z niej wyjeżdża-j ących. Mahound nie miał czasu na skrupuły, mówił Salman Baalowi, ani też wyrzutów sumienia z powodu celów czy środków. Wierni żyli z bezprawia, lecz w owych latach Mahound — a może powinno się powiedzieć Archanioł Gibril?— a może Al-Lah? — został opętany obsesj ą praworz ądności. Gibril ukazywał

się Prorokowi pośród palm oazy i całymi strumieniami tryskały z niego przepisy, przepisy, przepisy, aż w końcu wierni prawie nie mogli znieść perspektywy jakichkolwiek dalszych objawień, mówił Salman, przepisy dotycz ące każdego cholernego drobiazgu, jeżeli człowiek pierdnie, niech zwróci twarz ku wiatro-wi, przepis mówi ący, której ręki używać przy myciu zadka. Wygl ądało to tak, jak gdyby żadna dziedzina ludzkiego życia nie mogła pozostać wolna, nie uregulo-wana przepisami. Objawienie — przemówienie mówiło wiernym, ile maj ą jeść, jak głęboki powinien być ich sen i które pozycje seksualne otrzymuj ą przyzwo-lenie Najwyższego, a więc dowiedzieli się, że sodomia i „po bożemu” uzyskały aprobatę archanioła, natomiast w poczet zakazanych zostały zaliczone wszystkie te, w których kobieta bywa na górze. Dalej Gibril wyliczył dozwolone i zabro-nione tematy rozmów i wymienił te części ciała, po których nie wolno się drapać, bez względu na to, jak by nie swędziało. Postawił veto konsumpcji krewetek, tych dziwacznych stworzeń z innego świata, których żaden członek społeczności wiernych nigdy w życiu na oczy nie widział, oraz zaż ądał, aby zwierzęta zabijać 305

powoli, przez wykrwawienie, gdyż tylko pełne doświadczenie śmierci pozwala ludziom zrozumieć sens życia, dopiero w momencie ostatecznym rozumiej ą, że egzystencja jest czymś obiektywnym, a nie rodzajem marzenia sennego. I archanioł Gibril tak szczegółowo określił sposób pochówku zmarłego i podziału jego maj ątku, że Salman Pers zacz ął się zastanawiać, jakiego rodzaju jest to Bóg, skoro tak bardzo przypomina buchaltera. I wtedy właśnie przyszła mu do głowy myśl, która zniszczyła jego wiarę, ponieważ przypomniał sobie, że przecież oczywiście sam Mahound był kiedyś buchalterem i to takim na dodatek, któremu się cholernie powodziło, nie miał najmniejszych trudności z organizacj ą i formułowaniem przepisów, a więc niesłychanie dogodne było sprowadzenie przez Mahounda tego tak bardzo rzeczowego i tak podobnego księgowemu archanioła, który przekazywał decyzje w sprawach zarz ądzania podjęte przez tę wysoce prawn ą, aczkolwiek niematerialn ą osobę, Boga.Następnie Salman zacz ął zauważać, jak przydatne i na czasie s ą anielskie objawienia, a więc kiedy wierni kwestionowali pogl ądy Mahounda na dowolny temat, od prawdopodobieństwa podróży kosmicznych pocz ąwszy, a na wieczności m ąk piekielnych skończywszy, pojawiał się anioł z odpowiedzi ą i zawsze popierał Mahounda, stwierdzaj ąc ponad wszelk ą w ątpliwość, że jest rzecz ą niemożliw ą, aby człowiek mógł kiedykolwiek chodzić po księżycu, i maj ąc równie niezachwiane przekonanie na temat przemijaj ącego charakteru potępienia: nawet najgorsi zło-czyńcy zostan ą w końcu oczyszczeni przez ogień piekielny i odnajd ą drogę do wonności Gulistanu i Bustanu. Wygl ądałoby to inaczej, uskarżał się Salman Baalowi, gdyby Mahound zaj ął stanowisko w jakiejś sprawie natychmiast po objawieniu się Gibrila, ale nie, po prostu wprowadzał jakieś prawo, a następnie anioł

sankcjonował je; więc zaczęło mi to brzydko pachnieć i pomyślałem sobie, musi to być woń tych osławionych, legendarnych nieczystych stworzeń, tych, jak im tam, krewetek.Ten rybi zapach zacz ął prześladować Salmana, który dzięki wyższemu pozio-mowi szkolnictwa w ówczesnej Persji był najlepiej wykształconym człowiekiem spośród zaufanych Mahounda. Ze względu na wysoki poziom wiedzy Salman został mianowany oficjalnym skryb ą Mahounda, a więc to jemu przypadło w udzia-le spisywanie tych mnoż ących się bez końca przepisów. Wszystko to były bardzo dogodne objawienia, powiedział Baalowi, i im dłużej wykonywałem swoj ą pracę, tym bardziej sytuacja pogarszała się. — Na pewien czas musiał jednak odwiesić swoje podejrzenia na kołek, gdyż wojska Dżahilijji maszerowały na Jasrib, zdecy-dowane jednym pacnięciem pozbyć się tych natrętnych much, które prześladowały karawany i przeszkadzały w interesach. Powszechnie wiadomo, jak potoczyły się wypadki, nie ma potrzeby, abym to powtarzał, powiedział Salman, ale zaraz potem wylazł z niego brak skromności, zmuszaj ąc do opowiedzenia Baalowi te-go, w jaki sposób on, we własnej osobie, ocalił Jasrib przed nieuchronn ą zagład ą, jak jego pomysł wykopania rowu ocalił głowę Mahounda. Salman namówił

306

Proroka, by ten rozkazał wykopać głęboki rów wokół całej, pozbawionej murów obronnych osady w oazie, tak szeroki, by nie mogły go przeskoczyć nawet słynne arabskie wierzchowce znakomitej kawalerii dżahilijjskiej. Rów: z zaostrzonymi palami wbitymi w dno. Kiedy Dżahilijjanie zobaczyli ten ohydny przykład nie-sportowego kopania dołków, poczucie rycerskości i honoru zmusiło ich, aby za-chowali się tak, jak gdyby przeszkoda nie istniała, i całym pędem ruszyli ku niej.Kwiat armii dżahilijjskiej, zarówno ten ludzki, jak i koński, dokonał żywota wbity na zaostrzone żerdzie salmańsko-perskiej przebiegłości, i wierz tu obcemu, że nie będzie się uciekał do nieuczciwych sposobów. — A po pokonaniu Dżahilijji? Salman biadolił w rozmowie z Baalem: Mógłbyś sobie pomyśleć, że zostałem bohaterem, nie jestem próżny, ale gdzie podziały się publiczne zaszczyty, gdzie wdzięczność Mahounda, dlaczego archanioł nie wymienił mnie w swoich roz-kazach dziennych? Nic, ani słowa, wygl ądało to tak, jak gdyby również wierni uznali mój rów za nędzny podstęp, za rzecz barbarzyńsk ą, hańbi ąc ą, nieszlachet-n ą; jak gdyby ich męski honor narażony został przez to na szwank, jak gdybym uraził ich dumę, ocalaj ąc im skórę. Trzymałem gębę na kłódkę, nic nie powiedziałem, ale potem straciłem wielu przyjaciół, mówię ci, ludzie znienawidz ą cię, jeśli wyświadczysz im przysługę.Pomimo rowu w Jasrib, wielu wiernych poległo w wojnie z Dżahilijj ą. Podczas wypadów na siły wroga ich straty zrównały się z dotychczasowymi stratami przeciwnika. Ledwo wojna dobiegła końca, hej presto, już na miejscu był Archanioł Gibril, który polecił, by wszyscy mężczyźni, jacy zostali jeszcze przy życiu, poślubili wdowy, gdyż poprzez zwi ązki z niewiernymi owe kobiety byłyby stracone dla Uległości. Och, jaki praktyczny anioł, szydził Salman. Wyci ągn ął już butelkę araku ukryt ą pod płaszczem i obaj mężczyźni popijali miarowymi łykami przy gasn ącym świetle dnia. W miarę jak poziom żółtawego płynu w butelce obniżał się, Salman stawał się coraz bardziej rozmowny; Baal nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszał taki potok słów. Och, te praktyczne objawienia, krzykn ął Salman, powiedziano nam nawet, że nie jest istotne, czy jesteśmy już żonaci, możemy mieć nawet cztery żony, jeśli stać nas na to, cóż, możesz sobie wyobrazić, chłopcom naprawdę się to spodobało.Co ostatecznie spowodowało, że Salman wzi ął rozbrat z Mahoundem: problem kobiet; a także Szatańskich wersetów. Słuchaj, nie jestem plotkarzem, zwierzał się podpity Salman, ale po śmierci żony Mahound nie był bynajmniej aniołem, rozumiesz, co mam na myśli. Lecz w Jasrib trafił na równego sobie przeciwnika. Och, tamtejsze kobiety: sprawiły, że w ci ągu pół roku siwizna przyprószyła mu brodę. Rzecz w tym, mój drogi Baalu, że Prorok nie lubi, kiedy jego kobiety odgryzaj ą się w odpowiedzi, zazwyczaj szukał typu matki lub córki, pomyśl o jego pierwszej żonie, a następnie o Aiszy: jedna zbyt stara, a druga zbyt młoda, jego dwie miłości. Nie lubił kobiet równych sobie. Lecz w Jasrib kobiety s ą inne, może nie wiesz, tu, w Dżahilijji, jesteś przyzwyczajony do tego, że możesz nimi 307

komenderować, ale tam nie pozwol ą ci na to. Po ślubie mężczyzna mieszka z rodzin ą żony! Wyobraź to sobie! Wstrz ąsaj ące, no nie? A poza tym przez cały czas żona nadal ma swój osobny namiot. Jeżeli chce się pozbyć męża, obraca namiot w ten sposób, by wchodziło się doń z przeciwnej strony, więc kiedy m ąż chce przyjść do niej, zamiast wejścia znajduje tkaninę, i to byłby koniec, jest wyrzucony, rozwiedziony i nic nie może wskórać. Cóż, naszym dziewczętom zaczęło się to podobać, nie wiadomo jakie jeszcze rzeczy przyszłyby im do głowy, kiedy nagle, bum, pojawia się księga z prawami, anioł wydaje przepisy, jeden za drugim, mówi ące, czego kobietom nie wolno robić, zaczyna zmuszać je do powtórnego przyjmowania pokornych postaw, które tak podobaj ą się Prorokowi, pokornych lub macierzyńskich, chodzenia trzy kroki za, albo siedzenia w domu, co jest rozs ądne, a poza tym zaokr ągla kształty. Ależ te kobiety z Jasrib śmiały się z wiernych, słowo daję; a ten człowiek jest czarodziejem, nikt nie mógł oprzeć się jego urokom; wyznaj ąc wiarę, czyniły, jak im nakazał. Okazały Uległość: ostatecznie obiecywał im Raj.— Tak czy inaczej — powiedział Salman, kiedy ukazało się dno butelki —

w końcu postanowiłem poddać go próbie.Pewnej nocy perski skryba miał sen, w którym unosił się nad postaci ą Mahounda w pobliżu jaskini Proroka na górze Cone. Pocz ątkowo Salman uznał to jedynie za nostalgiczne wspomnienie starych czasów w Dżahilijji, ale uderzyło go to, że w tym śnie jego punkt widzenia jest punktem widzenia archanioła, i w tej chwili nagle przypomniała mu się historia z Szatańskimi wersetami, obraz tak ży-wy, jak gdyby to wydarzenie miało miejsce wczoraj. — Być może nie śniłem się sobie jako Gibril — rozpamiętywał Salman. — Być może byłem Szejtanem. —

Uświadomienie sobie takiej możliwości poddało mu iście diabelski pomysł. Potem, kiedy tak siedział u stóp Proroka spisuj ąc przepisy, przepisy, przepisy, zacz ął

ukradkiem zmieniać.— Na pocz ątek drobiazgi. Jeżeli Mahound recytował werset, w którym Bóg był opisany jako wszystko-słysz ˛

acy, wszystko-wiedz ˛

acy, ja pisałem: wszystko-wie-

dz ˛

acy, wszech-m ˛

adry. I oto rzecz najważniejsza: Mahound nie zauważył tych zmian. Tak więc właściwie to ja pisałem Księgę albo redagowałem j ą, wszystko jedno, w każdym razie zanieczyszczałem słowo Boże swoim własnym bluź-nierczym językiem. Lecz, wielkie nieba, jeżeli nie można było odróżnić moich nędznych słów od Objawienia przekazanego przez Posłańca samego Boga, co to mogło oznaczać? Cóż można powiedzieć o jakości całej tej boskiej poezji?Zrozum, przysięgam, wstrz ąsnęło mn ą to do głębi. Jedna sprawa, to być sobie przem ądrzałym draniem i mieć pewne podejrzenia co do jakiejś dziwnej sprawy, w porz ądku, ale co innego stwierdzić, że ma się rację. Słuchaj: zmieniłem całe swoje życie dla tego człowieka. Rzuciłem ojczyznę, przeszedłem pół świata, za-mieszkałem wśród ludzi, którzy uważaj ą mnie za przebrzydłego cudzoziemskiego tchórza za to, że ocaliłem im życie, nigdy nie docenili, że ja, zreszt ą mniejsza o to.308

Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że po zrobieniu mojej pierwszej małej zmiany, wszystko-wiedz ˛

acy w miejsce wszystko-słysz ˛

acego — pragn ˛

ałem tego

— kiedy przeczytam to jeszcze raz Prorokowi, on odpowie, Co się z tob ą dzieje, Salmanie, czy ogłuchłeś? A ja wtedy odpowiem, Ojej, o Boże, pomyłka, jak mogłem, i poprawię swój bł ąd. Ale nic takiego nie nast ąpiło; i to ja sam pisałem Objawienie i nikt niczego nie zauważył, a nie miałem na tyle odwagi, żeby się do tego przyznać. Byłem nieprzytomny ze strachu, wierz mi. A także: było mi smutno jak nigdy dot ąd. Musiałem więc brn ąć dalej. Być może on tego nie zauważył, myślałem, każdy może się pomylić. Więc następnym razem zmieniłem większ ą rzecz. On powiedział Chrześcijanin, a ja zapisałem ˙

Zyd. Zauważy na pewno; jak

mógłby nie zauważyć? Ale kiedy przeczytałem mu cały rozdział, kiwn ął głow ą i podziękował uprzejmie, a ja wyszedłem z jego namiotu ze łzami w oczach. Po tym wydarzeniu wiedziałem, że moje dni w Jasrib s ą policzone; ale nie mogłem tego przerwać. Nie mogłem. Nie ma goryczy większej niż gorycz człowieka, który odkrywa, że wierzył w cienie. Wiedziałem, że mój upadek nast ąpi, ale on upad-nie razem ze mn ą. Kontynuowałem więc te swoje diabelskie sztuczki, zmieniaj ąc wersety, aż tu któregoś dnia czytam mu to, co spisałem, i widzę, że zmarszczył

brwi i potrz ąsn ął głow ą, jak gdyby chciał odzyskać klarowność myśli, a dopiero potem przytakn ął z oci ąganiem, wyrażaj ąc zgodę zabarwion ą cieniem niedowierzania. Wiedziałem, że doszedłem do końca drogi i że przy następnej próbie zmiany Księgi on domyśli się wszystkiego. Tej nocy leżałem, nie mog ąc zasn ąć, trzymaj ąc w swoich rękach zarówno jego los, jak i mój. Gdybym zgodził się na własn ą zgubę, mógłbym tym samym zgubić i jego. Musiałem wybierać tej okrop-nej nocy, czy wolę śmierć i zemstę, czy też życie i nic więcej. Jak widzisz, dokonałem wyboru: życie. Przed świtem opuściłem Jasrib na swoim wielbł ądzie i po wielu niezbyt miłych przygodach, których opisywaniem nie będę zawracał sobie głowy, powróciłem do Dżahilijji. I teraz Mahound nadchodzi w triumfalnym pochodzie, a więc mimo wszystko utracę życie. Jest teraz zbyt potężny, bym mógł

go zniszczyć.Baal zapytał: — Dlaczego jesteś pewien, że cię zabije?Pers Salman odpowiedział: — Swoim Słowem wyst ąpił przeciw mojemu.

\* \* \*Kiedy Salman ześlizn ął się nieprzytomny na podłogę, Baal położył się na swoim szorstkim, słom ą wypchanym sienniku, czuj ąc stalow ą obręcz bólu wokół czoła, ostrzegawcze trzepotanie serca. Często pod wpływem zmęczenia życiem żałował, że się zestarzał, lecz, jak to powiedział Salman, nasze marzenia o czymś 309

bardzo się różni ą od ich spełnienia. Od pewnego już czasu był świadom tego, że świat zamyka się wokół niego coraz ciaśniejszym kręgiem. Nie mógł już dłużej udawać, że jego oczy widz ą równie dobrze jak dawniej, a ich osłabienie uczyniło jego życie jeszcze bardziej niewyraźnym, trudniejszym od uchwycenia. Obraz za-mazywał się, szczegóły znikały: nic dziwnego, że jego poezja zeszła na psy. Nie mógł też polegać na swoim słuchu. W ten sposób wkrótce utrata zmysłów zupełnie odetnie go od świata. . . lecz być może nie wystarczy na to czasu. Mahound nadchodzi. Być może nigdy już nie uda mu się pocałować żadnej kobiety. Mahound, Mahound. Dlaczego ten gadatliwy pijak przyszedł do mnie, myślał ze złości ą. Co ja mam wspólnego z jego zdrad ą? Wszyscy wiedz ą, dlaczego przed wielu laty pisałem te satyry; on musi wiedzieć. Jak Abu Simbel terroryzował i groził. Nie mog ą poci ągn ąć mnie do odpowiedzialności. A w ogóle: kim on jest, ten zadzie-raj ący nosa, naigrawaj ący się cudowny chłopiec, Baal o ostrym języku? Ja go nie rozpoznaję. Popatrzcie na mnie: ciężki, tępy, krótkowzroczny, wkrótce ogłuchnę.Komu zagrażam? Żadnej żywej duszy. Zacz ął trz ąść Salmanem: obudź się, nie chcę, by uważano nas za wspólników, wpakujesz mnie w tarapaty.Pers w dalszym ci ągu chrapał, siedz ąc na podłodze z szeroko rozrzuconymi nogami, wsparty plecami o ścianę, z głow ą zwieszon ą na bok jak u kukiełki; Ba-al, umęczony bólem głowy, opadł z powrotem na łóżko. Jego wersety, myślał, jak one brzmiały? Jakiego rodzaju ide ˛

a, do cholery, nie może nawet przypomnieć ich sobie należycie wydaje się dzisiaj Uległość, tak, chyba coś w tym rodzaju, po tak długim czasie prawie już nie dziwi, że to idea, która ucieka, tak czy inaczej to jest koniec. Mahoundzie, każdej nowej idei zadaje się dwa pytania. Kiedy jest słaba: czy pójdzie na kompromis? Znamy odpowiedź na to pytanie. A teraz, Mahoundzie, jako że wracasz do Dżahilijji, czas na drugie pytanie. Jak postępujesz, kiedy zwyciężasz? Kiedy wrogowie s ą zdani na twoj ą łaskę i niełaskę i kiedy twoja władza staje się absolutna: co wtedy? My wszyscy zmieniliśmy się: wszyscy oprócz Hind. Która zdaje się, bior ąc pod uwagę to, co mówi ten pijak, bardziej przypominać kobietę z Jasrib niż z Dżahilijji. Nic dziwnego, że wy dwoje nie mogliście się pogodzić: ona nie byłaby ci ani matk ą, ani dzieckiem.Dryfuj ąc w kierunku snu, Baal rozmyślał o swojej bezużyteczności, o swojej zbankrutowanej sztuce. Teraz, gdy zrezygnował z wszelkich publicznych występów, jego wiersze przepełnione były poczuciem utraty: młodości, piękna, miłości, zdrowia, niewinności, celu, energii, pewności, nadziei. Utraty wiedzy. Utraty pieniędzy. Utraty Hind. W każdej z jego ód ktoś go opuszczał, i im żarliwiej nawoły-wał, tym prędzej odchodzili. Krajobrazem jego poezji pozostawała wci ąż pustynia, ruchome wydmy z pióropuszami białego piasku wzbijaj ącymi się z ich wierz-chołków. Sypkie góry, nie ukończone podróże, nietrwałość namiotów. Jak sporz ądzić mapę kraju, który codziennie ujawnia nowe formy? Stawianie takich pytań czyniło jego język zbyt abstrakcyjnym, jego obrazowanie — zbyt płynnym, je-go metrum — zbyt nieregularnym. Wskutek tego tworzył formy-chimery, o lwich 310

głowach, koźlich tułowiach i wężowych ogonach, niemożliwości, których kształty uważały, że powinny zmieniać się natychmiast po złożeniu razem, tak więc gmin-ność zakłóciła klasyczn ą czystość wersu, a obrazy miłości były stale ośmieszane przez wszechobecny element farsy. Nikt nie przepada za takimi rzeczami, myślał po raz tysi ąc pierwszy, i kiedy wreszcie zaczęła go ogarniać nieświadomość, pocieszył się wnioskiem: Nikt mnie nie pamięta. Bezpieczeństwo leży w zapo-mnieniu. A wtedy jego serce pomyliło się o jedno uderzenie i od razu się obudził, przerażony, zmarznięty. Mahoundzie, być może ograbię cię z twojej zemsty. Przez resztę nocy nie zmrużył oka, przysłuchuj ąc się oceanicznemu falowaniu Salma-nowego chrapania.Gibril wyśnił ogniska obozowe:

Słynna i nieoczekiwana postać przechodzi pewnej nocy pomiędzy ogniskami obozu armii Mahounda. Być może z powodu ciemności — lub też ze względu na nieprawdopodobieństwo jego obecności tutaj, wydaje się, że naczelnik Dżahilijji odzyskał, w tym końcowym momencie swojej władzy, część siły, jak ą miał

w młodości. Przybył sam i jest prowadzony przez Chalida, ongisiejszego nosiwo-dę, i Bilala, byłego niewolnika, do kwatery Mahounda.Następnie Gibril wyśnił powrót Abu Simbela do domu: Miasto wrze od plotek, przed domem zebrał się tłum. Po pewnym czasie można dosłyszeć gniewny, podniesiony głos Hind. Potem na górnym balkonie ukazuje się sama Hind i domaga się, by tłum rozerwał jej męża na drobne strzępy. Obok niej pojawia się Naczelnik; i przyjmuje głośne, upokarzaj ące uderzenie w oba policzki od swojej kochaj ącej żony. Hind odkryła, że mimo wszystkich wysiłków, nie jest w stanie przeszkodzić Naczelnikowi w poddaniu miasta Mahoundowi.Ponadto: Abu Simbel przyj ął wiarę.Simbel, choć pokonany, niemal całkowicie pozbył się pokornej do niedawna postawy. Pozwala, by Hind biła go po twarzy, a następnie spokojnie przemawia do tłumu. Mówi: Mahound obiecał, że wszyscy, którzy znajduj ą w obrębie murów Abu Simbela, zostan ą oszczędzeni. — Tak więc chodźcie wszyscy i przyprowadź-cie swoje rodziny.Hind przemawia w imieniu rozjuszonego tłumu. — Ty stary głupcze. Ilu obywateli pomieści jeden dom, choćby taki jak ten? Dobiłeś targu, aby ocalić własn ą głowę. Niech cię rozszarpi ą i rzuc ą w mrowisko.Abu Simbel jest nadal łagodny. — Mahound obiecuje również, że ci wszyscy, których zastanie w domach, za zamkniętymi drzwiami, będ ą bezpieczni. Jeżeli nie chcecie przyjść do mojego domu, idźcie wobec tego do swoich; i czekajcie.Trzeci raz jego żona usiłuje podburzyć tłum przeciw niemu; zamiast miłości, balkonowa scena nienawiści. Nie może być żadnych kompromisów z Mahoundem, krzyczy, nie wolno mu wierzyć, ludzie musz ą obalić władzę Abu Simbela 311

i przygotować się do walki, do ostatniego mężczyzny, ostatniej kobiety. Ona sama jest gotowa walczyć ramię w ramię z nimi i umrzeć za wolność Dżahilijji. — Czy po prostu legniecie u stóp tego fałszywego proroka, tego Dadżdżala? Czy można spodziewać się honorowego postępowania po człowieku, który przygotowuje się do ataku na swoje rodzinne miasto? Czy można mieć nadzieję na uzyskanie kompromisu od bezkompromisowego, litości od bezlitosnego? My jesteśmy potężny-mi Dżahilijjanami i nasze boginie, wspaniałe w walce, zwycięż ą. — Nakazuje im walczyć w imię Al-Lat. Ludzie jednak zaczynaj ą się rozchodzić.M ąż z żon ą stoj ą na balkonie i ludzie widz ą ich wyraźnie. Przez tyle lat miasto patrzyło w tych dwoje jak w swoje zwierciadło, a ponieważ ostatnio Dżahilijjanie woleli odbicie Hind niż siwiej ącego Abu Simbela, doznali teraz potężnego wstrz ąsu. Naród, który pozostawał tak długo w przekonaniu o swojej wielkości i niezwyciężoności, który zdecydował się uwierzyć w ten mit wbrew wszelkim dowodom, jest narodem pozostaj ącym w szponach jakiegoś snu lub szaleństwa.Teraz, gdy Naczelnik obudził ich z tego snu, stoj ą zdezorientowani, przeciera-j ą oczy, pocz ątkowo nie mog ąc uwierzyć — jeżeli jesteśmy tacy potężni, wobec tego w jaki sposób upadliśmy tak szybko, tak całkowicie? — a potem przychodzi wiara i pokazuje im, że pewność siebie była zbudowana na piasku, na pasji brzmi ącej w oświadczeniach Hind i prawie na niczym więcej. Porzucaj ą j ą, a wraz z ni ą nadzieję. Pogr ążaj ąc się w rozpaczy, mieszkańcy Dżahilijji id ą do domów pozamykać drzwi na klucz.Ona wrzeszczy na nich, błaga, rozpuszcza swoje włosy. — Przyjdźcie do Do-mu Czarnego Kamienia! Przyjdźcie i złóżcie ofiarę Lat! — Oni jednak już poszli.A Hind i Abu Simbel stoj ą sami na swoim balkonie, podczas gdy w całej Dżahilijji zapada całkowita cisza, miasto pogr ąża się w absolutnym bezruchu, Hind opiera się o ścianę swojego pałacu i zamyka oczy.To koniec. Abu Simbel mamrocze cicho: — Niewielu z nas ma tyle powodów do strachu przed Mahoundem co ty. Jeżeli jadasz na surowo, bez odrobiny soli czy czosnku, wnętrzności czyjegoś ukochanego wuja, nie zdziw się, jeżeli on z kolei uzna cię za kawał mięsa. — Następnie zostawia j ą i schodzi na dół, idzie ulicami, z których zniknęły nawet psy, aby otworzyć bramy miejskie.Gibril wyśnił świ ątynię:

Tuż przy otwartych bramach Dżahilijji stała świ ątynia Uzzy. I Mahound rzekł

Chalidowi, który dawniej był nosiwod ą, a obecnie nosi większe ciężary: — Idź

i oczyść to miejsce. — Tedy Chalid z sił ą mężów ruszył na świ ątynię, albowiem Mahounda mierziło wchodzenie do miasta, póki takie paskudztwa stały przy jego bramach.Kiedy strażnik świ ątyni, który był z Bałwochwalców, zobaczył, że zbliża się Chalid z niezliczonym tłumem żołnierzy, wyj ął swój miecz i podszedł do pos ągu 312

bogini. Po odmówieniu ostatnich modlitw powiesił miecz na jej szyi, mówi ąc:

— Jeśliś w istocie bogini ą, Uzzo, obroń siebie i twojego sługę przed przybyciem Mahounda. — Wtedy Chalid wszedł do świ ątyni i kiedy bogini nie poruszyła się, strażnik powiedział: — Teraz zaiste wiem, że Bóg Mahounda jest prawdziwym Bogiem, a ten głaz jedynie głazem. — I Chalid rozbił świ ątynię i bożka i wrócił do Mahounda siedz ącego w swoim namiocie. A Prorok zapytał: — Cóżeś widział?— Chalid rozłożył ręce. — Nic — odpowiedział. — Tedyś jej nie zgładził —

zakrzykn ął Prorok. — Idź raz jeszcze i doprowadź swoje dzieło do końca. — Tak więc Chalid powrócił do zburzonej świ ątyni i tam olbrzymia kobieta, cała czarna z wyj ątkiem długiego szkarłatnego języka, wybiegła mu naprzeciw, naga od stóp do głów, z kruczoczarnymi włosami spływaj ącymi aż do kostek. Zbliżywszy się do niego, zatrzymała się i wyrecytowała strasznym głosem pełnym siarki i ognia piekielnego: — Słyszeliście o Lat, i Uzzie, i Manat, tej Trzeciej, tej Innej? S ą one Wywyższonymi Ptakami. . . — Ale Chalid przerwał jej, mówi ąc: — Uzzo, s ą to diabelskie wersety, a tyś jest cór ą Diabła, stworzeniem, któremu należy się nie boska cześć, lecz potępienie. — Wyci ągn ął więc miecz i powalił j ą.I powrócił do Mahounda w jego namiocie i opowiedział, co ujrzał. A Prorok odrzekł: — Teraz możemy wejść do Dżahilijji — i powstali, i weszli do miasta, i wzięli je we władanie w Imię Najwyższego, Niszczyciela Istot Ludzkich.

\* \* \*Ilu bożków w Domu Czarnego Kamienia? Zapamiętajcie: trzystu sześćdziesięciu. Bóg-słońce, orzeł, tęcza. Kolor Hubal. Trzystu sześćdziesięciu czeka na Mahounda, wiedz ąc, że nie zostan ą oszczędzeni. I nie s ą: ale nie traćmy tam czasu. Pos ągi upadaj ą; kamień pęka; co miało być dokonane, jest dokonane.

Mahound, po oczyszczeniu Domu, rozbija swój namiot na terenie dawnego jarmarku. Ludzie tłocz ą się wokół namiotu, przyjmuj ąc zwycięsk ą wiarę. Uległość Dżahilijji: to również jest nieuchronne i nie można z tym zwlekać.Kiedy tak Dżahilijjanie pochylaj ą się przed nim, mamrocz ąc słowa, które ura-tuj ą im życie, nie ma Boga oprócz Al-laha, Mahound szepcze do Chalida. Ktoś nie przyszedł uklękn ąć przed nim; ktoś od dawna oczekiwany. — Salman — chce wiedzieć prorok. — Czy go znaleziono?— Jeszcze nie. Ukrywa się; lecz to nie potrwa długo.Chwilowe zamieszanie. Kobieta z zakryt ą twarz ą klęka przed nim, całuj ąc je-go stopy. — Przestań — nakazuje jej. — Wielbić należy tylko Boga. — Ależ, cóż to za niezwykłe stopo-całowanie! Palec po palcu, staw po stawie, kobieta liże, całuje, ssie. A Mahound, zbity z tropu, powtarza: — Przestań. To niestosowne —

313

Teraz jednak kobieta zajmuje się podeszwami jego stóp, obj ąwszy dłońmi jego piętę. . . On, zażenowany, kopie noga, trafiaj ą w szyję. Ona upada, kaszle, a następnie pada na twarz przed nim i mówi mocnym głosem: — Nie ma Boga oprócz Al-Laha, a Mahound jest jego Prorokiem. — Mahound uspokaja się, przeprasza, wyci ąga rękę. — Nie spotka cię żadna krzywda — zapewnia j ą. — Wszyscy, którzy ulegaj ą, zostan ą oszczędzeni. — Lecz odczuwa dziwne pomieszanie i teraz rozumie dlaczego, rozumie gniew, gorzk ą ironię w jej oszałamiaj ącej, przesadnej, zmysłowej adoracji jego stóp. Kobieta odrzuca zasłonę: Hind.— Żona Abu Simbela — oznajmia donośnie i zapada cisza. — Hind — mówi Mahound. — Ja nie zapomniałem.Lecz po dłuższej chwili, kiwa głow ą. — Okazałaś Uległość. Nie stanie ci się krzywda w moich namiotach.Następnego dnia, podczas ci ągn ących się w nieskończoność nawróceń, przed oblicze Proroka zostaje przy wleczony Pers Salman. Chalid wprowadza do namiotu skulonego, skoml ącego z bólu imigranta, ci ągn ąc go za ucho i przyciskaj ąc nóż do jego gardła.— Znalazłem go, gdzieżby indziej, u kurwy, która darła się na niego, bo nie miał pieniędzy, aby jej zapłacić. Śmierdzi alkoholem.— Salmanie Persie. — Prorok przystępuje do wygłaszania wyroku śmierci, lecz więzień zaczyna wykrzykiwać kalimę, wyznanie wiary:

— La ilaha ilallah! La ilaha!Mahound kręci głow ą. — Twoje bluźnierstwo, Salmanie, jest niewybaczalne.Czy łudziłeś się, że się nie zorientuję? Stawiać swoje słowa przeciw słowom Boga.Skryba, kopacz rowów, skazaniec: niezdolny, by zdobyć się na najmniejszy choćby okruch godności, beczy skamle błaga bije w pierś poniża się żałuje. Chalid mówi: — Ten hałas jest nie do wytrzymania, Posłańcze. Czyż nie mógłbym obci ąć mu głowy? — Na co hałas wzmaga się. Salman ręczy za swoj ą odnowion ą lojalność, w dalszym ci ągu błaga, po czym, w błysku rozpaczliwej nadziei, występuje z propozycj ą. — Mogę wam wskazać miejsce, gdzie jest wasz prawdziwy wróg. — Zyskuje w ten sposób kilka sekund. Prorok pochyla głowę. Chalid ci ągnie klęcz ącego Salmana, szarpi ąc go za włosy: — Jaki wróg? — I Salman wymienia imię. W miarę jak powraca mu pamięć, Mahound coraz głębiej zapada w poduszki.— Baal — mówi, i powtarza dwukrotnie: — Baal, Baal.Ku wielkiemu rozczarowaniu Chalida, Pers Salman nie zostaje skazany na śmierć. Wstawia się za nim Bilal, a Prorok, nieobecny duchem, zgadza się: tak, tak, niech ten żałosny człek sobie żyje. O, wspaniałomyślna Uległości! Hind została oszczędzona; i Salman; i w całej Dżahaliji nie wyważono ani jednych drzwi, ani jeden z dawnych wrogów nie został wywleczony z domu i nie zgin ął, zarżnię-314

ty jak kurczak, na zakurzonej ulicy. Oto odpowiedź Mahounda na drugie pytanie: Co się dzieje, kiedy zwyciężasz? Lecz jedno imię prześladuje Mahounda, skacze wokół niego, młode, bystre, wskazuj ące długim pomalowanym palcem, wyśpiewuj ące wersety, których okrutna doskonałość sprawia ból. Wieczorem, kiedy su-plikanci już sobie poszli, Chalid pyta Mahounda: — Wci ąż myślisz o nim? —

Posłaniec kiwa głow ą, ale nie odzywa się. Chalid mówi: — Zmusiłem Salmana, żeby mnie zaprowadził do jego domu, nory, lecz nie było go tam, gdzieś się ukrywa. — Ponowne skinienie głow ą, ale bez słowa. Chalid naciska: — Chcesz, abym go wydobył spod ziemi? Uwinę się w mig. Co chcesz, by mu się stało? To? To?— Chalid najpierw przesuwa palcem po szyi, a następnie dźga nim w swój pępek.Mahound traci cierpliwość. — Jesteś głupcem — krzyczy do byłego nosiwody, będ ącego obecnie szefem sztabu jego wojsk. — Czy nie potrafisz niczego zrobić bez mojej pomocy?Chalid oddaje pokłon i wychodzi. Mahound zasypia: jego cenny talent, sposób na zły humor.

\* \* \*Lecz Chalid, naczelny dowódca wojsk Mahounda, nie odnalazł Baala. Pomimo rewizji przeprowadzonej dom po domu, obwieszczeń, poruszenia nieba i ziemi, poety nie udało się aresztować. A usta Mahounda pozostały zamknięte, nie wydobyło się z nich ani jedno życzenie. W końcu, nie bez rozdrażnienia, Chalid zaniechał poszukiwań. — Niech tylko ten skurwysyn wychyli głowę, choćby raz tylko, kiedykolwiek — zaklinał się w pełnym miękkości i cieni namiocie Proroka.

— Potnę go na tak cienkie plasterki, że będzie można przez nie patrzeć.Wydawało się Chalidowi, że Mahound jest rozczarowany; ale w mroku namiotu trudno to było stwierdzić z cał ą pewności ą.

\* \* \*Dla Dżahilijji rozpoczęło się nowe życie: wezwanie do modlitwy pięć razy dziennie, żadnego alkoholu, żony pod kluczem. Hind ukryła się w swoich pokojach. . . ale gdzie jest Baal?

Gibril wyśnił zasłonę:

Zasłona, Hidżab, tak ą nazwę przybrał najpopularniejszy dom publiczny 315

w Dżahilijji, olbrzymi pałac z palmami daktylowymi wokół fontann na dziedziń-cach, otoczonych podzielonymi na małe pomieszczenia budynkami poł ączonymi ze sob ą według oszałamiaj ących mozaikowych wzorów; przez podwórce prze-biegały zawiłe korytarze, którym celowo nadano podobny wygl ąd, na ścianach każdego wykaligrafowano identyczne inwokacje do Miłości, każdy wyłożony takimi samymi dywanami, w każdym duża kamienna urna oparta o ścianę. Żaden z klientów Zasłony nie potrafił bez pomocy znaleźć drogi, ani do apartamentów swojej ulubionej kurtyzany, ani też z powrotem na ulicę. W ten sposób dziewczęta były chronione przed niepoż ądanymi gośćmi, poza tym dawało to gwarancję, że gość zapłaci przed opuszczeniem przybytku. Olbrzymi czerkiescy eunuchowie, ubrani w niedorzeczne stroje dżinnów od cudownej lampy, odprowadzali gości do celu, a następnie z powrotem, czasami przy pomocy kłębka nici. Był to miękki, pozbawiony okien świat draperii, rz ądziła nim bardzo stara bezimienna Madam, Pani Zasłony, której gardłowe komunikaty wychodz ące z tajemniczego miejsca osłoniętego płachtami czarnej tkaniny nabierały z biegiem czasu charakteru przepowiedni. Ani jej personel, ani klienci nie śmieli nie spełniać rozkazów tego sy-billińskiego głosu, który był, poniek ąd, świeck ą i bluźniercz ą antytez ą świętych wypowiedzi Mahounda wygłaszanych w większym i bardziej dostępnym namiocie, niezbyt oddalonym od tego miejsca. Tak więc, kiedy zaszczuty poeta Baal upadł przed ni ą na twarz i błagał o pomoc, jej decyzja, by go ukryć i ocalić mu życie, przejaw nostalgii za pięknym, pełnym życia i złośliwym młodzieńcem, którym kiedyś był, została przyjęta bez zastrzeżeń; i kiedy żołnierze Chalida przyszli, by przeszukać pomieszczenia, eunuchowie poprowadzili ich w przyprawiaj ą-c ą o zawrót głowy podróż wokół tych naziemnych katakumb pełnych sprzecznych i koliduj ących ze sob ą szlaków, aż w końcu żołnierze byli kompletnie skołowa-ni i po zagl ądnięciu do trzydziestu dziewięciu kamiennych urn i znalezieniu tam jedynie maści i marynat, wyszli, przeklinaj ąc siarczyście, nawet przez chwilę nie podejrzewaj ąc, że istnieje jeszcze czterdziesty korytarz, którym ich ani razu nie poprowadzono, oraz czterdziesta urna, wewn ątrz której ukrywa się, jak złodziej, trzęs ący się i coraz to mocz ący swoj ą piżamę poeta, którego szukali.Po tym wydarzeniu Madam kazała eunuchom farbować skórę poety, aż stała się ciemnoniebieska, jego włosy również, a włożywszy na niego pantalony i turban dżinna, kazała mu rozpocz ąć intensywny kurs kulturystyki, ponieważ swoim fatalnym wygl ądem z pewności ą wzbudzi podejrzenia, jeśli szybko nie przybędzie mu mięśni.316

\* \* \*

Pobyt Baala w Zasłonie bynajmniej nie odci ął go od informacji o wydarze-niach w świecie na zewn ątrz; w rzeczy samej, wprost przeciwnie, gdyż wykonuj ąc swoje obowi ązki eunucha stał na straży komnat przyjemności i słyszał plotki przynoszone przez klientów. Całkowita niedyskrecja ich języków, sprowokowana przez pieszczoty kurew, daj ących im radosne uniesienie oraz świadomość, że ich tajemnice nie zostan ą zdradzone, umożliwiała podsłuchuj ącemu poecie, krótko-wzrocznemu i słabo słysz ącemu, lepszy wgl ąd we współczesne sprawy niż ten, który by uzyskał, gdyby nadal wolno mu było wędrować po ulicach purytańskiego od niedawna miasta. Głuchota była czasami kłopotliwa; powodowała braki w jego wiedzy, ponieważ klienci często zniżali głos i szeptali; lecz zmniejszała ona również do minimum element lubieżności w podsłuchiwaniu, gdyż omijały go odgłosy towarzysz ące nierz ądowi, z wyj ątkiem, oczywiście, tych momentów, w których ekstatyczni klienci lub symuluj ące pracownice podnosili głos w okrzy-kach prawdziwej lub syntetycznej radości.Oto, czego Baal dowiedział się w Zasłonie:

Od zrzędliwego rzeźnika Ibrahima pochodziła wiadomość, że pomimo wprowadzenia zakazu na wieprzowinę, powierzchownie nawróceni mieszkańcy Dżahilijji tłumnie przychodzili do jego sklepu od tyłu, żeby potajemnie kupić zakazane mięso. — Obroty rosn ą — mówił półgłosem, wchodz ąc na swoj ą wybran ą damę

— ceny wieprzowiny na czarno s ą wysokie; ale niech to cholera, te nowe przepisy bardzo utrudniły mi pracę. Świnia nie jest zwierzęciem, które łatwo zarżn ąć po kryjomu, bez hałasu — i tutaj sam zacz ął kwiczeć, z powodu, należy przypuszczać, przyjemności raczej niż bólu. A sklepikarz, Musa, przyznał się innej osobie z poziomego personelu Zasłony, że trudno jest skończyć ze starymi przyzwycza-jeniami i że kiedy jest pewny, że nikt nie podsłuchuje, wci ąż odmawia jedn ą lub dwie modlitwy do — mojej ulubienicy, Manat, a czasami, cóż zrobić, również do Al-Lat; nie ma to jak boginie, maj ą takie atrybuty, że gdzie tam chłopakom do nich — po czym również on padał z ochot ą na ziemskie imitacje tych atrybutów.A więc zwiędły, więdn ący Baal dowiedział się, w swojej udręce, że żadne imperium nie jest absolutne ani żadne zwycięstwo całkowite. I stopniowo zaczęto krytykować Mahounda.Baal zacz ął się zmieniać. Wiadomość o zburzeniu wielkiej świ ątyni Al-Lat w Taif, która dotarła do jego uszu w przerwach między chrz ąknięciami pok ątnego rzeźnika Ibrahima, pogr ążyła go w głębokim smutku. Ponieważ nawet w okresie największego nasilenia młodzieńczego cynizmu, miłość, jak ą żywił dla tej bogini, była niekłamana, być może była jedynym jego prawdziwym uczuciem i jej upadek odsłonił przed nim pustkę życia, w którym jedyny szczery sentyment żywił

317

dla kupy kamieni, która nie potrafiła walczyć we własnej obronie. Kiedy stępiła się ostra krawędź żalu, Baal doszedł do przekonania, że upadek Al-Lat oznacza, że być może jego własny koniec jest bliski. Stracił to dziwne poczucie bezpieczeństwa, jakie na krótko zaszczepiło w nim przebywanie w Zasłonie; jednak powracaj ąca świadomość jego własnej tymczasowości, pewnego odkrycia, po którym następowała równie pewna śmierć, o dziwo, wcale go nie przeraziła. Przeżywszy całe życie jako zdeklarowany tchórz, teraz ze zdumieniem stwierdził, że poczucie zbliżaj ącej się śmierci naprawdę pozwala mu delektować się słodkim smakiem istnienia, i zastanawiał się nad paradoksem, jakim było dostrzeżenie przez niego prawdy w tym domu kosztownych kłamstw. A co było t ą prawd ą? To, że Al-Lat nie żyje — nigdy nie żyła — lecz nie czyniło to Mahounda od razu prorokiem.Krótko mówi ąc, Baal stał się bezbożny. Potykaj ąc się wyruszył w drogę prowadz ąc ą poza ideę bogów i przywódców, i przepisów; zacz ął dostrzegać również, że jego historia tak spl ątała się z histori ą Mahounda, że konieczne jest jakieś wielkie rozwi ązanie. To, że takie rozwi ązanie najprawdopodobniej będzie oznaczało jego śmierć, ani go zbytnio nie oburzało, ani nie martwiło; i kiedy sklepikarz Musa wspomniał któregoś dnia o dwunastu żonach Proroka, narzekaj ąc: jedne przepisy dla niego, inne dla nas, Baal zrozumiał, jak ą formę będzie musiała przybrać jego ostateczna konfrontacja z Uległości ą.Dziewczęta w Zasłonie — było spraw ą zupełnie umown ą, że nazywano je

„dziewczętami”, ponieważ najstarsza była kobiet ą dobrze po pięćdziesi ątce, natomiast najmłodsza, maj ąc lat piętnaście, była bardziej doświadczona niż niejedna pięćdziesięciolatka — polubiły tego powłócz ącego nogami Baala, w rzeczy samej sprawiało im radość, że maj ą przy sobie eunucha-który-nim-nie-jest i nieraz po godzinach pracy drażniły go wybornie, ostentacyjnie wystawiaj ąc na pokaz swoje ciała, przyciskaj ąc swoje piersi do jego ust, oplataj ąc go nogami, całuj ąc się namiętnie niecały centymetr od jego twarzy, aż w końcu ziemistoskóry poeta był beznadziejnie pobudzony; śmiały się wówczas z jego sztywności i zwodz ąc go, doprowadzały do rozedrganego wstydliwego ust ąpienia; lub, bardzo rzadko, kiedy już przestał mieć jak ąkolwiek nadzieję, delegowały jedn ą spośród siebie, aby zaspokoiła, nieodpłatnie, ż ądzę, któr ą rozbudziły. I tak, podobny do krótko-wzrocznego obłaskawionego byka, spędzał poeta te dni, kład ąc głowę na kolanach kobiet, rozważaj ąc o śmierci i zemście i nie mog ąc zdecydować, czy jest najbardziej zadowolonym, czy też najnieszczęśliwszym z mężczyzn.Właśnie podczas jednej z takich swawolnych sesji pod koniec dnia pracy, kiedy dziewczęta były sam na sam z eunuchami i winem, Baal usłyszał, że najmłodsza opowiada o kliencie, sklepikarzu Musie. — Ach, ten! — powiedziała. — On ma bzika na punkcie żon Proroka. Tak mu nie daj ą spokoju, że podnieca go już samo wymawianie ich imion. Mówi, że ja osobiście jestem kropka w kropkę podobna do samej Aiszy, a ta jest ulubienic ą Ważniaka, jak nam wszystkim dobrze wiadomo. I kropka.318

Pięćdziesięcioletnia kurtyzana wtr ąciła się do rozmowy. — Słuchajcie, kobiety w tym haremie, mężczyźni obecnie o niczym innym nie mówi ą. Nic dziwnego, że Mahound trzyma je pod kluczem, ale to tylko pogarsza sprawę. Ludzie fantazjuj ą więcej na temat czegoś, czego nie mog ą zobaczyć.Zwłaszcza w tym mieście, pomyślał Baal; przede wszystkim w naszej wyuz-danej Dżahilijji, gdzie aż do przybycia Mahounda i jego księgi przepisów kobiety nosiły jasne stroje i gdzie rozmawiano jedynie o pieprzeniu i pieni ądzach, pieni ądzach i seksie, zreszt ą, nie tylko rozmawiano.Powiedział do najmłodszej dziwki: — Dlaczego nie udajesz przed nim?— Przed kim?— Przed Mus ą. Jeżeli Aisza tak go podnieca, dlaczego nie miałabyś zostać jego prywatn ą i osobist ą Aisz ą?— Boże — powiedziała dziewczyna. — Gdyby usłyszeli, co tu wygadujesz, usmażyli by ci jaja na maśle.Ile żon? Dwanaście, i jedna stara dama, zreszt ą zmarła dawno temu. Ile nierz ądnic za Zasłon ą? Znowu dwanaście; oraz ukryta na swoim tronie w czarnym namiocie, bardzo stara Madam, wci ąż opieraj ąca się śmierci. Gdzie nie ma wiary, tam nie ma i bluźnierstwa. Baal powiedział Madam o swoim pomyśle; rozstrzy-gnęła kwestię, mówi ąc głosem żaby cierpi ącej na zapalenie krtani. — To bardzo niebezpieczne — zawyrokowała — ale interes może na tym wiele zyskać. Będziemy działać ostrożnie, ale będziemy.Piętnastoletnia szepnęła coś sklepikarzowi do ucha. Od razu zaświeciły mu oczy. — Opowiedz mi wszystko — błagał j ą. — Twoje dzieciństwo, twoje ulubione zabawki, konie króla Salomona i cał ą resztę, opowiedz mi, jak grałaś na tamburynie i jak Prorok przyszedł popatrzeć. — Opowiedziała mu i wówczas zapytał j ą, jak utraciła cnotę maj ąc dwanaście lat, i powiedziała mu również o tym, a potem zapłacił podwójnie, ponieważ „było mi tak dobrze jak nigdy”. — Będziemy musiały uważać na stan twojego serca — powiedziała Madam do Baala.

\* \* \*Kiedy rozniosło się po Dżahilijji, że każda z nierz ądnic Zasłony przybrała tożsamość jednej z żon Mahounda, skryte podniecenie mężczyzn miasta znacznie się nasiliło; jednak tak bardzo obawiali się odkrycia, zarówno dlatego, że z pewności ą zginęliby, gdyby Mahound lub jego zastępcy dowiedzieli się, w jakich świę-319

tokradczych aktach uczestnicz ą, jak również dlatego, że zależało im na utrzyma-niu usług w Zasłonie, więc wiadomość utrzymano w tajemnicy przed władzami.W tym czasie Mahound powrócił z żonami do Jasrib, przedkładaj ąc chłodny klimat oaz północy nad upał Dżahilijji. Pieczę nad miastem powierzono generałowi Chalidowi, przed którym łatwo wszystko było ukryć. Przez pewien czas Mahound wahał się, czy nie powiedzieć Chalidowi, by zarz ądził zamkniecie wszystkich domów publicznych w Dżahilijji, lecz Abu Simbel odradził mu ten gwałtowny krok.— Dżahilijjanie nawrócili się niedawno — zauważył. — Nie spiesz się. — Mahound, najbardziej pragmatyczny z Proroków, zgodził się na okres przejściowy.Tak więc, pod nieobecność Proroka, mężowie Dżahilijji tłumnie szli do Zasłony, w której odnotowano trzystuprocentowy wzrost obrotów. Z oczywistych powodów nie było roztropnie ustawiać się w kolejce na ulicy, tak więc przez wiele dni sznur mężczyzn wił się wokół wewnętrznego podwórca burdelu, okr ążaj ąc centralnie położon ą Fontannę Miłości, zupełnie tak jak pielgrzymi z całkiem innych powodów kr ąż ą wokół starożytnego Czarnego Kamienia. Wszystkim klien-tom Zasłony wydawano maski i Baal, obserwuj ąc z wysokiego balkonu przesuwaj ące się wokoło zamaskowane postaci, był zadowolony. Istnieje wiele sposobów walki z Uległości ą. W następnych miesi ącach personel Zasłony naprawdę zapalił się do nowego zadania. Piętnastoletnia nierz ądnica „Aisza” cieszyła się największ ą popularności ą wśród klienteli zakładu, podobnie jak jej imienniczka u Mahounda, i podobnie jak tamta Aisza, która żyła wstrzemięźliwie w swoich apartamentach w pomieszczeniach haremu w wielkim meczecie miasta Jasrib, ta dżahilijjańska „Aisza” zaczęła być zazdrosna o daj ący jej przewagę nad innymi tytuł Najbardziej Ukochanej. Czuła się dotknięta, jeśli któraś z jej „sióstr” miała więcej gości lub otrzymywała wyj ątkowo hojny napiwek. Najstarsza, najbardziej otyła z kurew, która przyjęła imię „Sauda”, opowiadała swoim gościom, a miała ich sporo, ponieważ wielu mężczyzn Dżahiłijji wybierało właśnie j ą ze względu na jej macierzyńskie dobrotliwe usposobienie — historie o tym, jak Mahound poślubił j ą i Aiszę tego samego dnia, kiedy Aisza była jeszcze prawie dzieckiem. — W nas dwóch — mówiła, bardzo podniecaj ąc tym mężczyzn — znalazł

dwie połówki swojej zmarłej pierwszej żony: dziecko i matkę zarazem. Nierz ądnica „Hafsa” zaczęła równie łatwo wpadać w złość, jak jej imienniczka, i wraz z przejęciem przez tuzin kurew osobowości ich pierwowzorów, sojusze w burdelu stały się odbiciem politycznych koterii w meczecie w Jasrib; „Aisza” i „Hafsa”, na przykład, brały udział w niekończ ącej się rywalizacji, czasami o błahostki, z dwiema najbardziej wyniosłymi dziwkami, które pozostałe uważały za nieco zarozumiałe, a które to wybrały dla siebie najbardziej arystokratyczne tożsamości, staj ąc się „Umm Sulm ą Machzumitk ą” oraz, ta najbardziej snobistyczna ze wszystkich, „Raml ą”; jej imienniczka, jedenasta żona Mahounda, była córk ą Abu Simbela i Hind. Poza tym były jeszcze — „Zajnab bint Dżahsz” i „Dżuwajrijja”, która przyjęła imię kobiety pojmanej podczas wyprawy wojennej, oraz „Rajhana 320

Żydówka”, „Safija”, „Majmma” i najbardziej rozpustna ze wszystkich nierz ądnic, znaj ąca sztuczki, których nie chciała ujawnić swojej rywalce „Aiszy”: olśniewaj ą-ca Egipcjanka, „Maria Koptyjka”. Najdziwniejsz ą ze wszystkich była kurwa, która przybrała imię „Zajnab bint Dżahsz”, wiedz ąc, że ta żona Mahounda niedawno umarła. Nekrofilia jej kochanków, którzy zakazywali jej wykonywania jakichkolwiek ruchów, była jednym z bardziej niesmacznych aspektów nowego porz ądku w Zasłonie. Ale interes jest interesem, a kurtyzany zaspokajały wszelkie potrzeby.Pod koniec pierwszego roku dwunastka nabrała takiej wprawy w odgrywaniu swoich ról, że ich poprzednia tożsamość zaczęła zanikać. Baal, z każdym miesi ącem coraz bardziej krótkowzroczny i głuchy, widział kształty mijaj ących go dziewcz ąt, ich zamazane kontury, ich obraz w jakiś podwojony sposób, jakby jeden cień nałożono na drugi. Dziewczętom przyszły do głowy również nowe pomysły dotycz ące Baala. W owych czasach było zwyczajem, że nierz ądnica przed przyst ąpieniem do wykonywania zawodu brała sobie męża, który nie sprawiłby jej żadnego kłopotu — górę, fontannę, krzak — a dzięki któremu oficjalnie mogłaby cieszyć się tytułem kobiety zamężnej. W Zasłonie panowała zasada, że wszystkie dziewczęta poślubiaj ą Dzióbek Miłości fontanny na centralnym podwórzu, lecz obecnie bunt wisiał w powietrzu i nadszedł dzień, kiedy prostytutki poszły do Madam, aby ogłosić, że skoro teraz weszły w role żon Proroka, domagaj ą się lepszego męża, niż jakiś tam tryskaj ący kamień, co ostatecznie jest niemal bał-wochwalstwem, i by powiedzieć, że postanowiły wszystkie zostać żonami tego, który powłóczy nogami, Baala.Pocz ątkowo Madam usiłowała im to wyperswadować, lecz kiedy zobaczyła, że dziewczęta traktuj ą sprawę poważnie, przyznała im rację i nakazała posłać po poetę. Wśród chichotów i poszturchiwań dwanaście kurtyzan eskortowało powłócz ącego nogami poetę do sali tronowej. Kiedy Baal usłyszał, o co chodzi, serce zaczęło mu walić tak nierówno, że stracił równowagę i upadł, a „Aisza” krzyknęła przerażona: — O Boże, będziemy wdowami po nim, zanim staniemy się żonami.Ale przyszedł do siebie; serce uspokoiło się. I nie maj ąc innego wyjścia, przyj ął dwunastokrotne oświadczyny. Wtedy Madam udzieliła wszystkim ślubu i w tej jaskini zwyrodnialstwa Baal poeta został mężem żon byłego biznesmena, Mahounda.Jego żony dały mu następnie jasno do zrozumienia, że spodziewaj ą się, iż będzie spełniał swoje mężowskie obowi ązki co do joty i opracowały system rota-cji, według którego miał spędzać dni z każd ą z dziewczyn po kolei (W Zasłonie porz ądek dzień-noc był odwrócony, noc poświęcano na pracę, a dzień na odpoczynek). Zaledwie podj ął ten wyniszczaj ący program, zwołały one zebranie, na którym powiedziały mu, że powinien zacz ąć się zachowywać nieco bardziej jak

„prawdziwy” m ąż, to jest, Mahound. — Dlaczego nie zmienisz imienia jak my wszystkie? — pytała gderliwa „Hafsa”, lecz tutaj Baal sprzeciwił się stanowczo.— Być może nie ma powodu, by nim się pysznić — klarował — ale to moje imię.321

A poza tym, ja nie pracuję tu z klientami. Nie ma żadnego zawodowego uzasad-nienia dla takiej zmiany. — Cóż, tak czy owak — zmysłowa „Maria Koptyjka”wzruszyła ramionami — z imieniem czy bez, chcemy, abyś zacz ął zachowywać się jak on.— Nie wiem wiele o. . . — Baal chciał protestować, ale „Aisza”, która naprawdę była najbardziej ponętna z nich wszystkich, albo tak zaczęło mu się ostatnio wydawać, wydęła czaruj ąco wargi. — Naprawdę, mężu — namawiała przymila-j ąc się. — To nie takie trudne. Po prostu chcemy, abyś tak się zachowywał, wiesz.B ądź tu szefem.Okazało się, że kurwy z Zasłony s ą najbardziej staroświeckimi i konwencjo-nalnymi kobietami w Dżahilijji. Ich praca, która tak łatwo mogła zmienić je w cyniczne i pozbawione złudzeń istoty (oczywiście, potrafiły zabawiać się najdzik-szymi myślami o swoich gościach), miast tego uczyniła je marzycielkami. Odcięte od świata zewnętrznego, stworzyły sobie fantazję „normalnego życia”, w którym nie chciały niczego innego, jak być posłusznymi, i — o, tak — uległymi towa-rzyszkami życia mężczyzny, który byłby m ądry, kochaj ący, silny. Innymi słowy: całe lata spędzone na odgrywaniu fantazji mężczyzn wkradły się w końcu do ich marzeń i zmieniły je, w wyniku czego nawet w najtajniejszych głębiach swoich dusz pragnęły przemienić się w najstarsz ą ze wszystkich męskich fantazji. Dodatkowy posmak pikanterii, zwi ązany z parodiowaniem prywatnego życia Proroka, wprowadził ich wszystkich w stan najwyższego podniecenia i rozbawiony Baal odkrył sytuację, w której dwanaście kobiet zabiega o jego względy, o przywilej jego uśmiechu, obmywaj ąc mu stopy, wycieraj ąc je swoimi włosami, smaruj ąc olejkami jego ciało i tańcz ąc dla niego, i na tysi ąc innych sposobów odgrywaj ąc sceny z wymarzonego małżeństwa, którego nigdy nie spodziewały się zaznać.Nie można było się temu oprzeć. Powoli odnajdywał w sobie śmiałość, aby wydawać im rozkazy, rozs ądzać spory pomiędzy nimi, karać je, kiedy był zły.Raz, gdy rozgniewały go ich kłótnie, na cały miesi ąc obłożył je kl ątw ą. Kiedy poszedł do „Aiszy” po dwudziestu dziewięciu nocach, dogadywała mu, że nie mógł

wytrzymać bez nich. — Ten miesi ąc miał tylko dwadzieścia dziewięć dni — odpowiedział. Innym razem został przyłapany przez „Hafsę” z „Mari ą Koptyjk ą”, i to w pokojach „Hafsy”, a w dzień „Aiszy”. Błagał „Hafsę”, aby nie informowała jego ukochanej „Aiszy”, lecz ta i tak doniosła i Baal przez dłuższy czas musiał

trzymać się z dala od „Marii” o jasnej skórze i kędzierzawych włosach. Krótko mówi ąc, uległ pokusie stania się zakonspirowanym świeckim odbiciem Mahounda; i znów zacz ął pisać.Były to najsłodsze strofy, jakie kiedykolwiek stworzył. Czasami, kiedy był

z „Aisz ą”, czuł, że nadchodzi jakaś ospałość, ociężałość i musiał się wtedy położyć. — To dziwne — powiedział jej. — To tak, jak gdybym widział siebie samego stoj ącego obok. I mogę sprawić, by on przemówił; wtedy wstaję i zapisuję jego wiersze. — Ta artystyczna ociężałość Baala była przedmiotem wielkiego podzi-322

wu ze strony jego żon. Kiedyś, zmęczony, przysn ął w fotelu w pokojach „Umm Sulmy Machzumitki”. Kiedy się obudził kilka godzin później, całe ciało miał obolałe, kark i ramiona zdrętwiałe i zwymyślał „Umm Sulmę”: — Dlaczego mnie nie obudziłaś? — Odpowiedziała: — Bałam się, myślałam, że może przychodz ą do ciebie wiersze. — Pokręcił głow ą. — O to się nie martw. Jedyn ą kobiet ą, w której towarzystwie przychodz ą do mnie wiersze, jest „Aisza”, a nie ty.

\* \* \*W dwa lata i jeden dzień po sprowadzeniu się Baala do Zasłony, jeden z klientów Aiszy rozpoznał go pomimo farbowanej skóry, pantalonów i ćwiczeń kultury-stycznych. Baal stał na zewn ątrz pokoju Aiszy, kiedy wyszedł od niej klient, wskazał wprost na niego i krzykn ął: — A więc to tutaj się ukryłeś! — Wybiegła Aisza, przerażenie malowało się w jej oczach. Lecz Baal krzykn ął: — W porz ądku. On nie narobi nam kłopotów. — Zaprosił Persa Salmana do swoich apartamentów i odkorkował butelkę słodkiego wina z całych, nie rozgniatanych winogron, które Dżahilijjanie zaczęli robić, kiedy stwierdzili, że nie jest ono zakazane przez to, co zaczęto nazywać pogardliwie Księg ą Przepisów.

— Przyszedłem, bo ostatecznie opuszczam to piekielne miasto — powiedział

Salman — i chciałem przeżyć w nim choć jedn ą przyjemn ą chwilę po tych wszystkich gównianych latach. — Po tym, kiedy Bilal wstawił się za nim w imię ich starej przyjaźni, imigrant znalazł pracę kopisty listów i skryby do wszystkiego, siedz ąc na poboczu głównej ulicy w dzielnicy finansistów. Żar słońca nadał blask jego cynizmowi i rozpaczy. — Ludzie pisz ą, aby kłamać — powiedział, pij ąc pospiesznie. — A więc zawodowy kłamca może świetnie zarobić. Moje listy miłosne i korespondencja handlowa szybko zasłynęły jako najlepsze w mieście, dzięki darowi wymyślania pięknych kłamstw, opartych na nieznacznych odstępstwach od prawdy. Skutkiem tego już po dwóch latach zd ążyłem zebrać odpowiedni ą sumkę na podróż do domu. Dom! Kraj rodzinny! Ruszam jutro, najwyższy czas.Po opróżnieniu butelki Salman powrócił znów, tak jak przewidywał Baal, do przyczyny wszystkich swoich kłopotów, do Posłańca i jego posłania. Opowiedział Baalowi o kłótni między Mahoundem i Aisz ą, opieraj ąc się na pogłoskach, jak gdyby były one niezaprzeczalnymi faktami. — Ta dziewczyna nie mogła pogodzić się z myśl ą, że jej m ąż poż ąda tylu innych kobiet — powiedział. — Prawił

jej o konieczności, sojuszach politycznych i tak dalej, ale nie dała się okpić. Któż może j ą potępiać? W końcu wpadł w — co innego by to mogło być? — jeden ze swoich transów i powrócił z niego z posłaniem od archanioła. Gibril wygłosił

wersety daj ące mu pełne boskie poparcie. Pozwolenie samego Boga na pieprzenie 323

tylu kobiet, ile mu się tylko żywnie podoba. I co mu zrobisz: cóż mogła biedna Aisza powiedzieć, maj ąc przeciw sobie wersety Boga? Jednak wiesz chyba, co powiedziała? To: „Ależ ten twój Bóg musi się spieszyć, by pozałatwiać za ciebie wszystkie twoje sprawy”. Cóż! Gdyby to nie była Aisza, kto wie, co by uczynił, lecz na pewno żadna inna nie odważyłaby się. — Baal nie przerywał mu. Seksualne aspekty Uległości nie dawały Persowi spokoju. — Chorobliwe to, cała ta nierówność. Nic dobrego z tego nie wyniknie.W końcu Baal zaoponował i zdumiony Salman usłyszał, że poeta bierze stronę Mahounda. — Przypatrz się jego punktowi widzenia — argumentował Baal. —

Jeżeli rodziny ofiarowuj ą mu swoje córki za żony, a on odmówi, przysporzy sobie wrogów — a poza tym, jest on kimś szczególnym i można by znaleźć podstawy zastosowania specjalnych ulg — a co do zamykania ich, cóż, jaka by to była hań-ba, gdyby którejś przydarzyło się coś brzydkiego! Słuchaj, gdybyś tu mieszkał, nie uważałbyś, że pewne ograniczenia swobody seksualnej s ą nie na miejscu —

w przypadku pospólstwa, oczywiście.— Oszalałeś chyba — powiedział Salman stanowczo. — Zbyt długo nie prze-bywałeś na słońcu. Albo też to przebranie sprawia, że przemawiasz jak błazen.Baal w tym momencie miał już dobrze w czubie i rozpocz ął jak ąś ostr ą repli-kę, lecz Salman podniósł niepewn ą rękę. — Nie chcę zwady — powiedział. —

Opowiem ci zamiast tego historyjkę. Najpikantniejsz ą historię w mieście. I ma zwi ązek z tym, czo, czo mówisz.Historyjka Salmana: Aisza i Prorok pojechali w podróż do odległej wioski i w drodze powrotnej do Jasrib rozłożyli się na noc z obozem pośród wydm. Obóz zwinięto jeszcze w ciemności przed świtem. W ostatniej chwili Aisza musiała pobiec za potrzeb ą do jakiegoś dołka. W tym czasie tragarze nios ący jej lektykę podnieśli palankin i odeszli. Jest przecież lekk ą kobiet ą i nie zauważywszy specjalnie różnicy w wadze tego ciężkiego palankinu, s ądzili, że znajduje się ona w środku. Aisza powróciła z ustronia i nie zastała już nikogo. Kto wie, co mogłoby się jej przytrafić, gdyby pewien młody mężczyzna, niejaki Safwan, nie przejeżdżał przypadkowo tamtędy na swoim wielbł ądzie. . . Safwan przywiózł Aiszę do Jasrib zdrow ą i cał ą, i jeśli chodzi o ten ostatni punkt, zaczęło się mielenie ozora-mi, szczególnie w haremie gdzie jej przeciwniczki skrzętnie skorzystały z nada-rzaj ącej się sposobności na osłabienie pozycji ulubienicy. Dwoje młodych ludzi samotnie przebywało razem na pustyni przez wiele godzin i robiono aluzje, coraz głośniej i głośniej, że Safwan to dziarski przystojny facet, a Prorok jest o wiele starszy od żony i, ostatecznie, więc czyż nie mogła ona poczuć sympatii do kogoś, kto jest w jej wieku? — Prawdziwy skandal — komentował Salman, cały szczęśliwy.— Co zrobi Mahound? — dopytywał się Baal.— Och, już zrobił — odpowiedział Salman. — To samo, co zawsze. Widział się ze swoim ulubieńcem, archaniołem, a następnie poinformował każdego 324

i wszystkich, że Gibril oczyścił Aiszę z zarzutu. — Salman, człowiek bywały, rozpostarł ręce w geście rezygnacji. — I tym razem, szanowny panie, dama nie skarżyła się na dogodność wersetów.

\* \* \*Pers Salman odjechał następnego ranka z karawan ą wielbł ądów udaj ąc ą się na północ. Kiedy żegnał się z Baalem, uścisn ął poetę, ucałował w oba policzki i powiedział: — Być może masz rację. Być może lepiej jest trzymać się z dala od światła dziennego. Mam nadzieję, że ci się to uda. — Baal odpowiedział: — A ja mam nadzieję, że znajdziesz dom i pokochasz kogoś lub coś. — Salman zmieszał

się. Otworzył usta, ale rozmyślił się i odszedł.„Aisza” przyszła do pokoju Baala, aby się upewnić. — Czy nie rozgłosi tajemnicy po pijanemu? — zapytała, głaszcz ąc męża po głowie. — Przepuszcza przez siebie bardzo dużo wina.Baal powiedział: — Nic już nie będzie takie jak dawniej. — Odwiedziny Salmana obudziły go ze snu, w którym pogr ążał się stopniowo w ci ągu tych lat w Zasłonie, i teraz nie mógł już zasn ąć na nowo.— Ależ będzie — upierała się Aisza. — Będzie, zobaczysz.Baal pokręcił głow ą i wypowiedział jedyne w swoim życiu proroctwo. — Wydarzy się coś poważnego — przepowiedział. — Mężczyzna nie może w nieskończoność ukrywać się za spódnicami.Następnego dnia powrócił do Dżahilijji Mahound i żołnierze przyszli powiadomić Madam, Pani ą Zasłony, o zakończeniu okresu przejściowego. Burdele ma-j ą zostać zamknięte natychmiast. Dosyć tego dobrego. Zza swoich zasłon Madam zaż ądała, aby żołnierze wycofali się na godzinę w imię przyzwoitości, by umożliwić gościom opuszczenie zakładu i oficer dowodz ący pododdziałem był na tyle niedoświadczony, że się zgodził. Madam wysłała eunuchów, aby poinformować dziewczęta i wyprowadzili gości przez tylne wyjście. — Proszę przeprosić ich za przerwę w usługach — poleciła eunuchom — i powiedzieć, że ze względu na okoliczności nie będzie się pobierać opłaty.Były to jej ostatnie słowa. Kiedy zatrwożone, rozgadane dziewczęta weszły do sali tronowej, aby upewnić się, czy to rzeczywiście prawda, nie odpowiadała na ich przerażone pytania, czy jesteśmy bez pracy, co będziemy jadły, czy pój-dziemy do więzienia, co się z nami stanie — aż w końcu „Aisza” zdobyła się na odwagę i zrobiła to, na co żadna z nich nigdy się nie odważyła. Kiedy odrzuciła czarne zasłony, zobaczyły nieżywa kobietę o wygl ądzie dużej lalki, która równie dobrze mogła mieć pięćdziesi ąt, co i sto dwadzieścia pięć lat, wzrostu nie więk-325

szego niż metr, siedz ąc ą z podwiniętymi nogami na wymoszczonym poduszkami wiklinowym fotelu, trzymaj ąc ą w dłoni buteleczkę po truciźnie.— Skoro już zaczęłyście — powiedział Baal, wchodz ąc do pokoju — równie dobrze mogłbybyście zdj ąć wszystkie zasłony. Nie ma dłużej sensu chronić się przed słońcem.

\* \* \*Młody dowódca pododdziału, Omar, nie potrafił ukryć niezwykłej wściekłości, kiedy dowiedział się o samobójstwie szefowej burdelu. — Cóż, jeżeli nie możemy powiesić szefowej, będziemy musieli zadowolić się pracownicami —

wrzasn ął i rozkazał swoim ludziom zastosować ścisły areszt wobec „dziwek”, zadanie to wykonali z duż ą gorliwości ą. Kobiety robiły wrzawę, próbowały kopać swoich oprawców, ale eunuchowie stali nieruchomo i przygl ądali się, ani drgn ąwszy, ponieważ Omar powiedział im: — Oni chc ą wytoczyć proces tym pizdom, jeśli o was chodzi, nie mam żadnych rozkazów. A więc, jeżeli nie chcecie stracić głów, tak jak już straciliście jaja, trzymajcie się z dala od tego. — Eunuchowie nie stanęli w obronie kobiet z Zasłony, kiedy żołnierze powali je na ziemię: a między eunuchami był Baal o farbowanej skórze, ten od poezji. Tuż przed zakneblowa-niem jej ust, najmłodsza „pizda” lub „szpara” zawyła: — Mężu, na miłość Bosk ą pomóż, jeśli jesteś mężczyzn ą. — Kapitan pododdziału był rozbawiony. — Który z was jest jej mężem? — zapytał, zagl ądaj ąc uważnie w każd ą zwieńczon ą turbanem twarz. — No już, przyznać się. Chyba przyjemnie razem z żonusi ą ogl ądać sobie świat?Baal utkwił wzrok w nieskończoności, aby unikn ąć pełnych nienawiści spoj-rzeń „Aiszy” i zwężonych oczu Omam. — Czy to ty?— Wielmożny panie, pan rozumie, to po prostu takie wyrażenie — kłamał

Baal. — One lubi ą sobie żartować, te dziewczyny. One nazywaj ą nas mężami, ponieważ my, my. . .Bez ostrzeżenia Omar złapał go za genitalia i ścisn ął. — Ponieważ nie możecie nimi być — powiedział. — Mężowie. . . Dobre sobie.Kiedy ból ust ąpił, Baal zobaczył, że kobiety już wyprowadzono. Wychodz ąc Omar poradził eunuchom: — Zmywajcie się. Jutro mogę otrzymać rozkazy dotycz ące was. Niewielu szczęściarzy otrzymuje dwudniow ą szansę ucieczki.Kiedy dziewczęta z Zasłony zostały zabrane, eunuchowie usiedli przy Fon-tannie Miłości i wybuchnęli niepohamowanym płaczem. Lecz Baal nie płakał, przepełniony wstydem.326

\* \* \*

Gibril wyśnił śmierć Baala:

Dwanaście nierz ądnic zdało sobie sprawę, wkrótce po swoim aresztowaniu, że tak się przyzwyczaiły do swoich nowych imion, aż nie mog ą sobie przypomnieć starych. Były zbyt przerażone, by podać dozorcom więziennym przybrane tytuły i w końcu nie podały żadnych imion. Po wielu krzykach i równie wielu groźbach dozorcy ust ąpili i zapisali je jako kolejne numery. Zasłona numer l, Zasłona numer 2 i tak dalej. Ich dotychczasowi klienci, boj ąc się konsekwencji, jakie mógłby wynikn ąć, gdyby tajemnica o zabawie nierz ądnic wyszła na jaw, również nie pi-snęli słówka i możliwe jest, że nikt nie odkryłby jej, gdyby poeta Baal nie zacz ął

przytwierdzać swojej poezji do murów miejskiego więzienia Dwa dni po aresztowaniu więzienie pękało w szwach od prostytutek i alfonsów, których namnożyło się w ostatnich dwóch latach, kiedy to Uległość wpro-wadziła do Dżahilijji segregację seksualn ą. Okazało się, że wielu dżahilijjańskich mężczyzn gotowych jest narazić się na drwiny miejskich szumowin, nie wspominaj ąc już o prawdopodobieństwie sprawy s ądowej, przewidywanej przez nowe przepisy przeciwko niemoralności, aby tylko stan ąć pod oknami więzienia i wy-śpiewywać serenady tym wymalowanym paniom, które pokochali. Na kobietach nabożeństwa te nie wywierały żadnego wrażenia i nie dały one najmniejszej choćby zachęty konkurentom stoj ącym u zaryglowanych bram. Na trzeci dzień jednak pojawił się między nimi, usychaj ącymi z miłości głupcami, szczególnie przygnębiony facet w turbanie i pantalonach, o ciemnej, mocno krostowatej skórze. Wielu przechodniów pękało ze śmiechu na jego widok, lecz kiedy zacz ął śpiewać swoje wersety, wszelkie śmiechy z miejsca ucichły. Dzahiiijjanie zawsze byli znawcami sztuki poetyckiej i piękno ód, które wyśpiewywał teraz ten osobliwy gość, wprost zmuszało ich do zatrzymania się w miejscu. Baal śpiewał swoje utwory miłosne i ból w nich tkwi ący uciszał innych rymopisów, którzy pozwalali Baalowi, by mówił za nich wszystkich. W oknach więzienia po raz pierwszy można było ujrzeć twarze odseparowanych nierz ądnic, przyci ągniętych magi ą strof. Kiedy zakończył swój recital, podszedł do muru, aby przybić wiersze. Strażnicy przy bramach, z oczyma pełnymi łez, nie uczynili jednego ruchu, by go zatrzymać.Od tej pory co wieczór pojawiał się ten dziwaczny facet i śpiewał nowy wiersz, zawsze piękniejszy od poprzedniego. Prawdopodobnie ten nadmiar piękna spowodował, że nikt nie zauważył, aż dopiero podczas dwunastego wieczoru, kiedy zakończył on śpiewać swój dwunasty i ostatni zbiór wersetów, z których każdy dedykowany był innej kobiecie, że imiona jego dwunastu „żon” były takie same jak imiona innej dwunastki.Lecz dwunastego dnia zauważono to, i z miejsca olbrzymi tłum, który zebrał

327

się, aby słuchać Baala, zmienił swoje nastawienie. W miejsce zachwytu pojawiło się oburzenie i Baal został otoczony przez rozzłoszczonych mężczyzn, którzy chcieli znać powody tej aluzyjnej, tej najbardziej bizantyjskiej z obelg. W tym momencie Baal zdj ął swój niedorzeczny turban. — Jestem Baal — oznajmił. —

Nie uznaję żadnej władzy oprócz władzy mojej Muzy; lub ściślej mówi ąc, tuzina moich Muz.Straże pochwyciły go.Generał Chalid chciał przeprowadzić egzekucję Baala od razu, lecz Mahound zaż ądał, by poeta stan ął przed s ądem bezpośrednio po rozprawie nierz ądnic. Toteż kiedy dwanaście żon Baala, które rozwiodły się z kamieniem, aby poślubić jego, poetę, zostało już skazanych na śmierć przez ukamienowanie, co było kar ą za ich niemoralne życie, Baal stan ął twarz ą w twarz z Prorokiem, zwierciadło naprzeciw odbicia, ciemność naprzeciw jasności. Chalid, siedz ący po prawicy Mahounda, dał Baalowi ostatni ą szansę wytłumaczenia się z ohydnych uczynków.Poeta opowiedział historię pobytu w Zasłonie, posługuj ąc się jak najprostszym językiem, nie ukrywał niczego, nawet swojego tchórzostwa, które chciał naprawić całym późniejszym postępowaniem. Ale teraz wydarzyła się rzecz niezwykła.Tłum szczelnie wypełniaj ący namiot s ądu, wiedz ąc, że ostatecznie jest to słynny satyryk Baal, niegdyś właściciel najostrzejszego języka i najbystrzejszego umysłu w Dżahilijji, zacz ął (mimo że usilnie starał się tego nie robić) się śmiać. Im szczerzej i prościej Baal opisywał swoje zaślubiny z dwunastoma „żonami Proroka”, tym bardziej niepohamowane stawało się gorsz ące rozbawienie widowni.Pod koniec jego przemówienia dobrzy mieszkańcy Dżahilijji dosłownie płakali ze śmiechu, niezdolni opanować się nawet wtedy, gdy żołnierze z bykowcami i bu-łatami zagrozili im natychmiastow ą śmierci ą.— Naprawdę, nie nabieram was! — krzykn ął Baal skrzekliwym głosem do tłumu, który w odpowiedzi gwizdał, wrzeszczał, bił się po udach. — To nie żarty!— Ha ha ha. Aż w końcu powróciła znowu cisza; Prorok powstał.— Dawniej drwiłeś sobie z Recytacji — przerwał ciszę Mahound. — Również i wtedy tym ludziom podobały się twoje kpiny. Teraz powracasz, aby pohańbić mój dom i wydaje się, że jeszcze raz udało ci się wydobyć z ludzi to, co najgorsze.Baal odparł: — Ja skończyłem. Czyń, co ci się podoba.Tak więc został skazany na ścięcie w przeci ągu godziny i kiedy żołnierze brutalnie wyprowadzili go z namiotu, by powieść ku miejscu egzekucji, krzykn ął

przez ramię: — Nierz ądnice i pisarze, Mahoundzie. Jesteśmy ludźmi, którym nie możesz wybaczyć.Mahound odpowiedział: — Pisarze i nierz ądnice. Nie widzę tu żadnej różnicy.328

\* \* \*

Dawno, dawno temu była sobie kobieta, która się nie zmieniła.Po tym, kiedy zdrada Abu Simbela wręczyła Mahoundowi Dżahilijję jak na półmisku i zast ąpiła ideę wielkości miasta potęg ą Mahounda, Hind ssała jego palce nóg, recytowała La-ilaha, a następnie wycofała się do wysokiej wieży w swoim pałacu, gdzie doszła j ą wiadomość o zniszczeniu świ ątyni Al-Lat w Taif oraz wszystkich istniej ących pos ągów bogini. Zamknęła się w pokoju na wieży razem ze zbiorem starożytnych ksi ąg napisanych w alfabetach, których żadna inna istota ludzka w Dżahilijji nie potrafiłaby odczytać; przez dwa lata i dwa miesi ące pozostała tam, studiuj ąc potajemnie okultystyczne teksty, prosz ąc jedynie o pozosta-wianie za drzwiami raz dziennie talerza z prost ą straw ą i o jednoczesne wypróż-nianie jej nocnego naczynia. Przez dwa lata i dwa miesi ące nie widziała żadnej innej żywej istoty. Po upływie tego czasu weszła o świcie do sypialni męża, cała wystrojona, z klejnotami pobłyskuj ącymi na przegubach r ąk, kostkach u nóg, palcach stóp, uszach i szyi. — Obudź się — rozkazała, odsuwaj ąc zasłony. — Dziś jest dzień godny świętowania. — Zobaczył, że nie zestarzała się ani o jeden dzień od czasu, kiedy widział j ą po raz ostatni: jeżeli już, to wygl ądała nawet młodziej niż zwykle, co przydawało wiarygodności pogłoskom, które sugerowały, że jej czary zmusiły czas do biegnięcia wstecz w granicach wyznaczonych przez przestrzeń jej pokoju na wieży. — A co mamy świętować? — zapytał były Naczelnik Dżahilijji, wykaszluj ąc codzienn ą porcję porannej krwi. Hind odpowiedziała: —

Mogę nie być władna, aby odwrócić bieg historii, ale przynajmniej zemsta jest słodka.Godzinę później przyszła wiadomość, że Prorok, Mahound, śmiertelnie zachorował, że leży w łóżku Aiszy, a w głowie mu tak huczy, jak gdyby była wy-pełniona demonami. Hind w dalszym ci ągu czyniła przygotowania do bankietu, wysyłała służbę do wszystkich zak ątków miasta, spraszaj ąc gości. Ale, oczywiście, nikt nie przyszedł w taki dzień na przyjęcie. Wieczorem Hind zasiadła sama w wielkiej sali swojego domu, pośród złotych talerzy i kryształowych kieliszków swojej zemsty, jedz ąc prost ą potrawę kuskus, a wokół niej stały pobłyskuj ące, paruj ące, najaromatyczniejsze potrawy, jakie sobie można tylko wyobrazić. Abu Simbel odmówił przył ączenia się do niej, nazywaj ąc jej ucztę nieprzyzwoit ą. —

Zjadłaś serce jego wuja — krzyczał Simbel — a teraz zjadłabyś jego. — Zaśmiała mu się w twarz. Kiedy służba uderzyła w płacz, zwolniła j ą i siedziała, świętuj ąc samotnie, podczas gdy świece rzucały dziwaczne cienie na jej bezwzględn ą, bezkompromisow ą twarz.Gibril wyśnił śmierć Mahounda:

329

Kiedy głowa zaczęła boleć Posłańca jak nigdy dot ąd, zrozumiał, że nadszedł

czas, w którym zostanie mu ofiarowany Wybór:

Ponieważ żaden Prorok nie może umrzeć, zanim nie pokaż ą mu Raju, a następnie poprosz ą, by wybierał między tym światem a drugim: Toteż kiedy leżał z głow ą na kolanach ukochanej Aiszy, zamkn ął oczy i wydawało się, że życie uszło z niego; ale po pewnym czasie powrócił do przytomności.I rzekł do Aiszy: — Ofiarowano mi możliwość Wyboru, dokonałem go i wy-brałem królestwo Boże.Wtedy ona zapłakała, wiedz ąc, że mówi o swojej śmierci; spojrzał wówczas na ni ą, ale zdawał się patrzeć na inn ą postać w pokoju, mimo że kiedy ona, Aisza, odwróciła się, żeby tam spojrzeć, zobaczyła tylko lampę płon ąc ą na stojaku.— Kto tam? — zawołał. — Azaliż to ty, Azrailu?Lecz Aisza usłyszała, jak straszny, słodki kobiecy głos odpowiada: Nie, Posłańcze Al-Laha, to nie Azrail.I lampa przygasła; a w ciemności Mahound zapytał: — Czy wobec tego ta choroba to twoja sprawka, o Al-Lat?I odpowiedziała: — Jest to moja zemsta na tobie i to mnie zadowala. Niech przetn ą wielbł ądowi ścięgna i umieszcz ą go na twoim grobie.Wtedy odeszła, a lampa, któr ą przed chwil ą przygasła, znowu buchnęła i za-płonęła jasnym światłem, i Posłaniec powiedział półgłosem: — Jednakowoż dziękuję Ci, o Al-Lat, za ten dar.Wkrótce potem umarł. Aisza przeszła do pokoju obok, gdzie pozostałe żony i uczniowie czekali zrozpaczeni, i zaczęli głośno lamentować.Ale Aisza otarła oczy i powiedziała: — Jeżeli jest ktoś, kto czci ą obdarzył

Posłańca, niech rozpacza, bo Mahound nie żyje: jednak jeżeli jest tu ktoś, kto czci Boga, niech się raduje, gdyż On na pewno żyje.Był to koniec snu.VII

# Anioł Azrail

1

To wszystko sprowadza się do miłości, rozmyślał Saladyn Czamcza w swojej pracowni: miłość, zbuntowany ptak z libretta Meilhaca i Halévy’ego do Carmen

— jeden z najcenniejszych okazów, ten, w Alegorycznej Ptaszarni, któr ą zgromadził w radośniejszych czasach, a która zawierała wśród swoich Uskrzydlonych metafor Słodkiego (młodości), Żółtego (szczęśliwszego ode mnie) bezprzymiot-nikowego Ptaka Czasu Chajjama-FitzGeralda (który ma do przebycia jedynie bardzo krótk ą drogę, i patrzcie oto! już jest w Locie) oraz ptaka Ohydnego; ten ostatni z listu napisanego przez Henry’ego Jamesa Seniora do synów. . . „Wszyscy, którzy doszli w rozwoju intelektualnym chociażby do poziomu nastolatka, zaczynaj ą podejrzewać, że życie bynajmniej nie jest fars ą; że nie jest nawet eleganck ą komedi ą w dobrym tonie; że wprost przeciwnie, kwitnie i owocuje, czerpi ąc z najbardziej przepastnych tragicznych otchłani zasadniczego nieurodzaju, w którym zapusz-czone s ą korzenie jego podmiotu. Naturalnym dziedzictwem każdego, kto zdolny jest podj ąć życie duchowe, staje się nieokiełznana puszcza, gdzie wyje wilk i skrzeczy ohydny ptak nocy.” Zapamiętajcie to, dzieci. — A w oddzielnej, lecz znajduj ącej się w pobliżu, szklanej gablocie, należ ącej do wyobraźni młodszego, szczęśliwszego Czamczy, trzepocze złapany w utworze z listy przebojów muzyki pop — Promienny Nieuchwytny Motyl, który reprezentuje tę sam ą l’amour, co oiseau rebelie.Miłość — obszar, w którym nikt, kto pragnie zebrać pewien zasób doświad-czeń ludzkich (jako przeciwieństwo mechanicznych, czy skinnerowsko-andro-idalnych), nie może pozwolić sobie na przerwanie badań — niew ątpliwie oszukała cię, a całkiem możliwe, że i wykończyła. Nawet z góry cię ostrzegała. „Miłość to cygańskie dziecię — śpiewa Carmen, sama będ ąca Ide ą Ukochanej, jej doskonałym wzorcem, wiecznym i boskim — i jeśli mnie kochasz, strzeż się”. Trudno o uczciwsze postawienie sprawy. Jeśli o niego chodzi, Saladyn był w swoim czasie bardzo kochliwy, i obecnie (doszedł do takiego przekonania) dopada go zemsta Miłości za grzechy lekkomyślnego kochanka. Z obszarów należ ących do sfery ducha najbardziej pokochał proteuszow ą, niezmordowan ą kulturę narodów angloję-zycznych; Powiedział kiedyś, kiedy zalecał się do Pameli, że właśnie ta jedna sztuka, Otello, równa się wartości całego dorobku każdego innego dramaturga pi-sz ącego w jakimkolwiek innym języku, i mimo iż był świadom, że przesadza, nie uważał tej hiperboli za nazbyt śmiał ą. (Pamela, oczywiście, czyniła bezustanne wysiłki, aby zdradzić swoj ą klasę społeczn ą i rasę, i jak można było się spodziewać, udała, że jest przerażona, włożyła Otella do jednego worka z Shylockiem, wal ąc następnie tym pakunkiem rasistę Szekspira po głowie.) Usiłował, podobnie jak jego poprzednik, pisarz, Nirad Chaudhuri — jakkolwiek bez tego szelmow-skiego poci ągu kolonialnej inteligencji do bycia postrzeganym jako enfant terri-ble — sprostać wyzwaniu ukrytemu w zwrocie Civis Britannicus sum. Nie było 332

już Imperium, a jednak wiedział, że „wszystko, co było dobre i żyło w nim” zostało „utworzone, ukształtowane i pobudzone do życia” przez jego spotkanie z t ą wysp ą wrażliwości, otoczon ą przez chłodny rozs ądek morza. — Z materialnych obszarów, obdarzył swoj ą miłości ą to miasto, Londyn, przedkładaj ąc je nad swoje miasto rodzinne czy jakiekolwiek inne; skradał się w jego kierunku, ukradkiem, coraz bardziej zdenerwowany, zastygaj ąc w bezruchu jak kamień, kiedy spogl ądało ono w jego stronę, marzył o tym, by je posi ąść i w ten sposób, w pewnym sensie, stać się nim, podobnie jak w zabawie zwanej śladami babuni, dziecko dotykaj ące tego, który jest tym („na tym”, jak by powiedzieli współcześni młodzi londyńczycy) przejmuje wymarzon ą tożsamość; podobnie zreszt ą jak w micie Złotej Gałęzi. Londyn, ze swoj ą złożon ą natur ą odbijaj ąc ą jego własn ą, ze swoj ą powści ągliwości ą podobn ą jego; ze swoimi gargulcami, odgłosami upiornych kroków Rzymian na ulicach, z krzykami odlatuj ących dzikich gęsi. Jego gościnność

— tak! — pomimo przepisów imigracyjnych i jego własnych ostatnich doświad-czeń, wci ąż obstawał przy prawdziwości tego stwierdzenia, nie najlepsze powitanie, owszem zapalczywe, ale prawd ą jest mimo to, że istnieje w południowym Londynie knajpka, gdzie poza ukraińskim nie słyszy się żadnego innego języka, albo też coroczny zjazd w Wembley, o rzut kamieniem od wielkiego stadionu, wspomnienia po imperium — Empire Way, Empire Pool — przeszło stu delega-tów, których praszczurami byli mieszkańcy jednej małej wioski w Goa. — „My, Londyńczycy, możemy być dumni ze swojej gościnności”, powiedział kiedyś Pameli, a ona, nie mog ąc opanować chichotu, zabrała go do kina na film Bustera Keatona pod tym właśnie tytułem, w którym komik, po dotarciu do końca jakiejś absurdalnej linii kolejowej, spotyka się z zabójczym przyjęciem. W owych czasach takie różnice pogl ądów sprawiały im przyjemność i po zażartych dysputach l ądowali w łóżku. . . Ponownie skupił wzbieraj ące myśli na metropolii. J — powtarzał sobie uparcie — długa historia jako azylu, funkcja, któr ą nadal spełniała, pomimo niewdzięczności niepokornych dzieci azylantów; i bez cienia tej samoza-dowolonej retoryki ciesz ącej się ze zgromadzenia w jednym miejscu olbrzymich mas ludzkich, retoryki „narodu imigrantów” zza oceanu, gdzie przecież przybyszów nie zawsze przyjmowano z otwartymi ramionami. Czy Stany Zjednoczone, ze swoimi czy-jesteś-kiedykolwiek-byłeś pozwoliłyby Ho Szi Minowi gotować w kuchniach swoich hoteli? Co miałaby do powiedzenia ustawa McCarrana-Wal-tera na temat współczesnego Karola Marksa stoj ącego ze swoj ą krzaczast ą brod ą u ich bram, czekaj ącego, aż mu będzie wolno przekroczyć żółt ą ci ągł ą linię? O Ty Właśnie Londynie! Naprawdę nieczułym byłby człowiek, który nie przedkładałby jego wyblakłych splendorów konserwatywnej architektury nad najnowocześniej-sze oczywistości Nowego Rzymu z drugiej strony Atlantyku, z jego urbanistycz-n ą gigantomani ą, przywodz ąc ą na myśl nazistowsk ą, która wykorzystała technikę przytłaczania ogromem po to, aby mieszkańcy poczuli się robakami. . . Londyn, pomimo coraz większej liczby nowotworów, takich jak NatWest Tower — olbrzy-333

mi trójwymiarowy znak firmowy — zachował ludzki wymiar, Viva! Zindabad!Pamela zawsze zjadliwie traktowała takie pieśni pochwalne. — S ą to okazy muzealne — mówiła mu zwykle. — Uświęcone, wisz ące w złotych ramach na honorowym miejscu. — Nigdy nie miała cierpliwości do rzeczy, które opierały się wpływowi czasu. Zmienić wszystko! Zburzyć! Powiedział: — Jeżeli ci się to uda, uniemożliwisz ludziom twojego pokroju jakikolwiek postęp wewnętrzny i to już za życia następnego pokolenia. — Celebrowała wizję własnego starzenia się i rozkładu. Jeżeli skończy jako dodo — wypchany relikt czasów, Zdrajczyni Swojej Klasy, lata osiemdziesi ˛

ate — z pewności ą będzie to oznaczało postęp, mówiła.On pozwalał sobie być odmiennego zdania, lecz wtedy zaczynali się już pieścić: co samo w sobie na pewno było postępem, tak więc przyznawał jej rację również i w tym drugim punkcie.(Któregoś roku rz ąd wprowadził opłaty za wstęp do muzeów i grupy rozeźlo-nych miłośników sztuki zorganizowały pikiety przed tymi świ ątyniami kultury.Kiedy Czamcza to zobaczył, chciał pójść z własnym afiszem i przeprowadzić jed-noosobowy antyprotest. Czy ci ludzie nie zdaj ą sobie sprawy z tego, jak ą wartość maj ą te przedmioty wewn ątrz? Proszę, stoj ą sobie tam, radośnie niszcz ąc płuca dymem z papierosów, których paczka kosztuje więcej niż bilety, przeciwko którym protestuj ą; demonstruj ą w ten sposób światu, jak nisk ą wartość ma dla nich dziedzictwo kulturowe. . . Pamela tupnęła nog ą. — Nie waż się — powiedziała. Wyznawała właściwy wówczas pogl ąd: że muzea s ą zbyt cenne, aby pobierać opłatę za wstęp. A więc: — Nie ośmielisz się — i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że się nie ośmieli. Nie miał na myśli tego, co, jak mu się wydawało, miał.A miał na myśli to, że oddałby, być może, w odpowiednich warunkach, swoje życie za to, co znajdowało się w tych muzeach. Nie mógł więc poważnie traktować sprzeciwów wobec kilkupensowej opłaty. Dobrze jednak rozumiał, że jest to stanowisko niejasne i trudne do obrony.)

— A ze wszystkich istot ludzkich, Pamelo, pokochałem ciebie.Kultura, miasto, żona; i czwarta, ostatnia miłość, o której nikomu nie mówił: umiłowany sen. Dawniej sen ten powracał mniej więcej raz w miesi ącu: nieskomplikowany sen, dziej ący się w parku miejskim, w alejce wiekowych wi ązów, których zwisaj ące gałęzie zmieniły j ą w zielony tunel, do środka którego skapywało niebo i światło słoneczne, to tu, to tam, doskonałe niedoskonałości firmamentu z liści. W tej leśnej skrytości Saladyn ujrzał siebie samego w towarzystwie pię-cioletniego chłopca, którego uczył jeździć na rowerze. Chłopczyk, pocz ątkowo niebezpiecznie się chwiej ąc, podejmował heroiczne wysiłki, aby odzyskać i utrzymać równowagę, a robił to z zawziętości ą kogoś, kto pragnie, aby jego ojciec był z niego dumny. Ten Czamcza ze snu biegł za swoim wymarzonym synem, trzymaj ąc rower za bagażnik, żeby pomóc dziecku zachować pion. Potem puścił

i chłopiec (nie wiedz ąc, że nikt go już nie podtrzymuje) jechał dalej: równowaga pojawiła się jako dar lotu i obydwaj szybowali wzdłuż alejki, Czamcza biegn ąc, 334

a chłopiec pedałuj ąc coraz mocniej. — Udało ci się! — cieszył się Saladyn, a równie uradowane dziecko odkrzyknęło: — Popatrz na mnie! Popatrz, jak szybko się nauczyłem. Jesteś ze mnie zadowolony? Jesteś zadowolony? — Był to sen, nad którym można zapłakać; ponieważ gdy Czamcza się budził, nie było ani roweru, ani dziecka.— Co teraz zrobisz? — zapytała go Miszal wśród szcz ątków klubu nocnego Hot Wax, a on odpowiedział, zbyt beztrosko: — Ja? Chyba powrócę do normalnego życia. — Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać; ostatecznie było to życie, które miłość do chłopca ze snu wynagrodziło mu bezdzietności ą; miłość do kobiety —

jej odsunięciem się i zapłodnieniem przez jego dawnego przyjaciela z czasów studiów; miłość do miasta — rzuceniem się ku jego ulicom z himalajskich wysokości; a jego miłość do cywilizacji — przemian ą jego postaci, sponiewieraniem, poniżeniem, łamaniem kołem. Łamaniem, ale nie złamaniem, przypomniał sobie; znowu jest cały, a poza tym bior ąc pod uwagę przykład Niccolo Machiavellego (niesłusznie szkalowany człowiek, jego nazwisko, podobnie jak imię Muhammada-Mahona-Mahounda, stało się synonimem zła; natomiast w rzeczywistości oddanie republikanizmowi zostało nagrodzone łamaniem kołem, ale on przetrwał, to chyba były trzy obroty? — wystarczaj ąco, w każdym razie, aby zmusić większość mężczyzn do przyznania się, że zgwałcili własn ą babkę lub popełnili jakiekolwiek inne przestępstwo, wszystko, aby przerwać torturę; — jednak nie przyznał się do niczego, do żadnych zbrodni podczas pełnienia służby w Republice Florenckiej, tej o-wiele-za-krótkiej przerwie w rz ądach rodziny Medyceuszy); przecież jeżeli Niccolo potrafił znieść takie męczarnie, przeżyć je po to, żeby napisać tę być może gorzk ą, być może sardoniczn ą parodię literatury pochlebiaj ącej zwierciadłu ksi ąż ąt, literatury tak bardzo wówczas w modzie, czyli „Księcia”, a także apodyk-tyczne „Rozważania”, wobec tego on, Czamcza, z pewności ą nie może pozwolić sobie na luksus porażki. To jest Zmartwychwstanie, wobec tego; odwal ten głaz z ciemnego wylotu jaskini i niech piekło pochłonie problemy prawne.Miszal, Hanif Johnson i Pinkwalla — w oczach których Czamcza, dzięki swoim metamorfozom, przedzierzgn ął się z aktora w bohatera, dzięki któremu magia fantastycznych filmów ze specjalnymi efektami („Labirynt”, „Legenda”, „Kaczor Howard”) staje się Rzeczywistości ą — podwieźli Saladyna w bagażówce DJ pod dom Pameli; tym razem jednak wcisn ął się on z pozostał ą trójk ą do kabiny kierowcy. Było wczesne popołudnie; Jumpy będzie jeszcze w swoim centrum sportowym. — Powodzenia — życzyła Miszal, całuj ąc go, a Pinkwalla zapytał, czy powinni zaczekać. — Nie, dziękuję — odpowiedział Saladyn. — Kiedy już spadło się z nieba, zostało opuszczonym przez przyjaciela, zniosło brutalność policji, przeszło metamorfozę w kozła, straciło pracę i żonę, nauczyło się potęgi nienawiści i odzyskało ludzk ą postać, co pozostało człowiekowi, prócz, bez w ątpienia nazwalibyście to tak samo, upomnienia się o swoje prawa? — Pomachał im na pożegnanie. — Brawo — rzuciła Miszal i odjechali. Na rogu ulicy te same co 335

zwykle dzieciaki z s ąsiedztwa, z którymi nigdy nie był w dobrych stosunkach, grały w piłkę. Jeden z nich, diablikowaty, nieprzyjemny dziewięcio- lub dziesię-ciolatek o świńskich oczkach, wymierzył na niby pilotem od wideo w Czamczę i krzykn ął: — Szybkie przewijanie do przodu! — Należał do pokolenia, które wyznawało zasadę przeskakiwania nad nudnymi, kłopotliwymi i przykrymi frag-mentami życia, przechodz ąc szybko-naprzód od jednego punktu kulminacyjnego przeładowanego akcj ą do drugiego. Witaj w domu, pomyślał Saladyn i nacisn ął

dzwonek.Pamela, kiedy go zobaczyła, chwyciła się za gardło. — Nie myślałem, że ludzie w dalszym ci ągu reaguj ą w ten sposób — powiedział. — Chyba od emisji filmu „Dr Strangelove” już nie. — Jej ci ąża była jeszcze niewidoczna; zapytał

o to, a ona zaczerwieniła się, lecz potwierdziła, że wszystko przebiega bez kompli-kacji. — Jak dot ąd wszystko w porz ądku. — Pamela najwyraźniej była wytr ącona z równowagi; propozycja wypicia kawy w kuchni przyszła o kilka uderzeń serca za późno (ona „pozostała wierna” swojej whisky, ci ągle pij ąc pomimo ci ąży); ale w rzeczy samej to Czamcza czuł się tak, jakby był po jednym głębszym (był ta-ki czas, kiedy pilnie czytał i zbierał zabawne małe ksi ążeczki Stephena Pottera) w trakcie całego tego spotkania. Pamela najpewniej czuła, że to ona powinna przyj ąć, że znajduje się w kłopotliwym położeniu. To ona chce rozbić małżeństwo, to ona wyparła się go co najmniej trzykrotnie; lecz on był równie zakłopotany i spe-szony jak ona, tak więc oboje sprawiali wrażenie, że rywalizuj ą o prawo do tytułu osoby w niełasce. Przyczyn ą, dla której Czamcza zmieszał się — a nie przybył tu, przypomnijmy sobie, ani trochę zakłopotany, lecz nastawiony wojowniczo i zawa-diacko — było to, że zdał sobie sprawę — ujrzawszy Pamelę, z jej zbyt jaskraw ą jaskrawości ą, twarz ą podobn ą świ ątobliwej masce, za któr ą kto wie jakie roba-ki ucztuj ą delektuj ąc się gnij ąc ą straw ą (zaniepokoiła go wrogość i gwałtowność obrazów wyłaniaj ących się z jego podświadomości), z jej wygolon ą głow ą pod absurdalnym turbanem, oddechem przepojonym whisky i z t ą surowości ą, która wyryła drobne bruzdy wokół ust — że całkiem po prostu odkochał się i nie chciałby jej odzyskać, nawet gdyby taka koncepcja przyszła jej do głowy (co było nieprawdopodobne, lecz nie niezrozumiałe). Z chwil ą, kiedy uświadomił sobie, że z jakiegoś powodu czuje się winny, znalazł się w niekorzystnej sytuacji. Na dodatek posiwiały pies warczał na niego. Przypomniał sobie, że nigdy specjalnie nie przepadał za zwierzętami domowymi.— Przypuszczam — mówiła Pamela do swojego kieliszka, siedz ąc przy starym sosnowym stole w przestronnej kuchni — że to, co zrobiłam, jest niewybaczalne, huh?Ten mały amerykanizm huh był czymś nowym: czyżby następny z serii ciosów wymierzonych w jej wychowanie? Albo też podłapała to jak chorobę od Jumpiego czy którejś z jego znajomych małych sportsmenek? (Znowu ta opryskliwa agresja: precz z ni ą. Teraz, kiedy już w ogóle nie chce Pameli, taka reakcja jest całkowicie 336

nieodpowiednia.) — Nie s ądzę, żebym potrafił przewidzieć, co jestem w stanie wybaczyć — odparł. — Wydaje się, że nie mam żadnego wpływu na tę konkretn ą odpowiedź; albo ona gdzieś tam istnieje, albo nie, i dojdę do tego w odpowiednim czasie. Czyli, powiedzmy, że chwilowo ława przysięgłych opuściła salę, aby się naradzić. — Nie spodobało jej się to, oczekiwała, że w jakiś sposób on rozładuje napięcie i że będ ą mogli spokojnie zasi ąść przy tej piekielnej kawie. Pamela zawsze robiła podł ą kawę: jednak nie to było jego zmartwieniem w tej chwili. —

Wprowadzam się z powrotem — oznajmił. — To duży dom i jest w nim mnóstwo pokoi. Zajmę pracownię i pokoje na piętrze pod ni ą, ł ącznie z dodatkow ą łazienk ą, a więc będę mieszkał całkowicie niezależnie. Z kuchni zamierzam korzystać bardzo rzadko. Zakładam, że skoro moje ciało nigdy nie zostało odnalezione i nadal oficjalnie figuruję jako zaginiony-przypuszczalnie-zmarły, to nie poszłaś do s ądu załatwić skreślenie mnie z rejestrów. Jeżeli tak się sprawy maj ą, wskrzeszenie nie powinno zaj ąć zbyt wiele czasu, kiedy tylko postawię w stan pogotowia Benti-ne’a, Milligana i Sellers. (Odpowiednio, ich prawnika, ich księgowego i agentkę Czamczy.) Pamela słuchała oniemiała, poza, któr ą przybrała, wyrażała uległość wobec jego planów, czegokolwiek on sobie zażyczy, jest okay: naprawienie błędów przy pomocy mowy ciała. — A następnie — zakończył — sprzedamy dom i dostaniesz rozwód. — Wyszedł szybko i zd ążył uciec do swojej pracowni, zanim dopadły go dreszcze. Pamela, na dole, na pewno będzie płakała; jemu płacz nigdy nie przychodził łatwo, lecz za to był mistrzem dygotu. A teraz, oprócz tego, odezwało się jeszcze jego serce: bum badum dududum.Aby narodzić się ponownie, najpierw musisz umrzeć.

\* \* \*W samotności niespodziewanie przypomniał sobie, że on i Pamela posprzeczali się kiedyś, tak jak sprzeczali się o wszystko, o nowelkę, któr ą oboje czytali, a której tematem była właśnie istota tego, co niewybaczalne. Tytuł i autor umknę-ły z jego pamięci, lecz sama historia powróciła jak żywa. Kobieta i mężczyzna byli bliskimi przyjaciółmi (nigdy kochankami) przez całe swoje dorosłe życie.

Na dwudzieste pierwsze urodziny (oboje byli biedni w tym czasie) podarowała mu, dla żartu, najokropniejszy tani szklany wazon, jaki mogła znaleźć, jaskrawa parodia weneckich barwności. Dwadzieścia lat później, kiedy już oboje doszli do czegoś, posiwieli, pewnego razu odwiedziła go i pokłóciła się z nim o sposób traktowania przez niego ich wspólnego znajomego. Podczas kłótni zauważyła wazon, który ci ągle stał na honorowym miejscu na obramowaniu kominka w jego salonie, i nie przerywaj ąc tyrady, zrzuciła go na podłogę, gdzie roztrzaskał się tak, że 337

nie było co sklejać. Nigdy już nie odezwał się do niej; kiedy umierała, pół wieku później, odmówił zobaczenia jej na łożu śmierci czy nawet wzięcia udziału w pogrzebie, mimo że przysłała umyślnych, aby powiedzieć mu, że z całego serca sobie tego życzy. — Powiedzcie jej — oznajmił posłańcom — że nigdy nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo ceniłem to, co zniszczyła. Emisariu-sze perswadowali, prosili, szaleli. Jeżeli ona nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele ten wazon znaczył dla niego, jak można, w świetle sprawiedliwości, winić j ą za to? I czyż nie czyniła niezliczonych prób, przez te wszystkie lata, aby go przeprosić i odkupić winę? A teraz przecież stała u progu śmierci, na miłość bo-sk ą; czyż nie można w końcu załagodzić tej starej dziecinnej różnicy pogl ądów?Zniweczyli długoletni ą przyjaźń; czyż nie mogę się nawet pożegnać? — Nie —

powiedział bezlitosny mężczyzna. — Czy to naprawdę z powodu tego wazonu?A może skrywasz jakiś inny mroczny powód? — Chodzi o wazon — odpowiedział — o wazon, i tylko o to. — Pamela uznała tego mężczyznę za małostkowego i okrutnego, lecz Czamcza już wtedy cenił sobie te osobliwe zastrzeżone obszary życia wewnętrznego, nie daj ąc ą się wytłumaczyć istotę tej sprawy. — Nikt nie potrafi os ądzić, jak poważne jest obrażenie wewnętrzne — powiedział wtedy —

na podstawie powierzchownej ranki.Sunt lacrimae rerum, jak powiedziałby były nauczyciel Sufjan, i Saladyn w ci ągu wielu następnych dni miał aż nadto okazji, aby rozmyślać o łzach w świecie rzeczy. Pocz ątkowo właściwie nie ruszał się ze swojej jaskini, daj ąc jej czas, aby na powrót, bez ponaglania, odbudowała się wokół niego, czekał, aż odzyska chociaż częściowo tę swoj ą dawn ą krzepi ąc ą niezmienność, która była jej sensem, nim zmienił się świat. Sporo ogl ądał telewizji, choć niezbyt uważnie, przeskakuj ąc, chc ąc nie chc ąc, z kanału na kanał, ponieważ był członkiem nowożytnej kultury zdalnego sterowania w tym samym stopniu, co chłopiec oświńskichoczkach z rogu ulicy; tamten również potrafił zrozumieć lub przynajmniej wprowadzić do swojego mózgu iluzję zrozumienia tego złożonego sztucznego wideo-potwora, którego powoływało do życia guziko-przyciskanie. . . jakimże wyrównywaczem było to zdalnie sterowane coś, prokrustowe łoże dla dwudziestego wieku; obcinało potężnych, rozci ągało maluczkich, aż w końcu wszystkie programy w odbiorniku, reklamy, morderstwa, turnieje, tysi ąc i jeden różnych uciech i strachów, prawdziwych i zmyślonych, robiły się jednakowo ważne: — i gdy prawdziwy Prokrust, obywatel, który, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, trzymał łapę na kulturze, musiał

wysilać zarówno swój mózg, jak i muskuły, on, Czamcza, mógł się rozci ągn ąć wygodnie w odchylanym fotelu firmy Parker-Knoll i pozwolić palcom na doko-nywanie cięć. Wydawało mu się, kiedy tak skakał po kanałach, że pudło pełne jest potworów: byli tam mutanci — „Mutts” — w programie „Dr Who”, dziwaczne stworzenia, które sprawiały wrażenie, że powstały w wyniku skrzyżowania z przeróżnymi maszynami przemysłowymi: kombajnami silosowymi, chwytaka-mi, transporterami taśmowymi, wiertarkami udarowymi, młotami pneumatyczny-338

mi, piłami, i których okrutni wodzowie-kapłani zwani byli Mutilazjatami; zdawało mu się, że telewizję dla dzieci zaludniały wył ącznie człekokształtne roboty i stworzenia o metamorficznych ciałach, natomiast programy dla dorosłych pre-zentowały nie kończ ący się pochód zdeformowanych ludzkich produktów ubocznych, jakie zrodziły się z najnowszych pomysłów w nowoczesnej medycynie oraz u jej wspólniczek — w sferach współczesnej choroby i wojny. Oto jakiś szpital w Gujanie najwyraźniej zakonserwował kompletnie ukształtowane ciało trytona, w całości razem ze skrzelami i łusk ą. Wilkołactwo szerzyło się. coraz bardziej w górach Szkocji. Poważnie dyskutowano nad genetyczn ą możliwości ą stworzenia centaurów. Pokazano operację zmiany płci. — Tu przypomniał mu się ohydny wiersz, jaki po chwili wahania pokazał mu Jumpy Joshi w kawiarni Shaandaar, Noclegi-i- Śniadania. Tytuł utworu, „Opiewam moje eklektyczne ciało”, doskonale oddawał jego treść. — Ale ostatecznie ciało tego faceta jest w porz ądku, pomyślał Saladyn z gorycz ą. Zrobił Pameli dziecko bez najmniejszych trudności: żadnych tam złamanych pałeczek w jego cholernych chromosomach. . . przez moment ujrzał siebie w powtórce starego „klasycznego” programu „Obcy z kosmosu”. (W tej kulturze szybkiego przewijania do przodu utwór lub film mógł

zyskać status klasyki w ci ągu zaledwie sześciu miesięcy; czasami nawet z dnia na dzień.) Następstwem tych długich seansów przy pudle było powstanie poważnej rysy w tym, co jeszcze pozostało z jego wyobrażenia o normalnej przeciętnej jakości rzeczywistości; jednak dało się również odczuć działanie sił równoważ ących.W programie „ Świat działkowicza” pokazano, jak dojść do czegoś, co nosi nazwę „szczepu chimery” (dokładnie to, przypadek tak zrz ądził, co stanowiło du-mę ogrodu Otto Cone’a); i jakkolwiek nieuwaga spowodowała, że Czamcza nie uchwycił nazw dwóch drzew, z których wyhodowano jedno — Morwa? Szczo-drzeniec? Janowiec? — jednak na widok samego drzewa nagle się zaciekawił.Oto i ona, namacalna, prawdziwa, chimera z mocno tkwi ącymi korzeniami w kawałku angielskiej ziemi i krzepko na nim rosn ąca: drzewo, myślał sobie, które metaforycznie może zaj ąć miejsce tamtego drzewa, ściętego przez jego ojca w dalekim ogrodzie innego, nieprzystawalnego świata. Jeżeli możliwe jest zaistnienie takiego drzewa, wobec tego to samo można powiedzieć o nim; on również może się przyj ąć, zapuścić korzenie, przetrwać. Pośród tych wszystkich telewizyjnych obrazów przedstawiaj ących tragedię mieszańców — bezużyteczność try-tonów, zawodność chirurgii plastycznej, esperanto-podobn ą pustkę przeważaj ącej części sztuki współczesnej, Coca-kolonizację planety — oto otrzymał ten jeden podarunek. Wystarczy. Wył ączył odbiornik.Jego złość na Gibrila powoli przemijała. Ani też rogi, koźle kopyta itd. nie zdradzały najmniejszej chęci ponownego pojawienia się. Wygl ądało na to, że trwa proces powrotu do zdrowia. W rzeczy samej, z biegiem czasu nie tylko Gibril, ale wszystko, co przydarzyło się ostatnio Saladynowi, a co było nie do pogodze-339

nia z banalności ą codziennego życia, zaczęło się wydawać odległe i nieistotne, podobnie jak to się dzieje z najbardziej nieustępliwymi nocnymi zmorami, jeśli tylko przemyjesz twarz wod ą, umyjesz zęby i chlapniesz sobie mocnego drinka na rozgrzewkę. Zacz ął robić wypady w świat zewnętrzny — do tych zawodowych doradców, prawnika księgowego agentki, których Pamela nazywała kiedyś Cym-bałami, i kiedy tak sobie siedział w wykładanej boazeri ą, pociętej rzędami ksi ążek i rejestrów niezachwianej stałości tych biur, w których cuda po prostu nigdy nie mogły się wydarzyć, zaczynał mówić o swoim „upadku-załamaniu”, — „szoku po wypadku”, — i tak dalej, wyjaśniaj ąc swoje zniknięcie, jak gdyby nigdy nie spadał z nieba koziołkuj ąc, śpiewaj ąc hymn „Rule, Britannia”, podczas gdy Gibril wył pieśni z filmu „Shree 420”. Całkiem świadomie czynił próby powrotu do drobnych przyjemności z poprzedniego etapu swojego życia, chodz ąc na koncerty, do galerii i na przedstawienia teatralne, i chociaż jego reakcja na to wszystko była przytłumiona; chociaż cała ta wielka sztuka, wbrew jego oczekiwaniom, nie odsyłała go jak dawniej w świat wielkich uniesień; — on i tak wmawiał sobie, że dreszcz emocji niedługo powróci; miał „ciężkie przejścia” i potrzebuje trochę czasu.Siedz ąc w pracowni, rozparty w fotelu firmy Parker-Knoll, w otoczeniu znajomych przedmiotów — pierrotów z porcelany, lustra w kształcie serca karykatu-rzysty, Erosa podtrzymuj ącego globus zabytkowej lampy — gratulował sobie, że jest tym rodzajem człowieka, który przez dłuższy czas nie potrafi chować w sercu nienawiści. Może jednak, mimo wszystko, miłość jest silniejsza od nienawiści; nawet jeżeli przemija, pozostawia choćby w ątły swój cień. Do Pameli, na przykład, teraz był już tego pewien, nie żywi nic oprócz uczuć jak najbardziej altruistycz-nych. Nienawiść byłaby może podobna do odcisków palców na gładkim szkle wrażliwej duszy; jedynie delikatnym śladem, który pozostawiony znika. Gibril?pstryk! Znikn ął w mrokach niepamięci, przestał istnieć. Otóż to; wyrzec się złości oznacza stać się wolnym.Optymizm Saladyna rósł, ale biurokratyzm obrastaj ący kwestię jego powrotu do życia okazał się większym utrudnieniem niż się tego Czamcza spodziewał.Banki nie spieszyły się z odblokowaniem jego konta; był zmuszony pożyczyć pieni ądze od Pameli. Nie było mu też łatwo znaleźć pracę. Jego agentka, Charlie Sellers, wyjaśniła przez telefon: — Klienci s ą zabawni. Mówi ą o chodz ących trupach, czuj ą się jakby nieczyści: jak gdyby okradli grób. — Charlie, która przy swoich pięćdziesięciu kilku latach wci ąż sprawiała wrażenie nie zorganizowanej, nieco stukniętej młodej osoby z najlepszej rodziny ziemiańskiej, zdawała się raczej podzielać opinię owych klientów. — Przeczekaj — doradzała. — Jeszcze oprzytomniej ą. Ostatecznie, na miły Bóg, nie jesteś przecież żadnym Drakul ą. —

Dziękuję, Charlie.Tak: jego obsesyjny wstręt do Gibrila, jego marzenie o obmyśleniu jakiejś okrutnej i stosownej zemsty, te rzeczy należały do przeszłości i były aspektami 340

pewnej rzeczywistości nie do pogodzenia z jego żarliwym pragnieniem powrotu do normalnego życia. Nawet buntownicze i destrukcyjne obrazy telewizji nie mogły odwieść go od tego pragnienia. Przede wszystkim odrzucał portret przedstawiaj ący jego samego i Gibrila jako potwory. Potwory, też mi: najbardziej absurdalny z pomysłów. Na świecie istniały prawdziwe monstra — dyktatorzy do-konuj ący masowych morderstw, gwałciciele dzieci. Rozpruwacz Staruszek. (Tutaj czuł się zmuszony przyznać, że chociaż wysoko cenił Policję Miejsk ą, aresztowanie Uhuru Simby było zbyt cholernie akuratne.) Wystarczy tylko rozłożyć gazetę, w którykolwiek dzień tygodnia, i już mamy przed sob ą szalonych irlandzkich ho-moseksualistów, napychaj ących ziemi ą usta niemowl ąt. Pamela, oczywiście, uważała, że określenie „potwór” jest zbyt — jakie? — wyrokoferuj ˛

ace, by odnosić je

do takich osób; współczucie, powiedziała, nakazuje dostrzec w nich ofiary wieku.Współczucie, odparł, nakazuje dostrzec ofiary w osobach przez nich skrzywdzo-nych. — Już nic nie da się z tob ą zrobić — oznajmiła swoim najbardziej arystokratycznym tonem. — Rzeczywiście rozumujesz w sposób właściwy uczestnikom tandetnych debat publicznych.A także inne potwory, nie mniej realne niż ci maniacy z prasy brukowej: pieni ądze, władza, seks, śmierć, miłość. Anioły i diabły — komu s ą potrzebne? —

Dlaczego demony, skoro sam człowiek jest demonem? — pytał „ostatni demon”laureata Nagrody Nobla, Singera, ze swojego stryszku w Tyszowcach. Do powyższego czamczowskie poczucie równowagi, jego odruch za-którym-i-przeciw-któremu-dużo-przemawia, chciało dodać: „I dlaczego anioły, skoro człowiek sam jest również anielski?” (Jeżeli nie jest to prawd ą, wobec tego jak należy wyjaśnić, na przykład, Karton Leonarda? Czy Mozart był naprawdę Belzebubem w upudrowa-nej peruce?) — Jednak należy przyznać, i od tego zreszt ą wyszedł, że sytuacja tego wieku nie wymaga żadnych diabolicznych wyjaśnień.

\* \* \*Nic nie mówię. Nie proś, abym wyjaśnił sytuację w ten czy inny sposób; czas objawień dawno min ął. Zasady Stworzenia s ą całkowicie jasne: ustala się całość, stwarza się rzeczy tak a tak, a potem puszcza je w ruch. Gdzie przyjemność, jeśli wci ąż miałbyś interweniować, aby dać wskazówki, zmienić zasady, rozs ądzić konflikty? Cóż, aż dot ąd zachowałem zimn ą krew i nie zamierzam teraz tego zmienić. Nie myśl sobie, że nie chciałem się wtr ącać; ależ tak, chciałem, wielokrotnie. A teraz, to prawda, zrobiłem to. Siedziałem na łóżku Allelui Cone i rozmawiałem z supergwiazd ą, Gibrilem. Nad-Ziemiarz czy Pod-Ziemiarz, chciał

wiedzieć, i nie oświeciłem go; a na pewno nie zamierzam teraz wypaplać tajem-341

nicy temu pomieszanemu Czamczy. Odchodzę. Ten człowiek teraz zaśnie.

\* \* \*Jego odrodzony, świeżo opierzony, wci ąż-omylny optymizm najtrudniej było utrzymać przy życiu w nocy; ponieważ w nocy nie tak łatwo zaprzeczyć istnieniu tego innego świata rogów i kopyt. Pojawiła się również sprawa dwóch kobiet, które zaczęły ukazywać się w jego snach. Pierwsz ą — trudno mu było przyznać się do tego, nawet przed sob ą samym — był nie kto inny, jak dziecko-kobieta z Shaandaaru, jego lojalna sojuszniczka w owych koszmarnych czasach, które teraz tak usilnie próbował ukryć wśród komunałów i mgieł, entuzjastyczna adeptka walk Wschodu, kochanka Hanifa Johnsona, Miszal Sufjan.

Drug ą — któr ą pozostawił w Bombaju z cierniem jego wyjazdu tkwi ącym w sercu i która na pewno wci ąż jeszcze uważa go za zmarłego — była Zini Wakil.

\* \* \*Nerwowość Jumpy Joshiego, kiedy dowiedział się o powrocie Saladyna Czamczy w ludzkiej postaci i zajęciu przez niego wyższych pięter domu w Notting Hill, była nie do zniesienia i doprowadziła Pamelę do niewyrażalnej wprost wściekłości. Pierwszej nocy — postanowiła nie mówić mu nic do czasu, aż znajd ą się bezpiecznie razem w łóżku — wyskoczył na metr z pościeli usłyszawszy wiadomość, i stan ął na bladoniebieskim dywanie nagusieńki, trzęs ący się i z kciukiem wetkniętym w usta.

— Wracaj mi tu zaraz i przestań błaznować — rozkazała, ale on potrz ąsn ął

gwałtownie głow ą i wyci ągn ął palec z ust na tyle szybko, by zd ążyć wymamrotać:

— Skoro on jest tutaj! W tym domu! Więc jak ja mogę. . . ? — Mówi ąc to, porwał

swoje ubranie i uciekł z pokoju; ułyszała głuche uderzenia i łomot, co wskazywało na to, że buty, być może w towarzystwie jego własnej osoby, spadły ze schodów.— Dobrze ci tak — krzyknęła za nim. — Mięczak, złam sobie kark.Kilka chwil później złożyła Czamczy wizytę jego odseparowana i gołogłowa, purpurowa na twarzy żona, która powiedziała ochrypłym głosem przez zaciśnięte zęby: — J. J. stoi przed domem. Ten cholerny idiota mówi, że nie wejdzie do środka, dopóki nie powiesz, że nie masz nic przeciwko temu. — Jak zwykle była już podpita. Czamcza, ogromnie zdziwiony, wyrzucił z siebie: — A ty, czy ty 342

chcesz, żeby on wszedł do środka? — Co Pamela z miejsca uznała za sypanie soli na jej rany. Zrobiła się jeszcze bardziej purpurowa i kiwnęła głow ą z upokorzon ą dzikości ą. Tak.Tak więc pierwszego swojego wieczora w domu Saladyn Czamcza wyszedł

na zewn ątrz: — Hej, hombre! Jesteś naprawdę w porz ˛

adku! — Jumpy powitał go

z przerażeniem, zacieraj ąc nerwowo ręce, aby ukryć strach — i Czamcza przekonał kochanka swojej żony, że powinien dzielić z ni ą łoże. Następnie schronił się na górze, ponieważ wstyd nie pozwalał wejść Jumpiemu do domu, dopóki Czamcza nie zniknie z pola widzenia.— Co za człowiek! — szlochał Jumpy Pameli. — To ksi ˛

ażę, święty!— Jeżeli nie przestaniesz — ostrzegła Pamela wzburzona, ze spurpurowiał ą twarz ą — poszczuję cię tym pieprzonym psem.

\* \* \*Jumpy w dalszym ci ągu czuł się zakłopotany obecności ą Czamczy, postrzega-j ąc go (a przynajmniej świadczyło o tym jego zachowanie) jako groźnego ducha, którego stale należy sobie zjednywać przekupstwami. Kiedy ugotował posiłek dla Pameli (okazał się, co stwierdziła ze zdumieniem i wielk ą ulg ą, prawdziwym kuchmistrzem), uparł się, żeby zaprosić Czamczę do nich na dół, a kiedy Saladyn odmówił, zaniósł mu tacę na górę, wyjaśniaj ąc Pameli, że gdyby tego nie zrobił, byłoby to niegrzeczne, a także prowokuj ące. — Popatrz, na co on pozwala pod własnym dachem! To jest gigant; jedyne, co możemy zrobić, to zachowywać dobre maniery. — Pamela, z narastaj ąc ą furi ą, musiała cierpliwie znosić szereg takich sytuacji, wraz z towarzysz ącymi im kazaniami. — Nigdy nie s ądziłam, że jesteś tak ułożony — wściekała się, a Jumpy odpowiadał: — To po prostu kwestia szacunku.

W imię szacunku Jumpy zanosił Czamczy herbatę, gazety i pocztę; nigdy nie omieszkał, przychodz ąc do dużego domu, pójść najpierw na górę i złożyć wizytę trwaj ąc ą co najmniej dwadzieścia minut, minimum w jego skali grzeczności, podczas gdy Pamela trzy piętra niżej czekała bez końca i zalewała się burbonem.Przynosił Saladynowi drobne prezenty: przebłagalne dary w postaci ksi ążek, starych programów teatralnych, masek. Kiedy Pamela próbowała położyć temu kres, z min ą niewini ątka uparcie dowodził swego: — Nie możemy zachowywać się tak, jak gdyby ten człowiek nie istniał. Przecież on tu jest, tak czy nie? Wobec tego musimy go wci ągn ąć w nasze życie. — Pamela odpowiadała cierpko: — No to dlaczego nie zaprosisz go na dół, aby przył ączył się do nas w łóżku? — Na co Jumpy, poważnie: — Myślałem, że nie przypadłoby ci to do gustu.343

Pomimo że nie potrafił odprężyć się i uznać obecności Czamczy na górze za rzecz naturaln ą, jednak coś w środku Jumpy Joshiego doznało ulgi z powodu otrzymanego w tak niezwykły sposób błogosławieństwa od swojego poprzednika.Mog ąc poł ączyć ze sob ą imperatywy miłości i przyjaźni, nabierał otuchy, złapał

się nawet na tym, że poważnie zastanawia się nad ide ą ojcostwa. Którejś nocy wyśnił sen, którego wspomnienie następnego ranka wycisnęło mu łzy, potęgu-j ąc rozkosz oczekiwania: nieskomplikowany sen, w których biegł alejk ą w tunelu utworzonym przez zwisaj ące gałęzie, pomagaj ąc małemu chłopcu jeździć na rowerze. — Jesteś ze mnie zadowolony? — krzyczał chłopiec w uniesieniu. — Hej: jesteś zadowolony?

\* \* \*Pamela i Jumpy zaangażowali się w kampanię przeciwko aresztowaniu dra Uhuru Simby, oskarżonego o tak zwane Morderstwa Rozpruwacza Staruszek. I to Jumpy poszedł przedyskutować z Saladynem na górze. — Cała sprawa jest od po-cz ątku do końca sfingowana, oparta na dowodach pośrednich i insynuacjach. Hanif uważa, że materiał przygotowany przez prokuraturę ma takie dziury, że będzie mógł przez nie przejechać ciężarówk ą. Jest to oczywisty przypadek złośliwego wrabiania; pytanie tylko, jak daleko się posun ą. Na pewno będ ą starali się złapać go na sprzecznych zeznaniach. Być może znajd ą się nawet świadkowie, którzy stwierdz ą, że widzieli, jak rżn ął. Wszystko zależy od tego, jak bardzo będ ą chcieli go pognębić. A powiedziałbym, że jednak bardzo; ta sprawa narobiła sporo szumu w mieście. — Czamcza zalecił ostrożność. Przypominaj ąc sobie, jaki wstręt czuła Miszal Sufjan do Simby, powiedział: — Ten gość słynie, prawda, z brutalnego traktowania kobiet. . . — Jumpy rozłożył ręce. — W swoim życiu osobistym

— przyznał — facet jest, szczerze mówi ąc, kup ą gówna. Ale to nie znaczy, że rozpruwa brzuchy starym ludziom: nie musisz być aniołem, aby być niewinnym.O ile, oczywiście, nie jesteś czarny. — Czamcza puścił to mimo uszu. — Rzecz w tym, że to nie jest prywatna sprawa jednego człowieka, to sprawa polityczna —

podkreślił Jumpy, dodaj ąc, kiedy podnosił się do wyjścia: — Hm, jutro odbędzie się zebranie mieszkańców w tej sprawie. Pamela i ja musimy tam być; proszę, to znaczy gdybyś chciał, gdyby cię interesowało, to jest, możesz pojechać z nami, jeśli chcesz.— Poprosiłeś go, żeby z nami pojechał? — Pamela nie mogła uwierzyć. Miała teraz bardzo często nudności, co nie najlepiej wpływało na jej nastrój. — Naprawdę to zrobiłeś, nie pytaj ąc mnie o zdanie? — Jumpy był przygnębiony. —

No, dobrze, mniejsza z tym — przestała się nad nim znęcać. — On i pójście na 344

coś takiego. . .Jednak rano Saladyn pojawił się na dole w holu, ubrany w elegancki br ązowy garnitur, płaszcz z wielbł ądziej wełny z jedwabnym kołnierzem i szykowny, br ązowy, filcowy kapelusz. — Dok ąd to popierdalasz w tym stroju? — zapytała Pamela, w turbanie, wojskowej skórzanej kurtce i spodniach od dresu, które nie najlepiej maskowały zaokr ąglaj ący się brzuch. — Czyżby do Ascot? — O ile się nie mylę, zostałem zaproszony na zebranie — odpowiedział Saladyn jak najbardziej ugodowym tonem i Pamela zdębiała. — Uważaj — ostrzegła go. — Tak się odpierdoliłeś, że jeszcze zarobisz w czachę.

\* \* \*Co wci ągnęło go z powrotem do innego świata, do tego pod-miasta, w którego istnienie tak długo nie wierzył? — Co, lub raczej, kto zmusił go prostym faktem swojego istnienia, aby wynurzył się z tej jaskini-kokonu, w której przechodził —

albo tak mu się tylko zdawało — proces powrotu do dawnego ja, i aby ponownie rzucił się na niebezpieczne (ponieważ nie zbadane) wody świata i siebie samego?— Cóż, chyba wcisnę to zebranie — powiedział Jumpy Joshi Saladynowi — tuż przed lekcj ą karate. — Gdzie oczekiwać będzie jego wzorowa uczennica: wysmu-kła, o włosach koloru tęczy i, dodał Jumpy, w dodatku osiemnastolatka. — Nie wiedz ąc, że Jumpiego również wiod ą tam zakazane ci ągotki, Saladyn jechał przez całe miasto, aby być bliżej Miszal Sufjan.

\* \* \*Spodziewaj ąc się, że zebranie będzie kameralne, wyobrażał sobie jakiś pokój gdzieś na zapleczu, pełen podejrzanych typów o wygl ądzie i sposobie mówienia klonów Malcolma X (Czamcza przypomniał sobie, że kiedyś uznał za śmieszny dowcip komika telewizyjnego — A oto jeszcze jeden, o Murzynie, który zmienił

nazwisko na Pan X i oskarżył „Wiadomości ze świata” o zniesławienie — co sprowokowało jedn ą z największych kłótni, jakie Czamcza przeżył w trakcie swojego małżeństwa) oraz kilku rozzłoszczonych kobiet; przedstawiał sobie pojedynki na pięści i wiele słusznego gniewu. Zastał natomiast olbrzymia salę, wypełnion ą po brzegi ludźmi wszelkiego możliwego autoramentu — starymi kobietami o w ątpliwej reputacji, dziećmi w mundurkach szkolnych, Rastafarianami i obsług ą restau-345

racji, personelem małego chińskiego supersamu z Plassey Street, nijako ubranymi facetami i rozbestwionymi młodzieńcami, białymi i czarnymi; nastrój tłumu daleki był od histerii ewangelików, któr ą to sobie wcześniej wyobraził; było spokojnie, zmartwieni ludzie chcieli wiedzieć, czy można coś zrobić. Obok niego stała młoda Murzynka, która obrzuciła jego ubiór rozbawionym spojrzeniem; w odpowiedzi utkwił w niej pełen dezaprobaty wzrok i kobieta wybuchnęła śmiechem:

— W porz ądku, przepraszam, nie chciałam urazić. — Miała przypięt ą trójwymiarow ą odznakę, jedn ą z tych, które zmieniały wzór przy lekim poruszeniu. Pod jednym k ątem napis głosił „Uhuru dla Simby”, a przy innym, „Wolność dla Lwa”.— To ze względu na imię, które sobie przybrał — wyjaśniała niepotrzebnie. —

Po afrykańsku. — W jakim języku? — chciał wiedzieć Saladyn. Wzruszyła ramionami i odwróciła się, by słuchać przemawiaj ących. Po prostu po afrykańsku: urodziło się to to, przypuszczała po wymowie, w Lewisham lub Deptford, lub New Cross, i to wszystko, co chciała wiedzieć. . . Pamela zasyczała mu do ucha.— Widzę, że w końcu znalazłeś sobie kogoś, wobec kogo możesz czuć się lepszy.— Wci ąż mogła czytać w nim jak w otwartej ksi ążce.Na drugim końcu sali na scenie pojawiła się drobna kobieta w wieku około siedemdziesięciu pięciu lat, wprowadzona przez żylastego mężczyznę, który, jak zauważył Czamcza niemalże uspokojony t ą obserwacj ą, naprawdę był podobny do przywódcy amerykańskiego ruchu Black Power, młodego Stokely’ego Carmicha-ela, w rzeczy samej — te same silne okulary — i który spełniał rolę konferansjera.Okazało się w końcu, że to rodzony brat dra Simby, Walcott Roberts, a drobniuteń-ka dama, Antoinette, jest ich matk ą. — Bóg jeden wie, jak coś tak wielkiego jak Simba mogło kiedykolwiek z niej wyjść — szepn ął Jumpy, a Pamela zrobiła srog ą minę powodowana nowym poczuciem solidarności z wszystkimi ciężarnymi kobietami, zarówno z przeszłości, jak i teraźniejszości. Jednakże, kiedy Antoinette Roberts przemówiła, jej głos okazał się tak silny, że nie musiała nawet używać mikrofonu. Chciała opowiedzieć o wyst ąpieniu swojego syna w s ądzie podczas rozprawy wstępnej, a mówc ą naprawdę była świetnym. Według Czamczy miała głos osoby wykształconej; mówiła z akcentem rodem z BBC, jakby dykcji uczyła się od spikerów Serwisu Światowego, ale były w tym głosie również żarliwość i zapowiedź ognia piekielnego. — Mój syn zasiadł na ławie oskarżonych — powiedziała do milcz ącej sali — Boże, on tam zasiadł. Sylwester — wybaczcie mi iż używam imienia, które mu nadałam, nie chcę pomniejszyć tym imienia bo-jownika, jakie sam przybrał, robię to wył ącznie z przyzwyczajenia — Sylwester, on wzniósł się ponad tę ławę jak Lewiatan ponad fale. Chcę, abyście wiedzieli, jak mówił: mówił głośno i mówił wyraźnie. Mówił, patrz ąc swojemu przeciw-nikowi prosto w oczy, i czy prokurator był w stanie zmusić go do spuszczenia wzroku? Nigdy w życiu. I chcę, abyście wiedzieli, co powiedział: „Stoję tutaj —

oświadczył mój syn — ponieważ zgodziłem się przyj ąć star ą i zaszczytn ą rolę za-rozumiałego czarnucha. Jestem tutaj, ponieważ nie chciałem być rozs ądny. Jestem 346

tutaj z powodu mojej niewdzięczności. — Był tam kolosem pomiędzy karłami. —

Niech to będzie jasne — powiedział na tamtej sali s ądowej — jesteśmy tu po to, aby zmienić porz ądek rzeczy. Przyznaję od razu, że my sami musimy się zmienić; Afrykanie, mieszkańcy Karaibów, Hindusi, Pakistańczycy, mieszkańcy Bangladeszu, Cypryjczycy, Chińczycy, nie bylibyśmy tacy, jacy jesteśmy, gdybyśmy nie przepłynęli oceanu, gdyby nasi ojcowie i matki nie przecięli nieba w poszukiwaniu pracy, godności i lepszgo życia dla swoich dzieci. Zostaliśmy stworzeni na nowo: ale podkreślam, że będziemy również tymi, którzy zmieni ą to społeczeństwo, przekształc ą je od stóp do głów. Będziemy drwalami karczuj ącymi martwy las i założycielami ogrodów nowego. Teraz nasza kolej”. — Chcę, abyście pomyśleli nad tym, co mój syn, Sylwester Roberts, dr Uhuru Simba, powiedział

w przybytku sprawiedliwości. Myślcie o tym, kiedy decydujecie, co uczynić.Jej syn, Walcott, pomagał jej zejść ze sceny pośród burzy oklasków i śpiewu; skłoniła się z powag ą w kierunku wrzawy. Nast ąpiły mniej charyzmatyczne przemówienia. Hanif Johnson, obrońca Simby, przedstawił cał ą listę propozycji —

miejsce dla publiczności musi być wypełnione po brzegi, wydaj ący wyrok musz ą mieć świadomość, że s ą obserwowani; przed s ądem musz ą stać pikiety i należy zorganizować ich zmiany; trzeba zaapelować o pomoc finansow ą. Czamcza powiedział półgłosem do Jumpiego: — Nikt nawet nie napomkn ął o przypadkach jego agresji seksualnej. — Jumpy wzruszył ramionami. — Kilka kobiet, na które napadł, siedzi na tej sali. Miszal, na przykład, o tam, spójrz, w rogu przy scenie. Ale ani to czas, ani miejsce po temu. Samcze szaleństwo Simby jest, można by powiedzieć, jego osobistym dramatem. To, z czym mamy tu do czynienia, to dramat Człowieka. — W innej sytuacji Saladyn miałby wiele do powiedzenia na takie oświadczenie. Przeciwstawiłby się choćby temu, że nie można tak łatwo od-rzucić przypadków poprzedniego stosowania przemocy w sprawie o morderstwo.Nie podobało mu się również takie amerykańskie określenie jak „Człowiek” użyte w bardzo odmiennej brytyjskiej sytuacji, gdzie nie istnieje żadne dziedzictwo niewolnictwa; wygl ądało to jak próba wypożyczenia blasku wspaniałości od innych, bardziej niebezpiecznych walk; podobnie zreszt ą myślał o decyzji organi-zatorów, aby jako przerywników pomiędzy przemówieniami użyć takich pełnych treści pieśni jak „We Shall Overcome”, a nawet, na miłość bosk ą „Nkosi Sike-lel’i Afrika”. Jak gdyby wszystkie przypadki były identyczne, wszystkie historie wymienne. Ale nic nie powiedział, ponieważ zaczęło mu się kręcić w głowie, zrobiło mu się słabo, gdyż przed chwil ą zostało mu dane, po raz pierwszy w życiu, zadziwiaj ące przeczucie śmierci.— Hanif Johnson kończył swoje przemówienie. Tak jak napisał dr Simba, no-we wkroczy w to społeczeństwo poprzez zbiorowy, a nie indywidualny wysiłek.Cytował tu coś, co Czamcza rozpoznał jako jeden z najbardziej popularnych sloganów Camusa. Przejście od mowy do moralnej akcji, mówił Hanif, ma nazwę: stanie się człowiekiem. — A teraz miła, młoda brytyjska Azjatka, z nosem jak 347

kartofel i o nieprzyjemnym bluesowym głosie, odważnie zaintonowała piosenkę Boba Dylana „I Pity the Poor Immigrant”. To już kolejna fałszywa i importowana nuta: wydawało się, że piosenka tchnie raczej wrogości ą do imigrantów, jakkolwiek były w niej również linijki, które tr ącały właściw ą strunę, o wizji imigranta rozpadaj ącej się jak domek z kart, o tym jak musi on „wznieść to miasto na ka-łużach krwi”. Jumpiemu, z jego poetyckimi próbami wyrażania na nowo starego rasistowskiego obrazu rzeki krwi, z pewności ą to się spodoba. Wszystkich tych rzeczy Saladyn doświadczał, a także myślał o nich jak gdyby z bardzo daleka.Co się stało? To: kiedy Jumpy Joshi wskazał mu obecn ą na sali Domu Spotkań Miszal Sufjan, Saladyn Czamcza, patrz ąc w jej stronę, zobaczył ogień buchaj ący ze środka jej czoła; i w tym samym momencie poczuł łomotanie serca i lodowaty cień pary ogromnych skrzydeł. Obraz nieco mu się zamazał, co pozostawało w ścisłym zwi ązku z podwójnym widzeniem, jak gdyby spogl ądał w dwa światy jednocześnie; jeden to jasnooświetlona, palenie-surowo-wzbronione, sala zebrań, a ten drugi to świat fantomów, w którym Azrail, anioł śmierci, spadał na niego, a czoło dziewczyny mogło się palić złowieszczym płomieniem. — Ona jest moj ˛

a śmierci ˛

a, oto co to oznacza, myślał Czamcza w pierwszym ze światów, podczas gdy w drugim nakazywał sobie zachowanie rozs ądku; w sali tłoczyli się ludzie nosz ący te idiotyczne symbole przynależności szczepowej, które ostatnio stały się tak popularne, zielone neonowe aureole, rogi diabła pomalowane farb ą fluorescencyjn ą; Miszal zapewne ma na sobie coś z niepoważnej biżuterii ery podróży kosmicznych. Ale jego drugie ja ponownie przejęło nad nim kontrolę, ona jest poza twoim zasięgiem, oznajmiło mu, nie wszystkie możliwości stoj ˛

a przed

nami otworem. ´

Swiat ma swój kraniec; nasze nadzieje przelewaj ˛

a się przez jego

skraj. — Po czym na scenę wkroczyło jego serce, bababum, bum ba, dabadum.Teraz znajdował się na dworze, obok zaniepokojony Jumpy, nawet Pamela okazywała troskę. — To ja jestem w ci ąży, nie ty — burknęła, ale w jej głosie słychać było pozostałość dawnej czułości. — Jakim prawem sobie mdlejesz? —

Jumpy nalegał: — Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz ze mn ą na zajęcia; posiedzisz sobie spokojnie, a później odwiozę cię do domu. — Ale Pamela wci ąż pytała, czy nie trzeba wezwać lekarza. Nie, nie, pojadę z Jumpym, przejdzie mi. Po prostu tam w środku było gor ˛

aco. Duszno. Jestem za grubo ubrany. To głupstwo. Nic takiego.Obok Domu Spotkań znajdowało się kino studyjne i Czamcza stał tam teraz, opieraj ąc się o afisz filmowy. Wyświetlano „Mefista”, historię aktora wci ągniętego do współpracy z nazistami. Na afiszu główny bohater — grał go niemiecki gwiazdor filmowy Klaus Maria Brandauer — jest przebrany za Mefistofelesa, blada twarz, postać okryta czarnym płaszczem, ramiona wzniesione ku górze. Powyżej umieszczono cytat z „Fausta”.Kimże jesteś tedy?Jam części ˛

a Mocy niepojętej,348Która Zła zawsze pragn ˛

ac,Jeno Dobro czyni.

\* \* \*W centrum sportowym: z trudem zmusił się, żeby spojrzeć na Miszal. (Ona również opuściła zebranie w sprawie Simby, aby zd ążyć na zajęcia.) — Mimo że cały był ni ą przepełniony, wróciłeś, założę się, po to, żeby mnie zobaczyć, jakie to miłe, nie mógł prawie wykrztusić z siebie żadnego grzecznego słowa, a cóż dopiero zapytać, czy miałaś coś takiego świec ˛

acego na środku czoła, ponieważ

teraz nie miała, ćwicz ąc ciosy i wyginaj ąc smukłe ciało, wspaniale wygl ądaj ące w czarnym trykocie. — Aż w końcu, wyczuwaj ąc w nim chłód, wycofała się, samo zmieszanie i zraniona duma.— Nasza druga gwiazda nie przyszła dzisiaj — powiedział Jumpy Saladynowi podczas przerwy w ćwiczeniach. — Pani Alleluja Cone, ta, która weszła na Everest. Chciałem przedstawić was sobie. Ona zna, to znaczy, mieszka razem z Gibrilem. Gibrilem Fariszt ą, aktorem, który razem z tob ą ocalał z katastrofy.Rzeczy otaczaj ˛

a mnie coraz ciaśniejszym kręgiem. Gibril powoli dryfował ku niemu, podobnie jak Indie, oderwawszy się od prakontynentu Gondwany, zmie-rzały ku Laurazji. (Jego procesy myślowe, zauważył z roztargnieniem, wyrzucały na powierzchnię naprawdę dziwne skojarzenia.) Po ich zderzeniu ze sob ą wypię-trzyły się Himalaje. — Czym jest góra? Przeszkod ą; transcendentności ą; a przede wszystkim skutkiem.— Dok ąd idziesz? — zawołał Jumpy. — Myślałem, że cię podwiozę. Lepiej ci?— Tak, w porz ˛

adku. Muszę się przejść, to wszystko.— W porz ądku, jeśli jesteś pewny.Pewny. Odejść szybko, omijaj ąc zasmucony wzrok Miszal.. . . Na ulicy. Odejść szybko z tego niewłaściwego miejsca, z tego podziemnego świata. — Boże: nie ma ucieczki. Oto szyld sklepowy, sklep sprzedaj ący instrumenty muzyczne, tr ąbki saksofony, oboje jak się nazywa? — Pomyślnych Wiatrów, a tu znowu w oknie wystawowym byle jak wydrukowana ulotka. Ogłasza bliski już powrót, tak, zgadza się, Archanioła Gibrila. Jego powrót i zbawienie świata. Iść. Odejść jak najszybciej.. . . Zatrzymać tę taksówkę. (Jego ubranie wzbudza w taksówkarzu szacunek.) Proszę, niech pan wsiada, czy panu przeszkadza radio. Jakiś naukowiec, którego złapali podczas tego porwania samolotu i który stracił połowę języka. Amerykanin. Zrekonstruowali mu go, mówi, ciałem pobranym z jego zadka, z przepro-349

szeniem. To chyba niezbyt przyjemne mieć w ustach kawał własnego tyłka, ale biedny dupek chyba nie miał wyboru, no nie. Śmieszny gnojek. Ma śmieszne pomysły.Eugene Doomsday omawiał przez radio, przy pomocy swojego pośladkowe-go języka, braki w systematyce skamieniałości przewodnich. Diabeł próbował

mnie uciszyć, lecz dobry Pan i amerykańska technika chirurgiczna byli lepsi. Te braki były głównym punktem argumentacji kreacjonisty: jeżeli istnienie doboru naturalnego jest prawd ą, to gdzie podziały się te wszystkie przypadkowe mutacje, które nie zostały wybrane? Gdzie s ą te dzieci-potworki, zdeformowani po-tomkowie ewolucji? Skamieniałości milcz ą. Żadnych trzynożnych koni. Nie ma sensu dyskutować z tymi starymi prykami, powiedział taksiarz. Ja sam nie wierzę w Boga. Nie ma sensu, zgodziła się jakaś cz ąstka świadomości Czamczy. Nie ma sensu zakładać, że systematyka skamieniałości przewodnich nie jest czymś w rodzaju doskonałej kartoteki. A teoria ewolucji posunęła się dużo do przodu od czasów Darwina. Dowodzi się obecnie, że ważniejsze zmiany w gatunkach wcale nie dokonywały się na ślepo, metod ą prób i błędów, lecz w wielkich radykalnych skokach. Historia życia to wcale nie postęp powolny, chaotyczny — kojarz ący się z angielsk ą klas ą średni ą — jakim chciała go widzieć myśl wiktoriańska, lecz gwałtowny, na który składały się dramatyczne, kumuluj ące się transformacje: według dawnego słownictwa, bardziej rewolucja niż ewolucja. — Dosyć się już nasłuchałem, powiedział taksówkarz. Eugene Doomsday znikn ął z eteru, a jego miejsce zajęła muzyka dyskotekowa. Ave atque vale.Saladyn Czamcza zrozumiał tego dnia, że żył dot ąd w stanie złudnego spokoju, że zmiana, jaka w nim nast ąpiła, jest nieodwracalna. Nowy, mroczny świat otworzył się przed nim (lub: w nim samym), kiedy spadł z nieba; bez względu na to, jak usilnie próbował odtworzyć swój poprzedni byt, faktu tego, teraz to dostrzegł, nie da się zmienić. Wydało mu się, że widzi przed sob ą drogę rozwi-dlaj ąc ą się na lewo i na prawo. Zanikn ął oczy, rozsiadł się wygodniej na siedzeniu taksówki i wybrał drogę na lewo.2

Temperatura wci ąż rosła; i kiedy fala upałów osi ągnęła swoje apogeum i utrzymywała się na tym poziomie tak długo, że całe miasto, jego budowle, jego kanały, jego mieszkańcy osi ągnęli stan niebezpiecznie bliski wrzenia, — wówczas pan Billy Battuta i jego towarzyszka Mimi Mamoulian, którzy niedawno wrócili do metropolii po krótkim pobycie w Nowym Jorku jako goście tamtejszych władz penitencjarnych, zapowiedzieli wydanie „wielkiego wyjściowego” przyjęcia. Powi ązania Billy’ego z elit ą świata biznesu spowodowały, że sprawa toczyła się przed życzliwie usposobionym sędzi ą; urok osobisty Billy’ego był tak zniewalaj ący, że każda z bogatych „frajerek” (ł ącznie z pani ą Struwelpeter), od których wyłudził hojne datki na wykupienie swojej duszy z r ąk Szatana, podpisała petycję o ułaskawienie, w której matrony owe dawały wyraz swojemu przekonaniu, że pan Battuta okazał szczer ą skruchę za grzechy, i prosiły, w świetle jego przyrzeczenia, że odt ąd skoncentruje się on na swojej zdumiewaj ąco błyskotli-wej karierze impresaria (której społeczna przydatność w zakresie dochodowości oraz tworzenia nowych możliwości zatrudnienia, sugerowały one, powinna być również brana pod uwagę przez s ąd przy zmniejszaniu kwalifikacji prawnej jego występków) oraz jego następnego solennego przyrzeczenia, że podda się grun-townemu leczeniu psychiatrycznemu, które pomoże mu przezwyciężyć słabość do przestępczych wybryków, — aby szanowny pan sędzia zechciał wydać jakiś ła-godniejszy wyrok niż kara więzienia, ponieważ „cel odstraszania, przyświecaj ący takiemu wyrokowi, można łatwiej tu osi ągn ąć”, w opinii dam, „przy pomocy bardziej chrześcijańskiego werdyktu”. Mimi, uznana przez s ąd jedynie za zaślepion ą miłości ą wykonawczynię rozkazów Billy’ego, otrzymała wyrok w zawieszeniu; w wypadku Billy’ego kar ą miała być deportacja oraz bardzo wysoka grzywna, lecz nawet i to uległo złagodzeniu. Koniec końców sędzia przychylił się do prośby obrońcy Billy’ego, by pozwolono jego klientowi opuścić kraj dobrowolnie, bez piętna deportacji w postaci piecz ątki w paszporcie, która byłaby katastrofalna dla jego rozlicznych interesów. Dwadzieścia cztery godziny po ogłoszeniu wyroku Billy i Mimi znajdowali się już z powrotem w Londynie, radośnie celebruj ąc tę okazję u Crockforda i wysyłaj ąc fantazyjne zaproszenia na to przyjęcie, które, jak obiecywali, miało być przebojem tego dziwnie upalnego sezonu. Jedna z kartek dotarła, dzięki pomocy pana S. S. Sisodii, do rezydencji Allelui Cone i Gibrila Fariszty; inna przybyła nieco spóźniona do jaskini Saladyna Czamczy, wsunięta pod drzwi przez troskliwego Jumpiego. (Mimi zadzwoniła do Pameli, aby j ą zaprosić, dodaj ąc z charakterystyczn ą dla niej bezpośredniości ą: „Czy może wiesz, gdzie się podziewa twój m ąż?” — Na co Pamela odpowiedziała z angielskim zakłopotaniem, tak eee ale. Mimi wyci ągnęła z niej cał ą historię w mniej niż pół godziny, 351

niezły rezultat, i zakończyła triumfalnie: „Wygl ąda na to, że twoje życie nabiera kolorów, Pam. Przyprowadź ich obu; przyprowadź wszystkich. Zapowiada się niezły cyrk”.)

Przyjęcie miało odbyć się w obiekcie, który był kolejnym nie daj ącym się wytłumaczyć sukcesem Sisodii: na gigantycznej używanej do nagrywania dźwięku scenie studia filmowego w Shepperton, wynajętego najwyraźniej bezpłatnie; tak więc gości czekała zabawa w pieczołowicie zrekonstruowanej scenerii dicken-sowskiego Londynu. Ostatnia ukończona powieść wielkiego pisarza, w adaptacji musicalowej przemianowana na „Przyjacielu!”, z librettem i słowami piosenek na-pisanymi przez uznan ą wielkość sceny muzycznej, pana Jeremy’ego Benthama, okazała się olbrzymim sukcesem na West Endzie i Broadwayu, pomimo maka-brycznego charakteru niektórych z jej scen; tak więc teraz „Kumple”, jak poufale mówiono o niej w świecie biznesu, byli okrzyczani jako murowany kandydat na wysokobudżetow ą produkcję filmow ą. — Lu-ludzie od re-reklamy — powiedział

Sisodia Gibrilowi przez telefon — uważaj ą, że taka im-im-im-preza, dzięki której po-po-pojawi się wie-wie-wie-wiele gwiazd, będzie świe-świe-świetna dla ich k-k-kurwa kampanii re-re-reklamowej.Nadszedł wyznaczony wieczór: wieczór straszliwego ukropu.

\* \* \*Shepperton! — Pamela i Jumpy s ą już na miejscu, przyniesieni na skrzydłach MG Pameli, natomiast Czamcza, wzgardziwszy ich towarzystwem, przybywa w jednym z całej flotylli autobusów, któr ą gospodarze wieczoru udostępnili gościom z różnych powodów przedkładaj ącym bycie pasażerami nad byciem kierowcami. — Również ktoś inny — ten, z którym nasz Saladyn spadł na ziemię —

przybył, bł ąka się wokół. — Czamcza wkracza na scenę; i jest zdumiony. — Londyn zmienił się — nie, zagęścił, — zgodnie z wymaganiami filmu. — Patrzcie, oto Stucconia państwa Veneeringsów, tych świeżo wykonanych, nowiusieńkich jak spod igły ludzi, leż ąca niepokoj ąco blisko Portman Square i ciemnego zaułka, w którym tkwi ą różni Podsnapsowie. — Ba, gorzej jeszcze: oto hałdy śmieci w Boffin’s Bower, normalnie w pobliżu Holloway, a tutaj, w tej skróconej metropolii, wyłaniaj ą się tuż nad pokojami Fascination Fledgeby w Albany, samym sercu West Endu! — Lecz goście nie s ą skłonni do narzekań, to odrodzone miasto, mimo że poprzemieszczane, wci ąż zapiera dech w piersiach; zwłaszcza w tej części olbrzymiego studia, w której wije się rzeka, rzeka ze swoj ą mgł ą i łodzi ą Gaffera Hexama, Tamiza w odpływie, płyn ąca tu pod dwoma mostami, żelaznym i kamiennym. — Wesołe kroki gości dźwięcz ą na kamiennym brzegu i słychać 352

ponure, wygłuszone mgł ą st ąpania o złowieszczym tonie. Nad planem filmowym podnosi się sztuczna, gęsta jak grochówka mgła.Ważniaki z towarzystwa, wzięte modelki, gwiazdy filmowe, grube ryby korpo-racji, parka pomniejszych królewskich Osobistości, użyteczni politycy i podobna hałastra poci się i miesza na tych podrabianych ulicach wraz z tłumami mężczyzn i kobiet równie lśni ących od potu jak „prawdziwi” goście i równie podrabianych, jak samo miasto: z wynajętymi statystami w historycznych strojach i grup ą głównych aktorów z tego filmu. Czamcza, który uświadomił sobie w chwili, kiedy go dostrzegli, że to spotkanie jest zasadniczym celem jego podróży, — fakt ten udało mu się ukryć przed samym sob ą aż do tego momentu, — zauważa Gibrila w coraz bardziej wzburzonym tłumie.Tak: tam, na Moście Londyńskim, Który Jest Z Kamienia, niew ątpliwie, Gibril! — A to musi być jego Alleluja, jego Królowa Lodów Cone! — Jak niewidz ącym spojrzeniem zdaje się on patrzeć, jak przechyla się kilka stopni w lew ą stronę; jak szaleńczo ona wydaje się być zakochana w nim — jakim uwielbieniem wszyscy go obdarzaj ą: ponieważ jest pomiędzy najznakomitszymi na tym przyjęciu, Battuta po jego lewej ręce, Sisodia po prawej ręce Allie, a wszędzie wokół mnóstwo twarzy, które rozpozna każdy od Peru po Timbuktu! — Czamcza przepycha się przez tłum, im bliżej mostu, tym więcej ludzi; — ale on jest zdecydowany — Gibril, dotrze do Gibrila! — kiedy nagle dźwięk cymbałów rozpoczyna głośn ą muzykę, jedn ą z nieśmiertelnych natychmiast oklaskiwanych melodii pana Banthama, i tłum rozstępuje się jak Morze Czerwone przed dziećmi Izraela.— Czamcza traci równowagę, chwiejnie cofa się i zostaje przygnieciony przez rozstępuj ący się tłum do sztucznej budowli z pruskiego muru — a czegóż to? —

Magazynu Osobliwości; i, aby się ratować, umyka do środka, podczas gdy wielka śpiewaj ąca ciżba piersiastych dam w czepkach i marszczonych bluzach, odprowa-dzona przez więcej niż dostateczn ą liczbę dżentelmenów w wysokich cylindrach, przechodzi, świetnie się bawi ąc, nadrzeczn ą uliczk ą, śpiewaj ąc ile sił w płucach.Jakim facetem Nasz Wspólny Przyjaciel jest?Jaki zamierza uczynić gest

Czy przy tobie będzie stał fest?Itd. itd. itd.— Dziwne — odzywa się za nim kobiecy głos — ale kiedy dawaliśmy przedstawienie w teatrze, obsadę ogarn ął szał namiętności; czegoś takiego w mojej karierze nie widziałam. Ludzie zaczęli zapominać kwestie z powodu igraszek za kulisami.Zauważa, że kobieta jest młoda, niska, hoża, raczej atrakcyjna, wilgotna z go-r ąca, zaróżowiona od wina i najwyraźniej owładnięta ow ą gor ączk ą zmysłów, o której mówi. — W „pokoju” panuje półmrok, lecz może dostrzec błysk w jej oku. — Mamy czas — ci ągnie rzeczowo. — Jak ci tam skończ ą, pan Podsnap 353

ma solo. — Następnie, świetnie parodiuj ąc zarozumiał ą postawę agenta Ubezpie-czeń Morskich, rozpoczyna własn ą wersję przewidywanej w programie muzycznej Podsnaperii:

Bogaty Język Nasz,Mowa dla Obcych nad Siły;Wyróżniony Naród Nasz,Błogosławion i Bogu Miły. . .A teraz, w śpiewnej manierze RexoHarrisonowej, zwraca się do niewidzialnego Cudzoziemca: — A Jak Się Panu Podoba Londyn? — „Nesamowitong bogaty?” — My mówimy Niesamowicie Bogaty. Nasze angielskie przysłówki Nie kończ ą się na Ong. — A Czy Pan, Proszę Pana, Dostrzega Wiele Chodz ących Przykładów Naszego Brytyjskiego Charakteru Narodowego Na Ulicach Tej Światowej Metropolii, Londonu, Londres, Londynu? — Powiedziałabym — dodaje wci ąż Podsnapuj ąc — że jest w Angliku pewne poł ączenie cech, skromności, niezależności, odpowiedzialności, spokoju, których na próżno by szukać wśród Narodów Ziemi.Stworzenie zbliża się do Czamczy wyrzucaj ąc z siebie te kwestie — jednocześnie rozpina bluzkę; a on, mangusta wobec swojej kobry, stoi jak wmurowany; podczas gdy ona, odsłaniaj ąc kształtn ą praw ą pierś i podaj ąc mu j ą, wskazuje, że narysowała na niej — z obywatelskiej dumy — mapę Londynu, ni mniej ni więcej, czerwonym markerem, a rzeka cała na niebiesko. Metropolia wzywa go; —

lecz on, wydaj ąc zupełnie dickensowski okrzyk, wypada z Magazynu Osobliwości w szaleństwo ulicy.Gibril patrzy na niego wprost z Mostu Londyńskiego; ich oczy — przynajmniej tak się Czamczy zdaje — spotykaj ą się. Tak: Gibril spokojnie podnosi rękę i macha mu.

\* \* \*To, co dzieje się potem, jest tragedi ą. — Lub przynajmniej echem tragedii, ponieważ pełnokrwisty oryginał jest niedostępny dla nowożytnych mężczyzn i kobiet, tak się przynajmniej uważa. — Burlesk ą dla naszych zwyrodniałych wtórnych czasów, w których błazny odtwarzaj ą to, co pierwotnie czynili bohaterowie i królowie. — Cóż, wobec tego, niech tak będzie. — Pytanie zadawane tutaj pozostaje nadal tak wielkie, jakim zawsze było: a jest nim istota zła, jak się ono rodzi, dlaczego rośnie, w jaki sposób przejmuje w jednostronne posiadanie wszechstronn ą ludzk ą duszę. Lub, powiedzmy: zagadka Jagona.

354

Nie jest rzecz ą nieznan ą wśród literacko-teatralnych egzegetów, pokonanych przez swojego bohatera, przypisywanie jego czynów „nie umotywowanej złośliwości”. Zło jest złem i będzie czyniło zło, i tyle; jad węża jest dokładnie jego definicj ą. — Cóż, takie wzruszanie ramionami nie zda egzaminu. Mój Czamcza może nie być żadnym Starcem z Wenecji, moja Allie żadn ą uduszon ą Desdemon ą, Fariszta nie dorówna Maurowi, lecz zostan ą przebrani w kostiumy interpretacji, tak jak to rozumiem. — Tak więc, oto, Gibril macha na powitanie; Czamcza zbliża się, kurtyna podnosi się, ukazuj ąc pogr ążaj ąc ą się w ciemnościach salę.

\* \* \*Zauważmy najpierw, jak osamotniony jest Saladyn; jedyn ą osob ą, która pragnie jego towarzystwa jest odurzona nieznajoma z kartograficzna piersi ą, przepycha się ona w pojedynkę przez tę rozbawion ą ciżbę, w której wszystkie osoby zdaj ą się być (a nie s ą) przyjaciółmi; — podczas gdy tam, na Moście Londyńskim, stoi Fariszta, oblegany przez wielbicieli, w samym środku tłumu; a następnie zdajmy sobie sprawę z wrażenia, jakie wywiera na Czamczy, który kochał Anglię pod postaci ą swojej utraconej angielskiej żony, — złocista, blada i lodowata obecność Allelui Cone przy boku Fariszty; porywa kieliszek z tacy przechodz ącego kelnera, szybko wypija wino, bierze następny; i zdaje mu się, że widzi w tej odległej Allie pełnię swojej straty;

również pod innymi względami Gibril szybko staje się dla Saladyna sum ą jego własnych klęsk; — tam, teraz za nim, w tej właśnie chwili, stoi kolejny zdrajca; wołowina przebrana za cielęcinę, pięćdziesi ątka z hakiem, a trzepocze rzęsami jak nastolatka, agentka Czamczy, straszna Charlie Sellers; — nie porównałabyś go do jakiejś Transylwańskiej pijawki, no nie, Charlie, krzyczy w duchu rozzłoszczony obserwator; — i chwyta następny kieliszek; — i widzi, na jego dnie, własn ą anonimowość, równej wielkości sławę tamtego, i wielk ą niesprawiedliwość tego podziału;przede wszystkim — zastanawia się z gorycz ą — ponieważ Gibril, zdobywca Londynu, nie dostrzega żadnej wartości w świecie, który w tej chwili pada mu do stóp! — dlaczego ten skurwiel zawsze szydził z tego miejsca, Ten Właśnie Londyn, Wilajat, Anglicy, Spoono, cóż z nich za zimne ryby, słowo daję; — Czamcza przeciska się nieugięcie w jego kierunku przez tłum i wydaje mu się że widzi, o właśnie teraz, to samo szyderstwo na twarzy Fariszty, tę sam ą pogardę odwróco-nego Podsnapa, dla którego wszystko, co angielskie, zasługuje na drwinę, a nie na podziw; — O Boże, co za okrucieństwo, że on, Saladyn, dla którego celem i krucjat ą było uczynienie tego miasta swoim, musi ogl ądać, jak klęczy ono przed 355

godnym pogardy rywalem! — a więc jest jeszcze i to: że Czamcza chciałby bardzo znaleźć się w skórze Fariszty, natomiast jego własna powłoka w najmniejszym stopniu Gibrila nie obchodzi.Co jest niewybaczalne?Czamcza, patrz ąc Fariszcie w twarz, po raz pierwszy od ich burzliwego roz-stania w holu Rosy Diamond, widz ąc dziwnie obojętny i pusty wzrok tamtego, przypomina sobie z oszałamiaj ąc ą wyrazistości ą tę dawniejsz ą pustkę, Gibrila stoj ącego na schodach i nie robi ącego nic, podczas gdy jego, Czamczę, rogatego i bezbronnego, wleczono w noc; i czuje powrót nienawiści, czuje jak od-stóp-

-do-głów wypełnia go świeża zielona żółć, mniejsza o usprawiedliwienia krzyczy w nim, do diabła z łagodzeniem i tym co-mógłby-zrobić-a-nie-zrobił; czego nie można wybaczyć, tego nie można. Jest. Nikt nie potrafi os ˛

adzić, jak poważne jest

obrażenie wewnętrzne, na podstawie powierzchownej ranki.A więc: Gibril Fariszta, os ądzony przez Czamczę, jest potraktowany gorzej niż Mimi i Billy w Nowym Jorku i zostaje uznany winnym, po wsze czasy, Rzeczy Niewybaczalnej. Co z tego wynika, to wynika. — Lecz pozwólmy sobie trochę porozmyślać o prawdziwej istocie tej Ostatecznej, tej Nie Do Odpokutowania Zbrodni. — Czy to naprawdę, czy to być może, jego obojętność na schodach Ro-sy? — A może istniej ą tu głębsze urazy, boleści, dla których ta tak zwana Przyczyna Pierwotna jest, w rzeczy samej, niczym więcej jak namiastk ą, fasad ą? —

Bo czyż nie s ą oni poł ączonymi przeciwieństwami, ci dwaj, każdy z nich cieniem drugiego? — Jeden pragnie zostać przeobrażonym w tę cudzoziemskość, któr ą podziwia, drugi woli z pogard ą przeobrażać; jeden, nieszczęśliwy facet, który wydaje się być ustawicznie karany za nie popełnione przestępstwa, ten drugi, nazy-wany przez każdego anielskim, typ człowieka, któremu wszystko ujdzie na sucho.— Możemy opisać Czamczę jako osobę nieco poniżej wielkości naturalnej; lecz głośny, ordynarny Gibril jest, bez w ątpienia, postaci ą o wymiarach niecodzien-nych, niewspółmiemość, która z łatwości ą mogłaby wzbudzić neoprokrustowskie ci ągotki u Czamczy: rozci ągn ąć siebie poprzez przycinanie Fariszty.Co jest niewybaczalne?Co, jeśli nie drż ąca nagość bycia na wskroś poznanym przez osobę, której nie ufamy? — A czyż Gibril nie widział Saladyna Czamczy w okolicznościach —

porwanie, upadek, aresztowanie — w których sekrety własnego ja zostały całkowicie ujawnione?Cóż, w takim razie. — Czy jesteśmy bliżsi temu? Czy powinniśmy powiedzieć, że ci dwaj s ą dwoma fundamentalnie różnymi rodzajami jaźni? Czy nie moglibyśmy się zgodzić, że Gibril, pomimo tego całego swojego pseudonimu artystycznego i występów w filmach; i pomimo sloganów o ponownych narodzi-nach; nowych pocz ątkach, metamorfozach; — pragn ął pozostać, w dużym stopniu, w stanie ci ˛

agłości — to jest zł ączony ze swoj ą przeszłości ą i wyłaniaj ący się z niej; — że nie wybrał sobie ani śmiertelnej choroby, ani przeobrażaj ącego spa-356

dania; że tak naprawdę obawia się przede wszystkim stanów przemiany, w które jego sny przes ączaj ą się i zatapiaj ą przebudzon ą jaźń, zmieniaj ąc go w tego anielskiego Gibrila, którym wcale nie życzy sobie być; — tak więc jego jaźń pozostaje wci ąż t ą, któr ą, ze względu na nasze obecne cele, możemy opisać jako „prawdziw ą”. . . natomiast Saladyn Czamcza jest istot ą wybranych nieci ągłości, ochoczym odkrywaniem się na nowo; jego świadomy bunt przeciw historii czyni go, żeby użyć wybranego przez nas zwrotu, „fałszywym”? I czy wobec tego nie można by pójść dalej i powiedzieć, że właśnie ta fałszywość jaźni u Czamczy czyni możliwym u niego gorszy i głębszy fałsz — nazwijmy to „złem” — i że to jest prawda, drzwi, które otworzyły się w nim poprzez upadek? — Podczas gdy Gibril, by pójść za logik ą ustalonej przez nas terminologii, ma być uważany za „dobrego”z tego tytułu, że pragnie pozostać, mimo zmiennych kolei losu, w gruncie rzeczy, człowiekiem nieprzetłumaczalnym.— Lecz, i znowu lecz: nie wygl ąda to, prawda, na niebezpiecznie podobne do zamierzonego sofizmatu? — Takie rozróżnienia, skoro opieraj ą się, a opierać się musz ą, na idei jaźni jako bytu (idealnie) jednorodnego, nie skrzyżowanego, „czystego”, — absolutnie fantastyczne pojęcie! — nie mog ą, nie wolno im pozwolić wystarczać. Nie! Raczej powiedzmy coś bardziej brutalnego: że zło może nie kryć się aż tak bardzo głęboko pod nasz ą powłok ą, jak to byśmy sobie chcieli wyobrazić. — Że, w rzeczy samej, ulegamy mu naturalnie, to znaczy, nie jest to wbrew naszej naturze. i że Saladyn Czamcza przyst ąpił do zniszczenia Gibrila Fariszty, ponieważ w końcu okazało się to takie łatwe; prawdziwy urok zła leży w kusz ącej łatwości, z jak ą można wst ąpić na tę drogę. (I, dodajmy, niemożliwości powrotu z niej.)

Saladyn Czamcza woli jednak upierać się przy prostszej wersji. „To z powodu jego zdrady w domu Rosy Diamond; jego milczenia, niczego więcej”.Wstępuje na imitację Mostu Londyńskiego. Z pobliskiej budki lalkarza, po-malowanej w-czerwono-białe-paski, pan Punch woła do niego: Tak się to robi! Po czym Gibril wypowiada słowa powitania, których entuzjazm niweczy niestosow-na obojętność w jego głosie: — Spoono, to ty. Ty cholero. Tak, we własnej osobie.No, chodź tu bliżej, ty Salad baba, stary Czamczo.

\* \* \*To się stało:

Z chwil ą, kiedy Saladyn Czamcza podszedł na tyle blisko do Allie Cone, że został sparaliżowany, a nawet poniek ąd zmrożony jej wzrokiem, poczuł, jak je-go odrodzona wrogość do Gibrila przenosi się również na ni ą, kobietę z tym jej 357

spojrzeniem zero-stopni idź-w-cho-łerę, z tym jej sposobem bycia osoby dopusz-czonej do jakiejś wielkiej, ściśle tajnej tajemnicy wszechświata; a również z jej cech ą, któr ą później będzie uważał za nieujarzmion ą dzikość, coś nieugiętego, nieuchwytnego, antyspołecznego, niezależnego, sam ą treść. Dlaczego wzburzyło go to tak bardzo? Dlaczego, zanim nawet zd ążyła otworzyć usta, już j ą zakla-syfikował jako część wroga?Być może dlatego, że jej poż ądał; poż ądał nawet czegoś więcej, tego, co wzi ął

za jej wewnętrzn ą pewność siebie; a ponieważ brakowało mu tej cechy, był o ni ą zazdrosny i d ążył do zniszczenia tego, co było przedmiotem zazdrości. Jeżeli miłość jest pragnieniem, aby upodobnić się do osoby kochanej (a nawet stać się ni ą), wobec tego nienawiść, trzeba powiedzieć, może być uczuciem zrodzonym z tej samej chęci wtedy, kiedy nie może ona zostać zaspokojona.To się stało: Czamcza wymyślił sobie jak ąś Allie i stał się antagonist ą swojej fikcji. . . nie ujawnił tego. Uśmiechn ął się, uścisn ął rękę, miło mu było, że j ą poznał; i obj ął Gibrila. Pod ˛

ażam za nim, aby odpłacić mu pięknym za nadobne.Allie, nie podejrzewaj ąc niczego, przeprosiła ich. Na pewno maj ą tyle do omó-wienia, powiedziała; i, obiecuj ąc wrócić wkrótce, odeszła: wybadać teren, jak to ujęła. Zauważył, że utyka stawiaj ąc pierwszych kilka kroków; potem zatrzymała się i po chwili energicznie ruszyła dalej. Wśród rzeczy, których o niej nie wiedział, było również jej cierpienie.Nie miał pojęcia o tym, że ten Gibril, który stoi przed nim, patrzy niewidz ącym wzrokiem i wita go niedbale, znajduje się pod ścisł ą kontrol ą lekarsk ą; —

albo o tym, że musi codziennie zażywać lekarstwa, które otępiaj ą jego umysł, z powodu bardzo realnego prawdopodobieństwa nawrotu już-nazwanej-choroby, to jest, schizofrenii paranoidalnej; — albo o tym, że dot ąd był przetrzymywany, w wyniku nie znosz ących sprzeciwu nalegań Allie, z dala od ludzi filmu, do których całkowicie straciła zaufanie po jego ostatnim ataku szaleństwa; — albo o tym, że była ona absolutnie przeciwna przyjściu na przyjęcie Battuty-Mamoulian, przystała na to dopiero po straszliwej scenie, podczas której Gibril ryczał, że nie pozwoli się dłużej więzić i że jest zdecydowany czynić dalsze próby powrotu do „prawdziwego życia”; — albo o tym, że opieka nad jej umysłowo chorym kochankiem, który dostrzega małe nietoperzowate chochliki wisz ące do góry nogami w lodówce, wymaga od niej wysiłku, który skrajnie j ą wyczerpuje, na-rzucaj ąc jej rolę pielęgniarki, kozła ofiarnego i podpory, ż ądaj ąc od niej, jednym słowem, by działała przeciw swojej skomplikowanej i udręczonej naturze; — nie miał pojęcia o żadnej z tych rzeczy, nie rozumiał, że ten Gibril, na którego patrzy i którego, jak mu się wydaje, widzi, Gibril uosobienie szczęśliwego losu, którego tak wyraźnie brakuje prześladowanemu przez Furię Czamczy, jest w tym samym stopniu wytworem jego wyobraźni, w tym samym stopniu fikcj ą co wymyślona-

-nienawidzona Allie, ta klasyczna zabójcza blondynka lub femme fatale wycza-rowana przez jego zazdrosn ą, udręczon ą, orestejańsk ą wyobraźnię — niemniej 358

jednak, zupełnie nieświadomie i przypadkowo, Saladynowi udało się przenikn ąć przez szparę w zbroi Gibrila (przyznać należy, że nieco donkiszotowskiej) i zrozumiał, w jaki sposób najszybciej można zniszczyć t ą znienawidzon ą Drug ą część własnego ja.Stało się to możliwe dzięki banalnemu pytaniu Gibrila. Zmuszony przez środki uspokajaj ące do poruszania tematów zupełnie błahych, zapytał nieco niejasno:

— I jak, powiedz mi, ma się twoja pani? — Na co Czamcza, rozluźniony pod wpływem alkoholu, wybełkotał: — Jak? Z brzuchem. Z pierdolonym dzieciakiem w środku. Ciężarna. — Otumaniony działaniem lekarstw, Gibril nie wyczuł agre-sywności tych słów, rozpromienił się, nadal nieobecny, i obj ął Saladyna ramieniem. — Szabasz, mubarak — złożył gratulacje. — Spoono! Cholernie szybka robota!— Pogratuluj jej kochankowi — zapienił się Saladyn. — Mojemu staremu przyjacielowi, Jumpy Joshiemu. To dopiero, przyznaje, jest mężczyzna. Kobiety szalej ą za nim, zdaje się. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Chc ą od niego jego cholernych dzieci i nawet nie czekaj ą na pozwolenie.— Na przykład która? — rykn ął Gibril tak głośno, że zaczęły się ku nim od-wracać głowy, a Czamcza cofn ął się zdziwiony. — Która która która — pohu-kiwał, wywołuj ąc chichot podchmielonych gości. Saladyn Czamcza zaśmiał się również, lecz wymuszenie. — Powiem ci, która na przykład. Moja żona na przykład, oto która. Żadna z niej dama, panie Fariszta, Gibrilu. Pamela, moja żadna-

-dama żona.Dokładnie w tej chwili, jak zażyczył sobie los, — podczas gdy Saladyn, nieźle wstawiony, nie zauważył, jaki wpływ jego słowa wywieraj ą na Gibrilu, —

w którego umyśle dwa obrazy poł ączyły się z głośn ą eksplozj ą, pierwszym by-ło nagłe wspomnienie Rekhi Merchant na lataj ącym dywanie, ostrzegaj ącej go przed tajemnym pragnieniem Allie, by mieć dziecko bez powiadamiania o tym ojca, kto pyta nasienie o zgodę na posianie, drugim natomiast wizja instruktora walk Wschodu zł ączonego w zmysłowej zniewalaj ącej cielesności z t ą sam ą pann ą Alleluja Cone, — na moście „Southwark” ukazała się postać Jumpy Joshiego, który wygl ądał na nieco wzburzonego, — poluj ącego na Pamelę, z któr ą rozdzielił go ten sam pochód śpiewaj ących dickensowców, który popchn ął Saladyna ku metropolitalnym piersiom młodej kobiety w Magazynie Osobliwości. — O wilku mowa — wskazał Saladyn. — Oto idzie draństwo. — Odwrócił się ku Gibrilowi: lecz ten znikn ął.Pojawiła się z powrotem Allie Cone, wściekła, oszalała. — Gdzie on jest?Jezu! Czy nie mogę go już zostawić samego na jedn ą pieprzon ą chwilę? Cholera, czy nie mógł pan nie spuszczać z niego zasranego oka?— Dlaczego, o co chodzi? — Lecz Allie już zniknęła w tłumie, tak więc gdy Czamcza dojrzał Gibrila na moście „Southwark”, była poza zasięgiem głosu. —

Z kolei pojawiła się Pamela, pytaj ąc: — Czy widziałeś Jumpiego? — Wskazał. —

359

Tam — po czym ona również zniknęła bez słowa podziękowania; a teraz znowu widać było Jumpiego, jak idzie po moście „Southwark” w przeciwnym kierunku, jego kręcone włosy jeszcze bardziej zmierzwione niż zwykle, jego opadaj ące ramiona skulone pod płaszczem, którego nie chciał zdj ąć, rozbiegane oczy, kciuk kieruj ący się ku ustom; — i chwilę później Gibril przeszedł przez to upozorowa-nie mostu Który Jest Z Żelaza, id ąc w tym samym kierunku, co Jumpy.Krótko mówi ąc, bieg wydarzeń zacz ął przypominać farsę; lecz kiedy kilka minut później aktor graj ący rolę „Gaffera Hexama", który pilnował tego odcinka dickensowskiej Tamizy, poszukuj ąc trupów unoszonych przez wodę, aby im ulżyć i odebrać biżuterię przed przekazaniem policji, — podpłyn ął, wiosłuj ąc szybko po studyjnej rzece, z przewidzianymi przez scenariusz zwichrzonymi siwymi włosami stoj ącymi dęba, farsa natychmiast się skończyła; ponieważ tam, w jego hanieb-nej łodzi, leżało bezwładne ciało Jumpy Joshiego w nasi ąkniętym wod ą płaszczu.— Załatwili go — krzyczał, wskazuj ąc na olbrzymi guz z tyłu czaszki Jumpiego

— cud, że się nie utopił w tej wodzie.

\* \* \*Tydzień później, w odpowiedzi na gor ące telefoniczne prośby Allie Cone, która odszukała go poprzez Sisodię, Battutę i w końcu, Mimi, i która, wydawało się, nieco odtajała, Saladyn Czamcza znalazł się na siedzeniu obok kierowcy w trzy-letnim dużym citroenie srebrzystego koloru, który przyszła Alicja Boniek spre-zentowała córce przed wyjazdem na dłuższy pobyt do Kalifornii. Allie przyjechała po niego na stację w Carlisle, powtarzaj ąc wcześniejsze telefoniczne przeprosiny.

— „Nie miałam prawa odezwać się do pana w ten sposób; przecież nic pan nie wiedział, mam na myśli jego, cóż, dzięki Bogu nikt nie widział samego momentu ataku i wydaje się, że sprawa została wyciszona, ale ten biedny człowiek, wio-słem w tył głowy, fatalnie; rzecz w tym, że wynajęliśmy dom na północy kraju, moi przyjaciele wyjechali na jakiś czas i wydaje się, że to najlepszy sposób, żeby go odseparować od istot ludzkich, no i, cóż, pyta o pana; uważam, że naprawdę może mu pan pomóc, a poza tym, uczciwie mówi ąc, i mnie by się przydała pomoc” — z których Saladyn niewiele rozumiał, ale które sprawiły, że zaczęła zżerać go ciekawość — a teraz za oknami citroena z przerażaj ąc ą prędkości ą uciekała Szkocja: krawędź Muru Hadriana, Gretna Green — dawna mekka mło-docianych kochanków-zbiegów i dalej w gł ąb kraju w stronę Wyżyny Południo-woszkockiej, Ecclefechan, Lockerbie, Beattock, Elvanfoot. Czamcza miał skłonności do uważania wszystkich miejscowości poza metropoli ą za coś w rodzaju pustki międzygalaktycznej, a podróż do tych miejsc za wyprawy najeżone nie-360

bezpieczeństwami: ponieważ jakakolwiek awaria w takiej pustce oznaczać musi śmierć w osamotnieniu i ciało latami czekaj ące na odnalezienie. Ostrożność kazała mu dostrzec, że jedno ze świateł drogowych citroena jest uszkodzone i że wskaźnik paliwa znajduje się na czerwonym polu (okazało się, że również i on jest uszkodzony), światło dnia powoli gasło, a Allie jechała tak, jak gdyby szosa A 74 była torem wyścigowym w Silverstone w słoneczny dzień. — On nie może uciec daleko bez samochodu, ale nigdy nic nie wiadomo — wyjaśniła ponuro. —

Trzy dni temu ukradł kluczyki od wozu i znaleziono go, kiedy jechał pod pr ąd zjazdem z autostrady M 6, wrzeszcz ąc o wiecznym potępieniu. Gotujcie się na zemstę Pana, powiedział gliniarzom patroluj ącym autostradę, albowiem wkrótce przywołam mego zastępcę, Azraila. Zapisali to wszystko w tych swoich małych notesikach. — Czamcza, którego serce było wci ąż jeszcze wypełnione własnym pragnieniem zemsty, udał współczucie i zaskoczenie. — A Jumpy? — zapytał. —

Allie zdjęła obłe ręce z kierownicy i wyci ągnęła je w geście ja-się-poddaję, podczas gdy samochód zacz ął niebezpiecznie zataczać się na całej szerokości krętej drogi. — Lekarze mówi ą, że zazdrość o coś, co się uważa za swoj ą własność, mo-że być części ą tej samej choroby, a przynajmniej może wywołać atak szaleństwa, jak zapalnik.Była zadowolona, że ma okazję otworzyć do kogoś usta; a Czamcza słuchał

chętnie. Jeżeli ufała mu, to dlatego, że Gibril również mu ufał; nie miał najmniejszego zamiaru niszczyć tego zaufania. Kiedyś on zawiódł moje zaufanie; niech teraz przez jakiś czas mi ufa. Był pocz ątkuj ącym lalkarzem; musiał nauczyć się, do czego służ ą poszczególne sznurki, co do czego jest przymocowane. . . — Nic na to nie poradzę — mówi Allie. — Niejasno czuję, że ja również ponoszę wi-nę za jego stan. Nie układa nam się, i to mój bł ąd. Moja matka złości się, kiedy tak mówię. Alicja, tuż przed wejściem do samolotu, który miał j ą unieść na zachód, zwymyślała córkę w Terminalu Trzecim. — Nie rozumiem, sk ąd ci się to bierze — krzyczała otoczona płacz ącymi azjatyckimi mamusiami, właścicielami plecaków i walizkami. — Mogłabyś stwierdzić, że życie twojego ojca również nie przebiegało zgodnie z planem. Czy w takim razie obozy koncentracyjne to jego wina? Studiuj historię, Allelujo. W tym stuleciu historia przestała wreszcie zwracać uwagę na stare psychologiczne podejście do rzeczywistości. Chcę przez to powiedzieć, że obecnie nie istnieje coś takiego, jak przeznaczenie jednostki.Przeznaczenie to ekonomia. Przeznaczenie to ideologia. Przeznaczenie to bomby. Czy klęskę głodu, komory gazowe, granat obchodzi to, jak żyłaś? Przychodzi kryzys, przychodzi śmierć i twoje patetyczne indywidualne ja nie może nic z tym zrobić, może tylko ponosić konsekwencje. Ten twój Gibril: być może w ten sposób oddziałuje na ciebie historia. — Ostatnio, bez słowa ostrzeżenia, powróciła do wytwornych ubiorów, które tak lubił Otto Cone, a teraz z kolei do krasomówczej maniery, pasuj ącej do dużych czarnych kapeluszy i plisowanych strojów. — Baw się dobrze w Kalifornii, mamo — powiedziała Allie uszczypliwie. — Jedna z nas 361

jest szczęśliwa — powiedziała Alicja. — Dlaczego nie mogłabym to być ja? —

I zanim jej córka zd ążyła odpowiedzieć, przeszła przez bramkę tylko-dla-pasażerów, wymachuj ąc paszportem, kart ą pokładow ą, biletem, kieruj ąc się w stronę wolnych od opłaty celnej flakoników „Opium” i butelek dżinu Gordon’s, które sprzedawano pod podświetlonym napisem: ODLE Ć Z ZAKU-PA PA!-MI.W zapadaj ących ciemnościach droga okr ążała wrzosowiska. Dawno temu, w innym kraju, innym zmierzchu, Czamcza okr ążył inn ą grupę podobnych wznie-sień i nagle zobaczył ruiny Persepolis. Teraz jednak zmierzał ku ludzkiej ruinie; i nie po to, by podziwiać, lecz może nawet po to (ponieważ decyzja czynienia zła nigdy nie zostaje ostatecznie podjęta, do momentu samego popełnienia czynu; zawsze istnieje ostatnia szansa, by się wycofać), by j ą zniszczyć. Nagryzmolić swoje imię na ciele Gibrila: Tó byłem — Zaladyn. — Dlaczego pani z nim jest?— zapytał Allie, a ona ku jego zaskoczeniu zaczerwieniła się. — Dlaczego nie oszczędzi sobie pani bólu?— Prawdę mówi ąc, mało pana znam, właściwie wcale — zaczęła, następnie zawahała się i podjęła decyzję. — Nie jestem dumna z tej odpowiedzi, ale ta-ka jest prawda — powiedziała — to seks. Jest nam niewiarygodnie dobrze razem, doskonale, niczego takiego do tej pory nie doświadczyłam. Kochankowie z krainy marzeń. Wydaje się, że on po prostu wie. Zna mnie. — Zapadła cisza; noc skryła jej twarz. W Czamczy na nowo wezbrała gorycz. Wszędzie wokół niego kochankowie z krainy marzeń; a on, bez marzeń, mógł się tylko przygl ądać. Zazgrzytał

za złości zębami; i ugryzł się niechc ący w język.Gibril i Allie zaszyli się w swojej dziurze w Durisdeer, wiosce tak małej, że nie było w niej nawet pubu, mieszkali w dawnym kościółku Freekirk, przemienionym — to na wpół religijne określenie wydało się Czamczy dziwne — przez architekta, przyjaciela Allie, który dorobił się fortuny na takich metamorfozach sacrum w profanum. Uderzyło go, że jest to bardzo ponure miejsce, pomimo białych ścian, reflektorów punktowych ukrytych w rogach pokojów i grubych dywa-nów pokrywaj ących cał ą podłogę. W ogrodzie znajdowały się nagrobki. Nie jest to najlepsze schronienie dla człowieka, którego nękaj ą paranoidalne przywidzenia, że jest szefem archaniołem Boga, rozmyślał Czamcza, w każdym razie nie wybrałby tego, gdyby zależało to od niego. Freekirk stał trochę na uboczu, oddalony od kilkunastu krytych dachówk ą kamiennych domów, które składały się na tę społeczność: odosobniony nawet wewn ątrz tego odosobnienia. Kiedy samochód się zatrzymał, Gibril stał w drzwiach, cień na tle oświetlonej sieni. — Dojechałeś

— wrzasn ął. — Jar, jak świetnie. Witaj w pieprzonym więzieniu.Pod wpływem lekarstw Gibril stał się niezdarny. Kiedy tak siedzieli w trójkę wokół stołu z amerykańskiej żółtej sosny pod opuszczan ą lamp ą z regulatorem mocy światła, dwukrotnie przewrócił swoj ą filiżankę z kaw ą (ostentacyjnie nie drinkował; Allie, nalawszy dwa pełne kieliszki whisky, dotrzymywała towarzystwa Czamczy) i przeklinaj ąc potykał się w kuchni w poszukiwaniu papierowych 362

ręczników. — Kiedy mam dosyć takich reakcji, po prostu biorę mniej nic jej nie mówi ąc — przyznał. — A wtedy zaczyna się to gówno. Przysięgam ci, Spoono, że nie mogę wprost znieść tej cholernej myśli, że to się nigdy nie skończy, że jedyna alternatywa jest między bzikiem a zastrzykiem. Cholera, nie mogę tego znieść. Nie mogę tego znieść, kurde. Przysięgam, przyjacielu, gdybym myślał, że to to, wtedy pas, to, nie wiem, ja bym, nie wiem co.— Zamknij gębę — poprosiła Allie cicho. Ale on krzyczał: — Spoono, ja j ą nawet uderzyłem, wiesz? Psiakrew, któregoś dnia myślałem, że ona jest demonem rakszasa i rzuciłem się na ni ą. Czy wiesz, co to jest za siła, siła szaleństwa?— Na swoje szczęście chodziłam na — ojej, ach — te zajęcia z samoobrony —

Allie uśmiechnęła się szeroko. — On przesadza, żeby zachować twarz. A w końcu sam wyrżn ął głow ą o podłogę. — Dokładnie tutaj — potwierdził Gibril z zaże-nowaniem. Podłoga kuchenna wyłożona była kamiennymi płytami — Bolesne —

zaryzykował Czamcza. — Jak cholera — rykn ął Gibril, nagle poweselały. — Po prostu, kurwa, odjechałem.Wnętrze kościoła Freekirk zostało podzielone na duży dwupoziomowy (w żargonie pośrednika handlu nieruchomościami, — „o podwojonej przestrzeni”) salon

— dawniej miejsce zebrań wiernych — i na bardziej konwencjonaln ą drug ą część, z kuchni ą i pomieszczeniem gospodarczym na dole i sypialniami, i łazienk ą na piętrze. Nie mog ąc z jakiegoś powodu zasn ąć, Czamcza zawędrował o północy do wielkiego (i chłodnego: fala upałów mogła się przelewać na południu Anglii, ale tutaj, gdzie było jesiennie i zimno, nie dochodziła jej najdrobniejsza zmarszczka) salonu i wędrował pośród cieni głosów wygnanych kaznodziejów, podczas gdy na górze Gibril i Allie kochali się na cały regulator. Zupełnie jak Pamela. Próbował

myśleć o Miszal, Zini Wakil, ale nie wychodziło. Zatykaj ąc uszy palcami, walczył

z efektami dźwiękowymi kopulacji Fariszty i Allelui Cone.Ich zespolenie cechował duży stopień ryzyka od samego pocz ątku, rozmyślał: po pierwsze, dramatyczne porzucenie przez Gibrila jego kariery i pospieszna podróż przez cały świat, a teraz bezkompromisowa determinacja Allie, aby doprowadzić sprawę do samego końca, aby pokonać w nim szalon ą anielsk ą boskość i przywrócić jego naturę ludzk ą, któr ą kochała. Nie uznawali żadnych kompromisów; szli na całość. — Natomiast on, Saladyn, uznał, że zadowala go życie pod jednym dachem z własn ą żon ą i jej kochasiem. Co jest lepsze? Kapitan Ahab uton ął, przypomniał sobie; a jedyn ą osob ą, która ocalała, był Ismael, pomocnik palacza.363

\* \* \*

Rankiem Gibril zarz ądził wejście na miejscowy „Szczyt”. Jednak Allie odmówiła udziału, chociaż Czamcza widział wyraźnie, że powrót na wieś sprawił, że twarz jej aż promieniała z radości — Cholerny platfusik — przeklinał piesz-czotliwie Gibril. — Chodź, Salad. My, cholerni miejscy spryciarze, pokażemy zdobywczyni Everestu, jak trzeba się wspinać. Co za cholerne życie wywrócone do góry nogami, jar. My idziemy się wspinać, a ona siedzi tu sobie i załatwia sprawy przez telefon. — W głowie Saladyna kłębiły się myśli: zrozumiał teraz to dziwne utykanie w Shepperton; zrozumiał również, że to ustronne niebo musi być tymczasowe — że Allie, przyjeżdżaj ąc tutaj, poświęca własne zdrowie i że nie będzie mogła tego robić bez końca. Co powinien zrobić? Cokolwiek? Nic? — Jeżeli zemsta ma być wymierzona, to kiedy i jak? — Włóż te buty — polecił Gibril.— Czy myślisz, że deszcz powstrzyma się od padania przez cały ten pieprzony dzień?Nie powstrzymał się. W momencie, kiedy doszli do kamiennego kopca na szczycie wybranym przez (Gibrila, spowiła ich chmura drobnej mżawki. — Nieźle, kurwa — sapał Gibril. — Patrz: oto i ona, tam na dole, siedzi sobie na krześle jak Bardzo Wielka Figura. — Wskazał w dół na Freekirk. Czamcza, z głośno ło-mocz ącym sercem, czuł, że przesadził. Musi wreszcie zacz ąć się zachowywać jak człowiek, którego serduszko nie wyrabia. Cóż w tym chwalebnego — umierać na serce na tym byle jakim Szczycie, niepotrzebnie, w deszczu? Wówczas Gibril wy-ci ągn ął lornetkę i zacz ął pilnie przygl ądać się dolinie. W polu widzenia nie było niemal żadnych poruszaj ących się obiektów — dwóch lub trzech mężczyzn z psa-mi, kilka owiec, nic więcej. Gibril śledził mężczyzn przez lornetkę. — A teraz, kiedy jesteśmy sami — odezwał się nagle — mogę ci powiedzieć, dlaczego naprawdę przyjechaliśmy tutaj, do tej cholernej pustej dziury. To ze względu na ni ą.Tak, tak; nie daj się zwieść mojej grze! To wszystko przez tę jej pieprzon ą urodę.Mężczyźni, Spoono: goni ą za ni ą jak popierdolone muchy lec ące do gówna. Przysięgam ci! Widzę ich, jak się ślini ą i wyci ągaj ą łapy. O, to nie jest w porz ądku.Ona jest bardzo prywatn ą osob ą, najbardziej prywatn ą osob ą na świecie. Musimy chronić j ą przed poż ądaniem.To przemówienie zaskoczyło Saladyna. Ty biedny gnojku, myślał, twoje szaleństwo powiększa się już z prędkości ą kilku mil na godzinę. I zaraz po tej myśli pojawiło się drugie zdanie, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: Nie wyobrażaj sobie, te to oznacza, ie zostawię cię w spokoju.364

\* \* \*

W drodze powrotnej na stację kolejow ą w Carlisle, Czamcza napomkn ął o wy-ludnieniu wsi. — Nie ma wcale pracy — powiedziała Allie. — Wobec tego jest pusto. Gibril twierdzi, że nie może przyzwyczaić się do myśli, że cała ta kosmiczna pustka oznacza biedę: mówi, że jemu kojarzy się raczej z luksusem, po tłumach Indii. — A twoja praca? — zapytał Czamcza. — Co z ni ą? — Posłała mu uśmiech, od dawna już niezdolna zachować chłodnej wyniosłości Królowej Lodu. — Miło, że pytasz. Wci ąż sobie myślę, że któregoś dnia na pierwszy plan wyjdzie to życie, które noszę w sobie. Czy też, chociaż ciężko mi się przyzwyczaić do pierwszej osoby liczby mnogiej, nasze życie. Tak brzmi lepiej, no nie?— Nie daj się odci ąć — doradził Saladyn. — Od Jumpiego, od twojego własnego świata, czegokolwiek. — Był to moment, w którym naprawdę, można powiedzieć, rozpocz ął kampanię; chwila, w której wszedł na tę łatw ą, kusz ąc ą drogę bez powrotu. — Masz rację — mówiła Allie. — Boże, gdyby on tylko wiedział.Jego nieoceniony Sisodia, na przykład: temu już nie wystarcza uganianie się za dwumetrowymi aktoreczkami, chociaż pewne jest jak wszyscy diabli, że wci ąż bardzo to lubi. — Dostawiał się — zgadł Czamcza; i jednocześnie umieścił tę informację w swojej kartotece, do ewentualnego późniejszego wykorzystania. —

On nie ma wstydu — roześmiała się Allie. — I zrobił to dosłownie pod nosem Gibrila. Jednak potrafi pogodzić się z odmow ą: po prostu kłania się i mruczy b-

-b-b-bez obrazy, i tyle. Wyobraź sobie, co by było, gdybym powiedziała o tym Gibrilowi.Na stacji kolejowej Czamcza życzył Allie powodzenia. — Będziemy w Londynie przez kilka tygodni — powiedziała przez otwarte okno samochodu. — Muszę odbyć parę spotkań. Może wpadniesz w tym czasie do Gibrila; twoje odwie-dziny zawsze dobrze mu robiły.— Dzwoń, kiedy tylko zechcesz — powiedział jej na pożegnanie i przygl ądał

się odjeżdżaj ącemu citroenowi, dopóki nie znikn ął mu z pola widzenia.

\* \* \*To, że Allie Cone, trzeci wierzchołek trójk ąta urojeń — bo czyż drogi Gibrila i Allie nie zeszły się głównie dlatego, ze, odczuwaj ąc tak ą potrzebę, wy-obrazili sobie jak ąś „Allie” i jakiegoś „Gibrila”, w których nawzajem mogli się zakochać; i czyż Czamcza nie widział ich obojga w sposób dyktowany mu przez udręczone i rozczarowane serce? — ma być nieświadom ą, Bogu ducha winn ą 365

wykonawczyni ą jego zemsty, wydało się jeszcze bardziej oczywiste intryganto-wi, Saladynowi, gdy odkrył, że Gibril, z którym umówił się na wspólne spędzenie popołudnia w tropikalnym Londynie, niczego bardziej nie pragnie, jak opisać mu w najdrobniejszych żenuj ących szczegółach zmysłow ą ekstazę miłości z Allie. Cóż to za ludzie, zastanawiał się Saladyn z niesmakiem, którym przyjemność sprawia zmuszanie osób postronnych do wysłuchiwania zwierzeń z własnego życia intymnego? Gibril (z niejakim upodobaniem) opisywał pozycje, ugryzienia miłosne, sekretne słowa poż ądania, gdy spacerowali po parku Brickhall Fields pośród uczennic i dzieciaków na wrotkach oraz ojców rzucaj ących nieudolnie bumerangami i dyskami frisbi w stronę pogardliwie przygl ądaj ących się temu synów, i posuwali się ostrożnie pomiędzy przypiekaj ącym się w poziomej pozycji mięsem sekretarek, a Gibril przerwał na chwilę sw ą erotyczn ą rapsodię, aby powiedzieć z wściekłości ą, że „czasami patrzę na tych różowych ludzi i zamiast skóry, Spoono, widzę psuj ące się mięso, wyczuwam ich gnicie, tutaj — gwałtownym ruchem dotkn ął kilka razy swoich nozdrzy, jakby zwierzał się z jakiejś tajemnicy

— moim nosem”. I z powrotem do ud Allie, jej zamglonych oczu, doskonałej doliny w dolnej partii pleców, stłumionych okrzyków, które wydaje. Był to człowiek, nad którym wisiała groźba, iż pęknie w szwach. Ta dzika energia, maniakalna drobiazgowość opisu stanowiły dla Czamczy sygnał, że Gibril ponownie zacz ął

sam zmniejszać dawki lekarstw, że toczy się rozpędem pod górę ku grani szczytu obłędu, ku temu stanowi gor ączkowego podniecenia, który pod jednym względem jest podobny do pijackiego urwania filmu (według Allie), mianowicie kiedy Gibril wraca na ziemię, co jest nieuniknione, nie pamięta zupełnie nic z tego, co mówił i robił. — Wci ąż i wci ąż nowe szczegóły, niezwykła długość jej sutków, jej niechęć, by dotykał jej pępka, wrażliwość jej palców u nóg. Czamcza mówił

sobie, że szaleństwo szaleństwem, ale opisy te ujawniały (ponieważ było w nich i o Allie w samochodzie) słaby punkt ich tak zwanej „wielkiej namiętności” —

określenia tego Allie używała tylko pół żartem — ponieważ, krótko mówi ąc, nie było w niej nic poza seksem, nie było żadnego innego aspektu ich zwi ązku, nad którym warto by się rozwodzić. — Jednocześnie jednak czuł rosn ące podniecenie.Zobaczył siebie stoj ącego pod jej oknem, podczas gdy ona stoi w środku zupełnie naga, jak aktorka na ekranie, męskie dłonie pieszcz ą j ą na tysi ąc różnych sposobów, doprowadzaj ąc do ekstazy; wyobraził sobie, że on sam jest par ą tych r ąk, niemal wyczuwał chłód jej skóry, jej reakcje, prawie słyszał jej krzyki. — Opanował się. Czuł obrzydzenie do tego poż ądania, które nim zawładnęło. Ona jest nieosi ągalna; a to był czysty voyeuryzm, i nie podda mu się. — Lecz poż ądanie wzniecone rewelacjami Gibrila nie chciało odejść nie zaspokojone.Obsesja seksualna Gibrila, uprzytomnił sobie Czamcza, w rzeczywistości ułatwia sprawę. — Tak, w rzeczy samej jest bardzo atrakcyjn ą kobiet ą — powiedział półgłosem tytułem próby, i w odpowiedzi z miejsca został wynagrodzony gniewnym, pełnym napięcia spojrzeniem. Po czym Gibril, daj ąc pokaz opano-366

wania, obj ął Saladyna ramieniem i zagrzmiał: — Przepraszam, Spoono, jestem przykry, kiedy chodzi o ni ą. Ale ty i ja! Jesteśmy bhai-bhai. Przeszliśmy przez najgorsze i wyszliśmy z tego z uśmiechem na ustach; chodź teraz, mam już dość tego idiotycznego parku. Uderzamy w miasto.Jest moment przed popełnieniem zła; następnie moment jego popełniania, następnie czas, kiedy ono już się dokonało, kiedy ten krok został już zrobiony i każdy kolejny staje się coraz łatwiejszy. — Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział Czamcza. — Cieszę się, że widzę cię w tak dobrym humorze.Obok nich przejechał na rowerze BMX chłopczyk w wieku sześciu, a może siedmiu lat. Czamcza odwrócił głowę, aby śledzić jego dalsz ą drogę, i zobaczył, że chłopiec mknie teraz alejk ą ocienion ą zwisaj ącymi z drzew gałęziami, przez które gor ącemu światłu słonecznemu udało się spłyn ąć kroplami to tu, to tam.Wstrz ąs wywołany odkryciem miejsca, w którym ukrywał się dot ąd jego sen, zdezorientował Czamczę na krótko i pozostawił po sobie gorycz w ustach: cierpki smak różnych mogło-by-być. Gibril złapał taksówkę i poprosił na Trafalgar Square.Och, był on tego dnia w tak przewybomym nastroju, w czambuł potępiał Londyn i Anglików prawie z t ą sam ą werw ą co niegdyś. Tam, gdzie Czamcza widział interesuj ąco wyblakł ą wspaniałość, Gibril dostrzegał ruinę, miasto-Robinso-na Crusoe, uwięzione na wyspie swojej przeszłości i próbuj ące przy pomocy pod-klasy Piętaszków zachować pozory. Pod czujnym spojrzeniem kamiennych lwów gonił gołębie, krzycz ąc: — Przysięgam, Spoono, w naszym kraju te tłuściochy nie przeżyłyby dnia; złapmy jednego na kolację. — Zangielszczona dusza Czamczy skuliła się ze wstydu. Później, w Covent Garden, opisał na użytek Gibrila dzień, kiedy stary targ owocowo-warzywny został przeniesiony stamt ąd do Nine Elms.Władze zablokowały wszystkie kanały ściekowe i zabiły dziesi ątki tysięcy szczurów, zaniepokojone ich ilości ą. Ale dalsze setki tysięcy uniknęły zagłady. — Tego dnia na chodniki wyszły głodne szczury — wspominał. — Wszędzie, na Strand i na moście Waterloo, w sklepach i na zewn ątrz sklepów, rozpaczliwie poszukuj ące żywności. — Gibril parskn ął. — Teraz już jestem pewien, że to ton ący statek

— krzykn ął, a Czamcza poczuł w sobie narastaj ący gniew, gdyż to on umożliwił

to stwierdzenie. — Nawet cholerne szczury się wynosz ą. — A po chwili przerwy:

— Brakowało tylko fletoszczurołapa, no nie? Wiod ącego je ku zagładzie przy pomocy muzyki.Kiedy nie obrażał Anglików i nie opisywał ciała Allie od nasady jej włosów po miękki trójk ąt, „miejsce miłości, cholerna joni”, sprawiał wrażenie, że interesuje się głównie robieniem list: chciał znać dziesięć ulubionych ksi ążek Spoono; jak również filmy, gwiazdy filmowe, potrawy. Czamcza udzielił konwencjonalnych i kosmopolitycznych odpowiedzi. Na jego liście filmów znalazły się, między innymi „Potiomkin”, „Kane”, „Osiem i pół”, „Siedmiu Samurajów”, „Alphaville”,„Anioł Zagłady”. — Zrobili ci wodę z mózgu — szydził Gibril. — Całe te zachod-367

nie brednie o sztuce. — Każda z jego list czołowych dziesi ątek zawierała tytuły

„z kraju” i wręcz zaczepnie reprezentowała niewybredne upodobania. „Mother India”, „Mr India”, „Shree Charsawbees”: żadnego Raya, żadnego Mrinal Sena, żadnego Aravindana czy Ghataka. — Głowę masz tak wypełnion ą śmieciami —

powiedział Saladynowi — że zapomniałeś już wszystko, co warto znać.Jego narastaj ące podniecenie, jego przekonanie, szumi ące cały czas jak potok, że świat musi zostać przemieniony w zlepek list przebojów, tempo marszu, jakie narzucił — musieli przejść ze dwadzieścia mil, nim zakończyli swoj ą wędrówkę

— podsuwały Czamczy myśl, że niewiele już trzeba, by zepchn ąć go w przepaść.Wygl ˛

ada na to, Mimi, ze również i ja stałem się oszustem wykorzystuj ˛

acym zaufa-

nie ludzi. Zręczność skrytobójcy polega na tym, by jak najbliżej przyci ˛

agn ˛

ać ku

sobie ofiarę; łatwiej wtedy wbić nóż. — Robię się głodny — ogłosił Gibril wszem i wobec. — Weź mnie do którejś z twoich dziesięciu najlepszych knajp.W taksówce Gibril drażnił Czamczę, który nie zdradził mu, dok ąd jad ą. —

Pewnie jakaś francuska speluna, na? Albo japońska, z rybami na surowo i ośmior-nicami. Boże, dlaczego polegam na twoim guście.Przyjechali do Shaandaar Café.

\* \* \*Jumpiego tam nie było.

Ani też, najwyraźniej, Miszal Sufjan nie załagodziła sporu ze swoj ą matk ą; nie było Miszal i Hanifa, ani Anahita, ani jej matka nie zgotowały Czamczy przyjęcia, które można było nazwać ciepłym. Jedynie Hadżi Sufjan przyj ął ich z radości ą.— Proszę, proszę, siadajcie, nieźle wygl ądacie. — Kawiarnia była dziwnie pusta i nawet obecność Gibrila nie wywołała specjalnego poruszenia. Dopiero po kilku sekundach Czamcza zrozumiał co się dzieje; zobaczył czterech białych młodzieńców przy stoliku w rogu sali, aż rw ących się do bitki.Młody kelner, Bengalczyk (którego Hind była zmuszona zatrudnić po odejściu starszej córki), podszedł do nich i przyj ął zamówienie — oberżyny, sisz kebab, ryż

— cały czas spogl ądaj ąc ze złości ą w stronę nieznośnej czwórki, która była, jak Saladyn teraz dopiero dostrzegł, naprawdę bardzo pijana. Kelner Amin był równie wściekły na agresywnych młodzieńców co na Sufjana. — Nie powinien pozwolić im usi ąść — mruczał do Czamczy i Gibrila. — Teraz już muszę ich obsłużyć. —

Bogaczowi wszystko jedno, on nie jest w pierwszej linii, rozumiecie.Pijanym podano jedzenie w tym samym czasie, co Czamczy i Gibrilowi. Kiedy zaczęli wybrzydzać, atmosfera w sali stała się jeszcze bardziej napięta. W końcu wstali. — Nie będziemy jedli tego gówna, wy piździelce — wrzasn ął ich przy-368

wódca, drobny karłowaty facet o rudoblond włosach, bladej poci ągłej twarzy, całej w pryszczach. — To jest gówno. Sami to wpierdalajcie, pierdolone pizdy. —

Jego trzej kompani, chichocz ąc i przeklinaj ąc, wyszli z kawiarni. Przywódca zatrzymał się na chwilę. — Smakuje jedzonko? — krzykn ął do Czamczy i Gibrila.— To pierdolone gówno. Czy to właśnie jecie u siebie, co? Pizdy. — Twarz Gibrila przybrała wyraz, który zdawał się mówić jasno i dobitnie: oto, czym stali się w końcu Brytyjczycy, wielki naród zdobywców. Nie odezwał się ani słowem.Niski facet o szczurzym obliczu podszedł do nich. — Kurwa, chyba pytałem was o coś — powiedział. — Powiedziałem. Czy wam, kurwa, smakuje wasz pierdolony gówniany obiad? — I Saladyn Czamcza, prawdopodobnie na złość Gibrilowi, który omalże nie zabił człowieka, w ogóle nie staj ąc z nim twarz ą w twarz —

atakuj ąc od tyłu, z zaskoczenia, jak tchórz — usłyszał swój własny głos: — Sma-kowałby, gdyby was tu nie było. — Szczurzy syn, chwiej ąc się na nogach, przyj ął

do wiadomości tę informację, a następnie zrobił coś zdumiewaj ącego. Bior ąc głęboki oddech, wyprostował się prawie do swojego pełnego metra sześćdziesi ąt; potem pochylił do przodu i napluł gwałtownie i obficie w ich jedzenie.— Chłopcze, jeżeli ten jest na liście twoich dziesięciu najlepszych — powiedział Gibril w taksówce w drodze powrotnej — to nie zabieraj mnie do lokali, za którymi specjalnie nie przepadasz.— „Minnamin, Gut mag alkan, Pern dirstan” — odpowiedział Czamcza. —

To znaczy „Kochanie, Bóg czyni nas głodnymi, Szatan spragnionymi”. Nabokov.— Znowu on — poskarżył się Gibril. — Co to, cholera, za język?— Sam go wymyślił. Mówi to Kinbotemu, kiedy jeszcze był dzieckiem, jego zembleńska niania. W „Bladym Ogniu”.— Perndirstan — powtórzył Fariszta. — Wygl ąda to na nazwę jakiegoś kraju: piekła, może. W każdym razie poddaję się. Jak można czytać ksi ążkę faceta, który pisze w jakimś przez siebie wymyślonym żargonie?Byli już z powrotem tuż przy mieszkaniu Allie, którego okna wychodziły na park Brickhall Fields. — Dramaturg Strindberg — powiedział Czamcza z nie-obecnym wyrazem twarzy, jakby pod ążał za jak ąś głębok ą myśl ą — po dwóch nieszczęśliwych małżeństwach poślubił słynn ą i urocz ą dwudziestoletni ą aktorkę o nazwisku Karnet Bosse. W „ Śnie” wspaniale zagrała Puka. Pisał również specjalnie dla niej: rolę Eleonory w „Wielkanocy”. „Anioła pokoju”. Młodzi mężczyźni szaleli za ni ą, a Strindberg, cóż, stał się tak zazdrosny, że prawie postradał

zmysły. Próbował zamykać j ą w domu, żeby była poza zasięgiem wzroku mężczyzn. Chciała podróżować, to przynosił jej ksi ążki podróżnicze. Zupełnie jak w starej piosence Cliffa Richarda: Zamknę j ˛

a w kufrze / aby nie porwał jej nikt /

nawet jeśli się uprze.Fariszta skin ął ociężale głow ą. Popadł w zadumę. — I co się stało? — zapytał, kiedy dotarli na miejsce. — Rzuciła go — stwierdził niewinnie Czamcza. —

Powiedziała, że nie może pogodzić go z rodzajem ludzkim.369

\* \* \*

Alleluja Cone czytała, id ąc od stacji metra, delirycznie radosny list od matki, ze Stanford w Kalifornii. „Jeżeli ludzie mówi ą ci, że szczęścia nie da się osi ągn ąć

— pisała leworęczna Alicja swoim dużym, pochylonym w lewo pismem pełnym zawijasów — b ądź tak uprzejma i przyślij ich do mnie. Wyprowadzę ich z błędu.Znalazłam je dwukrotnie, pierwszy raz z twoim ojcem, jak ci wiadomo, zaś po raz drugi z tym dobrym dużym człowiekiem, który ma twarz koloru pomarańcz, rosn ących tu wszędzie. Proste zadowolenie, Allie. Jest ono o wiele lepsze niż wielkie uniesienia. Spróbuj tego. Spodoba ci się.” Kiedy Allie podniosła wzrok, zobaczyła ducha Maurice’a Wilsona, siedz ącego na samym czubku dużego czerwonego buka i maj ącego na sobie ten sam wełniany strój co zazwyczaj — szkocki beret, sweter w romby, pumpy — ubiór sprawiaj ący w tym upale wrażenie zbyt ciepłego. — Nie mam teraz dla ciebie czasu — powiedziała, a on wzruszył ramionami. Mogę poczekać. Znowu bolały j ą stopy. Zacisnęła usta i poszła dalej.Saladyn Czamcza, ukryty za tym samym czerwonym bukiem, z którego duch Maurice’a Wilsona śledził pełne cierpienia kroki Allie, zobaczył wypadaj ącego przed frontowe drzwi wieżowca Gibrila Farisztę, czekaj ącego dot ąd niecierpliwie na jej powrót i odchodz ącego od zmysłów, ujrzał jego zaczerwienione oczy.Demony zazdrości siedziały na jego ramionach i wywrzaskiwał wci ąż tę sam ą star ą piosenkę, gdziedodiabła ktodo codo niemyślsobieżemożeszmydlićoczy, jak-śmieszty sukosukosuko. Wydaje się, że Strindbergowi powiodło się tam, gdzie Jumpy (ponieważ był nieobecny) przegrał.Obserwator z najwyższych gałęzi zdematerializował się; ten drugi z zadowoleniem kiwn ął głow ą i powędrował alejk ą wzdłuż rzucaj ących głęboki cień rozłożystych drzew.

\* \* \*Telefony, które zaczęli teraz odbierać Gibril i Allie, pocz ątkowo w swoim londyńskim mieszkaniu, a następnie pod bardzo odległym adresem w Dumfries i Galloway, nie były zbyt częste; ale, z drugiej strony, nie można powiedzieć, by były rzadkie. Podobnie rozmówców dzwoni ących do nich nie było zbyt wielu, co mogłoby świadczyć o braku jakiegokolwiek między nimi powi ązania, ale z drugiej strony, było ich wystarczaj ąco wielu. Nie były to rozmowy krótkie, takie jak wówczas, gdy dzwoni ą osoby ciężko sapi ące do słuchawki i inni maniacy nadużywaj ący sieci telefonicznej, ale też, dla odmiany, nigdy nie trwały wystar-370

czaj ąco długo, by umożliwić policji, prowadz ącej stały podsłuch, dotrzeć do ich źródła. Ani też cały ten nieprzyjemny epizod nie trwał zbyt długo — jakieś trzy i pół tygodnia, po czym dzwoni ący nie odezwali się więcej; lecz można by również wspomnieć, że telefony te trwały dokładnie tak długo, ile było trzeba, to jest, aż pchnęły Gibrila Farisztę do popełnienia wobec Allie Cone tego, co wcześniej uczynił Saladynowi — Rzeczy Niewybaczalnej.Należy powiedzieć, że nikomu, ani Allie, ani Gibrilowi, ani nawet specjali-stom od podsłuchu telefonicznego, których sprowadzili do domu, na myśl nie przyszło, że rozmowy mogły być dziełem jednego człowieka; lecz dla Saladyna Czamczy, znanego niegdyś (cóż z tego, że jedynie w kręgach poniek ąd specjali-stycznych) jako Człowiek Tysi ąca Głosów, taka mistyfikacja była prost ą spraw ą, nie wymagaj ąc ą wysiłku i nie poci ągaj ąc ą za sob ą żadnego ryzyka. Ogólnie rzecz bior ąc, musiał wybrać (spośród swoich tysi ąca i jednego głosów) nie więcej niż trzydzieści dziewięć.Kiedy słuchawkę podnosiła Allie, słyszała nie znanych sobie mężczyzn szepcz ących do ucha o jej intymnych sekretach, panów, którzy zdawali się znać naj-tajniejsze zak ątki jej ciała, ludzkie istoty bez twarzy, które najwyraźniej znały z doświadczenia jej najulubieńsze, spośród niezliczonych, formy kochania się; a kiedy rozpoczęto próby wytropienia autorów tych tortur, doznawała jeszcze gorszego upokorzenia, ponieważ teraz nie mogła po prostu odłożyć słuchawki, lecz zmuszona była stać i słuchać, z płon ącymi policzkami i zimnymi dreszczami przebiegaj ącymi po plecach, usiłuj ąc nawet (bezskutecznie) przedłużyć rozmowę.Gibril również otrzymał swój przydział głosów: znakomitych byronicznych arystokratów przechwalaj ących się „zdobyciem Everestu”, szyderczych uliczni-ków, głosy obłudnych najlepszych-przyjaciół, którzy z udawanym współczuciem udzielali mu przestróg, m ˛

adrej głowie dość dwie słowie, jakżeż tak głupio możesz, czy jeszcze nie wiesz, kim ona jest, cokolwiek co nosi spodnie, ty biedny kretynie, przyjmij to od przyjaciela. Lecz jeden głos zwracał na siebie szczególn ą uwagę, wysoki, natchniony głos poety, jeden z pierwszych, które Gibril usłyszał i który jednocześnie zalazł mu najbardziej za skórę; głos mówi ący wył ącznie do rymu, recytuj ący marne wierszydła, w których wyczuć można było naiwność, a nawet niewinność, co stanowiło tak jaskrawy kontrast z masturbacyjn ą nieprzyzwoito-ści ą wielu pozostałych rozmówców, że Gibril wkrótce zacz ął uważać go za najbardziej podstępny i złowrogi z nich wszystkich.Miłe s ˛

a kawki, miłe herbatki

Najmilej, gdy już zlatuj ˛

a twe szatki.Powiedz jej to, głos zamarł i poł ączenie zostało przerwane. Innego dnia głos powrócił z inn ą rymowank ą:

Lubię ciastko, lubię krem,Lecz najchętniej ciebie zjem.371

To również jej przekaż; b ądź tak uprzejmy. Jest coś demonicznego, doszedł do wniosku Gibril, coś głęboko niemoralnego w tym nadużyciu formy trywialnych wierszyków urodzinowo-pocztówkowych pam-pi-pam.Rumiane jabłka, słodkie maliny

Otóż i imię mej drogiej dziewczyny.A. . . l. . . l. . . Gibril, oburzony i wystraszony, rzucił słuchawkę; i cały zadrżał.Po tym incydencie wierszokleta zamilkł na pewien czas; ale to właśnie na jego głos zacz ął Gibril czekać z niecierpliwości ą, obawiaj ąc się jego pojawienia i chyba godz ąc się już z faktem (na którymś tam poziomie głęboko pod świadomości ą), że to piekielne zło w dziecięcej postaci zada mu ostateczny cios.

\* \* \*Jednak, och, jakie to wszystko okazało się proste! Jak wygodnie zamieszka-ło sobie zło w tych podatnych, nieskończenie elastycznych strunach głosowych, tych sznurkach aktora z teatru marionetek! Z jak ą pewności ą siebie szło po li-niach drutów telefonicznych, utrzymuj ąc równowagę jak bosonogi akrobata; jak pewnie opanowywało swoj ą ofiarę, równie przekonane o efekcie, jaki wywrze, co przystojny mężczyzna w doskonale skrojonym garniturze! I jak rozważnie czekało stosownej chwili, wysyłaj ąc wszystkie głosy, z wyj ątkiem tego, który zada ostateczny cios — ponieważ Saladyn również był świadom szczególnej potęgi kiepskiej rymowanki — głębokie głosy i piskliwe głosy, te powolne i te spieszne, smutne i wesołe, pełne agresji i nieśmiałe. Jeden po drugim s ączyły się do uszu Gibrila, osłabiaj ąc jego więź z realnym światem, wci ągaj ąc go krok po kroku w zdradzieck ą pajęczynę, i w rezultacie krok po kroku ich wymyślone wyuzdane kobiety zaczęły pokrywać sob ą tę prawdziw ą kobietę lepk ą, zielon ą błon ą i pomimo jego uroczystych zapewnień, że tak nie jest, zacz ął dryfować, oddalaj ąc się coraz bardziej od niej; i wówczas okazało się, że nadszedł czas powrotu małych szatańskich wersetów, które doprowadziły go do szaleństwa

\* \* \*

Na górze róże, na dole fiołki,

My się kochamy jak dwa aniołki.372

Przekaż jej to. Głos powrócił, niewinny jak zawsze, wywołuj ąc now ą falę nerwowych skurczów żoł ądka u Gibrila. Później rymy zaczęły już przepływać często i w dużych ilościach. Czasami można było w nich znaleźć sprośność boiska szkol-nego:

Gdy na Waterloo wsiadała.To na sobie ciuszki miała.Leicester Square — koniec wycieczki;Znikły gdzieś białe majteczki;lub raz, czy dwa, rytmiczny zaśpiew wodzireja podaj ącego słowa skanduj ącym kibicom:

Rajty, majty

Siup! Bum! Trach!Alleluja! Alleluja!Rach! Ciach! Ciach!I w końcu, kiedy powrócili do Londynu, a Allie pojechała na uroczyste otwarcie centrum mrożonek w Hounslow, ostatni rym:

Kilka fiołków, dużo róż,Teraz w łóżku mam j ˛

a już.˙

Zegnaj, frajerze.Ci ągły sygnał.

\* \* \*Kiedy Alleluja Cone wróciła, Gibrila już nie było i w startej na proch ciszy mieszkania powzięła decyzję, że tym razem nie przyjmie go z powrotem, chociażby wrócił w najbardziej pożałowania godnym stanie, czy też kornie pełzał

u jej stóp, błagaj ąc o przebaczenie i miłość; ponieważ zanim wyszedł, dokonał

na niej straszliwej zemsty, niszcz ąc wszystkie zastępcze Himalaje, które nagro-madziła przez lata, topi ąc Everest z lodu, który przechowywała w zamrażarce, ści ągaj ąc na podłogę i dr ąc na strzępy szczyty udrapowane ze spadochronowego jedwabiu, wznosz ące się dot ąd nad jej łóżkiem, i r ąbi ąc na kawałki (użył małego toporka, który trzymała razem z gaśnic ą w schowku na miotły) bezcenn ą rzeźbę 373

wystrugan ą na pami ątkę zdobycia przez ni ą Czomolungmy, otrzyman ą od Szerpy Pemby, w równym stopniu upominek, co i ostrzeżenie. Dla Ali Bibi. My mieli szczęście. Nie próbować więcej.Jednym pchnięciem otworzyła okno i obrzuciła obelgami niewinny park Fields leż ący poniżej. — Bodajbyś skonał w mękach. Niech cię piekło pochłonie.Następnie, płacz ąc, zadzwoniła do Saladyna Czamczy, by przekazać mu zł ą wiadomość.

\* \* \*Pan John Maslama, właściciel klubu nocnego Hot Wax, sieci salonów płyto-wych o tej samej nazwie, oraz Pomyślnych Wiatrów, wprost legendarnego sklepu, gdzie można było nabyć najlepsze rogi — klarnety, saksofony, puzony — jakie można znaleźć do dęcia w całym Londynie, był bardzo zajętym człowiekiem, tak więc zawsze już później będzie przypisywał interwencji Bożej Opatrzności szczęśliwy traf, który sprawił, że znajdował się akurat w sklepie z tr ąbami, kiedy wkroczył tam Archanioł Boga wśród piorunów i błyskawic okalaj ących jak liście wawrzynu jego szlachetne czoło. Jako praktyczny człowiek interesu pan Maslama skrywał dot ąd przed swoimi pracownikami pozasłużbow ą działalność, któr ą rozwijał jako naczelny zwiastun powtórnie przybyłej Niebiańskiej i Na-Wpół-

-Boskiej Istoty, rozlepiaj ąc afisze w oknach wystawowych swoich sklepów, kiedy był pewien, że nikt go nie widzi, zapominaj ąc o złożeniu podpisu na olbrzymich ogłoszeniach prasowych obwieszczaj ących bosk ą Chwałę Nadejścia Pana, które zamieszczał w gazetach i czasopismach, ponosz ąc ogromne koszta. Wydawał komunikaty prasowe za pośrednictwem agencji reklamowej Valance’a, zastrzegaj ąc sobie zachowanie całkowitej anonimowości. „Nasz klient jest w stanie potwier-dzić”, głosiły tajemniczo te komunikaty — które przez jakiś czas miały wzięcie wśród rozbawionych pamiętnikarzy z Fleet Street, — „że na własne oczy ogl ądał

Chwałę, o której mowa wyżej. Gibril jest w tej chwili pośród nas, gdzieś w pobliżu centralnych dzielnic wielkiego Londynu — być może w Camden, Brickhall, Tower Hamlets lub Hackney — i objawi się już wkrótce, prawdopodobnie w ci ągu kilku dni lub tygodni.” — Wszystko to ukrywał przed trzema wysokimi, ociężałymi sprzedawcami. Pomyślne Wiatry, (Maslama nie chciał zatrudnić tutaj kobiet;„moje motto, lubił powtarzać, brzmi: nikt nie powierza kobiecie spraw zwi ązanych ze swoim rogiem”); dlatego też nie mogli uwierzyć własnym oczom, kiedy ich nie bawi ący się w sentymenty i praktyczny pracodawca nagle przeszedł całkowit ą metamorfozę, rzucił wszystko i pospieszył ku temu nie ogolonemu nie-znajomemu z obłędem w oczach, jak gdyby był on Bogiem Wszechmog ącym —

374

w tych swoich dwukolorowych lakierkach, garniturze od Armaniego i z przyliza-nymi świec ącymi włosami a la Robert de Niro nad krzaczastymi brwiami, Maslama nie wygl ądał na faceta, który zwykłby płaszczyć się przed innymi, a jednak właśnie teraz to robił, pełzaj ąc na swoim cholernym brzuchu, odsuwaj ąc personel sklepu na bok, ja sam obsłużę tego pana, grzeczny aż do uniżoności, id ąc tyłem przed tamtym, czy uwierzycie? — W każdym razie nieznajomy miał pod koszul ą wypchany pas na pieni ˛

adze i zacz ął wyci ągać cały plik banknotów o dużych nominałach, wskazał na tr ąbkę leż ąc ą wysoko na półce, o to ta, nic więcej, prawie na ni ą nie spojrzał i pan Maslama już był na drabinie, pronto, już podaję —

powiedział — już podaję, i tutaj naprawdę zdumiewaj ąca rzecz, on próbował odmówić przyjęcia należności, on, Maslama!, mówił nie nie proszę pana nic pan nie płaci, lecz nieznajomy mimo to zapłacił, wpychaj ąc Maslamie banknoty do kieszeni marynarki, jak gdyby był on jakimś gońcem hotelowym, szkoda naprawdę, że nie byliście przy tym, a na samym końcu nieznajomy zwrócił się do wszystkich obecnych i wrzasn ął na całe gardło, jam jest prawic ˛

a Boga. — Naprawdę,nie dalibyście temu wiary, pieprzony dzień s ądu ostatecznego jest blisko. — Po tej zapowiedzi Maslama nie był już sob ą, w istocie wstrz ąsnęło nim to do głębi, dosłownie upadł na dosłowne kolana. — Wówczas nieznajomy podniósł tr ąbkę wysoko nad głow ą i krzykn ął nadaję tej tr ˛

abie imię Azrail, Ostatnia Tr ˛

aba, Zgu-

ba Ludzkości! — i po prostu staliśmy tam, mówię wam, jak wrośnięci w ziemię, ponieważ wokół tej pieprzonej obł ąkanej, kompletnie zwariowanej głowy skurwysyna pojawiła się ta jasna poświata. Wyobrażacie sobie? Wypływaj ąca, zdawało się, z punktu jakby tuż za jego głow ą.Aureola.Mówcie, co chcecie, trzej ekspedienci powtarzali później każdemu, kto chciał

słuchać, mówcie, co chcecie, ale widzieliśmy to, co widzieliśmy.3

Śmierć dra Uhuru Simby, dawniej Sylwestra Robertsa, podczas pobytu w areszcie w oczekiwaniu na rozprawę s ądow ą, została określona przez rzecznika prasowego komisariatu dzielnicy Brickhall, niejakiego inspektora Stephena Kincha, jako „jeden przypadek na milion”. Okazało się, że drowi Simbie przy-śniło się coś tak przerażaj ącego, że zacz ął krzyczeć przez sen, co natychmiast zwróciło uwagę dwóch dyżurnych oficerów. Panowie ci wpadli do celi i zd ążyli jeszcze zobaczyć, jak ogromne ciało śpi ącego dosłownie unosi się nad prycz ą pod złowrogim wpływem działania zmory, a następnie spada na podłogę. Obydwaj oficerowie usłyszeli głośny trzask; był to odgłos łami ącego się karku dra Uhuru Simby. Śmierć przyszła natychmiast.Filigranowa matka zmarłego, Antoinette Roberts, ubrana w tandetny czarny strój, stała na skrzyni bagażówki swojego młodszego syna, żałobny welon odsu-nęła wyzywaj ąco z twarzy, nie przekonały jej argumenty inspektora Kincha, odrzuciła mu je wprost w jego rumian ą, wyrażaj ąc ą nieudolność twarz o obwisłych policzkach, której podobieństwo do twarzy skazańca tuż przed powieszeniem najlepiej wyrażało poniżenie, jakie znosił z r ąk kompanów oficerów nazywaj ących go głupimjasiem lub, co gorsza, pieczarkiem, co miało oznaczać, że zawsze jest trzymany w mrokach niewiedzy, a od czasu do czasu — na przykład w obecnej, pożałowania godnej sytuacji — obrzuca się gównem. — Chcę, żebyście zrozumieli — przemawiała pani Roberts do sporego tłumu, który, rozgniewany, zebrał

się przed komisariatem policji na High Street — że ci ludzie igraj ą z naszym życiem, zmniejszaj ą nasze szansę przetrwania. Chcę, żebyście zdali sobie sprawę z tego, co to oznacza w kontekście ich szacunku do nas jako istot ludzkich.— A Hanif Johnson, obrońca Uhuru Simby, dodał z bagażówki Walcotta Robertsa własne wyjaśnienie, zaznaczaj ąc przy tym, że rzekomo tragiczny upadek jego klienta nast ąpił z niższego posłania dwupiętrowego łóżka; że w okresie nad-mierngo zagęszczenia w aresztach i więzieniach jest rzecz ą co najmniej niezwykł ą, że drugie łóżko pozostawało wolne, dzięki czemu oprócz oficerów policji nie ma żadnych innych świadków; i że koszmar senny nie jest jedynym możliwym wytłumaczeniem krzyków czarnego człowieka znajduj ącego się w rękach władz więziennych. W końcowych uwagach, określonych później przez inspektora Kincha jako „podżegaj ące i trac ące amatorszczyzn ą”, Hanif Johnson powi ązał słowa rzecznika policji z wypowiedzi ą znanego rasisty Johna Kingsleya Reada, który kiedyś na wiadomość o śmierci czarnego człowieka zareagował sloganem, „jeden mniej; milion za nim”. Tłum pomrukiwał i wrzał; to był upalny dzień pełen złości.— Podgrzewajcie swój gniew — wołał brat Simby, Walcott, do zebranych. — Nie pozwólcie mu stygn ąć. Pozostańcie wściekli.376

Ponieważ Simba został w istocie już os ądzony i skazany przez coś, co kiedyś nazwał „tęczow ą pras ą — czerwon ą jak ochłapy mięsa, żółt ą jak grom, niebiesk ą jak pornole, zielon ą jak szlam”, wielu białych ludzi uważało, że jego koniec jest uzasadnionym aktem sprawiedliwości, zasłużonym upadkiem morderczego potwora. Lecz przed innym s ądem, milcz ącym i czarnym, otrzymał on znacznie przychylniejszy wyrok, i te, tak różne oceny zmarłego przedostały się, w następstwie jego śmierci, na ulice miasta, i wzburzyły nastroje niezliczonych tropikalnych zapaleńców. W „Tęczowej prasie” aż roiło się od artykułów o poparciu Simby dla Kadafiego, Chomeiniego i Louisa Farrakhana; podczas gdy na ulicach dzielnicy Brickhall młodzi ludzie podtrzymywali i podsycali przyćmiony płomień swojego gniewu, ten płomień-widmo, zdolny jednak do przesłonięcia światłości.Dwie noce później na zapleczu browaru Chaningtons w Tower Hamlets Rozpruwacz Staruszek uderzył ponownie. A następnego wieczora ktoś zamordował

starsz ą kobietę w pobliżu placu zabaw w parku Wiktorii, w Hackney; i jeszcze raz makabryczny „podpis” Rozpruwacza — organy wewnętrzne ułożone rytualnie wokół ciała ofiary według wzoru, którego nigdy nie podano do wiadomości publicznej — został doł ączony do zbrodni. Kiedy inspektor Kinch, wyraźnie nie-dospany i wymęczony, pojawił się w telewizji i wysun ął fantastyczn ą teorię, że

„małpuj ący zabójca” w jakiś sposób odkrył znak zbrodniarza, tak skrzętnie dot ąd skrywany, i w ten sposób podj ął rękawicę, któr ą nieboszczyk Uhuru Simba upu-ścił tuż przed śmierci ą — jednocześnie komisarz Policji uznał za równie słuszne, w ramach podjęcia środków ostrożności czterokrotne zwiększenie liczby policjantów na ulicach Brickhall i utrzymywanie w odwodzie tylu oddziałów policyjnych, że trzeba było odwołać wszystkie mecze piłkarskie przewidziane w stolicy na ten weekend. I rzeczywiście, krew wrzała w ludziach wszędzie tam, gdzie znano Uhuru Simbę; Hanif Johnson wydał oświadczenie stwierdzaj ące, że zwiększona liczebność oddziałów policji jest „prowokacj ą i podżeganiem”, a w Shaandaar i Pagal Khana zaczęły się zbierać grupy młodych Murzynów i Azjatów zdecydowanych stawić czoła patroluj ącym ulice wozom policyjnym. W klubie Hot Wax kukła, któr ą wybrano na stopienie, przedstawiała ni mniej, ni więcej, ale spocon ą, bo już roztapiaj ąc ą się postać rzecznika prasowego policji. A temperatura wci ąż nieubłagalnie rosła.Coraz częściej miały miejsce akty przemocy: ataki na rodziny murzyńskie w osiedlach mieszkaniowych należ ących do lokalnych samorz ądów, nękanie dzieci murzyńskich wracaj ących ze szkół do domów, burdy w pubach. W Pagal Khana młodzieniec o szczurzej twarzy i trzej jego kompani napluli wielu ludziom w jedzenie; w następstwie awantury, która później miała miejsce, trzech kelnerów Bengalczyków zostało oskarżonych o pobicie i spowodowanie trwałych uszkodzeń ciała; pluj ący kwartet nie został jednak zatrzymany. Opowieści o brutalności policji — o młodych Murzynach wci ąganych błyskawicznie, a następnie równie cicho wyrzucanych z nie oznakowanych wozów i furgonetek należ ących do spe-377

cjalnych grup patrolowych, przy czym ciała ofiar pokryte były ranami i siniakami

— szerzyły się wśród miejscowych społeczności. Patrole samoobrony składaj ą-ce się z młodych Sikhów, Bengalczyków i czarnych mieszkańców Karaibów —

nazywane przez ich przeciwników politycznych grupami terrorystów — zaczęły przemierzać dzielnicę, pieszo i w starych fordach zodiakach i cortinach, zdecy-dowane nie „pozostać biernymi”. Hanif Johnson powiedział swojej zamieszkałej w miejscu pracy kochance Miszal Sufjan, że jego zdaniem wystarczy jeszcze jedno zabójstwo Rozpruwacza i zapalnik zostanie uruchomiony. — Ten morderca nie tylko piszczy z radości, ponieważ dot ąd nie został ujęty — stwierdził. — Ma również świetny ubaw w zwi ązku ze śmierci ą Simby i tego ludzie nie mog ą prze-trawić.Tamtymi właśnie kipi ącymi ulicami przeszedł któregoś wieczora, niezwykle parnego jak na tę porę roku, Gibril Fariszta, dm ąc w swój złoty róg.

\* \* \*O godzinie ósmej tego wieczora, w sobotę, Pamela Czamcza stała razem z Jumpy Joshim — który nie chciał pozwolić, by poszła sama — obok automa-tu fotograficznego w rogu głównej hali dworca kolejowego Euston, czuj ąc się idiotycznie konspiracyjnie. O ósmej piętnaście podszedł do niej żylasty młody człowiek, który wydał się jej wyższy niż go zapamiętała; razem z Jumpym ruszyli za nim bez słowa, wsiedli do jego poobijanej niebieskiej furgonetki i zostali zawiezieni do małego mieszkania nad sklepem z alkoholem przy Railton Road, w Brixton, gdzie Walcott Roberts przedstawił im swoj ą matkę, Antoinette. Nie przedstawiono im natomiast trzech mężczyzn, których Pamela pocz ątkowo wzięła za Haitańczyków, ze względu na stereotypowe pominięcie ich przy prezentacji.

— Wypij szklaneczkę napoju imbirowego — poleciła Antoinette Roberts. — To dobre dla dziecka.Kiedy już Walcott wypełnił honory pana domu, pani Roberts, wygl ądaj ąca na zagubion ą w olbrzymim podniszczonym fotelu (jej zdumiewaj ąco białe, cienkie jak zapałki nogi, wyłaniaj ące się spod czarnej sukni, kończ ące się buntowniczymi, krótkimi różowymi skarpetkami i solidnymi sznurowanymi butami, nie sięgały podłogi), przyst ąpiła do rzeczy. — Ci dżentelmeni byli kolegami mojego chłopca

— powiedziała. — Okazuje się, że prawdopodobnie zamordowano go z powodu zadania, które wykonywał, a które, jak słyszę, interesuje również ciebie. S ądzimy, że nadszedł czas działań bardziej formalnych, przy wykorzystaniu wszystkich do-stępnych ci kanałów. — W tym momencie jeden z milcz ących „Haitańczyków”wręczył Pameli czerwon ą plastikow ą teczkę. — Zawiera ona — wyjaśniła pani 378

Roberts w oględnych słowach — niezbite dowody na organizowanie sabatów czarownic w całej Policji Miejskiej.Walcott wstał. — Powinniśmy już iść — powiedział stanowczo. — Bardzo proszę. — Pamela i Jumpy podnieśli się. Pani Roberts kiwnęła głow ą, jakby nie-zdecydowana, z roztargnieniem, wyłamuj ąc palce przywiędłych dłoni — Do widzenia — powiedziała Pamela i zaczęła wypowiadać konwencjonaln ą formułę kondolencji. — Dziewczyno, szkoda twoich słów — przerwała pani Roberts. —

Tylko przygwoźdź mi tych czarowników. Wbij im ostrze w samo serce.

\* \* \*Walcott Roberts wysadził ich w Notting Hill o dziesi ątej. Jumpy bardzo kaszlał i skarżył się na bóle głowy, które nękały go raz po raz od czasu wypadku w Shepperton, ale kiedy Pamela przyznała się, że jest zdenerwowana świadomości ą posiadania w plastikowej teczce jedynego egzemplarza sensacyjnej do-kumentacji, bombowego materiału o sile mieszanki wybuchowej, Jumpy od razu potwierdził, że będzie jej towarzyszył, tym razem do biur rady stosunków społecznych dzielnicy Brickhall, gdzie zamierzała sporz ądzić fotokopie dokumentów, celem rozprowadzenia ich wśród zaufanych przyjaciół i kolegów. Tak więc o dziesi ątej piętnaście siedzieli już w ulubionym MG Pameli, kieruj ąc się na wschód poprzez centrum miasta, prosto ku nadci ągaj ącej burzy. Stara niebieska furgonetka marki Mercedes pod ążała cały czas za nimi, identycznie jak poprzednio za bagażówk ą Walcotta, to znaczy nie zauważona.

Piętnaście minut wcześniej patrol składaj ący się z siedmiu potężnych młodych Sikhów ściśniętych we wnętrzu vauxhall cavalier jechał akurat przez most nad kanałem Malaya Crescent w południowym Brickhall. Kiedy usłyszeli krzyki dobiegaj ące ze ścieżki pod mostem i popędzili w tę stronę, zobaczyli mężczyznę średniego wzrostu i takiej budowy, o bladej poczciwej twarzy i jasnych włosach opadaj ących na piwne oczy, który zerwał się na równe nogi, i wci ąż ściskaj ąc w dłoni skalpel, rzucił się do ucieczki, byle dalej od ciała staruszki, której niebieska peruka kołysała się jak meduza na powierzchni wody. Młodzi Sikhowie bez trudu dogonili i ujęli uciekaj ącego człowieka.Do godziny jedenastej tego wieczora wiadomość o ujęciu mordercy dotarła do wszystkich zak ątków dzielnicy, a towarzyszyła jej masa pogłosek: policja nie kwapi się z postawieniem maniaka w stan oskarżenia, członkowie patrolu zostali zatrzymani na przesłuchanie, zamierza się zatuszować cał ą sprawę. Na rogach ulic gromadziły się tłumy, a po zamknięciu piwiarni wybuchła cała seria bójek ulicznych. Odnotowano kilka przypadków uszkodzenia mienia: wybito szyby w trzech 379

samochodach, spl ądrowano sklep z aparatur ą wideo, rzucono kilka cegieł. Dokładnie w tym momencie, o wpół do dwunastej w tę sobotni ą noc, kiedy kluby i dyskoteki zaczęły wyrzucać z siebie podekscytowane grupy gości, nadinspektor policji, po konsultacji z przełożonymi, ogłosił, że w centrum Brickhall zaistniała sytuacja zagrożenia rozruchami na duż ą skalę, i skierował cał ą potęgę Policji Miejskiej przeciwko uczestnikom „rozruchów”.Również w tej samej chwili Saladyn Czamcza, który został zaproszony przez Allie Cone na kolację do jej mieszkania znajduj ącego się tuż przy parku Brickhall Fields, w czasie której to kolacji zachowywał wszelkie stosowne pozory, wyrażaj ąc sympatię i mrucz ąc nieszczere zachęcaj ące uwagi, wynurzył się z mroku nocy; zauważył testudo — ogromnego żółwia, którego pancerz utworzony był z plastikowych tarcz trzymanych przez ludzi, biegn ących w jego stronę przez park miarowym, nieubłaganym truchtem; był świadkiem pojawienia się nad głow ą jakby chmary szarańczy, olbrzymich helikopterów, z których światło spływało jak rzę-sisty deszcz; dostrzegł nadci ągaj ące wozy bojowe wyposażone w armatki wodne i daj ąc posłuch nieprzepartemu instynktowi pierwotnemu, wzi ął nogi za pas i biegł, nieświadom tego, że pędz ąc w stronę kawiarni Shaandaar obrał zły kieru-nek.

\* \* \*Kamery telewizyjne zjawiły się akurat na czas, żeby pokazać najście policji na HotWax.

Oto, co widzi kamera telewizyjna; mniej utalentowana niż ludzkie oko, jej nocne pole widzenia ograniczone jest do obszaru oświetlonego przez lampy łu-kowe. Helikopter zawisł nad nocnym lokalem, sikaj ąc w dół długimi, złocistymi strugami światła; kamera rozumie ten obraz. Machina państwa zwala się na jego wrogów. — A teraz znowu kamera pojawia się na niebie; szef dziennika telewizyjnego gdzieś tam zaakceptował koszt filmowania z powietrza, jeszcze jeden helikopter poluj ący na tłum. Nikt go nie odgania. Hałas łopat wirników zagłusza hałas tłuszczy. I pod tym względem aparatura nagrywaj ąca jest mniej czuła niż, w tym przypadku, ludzkie ucho.— Cięcie. — Człowiek namierzony jupiterem mówi prędko do mikrofonu.Za nim rozgardiasz cieni. Ale między reporterem a obszarem cieni stoi ściana; ludzie w bojowych hełmach, dzierż ący tarcze. Reporter mówi bardzo poważnie; koktajle Mołotowa plastikowe kule poranieni policjanci armatki wodne pl ądrowa-nie, ograniczaj ąc się, oczywiście, do faktów. Ale kamera widzi to, o czym on nie mówi. Kamera jest rzecz ą, która łatwo pada ofiar ą awarii lub kradzieży; kruchość 380

czyni j ą wybredn ą. Kamera wymaga prawa, porz ądku, cienkiej niebieskiej linii.Usiłuj ąc za wszelk ą cenę utrzymać się przy życiu, pozostaje za ochronnym murem tarcz, przypatruj ąc się obszarom cieni z daleka, i oczywiście z góry: to jest, opowiada się po którejś stronie.— Cięcie. — Jupitery namierzaj ą now ą twarz, o obwisłym podbródku, zaczerwienion ą. Ta twarz otrzymuje nazwę: przez jego mundur biegn ą litery napisu. Inspektor Stephen Kinch. Kamera postrzega go przez pryzmat jego funkcji: dobry fa-chowiec, któremu powierzono awykonalne zadanie. Ojciec, mężczyzna, który lubi strzelić sobie piwko. Mówi: nie-można-tolerować-wył ączonych-spod-kontroli-re-wirów niezbędna-lepsza-ochrona-dla-policjantów widać-plastikowe-tarcze-bojowe-zapalaj ą-się. Kieruje swoje słowa do zorganizowanego świata przestępczego, agitatorów politycznych, wytwórni bomb, narkotyków. — Rozumiemy uczucia części tych dzieciaków, maj ą one powód do żalu, ale nie będziemy i nie możemy być dla społeczeństwa chłopcami do bicia. — Ośmielony światłami i cierpliwy-mi, cichymi obiektywami, kontynuuje. — Te dzieciaki nie wiedz ą, jak bardzo im się powiodło — sugeruje. — Powinny zapytać swoich krewnych i znajomych.Afryka, Azja, Karaiby: oto s ą miejsca z prawdziwymi problemami. S ą to miejsca, gdzie ludzie mog ą mieć słuszne żale, których należy wysłuchać. Tutejsze warunki naprawdę nie s ą złe. Daleko im do takich: nie ma tu żadnych rzezi, żadnych tortur, żadnych przewrotów. Ludzie powinni sobie cenić to, co maj ą, zanim to utrac ą.Nasz kraj zawsze miłował pokój — mówi. — Nasza pracowita wyspiarska rasa.— Za nim kamera widzi nosze, ambulanse, ból. — Widzi dziwne człekokształtne postacie wyci ągane z trzewi Klubu Hot Wax i rozpoznaje kukły możnych tego świata. Inspektor Kinch wyjaśnia. — Smażono je w piecu na dole, nazywaj ąc to świetnym ubawem, ja bym tego tak nie nazwał. — Kamera przygl ąda się z niesmakiem woskowym figurom. — Czyż nie tr ąci to zabobonem, pewnego rodzaju ludożerstwem, czymś niezdrowym? Czy uprawiano tu czarn ˛

a magię? — Kamera

widzi wybite szyby. Widzi, że coś się pali na drugim planie: samochód, sklep. Nie potrafi zrozumieć, lub wykazać, co zostało dzięki temu osi ągnięte. Ci ludzie pal ą własne ulice.— Cięcie. — Oto jasno oświetlony sklep z aparatur ą wideo. W oknach wystawowych pozostawiono kilka odbiorników; kamera, najbardziej szalona z wszystkich narcystycznych istot, obserwuje ekran tworz ąc na chwilę obraz telewizorów zmniejszaj ących się nieskończenie, aż do punktu. — Cięcie. — A oto ważna głowa sk ąpana w świetle: dyskusja w studiu. Głowa mówi o wyjętych spod prawa.Billy Kid, Ned Kelly: byli to ludzie, którzy stali zarówno za, jak i przeciw. Współczesne wampiry, nie posiadaj ąc tego heroicznego wymiaru, s ą niczym więcej jak chorymi, kalekimi istotami, osobowościami całkowicie pozbawionymi wyrazu, w ich zbrodniach na uwagę zasługuje jedynie sposób ich dokonania, metodologia

— powiedzmy obrz ˛

adek — a oni sami powodowani s ą, być może, pragnieniem nic nie znacz ącego człowieka, by zostać zauważonym, by wynieść się ponad sza-381

ry tłum i stać się, na chwilę, gwiazd ą. — Albo też pewnym rodzajem pragnienia śmierci przeniesionego na drug ą osobę: zabić ukochan ą i w ten sposób zniszczyć samego siebie. — I taki jest Rozpruwacz Staruszek? pada pytanie. No, a Kuba?— Prawdziwy wyjęty spod prawa, upiera się głowa, jest ciemnym odbiciem lu-strzanym bohatera. — Może to uczestnicy tych rozruchów? pojawia się kpiarska uwaga. Czy nie popełnia pan błędu dodawania blasku, błędu „legalizowania” ?— Głowa zaprzecza, ubolewa nad materializmem współczesnej młodzieży. Pl ą-drowanie sklepów ze sprzętem wideo, nie, przecież nie o tym głowa mówiła. —

Dobrze, a wobec tego, co powiedzieć o tych z dawnych czasów? Butch Cassidy, bracia James, kapitan Moonlight. gang Kellych? Wszyscy oni napadali — czyż nie tak? — na banki. — Cięcie. — Później, noc ą, kamera powróci do tej wystawy sklepowej. Telewizorów już nie będzie.— Kamera obserwuje z powietrza wejście do Klubu Hot Wax. Policja skończyła już z woskowymi kukłami i wyprowadza teraz prawdziwych ludzi. Kamera mierzy do aresztowanych osób: wysoki mężczyzna albinos; mężczyzna w garniturze od Armaniego wygl ądaj ący jak ciemny sobowtór Roberta de Niro; młoda dziewczyna lat — ile? — czternaście, piętnaście? — wściekły młody mężczyzna około dwudziestki. Nie pojawiaj ą się żadne nazwiska; kamera nie zna tych twarzy.Stopniowo jednak wychodz ą na jaw fakty. DJ Klubu, Sewsunker Ram, znany jako

„Pinkwalla”, oraz właściciel Hot Wax, pan John Maslama, maj ą zostać oskarżeni o prowadzenie handlu narkotykami na duż ą skalę — meskalem, heroin ą, haszyszem, kokain ą. Człowiek aresztowany razem z nimi, ekspedient zatrudniony w pobliskim sklepie muzycznym Maslamy Pomyślne Wiatry, jest formalnym właścicielem bagażówki, w której znaleziono bliżej nie określon ą ilość „twardych narkotyków”, jak również duż ą liczbę magnetowidów podejrzanego pochodzenia.Młoda dziewczyna nazywa się Anahita Sufjan, jest nieletnia, wydaje się, że piła na umór, a także, podobno, współżyła co najmniej z jednym z trzech aresztowanych mężczyzn. Według dalszych informacji znana jest jako zatwardziała waga-rowiczka i osoba powi ązana ze znanymi kryminalistami: najwyraźniej element przestępczy. — Oświetlony — oświecony dziennikarz poda narodowi te smaczne k ąski wiele godzin po samym wydarzeniu, ale wiadomość już szaleje na ulicach: Pinkwalla! — I Wax. rozbili lokal na drobne kawałki — doszczętnie go zniszczyli!— To wojna!Dzieje się to jednak — podobnie jak wiele innych rzeczy — w miejscach, których kamera nie widzi.382

\* \* \*

Gibril:

porusza się, jak gdyby szedł przez świat marzeń sennych, ponieważ po dniach wędrowania po mieście bez snu i jedzenia, z tr ąbk ą zwan ą Azrailem, schowan ą bezpiecznie w kieszeni płaszcza, nie widzi już różnicy między jaw ą a snem; —

zaczyna mieć jakieś pojęcie o tym, czym musi być wszechobecność, gdyż działa w kilku opowiadaniach jednocześnie, jest Gibrilem, który opłakuje zdradę Allelui Cone, i Gibrilem unosz ącym się nad łożem śmierci Proroka, i Gibrilem potajemnie czuwaj ącym nad pielgrzymk ą ku morzu, oczekuj ącym chwili, kiedy będzie mógł się objawić, i Gibrilem, który czuje z każdym dniem coraz silniejsz ą wolę przeciwnika, przyci ągaj ącego go coraz bliżej, prowadz ącego go do ich ostatecznego zwarcia: subtelny to, zwodniczy przeciwnik, który przybrał sobie twarz jego przyjaciela, Saladyna — jego najprawdziwszego przyjaciela, aby uśpić jego czujność i zaskoczyć go. I jest jeszcze Gibril, który idzie ulicami Londynu, próbuj ąc zrozumieć wolę Boga.Czy ma być narzędziem gniewu Bożego?Czy jego miłości?Czy jest on zemst ą, czy wybaczeniem? Czy ta tr ąbka rozstrzygaj ąca wszystko ma pozostać w jego kieszeni, czy też ma j ą wyci ągn ąć i zad ąć?(Nie udzielam mu żadnych porad. Również i mnie interesuje jego wybór —

rezultat jego walki zapaśniczej. Postać przeciw przeznaczeniu: zapasy w stylu wolnym. Dwa upadki, dwa poddania się lub nokaut zadecyduj ą.) Zmagaj ąc się w tych zapasach w trakcie wielu swoich opowiadań, posuwa się naprzód.

\* \* \*Przychodz ą chwile, kiedy pragnie jej, Allelui, już samo jej imię wywołuje uniesienie; ale później przypomina sobie te diaboliczne wersety i kieruje myśli w inn ą stronę. Instrument domaga się, aby w niego zad ąć: lecz on się powstrzymuje. Jeszcze nie nadszedł czas. Poszukuj ąc wskazówki — co musi być zrobione?

— przemierza ulice miasta.Gdzieś przez wieczorne okno dostrzega telewizor. Na ekranie kobieca głowa, znana „prezenterka”, z któr ą przeprowadza wywiad równie znany „gospodarz”programu, błyskotliwy Irlandczyk. — Co jest najgorsz ą rzecz ą, jak ą pani może sobie wyobrazić? — Och, myślę, jestem pewna, jest ni ą, och tak: spędzenie Wi-383

gilii Bożego Narodzenia w samotności. Trzeba by wtedy stan ąć twarz ą w twarz z sob ą samym, czyż nie, spojrzeć w chropowate lustro i zapytać, czy to, co tam widać, to już wszystko? — Gibril, samotny, nieświadom pory, idzie dalej. W lustrze, przeciwnik zbliża się z t ą sam ą szybkości ą, kiwaj ąc nań, wyci ągaj ąc ramiona.Miasto wysyła mu sygnały. W tym właśnie miejscu, mówi, zdecydował się zamieszkać holenderski król, gdy przyjechał do tego kraju trzysta lat temu. Wówczas miejsce to znajdowało się poza miastem. Była to wioska położona pośród zielonych angielskich pól. Ale gdy przybył tu Król, aby założyć dom, wśród pól pojawiły się nagle place Londynu, a budynki z czerwonej cegły i z holenderskim krenelażem wznosiły się ku niebu, aby jego dworzanie mieli gdzie mieszkać. Nie wszyscy emigranci s ą bezsilni, szepcz ą wci ąż stoj ące gmachy. Narzucaj ą swojej nowej ziemi własne potrzeby, nadaj ąc nowo odkrytej krainie swój własny sens, wyobrażaj ąc j ą sobie od pocz ątku. Ale uwaga, ostrzega miasto. Bezsens również musi mieć swój dzień triumfu. Jad ąc parkiem, w którym kiedyś postanowił zamieszkać — i który ucywilizował — Wilhelm III został zrzucony przez konia, upadł ciężko na krn ąbrn ą ziemię i złamał swój królewski kark.W niektóre dni spostrzega, że znajduje się wśród chodz ących trupów, wielkich tłumów zmarłych, z których żaden nie chce się przyznać, że już wyci ągn ął kopyta, pośród zbuntowanych trupów nadal zachowuj ących się jak żywi ludzie, robi ących zakupy, wsiadaj ących do autobusu, flirtuj ących, jad ących do domu, żeby się kochać, pal ących papierosy. Przecież jesteście martwi, krzyczy do nich. ˙

Zywe trupy,z powrotem do grobów. Nie zwracaj ą na niego uwagi lub śmiej ą się, lub wygl ądaj ą na zażenowanych, lub wygrażaj ą mu pięściami. Milknie i szybko idzie dalej.Miasto staje się nieuchwytne, bezkształtne. Opisanie świata staje się niemożliwe. Pielgrzymka, prorok, poł ączenie przeciwieństw, zanurzenie w mgle, wyłonienie. Podobnie zreszt ą ona: Allie, Al-lat. Jest wyniesionym ptakiem. Wielce po-ż ˛

adanym. Przypomina sobie teraz: opowiedziała mu, dawno, dawno temu, o poezji Jumpiego. On próbuje pisać zbiorek. Ksi ˛

ażkę. Ten artysta wci ąż ss ący swój

kciuk i te jego piekielne pogl ądy. Ksi ążka jest rezultatem układu z Diabłem, który odwraca faustowski kontrakt, powiedział kiedyś Allie. Doktor Faust poświęcił

wieczność w zamian za dwa tuziny lat mocy; pisarz zgadza się na zrujnowanie swojego życia i otrzymuje (ale jedynie wtedy, gdy będzie miał szczęście) być może nie wieczność, ale przynajmniej pamięć następnych pokoleń. W obydwu przypadkach (była to puenta Jumpiego) Diabeł jest tym, który wygrywa.Co pisze poeta? Wersety. Co pobrzękuje w mózgu Gibrila? Wersety. Co zła-mało mu serce? Wersety i jeszcze raz wersety.Tr ąbka, Azrail, woła do niego z kieszeni płaszcza: Wyci ˛

agnij mnie! Taktaktak:

Tr ˛

aba. Do diabła z tym wszystkim, tym całym żałosnym bałaganem: po prostu nadmij policzki i rata-ta-ta. No, już, czas się zabawić.Ależ gor ąco: parno, duszno, nie do zniesienia. To nie żaden Ten Właśnie Londyn: nie, to właśnie nie to miasto. Pas startowy Numer Jeden, Mahagonny, Alpha-384

ville. Wędruje przez mieszaninę języków. Babel: skrót asyryjskiego słowa „babi-lu”. „Brama Boga”. Babilondyn.Gdzie to jest?— Tak. — Którejś nocy bł ąka się on na tyłach świ ątyń rewolucji przemysłowej, końcowych stacji kolejowych północnego Londynu. Anonimowej stacji King’s Cross, potwornej wieży St Pankras podobnej do nietoperza, czerwonych-i-

-czarnych zbiorników gazu nieustannie wdychaj ących i wydychaj ących, jak jakieś gigantyczne żelazne płuca. Tam, gdzie kiedyś poległa w bitwie Królowa Boudic-ca, Gibril Fariszta mocuje się z sob ą samym.Ulica Towarów: — ależ Och, jaki soczysty towar przechadza się w bramach i pod lampami ulicznymi, cóż za delicje s ą do nabycia na tej ulicy! — Wywija-j ąc torebkami, wołaj ąc do siebie nawzajem, w srebrzystych spódniczkach i kaba-retkach: jest to towar nie tylko młody (przeciętny wiek trzynaście do piętnastu), ale również tani. Każda z nich ma krótki, niemal identyczny życiorys: dziecko upchnięte gdzieś u znajomych, każda wyrzucona z domu przez rozgniewanych purytańskich rodziców, żadna z nich nie jest biała. Alfonsi, uzbrojeni w noże, zabieraj ą dziewięćdziesi ąt procent ich zarobków. Ostatecznie towar jest tylko towarem, zwłaszcza wtedy, gdy jest śmieciem.— Na Ulicy Towarów Gibril Fariszta słyszy, że przywołuj ą go spod latarni, z cienia; i pocz ątkowo przyspiesza kroku. Co ja mam z tym wspólnego? Cholerna banda dup. Ale potem zwalnia i zatrzymuje się, słysz ąc, że coś innego wzywa go spod lamp i z cieni, jakieś cierpienie, jakaś prośba bez słów, z trudem ukryta pod dźwięcznym głosem dziesięciofuntowych prostytutek. Idzie coraz wolniej i wolniej, staje. Zatrzymało go ich poż ądanie. Po co? Id ą teraz ku niemu, przyci ągane jak ryby na niewidzialnych haczykach. Kiedy zbliżaj ą się do niego, ich chód się zmienia, ich biodra trac ą dumne rozkołysanie, ich twarze, pomimo całego makijażu, zaczynaj ą wygl ądać na swoje lata. Kiedy dochodz ą do niego, klękaj ą.Kim jestem, mówicie? — pyta, i chce dodać: Ja znam wasze imiona. Kiedyś już was spotkałem, w innym miejscu, za kurtyn ˛

a. Dwanaście was teraz, tak jak wtedy.Aisza, Hafsa, Ramla, Sauda, Zainab, Majmma, Safija, Dżuwajrijja, Umm Sulma Machzumitka, Rajhana ˙

Zydówka i piękna Maria Koptyjka. W milczeniu, wci ąż klęcz ą. Bez słów wie, jakie jest ich życzenie. Czym jest archanioł, jeśli nie jedynie marionetk ˛

a? Kathputli, kukiełk ˛

a. Wierni naginaj ˛

a nas do swojej woli. Jesteśmy

siłami przyrody, a oni naszymi panami. A także paniami. Ociężałość w jego rękach i nogach, a w uszach brzęczenie jakby pszczół w letnie popołudnie. Łatwo byłoby zemdleć.Nie mdleje.Stoi otoczony klęcz ącymi dziećmi, czekaj ąc na alfonsów.A kiedy nadchodz ą, wyjmuje w końcu i przyciska do ust swój niespokojny 385

instrument: tępiciela, Azraila.

\* \* \*Kiedy strumień ognia wypłyn ął z jego złocistej tr ąbki i pochłon ął zbliżaj ących się mężczyzn, owijaj ąc ich kokonem płomienia i nisz ąc tak doszczętnie, że na chodniku nie pozostaj ą nawet skwiercz ące buty, Gibril rozumie.

Idzie znowu dalej, pozostawiaj ąc za sob ą wdzięczność kurew, kieruj ąc się w stronę dzielnicy Brickhall, a Azrail ponownie zajmuje miejsce w jego obszernej kieszeni. Rzeczy staj ą się jasne.Jest Archaniołem Gibrilem, aniołem Recytacji, dzierż ącym moc objawienia w rękach. Może sięgać w serca mężczyzn i kobiet, wyrywać najskrytsze marzenia z głębi ich duszy i realizować je. Zaspokaja ż ądze, gasi pragnienia, spełnia marzenia. Jest dżinnem od lampy, a jego panem jest Ptak-Rok.Jakie pragnienia, jakie imperatywy kr ąż ą w nocnym powietrzu? Wdycha je głęboko. — I kiwa głow ą, a więc, niech będzie, tak. — Niech się stanie ogień.Jest to miasto, które oczyściło się w płomieniach, pozbyło się domieszki zła, wypalaj ąc się do samej ziemi.Ogień spadaj ący ogień. — Oto wyrok gniewu Bożego — ogłasza Gibril Fariszta zbuntowanej nocy. — Pragnienia dusz ludzkich maj ą być spełnione, a następnie maj ą wchłon ąć tych ludzi na zawsze.Teraz ze wszystkich stron otaczaj ą go tanie punktowce mieszkaniowe. Czarnuch jeść gówno białego człowieka, rzucaj ą myśl banalne mury. Budynki maj ą swoje nazwy: „Isandhlwana”, „Zaspa Rorkego”. Ale rewizjoniści rozwijaj ą działalność, ponieważ dwa z czterech wieżowców otrzymały nowe nazwy i teraz nazywaj ą się „Mandela” i „Toussaint l’Ouverture”. Wieżowce stoj ą na kolumnach i specyficzn ą bezkształtność pod nimi i pomiędzy nimi wypełnia nieustanne wycie wiatru i wiruj ące w powietrzu kawałki: porzuconych mebli kuchennych, opon rowerowych bez powietrza, skorup potrzaskanych drzwi, nóg lalek, roślinnych od-padów wygrzebanych przez głodne psy i koty z plastikowych worków na śmiecie, opakowań po gotowych daniach, tocz ących się puszek, przekreślonych szans na pracę, porzuconych nadziei, straconych złudzeń, wygasłych złości, nagromadzo-nej goryczy, zwymiotowanego lęku i przerdzewiałej wanny. On stoi nieruchomo, podczas gdy obok przebiegaj ą w różnych kierunkach małe grupki mieszkańców.Niektórzy (nie wszyscy) maj ą przy sobie broń. Pałki, butelki, noże. We wszystkich tych grupach s ą zarówno biali, jak i czarni młodzi ludzie. Przykłada tr ąbkę do ust i zaczyna grać.Niewielkie wi ązki płomieni podskakuj ą na cemencie, podsycone stosami po-

rzuconych rzeczy i marzeń. Oto mała, rozkładaj ąca się sterta zawiści: w ciemności noc pali się zielonym płomieniem. Ognie przybieraj ą wszystkie kolory tęczy i nie każdy z nich potrzebuje paliwa. Gibril wydmuchuje ze swojej tr ąby małe ogniste kwiaty, tańcz ą one na cemencie, nie potrzebuj ąc ani opału, ani korzeni. A ten tu, różowy! Ha, co by dodać ładnego? wiem: srebrn ą różę. — I teraz p ączki przekształcaj ą się w krzaki, wspinaj ą się jak pn ącza po ścianach wieżowców, wyci ągaj ą odrośl ą do swoich s ąsiadów, tworz ąc żywopłoty wielokolorowych płomieni.Wygl ąda to jak świetlny ogród, jedynie jego wzrost został przyspieszony tysi ące razy, ogród kwitn ący, bujnie rozrastaj ący się, przechodz ący w nadmiernie porosły, spl ątany i w końcu nieprzenikniony ogród splecionych ze sob ą chimer, konkuru-j ący na swój żarz ący się sposób z lasem krzewów ciernistych, który wyrósł wokół

pałacu śpi ącej królewny w innej bajce, dawno temu.Ale tu, w środku, nie śpi żadna piękna królewna. Jest za to Gibril Fariszta id ący przez świat ognia. Na High Street widzi domy zbudowane z płomieni, o ścianach z ognia, w oknach płomienie wisz ące jak wymięte firany. — A wszędzie dookoła mężczyźni i kobiety o gor ącej skórze, którzy id ą powoli, biegn ą, kręc ą się wokół niego, odziani w płaszcze ognia. Ulica rozpaliła się do czerwoności, roztopiła w rzekę koloru krwi. — Wszystko, wszystko płonie, kiedy on dmie w uszczęśliwion ą tr ąbę, daj ˛

ac ludziom to, czego chc ˛

a, włosy i zęby obywateli dymi ą i s ą

czerwone, szkło płonie, a nad głow ą lataj ą ptaki o płon ących skrzydłach.Przeciwnik jest bardzo blisko. Przeciwnik jest magnesem, jest centrum wiru, jest nie uznaj ącym oporu środkiem czarnej dziury, jego siła grawitacji tworzy przy tym horyzont zdarzeń, przed którym ani Gibril, ani światło nie może uciec. Tędy, woła przeciwnik. Jestem tutaj.Nie pałac, lecz jedynie kawiarnia. A w pokojach nad kawiarni ą tani hotel, tl ący się skręt z Noclegów-i- Śniadań. Żadnej śpi ącej królewny, leży tu jedynie rozczarowana kobieta, nieprzytomna, pokonana przez dym; a obok niej, na podłodze tuż przy ich wspólnym łóżku, równie nieprzytomny jej m ąż, były nauczyciel i pielgrzym do Mekki, Sufjan. — Natomiast w innym fragmencie płon ącego Shaandaaru osoby pozbawione twarzy stoj ą przy oknach, machaj ąc żałośnie rękoma w niemym wołaniu o pomoc, gdyż nie s ą w stanie (brak ust) krzyczeć.Przeciwnik: tutaj się ukrył!Sylwetka rysuje się wyraźnie na tle dekoracji płon ącej kawiarni Shaandaar, widzicie, o, to właśnie ten facet!Azrail nie proszony wskakuje do ręki Fariszty.Nawet archanioł może doświadczyć objawienia, i kiedy Gibril ści ąga na sie-387

bie, na najbardziej przelotn ą z chwil, spojrzenie Czamczy — wówczas w tym błyskawicznym i nieskończonym momencie zostaje zerwana zasłona z jego oczu

— widzi siebie, jak idzie z Czamcz ą przez park Brickhall Fields, cały zatracony w pieśni pochwalnej, jak odkrywa najbardziej intymne tajemnice stosunku miłosnego z Alleluj ą Cone — te same sekrety, które później tłum szatańskich głosów będzie szeptał do słuchawki telefonicznej — za tymi wszystkimi głosami Gibril dostrzega teraz jednocz ący talent przeciwnika, który potrafił mówić gar-dłowo i wysoko, który obrażał i przymilał się, który był jednocześnie natarczywy i nieśmiały, który mówił proz ą — tak! — i wierszem, również. — I teraz w końcu Gibril Fariszta poznaje po raz pierwszy, że przeciwnik nie przybrał postaci Czamczy, aby się pod ni ą ukryć; — i że nie jest to przypadek paranormalnego opętania, porwania ciała przez najeźdźcę z Piekła; jednym słowem, że zło nie jest czymś znajduj ącym się na zewn ątrz Saladyna, ale wypływa z jakichś zakamarków je-go prawdziwej natury, że rozprzestrzeniało się w całej jego osobowości jak rak, usuwaj ąc to, co było w nim dobre, niszcz ąc jego ducha — a proces ten zachodził z tyloma zwodniczymi symulacjami i unikami, że wydawało się czasami, iż się cofa; gdy w rzeczy samej pod pozorem rezygnacji, niejako, w dalszym ci ągu niebezpiecznie się rozprzestrzeniał; — a teraz, bez w ątpienia, wypełnił go całego; teraz nic nie zostało z Saladyna oprócz tego czarnego ognia zła w jego duszy, trawi ącego go równie doszczętnie, jak ten drugi ogień, wielokolorowy i pochłaniaj ący, pożera wrzeszcz ące miasto. Naprawdę, s ą to „najbardziej wstrętne, złośliwe, krwiożercze płomienie, w niczym niepodobne do pięknego płomienia zwyczajnego ognia”.Ogień jest łukiem rozpostartym na niebie. Saladyn Czamcza, przeciwnik, który jest również Spoono, moim starym Czamcz ˛

a, znikn ął w drzwiach Shaandaar

Café. To przepaść czarnej dziury; horyzont zamyka się wokół niej, wszystkie inne możliwości znikaj ą, wszechświat kurczy się do tego pojedynczego i nieodparcie przyci ągaj ącego punktu osobliwości. Dm ąc z całych sił w tr ąbę, Gibril znika za otwartymi drzwiami.

\* \* \*Budynek zajmowany przez radę stosunków społecznych w Brickhall był par-terowym potworkiem z czerwonej cegły i z kuloodpornymi szybami, bunkropo-dobnym produktem lat sześćdziesi ątych, kiedy fason ten uważano za atrakcyjny.

Niełatwo było wejść do tego budynku; u drzwi dodatkowo zamontowano specjalny akustyczny zamek, otwierany głosem upoważnionej osoby; dalej szło się w ąskim korytarzem równoległym do ściany frontowej i kończ ącym się następnymi 388

drzwiami, również zabezpieczonymi szyfrem i alarmem przeciwwłamaniowym.Ten alarm, wyszło na jaw później, został wył ączony prawdopodobnie przez dwie osoby, mężczyznę i kobietę, którzy weszli posługuj ąc się kluczem.Oficjalnie dopuszczono możliwość, że osoby te zamierzały dokonać sabotażu, ponieważ jedna z nich, zmarła kobieta, w rzeczy samej była zatrudniona w instytucji zajmuj ącej te pomieszczenia. Motywy tej zbrodni pozostaj ą niejasne, a ponieważ sprawcy zginęli w pożarze, nieprawdopodobieństwem jest, by zagadka kiedykolwiek została rozwi ązana. Najbardziej prawdopodobnym powodem wydaje się jednak „korzyść własna”.Tragiczny przypadek; zmarła kobieta była w zaawansowanej ci ąży.Inspektor Stephen Kinch, składaj ąc oświadczenie dotycz ące powyższych faktów, „powi ązał” pożar w Radzie Stosunków Społecznych w Brickhall z pożarem w kawiarni Shaandaar, gdzie druga ze zmarłych osób, mężczyzna, zamieszkiwał

od czasu do czasu. Możliwe, że prawdziwym podpalaczem był właśnie ów mężczyzna, a kobieta, która była jego kochank ą, aczkolwiek żon ą innego mężczyzny, z którym nadal wspólnie mieszkała, tutaj znalazła się w roli jego ofiary. Nie można wykluczyć motywów politycznych — obie osoby były dobrze znane ze swoich radykalnych pogl ądów — jakkolwiek sytuacja w tych skrajnie lewicowych mikro-ugrupowaniach, w których działali, jest tak mętna, że trudno byłoby stwierdzić, na czym dokładnie miałyby owe motywy polegać. Jest również możliwe, że za oby-dwiema zbrodniami, mimo iż popełnionymi przez tego samego osobnika, kryla się odmienna motywacja. Być może był on po prostu wynajętym przestępc ą i spalił

kawiarnię Shaandaar na polecenie nieżyj ących już właścicieli, którzy zamierzali podj ąć pieni ądze z tytułu ubezpieczenia, a w siedzibie Rady podłożył ogień na ż ądanie swojej kochanki, może z powodu jakiejś wendety w samym biurze?To, że spalenie budynku Rady Stosunków Społecznych było dziełem podpala-cza, nie ulegało najmniejszej w ątpliwości. Biurka, papiery, firanki zostały oblane spor ą ilości ą benzyny. — Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak szybko rozszerza się ogień podsycony benzyn ą — oświadczył inspektor Kinch skrupulatnie notu-j ącym dziennikarzom. Ciała, które spaliły się do tego stopnia, że do identyfikacji potrzebna była dokumentacja dentystyczna, znaleziono w pokoju z fotokopiark ą.— To wszystko, co mamy. — Koniec.Ja mam więcej.Przynajmniej mam kilka pytań. — O tę, na przykład, nie oznakowan ą niebiesk ą furgonetkę marki Mercedes, która jechała za bagażówk ą Walcotta Robertsa, a później za MG Pameii Czamczy. — O tych ludzi, którzy wyszli z furgonu, z twarzami w maskach noszonych zwykle w czasie Halloween i wdarli się do biur Rady w chwili, gdy Pamela otworzyła zewnętrzne drzwi. — O to, co naprawdę zaszło w tych biurach, gdyż oko ludzkie niezbyt łatwo przenika przez czerwon ą cegłę 389

i kuloodporne szkło. — A na koniec, o to, co stało się z czerwon ą plastikow ą teczk ą i z dokumentami, które zawierała.Inspektorze Kinch? Jest pan tam?Nie. Już odszedł. Nie ma dla mnie żadnych odpowiedzi.

\* \* \*Oto i pan Saladyn Czamcza, w płaszczu z wielbł ądziej wełny z jedwabnym kołnierzem; biegnie wzdłuż High Street niczym jakiś nędzny oszust. — Ten sam potworny pan Czamcza, który właśnie bez śladu skrupułów spędził wieczór w towarzystwie roztargnionej Allelui Cone. — Spogl ądam na jego stopy — powiedział Otello o Jagonie — ale to bajka. — Ani Czamcza nie jest już postaci ą z baśni; jego ludzka postać całkowicie wystarcza do tego, by znaleźć wytłumaczenie dla jego uczynku. Zniszczył to, czym nie jest i być nie może; zemścił się, odpłacaj ąc zdrad ą za zdradę; a dokonał tego wyzyskuj ąc słabość wroga, rani ąc jego nie osłonięt ą piętę. — Jest to wyrównanie długu. — I znów, oto pan Czamcza biegnie.

Świat jest pełen gniewu i wydarzeń. Rzeczy zawisły w równowadze. Pali się jakiś budynek.Bumba, wali jego serce. Dumba, bumba, dadum.Teraz spostrzega Shaandaar w ogniu; i zatrzymuje się gwałtownie. Czuje ucisk w klatce piersiowej; — badumba! — a teraz ból w lewej ręce. Nie zwraca na to uwagi: wpatruje się w płon ący budynek.I widzi Gibrila Farisztę.I odwraca się; i wbiega do środka.— Miszal! Sufjan! Hind! — krzyczy nikczemny pan Czamcza. Pożar nie ogarn ął jeszcze parteru. Saladyn gwałtownym ruchem otwiera drzwi prowadz ące na schody i parz ący, pal ący powiew powietrza odrzuca go. Oddech smoka, myśli.Półpiętro płonie; pomiędzy podłog ą a sufitem wznosi się ściana ognia. Żadnej szansy wejścia.— Hej! — wrzeszczy Saladyn Czamcza. — Jest tam kto? — Lecz smok ryczy głośniej od jego krzyków.Coś niewidzialnego kopie go w pierś, a on pada na wznak, pomiędzy puste stoły. Dum, śpiewa jego serce. A masz, a masz.Nad jego głow ą słychać hałas, jakby pędziły miliony szczurów, gryzonie-wid-ma śpiesz ące za upiornym czarodziejem z fujark ą. Patrzy do góry: pali się sufit.Stwierdza, że nie może wstać. I kiedy tak się przygl ąda, widzi, że część sufitu załamuje się i fragment belki spada wprost na niego. Krzyżuje ramiona w bezsku-tecznym geście obrony.390

Belka przygważdża go do podłogi, łami ąc mu obie ręce. Klatkę piersiow ą rozrywa ból. Świat oddala się. Ciężko oddychać. Nie może mówić. Jest Człowiekiem Tysi ąca Głosów, a nie pozostał mu ani jeden.Gibril Fariszta, dzierż ąc w dłoniach Azraila, wchodzi do Shaandaar Café.

\* \* \*Co się dzieje, kiedy zwyciężasz?

Kiedy wrogowie s ą zdani na twoj ą łaskę: jak wtedy post ąpisz? Kompromis jest pokus ą słabych; a to jest próba dla silnych. — Spoono — Gibril kiwa głow ą powalonemu mężczyźnie. — Ależ mnie nabrałeś, poważnie, niesamowity z ciebie facet. — I Czamcza, patrz ąc w oczy Gibrila, nie może zaprzeczyć temu, co tamten już wie. — Co — zaczyna i rezygnuje. — Co zamierzasz zrobić? Wszędzie wokół

nich ogień: skwierczenie, trzask złocistego deszczu. — Dlaczego to zrobiłeś? —

pyta Gibril, a następnie oddala pytanie machnięciem ręki. — Jestem ciężkim idiot ą, że pytam o tak ą rzecz. Równie dobrze mógłbym próbować się dowiedzieć, co cię opętało, żeby tu wtargn ąć? Trzeba być ciężkim idiot ą, żeby to zrobić. Ludzie, co, Spoono? Pieprznięci skurwiele, to wszystko.Teraz już wszędzie wokół nich tworz ą się kałuże ognia. Zaraz zostan ą okr ążeni, odizolowani na samotnej i tymczasowej wyspie, pośród tego śmiercionośnego morza. Po raz drugi Czamcza czuje kopnięcie w pierś, szarpi ące nim gwałtownie.W obliczu trzech śmierci — w ogniu, z „przyczyn naturalnych” i z r ąk Gibrila

— wytęża rozpaczliwie wszystkie siły, próbuj ąc mówić, ale wydobywa z siebie tylko krakanie. „Prz. By. Mmm.” Przebacz mi. „Zi. T.” Zlituj się. Pal ą się stoliki kawiarniane. Z góry spadaj ą kolejne belki. Gibril sprawia takie wrażenie, jakby wpadł w trans. Powtarza nieprzytomnie: — Cholernie idiotyczne rzeczy.Czy to możliwe, że zło nigdy nie jest absolutne, że jego zwycięstwo, nie ważne jak bardzo przytłaczaj ące, nigdy nie jest całkowite?Rozważmy przypadek tego upadłego człowieka. Usiłował bezlitośnie zniszczyć umysł innej istoty ludzkiej; w tym celu wykorzystał całkowicie niewinn ą kobietę, przynajmniej po części z powodu nieprawdopodobnego voyeurystyczne-go poż ądania, które czuł do niej. A jednak ten sam człowiek, ryzykuj ąc śmierci ą, bez wahania podj ął szalon ą próbę pomocy.Co to znaczy?Pierścień ognia zamkn ął się wokół dwóch mężczyzn, a dym jest wszędzie.Tylko kilka sekund dzieli ich od momentu porażki. Do rozstrzygnięcia s ą kwestie pilniejsze niż te idiotyzmy powyżej.Jakiego wyboru dokona Fariszta?391

Czy pozostał mu jeszcze jakiś wybór?Gibril upuszcza swoj ą tr ąbkę; nachyla się; uwalnia uwięzionego przez bel-kę Saladyna; i bierze go na ręce. Czamcza oprócz połamanych r ąk ma jeszcze zmiażdżone żebra, jęczy cicho, wydaj ąc dźwięki podobne do mowy kreacjonisty Doomsdaya, zanim otrzymał nowy język wykrojony z najprzedniejszego zadu.„Za, Po” Jest już za późno. Małe liźnięcie ognia dosięga brzegu jego płaszcza.Gryz ący czarny dym wypełnia cał ą dostępn ą przestrzeli, wślizguj ąc się do oczu, zatykaj ąc uszy, zapychaj ąc nos i płuca. — Teraz jednak Gibril Fariszta zaczyna ostrożnie wydychać powietrze, jest to długi nieprzerwany wydech, wprost nieskończony, który docieraj ąc do drzwi, przecina dym i ogień jak nóż; — i Saladynowi Czamczy, który nie może złapać tchu i omdlewa, z rozszalałym sercem w piersiach, wydaje się, że widzi — ale nigdy później nie będzie pewien, czy tak było naprawdę — ogień rozstępuj ący się przed nimi jak morze czerwone, którym się stał, i że dym również się rozsuwa, jak firanka lub welon; aż w końcu przed nimi rozpościera się wolna droga ku drzwiom; — wtedy Gibril Fariszta rusza pędem, wynosz ąc Saladyna po tej drodze przebaczenia na gor ące nocne powietrze; tak więc tej nocy, kiedy miasto jest w stanie wojny, nocy aż ciężkiej od nienawiści i niepohamowanego gniewu, ma miejsce to małe zbawcze zwycięstwo miłości.

\* \* \*Wnioski.

Kiedy się wynurzaj ą, Miszal Sufjan stoi przed Shaandaarem, opłakuj ąc swoich rodziców, pocieszana przez Hanifa. Teraz przychodzi kolej na załamanie Gibrila; wci ąż jeszcze nios ąc Saladyna, traci przytomność u stóp Miszal.Teraz Miszal i Hanif jad ą karetk ą z dwoma nieprzytomnymi mężczyznami.Czamcza ma na twarzy maskę tlenow ą, a Gibril, który jest jedynie ogólnie wyczerpany, mówi przez sen: majaki o magicznej tr ąbie i ogniu, który wydmuchiwał

z niej jak muzykę. — I Miszal, która pamięta Czamczę jako diabła i pogodziła się już z tym, że wiele niemożliwych rzeczy okazuje się możliwymi, zastanawia się: — Czy s ądzisz? — Lecz Hanif jest pewny, zdecydowany. — Niemożliwe. To jest Gibril Fariszta, aktor, nie poznajesz? Biedak odgrywa po prostu jak ąś filmow ą scenę. — Miszal nie daje za wygran ą. — Ależ, Hanifie. — I on staje się jeszcze bardziej stanowczy. Mówi łagodnie, gdyż ona właśnie straciła rodziców, w końcu jednak uparcie podkreśla. — Wydarzenia dzisiejszej nocy w Brickhall s ą zjawiskiem społeczno-politycznym. Nie wpadajmy w sidła jakiegoś cholernego misty-392

cyzmu. Mówimy o historii: wydarzeniu z historii Brytanii. O procesie zmian.Naraz zmienia się głos Gibrila, a także treść wypowiadanych przez niego zdań.Mówi o pielgrzymach i o martwym dziecku i jak w „Dziesięciu Przykazaniach”i o niszczej ˛

acym dworze i o drzewie; ponieważ pod wpływem działania oczyszczaj ącego ognia ma we śnie, już naprawdę po raz ostatni, jedno ze swoich seryjnych widzeń; — a Hanif mówi: — Posłuchaj, Miszu, kochanie. Po prostu fikcja, i już.— Obejmuje j ą ramieniem, całuje w policzek, przytula mocno. Zostań ze mn ˛

a.´

Swiat jest realny. Musimy w nim żyć; musimy żyć tutaj, żyć dalej.Właśnie wtedy Gibril Fariszta, wci ąż śpi ąc, krzyczy wniebogłosy.— Miszal! Wróć! Nic się nie dzieje! Miszal, na litość Bosk ą; zawróć, wracaj, wracaj.VIII

# Przejście przez Morze Arabskie

Sriniwas, sprzedawca zabawek, miał w zwyczaju straszyć swoja żonę i dzieci.Nadejdzie jeszcze taki dzień, kiedy świat materialny straci dla niego znaczenie i Sriniwas zmieni się w sanyasi, i zaopatrzony tylko w miskę i kij żebraczy będzie włóczył się od wioski do wioski, prosz ąc o wsparcie. Pani Sriniwas była bardzo wyrozumiała wobec dziwactw męża, wiedz ąc, że jej rozlazły, pogodnego uspo-sobienia małżonek chce uchodzić za człowieka bogobojnego i chyba też trochę za poszukiwacza przygód (czyż przed laty nie nalegał na absurdalny i przerażaj ący pomysł przelotu przez Wielki Kanion w Amrice?); perspektywa zostania świętym mężem zaspokoiłaby oba jego życiowe marzenia. Jednak kiedy żona patrzyła na obfite kształty swojego ślubnego, wypełniaj ące fotel na ganku — lub gdy obserwowała, jak bawi się z ich najmłodsz ą, pięcioletni ą córeczk ą Min, lub też podziwiała mężowski apetyt, daleki od ascezy żebraczej, jej usta wykrzywiały się w grymasie podpatrzonym u aktorek filmowych, (pomimo że była równie gru-baśna jak małżonek), wychodziła przed dom lekkim krokiem, cicho pogwizduj ąc.Kiedy jednak znajdowała tam tylko pusty fotel i niedopit ą szklankę lemoniady, czuła się kompletnie wytr ącona z równowagi.Prawdę mówi ąc Sriniwas sam nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, co spowodowało, że opuścił wygodny fotel na ganku i wyruszył, żeby zobaczyć przybycie wieśniaków z Titlipur. Miejscowe urwisy, wiedz ące o wszystkim na godzinę wcześniej niż inni, zapowiadały wrzaskiem wkroczenie niewiarygodnej procesji, z torbami i tobołami ci ągn ącej droga kartoflan ą ku głównemu szlakowi, pielgrzymów prowadziła srebrnowłosa dziewczyna i chmara motyli, wiruj ąca nad ich głowami, a pochód zamykał w swojej oliwkowozielonej limuzynie mercedes-benz mirza Sajjid Achtar z tak ą min ą jakby w gardle utkwiła mu pestka owocu mango.Pomimo ziemniaczanych silosów i słynnych fabryk zabawek Czatnapatna nie było na tyle duż ą miejscowości ą, aby przybycie stu pięćdziesięciu osób mogło pozostać nie zauważone. Tuż przed pojawieniem się pielgrzymów Sriniwas przyj ął

delegację robotników z fabryki, którzy, także chcieli być świadkami tego ważnego wydarzenia i prosili o kilkugodzinna przerwę w pracy. Wiedz ąc, że i tak zrobiliby sobie wolne, przystał na to. Sam jednak, przynajmniej do czasu, tkwił uparcie na swojej werandzie udaj ąc, że nie ściska go w dołku z powodu motylich emocji.Później będzie mógł wyznać Miszal Achtar: — To było przeczucie. Cóż mam powiedzieć? Wiedziałem, że wy-wszyscy nie wyszliście po prostu na spacer. Ona przyszła po mnie.Titlipur wkroczył do Czatnapatna przy wtórze wycia noworodków, krzyków dzieci, skrzekliwych nawoływań starców i niewybrednych żartów Osmana od wo-łu bum-bum, na co Sriniwas nie zwracał najmniejszej uwagi. Następnie ulicznicy poinformowali króla zabawek, że wśród przybyszy znajduj ą się żona i teściowa zamindara mirzy Sajjida, id ące pieszo jak chłopki, odziane jedynie w kurta-pażama, bez żadnych klejnotów. Wtedy właśnie Sriniwas zacz ął się przedzierać w kierunku przydroznej kantyny, wokół której tłoczyli się titlipurscy pielgrzymi, wy-395

ci ągaj ąc ręce po ziemniaczane bhurta i panathy. Dotarł tam w tym samym czasie, co jeep policyjny z Czatnapatny. Inspektor stał na siedzeniu pasażera, krzycz ąc przy megafon, że jest w sianie podj ąć stosowne kroki przeciwko „komunalnemu”przemarszowi, jeśli ten się w końcu nie rozejdzie. Hindusko-muzułmańskie sprawy, pomyślał Sriniwas; niedobrze, niedobrze.Policja potraktowała pielgrzymkę jak jak ąś sekciarsk ą demonstrację, ale kiedy mirza Sajjid Achtar wyst ąpił i oznajmił Inspektorowi, jak wygl ąda prawda, ten zmieszał się. Sri Sriniwas, bramin, był człowiekiem, który oczywiście nigdy nie planował udania się na pielgrzymkę do Mekki, niemniej jednak zrobiło to na nim wrażenie. Przepychał się przez tłum, aby lepiej słyszeć to, co mówi zamindar:

— Celem tych dobrych ludzi jest dotarcie do Morza Arabskiego z wiar ą, że wody rozst ąpi ą się przed nimi. — Głos mirzy Sajida brzmiał słabo i Inspektor, oficer komisariatu w Czatnapatna nie sprawiał wrażenia przekonanego. — Czy pan mówi poważnie? Mirza Sajjid odpowiedział: — Ja nie. Oni s ą piekielnie poważni. Mam zamiar wpłyn ąć na zmianę ich decyzji zanim zrobi ą coś szalonego. W ąsaty oficer, świadomy własnej ważności, potrz ąsn ął głow ą. — Ale proszę zrozumieć, sir, jak mogę pozwolić na to, aby tak wielu osobników zbierało się na ulicy? Ludzie s ą podenerwowani; może dojść do jakiegoś incydentu. — Wtedy właśnie tłum pielgrzymów rozst ąpił się i Sriniwas po raz pierwszy zobaczył fantastyczn ą postać dziewczyny, odzian ą całkowicie w motyle, ze śnieżnobiałymi włosami spływaj ącymi do kostek, — Arre deo — krzykn ął — Aisza, czy to ty? — I po chwili dodał głupio: — Wobec tego może mi powiesz, gdzie s ą moje lalki do planowania rodziny?Jego wyst ąpienie zostało zignorowane; wszyscy obserwowali dziewczynę podchodz ąc ą do dysz ącego spazmatycznie oficera. Nic nie mówiła, uśmiechała się tylko, potem skinęła głowa w jego stronę, i zdawało się, że facet odmłodniał

w ci ągu sekundy o jakieś dwadzieścia lal, aż wiecie odpowiedział jej w taki sposób, jak to czyni ą dziesięcio- jedenastoletni chłopcy: — Dobrze dobrze, mausi.Przepraszam, ma. Bez obrazy. Proszę o wybaczenie. — Był to koniec kłopotów z policj ą. Tego dnia, później, w popołudniowym upale grupa wyrostków znanych z kontaktów z RSS i Wiszwa Hindu Pariszad zaczęła rzucać kamieniami z dachów pobliskich budynków; komendant komisariatu polecił ich aresztować i po dwóch minutach siedzieli już pod kluczcm.— Aiszo, córko — wołał Sriniwas na próżno — co u diabła siało się z tob ą?Chroni ąc się przed upałem, pielgrzymi odpoczywali we wszystkich ocienio-nych miejscach, które udało im się znaleźć. Sriniwas włóczył się pomiędzy nimi oszołomiony, przepełniony emocjami, zdaj ąc sobie sprawę z tego, że oto jego życie niespodziewanie znalazło się w punkcie zwrotnym. Oczyma wci ąż szukał od-mienionej postaci Aiszy-wróżki, odpoczywaj ącej w cieniu świętego drzewa w towarzystwie Miszal Achtar i jej matki — pani Kurajszi i chorego z miłości Osmana z jego wołem. W końcu Sriniwas natkn ął się na zamindara mirzę Sajjida, wyci ą-396

gniętego na tylnym siedzeniu mercedesa, nie spał, człowiek w udręce. Sriniwas przemówił do niego z łagodności ą zrodzon ą ze zdumienia. — Seth-dżi, ty nie wierzysz w dziewczynę?— Sriniwasie — mirza Sajjid, aby odpowiedzieć, usiadł — jesteśmy ludźmi nowoczesnymi. Wiemy na przykład, że starcy umieraj ą podczas długich podróży, że Bóg nie leczy raka i nie rozstępuj ą się oceany. Musimy przerwać to szaleństwo. Jedź ze mn ą. W samochodzie jest mnóstwo miejsca. Może ty ich przed tym powstrzymasz: ta Aisza jest ci wdzięczna, może cię posłucha.— Mam jechać samochodem? — Sriniwas poczuł się tak bezradny, jak gdyby krepowały go jakieś niewidzialne więzy. — Mam w tym swój interes, ale.— To wyprawa samobójcza dla wielu naszych ludzi — nalegał mirza Sajjid.— Potrzebuję pomocy. Oczywiście, mogę zapłacić.— Pieni ądze nie wchodz ą w grę — oschle odpowiedział dotknięty Sriniwas

— Wybacz mi, seth-dżi, muszę to rozważyć.— Nie rozumiesz? — glos mirzy Sajjida przeszedł w krzyk — My nie jesteśmy, pospólstwem — ani ty, ani ja. Niech żyje braterstwo hindusko-muzułmańskie! Możemy utworzyć świecki front przeciwko tym zabobonom.Snniwas odwrócił się. — Ale ja nie jestem niwierz ący — zaprotestował. —

Obraz bogini Lakszmi wisi od zawsze u mnie na ścianie.— Mamona jest najlepsz ą bogini ą dla biznesmena — odpowiedział mirza Sajjid.— I jest w moim sercu — dodał Sriniwas. Mirza Sajjid stracił panowanie nad sob ą. — Ale boginie. . . Nawet wasi myśliciele przyznaj ą, że to tylko abstrakcyjne idee ucieleśnienia śakti, pojęcia abstrakcyjnego samego w sobie: dynamicznej mocy bogów

Sprzedawca zabawek parzył na śpi ąc ą pod okrywaj ącymi j ą motylami Aiszę.— Nie jestem myślicielem, selh-dżi — powiedział. Nie powiedział, że jego serce gwałtownie załomotało, ponieważ zdał sobie sprawę z lego, że twarz śpi ącej dziewczyny jest dokładnie taka sama, jak twarz bogini z kalendarza wisz ącego na ścianie jego fabryki.

\* \* \*Sriniwas doł ączył do opuszczaj ącej miasto pielgrzymki, puszczaj ąc mimo uszu błagania rozczochranej żony, która podniosła do góry Minu i potrz ąsała ni ą przed jego twarz ą. Tłumaczył Aiszy, że chociaż nie pragn ął odwiedzić Mekki, nagle opanowała go przemożna chęć towarzyszenia jej przez jakiś czas — być może nawet aż do morza.

397

Kiedy zaj ął miejsce wśród wieśniaków z Titlipur i zrównał krok z id ącym obok człowiekiem, z mieszanymi uczuciami niezrozumienia i lęku obserwował

nie kończ ący się rój motyli, które kłębiły się nad głowami pielgrzymów jak gigantyczny parasol, chroni ący ich przed słońcem. Wygl ądało to tak, jakby motyle z Titlipur przejęty zadanie wielkiego drzewa. Po chwili z jego ust dobył się okrzyk przestrachu, zdziwienia, i radości, ponieważ kilka tuzinów tych kameleono-skrzydłych stworzeń usadowiło się na jego ramionach i nagle sprawiło, że szkarłat koszuli zakwitł mnóstwem kolorów. Teraz mirza Sajjid rozpoznał id ącego obok mężczyznę. Był to sarpancza, Muhamnud Din, który zrezygnował z miejsca na czele pochodu. Pomimo zaawansowanego wieku dziarsko maszerował z małżonk ą u boku. Kiedy Muhammad Din dostrzegł skrzydlate błogosławieństwo, które spłynęło na sprzedawcę zabawek, pochwycił go za rękę.

\* \* \*Wydawało się oczywiste, że spadn ą deszcze. Szeregi kościstego bydła prze-mierzały przestrzeń w poszukiwaniu wody. Miłość w Woda informował biały napis na ceglanym murze fabryki skuterów. Spotykali po drodze cale rodziny w nadziei znalezienia wody kieruj ące się na południe z dobytkiem załadowanym na grzbietach zdychaj ących osłów. Ale nie tej cholernej słonej wody — krzyczał

mirza Sajjid na pielgrzymów z Titlipur — i nic po to, aby zobaczyć, jak się rozstępuje! Chc ą żyć, a wy szaleńcy chcecie zgin ąć! — Sępy zbierały się w stada po obu stronach drogi, obserwuj ąc przemarsz.Pierwsze tygodnie pielgrzymki do Morza Arabskiego upłynęły mirzy Sajjidowi pod znakiem ci ągłej, histerycznej agitacji. Najwięcej drogi pokonywano rankami i popołudniami, wtedy to Sajjid wychylał się z okna swojej limuzyny i mo-lestował konaj ąc ą żonę. — Opamiętaj się. Miszu. Jesteś chor ą kobiet ą. Chodź

i połóż się przynajmniej na trochę, rozmasuję ci stopy. — Ale ona odmawiała, a jej matka odganiała mirzę. — Widzisz, Sajjidzie, jesteś w nieodpowiednim nastroju, to jest bardzo przygnębiaj ące. Weź, napij się tej swojej koka-sroli w swoim klimatyzowanym aucie i zostaw nas, yatri, w spokoju. — Po tygodniu klimatyzowany samochód stracił kierowcę. Szofer mirzy Sajjida zrezygnował z posady i przył ączył się do pielgrzymów; zamindar został zmuszony do zajęcia miejsca za kółkiem. Po tym fakcie zawładn ął nim lęk, musiał zatrzymać samochód, zaparko-wać go i wtedy popędził ku pielgrzymom groż ąc, błagaj ąc i próbuj ąc przekupić niektórych z nich. Przynajmniej raz dziennie rzucał Aiszy w twarz przekleństwa za zniszczenie mu życia, ale nigdy nie mógł wytrwać w złorzeczeniach, ponieważ za każdym razem, kiedy na ni ą popatrzył, pragn ął jej tak bardzo, że czuł się 398

tym zażenowany. Choroba nowotworowa zmieniła kolor skóry Miszal na szary, jej matka była już przysmażona w kilku miejscach, rozpadły się jej sandały i srodze cierpiała z powodu olbrzymich pęcherzy przypominaj ących małe bukłaki z wod ą.Kiedy Sajjid zaoferował jej wygodne miejsce w samochodzie, natychmiast odmówiła. Czar rzucony przez Aiszę na pielgrzymów wci ąż utrzymywał swoja moc.Pod koniec wypraw do serca pielgrzymki mirza Sajjid, spocony i zrozpaczony na skutek upału i bezsilności, zdał sobie sprawę z tego, że odeszli spory kawał drogi od jego samochodu i że będzie teraz musiał wrócić do niego, zatopiony w ponurych myślach. Dzień później dotarł do limuzyny i stwierdził, że przyciemniona szyba została rozbita przez pust ą skorupę orzecha kokosowego, wyrzucon ą zapewne z przejeżdżaj ącego autobusu. Szyba wygl ądała teraz jak pajęcza sieć pełna diamentowych much. Był zmuszony wytłuc j ą do końca, a szklane diamenty wydawały się kpić z niego, kiedy upadały na drogę i do wnętrza wozu, zdawały się mówić o przemijaniu i bezwartościowości dóbr ziemskich, ale człowiek świecki żyje w świecie rzeczy i mirza Sajjid nie zamierzał dać skruszyć się równie łatwo jak szyba. Noc ą, kiedy leżał pod gwiazdami na poboczu głównej drogi obok swojej żony i kiedy powiedział jej o wypadku, nie znalazł u niej współczucia. — To znak — odrzekła. — Porzuć samochód i przył ącz się w końcu do nas.— Porzucić mercedesa-benza? — zawył Sajjid, ogarnięty najprawdziwsz ą groz ą.— No i cóż to takiego? — odpowiedziała Miszal surowym, ale zmęczonym głosem. — Wci ąż mówisz o zrujnowaniu. Cóż ci więc po mercedesie?— Ty nic nie rozumiesz — zapłakał. — Nikt mnie nie rozumie!Gibril wyśnił suszę:

Kraina spalona przez bezchmurne niebo. Zwłoki autobusów i starożytnych po-s ągów, gnij ące na skrajach pól. Mirza Sajjid widział przez potrzaskan ą szybę zapowiedź zagłady: dzikie osły pieprzyły się niemrawo, po czym padały martwe na środku drogi, wci ąż zł ączone ze sob ą; drzewa stoj ące na korzeniach wyrzuconych na powierzchnię zerodowanej gleby i wygl ądaj ące jak wielkie drewniane grabie, ryj ące ziemię w poszukiwaniu wody, zamożni farmerzy zmuszeni do niewolniczej pracy, kopi ący zbiorniki wzdłuż drogi — puste rowy na deszcz, który nie spadnie.Żałosne pobocze żyje swoim życiem: kobieta z tobołkiem kieruj ąca się ku namio-towi zrobionemu z kawałka szmaty i kija, dziewczyna skazana każdego dnia na szorowanie, tego naczynia, tego garnka w zakurzonym skrawku brudu. „Czy ich życie jest rzeczywiście tyle samo warte co nasze? — zapytał w duchu mirza Sajjid Achtar. — Tyle co moje, co Miszal? Jak ubodzy s ą w wiedzę, jak niewiele potrzeba im strawy duchowej”. Mężczyzna ubrany w dhoti i luźne, żółte pugri stał jak ptak na kamieniu milowym. Sterczał tak z nog ą założon ą na drugie kolano i z rę-k ą na drugim łokciu — palił biri. Kiedy mirza Sajjid Achtar przejeżdżał obok, ten 399

splun ął, trafiaj ąc zamindara prosto w twarz.Pielgrzymka postępowała powoli, id ąc trzy godziny rano i trzy po wielkim upale, szli, dostosowuj ąc swój krok do najwolniejszego, nie kończ ące się opóź-nienia, choroby dzieci, podkopywanie autorytetów, koło odpadaj ące w jednym z wozów zaprzężonym w woły; w najlepszym wypadku dwie mile dziennie, sto pięćdziesi ąt mil do morza, w przybliżeniu około jedenastotygodniowa podróż.Pierwsza śmierć miała miejsce osiemnastego dnia. Chadidża, nietaktowna starsza niewiasta, będ ąca od pół wieku kochan ą i kochaj ąc ą małżonk ą sarpanczy Muhammada Dina zobaczyła we śnie archanioła. — Gibrilu — wyszeptała — czy to ty?— Nie — odpowiedziała zjawa — to ja, Azrail, ten od brudnej roboty. Proszę mi wybaczyć, że rozczarowałem.Następnego dnia rano szła dalej, nic nie mówi ąc mężowi o swoim objawieniu. Po dwóch godzinach zbliżyli się do ruin jednej z mogolskich oberży, których obejścia, budowane w zamierzchłych czasach, stawiano co pięć mil wzdłuż drogi. Kiedy Chadidża zobaczyła gruzy, nie wiedziała nic o ich przeszłości, o po-dróżnych rabowanych we śnie i tym podobnych zdarzeniach, dostatecznie dobrze rozumiała za to stan obecny. — Muszę tam wejść i położyć się — powiedziała sarpanczy, który natychmiast zaprotestował: — Ale co z marszem! — Nieważne

— odpowiedziała łagodnie — dogonisz ich później.Położyła się na rumowisku z głow ą na gładkim kamieniu, który wyszukał jej m ąż. Starzec zapłakał, ale nic to nie pomogło — zmarła w przeci ągu minuty.Sarpancza pobiegł ku pielgrzymom, stan ął przed Aisz ą i rzucił jej wściekle: —

Nigdy nie powinienem był cię posłuchać — powiedział. — I teraz ty zabiłaś moj ą żonę.Kolumna zatrzymała się. Mirza Sajjid Achtar, upatruj ąc w tym fakcie swoj ą szansę, głośno nalegał na pochowanie Chadidżi na muzułmańskim cmentarzu. Ale Aisza sprzeciwiła się. — Archanioł kazał nam iść prosto ku morzu, bez powrotów czy zbaczania z drogi. — Mirza apelował do pielgrzymów: — To ukochana żona sarpanczy — krzyczał — czy pozostawicie j ą w przydrożnym rowie?Sajjid nie chciał wierzyć własnym uszom, kiedy usłyszał, że większość mieszkańców Titlipur zgodziła się na to, aby niezwłocznie ja pochować. Uświadomił

sobie, że ich determinacja jest o wiele większa, niż pocz ątkowo przypuszczał: nawet nieutulony w żalu sarpancza zgodził się na to. Pochowano Chadidżę na ugorze za oberż ą z przeszłości.Jednak następnego dnia mirza Sajjid zauważył, że sarpancza oddala się nieco od grupy. Bł ąkał się niepocieszony w pewnej odległości od innych, wdychaj ąc zapach krzewów bugenwilli. Sajjid wyskoczył z mercedesa i popędził do Aiszy, aby zrobić jej następn ą scenę. — Ty potworze! — krzyczał. — Potworze bez serca!Po co poprowadziłaś tę star ą kobietę na śmierć? — Dziewczyna zignorowała go, ale kiedy wracał do samochodu, podszedł do niego sarpancza i rzekł: — Byliśmy 400

biednymi ludźmi. Nie mieliśmy nawet nadziei na to, że udamy się kiedykolwiek do Świętej Mekki, dopóki ta tutaj nas nie przekonała. Przekonała nas i oto widzisz owoce jej uczynku.Kapłanka Aisza poprosiła sarpanczę o chwilę rozmowy, nie wypowiedziała jednak ani słowa pocieszenia. — Umocnij swoj ą wiarę — upomniała go. — Ta, która umiera w czasie wielkiej pielgrzymki, pewna jest swojego domu w Raju.Twoja żona siedzi teraz pośród aniołów i kwiatów; czego miałbyś żałować?Tego wieczora sarpancza Muhammad Din podszedł do mirzy Sajjida, siedz ącego przy małym ognisku. — Przepraszam, Seth-dżi — zapytał — czy to jest możliwe, abym ja też jechał samochodem, jak to wcześniej proponowałeś?Nie w pełni skory do porzucenia przedsięwzięcia, za które umarła jego żo-na, niezdolny do zachowania dłużej absolutnej wiary, której wymagała wyprawa, Muhammad Din znalazł się wewn ątrz limuzyny sceptycyzmu. — Mój pierwszy nawrócony — mówił o nim z radości ą mirza Sajjid.

\* \* \*Czwartego tygodnia przejście sarpanczy Muhammada Dina do przeciwnego obozu zaczęło przynosić efekty. Siedział na tylnym siedzeniu mercedesa, jak gdyby to on był zamindarem, a mirza Sajjid — jego szoferem i powoli skórzana ta-picerka, klimatyzacja, barek z whisky i elektrycznie sterowane lustrzane szyby zaczęły uczyć go pychy; jego nos zadzierał się coraz wyżej, a twarz przybierała wyraz lekceważenia, charakterystyczny dla człowieka, który widzi wszystko, sam nie będ ąc widzanym. Oczy i nos mirzy Sajjida, siedz ącego za kierownic ą, wypełniał pył dostaj ący się przez otwór po szybie, ale pomimo tych niewygód Sajjid czuł się lepiej niż przedtem. Teraz, pod koniec każdego dnia, wokół mercedesa-

-benza i jego błyszcz ącej gwiazdy zbierała się grupka pielgrzymów i mirza Sajjid starał się przemówić im do rozs ądku, podczas gdy oni patrzyli, jak sarpancza Muhammad Din podnosi i opuszcza lustrzane szyby i widzieli na przemian jego i swoje twarze. Obecność sarpanczy w mercedesie nadała now ą wartość słowom mirzy Sajjida.Aisza nie starała się odci ągn ąć wieśniaków od samochodu i jak dot ąd jej pewność siebie była uzasadniona; nie było więcej przejść do obozu niewiernych. Ale Sajjid dostrzegł liczne spojrzenia rzucane przez ni ą w jego kierunku i, czy miała zdolność jasnowidzenia, czy nie, mirza Sajjid gotów był się założyć o duże pieni ądze, że to były gniewne spojrzenia młodej dziewczyny, której nie będzie już dany wybór własnej drogi.A potem zniknęła.401

Odeszła któregoś popołudnia podczas sjesty i nie pojawiła się przez półtora dnia, podczas których wśród pielgrzymów panował rwetes nie do opisania — ona zawsze wiedziała, jak poskromić emocje tłumu, to Sajjid musiał przyznać; potem przyszła wolnym krokiem przez tumany wszechobecnego pyłu — tym razem jej srebrne włosy mieniły się złotem, tak jak brwi. Zebrała wieśniaków i powiedziała im o niezadowoleniu archanioła z tego, że ludzie z Titlipur s ą przepełnieni zw ątpieniem po tym, jak męczennica wst ąpiła do Raju. Ostrzegła, że archanioł

rozważa cofnięcie swojej oferty dotycz ącej rozst ąpienia się wód. „Pójdziecie się tam tylko wyk ąpać w słonej wodzie i powrócicie na swoje spustoszone susz ą po-la ziemniaków, na które już nigdy nie spadnie ani kropla deszczu”. Wieśniaków ogarnęła trwoga. — Nie, to nie może być! — biadali. — Bibidżi, przebacz nam.— Po raz pierwszy wymienili imię mitycznej świętej, aby nadać je dziewczynie posiadaj ącej władzę absolutn ą i wywołuj ącej po raz pierwszy strach, prawie tak silny jak poprzednio uwielbienie. Po przemowie sarpancza i mirza Sajjid zostali sami w limuzynie. — Druga runda dla archanioła — pomyślał Sajjid.

\* \* \*Pi ątego tygodnia zdrowie większości starszych pielgrzymów zaczęło mocno szwankować, zapasy żywności były na wykończeniu, trudno było o wodę, a oczom dzieci zabrakło już łez. Stada sępów nie oddalały się ani na krok.

Kiedy pielgrzymi zostawili za sob ą obszary wiejskie i weszli w gęściej za-ludnione rejony, trudy eskapady wzrosły niepomiernie. Autobusy i ciężarówki, jeżdż ące na długich trasach, nie były skore do manewrów i piesi musieli, wrzeszcz ąc i tratuj ąc się wzajemnie, nie raz uciekać. Rowerzyści, sześcioosobowe rodziny na skuterach marki Radżut, obwoźni sprzedawcy klęli na czym świat stoi. —

Szajbusy! Postrzeleńcy! Muzułmanie! — Często byli zmuszeni maszerować cał ą noc, ponieważ władze w tym czy innym miasteczku nie życzyły sobie, aby taki motłoch spał na ich chodnikach. Wzrost liczby zgonów był nieunikniony.Wtedy w pewnym bezimiennym miasteczku, wół nawróconego Osmana upadł

na kolana pomiędzy rowery i wielbł ądzie odchody. — Wstawaj, idioto — wrzeszczał bezsilnie na zwierzę. — Co ty sobie wyobrażasz? Zdychasz przed obcymi?!— Wół pokiwał łbem, dwa razy na „tak”, i wyzion ął ducha.Motyle przykryły ciało, przybieraj ąc kolor szarego korpusu, rogów i dzwonków. Zrozpaczony Osman pobiegł do Aiszy (wokół której, pomimo że założyła brudne sari, aby zadośćuczynić miejskiej pruderii, unosiła się wci ąż aureola z motyli). — Czy woły id ą do Nieba? — zapytał żałosnym głosem; wzruszyła ramionami. — Woły nie maj ą duszy — odpowiedziała chłodno. — My mamy du-402

sze do ocalenia. Osman popatrzył na ni ą i zdał sobie sprawę z tego, że już jej nie kocha — Stałaś się demonem — powiedział do niej z odraz ą.— Ja jestem niczym — odparła Aisza. — Jestem posłańcem.— Powiedz mi w takim razie, dlaczego twój Bóg jest tak skory do tego, aby unicestwiać niewinne istoty? — wybuchn ął Osman. — Czego się boi? Czy jest tak niepewny swego, że potrzebuje naszej śmierci na dowód tego, że go miłujemy?Jakby w odpowiedzi na tak jawne bluźnierstwo, Aisza wymogła na pielgrzymach jeszcze większy rygor, nalegaj ąc, aby odmawiali wszystkie pięć modlitw, i ustanawiaj ąc pi ątek dniem postnym. Pod koniec szóstego tygodnia zmusiła maszeruj ących, aby zostawili cztery ciała tam, gdzie upadły: dwóch starców, starusz-kę i sześcioletni ą dziewczynkę. Pielgrzymi maszerowali dalej, zostawiaj ąc umarłych za sob ą; mirza Sajjid Achtar zbierał ciała i zapewniał im godny pochówek.Pomagali mu w tym sarpancz Muhammad Din i wcześniej nietykalny Osman.W takie dni zostawali nieco w tyle, jednak mercedes-benz nie potrzebował wiele czasu, aby dogonić ponad stuczterdziestoosobow ą kolumnę złożon ą z kobiet i dzieci powłócz ących nogami w kierunku morza.

\* \* \*Liczba zgonów wzrastała gwałtownie, i rosły też grupki zaniepokojonych pielgrzymów gromadz ących się noc w noc wokół mercedesa. Mirza Sajjid zacz ął opowiadać im różne historie. Mówił im o lemingach i o tym, jak czarownica Kirke przemieniała mężczyzn w świnie; opowiedział także, jak szczurołap, graj ąc na fu-jarce, wywiódł dzieci z miasteczka i zwabił je nad górskie urwisko. Kiedy skończył, wyrecytował im wersety po angielsku, aby mogli wsłuchać się w muzykę poezji, chociaż nie mogli zrozumieć słów. — Hemelin town’s in Brunswick —

zacz ął. — Near famous Hanover City. The Ricer Weser, deep and wide, washes its walls on the southern side. . .Czuł satysfakcję, patrz ąc na zbliżaj ąc ą się dziewczynę Aiszę. Wygl ądała na wściekł ą. Za jej plecami motyle jaśniały jak ogień i odnosiło się wrażenie, że płomienie wypełzaj ą z jej ciała.— Ci, którzy słuchaj ą wersetów Diabła, mówi ą językiem Diabła — wołała —

w końcu pójd ą do Diabła.— Maj ą więc wolny wybór — odpowiedział mirza Sajjid — wybór pomiędzy diabłem a głębok ą błękitn ą toni ą.403

\* \* \*

Minęło już osiem tygodni i stosunki pomiędzy mirz ą Sajjidem a jego żon ą popsuły się tak bardzo, że nie odzywali się nawet do siebie. Teraz, pomimo raka, który nadał skórze Miszal odcień szarości popiołu kremacyjnego, została ona ad-iutantk ą i najwierniejsz ą uczennic ą Aiszy. W ątpliwości pozostałych pielgrzymów wzmocniły tylko jej wiarę, winę za te wahania ponosił oczywiście jej m ąż.— Zatem — podsumowała go w ostatniej rozmowie — nie ma już w tobie ciepła. Boję się podejść do ciebie.— Nie ma ciepła — wrzasn ął. — Jak możesz tak mówić? Nie ma ciepła?Dla kogo pobiegłem na tę cholern ą pielgrzymkę? Aby kim się opiekować? Ponieważ kogo kocham? Ponieważ o kogo się martwię, kto przepełnia mnie smutkiem i zgryzot ą? Nie ma ciepła? Czy mnie nie znasz? Jak możesz wygadywać takie rzeczy?— Posłuchaj siebie — powiedziała cichn ącym głosem. — Zawsze ten gniew.Zimny, lodowaty gniew, jak twierdza.— To nie gniew — wydarł się. — To obawa, zgryzota, bezradność, rany, ból.Gdzie ty słyszysz gniew?— Słyszę — wyszeptała — słysz ą wszyscy w promieniu czterech mil.— Pojedzmy st ąd — błagał j ą — zawiozę cię do najlepszych klinik w Europie, Kanadzie. Ufaj zachodnim technologiom. Potrafi ą czynić cuda. Zawsze lubiłaś te ich zabaweczki.— Idę z pielgrzymk ą do Mekki — odparła i odwróciła się od niego.— Ty cholerna głupia dziwko — rykn ął. — To, że chcesz sobie umierać, wcale nie oznacza, że masz ci ągn ąć ze sob ą tych ludzi. — Ale ona odeszła wzdłuż przydrożnego obozu, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem, i teraz Mirza staj ąc się żywym dowodem, że nie jest w stanie utrzymać nerwów na wodzy i że mówi same ohydztwa, padł na kolana i zapłakał. Po kłótni Miszal zabroniła mu kiedykolwiek spać obok siebie. Ona i jej matka zwinęły derkę i przeniosły się w pobliże motylego posłania prorokini pielgrzymki do Mekki.Za dnia Miszal pracowała bez wytchnienia wśród pielgrzymów, utwierdzaj ąc ich w wierze, wzmacniaj ąc morale i chroni ąc ich pod skrzydłami własnej łagodności. Aisza usuwała się coraz bardziej w cień, poczas gdy Miszal Achtar stawała się, pod wieloma względami i z różnych powodów, przywódczyni ą grupy. Jednak nad jednym z uczestników pielgrzymki straciła kontrolę: była to jej matka, żona dyrektora banku państwowego, pani Kurajszi.Przybycie pana Kurajszi, ojca Miszal, było ważnym wydarzeniem. Pielgrzymi zatrzymali się w cieniu platanów, zajęci zbieraniem chrustu i szorowaniem naczyń, kiedy pojawiła się kawalkada samochodów. Pani Kurajszi, dwadzieścia 404

pięć funtów lżejsza niż na pocz ątku wędrówki, natychmiast skoczyła z piskiem na nogi i zaczęła gor ączkowo otrzepywać z brudu ubranie i doprowadzać włosy do porz ądku. Miszal zobaczyła matkę, gdy ta pospiesznie smarowała się nadto-pion ą szmink ą do ust. — Co cię dzieje, mateczko, uspokój się, na.Matka wskazała drż ąc ą dłoni ą na zbliżaj ące się samochody. Kilka chwil później wysoki, srogi bankier stan ął obok nich. — Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył — powiedział. — Mówili mi, ale ja to olałem. Jednak trochę to trwało, abym się przekonał. Żeby tak znikn ąć z Peristanu bez jednego słowa: co to za przekleństwo?Pani Kurajszi zadygotała pod spojrzeniem męża i zaczęła płakać, czuj ąc drżenie kolan i zmęczenie, wypełniaj ące każd ą komórkę jej ciała. — O Boże, nie wiem, przepraszam — powiedziała. — Bóg jeden wie, jak to się stało.— Czy nie wiesz, jak ą zajmuję pozycję! — darł się pan Kurajszi. — Jej funda-mentem jest zaufanie ludzi. Jak to wygl ąda, kiedy moja żona włóczy się z bhangi?Miszal objęła matkę i powiedziała ojcu, żeby przestał się nad ni ą pastwić.Pan Achtar po raz pierwszy dostrzegł znak śmierci na czole swojej córki i powietrze uszło z niego jak z dziurawej dętki. Miszal powiedziała mu o nowotworze i obietnicy sri Aiszy. Obietnicy cudu, który ma się wydarzyć w Mekce. Obietnicy całkowitego powrotu do zdrowia.— Pozwól więc, żebym cię prędziutko zawiózł do Mekki samolotem — nalegał ojciec. — Po co iść, skoro można polecieć?Ale Miszal pozostała nieugięta. — Powinieneś odejść — powiedziała ojcu —

tylko wiara może tego dokonać. Mamusia będzie się mn ą opiekować.Nie znalazłszy wyjścia z sytuacji, pan Kurajszi doł ączył wraz ze swoj ą limuzyn ą na koniec procesji do mirzy Sajjida, przez cały czas posyłaj ąc jednego z dwóch swoich służ ących na skuterze, aby zapytać, czy córka nie potrzebuje żywności, lekarstw, środków wzmacniaj ących — w ogóle czegokolwiek. Miszal odrzucała wszystkie jego propozycje, aż po trzech dniach — ponieważ biznes to biznes — pan Kurajszi udał się do miasta, zostawiaj ąc jednego z czaprasi na skuterze, aby usługiwał kobietom. — Zostawiani go na wasze usługi — powiedział

— nie b ądźcie głupie. Ułatwiajcie sobie podróż, jak to tylko możliwe.Dzień po odjeździe pana Kurejszi, czaprasi Gul Muhammad wywalił swój skuter do rowu i przył ączył do pielgrzymów, zawi ązuj ąc chustkę na głowie, aby podkreślić swoj ą religijność. Aisza nic nie powiedziała, ale kiedy zobaczyła kierowcę skutera przył ączaj ącego się do pieszych, uśmiechnęła się szeroko figlarnym uśmiechem, który przypomniał mirzy Sajjidowi, że nie jest ona tylko, pomimo wszystko, postaci ą ze snu, ale także młod ą dziewczyn ą z krwi i kości.Pani Kurajszi zaczęła narzekać. Krótki powrót do dawnej rzeczywistości złamał jej zaangażowanie i teraz, po fakcie, zaczęła przypominać sobie przyjęcia, miękkie poduszeczki i szklanki zmrożonej lemoniady. Nagle wydało się jej zupełnie absurdalne to, że kobieta o takim pochodzeniu może chodzić boso jak zwykła 405

pomywaczka. Zwróciła się z zakłopotan ą min ą do mirzy Sajjida. — Sajjidzie, synu, nienawidzisz mnie, prawda? — Mizdrzyła się pulchnymi wdziękami w ża-łosnej parodii kokieterii.Sajjida zatrwożyły jej zabiegi. — Oczywiście, że nie — zdołał wykrztusić.— Ależ tak, nienawidzisz mnie i mój przypadek jest beznadziejny — kokie-towała dalej.— Ammadżi — Sajjid głośno przełkn ął ślinę — co ty mówisz?— No, bo od czasu do czasu nie byłam dla ciebie zbyt dobra.— Zapomnijmy o tym — powiedział Sajjid, rozbawiony tym wstępem, ale ona nie chciała zapomnieć. — Trzeba ci wiedzieć, że mówiłam to wszystko z miłości.Miłość — powiedziała pani Kurajszi — to szczytna i zbożna rzecz.— Sprawia, że istnieje świat — zgodził się mirza Sajjid, staraj ąc się uchwycić ducha tej konwersacji.— Miłość pokona wszystko — potwierdziła pani Kurajszi. — Pokonałam swój gniew. Muszę ci to udowodnić, jad ąc z tob ą w twojej maszynie.Mirza Sajjid skłonił się nisko. — Na twoje usługi, Amma-dżi.— Wobec tego poprosisz tych dwóch wieśniaków, aby usiedli z tob ą z przodu.Damy należy ochraniać, prawda?— Oczywiście — odpowiedział.

\* \* \*Opowieść o mieszkańcach pewnej wsi id ących do morza rozniosła się po całym kraju i dziewi ątego tygodnia pielgrzymów zaczęli nawiedzać dziennikarze, miejscowi politykierzy w poszukiwaniu wyborców, biznesmeni, oferuj ący chęć sponsorowania marszu, jeśli tylko yatri zgodziliby się nosić tablice reklamuj ą-ce towary i usługi, zagraniczni turyści łakn ący tajemnic Wschodu, nostalgiczni gandhiści i specyficzny rodzaj ludzkich sępów, chodz ących zwykle na wyścigi samochodowe, aby ogl ądać wypadki. Kiedy zobaczyli rój kameleonowych motyli i sposób, w jaki ubieraj ą i żywi ą dziewczynę Aiszę, byli wstrz ąśnięci i odjeżdżali zawiedzeni w swoich oczekiwaniach, to znaczy z wielk ą luk ą w obrazie świata, której nie można zapełnić kolorowymi fotkami. Fotografie Aiszy ukazy-wały się we wszystkich gazetach, pielgrzymi czasami mijali słupy ogłoszeniowe z trzykrotnie powiększon ą postaci ą motylej piękności, poniżej slogany informo-wały Nasze ubrania s ˛

a równie delikatne jak skrzydła motyli, lub coś podobnego.Potem dotarły do nich bardziej alarmuj ące wieści. Pewne ugrupowania religijnych ekstermistów wydały oświadczenie, oznajmiaj ące, że „Hadżdża Aiszy” jest przykładem „porwania” uwagi publicznej, aby „podżegać nastroje ludzkie”. Kol-406

portowano ulotki — Miszal podniosła jedn ą z drogi — w których twierdzono, że

„Padjatra, czy też piesza pielgrzymka, jest starodawnym, pre-islamskim obycza-jem wchodz ącym w skład kultury narodowej, a nie zapożyczeniem od mogolskich imigrantów”. Także: „zawłaszczenie tego obyczaju przez tak zwan ą Aiszę Bibidżi jest świadomym i celowym zaognianiem już i tak napiętej sytuacji.”— Nie będzie kłopotów — zakomunikowała kahina, przerywaj ąc swoje milczenie.

\* \* \*Gibril wyśnił przedmieście:

Kiedy Aisza Hadż zbliżyła się do Sarang, przedmieść wielkiej metropolii przy Morzu Arabskim, ku któremu wizjonerka prowadziła pielgrzymów, wizyty polity-kierów, policji i dziennikarzy przybrały na sile. Na pocz ątku policjanci zagrozili, że rozpędz ą marsz; jednakże politycy odradzili ten sposób, ponieważ mogłoby to wygl ądać na decyzję sekciarsk ą i spowodować wybuch niepokojów społecznych w całym kraju, wzdłuż i wszerz. W końcu policja zezwoliła na przejście pielgrzymki, ale ostrzegła też poważnie, że „nie jest w stanie zagwarantować bezpiecznego przejścia”. Miszal Achtar zadecydowała: — Idziemy dalej.Przedmieście Sarang nosiło ewidentne piętno obecności sporych zasobów węgla kamiennego. Okazało się, że tutejsi górnicy, dzięki którym rozstępowały się skały — „rozstępuj ą je”, jakby ktoś mógł powiedzieć — nie mogli ścierpieć myśli o tym, że jakaś dziewczyna mogłaby zrobić to samo z falami morskimi, skin ąwszy tylko ręk ą. Kadry pewnych ugrupowań komunistycznych miały ręce pełne roboty, podburzaj ąc górników do ataków przemocy, i na skutek działalności prowokato-rów zacz ął się zbierać motłoch, nios ąc transparenty oznajmiaj ące: ŻADNYCH

ISLAMSKICH PADJATR! MOTYLA WIED ŹMO, DO DOMU.W nocy przed wejściem do Sarangu mirza Sajjid wygłosił kolejne kwieciste przemówienie, apeluj ąc do pielgrzymów: — Zrezygnujcie — tłumaczył. — Jutro wszyscy zginiemy — Aisza szepnęła coś do Miszal, a ta wypowiedziała głośno słowa dziewczyny: — Lepiej być męczennikiem niż tchórzem. Czy s ą tutaj jeszcze jacyś tchórze?Był jeden. Sri Sriniwas, badacz Wielkiego Kanionu, właściciel Toy Univas, którego mottem przewodnim była efektywność i uczciwość, stan ął po stronie mirzy Sajjida. Jako oddany czciciel bogini Lakszmi, której spojrzenie zwodziło tak, jak spojrzenie Aiszy, poczuł, że nie jest w stanie uczestniczyć w nadchodz ących zamieszkach. — Jestem mięczakiem — wyznał Sajjidowi — Kochałem pannę Aiszę, a mężczyzna powinien walczyć za to, co miłuje; ale teraz, cóż pocz ąć, 407

muszę zaj ąć stanowisko neutralne. — Sriniwas został pi ątym członkiem towarzystwa renegatów z mercedesa, zaś pani Kurajszi, nie maj ąc innego wyboru, musiała dzielić miejsce z tyłu wozu z człowiekiem z gminu. Sriniwas pozdrowił j ą bez specjalnego entuzjazmu i widz ąc, jak ostentacyjnie odsuwa się od niego, próbował

j ą ułagodzić. — Proszę to przyj ąć jako wyraz mojego szacunku. — I wyci ągn ął

z kieszeni lalkę do planowania rodziny.Tej nocy dezerterzy pozostali w samochodzie, podczas gdy wierni modlili się pod gołym niebem. Pozwolono im na rozbicie obozu na złomowisku starych lo-komotyw, strzeżonym przez żandarmerię. Mirza Sajjid nie mógł zasn ąć. Myślał

o tym, co mu powiedział Sriniwas, myślał o byciu w głębi duszy gandhist ą, —

ale jestem zbyt słaby, aby wcielić w życie swoje ideały. Proszę mi wybaczyć, ale to prawda. Nie urodziłem się po to, by cierpieć, Seth-dżi. Powinienem był zostać z żon ą i dzieciakami i zwalczyć tę chorobę wiecznego poszukiwacza przygód, która sprowadziła mnie w takie miejsce.Także w mojej rodzinie, umęczony mirza Sajjid odpowiedział śpi ącemu sprzedawcy zabawek, cierpieliśmy na pewn ą chorobę: chorobę izolacji, niemożności identyfikacji samych siebie z rzeczami, zdarzeniami, uczuciami. Wielu ludzi re-alizuje się poprzez pracę, miejsca, z których pochodz ą i tym podobne rzeczy; my żyliśmy zbytnio pochłonięci własnymi myślami. To czyni rzeczywistość cholernie trudn ą do zniesienia.Oznaczało to, że odkrył, jak trudno jest uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę; ale tak było.

\* \* \*Rankiem, kiedy Pielgrzymi Aiszy byli gotowi do wymarszu, olbrzymie chmury motyli, towarzysz ące im od Titlipur nagle rozpadły się i zniknęły, odkrywaj ąc, że niebo wypełniały inne jeszcze, bardziej prozaiczne chmury. Nawet stworzenia, które osłaniały Aiszę — elitarna gwardia, można by powiedzieć — zdemobilizo-wały się i dziewczyna poprowadziła procesję ubrana w niepozorne, stare bawełniane sari z drukowanymi na oblamowaniu liśćmi. Zniknięcie cudu, który zdawał

się podkreślać świętość pielgrzymki, przygnębiło wszystkich; tak że pomimo nawoływań Miszal Achtar szli, niezdolni do śpiewu, pozbawieni błogosławieństwa motyli, ku przeznaczeniu.408

\* \* \*

Tłum Przeciwników Islamskiej Padjatry zgotował powitanie dla Aiszy, stoj ąc po obu stronach ulicy ogrodzonej budami warsztatów naprawy rowerów. Zabloko-wali trasę pielgrzymów zepsutymi rowerami i teraz za barykad ą połamanych kół, pogiętych kierownic i uciszonych dzwonków czekali na to, aż Hadżdża Aiszy wejdzie w ulicę od północnej strony. Aisza szła przez tłum, jakby w ogóle nie istniał, i kiedy dotarta do ostatniego skrzyżowania, za którym oczekiwały j ą pałki i noże, rozległ się grzmot, zupełnie jak gdyby tr ąby oznajmiły nadejście Dnia S ądu, i na ziemię run ął z nieba ocean. Ulewa przyszła zbyt późno na to, by uratować zbiory; po chwili pielgrzymi uwierzyli, że Bóg oszczędzał wodę w tym właśnie celu, pozwalał jej zbierać się w niebie, aż stała się bezkresna jak morze, poświęcił roczny plon, aby ocalić swoj ą prorokinię wraz z jej ludźmi.Oszałamiaj ąca moc ulewy zmusiła do kapitulacji zarówno pielgrzymów, jak i napastników. W zamieszaniu spowodowanym powodzi ą usłyszano głos drugiej tr ąby. Był to, jakby na zawołanie, klakson mercedesa-benza mirzy Sajjida, pędz ącego z zawrotn ą prędkości ą przez duszne w ąwozy przedmieścia, przewracaj ącego stojaki z koszulami, wózki pełne dyń i tace z tanimi plastikowymi wyrobami, docieraj ącego aż do ulicy wikliniarzy, która graniczyła z ulic ą warsztatów rowerowych, na północ od barykady. Tutaj przyspieszył jeszcze i popędził ku skrzyżowaniu, roztr ącaj ąc we wszystkich kierunkach przechodniów i wilkinowe tabo-rety. Dopadł celu tuż po wybuchu ulewy i gwałtownie zahamował. Sri Sriniwas i Osman wychylili się z samochodu i pochwycili Miszal Achtar oraz Aiszę, wci ągaj ąc je do mercedesa przy wtórze obelg, kopania i plucia. Sajjid odjechał szybko, zanim ktokolwiek zdołał otrzeć zalewaj ąc ą oczy wodę.Wewn ątrz samochodu: ciała stłoczyły się w gwałtownej szamotaninie. Miszal Achtar, leż ąca na dole, miotała przekleństwa pod adresem swojego męża: — Sa-botażysta! Zdrajca! Szumowina znik ąd! Muł! — Na co Sajjid odpowiedział sar-kastycznie: — Męczeństwo jest zbyt łatwe, Miszal. Nie chcesz zobaczyć oceanu otwieraj ącego się jak kwiat?Pani Kurajszi wydostaj ąc głowę spomiędzy zaciśniętych kolan Osmana, z zapartym tchem dodała: — Już dobrze, przestań, Miszu, daj spokój. Chcieliśmy dobrze.

\* \* \*Gibril wyśnił powódź:

409

Kiedy spadł deszcz, górnicy z Sarang czekali z kilofami na pielgrzymów, ale kiedy zmiotło barykadę z rowerów, nie mogli się oprzeć myśli, że Bóg rzeczywiście stan ął po stronie Aiszy. System kanalizacyjny miasta poddał się natychmiast przytłaczaj ącemu atakowi wody, a górnicy wci ąż stali w mulistej mazi, sięgaj ącej im teraz do pasa. Niektórzy z nich starali się dostać do pielgrzymów, którzy także czynili próby podjęcia dalszej drogi. Ale teraz potop deszczu zwiększył się, a potem stał się po dwakroć obfitszy, spadaj ąc z nieba ścian ą, przez któr ą trudno było oddychać; jakby ziemia zaczęła ulegać pochłonięciu, a firmament niebieski ł ączył

się z firmamentem oceanu. Gibril, śni ąc, doszedł do wniosku, że jego objawienie przyćmiła woda.

\* \* \*Deszcz przestał padać i wodniste słońce opromieniło weneck ą scenę zagłady.

Drogi Sarangu zamieniły się w kanały, po których pływały rozmaite przedmioty.W miejscu, gdzie do niedawna widać było motorowe riksze, wielbł ądzie wózki i naprawione rowery, teraz na wodzie unosiły się strzępy gazet, kwiaty, bransolety, koszyki, ekskrementy, fiolki po lekarstwach, karty do gry, placki, lampy. Woda miała dziwny czerwonawy odcień, co podtrzymywało wiarę przemoczonego ludu w to, że ulica spływa krwi ą. Nie było ani śladu osiłków z kopalni i Pielgrzymów Aiszy. Jakiś pies płyn ął ulic ą po drugiej stronie rozwalonej barykady z rowerów, wszędzie wokół zalegała głucha cisza powodzi, której fale otulały porzucone autobusy, podczas gdy dzieci gapiły się z dachów zalanych zaułków, zbyt przerażone, żeby zejść i się bawić.Wtedy wróciły motyle.Znik ąd, jakby chowały się za słońcem, aby świętować koniec ulewy, przybrały kolor promieni słonecznych. Przybycie tego fantastycznego dywanu światłości z niebios kompletnie wytr ąciło z równowagi mieszkańców Sarang, którzy jeszcze nie doszli do siebie po przeżyciach zwi ązanych z burz ą; a teraz drż ąc przed apokalips ą, schowali się w domach, dokładnie rygluj ąc drzwi. Jednakże na pobliskim wzgórzu mirza Sajjid Achtar i jego grupa obserwowali cudowny powrót przepełnieni, wszyscy, nawet zamindar, czymś na kształt grozy.Pomimo zalewaj ącej oczy wody, deszczu, który przenikał przez otwór po wy-bitej szybie, mirza Sajjid nie zdejmował nogi z pedału gazu, aż przy końcu drogi wiod ącej w górę dookoła wzgórza zatrzymał się przy bramie Kopalni Nr l w Sarang. Wieże szybowe były ledwie widoczne w strugach deszczu. — Półgłówek

— przeklinała niemrawo Miszal Achtar. — Sraluchy czekaj ą tylko, żebyśmy tam wrócili, a ty przywiozłeś nas tutaj na spotkanie z ich kumplami. Wspaniałe zagra-410

nie, Sajjidzie. Pierwsza klasa.Ale nie mieli już więcej kłopotów z górnikami. Był to dzień, w którym katastrofa górnicza pogrzebała żywcem piętnaście tysięcy pracowników pod wzgó-rzem Sarangi. Sajjid, Miszal, sarpancza, Osman, pani Kurajszi, Sriniwas i Aisza stali na poboczu wycieńczeni i przemoknięci do suchej nitki, kiedy karetki, wo-zy strażackie, oddziały ratownicze i właściciele szybów przybywali licznie i dużo później odjeżdżali, potrz ąsaj ąc głowami. Sarpancza chwycił płatki uszu kciukami i palcami wskazuj ącymi. — Życie jest bólem — powiedział. — Życie jest bólem i zgub ą; monet ą bez wartości, wart ą nawet mniej niż kauri czy dam.Osman od zdechłego wołu, który tak jak sarpancza stracił podczas pielgrzymki ukochanego towarzysza, również zapłakał. Pani Kurajszi starała się spojrzeć nieco bardziej optymistycznie na zaistniałe dot ąd wydarzenia: — Najważniejsze jest to, że nic się nam nie stało. — Ale nikt jej nie odpowiedział. Potem Aisza zamknęła oczy i śpiewnym głosem wyrecytowała przepowiednię. — I s ąd nastał na tych, co złe uczynki czynić chcieli.Mirza Sajjid był wściekły. — Oni nie byli na tej cholernej barykadzie — krzyczał. — Pracowali pod t ą przeklęt ą ziemi ą.— Kopali sobie groby — odpowiedziała Aisza.

\* \* \*Było to wtedy, kiedy zobaczyli powracaj ące motyle. Sajjid z niedowierzaniem obserwował złot ą chmurę, najpierw narastaj ąc ą, a potem wysyłaj ąc ą we wszystkich kierunkach strumienie skrzydlatego światła. Aisza chciała wrócić na skrzy-żowanie. Sajjid zaprotestował: — Tam w dole wszystko jest zalane. Możemy jedynie zjechać zboczem wzgórza i wjechać do miasta od drugiej strony. — Ale Aisza i Miszal same podjęły decyzję; prorokini podtrzymywała pobladł ą towarzyszkę, obejmuj ąc j ą w pasie.

— Miszal, na miłość Bosk ą — zawołał mirza Sajjid do swojej żony. — Na miłość Boga. Co mam zrobić z samochodem?Ale ona schodziła już ze wzgórza w kierunku wody, opieraj ąc się ciężko na sri Aiszy, bez rozgl ądania się wokół.W taki to właśnie sposób mirza Sajjid Achtar musiał opuścić swojego ukochanego mercedesa-benza przy bramie wjazdowej do zatopionych kopalni w Sarang i doł ączyć do pieszej pielgrzymki do Morza Arabskiego.Siedmioro zmordowanych podróżników stało po uda w wodzie na skrzyżowa-411

niu ulicy warsztatów rowerowych i alei wikliniarzy. Powoli, powoli woda zaczęła opadać. — Spójrzmy prawdzie w oczy — kłócił się mirza Sajjid. — Pielgrzymka skończona. Mieszkańcy wioski s ą Bóg wie gdzie, zostali zamordowani, utonęli, a na pewno zaginęli. Nie został ci nikt oprócz nas. — Utkwił wzrok w twarzy Aiszy. — Zapomnij o tym siostro, umoczyłaś.— Spójrzcie — powiedziała Miszal.Z wszystkich stron, z zakamarków, z zaułków mieszkańcy Titlipur wracali do miejsca, w którym się rozpierzchli. Od stóp do głów odziani byli w złote motyle, a długie sznury tych małych stworzeń ci ągnęły się za nimi jak liny, w każdej chwili gotowe wyci ągn ąć ich z opresji. Mieszkańcy Sarang ze zgroz ą obserwowali przez okna, jak karz ące wody opadaj ą, a Pielgrzymka Aiszy na powrót uformo-wała się pośrodku drogi.— Nie wierzę w to — powiedział mirza Sajjid.Ale to była prawda. Każdy uczestnik pielgrzymki został wytropiony przez motyle i na powrót przywiedziony ku głównej drodze. Później działy się jeszcze dziwniejsze rzeczy: kiedy stworzenia siadały na złamanej kostce, ta zrastała się, a otwarte rany zamykały się jakby pod działaniem czarów. Wielu pielgrzymów mówiło, że zostali ocuceni przez motyle trzepocz ące skrzydłami przy ich ustach.Niektórzy nawet wierzyli, że byli już martwi, utopieni, i ufali, że to motyle przy-wróciły ich życiu.— Nie b ądźcie idiotami — krzyczał mirza Sajjid. — Burza was ocaliła; fala wymyła was spod łap wrogów, nic wiec dziwnego, że kilku z was jest rannych.Proszę, myślcie naukowo.— Zdejmij przepaskę z oczu, Sajjjidzie — powiedziała do niego Miszal, wskazuj ąc na ponad setkę mężczyzn, kobiet i dzieci spowitych w jarz ące się motyle.— Co mówi o tym twoja nauka?

\* \* \*Przez ostatnie dni pielgrzymki otaczało ich miasto. Oficerowie z Korporacji Miejskiej spotkali się z Miszal i Aisza, aby zaplanować trasę przejścia przez metropolię. Na trasie miały się znaleźć meczety, w których pielgrzymi, nie tarasuj ąc ulic, mogliby spać. W mieście panowało niesamowite poruszenie: każdego dnia niezliczone tłumy obserwowały pielgrzymów wyruszaj ących do następnego miejsca spoczynku, niektórzy szydzili i klęli, ale wielu przynosiło słodycze, lekarstwa i żywność.

Mirza Sajjid, złachany i brudny, znajdował się teraz w stanie frustracji, wywołanej niemożności ą przekonania więcej niż garstki pielgrzymów, że lepiej jest 412

wierzyć w rozum niż w cuda. Cuda działały na nich świetnie, wieśniacy z Titlipur rozumieli to doskonale. — Te pieprzone motyle — wyszeptał Sajjid do sarpanczy.— Gdyby nie one, mielibyśmy szansę.— Ale one były z nami od pocz ątku — odparł szarpancza i wzruszył ramionami.Miszal Achtar była niemal bliska śmierci; zaczęła już j ą wyczuwać, skóra jej przybrała kolor kredy, co przeraziło Sajjida. Ale Miszal nie pozwalała mu zbli-żać się do siebie. Odsunęła także swoj ą matkę, a kiedy ojciec oderwał się od bankowości i znalazł czas, aby j ą odwiedzić podczas pierwszej nocy spędzonej w meczecie, powiedziała mu, żeby się odpieprzył. — Rzeczy zaszły tak daleko

— stwierdziła — że tylko nieskalany może przebywać z nieskalanym. — Kiedy mirza Sajjid usłyszał, że żona naśladuje sposób mówienia prorokini Aiszy, niemal do końca utracił nadzieję.Nadszedł pi ątek i Aisza zgodziła się na postój, by pielgrzymi mogli uczestniczyć w pi ątkowych modlitwach. Mirza Sajjid, który prawie zapomniał wszystkie arabskie wersety, wbijane niegdyś rózg ą, z trudem odnalazł w pamięci elementy obrz ądku, kiedy stać z rękoma wyci ągniętymi przed siebie, kiedy upaść na kolana, a kiedy bić czołem w ziemię; przebrn ął przez cał ą ceremonię z rosn ącym obrzydzeniem do samego siebie. Pod koniec modlitw zdarzyło się jednak coś takiego, co spowodowało, iż Pielgrzymka Aiszy zatrzymała się.Kiedy pielgrzymi obserwowali zgromadzonych opuszczaj ących dziedziniec meczetu, przed główn ą bram ą wszcz ął się jakiś rwetes. Mirza Sajjid poszedł to sprawdzić. — Co to za hałasy? — zapytał i zacz ął się przeciskać przez tłum na schodach meczetu; następnie zobaczył koszyk na najniższym stopniu. — Z ko-szyka dobiegł go przybieraj ący na sile płacz noworodka.Podrzutek miał może ze dwa tygodnie; na pewno pochodził z nieprawego łoża, oczywistym było to, że jego szansę na życie s ą ograniczone. Tłum miał raczej sceptyczne nastawienie. Na to u szczytu schodów pojawił się imam z meczetu, tuż za nim stała sri Aisza, której sława rozniosła się już po mieście.Tłum rozst ąpił się jak morskie fale, a Aisza wraz z imaniem podeszli do miejsca, w którym stał koszyk. Imam obejrzał dziecko; podniósł je; i zwrócił się do tłumu.— To dziecko zostało zrodzone ze zła — powiedział. — To dziecko Diabła.— Był młodym mężczyzn ą.Tłum zawrzał gniewem. Mirza Sajjid Achtar krzykn ął: — A ty, kahina Aisza.Co ty na to powiesz?— Wszystko zostało powiedziane — odrzekła.Tłum, nie wymagaj ąc wyraźniejszego zaproszenia, ukamienował niemowlaka.413

\* \* \*

Po tym wydarzeniu Pielgrzymi Aiszy odmówili dalszego marszu. Śmierć pod-rzutka wytworzyła atomosferę apatii wśród zmęczonych ludzi, spośród których żaden nawet nie podniósł kamienia. Biała jak śnieg Miszal była zbyt słaba, aby pogonić mieszkańców Titlipur, Aisza, jak zwykle odrzuciła wszelkie dyskusje. —

Jeśli odwrócicie się do Boga plecami — ostrzegła wieśniaków — nie zdziwcie się, jeśli on uczyni wam to samo.Pielgrzymi kucnęli w rogu dużego meczetu pomalowanego na zewn ątrz na kolor seledynowy, jasnoniebieskiego w środku i oświetlonego, jeśli było to konieczne, dzięki wielokolorowym jarzeniówkom. Po ostrzeżeniu Aiszy obrócili się do niej plecami i stłoczyli się, pomimo wysokiej temperatury i wilgotności powietrza. Mirza Sajjid, widz ąc w tym sprzyjaj ąc ą sposobność, postanowił jeszcze raz wyzwać Aiszę. — Powiedz mi konkretnie — zapytał słodko — w jaki sposób anioł przekazuje ci te informacje? Nigdy nie przytaczasz nam jego słów, tylko swoj ą ich interpretację. Po co taka gmatwanina? Dlaczego by go po prostu nie cytować?— Przemawia do mnie — odpowiedziała Aisza — w prosty i łatwy do powtó-rzenia sposób.Mirza Sajjid, pełen nie spełnionego poż ądania do prorokini i bólu po utraconym kontakcie z umieraj ąc ą żon ą, pamiętaj ąc trudy wyprawy i czuj ąc przewagę nad Aisz ą, poszedł za ciosem. — Mogłabyś wyrażać się bardziej precyzyjnie?— nalegał. — Bo właściwie dlaczego mamy ci wierzyć? O jakimże to sposobie mówiłaś?— Archanioł śpiewa do mnie — wyznała — na melodie popularnych przebojów.Mirza Sajjid klasn ął uradowany w dłonie i wybuchn ął śmiechem zemsty, a Osman, chłopiec-od-wołu, doł ączył do niego, uderzaj ąc w swoje dholki i skacz ąc wokół siedz ących wieśniaków, śpiewał szlagier z ostatniego filmu i „robił”oczy słodkiej idiotki. — Ho dżi! — zaintonował. — Tak oto przemawia Gibril, ho dżi! Ho dżi!I jeden po drugim, pielgrzym za pielgrzymem, wstawali i doł ączali do pl ąsaj ącego bębniarza, wytańcowuj ąc na dziedzińcu meczetu swoje rozczarowanie i odrazę, aż przybiegł imam, rugaj ąc ich za bezbożność uczynków.414

\* \* \*

Zapadła noc. Wieśniacy zgromadzili się wokół swojego sarpanczy Muhammada Dina; trwały poważne rozmowy o powrocie do Titlipur. Być może uda się ocalić trochę plonów. Miszal Achtar umierała w ramionach swojej matki, złamana bólem, z pojedyncza łz ą wypływaj ąc ą z lewego oka. W odległym rogu dziedzińca zielono-niebieskiego meczetu z jego technikolorowymi jarzeniówkami, siedziała wizjonerka i zamindar. Rozmawiali. Księżyc — zmieniony, w nowiu, chłodny —

świecił nad nimi.— Jesteś m ądrym człowiekiem — powiedziała Aisza. — Wiedziałeś, jak wykorzystać swoj ą szansę.Wtedy mirza Sajjid zaproponował kompromis.— Moja żona umiera — powiedział — a ona bardzo chce dojść do Mekki Szafir. Mamy więc wspólny interes, ty i ja.Aisza słuchała. Sajjid dr ążył dalej: — Aiszo, ja nie jestem złym człowiekiem.Pozwól sobie powiedzieć, że byłem pod cholernym wrażeniem wielu rzeczy podczas tej wyprawy; pod cholernym wrażeniem. Ofiarowałaś tym ludziom nieza-pomniane doświadczenie duchowe, bez w ątpienia. Nie myśl, że nam, współcze-snym, brak wymiaru duchowego.— Ludzie mnie opuścili — powiedziała Aisza.— Ludzie s ą w rozterce — odrzekł Sajjid. — Chodzi o to, że jeśli zaprowa-dzisz ich do morza i nic się nie stanie, mój Boże, to mog ą naprawdę obrócić się przeciwko tobie. Proponuję ci układ. Rozmawiałem z ojcem Miszal, a on zgodził

się pokryć połowę kosztów. Mamy tak ą propozycję: chcemy, abyście ty, Miszal i powiedzmy dziesięciu — dwunastu! — wieśniaków dolecieli do Mekki w ci ągu czterdziestu ośmiu godzin. Można jeszcze zarezerwować bilety. Tobie pozosta-wiamy wybór osób najbardziej predysponowanych do podróży. W ten sposób, naprawdę, będziesz mogła uczynić jeden cud zamiast żadnego. Według mnie ta pielgrzymka i tak sama w sobie była w pewnym sensie cudem. Uczynisz więc bardzo dużo.Mirza wstrzymał oddech.— Muszę to przemyśleć — odparła Aisza.— A przemyśl, przemyśl — zachęcał j ą Sajjid ochoczo. — Zapytaj swojego archanioła. Jeśli się zgodzi, to będzie dobrze.415

\* \* \*

Mirza Sajjid Achtar wiedział, że jeśli Aisza ogłosi, że Archanioł Gibril przyj ął

ofertę, jej wiedza przepadnie na zawsze, ponieważ wieśniacy dostrzeg ą jej oszustwo i desperację. — Ale jak może się nie zgodzić? — Jaki ma inny wybór? —

Zemsta jest słodka — powiedział do siebie. Jak już zdyskredytuje pozycję kobiety, zabierze oczywiście Miszal do Mekki, jeśli nadal jest to jej życzeniem.Motyle z Titlipur nie wleciały do meczetu. Otaczały go z zewn ątrz, jego mury i cebulast ą kopułę, jarz ąc się w ciemnościach zielonkaw ą poświat ą.

\* \* \*Aisza w nocy: chodziła kocim krokiem w mroku, kładła się, wstawała znowu i włóczyła się bez celu. Trapiło j ą niezdecydowanie; a wtedy przyszła powolność i dziewczyna roztopiła się w cieniach meczetu. Wróciła o świcie.

Po porannej modlitwie poprosiła pielgrzymów o chwilę uwagi; a ci, pełni w ątpliwości, przystali na to.— Ostatniej nocy anioł nie zaśpiewał — powiedziała. — Zamiast tego opowiedział mi o zw ątpieniu i o tym, jak Diabeł robi z tego użytek. Ja rzekłam, ale oni w ątpi ą, co mam uczynić? Odpowiedział: tylko dowód jest w stanie rozproszyć w ątpliwości.Słuchali z zapartym tchem. Następnie opowiedziała o tym, co jej powiedział

w nocy mirza Sajjid. — Powiedział mi, żebym poszła i zapytała mojego anioła, ale ja wiem lepiej — krzyczała. — Jak mogłabym wybierać? Albo wszyscy, albo nikt.— Dlaczego mamy iść za tob ą — zapytał sarpancza. — Po tych wszystkich zgonach, dziecku i w ogóle?— Ponieważ, kiedy wody się rozst ąpi ą, będziecie zbawieni. Wkroczycie w Chwałę Najwyższego.— Jakie wody — wrzasn ął mirza Sajjid. — W jaki sposób się rozst ąpi ą?— Idźcie za mn ą — zakończyła Aisza — i os ądźcie mnie po ich rozst ąpieniu.Jego propozycja zawierała stare pytanie: Jakiej hołdujesz idei? A ona odpłaciła mu star ą odpowiedzi ą. Kusiło mnie, przyznaję, ale oto jestem odrodzona; bezkompromisowa; nieskalana, czysta.416

\* \* \*

Przypływ już wzbierał falami, kiedy Pielgrzymka Aiszy szła w dół alej ą za Holiday Inn, którego okna pełne były kochanek gwiazd filmowych, używaj ących swoich nowych polaroidów — kiedy pielgrzymi poczuli, że miejski asfalt zmienia się w piach, — kiedy znaleźli się pośród wysokiej sterty gnij ących orzechów kokosowych pustych pudełek po papierosach końskiego gówna nieszkodliwych dla środowiska naturalnego butelek skórek owoców meduz i papieru, nad br ązo-wawym piaskiem zwieszały się liście palm kokosowych i balkony luksusowych apartamentów z widokiem na morze, — wśród grup młodych mężczyzn, których mięśnie były tak ukształtowane, że wygl ądali jak zdeformowani, i którzy wyko-nywali rozmaitego rodzaju ćwiczenia gimnastyczne, z pasj ą, jak mordercza armia tancerzy baletowych, — poprzez grabi ących plażę, członków klubów i rodziny tych, którzy przyszli tu po to, aby zaczerpn ąć powietrza lub nawi ązać kontakty ułatwiaj ące robienie interesów lub oczyścić życie z piasku, — i gapili się, po raz pierwszy w swoim życiu, na Morze Arabskie.Mirza Sajjid zobaczył Miszal, podtrzymywali j ą dwaj wieśniacy, ponieważ nie mogła ustać już o własnych siłach. Aisza stała tuż za ni ą, i Sajjidowi wydawało się, że prorokinię w pewnym stopniu raduje fakt, że Miszal umiera, że cała jasność uleci z jej ciała, przybieraj ąc mitologiczny kształt i zostawiaj ąc za sob ą ziemsk ą powłokę na zatracenie. Był zły na siebie za to, że on również dał się zarazić su-pernaturalizmem Aiszy.Wieśniacy z Titlipur po długich dyskusjach zgodzili się dalej iść za Aisz ą, chociaż prosili j ą wcześniej o to, aby zrezygnowała z wyprawy. Zdrowy rozs ądek podpowiedział im, że byłoby głupio wycofać się teraz, kiedy zaszli tak daleko i s ą prawie u celu; ale ogarnęły ich nowe w ątpliwości. Było teraz tak, jakby wynurzyli się z jakiegoś Szangri-La dzieła Aiszy, ponieważ teraz raczej spacerowali niż pod ążali za ni ą, choć z każdym krokiem zdawali się starzeć i marnieć. Kiedy dotarli do morza, byli już tylko zbieranin ą okaleczonych, kulej ących, rozgor ączkowanych reumatyków z przekrwionymi oczyma i mirza Sajjid zastanawiał się, ilu z nich zdoła przejść kilka końcowych jardów dziel ących ich od wody.Motyle wci ąż były z nimi, wysoko nad ich głowami.— I co teraz, Aiszo? — zawołał Sajjid, przepełniony okropn ą wizj ą śmierci swojej ukochanej żony pod kopytami kucyków i spojrzeniami sprzedawców na-pojów orzeźwiaj ących. — Przywiodłaś nas wszystkich na krawędź istnienia, ale oto niezaprzeczalny fakt morze. Gdzie jest teraz twój anioł?Dziewczyna wspięła się przy pomocy wieśniaków na niepotrzebny kosz, stoj ący tuż przy budce z napojami orzeźwiaj ącymi, nie odpowiedziała Sajjidowi od razu, uczyniła to dopiero wtedy, kiedy mogła spojrzeć na niego z góry. — Gi-417

bril powiada, że morze jest jak nasze dusze. Kiedy je otworzymy, znajdziemy m ądrość. Jeśli potrafimy rozewrzeć nasze serca, potrafimy to samo uczynić z morzem.— Rozst ąpienie było klęsk ą na l ądzie — kpił Sajjid. — Wielu ludzi zmarło, jak zapewne pamiętasz. Myślisz, że w wodzie będzie inaczej?— Ciii — odezwała się nagle Aisza. — Anioł jest bardzo blisko.Było to w gruncie rzeczy zdumiewaj ące, że pomimo całej uwagi, jak ą na sobie skupiali, tłum na plaży był niewielki, ale i tak miejscowe władze podjęły daleko id ące środki ostrożności, z zamknięciem dróg i objazdami wł ącznie, tak więc na plaży stało około dwustu gapiów. Nie było się czego obawiać.To, co było dziwne, to fakt, że ci ludzie nie widzieli ani motyli, ani tego, co zrobiły później. Mirza Sajjid natomiast pilnie obserwował wielk ą świetlist ą chma-rę unosz ąc ą się nad morzem; odpoczynek; wzlot; i formuj ąc ą się w olbrzymie istnienie; pulsuj ącego olbrzyma złożonego z malutkich wibruj ących skrzydełek, rozci ągaj ącego się od horyzontu po horyzont, wypełniaj ącego nieboskłon.— Anioł! — zawołała Aisza do pielgrzymów. — Teraz widzicie! Cały czas był wśród nas. Czy teraz mi wierzycie?! — Mirza Sajjid zauważył nawrót wiary u pielgrzymów.— Tak — szlochali, błagaj ąc Aiszę o przebaczenie. — Gibril! Gibril! Ya Allah.Mirza Sajjid jeszcze raz spróbował zasiać ziarno sceptycyzmu. — Chmury przybieraj ą różne kształty — krzyczał. — Słoni, gwiazd filmowych, czegokolwiek. Spójrzcie, nawet teraz się zmienia. — Ale nikt nie zwracał na niego uwagi; obserwowali, pełni zachwytu, jak motyle zanurzyły się w morzu. Wieśniacy krzyczeli, tańcz ąc z radości. — Rozst ąpienie! Rozst ąpienie! — Naoczni świadkowie zawołali do mirzy Sajjida: — Hej, panie, co ich tak rajcuje? My niczego nie widzimy.Aisza ruszyła w kierunku wody i Miszal pod ążyła za ni ą, ci ągnięta przez dwóch ludzi. Sajjid dopadł jej i zacz ął siłować się z wieśniakami. — Zostawcie moj ą żonę! Natychmiast! Niech was szlag! Jestem waszym zamindarem. Puśćcie j ą; precz z tymi brudnymi łapami! — Ale Miszal wyszeptała: — Nie zrobi ą tego.Odejdź, Sajjidzie. Ty jesteś zamknięty. Morze otwiera się tylko dla tych, którzy otwieraj ą serca.— Miszal! — wrzasn ął, ale jej stopy obmywała już woda.Kiedy tylko Aisza weszła do wody, wieśniacy rozpoczęli wyścig.Ci, którzy sami nie mogli, biegli wsparci na ramionach sprawniejszych. Matki z Titlipur, z dziećmi na rękach wpadały do wody; wnuki niosły babcie i wska-kiwały z nimi w fale. W ci ągu kilku minut cała wieś znajdowała się w wodzie, prychaj ąc, padaj ąc, wstaj ąc, id ąc pewnie naprzód, do horyzontu, nie ogl ądaj ąc się 418

na brzeg. Mirza Sajjid także wszedł do wody. — Wracaj — błagał żonę. — Nic się nie dzieje; wracaj.Na brzegu stali pani Kurajszi, Osman, sarpancza, Sri Sriniwas. Matka Miszal teatralnie szlochała: — O Boże, dzieci ątko, moja dziecinka. Co z ni ą będzie? —

Osman odparł: — Kiedy stanie się jasne, że nie ma żadnych cudów, wróc ą.— A motyle? — zapytał przekornie Sriniwas. — Czym były? Przywidzeniem?Powoli docierało do nich, że wieśniacy nie wróc ą. — Już niedługo strac ą grunt pod nogami — powiedział sarpancza. — Ilu z nich potafi pływać? — zapytała pani Kurajszi pochlipuj ąc. — Pływać? — zawył Sriniwas. — A od kiedy to wiejski ludek potrafi pływać? — Krzyczeli na siebie, tak jakby byli oddaleni o mile, przeskakiwali z nogi na nogę, ciała przygotowywały się do wejścia w wodny żywioł, aby uczynić cokolwiek. Wygl ądali tak, jak gdyby tańczyli na rozżarzonych węglach. Wkroczenie policji, wykonuj ącej rutynowy obchód, błyskawicznie wy-wabiło Sajjida z wody.— Co się dzieje? — zapytał oficer. — Co to za zgromadzenie?— Zatrzymajcie ich — wykrztusił mirza Sajjid, wskazuj ąc na morze.— Czy to s ą heretycy? — zapytał policjant.— Maj ą zamiar umrzeć — odpowiedział Sajjid.Było już zbyt późno. Wieśniacy, którym już tylko głowy wystawały z wo-dy, zachłystywali się ostatnimi łykami powietrza, docieraj ąc do krawędzi szelfu.Prawie jednocześnie, nie okazuj ąc żadnych wyraźnych oznak prób szamotania, zniknęli pod powierzchni ą wody. Po chwili morze pochłonęło wszystkich Pielgrzymów Aiszy.Żaden z nich nie pojawił się już ponownie. Nie było widać żadnej wyci ągniętej ręki ani bij ących wodę ramion.Sajjid, Osman, Sriniwas, sarpancza i nawet tłusta pani Kurajszi pognali w stronę wody, wrzeszcz ąc wniebogłosy: — Boże, miej litość; niech ktoś pomoże.Człowiek, który tonie, walczy z żywiołem. To wbrew naturze ludzkiej iść po prostu w morze i czekać, aż ono cię pochłonie. Ale Aisza, Miszal Achtar i mieszkańcy wsi Titlipur zeszli poniżej poziomu wody; i nikt ich więcej już nie zobaczył.Policja wyci ągnęła na brzeg pani ą Kurajszi, miała sin ą twarz i płuca pełne wo-dy, potrzebowała „pocałunku życia”. Osman, Sriniwas i sarpancza zostali wci ągnięci wkrótce potem. Tylko mirza Sajjid Achtar kontynuował nurkowanie, dalej i dalej od brzegu, przebywaj ąc coraz dłużej pod powierzchni ą wody; aż w końcu i on został wyratowany z objęć Morza Arabskiego, przegrany, chory i omdlewaj ą-cy. Pielgrzymka dobiegła końca.Mirza Sajjid obudził się na oddziale szpitalnym, aby odkryć, że przy jego łóż-419

ku stoi oficer z Wydziału Dochodzeniowo- Śledczego. Władze rozpatrywały możliwość oskarżenia ocalałych uczestników wyprawy Aiszy pod zarzutem nielegal-nej emigracji i detektywi mieli polecenie zebrać zeznania, zanim podejrzani będ ą mieli okazję skontaktować się ze sob ą.Zeznanie sarpanczy z Titlipur, Muhammada Dina, brzmiało następuj ąco: —

Właśnie wtedy, kiedy opadłem z sił i pomyślałem, że utonę, zobaczyłem to na własne oczy; zobaczyłem morze rozstępuj ące się jak przedziałek we włosach; i oni wszyscy tam byli, daleko, odchodz ąc ode mnie. Ona też tam była, moja żona, Chadidża, któr ą kochałem.Oto, co zeznał detektywom, już i tak mocno wstrz ąśniętym zeznaniem sarpanczy, Osman, chłopiec-od-wołu: — Na pocz ątku bardzo się bałem, że utonę. Ale wci ąż szukałem i szukałem, głównie Aiszy, bo lubiłem j ą, zanim się tak zmieniła.I wtedy zobaczyłem, co się dzieje, cudowna rzecz. Woda się otworzyła i ujrzałem ich id ących po dnie oceanu i omijaj ących zdychaj ące ryby.Sri Sriniwas także, przysięgaj ąc się na boginię Lakszmi zarzekał się, że widział rozst ąpienie wód Morza Arabskiego; i kiedy detektywi poszli do pani Kurajszi, byli już kompletnie rozstrojeni, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że nie uda im się poskładać tych zeznań w logiczn ą całość. Matka Miszal, żona wielkiego bankiera, opowiedziała tę sam ą historię własnymi słowami: — Wierzcie lub nie — zakończyła z emfaz ą — ale mój język mówi to, co widziały oczy.Prości urzędnicy Wydziału Dochodzeniowo- Śledczego spróbowali zastosować metodę przesłuchania trzeciego stopnia: — Słuchaj, sarpancza, nie pierdol bez sensu. Tak wielu tam było i nikt tego nie widział. Ciała topielców już za kilka godzin zostan ą wyrzucone na brzeg, opuchnięte jak banie i śmierdz ące jak gówno.Jeśli będziesz nam wstawiać takie kity, wsadzimy ci nochal w dowody rzeczowe.— Możecie zrobić, cokolwiek będziecie chcieli — odpowiedział przesłuchu-j ącym sarpancz Muhammad Din. — Ale ja i tak widziałem to, co widziałem.— A pan? — Inspektorzy pospieszyli z pytaniami do przebudzonego mirzy Sajjida Achtara. — Co pan widział na plaży?— Jak możecie pytać? — zaprotestował. — Moja żona utonęła. Nie męczcie mnie swoimi pytaniami.Kiedy doszedł do siebie, dowiedział się, że jest jedynym ocalonym, który nie widział rozst ąpienia się fal — Sri Sriniwas, który przekazał mu to, co widzieli inni, dodał żałośnie: — Przed nami, seth-dżi, wody zamknęły się, zatrzasnęły się jak bramy Raju. — Mirza Sajjid załamał się i płakał przez tydzień i jeden dzień, aż jego oczom zabrakło łez. Zamieniły się w sól.Potem wrócił do domu.420

\* \* \*

Mole zjadły wachlarze Peristanu, a bibliotekę pochłonęły miliardy wygłodnia-łych owadów. Kiedy odkręcił kurki, z kranu wypełzły węże zamiast wody, owinę-ły się dookoła nóg łóżka z baldachimem, w którym niegdyś sypiali wicekrólowie.Było tak, jakby czas przyspieszył swój bieg podczas jego nieobecności, miesi ą-ce zmieniały się w stulecia, tak więc kiedy dotkn ął w sypialni zrolowany perski dywan, ten rozpadł mu się w rękach, a łazienkę wypełniały szkarłatnookie żaby.W wietrzn ą noc za oknami wyły szakale. Wielkie drzewo stało martwe lub bliskie śmierci, pola zamieniły się w pustynie; ogrody Peristanu, w których dawno temu po raz pierwszy zobaczył piękn ą młod ą dziewczynę, ohydnie zżółkły. Sępy były jedynymi ptakami szybuj ącymi po niebie.Wyci ągn ął na werandę fotel na biegunach, usiadł i delikatnie ukołysał się do snu. Raz, tylko raz odwiedził drzewo. Wioska rozpadła się w proch; bezrolni chłopi i rabusie próbowali zawładn ąć opuszczon ą ziemi ą, ale przegoniła ich susza.Deszcze tu już nie padały. Mirza Sajjid wrócił do Peristanu i zamkn ął na kłódkę przerdzewiał ą bramę. Nie interesował go los towarzyszy niedoli; podszedł do telefonu i zerwał go ze ściany.Przemijanie dni uświadomiło mu, że głodzi się na śmierć, ponieważ zaczynał

czuć fetor własnego ciała, do złudzenia przypominaj ący zapach zmywacza do paznokci; ale nie był ani głodny, ani spragniony; uznał, że nie ma sensu troszczyć się o jedzenie. Bo niby po co? O wiele lepiej jest kołysać się w fotelu na biegunach i nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć.Ostatniej nocy życia usłyszał hałas, jakby olbrzym stopami zgniatał las, i poczuł smród pierdnięcia olbrzyma, wyczuł, że płonie drzewo. Wstał z fotela i na wpół przytomny powlókł się do ogrodu, aby obserwować pożar, którego płomienie pożerały wspomnienia, historię, genealogię, oczyszczaj ąc ziemię i przynosz ąc wyzwolenie; — ponieważ wiatr gnał płomienie na teren jego posiadłości, wkrótce, już wkrótce nadejdzie jego kolej. Widział, jak drzewo eksploduje w tysi ące kawałków i pęka pień, jak serce; wtedy odwrócił się i z trudem dotarł do tego miejsca w ogrodzie, gdzie Aisza po raz pierwszy przyci ągnęła jego uwagę; —

poczuł, jak ogarnia go jakeś spowolnienie, ociężałość i położył się na spopielałej ziemi. Zanim zamkn ął oczy, coś otarło się o jego wargi i zobaczył mał ą gromadkę motyli staraj ących się wejść mu do ust. Wtedy zalało go morze i już był u boku Aiszy, która w cudowny sposób wyszła z ciała jego żony. . . — Otwórz! — krzyczała. — Otwórz szeroko! — Promienie światła biły z jej pępka, a on przecinał je kantem dłoni. — Otwórz! — wrzeszczała. — Zaszedłeś już tak daleko, dokończ dzieła. — Jak mógł słyszeć jej głos? Byli pod wod ą, zagubieni w ryku fal, ale sły-421

szał j ą wyraźnie, wszyscy mogli j ą słyszeć, ten głos jak bicie dzwonu. — Otwórz

— powiedziała. Zamkn ął.Był jak forteca z zatrzaśnięt ą bram ą. — Ton ął. — Ona także tonęła. Widział

wodę zalewaj ąc ą jej usta, słyszał bulgot w jej płucach. Nagle coś w nim sprze-ciwiło się temu, zmieniło decyzję i na moment przed tym, jak pękło mu serce, otworzył się.Jego ciało, od jabłka Adama po krocze, rozpadło się, tak że mogła sięgn ąć głęboko do jego wnętrza i teraz ona była otwarta, wszyscy byli, i w chwili ich otwarcia rozst ąpiły się wody i ruszyli do Mekki po dnie Morza Arabskiego.IX

# Cudowna lampa

W osiemnaście miesięcy po przebytym zawale serca Saladyn Czamcza znów udał się w podróż, tym razem na wieść o chorobie ojca, znajduj ącego się w termi-nalnym stadium szpiczaka mnogiego, układowego nowotworu szpiku kostnego,„stuprocentowo śmiertelnym” — jak przez telefon poinformowała go bezdusz-nie lekarka ojca. Tak naprawę nie było między nimi żadnego kontaktu, od czasu, kiedy Czangez Czamczawalla przekazał Saladynowi pieni ądze za wykarczowa-ny w zamierzchłych czasach orzech. Saladyn przesłał krótk ą notkę informuj ąc ą o tym, że przeżył katastrofę Bustana, a w zamian otrzymał jeszcze bardziej lapi-darn ą wiadomość: „Wiad. przyjęta. To rozs ądne.” Kiedy przyszedł telegram z fa-talnymi doniesieniami — podpisany przez nieznan ą drug ą żonę, Nasrin II, a jego ton był więcej niż lakoniczny — Z OJCEM ŹLE — STOP — JE ŚLI CHCE SI Ę

ZOBACZY Ć SZYBKO — STOP — N. CZAMCZAWALLA — ku swojemu zdumieniu stwierdził, że pomimo całego życia pełnego sporów, „bezpowrotnych po-żegnań”, skomplikowanych stosunków, jest znowu zdolny do spontanicznej reakcji. Po prostu kategoryczny imperatyw nakazał mu pojechać do Bombaju, zanim Czangez opuści go na dobre.Spor ą część dnia spędził w dziale konsularnym Domu Indyjskiego, oczekuj ąc na wizę i staraj ąc się wytłumaczyć umęczonemu pracownikowi, jak niezbędny w tej sprawie jest pośpiech. Jakimś idiotycznym sposobem zapomniał o telegramie, aż w końcu powiedziano mu, że potrzebny jest dowód. — Widzi pan, każdy mógłby przyjść i powiedzieć, że jego ojciec jest umieraj ący, prawda? Żeby wjechać. — Czamcza z trudem powstrzymywał gniew, ale w końcu wybuchn ął: —

Czy wygl ądam na ekstremistę z Kalistanu? — Urzędnik wzruszył ramionami. —

Powiem panu, kim jestem — Czamcza podniósł głos zirytowany tak ą reakcj ą. —

Jestem biednym frajerem postrzelonym przez terrorystów, spadłem z nieba z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, wszystko przez terrorystów, a teraz przez tych samych terrorystów obrażaj ą mnie takie gryzipiórki jak pan. — Podanie o wizę, skrupulatnie umieszczone przez adwersarza na samym spodzie olbrzymiego stosu podobnych dokumentów, zostało rozpatrzone dopiero po trzech dniach. Najbliższy samolot odlatywał dopiero w trzydzieści sześć godzin później; był to samolot Air India, Boening 747, a nosił nazwę Gulistan.Gulistan i Bustan, bliźniacze ogrody Raju — jeden znikn ął, zmieciony z powierzchni ziemi, ale drugi pozostał. . . Czamcza zjeżdżaj ąc rynn ą, przez któr ą wle-wali się do samolotu podróżni z Terminalu Trzeciego, zobaczył nazwę wymalowan ą tuż przy otwartych drzwiach 747 i zbladł jak ściana. Następnie usłyszał głos odzianej w sari stewardesy pozdrawiaj ącej go z nienagannym kanadyjskim akcentem i stracił zimn ą krew — zatrzymał się tuż przed wejściem w nagłym przypływie grozy. Stał tak, wywołuj ąc irytację tłumu pasażerów wchodz ących na pokład, świadomy tego, jak musi wygl ądać z br ązow ą walizk ą w jednej ręce, dwiema torbami zapinanymi na zamek błyskawiczny w drugiej i oczyma wytrzeszczonymi do granic możliwości, ale i tak przez dłuższ ą chwilę nie mógł się nawet poruszyć.424

Tłum zacz ął si ą denerwować. Jeśli to jest arteria — zacz ął rozważania — to ja jestem skrzeplin ˛

a. — Ja także kiedyś miałem pie-pie-pietra — odezwał się pogodny głos — ale teraz mam sposób. Ma-ma-macham rękoma podczas st-staartu i samolot z-z-zawsze się wznosi w niebo.

\* \* \*— W dzisiejszych czasach najlepsz ą bo-bo-bogini ą z cał ą pewności ą jest Lakszmi — zwierzył się Sisodia sponad szklanki whisky, kiedy tylko usiedli wygodnie. (Wierzył w to, co mówił, bij ąc wściekle ramionami, kiedy samolot pomkn ął pasem startowym, i po chwili usadowił się ukontentowany, uśmiechaj ąc się skromnie. — Dzi-dzi-działa za k-k-każdym razem. — Obaj podróżowali na wyższym pokładzie 747, zarezerwowanym dla niepal ących biznesmenów, a Sisodia wypełnił wolne miejsce przy Czamczy, jak powietrze wypełnia próżnię. —

Mów mi Whisky — nalegał. — W czy-czy-czym robisz? Ile za-za-zarabiasz? Kiedy wyjechała twoja ż-ż-żona? Znasz jakieś kobit-ki w mieście czy chcesz, żebym ci po-po-p-pomógl?) Czamcza zamkn ął oczy i skupił swoje myśli na ojcu. Naj-smutniejsz ą rzecz ą, jak ą sobie uświadomił, był fakt, że nie przypomniał sobie ani jednego szczęśliwego dnia spędzonego z Czangezem w ci ągu całego swojego dorosłego życia. Najbardziej podnosz ące na duchu było odkrycie, że nawet ta najpaskudniejsza zbrodnia, bycie czyimś ojcem, w końcu może zostać, pomimo wszystko, wybaczona. Trzymaj się. — Błagał cicho. — Przyjadę tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. — W tym materialistycznym świecie — wyjaśnił Sisodia

— kto inny jak nie bogini do-dodobrobytu? W Bombaju pewien młody biznesmen wydawał całonocne p-p-przyjęcia. Miał u siebie figurę Lakszmi z wyci ągniętymi rękoma i żarówkami zapalaj ącymi się w j-j-jej pa-pa-pa-palcach, kapujesz, jak gdyby dobrobyt ska-ska-skapywał z jej dłoni. — Na ekranie kinowym stewardesa demonstrowała różne sposoby postępowania w sytuacji zagrożenia. W rogu ekranu jakiś mężczyzna tłumaczył jej słowa na język migowy. To jest postęp, uznał

Czamcza. Film zamiast istot ludzkich, nieznaczne udogodnienie (język migowy) w zamian za znaczny wzrost ceny biletu. Najdoskonalsza technika do usług; podczas gdy w rzeczywistości podróże powietrzne z dnia na dzień s ą bardziej niebezpieczne, park maszynowy świata staje się wykopaliskiem archeologicznym i nikt nie może pozwolić sobie na jego odnowienie. Każdego dnia różne kawałki odpadaj ą od samolotów, lub tak to przynajmniej wygl ąda, liczba katastrof i cudownych ich uniknięć także wzrasta. Dlatego film był pewnego rodzaju kłamstwem, ponieważ samym swoim istnieniem mówił: Zauważcie, co robimy dla waszego bezpieczeństwa. Nakręciliśmy nawet dla was film. Forma zamiast treści, obrazek 425

zamiast rzeczywistości. — Planuję zrobić z ni ą wysokonakładowy obraz — powiedział Sisodia — to jest najskrytsza ta-ta-tajemnica. Może po-po-po-pojazd Sridevi, m-m-mam nadzieję. Powrót Gibrila u-u-udowadnia, że ona jest absolutnym numerem jeden.Czamcza słyszał, że Gibril Fariszta miał mocny powrót. Jego pierwszy film

„Przejście przez Morze Arabskie” był kompletn ą klap ą; efekty specjalne wygl ądały, jakby były robione w szopie, dziewczyna graj ąca główn ą rolę, rolę Aiszy, niejaka Pimple Billimoria była tragicznie nieodpowiednia, a sama kreacja Gibrila w roli archanioła zyskała wśród krytyków opinię narcystycznej i megalomańskiej.Dni, w których nie mógł wypuścić knota, dawno minęły; jego drugi obraz „Mahound” uderzył we wszystkie możliwe świętości i przepadł bez śladu. — Widzisz, on wy-wy-wybrał sobie innych producentów — biadolił Sisodia. — Za-za-zachłan-ność gwiazdy. U mnie efekty zawsze działaj ą i s ą w d-d-dobrym tonie. To masz jak w ba-ba-b-banku. Saladyn Czamcza zamkn ął oczy i ułożył się wygodnie w fotelu. Zbyt szybko wypił whisky na konto lęku przed lataniem, i teraz głowa zaczęła mu się kiwać. Sisodia nie przywoływał z przeszłości swoich koneksji z Fariszt ą, ładnie z jego strony. Do niej właśnie należały te koneksje, do przeszłości. — S-s-

-s-sridewi jako Lakszmi — rozmarzył się Sisodia, nie dbaj ąc o dyskrecję — teraz to cz-cz-czyste złoto. Jesteś a-a-aktorem. Powinieneś znów pracować w domu.Zadzwoń do mnie. Może ubijemy i-i-interes. Taki film to czysta p-p-platyna.Czamczy zakręciło się w głowie. Jakże dziwne znaczenia przybierały słowa.Jeszcze kilka dni temu to w domu zabrzmiałoby fałszywie, ale teraz jego ojciec umierał i stare sentymenty wyci ągnęły macki po Czamczę. Być może zmieni mu się wymowa, wraz z cał ą reszt ą przeniesie się na wschód. Niemalże nie miał odwagi otworzyć ust

Prawie dwadzieścia lat temu Saladyn, młody i ze świeżo zmienionym nazwiskiem, próbował zaczepić się w londyńskich teatrach w nadziei na utrzymanie się w bezpiecznej odległości od ojca; i kiedy Czangez dał za wygran ą, stał się pobożnym samotnikiem; później, pewnego dnia, ni z tego ni z owego ojciec napisał do niego list, oferuj ąc mu dom. Była to zrujnowana posiadłość na wzgórzu przy stacji Solan. — Moja pierwsza własność — napisał Czangez — jest także pierwsz ą, któr ą ci daję. Saladyn natychmiast zacz ął dopatrywać się w tym pułapki, próby ponownego wchłonięcia go przez dom, sieć ojcowskiej władzy; a kiedy dowiedział

się, że posiadłość Solan została dawno temu zajęta przez rz ąd Indii w zamian za opłatę za pieprz i od wielu lat znajduje się tam szkoła dla chłopców, podarunek okazał się kolejnym urojeniem. Cóż z tego, skoro podczas okazjonalnych wizyt szkoła traktowała go jak wizytuj ąc ą Głowę Państwa, urz ądzaj ąc parady i pokazy gimnastyczne? Takie rzeczy przemawiały do niezmierzonej pychy Czangeza, ale Czamczy to było zupełnie niepotrzebne. Chodziło o to, że utrzymanie szkoły było kosztowne; prezent z rodzaju bezużytecznych, najprawdopodobniej przyprawiał-by o administracyjny ból głowy. Czamcza napisał do ojca, odrzucaj ąc ofertę. To 426

była ostatnia podjęta przez Czangeza Czamczawallę próba podarowania synowi czegokolwiek. Dom odci ął się od syna marnotrawnego.— Nigdy nie zapominam t-t-twarzy — mówił dalej Sisodia. — Jesteś p-p-

-przyjacielem Mimi. Ocalały z Bustana. Wiedziałem o tym od chwili, w której zobaczyłem twój straach przy w-w-w-wejściu. Mam nadzieję, że nie cz-cz-czujesz się źle. — Saladyn z topniej ącym sercem potrz ąsn ął głow ą, nie, wszystko w porz ądku, naprawdę. Błyszcz ący jak kolano Sisodia spojrzał z ukosa na przechodz ąc ą stewardesę i zgarn ął kolejne szklaneczki whisky. — Co za wstyd z Gibrilem i jego pani ą — kontynuował — jak ładnie się nazywała Al-al-alleluja, Ale temperament ma ten chłopak, temperament za-zaz-zazdrosnego tatuśka. Ciężki dla współczesnej dziewczyny. Tacy to zrywaj ą. Saladyn znów zasugerował chęć zaśnięcia. Dopiero co wyleczyłem się z przeszłości. Odejdź, odejdź ode mnie.Koniec jego rekonwalescencji ogłoszono formalnie pięć tygodni wcześniej na przyjęciu weselnym Miszal Sufjan i Hanifa Johnsona. Po śmierci rodziców Miszal prześladowało straszliwe, irracjonalne poczucie winy, wywołane przez poja-wianie się w jej snach matki, czyni ącej jej nieustanne wyrzuty. — Gdybyś tylko podała tę gaśnicę, tak jak cię prosiłam, gdybyś tylko dmuchnęła trochę mocniej.Ale ty nigdy nie słuchasz, co do ciebie mówię i twoje płuca s ą tak zniszczone przez papierosy, że nie potrafisz nawet zdmuchn ąć jednej świecy, od której może zapalić się dom. — Pod srogim okiem matczynego ducha Miszal wyprowadziła się z mieszkania Hanifa i wynajęła pokój na spółkę z trzema innymi kobietami, starała się i dostała pracę po Jumpy Joshim w centrum sportowym, walczyła z to-warzystwami ubezpieczeniowymi, aż w końcu wypłacili jej pieni ądze. I zaraz po tym, gdy Shaandaar Café było gotowe do ponownego otwarcia pod jej kierownic-twem, duch Hind Sufjan zdecydował, że już czas na wędrówkę w zaświaty; wtedy to Miszal zadzwoniła do Hanifa i oświadczyła mu się. Był zbyt zaskoczony, aby powiedzieć cokolwiek i podał słuchawkę koledze, który wyjaśnił, że pan Johnson zapomniał języka w gębie, ale on w imieniu oniemiałego prawnika przyjmuje oświadczyny. Tak więc wszyscy otrz ąsali się z tragedii; nawet Anahicie, która musiała mieszkać z nieprawdopodobnie konserwatywn ą ciotk ą, udało się na ślubie sprawiać wrażenie zadowolonej, być może pod wpływem złożonej przez Miszal obietnicy udostępnienia kilku pokoi w świeżo wyremontowanym hotelu Shaandaar. Miszal poprosiła Saladyna, w uznaniu dla podejmowanych przez niego prób uratowania życia jej rodziców, aby był głównym świadkiem, a po drodze do urzędu stanu cywilnego w furgonetce Pinkwalli (wszystkie oskarżenia przeciwko DJ

i jego szefowi Johnowi Maslamie zostały wycofane z powodu braku dowodów) Czamcza powiedział do panny młodej: — Czuję się, jakby dzisiaj dla mnie też zaczynało się nowe życie, chyba zreszt ą dla nas wszystkich. — W jego przypadku wi ązało się to z przebytymi operacjami, niemożności ą pogodzenia się ze śmierci ą współpasażerów i koszmarn ą wizj ą powtórnej metamorfozy w parzysto-kopytnego, cuchn ącego siark ą demona. Przez pewien czas był także okaleczony 427

profesjonalnie tak wielkim wstydem, że gdy klienci w końcu znów zaczęli zama-wiać u niego na przykład głos zamrożonego placka czy też paczki pacynkowych kiełbasek, miał ci ągle w pamięci swoje telefoniczne zbrodnie, a jego gardło dusiło w zarodku wszelk ą zdolność wcielania się. Jednakże na ślubie Miszal poczuł się całkowicie wyzwolony. Wyj ąwszy kilka drobiazgów, była to wspaniała uroczy-stość. Młoda para nie mogła się powstrzymać od całowania podczas ceremonii i urzędniczka (młoda kobieta, przestrzegaj ąca także gości, aby nie pili za dużo, jeśli maj ą zamiar prowadzić) musiała ich poganiać, by mógł się odbyć następny ślub. Potem w Shaandaar kontynuowano pocałunki, stawały się coraz dłuższe i bardziej wyszukane, aż goście poczuli się intruzami i wymykali się po cichu, aby młodzi mogli cieszyć się swoj ą na tyle oślepiaj ąc ą namiętności ą, że nie zauważali nawet wyjścia przyjaciół; nie zwrócili też uwagi na grupkę dzieci, obserwuj ących ich przez okno Shaandaar Café. Czamcza, który wyszedł ostatni, wyświadczył im przysługę, ku irytacji dzieci, odci ągaj ąc od siebie nowo poślubionych. Następnie pomaszerował w dół odbudowanej High Street tak lekki, że aż poczuł się zażenowany.Nic nie jest wieczne — stwierdził w duchu, kr ąż ąc myślami nad Azj ą Mniejsz ą — może nieszczęście jest osi ą, wzdłuż której biegnie życie ludzkie, a radość

— jak wierzchołki wykresu funkcji trygonometrycznej, krzyżuj ącej się z t ą li-ni ą — jak kamienie w strumieniu. A jeśli nie nieszczęście, to przynajmniej me-lancholia. . . Jego rozważania przerwał odgłos lubieżnego chrapania, dobiegaj ący z s ąsiedniego fotela. Pan Sisodia zasn ął ze szklank ą whisky w ręku.Producent był najwyraźniej w dobrej komitywie ze stewardesami. Krz ątały się wokół śpi ącego — wyjęły mu szklankę z dłoni i umieściły j ą w bezpiecznym miejscu, okryły go kocem i świergotały słodko nad chrapi ącym. — Czyż nie wygl ąda ślicznie? Daję słowo, taki mały pieseczek! Niespodziewanie Czamczy przypomniały się damy z bombajskiego towarzystwa, gładz ące go po głowie na soirée jego matki i ledwo opanował łzy wzruszenia. Sisodia wygl ądał dość obsce-nicznie; przed zaśnięciem zdj ął okulary i ich brak nadał mu dziwnie nagi wygl ąd.Oczom Czamczy przypominał nic innego jak tylko postać Sziwy Lingam. Może wi ązało się to z jego popularności ą u pań.Przerzucaj ąc strony magazynów i gazet, rozdawanych przez stewardesy, Saladyn dowiedział się, że jego stary znajomy jest w tarapatach. Wyci ągnięty z lamusa program Hala Valance’a pod tytułem „Obcy w kosmosie” zrobił klapę w Stanach Zjednoczonych i został zdjęty z ekranu. A co gorsza, jego agencja reklamowa wraz z funduszami została wchłonięta przez amerykańskiego lewiatana i stało się bardzo prawdopodobne, że Hal jest na wylocie, pokonany przez transatlantyckie-go smoka dotarł do dna. Naprawdę trudno było współczuć Valance’owi, bezro-botnemu i pozbawionemu ostatnich kilku milionów, opuszczonemu przez swoj ą kochan ą pani ą Torturę i jej kolesiów, odesłanym na półkę zarezerwowan ą dla byłych ulubieńców, wraz z wrobionymi impresariami, finansistami i eksministrami; 428

ale Czamcza leciał do ojca leż ącego na łożu śmierci i był w takim stanie psychicz-nym, że los, nawet niegodziwego Hala, wywołał krótkotrwały ucisk w gardle. Przy czyim to stole — zastanawiał się — gra teraz Dziecinka?W Indii wojna trwaj ąca pomiędzy mężczyznami a kobietami nie zdradzała najmniejszych oznak wygasania. W „Indian Express” przeczytał kilka notatek o ostatnich „samobójstwach panien młodych”. M ˛

aż, Pradżapati, zbiegł. Na na-

stępnej stronie, w cotygodniowych drobnych ogłoszeniach matrymonialnych, rodzice chłopaków prezentuj ą co raz to bardziej wyszukane wymagania, a rodzice dziewcz ąt coraz dumniej oferuj ą narzeczone z „mlecznobiał ą” cer ą. Czamcza pamiętał przyjaciela Zini, poetę Bhupena Gandhiego, mówi ącego o tych sprawach tonem pełnym pasji i goryczy. — Jak tu oskarżać kogoś o uprzedzenia, kiedy samemu ma się tak brudne ręce? — głosił. — Wielu z was tam w Wielkiej Brytanii mówi o brutalizacji życia. Cóż, nie byłem tam, nie znam waszej sytuacji, ale z własnego doświadczenia wiem, że utożsamiany z ofiar ą nie czułbym się dobrze.Rozpatruj ąc aspekty klasowe, oczywiście ni ą nie jestem. Mówi ąc oględnie, znajdziesz tutaj wszystkie odmiany fanatyzmu, rozmaite działania stosowane przez klasę prześladowców. Tak więc, podczas gdy tak wielu Hindusów jest niew ątpliwie prześladowanych, to nie s ądzę, aby ktokolwiek z nas mógł predystynować do tego świetlanego statusu.— Problem z radykalnymi przeciwnikami Bhupena — zauważyła Zini — polega na tym, że reakcjoniści pokroju Salad baba po prostu kochaj ą się z nimi zgadzać.Narastał skandal zbrojeniowy; czy rz ąd indyjski dawał łapówki pośrednikom, a potem „szedł w zaparte”? Były w to zainwestowane olbrzymie środki, wia-rygodność premiera znacznie zmalała, ale Czamczy nie interesowało ani jedno, ani drugie. Gapił się na zamazan ą fotografie w gazecie, na której rzek ą płynęły znaczne ilości jakichś nieokreślonych, rozdętych kształtów. W jednym z miast północnych Indii dokonano rzezi muzułmanów, ich zwłoki wrzucono do wody, gdyż oczekiwały na ostatni ą posługę dwudziestowiecznego Gaffera Hexamy. Setki opuchniętych, gnij ących ciał; z gazety zdawał unosić się smród. W Kaszmirze natomiast popularny swego czasu minister zawarł „porozumienie” z Kongresem

— musiał potem chronić się przed butami rzucanymi w niego przez rozwścieczo-nych fundamentalistów islamskich podczas świ ątecznych modlitw. Komunalizm, napięcia pomiędzy sektami były wszechobecne: jak gdyby bogowie wybierali się na wojnę. W wewnętrznej walce pomiędzy pięknem i okrucieństwem, okrucieństwo zyskiwało przewagę. Głos Sisodii przerwał jego ponure zamyślenie. Producent obudził się, by zobaczyć fotografię z Mirut lec ąc ą na składanym stoliku Czamczy. — Faktem jest — powiedział bez swojej zwykłej jowialności — że w-

-w-wiara religijna, która zawiera w sobie najwyższe as-as-aspiracje rasy ludzkiej, jest teraz, w naszym kraa-kraju, sług ą najniższych instynktów, a Bó-Bó-Bóg stał

się ucieleśnieniem Zła.429

WIELU DAWNYCH, WPŁYWOWYCH POLITYKÓW JEST ODPOWIE-DZIALNYCH ZA ZABÓJSTWA, twierdził rzecznik rz ądu, ale „postępowe elementy” odrzuciły to stwierdzenie. MIEJSKI KOMISARIAT ZANIECZYSZCZO-NY PRZEZ SAMORZ ĄDOWYCH AGITATORÓW — sugerował kontragument.HINDUSCY NACJONALI ŚCI WPADAJ Ą W AMOK. Polityczna popołudniów-ka zawierała fotografię tablic wywieszonych przed Dżama Masdżid w Starym Delhi. Imam, o obwisłym brzuchu i cynicznych oczach, którego można rankami spotkać w jego „ogrodzie” — rozkopanym czerwonym ugorze w cieniu meczetu, licz ącego rupie ofiarowane przez wiernych i osobiście rozwijaj ącego każdy banknot, tak że wydawało się, że frzyma garść cienkich, podobnych do bidi papierosów; i nie był obcy politykom samorz ądów lokalnych, był najwyraźniej przekonany, że rzeź w Mirut obróci się na dobre. Ugaście ognie pod naszymi piersiami —

krzyczały tablice — cześć i chwała tym, którzy znaleźli Męczeństwo od K ul Polis.A także: Biada! Biada! Biada! Zbudź się, premierze! I w końcu nawoływanie do akcji: Bandh wkrótce, i data strajku.— Złe czasy — kontynuował Sisodia — dla k-k-kina, także telewizja i gospo-darka wywierały nań swój Delhi-Delhi-delirycznie destrukcyjny wpływ — rozchmurzył się, kiedy nadeszła stewardesa, — Wyznam, że jestem cz-cz-członkiem o wiele wyżej notowanego k-k-klubu — wtr ącił między wierszami. — A ty? Czy mam się dowiedzieć, co można za-za-załatwić?Jakim to rozdwojeniom jaźni może ulegać ludzki umysł — dziwował się ponuro Saladyn. Jakże te wszystkie zagmatwane jaźnie miotaj ą się i tłuk ą wewn ątrz swoich worków ze skóry. Nic dziwnego, że nie jesteśmy się w stanie skupić na jednej rzeczy przez dłuższy czas; nic dziwnego, że wynajdujemy piloty do przeskakiwania z kanału na kanał. Gdybyśmy skierowali te urz ądzenia w swoj ą stronę, odkrylibyśmy więcej kanałów, niż ma telewizja kablowa czy satelitarna. . .Sam zauważył, że jego myśli bł ądz ą w kierunku panny Zini Wakil pomimo usil-nych prób skupienia ich wokół ojca. Zatelegrafował wcześniej, powiadamiaj ąc j ą o swoim przybyciu; czy zd ąży? Co mogłoby lub nie mogłoby się między nimi zdarzyć? Czy opuszczaj ąc j ą, nie wracaj ąc, na pewien czas trac ąc kontakt, zrobił

Rzecz Niewybaczaln ą? Czy była — pomyślał i wstrz ąśnięty faktem, że myśl ta nie przyszła mu do głowy wcześniej — zamężna? Zakochana? A co do niego, to czego on naprawdę chciał? Będę wiedział, kiedy się z ni ˛

a zobaczę — pomyślał.Przyszłość, nawet jeśli była tylko okrytym całunem w ątpliwości promykiem nadziei, nie może zostać zaćmiona przez przeszłość; nawet jeśli śmierć stanie na środku sceny, życie będzie z ni ą walczyć o równe prawa.Lot przeszedł bez zakłóceń.Zinat Wakil nie czekała na lotnisku.— Chodźmy — pomachał do niego Sisodia. — Mój samochód przyjechał, żeby mnie za-za-zabrać, więc proszę dać się po-po-pod-rzucić.430

\* \* \*

Trzydzieści pięć minut później Saladyn Czamcza stan ął z walizk ą i torbami w ręku przed bram ą wiod ąc ą do swojego dzieciństwa, patrz ąc na kontrolowany kamer ą system alarmowy. Ścianę okalaj ąc ą budynek zdobiły hasła antynarkoty-kowe: PADAJ Ą MARZENIA / GDY PROCH ŻYCIE ZMIENIA, PRZYSZŁO Ś Ć

JEST CZARNA / GDY PROCH ŻYCIE ZMIENIA. Odwagi, mój stary, wzi ął się w garść; zadzwonił jak zalecono, raz, mocno, by przyci ągn ąć uwagę.

\* \* \*Wewn ątrz bujnego ogrodu uwagę jego niespokojnego oka przykuł pniak ze zwalonego orzecha. Prawdopodobnie teraz używali go jako stołu w czasie pikni-ków — rozmyślał gorzko. Jego ojciec zawsze miał dar wykonywania melodra-matycznych, wzbudzaj ących litość gestów i jedzenie posiłków na tak uczuciowo naładowanej powierzchni — niew ątpliwie z pełnymi wzruszenia westchnieniami pomiędzy dużymi kęsami — miało właściw ą wymowę. Saladyn zastanawiał się, czy ze swojej śmierci także będzie robił taki cyrk. Jak ą fetę współczucia mógł

sobie teraz urz ądzić ten stary sukinsyn! Każdy szanuj ący ostatnie chwile umieraj ącego był całkowicie zdany na jego łaskę. Kuksańce posyłane z łoża śmierci zostawiaj ą siniaki, które nigdy nie znikn ą.Zza marmurowej posiadłości, własności umieraj ącego, wyłoniła się macocha, aby powitać Czamczę bez cienia złośliwości: — Dobrze, że przyjechałeś, Sala-huddinie. To podniesie go na duchu, w tej walce może polegać jedynie na duchu, gdyż jego ciało jest prawie kaput. — Miałaby może sześć czy siedem lat mniej od matki Saladyna, gdyby tamta żyła, ale tak jak i ona przypominała nieco ptaka.Przynajmniej w tym względzie jego potężny, zaborczy ojciec był konsekwentny.— Ile czasu mu zostało? — zapytał Saladyn. Nasrin nie miała złudzeń, tak jak to sugerował jej telegram: — dzień, może dwa. Rak rozprzestrzenił się na „kości długie” Czangeza — choroba wniosła z sob ą do domu nowy słownik, nie używało się tutaj słów typu ręka czy noga — rozprzestrzeniał się też na czaszkę. Komórki rakowe zostały nawet wykryte we krwi pobranej z okolic kości chorego. —

Powinniśmy byli to zauważyć — powiedziała Nasrin i Saladyn zacz ął odczuwać wielk ą siłę starszej pani, siłę woli, która pozwalała jej panować nad uczuciami. —

Bardzo stracił na wadze. Narzekał także na rwanie i bóle, na przykład w stawach kolanowych. Wiesz, jak to jest. U starego człowieka zrzucasz wszystko na karb jego wieku, nie dopuszczaj ąc myśli o podstępnej, złośliwej chorobie — przerwa-431

ła, aby przywrócić głosowi jego naturalne brzmienie. Kasturba, ex-aja doł ączyła do nich w ogrodzie. Okazało się, że jej m ąż Wallabh zmarł prawie rok temu, we śnie, ze starości; śmierć o wiele łagodniejsza niż ta wyżeraj ąca sobie drogę na ze-wn ątrz z ciała jego pracodawcy, uwodziciela jego żony. Kasturba wci ąż ubierała się w stare, wzorzyste, krzykliwie barwne sari odziedziczone po Nasrin I. Dzisiaj założyła jedno z najkrzykliwszych, w czarno-białe wzory op-artu. Ona także gor ąco powitała Saladyna: uściskami, pocałunkami i płaczem. — Co do mnie —

zaszlochała — nie przestawałabym się modlić o cud, jego biedne płuca jeszcze oddychaj ą.Nasrin II objęła Kasturbę; złożyły sobie głowy na ramionach. Bliskość pomiędzy tymi dwiema kobietami była spontaniczna i niewymuszona; jak gdyby zbliżanie się śmierci rozmyło kontrowersje i codzienne zawiści. Dwie starsze panie pocieszały się nawzajem w ogrodzie przygotowuj ąc się do nieuchronnego końca najcenniejszej w swoim życiu miłości. Lub raczej: ukochanego. — Chodź —

powiedziała w końcu Nasrin do Saladyna. — Powinien cię zobaczyć, migiem.— Czy on wie? — zapytał Saladyn. Nasrin odpowiedziała wykrętnie: — Jest inteligentnym człowiekiem. Wci ąż pyta, gdzie mu ucieka ta cała krew? Powiada, że s ą tylko dwie choroby na świecie, przy których krew tak znika. Jedna to gruźlica. — Ale Saladyn przyparł j ą do muru: — On rzeczywiście nie wymawia tego słowa? — Nasrin opuściła głowę: — Nie wolno wymawiać tego słowa, ani w jego obecności, ani też w ogóle. — Czy nie powinien wiedzieć? — zapytał

Czamcza. — Czy człowiek nie ma prawa przygotować się na śmierć? — Przez chwilę wpatrywał się w gorej ące oczy Nasrin. Kim ty jesteś, aby mówić nam, co mamy robić? Ty utraciłeś wszelkie prawa do tego. Po chwili wszystko wróciło do normy i przemówiła swoim cichym beznamiętnym głosem: — Może masz rację. — Ale Kasturba zaprotestowała: — Nie! Jak powiedzieć to temu biednemu człowiekowi? To złamie mu serce.Choroba w taki sposób zagęściła krew Czangeza, że serce miało duże kłopoty z jej przetaczaniem. Skaziła także krew przeciwciałami, płytkami mog ącymi zatruć każd ą krew z transfuzji, nawet jeśli jest tej samej grupy. A więc nawet w ten sposób nie jestem w stanie mu pomóc — zrozumiał Saladyn. — Czangeza mog ą w każdej chwili uśmiercić skutki uboczne działania leków, zanim nawet wykończy go rak. A jeśli to nawet będzie rak, to wyręczy się zapaleniem płuc albo niewydolności ą nerek; lekarze wiedz ą, że s ą bezradni, odesłali go domu, aby czekał na koniec. — Ponieważ szpiczak jest chorob ą układow ą, nie można zastosować ani naświetlania, ani chemioterapii — wyjaśniła Nasrin. — Jedynym lekarstwem jest Melfalan, mog ący w niektórych przypadkach przedłużyć życie nawet o kilka lat.Jednakże dowiedzieliśmy się, że organizm ojca należy do typu nie reaguj ącego na Melfalan. — Nikt mu tego nie powiedział — natarczywie odzywał się wewnętrzny głos Saladyna. I to jest nie w porz ˛

adku, nie w porz ˛

adku, nie w porz ˛

adku. — A

jednak i tak to cud — wykrzyknęła Kasturba. — Lekarze powiedzieli, że to jeden 432

z najbardziej bolesnych nowotworów, ale twój ojciec nie odczuwa bólu. Jeśli ktoś się modli, to od czasu do czasu można liczyć na łaskę. To właśnie z powodu nie-wyst ąpienia bólu tak trudno było postawić diagnozę; choroba rozprzestrzeniła się w ostatnich latach po całym ciele Czangeza. — Muszę go zobaczyć — poprosił

miękko Saladyn. Jego walizka i torby zostały zabrane przez służ ącego podczas rozmowy; teraz w końcu, pod ążył za nimi.Wnętrze domu pozostało niezmienione — szacunek drugiej Nasrin względem pamięci tej pierwszej zdawał się nie mieć granic, przynajmniej podczas ostatnich dni życia ich wspólnego małżonka — z wyj ątkiem kolekcji wypchanych ptaków należ ącej do Nasrin II (były w niej dudki, rzadkie okazy papug, przykryte szkla-nymi kloszami, i dorosły okaz pingwina królewskiego z maleńkimi czerwonymi mrówkami uwijaj ącymi się na jego dziobie, stoj ący w wyłożonej marmurow ą po-sadzk ą holu), oraz gablotki z przyszpilonymi motylami. Saladyn przeszedł przez gabinet ojca wyłożony galeri ą barwnych, martwych skrzydeł. — Czangez nalegał, aby przeniesiono jego sypialnię na dół, do pełnej starych ksi ążek samotni, tak aby ludzie przychodz ący do niego i opiekuj ący się nim nie musieli wbiegać i zbiegać po schodach — i w końcu stan ął przed drzwiami śmierci.W dzieciństwie Czangez Czamczawalla nabrał nawyku spania z otwartymi oczyma, „stał na straży”, jak lubił mawiać. Teraz, kiedy Saladyn wszedł cicho do pokoju, odebrał z przerażeniem widok otwartych szarych oczu patrz ących ślepo w sufit. Na chwilę Saladynowi przyszło do głowy, że ojciec zmarł podczas tamtej pogawędki w ogrodzie. Człowiek na łóżku zakaszlał, odwrócił głowę i wyci ągn ął

niepewne ramię. Saladyn Czamcza pochylił głowę. Dłoń starca pieściła jego włosy.

\* \* \*Zakochać się we własnym ojcu po długich latach gniewu było pięknym i przejmuj ącym uczuciem; Saladyn chciał powiedzieć, odradzaj ącym i daj ącym życie, ale nie powiedział — zabrzmiałoby to dość upiornie; jak gdyby wysysaj ąc tamto życie z ojca czynił w jego ciele miejsce na śmierć. I chociaż zatrzymał owo spostrzeżenie dla siebie, to jednak Saladyn ci ągle czuł się zwi ązany z wieloma starymi, odrzuconymi istnieniami, alternatywnymi Saladynami, czy też raczej Sa-lahuddinami, którzy oddzielili się od niego w chwilach podejmowania życiowych decyzji i egzystowali nadal w równoległych światach teorii kwantowej. Rak ob-darł z ciała Czangeza Czamczawallę; policzki zapadły mu się w gł ąb czaszki i ze względu na zanik mięśni musiał umieszczać piankow ą poduszkę pod pośladka-mi. Odarł go zarazem z jego wad, z wszystkiego tego, co było w nim apodyk-433

tyczne, tyrańskie i okrutne, tak że ten przewrotny, a w rzeczywistości kochaj ący i wspaniały mężczyzna znowu był w centrum uwagi. Gdyby tylko zechciał być taki całe swoje życie, Saladyn (któremu po raz pierwszy spodobało się nie-angielskie brzmienie swego imienia) rozmarzył się. Jakie to straszne — odnaleźć ojca w momencie, gdy trzeba się z nim pożegnać.Rano, w dniu powrotu, ojciec poprosił Salahuddina Czamczawallę, aby ten go ogolił. — Te moje starowinki zupełnie nie wiedz ą, któr ą stron ą maszynki się to ro-bi. Skóra Czangeza Czamczawalli tworzyła mnóstwo miękkich, pomarszczonych, zwisaj ących worków, a jego zarost, wysypany z maszynki, wygl ądał jak popiół.Salahuddin nie pamiętał, kiedy ostatni raz dotykał twarzy ojca w ten sposób, delikatnie rozprostowuj ąc skórę i przesuwaj ąc po niej bezprzewodow ą maszynk ą, a następnie głaszcz ąc j ą ręk ą, by sprawdzić, czy jest gładka. Po goleniu długo jeszcze muskał palcami twarz ojca. — Popatrz na starego — powiedziała Nasrin do Kasturby, kiedy weszły do pokoju — nie może oderwać wzroku od swojego chłopca. — Czangez Czamczawalla uśmiechn ął się szeroko, może zbyt szeroko, ukazuj ąc popsute zęby spowite gęst ą ślin ą.Kiedy ojciec położył się spać, zmuszony przedtem przez Kasturbę i Nasrin do wypicia odrobiny wody i patrzył — na co? — otwartymi oczyma potrafi ącymi widzieć trzy światy jednocześnie: gabinet, wizyjny świat snu i zbliżaj ący się krajobraz życia-po-życiu (lub też tak sobie to Salahuddin wyobrażał); — wtedy syn Czangeza poszedł odpocz ąć do dawnej sypialni ojca. Groteskowe głowy z terako-ty wlepiały w niego wzrok ze ściany, rogaty demon, łypi ący okiem Arab z soko-łem na ramieniu; łysy mężczyzna unosz ący wzrok w górę, w przestrachu wywa-laj ący język na widok dużej, czarnej muchy l ąduj ącej na jego brwi. Niezdolny do snu pomiędzy tymi figurkami, znał je od zawsze i szczerze nienawidził, widz ąc w nich odbicie tamtego Czangeza, przeniósł się w końcu do innego, neutralnego pokoju.Późnym popołudniem obudził się, zszedł na dół i zastał dwie starsze panie staraj ące się rozpracować szczegóły dozowania leków. Poza codziennym Mel-falanem przepisano mu cał ą szafkę prochów w nadziei na zwalczenie groźnych chorób towarzysz ących: anemii, niewydolności kr ążenia i tym podobnych. Izosorbid — cztery razy dziennie po dwie tabletki, furosemid — jedna tabletka trzy razy dziennie, prednisolon — dwa razy dziennie po sześć. . . — Ja to zrobię —

powiedział zbitym z tropu kobietom. — To jedno chociaż mogę zrobić. — Agarol na obstrukcję, spironolakton na Bóg wie co. Allopurinol: nagle, zupełnie bez sensu, przypomniał sobie artykuł angielskiego krytyka Kennetha Tynana w starym piśmie teatralnym o polisylabicznym charakterze Tamerlana Wielkiego Christo-phera Marlowe’a i wyobraził sobie hordy pigułek staraj ące się nawzajem dziesi ątkować:

Czy słyszysz, o cny Barbituranie?434Zmarł ojciec twój — stary Nembutal.Gwiazdy świetliste zapłacz ˛

a za Nembutalem. . .Czy odchodzić mężnie nie znaczy władc ˛

a być,Aureomycyno i ty Formaldehydzie,Czy odchodzić mężnie nie znaczy władc ˛

a być

I jechać w tryumfie na Amfetaminie?Takie rzeczy wyrzuca ludzka pamięć! Ale być może taki farmaceutyczny Tamerlan nie był najgorszym panegirykiem dla upadłego monarchy leż ącego w swoim pełnym moli gabinecie, zerkaj ącego w swoje trzy światy, czekaj ącego na koniec. — Chodź, Abba. Czas, aby ocalić twoje życie.Była wci ąż na swoim miejscu, na półce gabinetu Czangeza: lampa z miedzi i mosi ądzu, maj ąca rzekomo posiadać moc spełnienia życzeń, ale jak dot ąd (nigdy nie była pocierana) nie sprawdzona. Cokolwiek zmatowiała, patrzyła na swego umieraj ącego właściciela. Teraz patrzył na ni ą jego jedyny syn. Korciło go, aby j ą zdj ąć, potrzeć trzy razy i nakazać skrytemu w niej dżinnowi wypowiedzieć magiczne zaklęcie. . . a jednak Salahuddin zostawił lampę na swoim miejscu. Nie było to dobre miejsce na dżinny, zjawy i afryty; duchy i wróżki nie maj ą tu wstępu.Żadne magiczne formuły — tylko moc pigułek. — Oto twój znachor — zaśpiewał

Salahuddin, grzechocz ąc fiolkami i jednocześnie budz ąc ojca. — Lekarstwa —

uśmiechn ął się dziecinnie. — Iik, bak, too.

\* \* \*Tej nocy Salahuddin zmusił Nasrin i Kasturbę do udania się na spoczynek, a sam czuwał nad Czangezem na rozłożonym na ziemi materacu. Po nocnej daw-ce izosorbidu konaj ący spał przez trzy godziny, a kiedy się obudził, musiał iść do toalety. Salahuddin uczynnie pomógł mu wstać i zdziwiła go lekkość ojcowskiego ciała. Zawsze był ciężki, ale teraz stanowił jedynie żywy pokarm dla komórek rakowych. . . w toalecie Czangez odmówił przyjęcia pomocy. — Nie pozwolił

ci zrobić tylko jednej rzeczy — uroczo narzekała Kasturba. — Jaki to nieśmiały człowiek. — W drodze powrotnej do łóżka oparł się lekko na ramieniu Salahuddina i szurał swoimi płaskimi stopami w starych kapciach, resztki jego włosów sterczały komicznie we wszystkich kierunkach, głowa kołysała się w przód i w tył

na rachitycznej, kruchej szyi. Nagle Salahuddin zapragn ął wzi ąć starca na ręce, ukołysać i zaśpiewać mu słodk ą, koj ąc ą piosenkę. Zamiast tego wypalił w najbardziej nieodpowiednim momencie, próbuj ąc się pojednać: — Abba, przyjechałem, bo nie chcę więcej zatargów z tob ą. . . — Pieprzony idiota! Niech cię piekło pochłonie, ty szubrawy kretynie. W środku tej przeklętej nocy! A jeśli do tej pory nie 435wiedział, że umiera, to ta mała mówka pogrzebowa z pewności ˛

a mu to uświado-

mi. Czangez dalej szurał kapciami po podłodze; uścisk jego ręki na ramieniu syna wzmocnił się nieznacznie. — To już nie ma znaczenia — powiedział — cokolwiek to było, zostało zapomniane.Rankiem Nasrin i Kasturba pojawiły się wypoczęte, ubrane w nowe sari i zaczęły narzekać: — Spanie z dala od niego było tak okropne, że nie zmrużyłyśmy oka. — Przypadły do Czangeza, a ich pieszczoty miały w sobie tyle czułości, że Salahuddin miał to samo uczucie podpatrywania czyjegoś życia prywatnego, jak na ślubie Miszal Sufjan. Cicho wymkn ął się z pokoju, kiedy troje kochanków obejmowało się, całowało i płakało.Śmierć, wielki gość, omotała dom w Scandal Point swoim czarem. Salahuddin poddał się temu jak każdy z domowników, nawet Czangez, drugiego dnia często uśmiechał się swoim szelmowskim uśmiechem, jakby mówił — wiem, co jest grane. Pogodzę się z tym, nie s ądźcie, że dałem się zwieść. Kasturba i Nasrin niezmiennie krz ątały się wokół niego; czesały mu włosy, zmuszały go do jedzenia i picia. Język obrzmiał mu nieco, nieznacznie zmieniaj ąc wymowę i utrudniaj ąc połykanie; odmawiał przyjmowania czegokolwiek, co miało kości lub żyły, nawet piersi z kurczaka, za któr ą zawsze przepadał. Odrobina zupy, purć ziemniaczane, odrobina kremu mleczno-jajecznego. Jedzenie dla niemowl ąt. Kiedy usiadł na łóżku, Salahuddin usiadł za nim; Czangez oparł się o niego na czas posiłku.— Otwórz dom — zarz ądził rano. — Chcę zobaczyć trochę uśmiechniętych twarzy zamiast waszych ponurych facjat. — Tak więc po długiej przerwie zaczęli przychodzić ludzie: starzy i młodzi, niemal zapomniani kuzyni, wujkowie, ciotki; kilku starych towarzyszy z czasów ruchu nacjonalistycznego, srebrnowłosi dżentelmeni w eleganckich garniturach, z monoklami w oczach, pracownicy roz-maitych towarzystw filantropijnych i fundacji założonych przez Czangeza wieki temu; konkurencyjni przedsiębiorcy produkuj ący nawozy rolnicze i sztuczne łajno. Zbieranina, pomyślał Salahuddin; był jednak przyjemnie, zaskoczony ich pięknym zachowaniem w obliczu konaj ącego człowieka; młodzi zwierzali mu się z sekretów swojego życia, jak gdyby upewniaj ąc go o wieczności bytu, uświada-miaj ąc mu pocieszaj ąc ą myśl o jego przynależności do wielkiego łańcucha rasy ludzkiej — podczas gdy starzy wywoływali obrazy przeszłości, aby wiedział, że nic nie zostało zapomniane, zatracone i pomimo swojego świadomego odcięcia od świata nadal do niego należy. Śmierć przywiodła najlepsze cechy ludzkie do tego domu — uświadomił sobie Salahuddin — a więc tacy też s ą ludzie: troskliwi, kochaj ący, nawet szlachetni. Egzaltacja wci ąż jeszcze nie jest dla nas pustym pojęciem — pomyślał w świ ątecznym nastroju — pomimo wszystko możemy wznieść się jeszcze ponad ziemskie problemy. Jakaś piękna, młoda kobieta —

Salahuddinowi zdawało się, że to prawdopodobnie jego bratanica (zawstydził się, że nie zna jej imienia) — robiła zdjęcia polaroidem. Fotografowała Czangeza z je-go gośćmi, a chory bawił się doskonale, robił miny i całował nadstawiane policzki 436

z błyskiem w oku, który Salahuddin odebrał jako znak nostalgii. Przypomina to przyjęcie urodzinowe — pomyślał — lub jak „Finnegans Wake”. Trup odmawiaj ący pochówku i dostarczaj ący żyj ącym rozrywki.— Musimy mu powiedzieć — nalegał Salahuddin po wyjściu odwiedzaj ących.Nasrin skłoniła głowę i przytaknęła. Kasturba wybuchnęła płaczem.Powiedzieli mu następnego dnia rano, prosz ąc wcześniej lekarza specjalistę o przybycie i udzielenie odpowiedzi na ewentualne pytania Czangeza. Specjali-sta, Panikkar (nazwisko najprawdopodobniej było przekręcane i źle wymawiane przez Anglików, pomyślał — jak muzułmańskie „Fakhar”) przybył o dziesi ątej, cały promieniuj ąc powag ą swojej osoby. — Ja powinienem mu powiedzieć —

rzekł przejmuj ąc kontrolę. — Wielu pacjentów wstydzi się okazywania strachu w obecności bliskich sobie osób. — Gówno tam powinieneś — odparł Salahuddin zdziwiony swoj ą impulsywności ą. — No cóż, w takim razie. . . — Panikkar wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia, czym wygrał. Nasrin i Kasturba powiedziały Salahuddinowi: — Prosimy, nie wtr ącaj się. — Salahuddin pokonany wskazał lekarzowi drogę do ojca i zamkn ął za nim drzwi gabinetu.— Mam raka — zakomunikował Czangez Czamczawalla Nasrin, Kasturbie i Salahuddinowi po wyjściu Panikkara. Mówił wyraźnie, wymawiaj ąc to słowo bez strachu, z przesadn ą staranności ą. — Zaawansowane stadium. Nie jestem zaskoczony. Powiedziałem Panikkarowi: „To właśnie powiedziałem panu pierwszego dnia, no bo gdzie indziej mogłaby się podziać krew?” Po wyjściu z gabinetu Kasturba rzekła do Salahuddina: — Od twojego przyjazdu jego oczy odzyskały blask. Jaki był wczoraj szczęśliwy wśród tych wszystkich ludzi! Ale teraz jego wzrok zmętniał, nie będzie już walczył.Podczas popołudniowej drzemki dwóch kobiet Salahuddin znalazł się z ojcem sam na sam. Stwierdził, że on, tak d ąż ący do mówienia wszystkiego wprost, jest teraz niemy i wylękniony, nie wiedz ąc, jak zacz ąć. Ale to Czangez miał coś do powiedzenia.— Chcę, abyś wiedział — rzekł do syna — że nie robię z tego tragedii. Człowiek musi na coś umrzeć, a ja nie umieram młodo. Nie mam złudzeń; wiem, że nie podniosę się z tego. To koniec. Wszystko w porz ądku. Jedyna rzecz, której się obawiam, to ból, ponieważ tam, gdzie pojawia się ból, człowiek traci ludzk ą godność. Nie chciałbym, żeby mnie się to przytrafiło. — Saladyn był przerażony.Najpierw uczymy się od nowa miłości do ojca, a potem uczymy się także szacunku do niego. — Lekarze powiedzieli, że jesteś przypadkiem jednym na milion

— odpowiedział pełen wiary w swoje słowa. — Wygl ąda na to, że ból został ci oszczędzony. Po tych słowach Czangez się rozluźnił i Salahuddin uświadomił sobie, jak bardzo bał się stary człowiek, jak bardzo potrzebował słów otuchy. . . —

Bas — powiedział szorstko Czangez Czamczawalla — wobec tego jestem gotów.437

Aha, przy okazji, dostaniesz lampę, mimo wszystko.Godzinę później zaczęła się biegunka: cienki czarny strumień. Nasrin bez przerwy dzwoniła do szpitala Bareach Candy, dowiaduj ąc się, że Panikkar jest nieosi ągalny — Odstawcie zaraz agarol — zarz ądziła dyżuruj ąca lekarka i zamiast tego zaleciła imodium. Nie pomogło. O siódmej po południu wzrosło niebezpieczeństwo odwodnienia, a Czangez był zbyt słaby, aby usi ąść do jedzenia.Naprawdę nie miał apetytu, ale Kasturbie udało się łyżeczk ą nakarmić go kilkoma kroplami kleiku z morelami obranymi ze skórki. — Mniam mniam — powiedział

ironicznie, uśmiechaj ąc się swoim szelmowskim uśmiechem.Zasn ął, ale do pierwszej przynajmniej trzy razy przechodził kryzys. — Na miłość bosk ą — krzyczał do słuchawki Salahuddin — dajcie mi numer domowy Panikkara. — Ale było to wbrew szpitalnym przepisom. — Musi pan os ądzić —

powiedziała dyżuruj ąca lekarka — czy nadszedł już czas na niego. — O ty kurwo

— wyrzucił z siebie Salahuddin Czamczawalla — dzięki za wszystko.O trzeciej nad ranem Czangez był tak osłabiony, że Salahuddin przenosił go do toalety. — Wyprowadźcie samochód! — krzykn ął na Nasrin i Kasturbę. —

W tej chwili jedziemy do szpitala. — Dowodem na zbliżanie się końca Czangeza był fakt, że pozwolił sobie pomóc. — Czarne gówno, niedobrze — powiedział

próbuj ąc złapać oddech. Płuca zarzęziły alarmuj ąco; oddychał w taki sposób, jakby pęcherzyki powietrza przedostawały się przez klej. — Niektóre s ą powolne, ale myślę, że ten jest bardzo szybki. Zniszczenia postępuj ą błyskawicznie. — I tu Salahuddin, apostoł prawdy, skłamał: Abba, nie martw się. Wydobrzejesz. Czangez Czamczawalla potrz ąsn ął głow ą. — Odchodzę, synu — powiedział. Klatka pier-siowa chorego unosiła się spazmatycznie; Salahuddin chwycił plastikow ą nerkę i przytrzymał j ą przy ustach Czangeza. Konaj ący mężczyzna zwymiotował flegm ą zmieszan ą z krwi ą; po tym był zbyt słaby, żeby mówić. Tym razem Salahuddin musiał przenieść ojca do samochodu, umieścił go na tylnym siedzeniu mercedesa pomiędzy Nasrin i Kasturb ą i pognał na najwyższych obrotach silnika do szpitala Breach Candy oddalonego o jakieś pól mili od domu. — Otworzyć okno, Abba?— zapytał w pewnym momencie. Czangez potrz ąsn ął głow ą i wybełkotał: — Nie.Dużo później do Salahuddina dotarł fakt, że było to ostatnie słowo wypowiedziane przez ojca.Izba przyjęć. Tupot biegn ących stóp, pozornie pospieszne polecenia, fotel na kółkach, Czangez wrzucany na łóżko, zasłony. Młody lekarz robi ący wszystko bardzo szybko, ale bez widocznego dla laika pośpiechu. Lubię go, pomyślał Salahuddin. Po chwili lekarz spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: — Nie s ądzę, żeby to przetrzymał. — To było jak uderzenie w żoł ądek. Salahuddin spostrzegł, że trzymał się kurczowo nadziei, poskładaj ˛

a go i wrócimy do domu, to nie jest

„to” , i odruchow ą reakcj ą na słowa lekarza była wściekłość. Pan jest tu mecha-nikiem. Niech mi pan nie mówi, że nie zapali, napraw go pan do cholery! Czangez dogorywał dusz ąc się własnymi płucami. — Nie możemy dostać się do klatki 438

piersiowej przez tę kurtę; czy można by. . . Tnijcie. Róbcie, co do was należy. Kro-plówki, dźwiękowy sygnał słabn ącego serca, kompletna bezsilność. Młody lekarz mrucz ący pod nosem: — To nie potrwa długo, a więc. . . — Na co Salahuddin Czamczawalla zwrócił się do Nasrin i Kasturby i wypalił bezmyślnie: — Chodźcie, szybko! Chodźcie się z nim pożegnać. — Na miłość bosk ą! — wybuchn ął

lekarz. . . Kobiety nie płakały, ale podeszły do Czangeza i wzięły go, każda za jedn ą rękę. Salahuddin zaczerwienił się ze wstydu. Nigdy się nie dowiedział, czy ojciec słyszał ten wyrok śmierci z ust swojego syna.Po chwili Salahuddin wzi ął się w garść, lepiej dobierał słowa, po dłuższej przerwie znów mówił w języku Urdu. Jesteśmy przy tobie, Abba. Wszyscy cię bardzo kochamy. Czangez nie był w stanie mówić, ale — a może nie — nie, to musiało być to — kiwn ął głow ą na znak zrozumienia. Słyszy mnie. Ale wtedy nagle i niespodziewnie Czangez Czamczawalla opuścił obecnych; żył jeszcze, ale odszedł gdzieś, jakby patrzył teraz w gł ąb, jakby było tam coś jeszcze do obej-rzenia. On mnie uczy, jak należy umierać, pomyślał Salahuddin. Nie odwraca od niej oczu, ale patrzy jej prosto w twarz. W ci ągu całego swojego konania Czangez Czamczawalla nie wezwał imienia Boga.— Proszę — powiedział lekarz — wyjdźcie zza parawanu i pozwólcie nam robić swoje. . . Salahuddin odci ągn ął dwie kobiety i dopiero kiedy zakryty kota-r ą Czangez Czamczawalla znikn ął im z oczu, zapłakały. — Przysięgał, że mnie nigdy nie opuści — łkała Nasrin, jej samokontrola legła w gruzach, i odszedł.Salahuddin podgl ądał przez szparę w parawanie; i zobaczył, jak pompuj ą w niego pr ąd elektrycznym, nagły zielony impuls na ekranie monitora; zobaczył, jak lekarz z pielęgniarkami wal ą w klatkę piersiow ą ojca; zobaczył klęskę.Ostatni ą emocj ą goszcz ąc ą na twarzy ojca, tuż po bezowocnych wysiłkach służb medycznych, była nieopisana groza, tak wyraźna, że Salahuddin stan ął jak skamieniały. Co widział? Co czekało tam na niego, na nas wszystkich, że tak przeraziło tego dzielnego człowieka? Kiedy było już po wszystkim, powrócił do łóżka Czangeza i dostrzegł uśmiech przylepiony do wykrzywionych ust.Pogłaskał te słodkie policzki. Nie goliłem go dzisiaj. Zmarł z zarostem na twarzy. Jakże była już zimna; ale mózg zachował jeszcze trochę ciepła. Wepchnęli mu waciki do nosa. A jeśli to pomyłka? Jeśli on chce oddychać? Nasrin Czamczawalla stała tuż za nim. — Zabierzmy twojego ojca do domu — powiedziała.

\* \* \*Czangez Czamczawalla powrócił do domu ambulansem, leż ąc na aluminio-wej tacy na podłodze samochodu pomiędzy dwiema kochaj ącymi go kobietami.

439

Salahuddin jechał za karetk ą. Sanitariusze ułożyli starca w gabinecie; Nasrin wł ączyła klimatyzację na maksimum. Była to, pomimo wszystko, śmierć w tropiku, a słońce miało wzejść już wkrótce.Co widział? Obraz ze szpitala nie dawał Salahuddinowi spokoju. Dlaczego był

tak przerażony? I sk ˛

ad na koniec wzi ˛

ał się ten uśmiech?Znowu przyszli ludzie. Wujkowie, kuzyni, przyjaciele wzięli na siebie brzemię przygotowań do pogrzebu. Nasrin i Kasturba siedziały na ziemi na białych prze-ścieradłach, w pokoju, w którym razu pewnego Saladyn i Zini odwiedzili wilkoła-ka, Czangeza; kobiety usiadły z nimi i rozpaczały, recytuj ąc kalimę, raz za razem przesuwaj ąc palcami paciorki różańca. Salahuddin był szczerze zirytowany, nie wystarczyło mu jednak woli, aby to przerwać. Wtedy przyszedł mułła i zszył całun dla Czangeza; przyszedł czas obmycia ciała i pomimo, że obecnych było wielu mężczyzn i nie potrzebował pomocy, Salahuddin nalegał. Jeśli on mógł patrzeć śmierci prosto w oczy, to ja też mogę. Przy myciu ciała mułła wydawał polecenia co do obracania i ułożenia posiniaczonych i wychudzonych zwłok, odznaczała się na nich długa br ązowa blizna po wyciętym wyrostku robaczkowym, Salahuddin przypomniał sobie tylko jeden raz, kiedy zobaczył nagie ciało swego ojca; miał

wtedy dziewięć lat — zakradł się do łazienki, kiedy Czangez brał prysznic i na ca-łe życie zapamiętał wstrz ąs, jaki wywołał u niego widok ojcowskiego penisa. Był

gruby i kanciasty — jak pałka. O, mocy tej rzeczy; i jego własnej nicości. . . —

Nie można mu zanikn ąć oczu — narzekał mułła — powinniście to zrobić wcześniej. — Był krępym, pragmatycznym facetem, taki mułła z brod ą, bez w ąsów.Traktował zwłoki jak zwykł ą rzecz wymagaj ąc ą mycia w takim samym stopniu jak samochód, okno czy naczynie. — Mieszka pan w Londynie? W Tym Właśnie Londynie? Mieszkałem tam wiele lat. Byłem szwajcarem w Claridge Hotel.Och, tak? Naprawdę? Jakie to ciekawe. Facet najwyraźniej chciał sobie uci ąć po-gawędkę. Salahuddin przeraził się. To mój ojciec, rozumiesz pan? — A ten ubiór

— zapytał mułła, wskazuj ąc na ostatni ą kurtę — pidżamę Czangeza, tę rozcięt ą przez personel szpitalny staraj ący się dostać do klatki piersiowej chorego. — Potrzebuje jej pan? Nie, nie, weź j ą sobie. Proszę. — Jest pan bardzo uprzejmy. Małe kawałki czarnej tkaniny wypełniały usta Czangeza i sterczały spod jego powiek.— Ten materiał był w Mekce — rzekł mułła. Zabieraj to sobie! Nie rozumiem. To święta materia. Słyszałeś, won, wynocha, wynocha mi st ąd. Niech Bóg zlituje się nad jego dusz ą.I:

Mary, przybrane kwiatami, jak becik wyrośniętego dziecka.Ciało, spowite biel ą, z wiórkami drzewa sandałowego, rozsypanymi wokół dla przyjemnego zapachu.Jeszcze więcej kwiatów i zielona atłasowa materia wyhaftowana złotymi wersetami Koranu.Ambulans z katafalkiem w środku, oczekuj ący pozwolenia wdowy na odjazd.440

Ostatnie pożegnania kobiet.Cmentarz. Żałobnicy spiesz ący, by podnieść trumnę, tratuj ący stopę Salahuddina i zdzieraj ący mu paznokieć z wielkiego palca u nogi Pośród żałobników osamotniony stary przyjaciel Czangeza — obecny na cmentarzu pomimo obustronnego zapalenia płuc; jeszcze jeden stary dżentelmen płacz ący rzewnymi łzami, sam jutro umrze; — i wszelkiego rodzaju chodz ące świadectwa życia zmarłego.Grób. Salahuddin schodzi do wnętrza od strony głowy, grabarz od strony nóg.Opuszczaj ą Czangeza Czamczawallę. Ciężar głowy mego ojca spoczywa na mojej dłoni. Składam j ˛

a; na wieczny spoczynek.Świat, jak ktoś napisał, jest miejscem, którego istnienie potwierdzamy, umieraj ąc na nim.

\* \* \*Czekała na niego, kiedy powrócił z cmentarza: lampa z miedzi i mosi ądzu, dopiero co odziedziczona. Wszedł do gabinetu Czangeza i zamkn ął za sob ą drzwi.

Stare kapcie ojca leżały przy łóżku: stały się, jak to przepowiedział, „par ą porzuconych butów”. Prześcieradło wci ąż zachowało odcisk ciała ojca; pokój wypełniały mdl ące zapachy: drzewa sandałowego, kamfory, olejku goździkowego.Zdj ął lampę z półki i usiadł przy biurku Czangeza. Następnie wyci ągn ął z kieszeni chustkę i potarł niecierpliwie stary przedmiot: raz, dwa, trzy.Natychmiast zapaliły się wszystkie światła.Do pokoju weszła Zinat Wakil.— Och, przepraszam, może nie chciałeś zapalać, ale ze spuszczonymi stora-mi było tak smutno. — Wymachuj ąc rękoma, przemawiaj ąc głośno tym swoim pięknym, nieco chropawym głosem, z włosami układaj ącymi się w koński ogon sięgaj ący talii, była tutaj, jego własny dżinn. — Miałam wyrzuty sumienia, że nie przyszłam wcześniej, ale chciałam po prostu cię zranić; ale wybrał sobie moment, zawsze sobie pobłażał, jar, dobrze cię znowu widzieć, biedny osierocony g ąsiorku.Była taka jak zawsze, zanurzona w życiu po szyję, ł ącz ąca uniwersyteckie wykłady z historii sztuki z praktyk ą medyczn ą i polityk ą. — Byłam w tym cholernym szpitalu, wiesz? Byłam tam, ale nie wiedziałam, co jest z twoim tat ą aż dopiero. . .a nawet wtedy nie podeszłam cię uściskać, ale ze mnie suka. Jeśli chcesz mnie wyrzucić za drzwi, nie będę się skarżyła. — Szlachetna kobieta, najszlachetniejsza na świecie. Kiedy j ˛

a zobaczysz, będziesz wiedział, obiecywał sobie i okazało się, że miał rację. — Kocham cię — usłyszał swój głos zatrzymuj ący j ą w miejscu.— Dobra, nie będę ci tego perswadować — powiedziała w końcu rozpromienio-441

na. — Oczywiście jesteś wytr ącony z równowagi. To szczęście, że nie znalazłeś się w jednych z tych olbrzymich szpitali miejskich; oni trzymaj ą tam czubków tuż obok heroinistów i panuje tam na oddziałach taki obrót narkotykami, że biedne świrusy źle kończ ą. Tak czy inaczej, jeśli powtórzysz to samo po czterdziestu dniach, uważaj, bo wezmę to poważnie. Teraz może to być choroba.Niepokonana (i jak się zdawało bez zobowi ązań) Zini powtórnie wkroczyła w jego życie, będ ąc ukoronowaniem procesu odnowy, regeneracji będ ącej najbardziej nieoczekiwanym paradoksalnym wynikiem choroby ojca. Jego dawne, angielskie życie ze wszystkimi dziwactwami, złem, było teraz bardzo odległe, nawet nieistotne, tak jak jego imię okaleczone do pseudonimu artystycznego. —

Najwyższy czas — stwierdziła Zini, gdy powiedział jej o swoim powrocie do Salahuddina. — Teraz możesz w końcu przestać grać. — Tak, wygl ądało to jak no-wy rozdział, w którym świat będzie rzeczywisty i naturalny, w którym nie będzie już potężnej figury rodzica stoj ącej pomiędzy nim a nieuchronności ą grobu. Osierocony żywot, jak Mahometa, jak wszystkich. Życie rozświetlone przez dziwnie jaśniej ąc ą śmierć, lśni ąc ą dalej w jego świadomości jak magiczna lampa.Od teraz muszę myśleć o sobie, jakby wci ˛

aż żyj ˛

ac w pierwszym momencie

przyszłości — postanowił, w kilka dni później, w mieszkaniu Zini na Sophia College Lane, kiedy właśnie dochodził do siebie pO jej spontanicznych wyczynach.(Zaprosiła go nieśmiało do siebie, jakby zdejmowała woalkę po długiej żałobie).Ale nie tak łatwo jest zerwać z przeszłości ą; pomimo wszystko żył w teraźniej-szej chwili przeszłości i jego dawne sprawy gromadziły się wokół aby dopełnić swojego przeznaczenia.

\* \* \*Zacz ął zdawać sobie sprawę z tego, że stał się bogatym człowiekiem. Zgodnie z ostatnia wol ą zmarłego przedsiębiorcy, jego fortuna i kolosalne odsetki maj ą zostać pod kontrol ą grupy zaufanych przyjaciół — zyski będ ą dzielone na trzy równe części: jedna dla Nasrin, drugiej żony Czangeza, druga dla Kasturby, do której zwracał się w testamencie — „pod każdym względem mojej trzeciej”, i trzecia dla syna, Salahuddina. Jednakże po śmierci kobiet, kiedy tylko zechce, przejmie kontrolę nad wszystkim, krótko mówi ąc, odziedziczył mnóstwo. „Pod warunkiem

— zastrzegł przewrotnie Czangez Czamczawalla — że łotr przyjmie podarunek, który wcześniej odrzucił, to znaczy zarekwirowany budynek szkolny usytuowany w Solanie, Himachal Pradesz.” Czangez mógł ści ąć orzech, ale nigdy nie próbował odebrać Salahuddinowi wolności wyboru. Jedynie dwa domy zostały wył ączone z zapisu — Pali Hill i Scandal Point. Pierwszy otrzymała Nasrin Czam-442

czawalla, drugi przypadł Kasturbie, która natychmiast wyraziła chęć sprzedania starego domu inwestorom. Działka miała olbrzymi ą wartość, a Kasturba była zupełnie pozbawiona sentymentów. Salahuddin zaprotestował gwałtownie, ale usa-dzono go ostro. — Mieszkałam tu całe życie — oznajmiła — i dlatego ja o tym decyduję. — Nasrin Czamczawalla nie miała więcej zainteresowania dla losu starej budowli. — Jeden wieżowiec więcej, jeden kawałek starego Bombaju mniej.— Wzruszyła ramionami. — Co za różnica? Miasta się zmieniaj ą. — Przygoto-wywała się do powrotu do Pali Hill, zdejmowała pudełka z motylami ze ścian, zbierała swoje wypchane ptaki w holu. — Niech tak będzie — powiedziała Zinat Wakil — i tak nie mógłbyś mieszkać w tym muzeum.Oczywiście, miała rację; jeszcze nie zrobił kroku w kierunku przyszłości, a już rozpacza z żalu za utraconym dzieciństwem. — Wychodzę, muszę się spotkać z George’em i Bhupenem, pamiętasz? — zapytała. — Dlaczego nie pójdziesz ze mn ą? Musisz się przyzwyczaić do miasta. — George Miranda skończył właśnie dokumentalny film o komunaliźmie, z wypowiedziami Hinduistów i Muzułmanów — dwie strony medalu. Fundamentaliści obu religii domagaj ą się ci ągle decyzji urzędowej, która zdejmie film z ekranu i pomimo tego, że s ądy w Bombaju odrzuciły skargę, sprawa została przekazana do S ądu Najwyższego. George, jeszcze bardziej zarośnięty, z prostymi włosami i żoł ądkiem bardziej niż pamiętał to Salahuddin owrzodzonym, pił nim w spelunce Dhobi Talao i zdesperowany walił w stół pięściami. — To S ąd Najwyższy spod znaku Szacha Bano — krzyczał, nawi ązuj ąc do wyroku, wydanego pod naciskiem ekstremistów islamskich, stanowi ącego, że świadczenia sprzeczne z wol ą Allaha, czyni ąc tym samym prawa indyjskie bardziej reakcyjnymi niż na przykład pakistańskie. — Tak więc nie mam wielkich nadziei. — Niepocieszony podkręcił nasmarowany brylantyn ą koniec w ąsa. Jego nowa dziewczyna, wysoka szczupła Bengalka z krótko przyciętymi włosami, przez co przypominała Salahuddinowi trochę Miszal Sufjan, skorzysta-ła z okazji, aby zaatakować Bhupena Gandhiego za opublikowanie tomiku wierszy powstałego po wizycie „w małym mieście ze świ ątyni ą”, w Gagari. Wiersze natychmiast zostały skrytykowane przez hinduistów, jeden znany profesor z Po-łudniowych Indii oznajmił nawet, że Bhupen „stracił prawo do miana indyjskiego poety”, ale w opinii młodej kobiety Swatelekhi, religia zawiodła Bhupena w rejony niebezpiecznych dwuznaczności. Nerwowo odrzucaj ąc z czoła siwe włosy, Bhupen (z błyszcz ąc ą okr ągł ą twarz ą) bronił się sam. — Powiedziałem, że jedyne zbiory z Gagari to kamienie wydobywane z kamieniołomów na wzgórzach. Mówiłem o legendarnych stadach dźwięcz ących świętymi dzwonkami, pas ących się na stokach wzgórz. To nie s ą dwuznaczne obrazy. — Nie przekonało to Swatelekhi. — W obecnych czasach musimy przedstawiać sytuację z krystaliczn ą wyrazistości ą. Wszelkie metafory nosz ą w sobie zarodek błędnej interpretacji. —

Dziewczyna wysnuła teorię. Społeczeństwo zostało omotane przez to, co ona nazywała wielkimi formami narracyjnymi: historię, ekonomikę, etykę. W Indiach 443

rozwój zamkniętego i skorumpowanego aparatu państwa „wykluczył masy ludzkie z planu etycznego”. W rezultacie szukali etycznego spełnienia w najstarszej z wielkich form narracyjnych, to znaczy w wierze. — Ale forma narracyjna jest manipulowana przez teokratów i różne siły polityczne, co powoduje uwstecznie-nie. Bhupen odpowiedział: — Nie możemy zanegować wszechobecności wiary.Gdybyśmy pisali w ten sposób, jakby przes ądzaj ąc, że wiara jest fałszem lub ułud ą, to czy nie ponosilibyśmy winy za jednostronność widzenia jej jedynie przez pryzmat obrz ądku? — Swatelekha zirytowała się. — Już dzisiaj tworz ą się ogniska zapalne w Indiach — krzyczała — sekularyzm kontra racjonalizm, oświecenie przeciwko ciemnocie. Lepiej powiedz, po której jesteś stronie.Bhupen, wściekły, podniósł się i chciał wyjść. Zini uspokoiła go:

— Nie możemy sobie pozwolić na schizmy. Musimy działać razem. — Bhupen usiadł, a Swatelekha pocałowała go w policzek. — Przepraszam — powiedziała. — Zbyt wiele czasu spędziłam w college’u. Tak zawsze mówi George.Poza tym wiersze s ą świetne. Kłóciłam się tylko dla zasady. — Bhupen udobru-chał się i udawał, że chce j ą uderzyć w nos; kryzys min ął.Spotkali się już z Salahuddinem, aby omówić swój udział w ważnej politycznej demonstracji: miał to być ludzki łańcuch rozci ągaj ący się od Wrót Indii do najbardziej wysuniętych na północ przedmieść miasta, popieraj ący „intergrację narodu”. Komunistyczna Partia Indii (Marksistowska) zorganizowała ostatnio z olbrzymim powodzeniem taki ludzki łańcuch w Kerala. — Ale — zauważył George Miranda — tutaj w Bombaju będzie zupełnie inaczej. W Kerala KPIM jest przy władzy. Tutaj pod okiem tych drani z Sziw Sena możemy spodziewać się wszystkiego, od trudności z policj ą po niekończ ące się ataki motłochu na ogni-wa łańcucha — szczególnie wtedy, kiedy będzie przechodził, a będzie musiał, przez fortecę Sena w Mazagaonie. — Pomimo tych niebezpieczeństw — wyjaśniła Zini Salahuddinowi — takie demonstracje s ą niezbędne. Przy takiej eskalacji przemocy Mirat było tylko jednym z ostatnich krwawych incydentów. Należało koniecznie powstrzymać siły d ąż ące do dezintegracji. Musimy udowodnić, że istniej ą aktywne siły przeciwne. Salahuddin był co nieco wytracony z równowagi tempem kolejnych zmian w jego życiu. Ja, bior ˛

acy udział w manifestacji KPIM.Cuda nigdy nie ustan ˛

a. Muszę być poważnie zakochany.Kiedy już ustalili szczegóły — jak wielu przyjaciół może przyprowadzić każdy z nich, gdzie się zbior ą, co należy zabrać do jedzenia, picia i co z artykułów pierwszej pomocy — rozluźnili się, popijali tani ciemny rum i rozmawiali o niczym. I wtedy po raz pierwszy Salahuddin usłyszał plotki o dziwnym zachowaniu gwiazdy filmowej Gibrila Fariszty, które kr ąż ąc po mieście, dopadły Czamczę i uwierały go teraz jak cierń z minionego życia; przywołuj ąc przeszłość jak odległy dźwięk tr ąby, dzwoni ący w uszach.444

\* \* \*

Tenże Gibril Fariszta powróciwszy z Londynu do Bombaju, aby pozbierać resztki swojej kariery filmowej, nie był zgodnie z ogólnie panuj ąc ą opini ą starym Gibrilem o nieodpartym uroku. — Facet wydaje się kroczyć prost ą drog ą do samobójstwa — zawyrokował George Miranda, znaj ący wszystkie plotki filmowego światka. — Nie wiadomo dlaczego. Powiadaj ą, że po zawodzie miłosnym trochę mu odbiło. — Salahuddin nic nie mówił, ale czuł, jak twarz zaczyna mu płon ąć.Allie Cone odtr ąciła Gibrila po pożarach Brick Hall. W kwestii przebaczenia, zauważył Salahuddin, nikt nie pomyślał, aby mieć na uwadze zupełnie niewinn ą i mocno poranion ą Alleluję; jeszcze raz zepchnęliśmy j ˛

a na boczny tor. Nic

dziwnego, że wci ˛

aż szaleje. Gibril przekazał Salahudinowi w ostatniej, cokolwiek dziwnej rozmowie telefonicznej, że wraca do Bombaju. „W nadziei na to, że nie będę widział jej, ciebie i tego cholernego zimnego miasta w czasie, który jeszcze mi pozostał.” A tutaj znowu, wszystko na to wskazywało, znalazł się na dnie.— Kręci jakieś dziwne filmy — kontynuował George. — Ale tym razem musiał

wpakować własne pieni ądze. Po dwóch ostatnich producenci szybko się wycofali.Tak więc jeśli poniesie klęskę, jest przegrany, skończony, zrobiony na szaro. —

Gibril wzi ął się za realizację współczesnej wersji Ramajany, w której bohaterowie i heroiny staj ą się źli i przewrotni zamiast być czystymi i wolnymi od grzechu.Znalazł się tutaj sprośny, zapijaczony Rama i kapryśna Sita; podczas gdy Rawana, król-demon, został przedstawiony jako prawy i uczciwy człowiek. — Gibril gra rolę Rawany — wyjaśnił George z mieszanin ą fascynacji i grozy. — Wygl ąda to tak, jakby wytrwale d ążył do konfrontacji z religijnymi sektami, wiedz ąc, że nie może wygrać, że roznios ą go na strzępy. Kilku członków zespołu zwolniło się i udzieliło sensacyjnych wywiadów, oskarżaj ąc Gibrila o bluźnierstwo, satanizm i inne występki. Jedna z jego ostatnich kochanek, Pimple Billimoria, pojawiła się na okładce „Ciné-Blitz” ze słowami: „To było jak pocałunek Diabła”. Stary problem Gibrila, zwi ązany z siarczanym oddechem, zemścił się na nim.Jego dziwaczne zachowanie oplotkowano jeszcze bardziej niż wybór tematu filmu. — Niekiedy jest sam ą słodycz ą i światłem — dodał George — a czasem przychodzi do pracy jak pan bóg wszechmog ący i wymaga od ludzi, aby padali na kolana. Osobiście uważam, że film nie zostanie ukończony, jeśli on nie zadba o swoje zdrowie psychiczne, które, jak s ądzę, nie jest w najlepszym stanie. Najpierw choroba, potem katastrofa lotnicza i na koniec niefortunny romans. Chyba jesteście w stanie zrozumieć problemy tego faceta. — Były też gorsze plotki: jego sprawy podatkowe s ą przedmiotem śledztwa; policjanci przesłuchiwali go na okoliczność śmierci Rekhi Merchant, a jej m ąż, król łożysk kulkowych, zagroził, że

„połamie temu draniowi każd ą kosteczkę”, tak że przez kilka dni Gibril wsiadał

445

do wind Everest Vilas w towarzystwie goryli; a najgorsze z nich było pos ądzenie o nocne wizyty w dzielnicy „pod czerwon ą latarni ą”, sk ąd, jak ktoś zeznał, alfonsi musieli go przepędzać, gdyż okaleczał kobiety. — Powiadaj ą, że niektóre z nich były paskudnie uszkodzone — powiedział George — i że musiał zapłacić olbrzymie sumy za zachowanie milczenia. Ja tam nie wiem, ludzie wygaduj ą różne rzeczy. Ta Pimple, oczywiście, gra teraz pierwsze skrzypce. Mężczyzna, który Nienawidzi Kobiet. Z tego powodu robi teraz z siebie femme fatale. Jednak rzeczywiście coś niepokoj ącego dzieje się z Fariszt ą. Znasz tego gościa, jak słyszałem

— skończył George, patrz ąc na rumieni ącego się Salahuddina.— Nie za dobrze. Właściwie tylko z powodu katastrofy lotniczej i tak dalej.— Był wyraźnie zmieszany. Wygl ądało na to, że Gibrilowi nie udało się uciec od wewnętrznych demonów. On, Salahuddin, wierzył, naiwnie jak się okazało, że wydarzenia w Brickhall, kiedy Gibril ocalił mu życie, w pewnym sensie oczyściły ich obu; że te diabły zostały pochłonięte przez płomienie; i że miłość potrafiła wydobyć z niego siłę człowieczeństwa równ ą sile nienawiści; że cnota potrafi zmieniać ludzi tak samo jak występek. Ale nic nie jest wieczne. Jak się okazało, kuracja nie była skuteczna.— Przemysł filmowy zawsze był pełny odlotowców — mówiła z egzaltacj ą Swatelekha do George’a. — Spójrz pan na siebie. — Bhupen zachowywał powa-gę: — Zawsze widziałem w Gibrilu pozytywn ą siłę — powiedział. — To jeden z nielicznych, którzy zyskuj ą akceptację, graj ąc role wyznawców różnych religii.Utrata popularności, w jego przypadku, to zły znak.Dwa dni później Salahuddin Czamczawalla przeczytał w niedzielnych gazetach, że międzynarodowa ekspedycja alpinistów, maj ąca zamiar zdobyć Hidden Peak, przybyła do Bombaju; a kiedy pomiędzy alpinistami zobaczył nazwisko

„królowej Everestu”, panny Allelui Cone, poczuł lęk, uczucie to, skrywaj ące się w jego wyobraźni, teraz zstępowało do rzeczywistego świata, zachowuj ąc spowolnion ą śmierteln ą logikę snu. — Teraz wiem, co to s ą duchy — pomyślał. —

To po prostu nie załatwione do końca sprawy.

\* \* \*W ci ągu następnych dwóch dni swojej obecności w Bombaju, Allie dawała mu się coraz bardziej we znaki. Jego umysł uparcie kojarzył ze sob ą różne fakty, na przykład widoczne wyleczenie jej stóp z zakończeniem romansu z Gibrilem: jak gdyby okaleczał j ą swoj ą zazdrosn ą miłości ą. Jego racjonalny umysł zdawał

sobie sprawę, że to wszystko ma logiczne wyjaśnienie, ale ogarn ął go dziwny marzycielski nastrój i zdawał się być odporny na logikę. Co ona naprawdę tu 446

robi? Zacz ął wierzyć, że ma się spełnić jakieś straszliwe przeznaczenie.Zini, której operacje, wykłady uniwersyteckie i praca na rzecz ludzkiego łańcucha nie pozwalały obecnie na zajmowanie się Salahuddinem i jego nastroja-mi, opacznie odczytywała jego zaniknięcie się w sobie i milczenie jako wyraz w ątpliwości, zwi ązanych z powrotem do Bombaju, wci ągnięciem w działalność polityczn ą, która była mu zawsze wstrętna, oraz z jej osob ą. Aby ukryć swoje lę-ki, przemawiała do niego tonem wykładu. — Jeśli mówiłeś poważnie o pozbyciu się zachodnich nawyków, Salad baba, nie popadaj dla odmiany w stan otępienia charakterystyczny dla człowieka wykorzenionego. W porz ądku? Jesteśmy tu wszyscy. Tuż przy tobie. Naprawdę powinieneś spróbować w sposób dorosły do-pasować się do tego miejsca i czasu. Przygarnij to miasto, a nie jakieś wspomnienia z dzieciństwa, które wywołuj ą nostalgię i nudności. Przyci ągnij je do siebie.Rzeczywiste, a nie urojone. Pozwól, żeby jego wady stały się twoimi. B ądź jego części ą — Salahuddin przytakn ął z roztargnieniem, a ona myśl ąc, że znowu ma zamiar j ą opuścić, wypadła wściekła z mieszkania, zostawiaj ąc go sam na sam z rozterkami.Czy powinien zatelefonować do Allie? Czy Gibril powiedział jej o głosach?Czy powinien zobaczyć się z Gibrilem?Coś się wydarzy, ostrzegał go wewnętrzny głos. Wydarzy się, a ty wiesz, co to jest, a ty, do jasnej cholery, nie możesz nic zrobić. O tak: coś złego.

\* \* \*Stało się to w dniu demonstracji, która, pomimo wszelkich przeciwności, odniosła sukces. W dzielnicy Mazagaon miały miejsce drobne utarczki, ale general-nie rzecz bior ąc demonstracja przebiegła spokojnie. Obserwatorzy KPIM donieśli o sformowaniu nieprzerwanego łańcucha złożonego z kobiet i mężczyzn, ci ągn ącego się przez całe miasto, a Salahuddin stoj ący pomiędzy Zini i Bhupenem na ulicy Muhammada Alego nie mógł odmówić tej demonstracji imponuj ącego wrażenia. Wielu ludzi stoj ących w łańcuchu płakało. Organizatorzy dali znak do wzięcia się za ręce — Swatelekha była wśród nich; jechała na tylnym siedzeniu dżipa z megafonem w ręku, była dokładnie ósma rano; w godzinę później rozpoczęły się godziny szczytowego nasilenia ruchu ulicznego i tłoku, więc tłum zacz ął się rozchodzić. Jednakże pomimo tysięcy ludzi zaangażowanych w tworzenie łańcucha, nie było o nim relacji w wiadomościach telewizji Durdarszan. Radio All-India także nie podało tej informacji. Większość (rz ądowych) gazet również nie zamieściła wzmianek. . . jeden dziennik wychodz ący w języku angielskim i jeden tygodnik

— to wszystko. Zini, maj ąc w pamięci łańcuch w Kerala, przepowiedziała tę mar-447

tw ą ciszę, kiedy wraz z Salahuddinem wracali do domu. — To komunistyczna manifestacja — wyjaśniła — tak więc oficjalnie nie istniała.Co wypełniało nagłówki prasowe?Co krzyczało do czytelników wielkimi literami, podczas gdy relacja z utwo-rzenia ludzkiego łańcucha nie zaistniała nawet petitem?KRÓLOWA EVERESTU, FILMOWY MOGOŁ, NIE ŻYJ Ą

PODWÓJNA TRAGEDIA W MALABAR HILL — GIBRIL FARISZTA ZNIKA

CZY ŻBY ZNOWU KL ĄTWA EVEREST VILAS?Ciało znanego producenta filmowego S. S. Sisodii z dziur ą w sercu zostało znalezione w apartamencie słynnego aktora, pana Gibrila Fariszty. Panna Alleluja Cone, nie bez zwi ązku z tym wydarzeniem, spadła z dachu drapacza chmur, z którego wcześniej Rekha Merchant rzuciła się na beton wraz z dziećmi.Poranne gazety bardziej jednoznacznie przedstawiły ostatni ą rolę Fariszty.FARISZTA, PODEJRZANY, ZBIEGŁ.— Wracam do Scandal Point — powiedział Salahuddin do Zini, która źle interpretuj ąc tę rejteradę, wściekła się. — Słuchaj, lepiej się zastanów. — Wy-jeżdżaj ąc nie wiedział, jak upewnić j ą, jak wytłumaczyć ogarniaj ące go poczucie winy, i odpowiedzialności: jak jej powiedzieć, że te zabójstwa były czarnymi kwiatami wyrosłymi z nasion, które zasadził wiele lat temu? — Muszę po prostu przemyśleć to i owo — powiedział słabym głosem, utwierdzaj ąc jej podejrzenia.— Tylko na dzień lub dwa. — Salad Baba — powiedziała ostrym tonem — muszę ci to powiedzieć, człowieku. Masz doskonałe wyczucie chwili.

\* \* \*W noc po uczestnictwie w ludzkim łańcuchu, Salahuddin Czamczawalla przez okno sypialni z czasów dzieciństwa spogl ądał na nocne wzory Morza Arabskiego, kiedy Kasturba niecierpliwie zapukała do i drzwi. — Jakiś człowiek do pana. —

Prawie syczała ze strachu. Salahuddin nie widział, by ktoś wchodził przez bramę.— Wszedł wejściem dla służby — odpowiedziała Kasturba na jego pytaj ące spojrzenie. — I, baba, posłuchaj, to jest ten Gibril, o którym gazety mówi ą. . . — Głos jej zamarł, gdy bezwiednie przygryzła palce lewej ręki.— Gdzie on jest?— Co miałam robić, bałam się! — jęczała Kasturba. — Powiedziałam, żeby 448

poszedł do gabinetu pańskiego ojca, czeka tam. Może niech pan nie idzie. Mam zadzwonić po policję? Baapu ré, co za nieszczęście!Nie. Nie dzwoń. Zobaczę, czego chce.Gibril siedział na łóżku Czangeza, w rękach trzymał star ą lampę, miał na sobie brudn ą kurta-pidżamę i wygl ądał, jakby od dawna nie spał. Jego oczy były mętne, pozbawione blasku, martwe. — Spoono — powiedział słabym głosem, wskazuj ąc lamp ą na fotel — czuj się jak u siebie w domu

— Okropnie wygl ądasz. — Salahuddin zbliżył się, wywołuj ąc u tamtego cyniczny, daleki, wcześniej nieznany mu uśmiech. — Si ądź i zamknij się, Spoono

— powiedział Gibril Fariszta. — Przyszedłem opowiedzieć ci pewn ą historię.A więc to ty — zrozumiał Salahuddin — naprawdę to zrobiłeś, zamordowałeś ich oboje. Ale Gibril zamkn ął oczy, zł ączył palce obu r ąk i rozpocz ął opowiadanie

— będ ące jednocześnie finałem wielu innych historii — a brzmiało ono tak: Kan ma kan

Fi qadim azzaman. . .

\* \* \*Było tak albo nie dawno temu nie wiem gdzie

No cóż to idzie jakoś tak

Nie mam pewności bo jak przyszli nie byłem sob ą nie jar zupełnie nie sob ą czasem s ą takie ciężkie dni jak opowiedzieć o chorobie coś jak to ale nie mam pewności

Zwykle moja druga połowa stoi na zewn ątrz krzycz ąc nie proszę nie ale to niedobrze widzieć nadchodz ąc ą chorobę

Jestem aniołem cholernym bożym aniołem i tym razem aniołem zemsty Gibril mściciel ci ągle zemsta dlaczego

Nie mam pewności coś jak to za zbrodnie bycia człowiekiem szczególnie rodzaju żeńskiego ale nie wył ącznie ludzie musz ą płacić Mniej więcej tak

A wiec przyprowadził j ą nie chciał źle teraz wiem chciał tylko żebyśmy by-li ze sob ą nie-niee widzisz powiedział ona nnieeeżyyyywi urazy powiedział ani odrobiny a ty powiedział w-wci ą ąż szaaalejesz za ni ą każdy to widzi chciał tylko abyśmy byli byli byli

Ale usłyszałem wersety

kapujesz Spoono

449

wersety

Różowe jabłuszko i kwaśna cytryna Uła muła rike kina Dobra kawka i herbatka

Niebieskie fiołki żółte motyle ty wspomnij mnie na mej mogile mogile mogile Takie rzeczy

Nie mogłem tego złapać i ona zmieniła się na moich oczach wołałem na ni ą kurwa właśnie tak i on on wiedziałem o nim

Sisodia stary zbereźnik wiedziałem do czego zmierzaj ą aby śmiać się ze mnie w moim własnym domu coś na ten kształt Dobre masełko dobre grzanki

Wersety Spoono kto jak myślisz robi takie cholerne rzeczy Wznieciłem wiec gniew Boży wskazałem palcem trafiłem go w serce ale ona suka myślałem suka zimna jak lód

stała i czekała po prostu czekała a później nie wiem nie mam pewności nie byliśmy sami

Mniej więcej tak

Była tam Rekha unosz ąc się na dywanie pamiętasz j ą Spoono pamiętasz Rekhę na dywanie kiedy spadliśmy i ktoś jeszcze zwariowany koleś w szkockich ciuchach taki gora

nie zapamiętałem nazwiska

Widziała ich albo nie nie mam pewności po prostu tam stała To był pomysł Rekhi zabrać j ą na górę na szczyt Everestu raz tam byłeś droga tylko w dół

Wskazałem na ni ą palcem wznieśliśmy się

Ja jej nie popchn ąłem

Rekha j ą popchnęła

Ja bym jej nie popchn ął

Spoono

Zrozum mnie Spoono

Do diabła

Kochałem tę dziewczynę

\* \* \*Salahuddin zastanawiał się, jak Sisodia, ze swoim wyj ątkowym szczęściem do przypadkowych spotkań (Gibrilem krocz ącym wśród ruchu ulicznego, z nim, Salahuddinem panikuj ącym przed otwartymi drzwiami samolotu i teraz, jak się zdawało, z Alleluj ą Cone w hotelowym korytarzu) zdołał przypadkowym trafem 450

zetkn ąć się ze śmierci ą; myślał także o Allie, maj ącej mniej szczęścia niż on, osi ągaj ącej (zamiast długo oczekiwanego samotnego wejścia na Everest) sromot-nie śmiertelne zejście, i o tym, jak umrze za swoje wersety, ale nie potrafił się zdobyć na uznanie wyroku śmierci za niesprawiedliwy.Rozległo się pukanie do drzwi. Proszę otworzyć, policja. A jednak Kasturba ich wezwała.Gibril zdj ął klosz z cudownej lampy Czangeza Czamczawalli i pozwolił mu roztrzaskać się na podłodze.Schował w środku broń — uświadomił sobie Salahuddin. — Uwaga — krzykn ął — ten człowiek ma broń! Pukanie ustało, Gibril potarł dłoni ą krawędź magicznej lampy: raz, dwa, trzy.Rewolwer pojawił się w jego drugiej dłoni.I wtedy w strasznej postaci pojawił się srogi dżinn — przypomniał sobie Salahuddin — jakie jest twoje życzenie? Jestem niewolnikiem tego, kto posiada lampę.Jakimż ograniczeniem jest broń, pomyślał Salahuddin, czuj ąc się dziwnie oderwanym od wydarzeń. — Tak jak Gibril, kiedy nadchodził atak choroby. — Tak, w istocie; najbardziej ograniczaj ąca z rzeczy. — Jak niewielu dano wybór, teraz ten Gibril był uzbrojony, a on nie uzbrojony; jakżeż skurczył się wszechswiat!Prawdziwe dżinny z zamierzchłych czasów miały moc otwierania bram Nieskoń-czonego, czynienia cudów i wszystkiego możliwym; jak banalny był w porówna-niu z nimi ten współczesny fantom, ten zdegenerowany sługa swoich potężnych mocodawców, ten cherlawy niewolnik dwudziestowiecznej lampy.— Już dawno ci mówiłem — powiedział spokojnie Gibril Fariszta — że jeśli będę wiedział, ze choroba nigdy mnie nie opuści, że zawsze będzie wracać, to ja nie będę w stanie tego znieść. — I wtedy bardzo szybko, zanim Salahuddin zd ążył

ruszyć palcem, włożył do ust lufę pistoletu; nacisn ął spust; był wolny.Salahuddin stał przy oknie swojego dzieciństwa i patrzył na Morze Arabskie.Księżyc był prawie w pełni; jego światło rozchodziło się ze skał Scandal Point aż po horyzont, tworz ąc iluzję srebrzystej drogi jakby drogę pośród świetlistych włosów morza, drogę do cudownych krain. Potrz ąsn ął głow ą; nie mógł już dłużej wierzyć w bajki Dzieciństwo skończyło się i widok z okna był tylko jego starym sentymentalnym echem. Do diabła z tym! Niech przyjad ą buldożery. Jeśli stare nie chce umrzeć, nowe nie może się narodzić.— Chodź — powiedział głos Zinat Wakil zza jego ramienia. Wygl ądało na to, że pomimo swoich wszystkich złych uczynków, słabości, winy — pomimo swojego człowieczeństwa — dostał jeszcze jedn ą szansę. Nie było niczego takiego jak uśmiech fortuny, to oczywiste. Była po prostu czyjaś ręka dotykaj ąca jego łokcia. — Do mnie — zaproponowała Zini — wynośmy się st ąd.— Idę — odpowiedział i odwrócił się od widoku za oknem.Podziękowania autora

Znajduj ące się w tej ksi ążce cytaty z Koranu pochodz ą z przekładu angielskiego (N.J. Dawood, wydanego przez Penguina; niektóre cytaty za: Maulana Muhammad Ali, Lahore, 1973). Przekłady te poddałem kilku drobnym zmia-nom. Cytat z Faiza Ahmada Faiza jest przeróbk ą tłumaczenia dokonanego przez Mahmooda Jamala w „Penguin Book of Modern Urdu Poetry”. Opis mantykory zawdzięczam „Zoologii fantastycznej” Jorge Luisa Borgesa, natomiast materiały dotycz ące Argentyny pochodz ą z pism W. H. Hudsona, ze szczególnym uwzględ-nieniem „Far Away and Long Ago”. Powinienem również podziękować Paulinie Melville za rozpl ątanie mojej fryzury Rasta. Muszę również wyznać, że wiersze Bhupena Ghandiego s ą w rzeczywistości echami lektury zbioru Aruna Kolatkara

„Jejuri”. Cytat z piosenki „Living Doll” do słów Lionela Barta; natomiast frag-menty ostatniego rozdziału mojej ksi ążki zostały zaczerpnięte z „Tynan Rightand Left” Kenetha Tynana ( c

Kenneth Tynan, 1967).Nazwiska autorów, którym zawdzięczam mój zapał, s ą — mam nadzieję —

oczywiste. Inni pozostan ą anonimowi, lecz im również dziękuję.Słownik

A

Abba — (hind.) ojciec.Abu Simbel, Karim — literacki odpowiednik postaci historycznej, głowy rodu Omajjadów — Abu Sufjana. Był to zagorzały przeciwnik Proroka i islamu; w walkach przeciwko muzułmanom dowodził oddziałami mekkański-mi. Ok. 630 r. Mahomet pozyskał go i przy jego pomocy opanował Mekkę.Ad — nazwa mitycznego plemienia olbrzymów, należ ącego według tradycji i Koranu do tzw. plemion wygasłych, które Allah zgładził za ich pychę i bezbożność.afryt — w wierzeniach muzułmańskich: okrutny demon.Aga Khan — tytuł przywódcy muzułmańskiej sekty izmailitów w Indii.ai-hai — (hind.) okrzyk żalu, smutku lub rozpaczy.aja — (hind.) tubylcza piastunka, niania, służ ąca.Akbar (1542–1605) — cesarz, najpotężniejszy władca z dynastii mogolskiej.Usiłował w swoim państwie wprowadzić syntetyczn ą religię ł ącz ąc ą zasady islamu z hinduizmem i chrześcijaństwem.Akbar i Birbal — popularny w Indiach cykl opowieści o cesarzu Akbarze i jego słynnym z przebiegłości i m ądrości hinduskim wezyrze Birbalu.Allahu Akbar — (arab.) Allah jest wielki.al-qur’an — transkrypcja arabskiej nazwy Koranu.Amitabh — imię popularnego aktora indyjskiego.Amma — (arab.) matka.Ammadżi — (hind.) matko, mateczko.Arawindan (1872–1950) — znany poza Indi ą jako Aurobindo, właściwe nazwisko Arawinda Ghosz (Aurobindo Ghosh), indyjski myśliciel, polityk i reformator, autor filozoficzno-społecznego systemu integralnej wedanty, reali-zowanego przez jego kontynuatorów w „mieście przyszłości” — Auroville koło Puttuczary w pd.-wsch. Indii.454

# Arre deo — (hind.) O Boże!asasyni — (z arab. haszaszijjun — oszałamiaj ący się haszyszem) — nazwa skraj-nej sekty izmailitów, której obowi ązkiem religijnym było zniszczenie przeciwników poprzez zabójstwa i szerzenie terroru. Do rytuału religijnego należało używanie narkotyków, szczególnie haszyszu.awatar — (sanskr.) „zst ąpienie”; wcielenie boga, w szczególności Wisznu, konieczne dla ratowania ludzkości przed zagład ą. Hinduizm uznaje dziesięć takich wcieleń — zst ąpień Wisznu.B

baba — (hind.) „dziecko, mały”; określenie ł ączone często z imieniem chłopca, używane przez rodziców i służbę. Natomiast w jęz. arabskim baba znaczy

„tatuś”.baboo — (w transkrypcji polskiej: babu) gra słów pomiędzy wyrazem naśladuj ącym kołatanie serca a pogardliwym określeniem Hindusa zasymilowanego do kultury angielskiej.Bałwochwalcy — autor używa tu angielskiego słowa „shark”; podobnie jak arabskie słowo „shirq” znaczy ono „rekin”. Jednak „shirk” znaczy również „bał-wochwalca” — i to znaczenie wydaje się bardziej odpowiednie: w Dżahilijji (Mieście Niewiedzy) władzę sprawowali Bałwochwalcy, czciciele idoli.Bibhutibhuszan, Banerdżi (1899–1950) — pisarz bengalski, właściwa postać nazwiska: Bandjopadhjaj.Baprebap — (hind. — bap: „ojciec, tato, ojczulek, tatulo”). Całe wyrażenie znaczy tyle co „ojczulku złoty!”, z intonacj ą zdumienia, oburzenia lub (niekiedy udawanego) przerażenia.Battuta, Billy — gra znaczeń, w ksi ążce jest to właściciel biura podróży. W rzeczywistości imię to nosił słynny arabski geograf i podróżnik Ibu Battuta (XIV w.); z racji bardzo licznych podróży i ich opisów zwany „Podróżni-kiem epoki”.begam — (pers.) pani, królowa; zwrot grzecznościowy używany w stosunku do kobiet muzułmańskich.455

bhai — (hind.) brat, tu: bracie. Bhai-bhai — tu: między nami przyjaźń jak między braćmi.bhangi — (hind.) członek jednej z najniższych kast w Indii, niedotykalny, trudni ący się zamiataniem ulic i czyszczeniem latryn. Przenośnie „człowiek bez sumienia”, „łotr”.bhel-puri — (hind.) smażony na topionym maśle lub oleju placek z m ąki pszen-nej, podawany z ryżem i soczewic ą z dodatkiem ostrych sosów.bhurta — (hind.) purée z gotowanych lub smażonych na oleju warzyw.bibi — (pers.) pani, dama, żona; zwrot grzecznościowy, używany w stosunku do zamężnych kobiet muzułmańskich.Bilal ibw Rabah (zm. 638 lub 642) — niewolnik abisyński, jeden z pierwszych wyznawców Proroka i pierwszy w islamie muezzin, zwołuj ący na modlitwę z dachu Kaaby.Billimoria, Pimple — imię jej znaczy tyle co „pryszczyk”.Binaka — marka popularnej w Indii pasty do zębów.Birbal — por. Akbar.biri, bidż — (hind.) tanie, popularne wśród indyjskiej biedoty (oraz w środowi-skach lewicuj ącej inteligencji i artystów) cygaretki skręcane z jednego liścia tytoniu.bodhi — (sanskr.) przebudzenie, iluminacja. Nazwa „drzewa Przebudzenia" (pi-pal, Ficus religiosa), pod którym Budda miał — w trakcie medytacji —

odnieść ostateczne zwycięstwo nad pokusami i zrozumieć sens istnienia.Miejsce, gdzie rosło owo drzewo, jest celem pielgrzymek buddystów (Bodh Gaje w Biharze).burka — (arab.) nakrycie głowy, noszone przez kobiety muzułmańskie i zasłaniaj ące cał ą twarz z wyj ątkiem oczu.Bustan — (pers.) kwiatowy ogród wonności, miejsce rozkoszy. Tytuł jednego z poematów poety perskiego Sa’diego z Szirazu (ok.1213–1292).456

C

# Chajjam-FitzGerald: Omar Chajjam (1048–1131) — perski uczony, matema-tyk i poeta. Z jego słynnym utworem „Rubajjat” („Czterowiersze”) zapo-znano się na zachodzie w roku 1859 dzięki parafrazie E. FitzGeralda.Chalistan — nazwa niezawisłego państwa, o którego powstanie walcz ą ekstre-miści sikhijscy. Granice Chalistanu miałyby się pokrywać z granicami obecnego stanu Pendżab w pn.-zach. Indii.Cone — literacki odpowiednik góry Hira (w pobliżu Mekki), w której znajdowała się grota — miejsce objawień Proroka.Czamcza, Saladyn — w tym miejscu autor ironicznie poł ączył dwa elementy: imię — Saladyn (z arab. Salah ad-Din — „Miecz wiary”), wódz i sułtan z dynastii Ajjubidów (XIIw.); słynny z m ądrości i cnót rycerskich; rozgro-mił krzyżowców i zawładn ął niemal cał ą Ziemi ą Święt ą; w wersji skróconej Salad — „sałatka”, oraz nazwisko — Czamcza (hind.) „łyżka, łyżecz-ka”; pogardliwie słowo to oznacza także człowieka bez woli, bez własnego zdania, człowieka, którym się pomiata. Nazwisko ojca Saladyna, Czangez Czamczawalla, znaczy „ten od łyżek”, sprzedawca lub producent łyżek.Czandelów dynastia — okres w historii Indii, zwi ązany z dynasti ą Ćandelów (Czandelów) IX — XII w. Dzięki mecenatowi władców z tej dynastii powstały słynne erotyczne rzeźby w tantryckich świ ątyniach khadżuraho w pn. części kraju.czapati — (hind.) cienkie placki z nie zakwaszonej m ąki, smażone na tłuszczu; dodatek do wielu potraw.czaprasi — (hind.) goniec, posługacz, stróż, szeregowy funkcjonariusz policji.Czaudhuri, Nivad — współczesny pisarz indyjski pochodzenia bengalskiego.D

dadżdżal — (arab.) oszust, szarlatan, antychryst 457

# Devi, Phulan — postać autentyczna, pochodz ąca z indyjskich nizin społecznych przywódczyni bandy rabusiów. Schwytana w połowie lat siedemdziesi ątych, Phulan została poddana resocjalizacji, udzieliła wielu wywiadów, a jej fotografie publikowano na pierwszych stronach dzienników indyjskich.dhaba — (hind.) tania jadłodajnia.dholki — (hind.) bębenek.dhoti — (hind.) tradycyjny indyjski strój męski; płat bawełnianej materii owinięty wokół bioder i sięgaj ący po kolana; luźny koniec dhoti przeci ąga się między nogami i zatyka od tyłu zapas.Dom Czarnego Kamienia — por. Kaaba.Doomsday, Eugene — nazwisko to znaczy Dzień S ądu Ostatecznego.Dżahannum — (hebr.) Gehenna, piekło w tradycji islamu.Dżahilijja — (arab.) pod t ą nazw ą ukrywa się Mekka. Nazwa symboliczna, ponieważ Arabowie tym mianem określaj ą epokę przedislamsk ą. „Okres ciemnoty, niewiedzy”.Dżaisalmen — miasto w pustynnej części Radżasthanu w pn.-zach. Indii, słynne ze średniowiecznej architektury kamiennej.Dżama Masdżid — meczet katedralny zbudowany w pół. XVII w. Należy do najwspanialszych dzieł architektury muzułmańskiej w Indii; także: duży meczet, gdzie w pi ątki odbywaj ą się modlitwy wiernych.dżelaba (albo galabijja) — (arab.) strój, przeważnie męski; rodzaj długiej do kostek, rozszerzanej koszuli.Dżurhum — jedno z legendarnych plemion staroarabskich, zaliczanych do Arabów wygasłych. Plemię wspomniane w Koranie jako to, które wygubił Allah za grzechy.F

Fachar — duma.458

# Faiz Ahmasd Faiz — (ur. 1911) poeta tworz ący w języku urdu, jeden z najwy-bitniejszych twórców pakistańskich, laureat Leninowskiej Nagrody Pokoju (1961).Fariszta, Gibril (Dżibril Farishta) — Archanioł Gabriel. Farishta — (pers.) firishte „anioł i poseł”.figury tantryczne — zwi ązane z tantryzmem przedstawienie postaci w pozach erotycznych.Filmmela — (mela — z hind. „zgromadzenie") spotkanie filmowe.G

Gagari — nazwa miasteczka w regionie Zachodnich Ghatów (Pobrzeże Mala-braskie); słynne z kamiennych bóstw.Ganesz — (sanskr.) Ganeśa „pan zastępów”; bóg m ądrości wzywany przy rozpo-czynaniu wszelkich ważnych czynności jako ten, który usuwa przeszkody.Syn Sziwy i Parwati („Córki Gór”). Wyobrażany jako gruby mężczyzna z głow ą słonia.Gautama — właściwe imię Buddy (Siddhartha Gautama z rodu Sza-kjów).gazel — (arab.) tradycyjny gatunek arabskiej poezji liryczno-miłosnej. Pojawił

się w VII w. w Mekce i Medynie, sk ąd jego dwa typy — mekkański (realizm w opisywaniu scen miłosnych, wesołość, często frywolność) oraz medyń-ski (miłość nie- szczęśliwa, platoniczna). Gatunek ten jest również rozpowszechniony w poezji perskiej i wśród mułzumartskich poetów indyjskich.ghoul — (arab.) demon, kanibal.Gitandzali — zbiór poezji, za który Rabindranath Tagore otrzymał nagrodę Nobla (1913). Tytuł przekładu polskiego: „Pieśni ofiarne”.Gloriana — jacht wyścigowy skonstruowany w 1891 roku przez Na-thaniela G.Herreshoffa. Był to jacht w ąski i bardzo szybki dzięki zmniejszeniu zanu-rzonej powierzchni kadłuba i niskim ułożeniu balastu. Konstrukcja ta stanowiła kres po- szukiwań takich parametrów łodzi regatowej, które zapew-niłyby jej rozwinięcie największej prędkości. Spowodowała przewrót w budownictwie jachtowym.459

# gopi — pasterka, małżonka Kriszny-Pasterza.Gulistan — (pers.) ogród różany, tytuł poematu Sa’diego.H

hadżdż — pielgrzymka do Mekki, jeden z pięciu podstawowych obowi ązków muzułmanina, odbywana w określonym terminie (miesi ąc zu’1-hidżdża).Każdy wierny powinien w miarę możliwości raz w życiu odbyć tę pielgrzymkę. Jest ona kontynuacj ą pielgrzymek przedislamskich do Czarnego Kamienia w Kaabie. Pierwsz ą oficjaln ą pielgrzymkę poprowadził sam Prorok w 10 r. hidży (632).Hadżdżi (lub hadżi) — ktoś, kto odbył pielgrzymkę do Mekki.Hamza — stryj Proroka.Hamzanama — dzieje Hamzy (wuja Proroka) zobrazowane na beli płótna tak, aby można je było ukazywać publiczności w sekwencji chronologicznej.Hanuman — mityczny wódz małp z Ramajany, który pomógł Ramie pokonać demona, Rawanę; jedno z popularnych bóstw hinduizmu ludowego.Haram Szarif — święty obręb miasta Mekki. Wstępuj ąc na ten obszar, pielgrzymi bior ą na siebie stan uświęcenia i przyoblekaj ą szaty pielgrzymie.Heinz — wielkie amerykańskie przedsiębiorstwo zajmuj ące się produkcj ą żywności. Od 1896 posługuj ą się sloganem reklamowym „57 varieties".Hidżaz — kraina geograficzna w środkowej Arabii; gł. miasta: Mekka, Jasrib (Medyna), Taif.hidżra — (hind.) „eunuch, hermafrodyta”. W Indii eunuchowie spełniaj ą role rytualne (tańce „na szczęście” w trakcie ceremoniału ślubnego i przy na-rodzinach syna) i stanowi ą rozwinięt ą sektę — kastę o własnym obrz ądku religijnym, bliskim sziwaizmowi — stad trójz ąb, symbol Sziwy. Hidżrowie nosz ą żeńskie stroje, dlatego porównuje się ich do Amazonek.Ho dżi! ho dżi! — (hind.) dżi — odpowiednik polskiego „pan, pani, państwo”; dodawany jest do nazwisk, terminów pokrewieństwa i słów oznaczaj ących osoby spełniaj ące istotne i obdarzone szacunkiem role i zawody. Tu w znaczeniu: „oho, szanowny panie / szanowni państwo, oho!"460

# Hubal — bożek przedislamski; kult Hubala rozpowszechniony był w Mekce, gdzie znajdował się pos ąg bóstwa w kształcie postaci ludzkiej.Hubszis — (hind.) Etiopczyk, czarny, murzyn, czarnuch.Iblis — władca dźinnów, muzułmański Lucyfer, przed upadkiem nazywał się Azazel. Ibrahim — prorok, bibilijny Abraham, ojciec Ismaila (por. Zaniżam).I

# Imam — duchowy przywódca w islamie, wg szyitów: najwyższy zwierzchnik muzułmanów. Zgodnie z niektórymi odłamami szyitów ostatni imam (a jest ich dwunastu lub siedmiu) pozostaje w ukryciu i kiedyś pojawi się jako prorok i odnowi świat w duchu sprawiedliwości.Ituriel i Zefon — dwaj aniołowie, którzy zostali posłani przez Gabriela na poszukiwania Szatana ukrywaj ącego się w Raju. Ituriel uzbrojony był we włócznię, której dotknięcie ujawniało fałsz i kłamstwo; tknięty ow ą włóczni ą Diabeł objawia się w swojej właściwej postaci.J

jar — (hind.) „przyjaciel, druh”. Tu: „przyjacielu, mój drogi”.Jasrib — przedislamska nazwa Medyny. (Madinat An-Nabi — Miasto Proroka).jelama z Karnataki — bogini zwi ązana z kultem wegetacji i płodności; czczona w pd.-zach. Indii.Johnson, Hanif — autor bawi się znaczeniami: swojemu bohaterowi prawnikowi nadał imię słynnego teologa i prawnika żyj ącego w VIII w. — Abu Hanify.461

K

ka — pojęcie z mitologii egipskiej — jeden z niematerialnych elementów osobowości człowieka i jego indywidualny geniusz opiekuńczy. Gdy ciało wydaje ostatnie tchnienie, ka opuszcza zmarłego i udaje się do kraju na Zachodzie.kachori — (hind.) rodzaj pierożków przygotowywanych z m ąki i grochu i przy-smażanych na topionym maśle lub oleju.Kaaba — najważniejsza świ ątynia islamu, położona na dziedzińcu wielkiego meczetu w Mekce. W jednym z narożników wbudowany jest Czarny Kamień.kabin (forma żeńska: kabina) — (arab.) „wróżbita, wieszczek”. Odgrywał duż ą rolę wśród Arabów pogańskich. Wierzono, że otrzymuje nadprzyrodzon ą wiedzę od demona. Kahin udzielał rady we wszystkich sprawach plemienia.Często stanowił potęgę polityczn ą. Prorok wyraźnie twierdził, że nie należy go traktować jako kabina.kalima — wyznanie wiary: „La ilaha illa’1-lah wa Muhammad rasu-lu’1-lah”(Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem). Salman Pers mówi natomiast „La ilaha illa’1-lah! La ilaha!”, co jest oczywistym bluź-nierstwem (Nie ma Boga prócz Allaha! Nie ma Boga!) Kan ma kan. . . — (arab.) formuła wstępna baśni arabskich.karma — (sanskr.) w buddyzmie i hinduizmie: suma skutków dobrych albo złych myśli, słów i uczynków człowieka, wyznaczaj ąca jego los w nowej inkamacji, a potem kolejno w dalszych, aż do osi ągnięcia pełnego wyzwo-lenia.Katha-Sarit-Sagar — (sanskr.) „Ocean strumieni opowieści” — tytuł klasycznego zbioru bajek indyjskich.khati-pili chalas — (arab.) chała al-bali — beztroska, niefrasobliwa; chalas —

koniec; należałoby to tłumaczyć: „już bez trosk”.khir — (hind.) ryż na słodko, gotowany w mleku z dodatkiem orzeszków pista-cjowych i rodzynków; rodzaj deseru.462

Koran — święta księga wyznawców islamu, religii głoszonej przez Proroka Mahometa. Koran zawiera nie tylko przepisy religijne i nakazy moralne, ale również przepisy prawne i stanowił pierwsza „konstytucję" tworz ącego się państwa.Kurajszi — nazwa plemienia arabskiego sprawuj ącego władzę w Mekce.kurta-pażama (padżama) — 1. kurta — (hind.) długa, sięgaj ąca połowy ud koszula męska, noszona na spodnie, szyta z grubego samodziału bawełniane-go, płótna lub muślinu; 2. pażama — (pers.) nogawice; kurta-pażama —

# rozpowszechniony w pn. Indii i Pakistanie strój męski, składaj ący się z długiej, wypuszczonej na wierzch koszuli i workowatych spodni z bawełniane-go płótna, zawi ązywanych w pasie na tasiemkę.Kuru i Panalu — bohaterowie „Mahabharaty”.kuskus — potrawa przyrz ądzona ze specjalnego rodzaju kaszy. Może być podawana zarówno z mięsem, jak i na słodko.L

# Lakszmi — w panteonie hinduskim: bogini dobrobytu i domowego szczęścia, małżonka Wisznu.Lalique’a, kryształy — Rene Lalique (1860–1945) francuski emalier i złotnik.Lalique projektował także secesyjne naczynia szklane i kryształy.lassi — (hind.) napój chłodz ący: jogurt zmieszany z zimn ą wod ą i sol ą.Lat, AI-Lat — bogini z panteonu bóstw przedislamskich, czczona, obok bogini Al-Uzza. Szczególnie poważana w Mekce. U innych plemion była utożsamiana z Aben ą i Minerw ą.M

Mababharata — nazwa narodowego eposu indyjskiego; w jęz. polskim znaczy

„Wielka wojna Bharatów” (Bharatowie -zwi ązek plemienny zamieszkuj ący 463

w starożytności Nizinę Gangesu; od nazwy tego plemienia pochodzi obecnie nazwa państwa indyjskiego Bharat). Dla wielu współczesnych Hindusów Mahabharata to po prostu wielkie Indie, st ąd też autor tworzy analo-giczne wyrażenie: Mahawilajat, co znaczy „Wielka Obczyzna”.Mahound — literackie imię Proroka Muhammada (Mahometa) — prorok i twórca islamu, prawodawca, reformator społeczny i polityczny, założyciel państwa arabsko-muzułmańskiego. W wieku ok. czterdziestu lat w grocie góry Hira w po- bliżu Mekki miał doznać pierwszych objawień, przekazanych mu od Allaha przez Archanioła Gabriela. Pocz ątkowo grupa wyznawców nowej wiary — islamu — była nieliczna, a ogromna większość Mekkańczyków odnosiła się do niej wrogo i z pogard ą. Wreszcie w roku 622 Mahomet wraz z grup ą wiernych wyruszył do Jasrib (późniejszej Medyny), aby tam znaleźć schronienie. Prorok, oprócz wypełniania misji „posłańca Allaha", stał się również przywódc ą nowej społeczności muzułmańskiej, kodyfikatorem praw i zasad etycznych. Liczba wyznawców nowej religii stopniowo powiększała się, aż wreszcie po wielu trudach i niepowodzeniach Mahomet ostatecznie opanował Mekkę i w roku 632 udał się z triumfaln ą pielgrzymk ą do Kaaby. Trzy miesi ące później zmarł.malaika — (arab.) anioły.Manat — (arab.) bogini przeznaczenia, uważana za najstarsze bóstwo epoki przedislamskiej. Oddawały jej cześć plemiona z okolic Mekki. Jej siedli-skiem był kamień między Mekk ą a Nadżranem.mantra — w hinduizmie: święta sylaba OM. Moc duchow ą przypisywano nie tylko całej sylabie, ale i jej częściom składowym o-h-m. W późniejszym hinduizmie stały się one symbolem trójjedności Brahmy, Wisznu i Sziwy oraz symbolem wielu innych triad. Sylabę OM umieszcza się na pocz ątku wszystkich tekstów religijnych i wymawia na końcu i na pocz ątku recytacji hymnów wedyjskich. W lamaizmie OM jest pierwszym elementem mantry

„Om mami padme hum” — „Om, klejnocie, który jesteś w lotosie, hum”; klejnot w lotosie to Budda.mantykom — fantastyczne zwierzę heraldyczne: lew z ludzk ą głow ą.masala dosa — (hind.) potrawa kuchni południowoindyjskiej — cienki naleśnik z m ąki ryżowej podawany z ostrym sosem.Maslama, John — znowu gra znaczeń — autor nadaje maniakowi religijnemu nazwisko człowieka, który za czasów Mahometa głosił, że jest prawdziwym prorokiem. Maslama (albo Musajlima) żył w VII wieku, objawienia swoje 464

# podawał w formie krótkich inwokacji. Ograniczył ilość modlitw z pięciu do trzech, propagował ostr ą ascezę, zabraniał picia wina i stosunków seksualnych po urodzeniu pierwszego syna. Nauka jego stanowiła zagrożenie dla islamu. W 634 r. w bitwie pod Akraba jego wojska zostały pobite przez ekspedycję pod wodz ą Chalida ibn al-Walida.mausi — (hind.) siostra matki, mateczka.Mekka Szarif — święta Mekka.Merchant, Rekha — ang. „merchant” — kupiec, handlowiec.„Męcze ństwo jest przywilejem" — wg islamu każdy, kto zginie w świętej wojnie (dżihad), jest męczennikiem i pójdzie prosto do raju.„Mother India", „Mr India", „Sh ree Charsawbees" — ksi ążki o Indii pisane z perspektywy kolonialnej.mubarak — (arab.) szczęściarz, pobłogosławiony.Mughal-e-Azam — (urdu) „Wielkość Mogołów".Mumbaj — maracka nazwa miasta Bombaj; nazwa angielska Bombaj wywodzi się z portugalskiego Bom Bahin („Dobra Przystań"), co może być znie-kształceniem nazwy oryginalnej „Mumbaijjam” — „miejsce (bogini) Mum-by”. Autor ironizuje nt. mody przywracania miastom indyjskim oryginal-nych nazw, już od dawna nie używanych i odmiennych od przyjętych we wszystkich światowych językach.Muttalib — (arab. Abd al-Muttalib) dziadek Mahometa; pochodził z rodu Ha-szim, odgałęzienia plemienia Kurajsz. Miał dwunastu synów, jednym z nich był Abdallah — ojciec Proroka.N

na — (hind.) na końcu zdania odpowiada polskiemu: nieprawdaż? no nie?Nakrah — przedislamskie bóstwo solarne.Nandu — byk Nandu jest w ikonografi hinduistycznej zwierzęciem, na którym jeździł bóg Sziwa; figury byka Nandu ustawia się często przed wejściem do świ ątyń.465

# Nasr — (arab.) „Orzeł” — bóstwo plemienne plemienia Zu’1-Kah.Nataradża — (hind.) „Nataradż” — nazwa rozpowszechnionego w epoce Czolów typu rzeźby sakralnej (wyobrażenie boga Sziwy jako Kosmicznego Tancerza).nikah — (arab.) zaślubiny.P

palia — (hind.) opadaj ący z ramienia luźny koniec sari.panczajat — (hind.) wiejska rada starszych (pięcioosobowa).panka-walla — (hind.) „panka” — wachlarz, wentylator. Tu: opis starszego typu

„wentylatora” — płat ciężkiego materiału przybity do podwieszonej u sufitu belki, któr ą za pomoc ą sznura przeci ągniętego od belki przez otwór w ścianie do drugiego pomieszczenia wprawiał w ruch specjalnie do tego zatrudniony służ ący — pankawalla.paratha — (hind.) placek z ciasta pszennego wielokrotnie przekładanego i roz-wałkowywanego, podsmażany na maśle lub przypiekany bez użycia tłuszczu i dopiero przed podaniem na stół skraplany masłem.parda — (pers.) zasłona, welon; wyżej postawione kobiety muzułmańskie mogły rozmawiać z obcymi mężczyznami tylko przez zasłonę. W pn. Indii zwyczaj ten przejęło wiele ortodoksyjnych rodzin hinduskich. Nazwa „parda”obejmuje dziś także i sam ą instytucję separowania kobiet od mężczyzn.Parsi, styl — styl architektoniczny charakterystyczny dla Parsów, wyznawców Zaratustry, którzy znaleźli schronienie w zach. Indiach przed prześladowa-niami muzułmanów.patti — (hind.) drobno pokrajany kurczak, podawany w ostrym sosie.Peristan — (pers.) kraina pięknych wróżek.pista — (pers.) deser pistacjowy; rodzaj słodyczy migdałowo-pistacjo wych.466

# Powell, Enoch (ur. 16.06.1912) — polityk brytyjski, członek Parlamentu, znany ze swoich rasistowskich pogl ądów. W 1968 r. w swoim przemówieniu (nazwanym później „Rzek ą krwi”) Powell po raz pierwszy poruszył brytyjsk ą kwestię rasow ą. Twierdził w nim, że napływ kolorowych imigrantów do Anglii spowoduje po pewnym czasie krwaw ą wojnę rasow ą. Po tym przemówieniu Powell został wykluczony z Gabinetu Cieni, nie zrezygnował jednak z ambicji politycznych.Puna — miasto w zach. Indii, nazwa maracka: Pune.parany — (sanskr.) „stare opowieści” święte teksty hinduizmu, osiemnaście san-skryckich zbiorów o treści kosmogonicznej i mitologicznej, zawieraj ących także genealogię bogów, świętych mężów i rodów królewskich. Najstarsze purany pochodz ą z pocz ątku I tysi ąclecia n.e.puri — (hind.) cienkie placki pszenne smażone na oleju lub topionym maśle, spożywane jako dodatek do innych potraw.R

Radżniś — nazwisko indyjskiego guru, który dla swej zachodniej klienteli poł ączył ćwiczenia jogi z praktyk ą wyzwalania się od zahamowali seksualnych.Szkoła jego mieści się w Punie.radiaz — najstarsze metrum poezji arabskiej. Wg tradycji radżaz powstało od rytmu piosenki nuconej w takt chodu wielbł ąda. Jedno z najprostszych metrów.raita — (hind.) krajane ogórki lub dynia w rozrzedzonym jogurcie z dodatkiem pieprzu.rakszasa — demony występuj ące w mitologii; w „Ramajanie” rakszase s ą rodz.żeńskiego, w „Mahabharacie” — rodź. męskiego. Istnieje wiele legend dotycz ących ich powstania. Jedna z nich mówi, że wyszły z paznokci Brahmy.Rama — bohater „Ramajany”, uważany za wcielenie boga Wisznu.Ramajana — narodowy epos indyjski powstały pomiędzy II w. p.n.e. a II w. n.e.Rawana — „czarny charakter” z „Ramajany”; demon, który porwał Sitę i upro-wadził j ą na Cejlon, ostatecznie pokonany przez Ramę.467

# riszi — w lit. sanskrytu: mędrzec, czarodziej, czarownik; ma w sobie moc i m ądrość.RSS, Wiszwa Hindu, Pariszad — nazwy indyjskich organizacji skupiaj ących wielkohinduskich szowinistów.S

salah — (arab.) gówno.Salim — najstarszy syn cesarza Akbara (1569–1627), od 1605 władca Imperium Mogołów; po koronacji przyj ął imię Dżahangir — Zdobywca Świata.Salman Pers — niewolnik perski, który zaproponował Mahometowi wykopanie fosy wokół Medyny, dzięki czemu Mekkanie i ich sojusznicy zmuszeni byli się wycofać. Była to tak zwana „bitwa rowu” 627 r.samosa — smażone trójk ątne pierożki nadziewane mielonym mięsem, ryb ą albo jarzynami.Sam ud — legendarne plemię staroarabskie, należ ące do Arabów wygasłych.Według tradycji i Koranu Allah zgładził ich za uporczywe trwanie w bał-wochwalstwie.Sardar — tym mianem określa się w Indiach Sikhów, którym religia zabrania ścinania włosów. Sikh, który obci ął sobie włosy, jest więc odstępc ą od wiary, a w oczach współczesnych ekstremistów walcz ących o niezawisłe państwo Sikhów jest także zdrajc ą narodu.sarpancza — (hind.) „zwierzchnik nad pięcioma”, przewodnicz ący pięcioosobo-wej rady miejskiej (panczajatu), wójt

Semdżadza; Azazel — imiona aniołów upadłych, str ąconych do piekła; por.Iblis.Sethidżi, seth — (hind.) bogaty kupiec, bankier.siedem wersetów — chodzi o Fatihę, „Otwieraj ąc ą" „urę Koranu. Recytuje się j ą przed każd ą modlitw ą i przy ważnych okazjach życia codziennego.Sita — bohaterka „Ramajany”, żona Ramy. Spoono — ang. „spoon” — łyżka; tu: głupek, głupol.468

Sridewi — (sanskr. sri — szanowny, czcigodny, tytuł stawiany przed nazwiskiem na znak szacunku; devi — bogini) tu: czcigodna bogini. Sridevi — popularna aktorka indyjska.swadesz — (hind.) swadesi „ze swego kraju, miejscowy"; nazwę tę nadano przed II wojn ą światow ą kampanii bojkotu towarów pochodzenia zagranicznego, zwłaszcza brytyjskiego, prowadzonej przez zwolenników Gandhiego.Szangri-La — mityczna kraina szczęśliwości w Tybecie, zamieszkiwana przez długowiecznych mędrców.szata ńskie wersety — tradycja mówi, że Prorok pocz ątkowo uznał boginie Al-

# -Lat, Al-Manat i Al-Uzzę, dopiero po jakimś czasie odwołał te wersety, nazywaj ąc je „szatańskimi”. Uważa się, że pocz ątkowo uznanie głównych bogiń przedislamskich było aktem politycznym, maj ącym na celu zjednanie sobie Mekkańczyków.Sziwa Lingam; Lingam — (sanskr.) — symbol boga Sziwy, falliczny symbol płodności i twórczej energii pierwiastka męskiego.T

# Taif — miejscowość w Hidżazie, w pobliżu Mekki i Medyny.teologiczne filmy — popularne w Indii filmy o tematyce religijno-mitologicznej.(Widownia traktuje aktorów jak wcielenia bogów.) W ich produkcji specjalizuj ą się wytwórnie w Bombaju i Madrasie.Thums Up Cola — marka produkowanego w Indii napoju orzeźwiaj ącego (na bazie koli). Tini benche achem — (hind.) On żyje. Titlipur — Motylkowe (hind. titli — motyl; -pur — wieś).U

Uhud — miejsce sławnej bitwy (625 n.e.) — skaliste wzgórze na pn. od Medyny.Mahomet z tysi ącem wyznawców został pobity przez trzykrotnie liczniej-szych przeciwników. Prorok został ranny, a rozbite wojsko odprowadził do Medyny Abu Bakr, późniejszy pierwszy kalif prawowierny.469

# Uległość — dosłowne tłumaczenie słowa „islam” — uległość, poddanie się (Al-lahowi).umra — tzw. „mała pielgrzymka", któr ą można odbyć w dowolnym miesi ącu.Uzza — (arab. Al-Uzza — „potężna") bogini przedislamska, jej symbolem były akacje -jedna lub trzy; utożsamiana z Wener ą.V

# Vinod Khanne — popularny aktor indyjski.W

Wadodara — gudżaracka nazwa miasta Bawoda; nazwa angielska i polska jest nie zniekształcona.wahi — (arab.) objawienie, także: natchnienie.Whittington, Richard (zm.marzec 1432) — bogaty angielski kupiec i trzykrot-ny burmistrz Londynu. Legenda głosi, że będ ąc biednym sierot ą pracował

jako pomywacz u bogatego londyńskiego kupca. Zaryzykował wysłanie na sprzedaż, na statku pryncypała, jedynej własności — kota. Nie mog ąc znieść złego traktowania ze strony pracodawcy, pewnego dnia ucieka, ale tuż za miastem słyszy głos dzwonków, który zdaje się mówić: „Zawróć, Whittingtonie, burmistrzu wielkiego Londynu”. Powraca zatem i dowiaduje się, że jego kot został za wielk ą sumę pieniędzy sprzedany mauretańskiemu władcy, którego posiadłości gnębione były plag ą szczurów. Już jako bogaty człowiek Whittington żeni się z córk ą swojego pracodawcy, dziedziczy jego maj ątek, a później po trzykroć zostaje burmistrzem Londynu.Wilajat — (arab. „wilayat”) obczyzna, obcy kraj, zagranica. W Indii powszechne jest przekonanie, że stolic ą Wilajatu jest Londyn.Wilson,Maurice — Brytyjczyk, który w 1934 roku usiłował samotnie zdobyć Everest. Opuszczony przez Szerpów kontynuował swoj ą szaleńcz ą wypra-wę i zmarł z zimna i wyczerpania na wysokości ok. 6400 m n.p.m., a jego ciało i dziennik z notatkami znalazła ekspedycja w roku 1935.470

Y

# yakhni — (hind.) rosół, też: sos.yatri — (hind.) pielgrzymi.Z

zamindar — (pers.) właściciel ziemski, obszarnik.Zarażam — (arab.) Al-Zam-zam: nazwa świętej studni znajduj ącej się w Mekce.Wg legendy arabskiej Zaniżam została pokazana przez Archanioła Gabriela egipskiej niewolnicy Hagar i jej synowi Ismailowi umieraj ącemu z pragnienia na pustyni. Woda uratowała im życie i Ismail stał się protoplast ą plemion północnoarabskich.zawieszone wiersze — zawieszone poematy (arab. mu’allaka) — poematy wy-różnione na konkursach poetyckich, urz ądzanych w dawnej Arabii w miejscowości ’Ukaz. Wyszyto je złotem na jedwabiu i zawieszono w świ ątyni Kaaba.Zindabad — (pers.) Niech żyje!˙

Zony i nałożnice Mahometa :

Aisza — ukochana żona Proroka, córka Abu Bakra (późniejszego pierwszego kalifa prawowiernego), zwana Matk ą Wiernych. „Aisza musiała pobiec za potrzeb ą do jakiegoś do- łka. . . ” — tradycja podaje tę opowieść, jednakże powodem oddalenia się Aiszy były poszukiwania zagubionego naszyjnika.Chadidża — pierwsza żona Mahometa. Bogata wdowa, która po śmierci drugiego męża powierzyła swoje interesy Mahometowi i wkrótce wyszła za niego. Tradycja mówi o niezachwianej wierze Chadidży w misję prorocz ą Mahometa, nawet wówczas, gdy był szykanowany. Prorok do końca życia wspominał je imię z miłości ą i czci ą.Dżuwajrijja — była córk ą naczelnika plemienia al-Mustaliq. W czasie walk została wzięta do niewoli i w podziale łupów przypadła Prorokowi, który po zawarciu pokoju uwolnił j ą i poj ął za żonę.471

Hafsa — córka Omara ibu al-Chattaba (drugiego Kalifa Prawowiernego), wdowa po muzułmaninie, który zgin ął w bitwie pod Badr.Majmma — prawdopodobnie chodzi tu o Majmuhę, szwagierkę stryja Proroka, al-Abbasa, z któr ą Prorok ożenił się w 629 roku.Maria Koptyjka — konkubina Proroka, przysłana w darze przez namiest-nika egipskiego.Rajhana ˙

Zydówka — należała do plemienia Banu Qurajza, przypadła Prorokowi jako łup wojenny.Ramla — literackie imię Umm Habiby, córki Abu Sufjana (ksi ążkowego Abu Simbela).Safija ˙

Zydówka — została wzięta do niewoli w Chajbar i była konkubin ą Proroka niemal do końca jego życia. Tuż przed jego śmierci ą przyjęła islam i stała się jego prawowit ą małżonk ą.Sauda — druga żona Proroka, wdowa po jednym z najstarszych muzułmanów.Umm Sulma (Umm Salama, z arystokratycznego klanu Machzum) —

również wdowa, m ąż jej zmarł na skutek ran odniesionych w bitwie pod Uhud, żona Proroka.Zajnab bint Dżahsz — pocz ątkowo była żon ą adoptowanego syna Proroka, który rozwiódł się z ni ą. Prorok ożenił się z Zajnab, aby zwi ązać się z Abd Szams — rodem jej ojca.